

José Saramago

Baltazar i Blimunda

(Przełożyła Elżbieta Milewska)



Miłościwie nam panujący król Jan, piąty o tym imieniu wśród monarchów portugalskich, zamierza tej nocy udać się do sypialni królowej. JKMość Maria Anna Józefa już przeszło dwa lata temu przybyła z Austrii, aby dać infantów koronie portugalskiej, ale do dziś nie zaszła w ciążę. Na dworze królewskim, tak w pałacu, jak i poza nim, zaczyna się już szeptać, że królowa jest bezpłodna, baczy się jednak pilnie, by podobne insynuacje nie dostały się do uszu i na języki donosicieli. Oczywiście nikomu nawet przez myśl nie przejdzie, że to może być wina króla, po pierwsze dlatego, że bezpłodność nie jest męską, lecz niewieścią dolegliwością, i z tego też powodu kobiety tak często są porzucane, a po wtóre, w razie potrzeby zawsze można przedstawić dowody rzeczowe, jako że w całym królestwie pełno jest spółdzonych przez króla bękartów, ot, choćby teraz cała ich procesja ciągnie przez plac. Poza tym to nie król, lecz królowa ze wszystkich sił błaga niebiosą o syna, i również z dwóch powodów. Pierwszy jest taki, że żaden król, a tym bardziej portugalski, nie prosi o to, czego spełnienie leży całkowicie w jego mocy, natomiast drugi sprowadza się do tego, że kobieta z natury rzeczy spełnia jedynie rolę naczynia, rozumie się więc samo przez się, że musi zanosić błagania zarówno poprzez specjalne nowenny, jak i wszelkie inne stosowne modlitwy.

Lecz ani wytrwałość króla, który dwa razy w tygodniu, o ile nie zaistnieją przeszkody natury religijnej lub fizjologicznej, z werwą spełnia swoją królewską i małżeńską powinność, ani też cierpliwość i pokora królowej, która nie ogranicza się do modłów, ale za każdym razem, gdy król opuszcza ją i małżeńskie łóżce, skazuje się na całkowity bezruch, by nie uронić życiodajnych płynów, skąpych z jej strony, zarówno z braku czasu i bodźców, jak też z racji bogobojnej wstrzemięźliwości, natomiast obfitych ze strony króla, czego zresztą można się spodziewać po mężczyźnie, który nie skończył jeszcze dwudziestu dwu lat, jednak wszystko na nic, gdyż do dziś łono Jej Królewskiej Mości Marii Anny nie zdołało się zaokrąglić. Ale Bóg jest wielki.

Prawie tak wielka jak Bóg jest rzymska bazylika Św. Piotra, którą król właśnie wznosi. Jest to budowla bez wykopów i fundamentów, ustawiona na blacie stołu, który mógłby być dużo mniej solidny, zważywszy, że jest to tylko miniatura bazyliki, składana z kawałków dawnym sposobem na wpust i pióro, a poszczególne kawałki podają królowi z rewerencją czterej dyżurni pokojowcy. Kufer, z którego je wydobywają, pachnie kadzidłem, a karmazynowy aksamit, w jaki każda część jest oddzielnie zawinięta — żeby twarz posągu nie obijała się o krawędź kolumny — lśni w blasku grubych woskowych świec. Budowla jest

prawie na ukończeniu. Wszystkie ściany są już osadzone w zawiasach, kolumny stoją pod gzymsem zdobnym w łaćński napis z imieniem i tytułem Pawła V Borghese, który król już dawno przestał odczytywać, choć jego oczy niezmiennie napawają się liczebnikiem porządkowym, identyczny figuruje przecież przy jego własnym imieniu. W przypadku króla skromność należałoby poczytywać raczej za wadę.

Zanim król wstawi figury proroków i świętych w stosowne otwory architrawy, każdej z nich pokojowiec składa ukłon, rozwijając drogocenny aksamit i podając na wyciągniętej dłoni proroka leżącego na brzuchu bądź świętego do góry nogami, nikt jednak nie zwraca uwagi na ten mimowolny brak poszanowania, tym bardziej że król od razu przywraca porządek i należną świętym rzeczom powagę, ustawiając prosto i na właściwym miejscu postacie czuwające nad świątynią. Ze szczytu gzymsu nie widzą one jednak placu Św. Piotra, ale króla Portugalii i pokojowców, którzy mu usługują. Widzą też posadzkę galerii i żaluzje kaplicy królewskiej, a nazajutrz podczas pierwszej mszy, o ile wcześniej nie powrócą w aksamity kufra, ujrzą króla nabożnie uczestniczącego w świętej ofierze wraz z całym orszakiem, nie będzie w nim jednak tych samych osób, kończy się bowiem tydzień i inni szlachetnie urodzeni panowie rozpoczną służbę. Pod galerią, na której się znajdujemy, jest jeszcze jedna, także odgradzona żaluzjami, ale bez żadnej budowli do składania, choćby kapliczki czy pustelni, gdzie królowa w samotności słucha mszy, ale nawet i to święte miejsce nie pomaga na bezpłodność. Do ustawienia została już tylko kopuła Michała Anioła, kamienne cudo, tu oczywiście mamy tylko jego namiastkę, z powodu wielkich rozmiarów jest ona przechowywana w osobnym kufrze, a jako że wieńczy całą budowę, ceremoniał ulega zmianie, wszyscy pomagają królowi, wspomniane pióra z hukiem wchodzą w odpowiednie wpusty i bazylika jest gotowa. Jeśli głośny trzask, który zagrzmiał w kaplicy, dotrze poprzez sale i długie korytarze do sypialni czy alkowy, gdzie czeka królowa, będzie to dla niej znak, że mąż niebawem przybędzie.

Musi jednak jeszcze trochę poczekać. Na razie król przygotowuje się do tej wizyty. Pokojowcy rozebrali go i przyoblekli w stylowy strój, stosowny do obrzędu, podając sobie z rąk do rąk kolejne części garderoby z takim nabożeństwem, jakby to były relikwie świętych dziewic, a odbywa się to w asyście licznych służących i paziów, z których jeden otwiera szufladę, drugi odsuwa zasłonę, ten podnosi lampę, ów reguluje płomień, dwóch stoi w bezruchu, dwaj inni robią to samo, a kilku pozostałych nie wiadomo co tu w ogóle robi. Ale z końca, dzięki wyteżonym wysiłkom wszystkich obecnych, król jest gotów, jeszcze tylko któryś ze szlachciców wygładza ostatnią fałdę, inny poprawia haftowaną kryzę i nim upłynie minuta, król skieruje się do sypialni królowej. Dzban czeka na zdroj.

Lecz oto zjawia się Nuno da Cunha, biskup inkwizytor, a wraz z nim pewien leciwy franciszkanin. Nim podejda bliżej i powiedzą, o co chodzi, składają skomplikowane ukłony, suną naprzód w lansadach, przystają i cofają się, gdyż w taki właśnie sposób należy stawać przed królewskim obliczem, ale nie będziemy dłużej się tym zajmować z uwagi na pośpiech widoczny w ruchach biskupa i gorączkowe drżenie mnicha. Król Jan V odchodzi na bok z inkwizytorem, który odzywa się w te słowa, oto jest brat Antoni od św. Józefa, z którym rozmawiałem o zmartwieniu Waszej Królewskiej Mości z racji tego, że miłościwa królowa pani nasza nie daje mi potomków, poprosiłem też o modlitwy w intencji Waszej Miłości, żeby Bóg obdarzył Waszą Królewską Mość potomstwem, na co on odpowiedział, że Wasza Królewska Mość będzie mieć dzieci, jeśli tylko zechce, więc spytałem go, co mają znaczyć te mgliste słowa, wiadomo przecież, Wasza Miłość chce mieć dzieci, a wtedy odpowiedział mi, już całkiem jasno, że jeżeli Wasza Królewska Mość przyrzeknie zbudować klasztor w osadzie Mafra, Bóg ześle następców, co rzekłszy zamilkł i skinął na mnicha z Arrabidy.

Zapytał król, Czy prawdą jest to, co przed chwilą usłyszałem od Jego Eminencji, że jeżeli obiecuję zbudować klasztor w Mafrze, będę miał dzieci, mnich zaś odpowiedział, To prawda, panie, lecz pod warunkiem, że będzie to klasztor Franciszkanów, na co odrzekł król, Skąd wiesz, a brat Antoni odpowiedział, Wiem, choć nie wiem skąd, przez moje usta przemawia prawda, to głos wiary, jeżeli Wasza Królewska Mość zbuduje klasztor, wkrótce doczeka się następców, jeśli zaś klasztor nie zostanie zbudowany, Bóg rozstrzygnie. Król skinieniem ręki odprawił zakonnik i spytał Jego Eminencję Nuna da Cunha, Czy ten mnich jest człowiekiem prawym, na co biskup odpowiedział, W całym zakonie Franciszkanów nie ma drugiego tak prawego, jak on. Wówczas król Jan, piąty tego imienia, wyzbywszy się już wszelkich wątpliwości co do wagi propozycji, powiedział podniesionym głosem, aby go wyraźnie usłyszeli wszyscy obecni i by nazajutrz nowina obiegła miasto i królestwo, Przyrzekam moim królewskim słowem, że każę zbudować klasztor Franciszkanów w osadzie Mafra, jeżeli królowa da mi dziecko w ciągu roku licząc od dnia dzisiejszego, na co wszyscy odrzekli, Niech Bóg wysłucha Waszą Miłość, choć nikt nie wiedział, kto tu zostanie poddany próbie, czy sam Bóg, czy cnota brata Antoniego, czy potencja króla, czy wreszcie oporna płodność królowej.

Królowa Maria Anna rozmawia z ochmistrzynią dworu, markizą de Unhao, która jest Portugalką. Omówiły już nabożne praktyki odprawione tego dnia, wizytę u karmelitanek bosych w klasztorze Niepokalanego Poczęcia w Cardais oraz nowennę do św. Franciszka Ksawerego, która nazajutrz rozpocznie się w kościele Św. Rocha, słowa królowej i markizy płyną nieprzerwanym strumieniem, pobrzmiwa w nich rzewność, gdy wymieniają imiona

świętych, i boleść, gdy mowa o męczeństwach lub specjalnych ofiarach mnichów i mniszek, choćby nawet nie wykraczały one poza zwykłe umartwienie przez post czy też skryte udręki włosiennicy. Ale oto już anonsują króla, który idzie pełen zapału, podniecony mistycznym związkiem między daniną ciała a ślubowaniem złożonym Bogu za pośrednictwem usłużnego brata Antoniego od św. Józefa. Wraz z królem wkracza dwóch pokojowców, uwalniają go od zbędnych szat, to samo czyni markiza wobec królowej, kobieta pomaga kobiecie, asystuje im jeszcze hrabina oraz druga ochmistrzyni, nie mniej utytułowana, która przybyła z Austrii, w sypialni jest więc spore zgromadzenie, ich królewskie moście wymieniają ukłony, ceremoniał trwa w nieskończoność, wreszcie pokojowcy wycofują się przez jedne drzwi, fraucymer zaś przez inne, wszyscy będą czekać w przedpokoju na zakończenie rytuału, pokojowcy odprowadzą króla do sypialni, która kiedyś należała do królowej matki, w czasach gdy jeszcze żył ojciec, damy zaś wrócą i otulą królową Marię Annę pierzyną przywiezioną z Austrii, bez której nie może się obejść zimą i latem. I właśnie przez tę pierzynę, pod którą można się ugotować nawet w lutowe chłody, król Jan V nie zostaje na całą noc z królową, jak to bywało na początku, kiedy nowość brała górę nad niewygoda, a była ona niemała, gdyż płał się cały w pocie własnym i cudzym, mając u boku królową przykrytą po czubek nosa i prażącą się w dusznych waporach. Królowa Maria Anna, choć nie pochodzi z gorącego kraju, nie znosi jednak tutejszego klimatu. Przykrywa się cała ogromną puchatą pierzyną i leży skulona niczym kret, który napotkawszy kamień zastanawia się, w jakim kierunku dalej kopać swój korytarz.

Zarówno król, jak i królowa mają na sobie długie, sięgające ziemi koszule, monarsza ledwie muska podłogę haftowanym rąbkiem, królowej zaś jest o dobrą piędź dłuższa, chodzi bowiem o to, żeby nawet czubek stopy nie wystawał, nawet najmniejszy palec, byłaby to doprawdy wielka nieprzyzwoitość. Król Jan V prowadzi królową do łoża, trzyma ją pod rękę, niby kawaler damę na balu, nim wstąpią na schodki, każde ze swej strony, klękają i odmawiają stosowne modlitwy na intencję tego, żeby śmierć nie zaskoczyła ich bez spowiedzi podczas zbliżenia cielesnego oraz żeby ta nowa próba przyniosła pożądaną owoc, czego Jan V oczekuje tym razem ze zdwojoną nadzieją, ufa bowiem Bogu i własnemu wigorowi, stąd też i ze zdwojoną wiarą błaga Boga o następców. Jeśli idzie o królową, należy przypuszczać, że modli się o tę samą łaskę, chyba że ma specjalne powody, dla których nie musi już o nią prosić, ale to pozostanie tajemnicą konfesjonału. Położyli się do łoża. Sprowadzono je z Holandii w tym samym czasie, kiedy królowa przybyła z Austrii, król specjalnie je zamówił i kosztowało go siedemdziesiąt pięć tysięcy cruzados, bo w Portugalii nie ma tak znakomitych rzemieślników, a nawet gdyby byli, z pewnością byłiby tańsi.

Na pierwszy rzut oka trudno odgadnąć, czy ten wspaniały mebel jest z drewna, gdyż cały jest pokryty drogocennymi ozdobami, tkanymi i haftowanymi festonami oraz złożonymi rzeźbami, nie mówiąc już o baldachimie, który mógłby służyć papieżowi. Zaraz po przywiezieniu i ustawieniu na miejscu nie było w nim jeszcze pluskiew, było całkiem nowiutkie, pojawiły się one dopiero później, w miarę używania, może przyciągnęło je ludzkie ciepło, a może to skutek wędrówek wewnątrzpałacowych lub między miastem i pałacem, zupełnie nie wiadomo, skąd się wzięło to robactwo, a przecież do łoża tak bogato przybranego w materie i inne ozdoby nie można przystawić płonącej szmaty, żeby spalić całe to rojowisko, co byłoby jedynym lekarstwem, choć można jeszcze spróbować płacić pięćdziesiąt reali na rok św. Aleksemu, może on uwolni królową i nas wszystkich od tej plagi i od swędzenia. W noc, kiedy przychodzi król, pluskwy zaczynają później dawać się we znaki, a to z powodu wstrząsów materaca, są to bowiem stworzenia lubiące spokój i ludzi pogrążonych we śnie. Tam, w łożu króla, też czekają na swoją porcję krwi, która dla nich nie jest ani lepsza, ani gorsza niż reszty lizbończyków, jest im obojętne, czy jest błękitna, czy też w kolorze naturalnym.

Królowa Maria Anna wyciąga do króla spoconą, zimną rączkę, która mimo ogrzania pod pierzyną natychmiast ziębnie w lodowatej sypialni, król zaś spełniwszy swoją powinność jest pełen ufności, gdyż uczynił to z przekonaniem i twórczym zapałem, całuje więc tę dłoń jako rękę królowej i przyszej matki, o ile brat Antoni od św. Józefa nie przecenił zbytnio swoich możliwości. Królowa Maria Anna pociąga za sznur dzwonka i wchodzi z jednej strony pokojowcy króla, z drugiej zaś damy, wśród różnych zapachów, wypełniających ciężką atmosferę sypialni, z łatwością wyróżniają jeden, jako że bez tego, co tak pachnie, niemożliwe są cuda w rodzaju obecnie oczekiwanego, tamto bowiem bezcielesne zapłodnienie, o którym się tyle mówi, zdarzyło się tylko raz, żeby ludzie się przekonali, że Bóg, jeśli zechce, może się obejść bez mężczyzn, choć nie bez kobiet.

Mimo usilnych perswazji spowiednika królowa Maria Anna przeżywa zawsze przy tych okazjach rozterki duchowe. Uważa bowiem, że po wyjściu króla i pokojowców, po udaniu się na spoczynek usługujących jej dam, powinna wstać, aby jeszcze ostatni raz się pomodlić, jednak według zaleceń lekarzy powinna obchodzić się ze sobą jak z jajkiem, wobec tego zadowala się tym, że w nieskończoność odmawia szeptem różaniec, coraz wolniej przesuując paciorki, aż wreszcie zasypia w połowie kolejnej zdrowaś-Mario-łaskiś-pełna, tej to się udało, błogosławion owoc żywota twego, myśli mając na uwadze swoje własne, spragnione łono, przynajmniej jedno dziecko, Panie, przynajmniej jedno. Nigdy się nie wyspowiadała z tej mimowolnej pychy, gdyż była ona na tyle mimowolna i mglista, że gdyby

nawet królowa miała stanąć przed sądem, przysięgłaby zupełnie szczerze, że zawsze zwracała się wyłącznie do Przenajświętszej Panny i do jej łona Są to meandry królewskiej podświadomości, podobnie jak te wszystkie sny, które ciągle nawiedzają Marię Annę, bo jakże wytłumaczyć fakt, że kiedy król wraca do swojej sypialni, ona śni, że idzie przez plac Pałacowy, od strony jatek, unosząc z przodu spódnicę i ślizgając się w wodnistym, lepkim błocie, które pachnie zupełnie jak mężczyzna po wytrysku, podczas gdy infant Franciszek, jej szwagier, którego dawny pokój teraz zajmuje i który jakby tu powracał duchem, tańczy wokół niej na wysokich szczudłach niby czarny bocian. Również tego snu nigdy nie wyznała spowiednikowi, ale cóż on z kolei mógłby jej tu powiedzieć, skoro taki przypadek nie figuruje w poradniku doskonałej spowiedzi. Może więc królowa Maria Anna spać spokojnie, całkiem schowana pod puchową górą, a tymczasem pluskwy zaczynają wychodzić ze szpar i fałd, spadają też z baldachimu w ten sposób skracając sobie podróż.

Tej nocy król Jan V też będzie miał sny. Przyśni mu się, że z członka wyrasta mu rozłożyste drzewo genealogiczne, całe zaludnione przodkami Chrystusa, łącznie z samym Chrystusem, dziedzicem wszystkich koron, a potem drzewo zniknie i w jego miejsce wyrośnie potężny, z wysokimi kolumnami, dzwonniami, kopułami i wieżycami klasztor Franciszkanów, o czym świadczy franciszkański habit brata Antoniego od św. Józefa, który otwiera na oścież drzwi kościoła. Podobny temperament nieczęsto spotyka się u królów, ale Portugalia zawsze miała do nich szczęście.

Tak samo zresztą ma szczęście do cudów. Jest jeszcze zbyt wcześnie, by mówić o tym, który ma nastąpić, choć właściwie to nie tyle cud, co po prostu łaska boska czy też litościwy rzut oka opatrności na jałowe łono, co wystarczyło, by infant przyszedł na świat w przepisowym terminie, warto jednak przy tej okazji przypomnieć prawdziwe i udokumentowane cuda, które przez to, że dotyczą tej samej żarliwej braci franciszkańskiej, dobrze wróżą królewskiemu ślubowaniu.

Weźmy choćby słynny przypadek śmierci brata Miguela od Zwiastowania, wybranego prowincjałem trzeciego zakonu św. Franciszka, który to wybór, mówiąc nawiasem, acz nie bez kozery, spowodował gwałtowną wojnę przeciwko zakonowi i prowincjałowi, rozpętaną przez proboszcza z parafii Św. Marii Magdaleny, wszystko przez podłą zawiść i z taką zawziętością, że sprawa ciągnęła się do ostatniej chwili życia brata Miguela i gdyby nie jego śmierć, nie wiadomo, kiedy wreszcie zostałyby ostatecznie rozstrzygnięta i czy w ogóle by to nastąpiło wśród nie kończących się wyroków i odwołań, narad i apelacji. Wiadomo, że zakonnik nie umarł z powodu ataku serca, ale na jakąś chorobę zakaźną, tyfus czy coś w tym rodzaju, taki zwykle bywa koniec życia w mieście, gdzie tak mało studni z pitną wodą i gdzie wozivody bez skrupułów napełniają beczki w końskich wodopojach, w rezultacie czego niektórych prowincjałów spotyka taka oto niezасłużona śmierć. Ale brat Miguel od Zwiastowania miał tak poczciwą naturę, że nawet po śmierci odplacił dobrem na zło, i jeżeli za życia spełniał dobre uczynki, to po śmierci czynił różne dziwy, a pierwszym z nich było podważenie opinii lekarzy, którzy obawiając się szybkiego rozkładu ciała zalecili natychmiastowy pochówek, zwłoki bowiem wcale nie uległy rozkładowi, wręcz przeciwnie, przez trzy dni były wystawione w kościele Najświętszej Matki Chrystusowej, napełniając go przesubtelną wonią, ponadto trup wcale nie zeszywniał, wręcz przeciwnie, wszystkie członki miękko poddawały się ruchom, zupełnie jakby nadal był żywy.

Drugim i trzecim, lecz pierwszorzędnej jakości dziwem były już prawdziwe cuda, tak głośne i znamienite, że z całego miasta zbiegli się ludzie, aby przyglądać się osobliwemu zjawisku i skorzystać z niego, rozniosło się bowiem, że we wspomnianym kościele ślepcy odzyskiwali wzrok, chromi zaś nogi i tyle narodu się tam zebrało, że ci, którzy chcieli przepchnąć się przez schody przedsionka i wejść do środka, torowali sobie drogę pięściami i sztyletem, co niektórych kosztowało życie, lecz już żadnym cudem nie zdołali go odzyskać. Chociaż niewykluczone, że tak by się stało, gdyby nie to, że po trzech dniach tego wielkiego zamieszania po kryjomu zabrano ciało z kościoła i po kryjomu je pochowano. Pozbawieni nadziei na ozdrowienie do czasu, nim znów zemrze ktoś świątobliwy, niemowy i jednoręcy w

odruchu rozpaczy i zawiedzionej wiary zaczęli się bić po twarzach, ci ostatni oczywiście, o ile mieli wolną rękę, krzycząc przy tym głośno i wzywając wszystkich możliwych świętych, aż wreszcie wyszli księża, aby pobłogosławić zebranych, którzy z braku czegoś lepszego musieli się tym zadowolić i w końcu się rozeszli.

Ale w tym kraju, nie wstydzmy się tego wyznać, roi się od złodziei — co oko ujrzy, do ręki się klei — a choć wiara jest tak wielka, mimo że nie zawsze opłacalna, to jeszcze większy jest bezwstyd i bezbożność, z jakimi grabi się kościoły, co na przykład miało miejsce nie dalej jak zeszłego roku w Guimarses, też u Św. Franciszka, który, jak wiadomo, za życia wzgardził ogromnymi bogactwami i chyba dlatego po przeniesieniu się do wieczności też się godzi, aby mu wszystko odbierano, toteż zakon ratuje wyłącznie czujność św. Antoniego, bo on nie daje tak łatwo rabować swoich kaplic i ołtarzy, co można było stwierdzić w Guimarses, a i w Lizbonie też na pewno się potwierdzi.

Właśnie w Guimarses do kościoła zakradli się rabusie, próbowali wejść przez jedno z okien, gdzie święty już ochoczo na nich czekał, czym napędził im takiego strachu, że ten, który był na szczycie drabiny, runął w dół jak długi i wprowadzie nie złamał sobie żadnej kości, ale tak zeszywniał, że zupełnie nie mógł się ruszyć z miejsca i mimo że towarzysze chcieli go stamtąd zabrać, bo i wśród złodziei trafiają się szlachetne i ofiarne serca, nie udało im się tego dokonać, co zresztą nie jest przypadkiem bez precedensu, gdyż to samo przytrafiło się Ines, siostrze od św. Klary, w czasach kiedy jeszcze św. Franciszek chodził po świecie, równo pięćset lat temu, w 1211 roku, ale wówczas nie była to zwykła kradzież, chociaż może i tak, gdyż chcieli ją samą ukraść Panu Bogu. Złodziej pozostał więc na miejscu, jakby ręka boska przygwoździła go do ziemi albo jakby diabelskie szpony przytrzymały go z piekielnych czeluści, i tak przeleżał aż do rana, kiedy to mieszkańcy go znaleźli i następnie przenieśli, już bez trudu, gdyż wróciła mu normalna waga, przed ołtarz tego świętego, aby go uzdrowił, który to cud dokonał się w sposób niecodzienny, gdyż obraz świętego Franciszka zaczął się obficie pocić i trwało to tak długo, że zjawili się sędziowie i protokolanci, aby prawnie stwierdzić cud, jakim było pocenie się drewna oraz uzdrowienie złodzieja poprzez przetarcie mu twarzy serwetą zwilżoną w błogosławionych potach, od czego natychmiast poczuł się nie tylko zdrowy i cały, ale też skruszony.

Jednak nie wszystkie przestępstwa bywają wykryte. Na przykład w Lizbonie, jakkolwiek cud był równie oczywisty, do dziś dnia pozostaje zagadką, kto był sprawcą włamania, choć można tu mieć pewne podejrzenia, zresztą całkowicie wybacalne, z powodu dobrych chęci, jakie przecież kierowały podejrzanym. A było to tak: do klasztoru Św. Franciszka w Xabregas dostali się rabusie, czy też jeden rabuś wszedł przez świetlik kaplicy

przylegającej do kaplicy Św. Antoniego, następnie przeszli, czy też przeszedł, do głównego ołtarza, skąd zostały zebrane i wyniesione tą samą drogą trzy lampy, a wszystko nie trwało i jednej zdrowaśki. Odczepić lampy z haków, unieść je po ciemku, czego wymagała ostrożność, narażać się na potknięcia, rzeczywiście się potknąć i narobić hałasu, który nie zwrócił niczyjej uwagi, wszystko to mogło zakrawać na cud lub współnictwo jakiegoś upadłego świętego, rzeczywiście mogło, gdyby nie fakt, że właśnie zbliżała się północ i jak zwykle o tej porze rozlegały się donośne uderzenia gongu, budzącego mnichów na jutrznię. Dlatego właśnie złodziej mógł ujść cało i choćby nawet narobił więcej hałasu, i tak nikt by go nie usłyszał, z czego widać, że dobrze znał klasztorne zwyczaje.

Zakonnicy zaczęli wchodzić do kościoła i zobaczyli, że jest tam całkiem ciemno. Odpowiedzialny za to braciszek już był gotów pogodzić się z karą, niechybnie czekającą go za niedopatrzenie, którego nie potrafił wytłumaczyć, gdy okazało się, co stwierdzono za pomocą węchu i dotyku, że nie chodzi tu o brak oliwy, rozlanej zresztą po posadzce, ale samych lamp, w dodatku ze szczerego srebra. Profanacja była jeszcze całkiem świeża, jeśli tak można powiedzieć, gdyż łańcuchy, na których wisiały skradzione lampy, jeszcze lekko się kołysały, jakby mówiąc swoim mosiężnym językiem, Stało się dopiero co, dopiero co.

Natychmiast kilkunastu zakonników podzielonych na patrole rozbiegło się po okolicznych drogach i gdyby złapali złodzieja, to nie wiadomo, co by z nim w swoim miłosierdziu zrobili, ale po nim, czy też po szajce, nie pozostało już ani śladu, czemu nie należy się dziwić, gdyż było dobrze po północy i księżyc wszedł w ostatnią kwadrę. Braciszki, zasapani od tego biegania truchtem po okolicy, wrócili w końcu do klasztoru z pustymi rękami. W tym samym czasie pozostali zakonnicy, podejrzewając, że sprytny złodziej mógł się ukryć w kościele, przeszukali go gruntownie od chóru po zakryścię i właśnie wtedy gdy cała kongregacja deptając sobie po sandałach i rąbkach habitów, podnosząc wieka skrzyń, odsuwając szafy i przetrząsając paramenta, oddawała się gorączkowym poszukiwaniom, właśnie wtedy pewien wiekowy mnich, znany z cnotliwego życia i żarliwej wiary, zauważył, że złodziejska ręka nie tknęła niczego na ołtarzu św. Antoniego, mimo że było tam mnóstwo srebra, solidnego i bogato zdobionego. Zdziwiło to świątobliwego człowieka, i my sami byśmy się zdziwili, gdybyśmy się tam znaleźli, było bowiem oczywiste, że jeśli rabuś dostał się przez ten właśnie świetlik, po czym udał się do głównego ołtarza, skąd ukradł lampy, musiał przejść obok kaplicy Św. Antoniego, którą miał po drodze. Nic więc dziwnego, że ogarnięty żarliwym zapałem mnich poczuł, iż ma dostateczne powody, aby zwrócić się do św. Antoniego łajając go niczym sługę, który zaniedbał swoich obowiązków. To tak, mój święty, pilnujesz tylko własnych sreber, a pozwalasz, żeby kradziono inne, za to

nie będziesz miał ich wcale. Wypowiedziawszy te porywcze słowa, skierował się do kaplicy i zaczął ogałacać ją ze wszystkiego, nie tylko ze sreber, ale również serwet oraz innych ozdób, i nie poprzestał na kaplicy, ale samemu świętemu zabrał aureolę tudzież krzyż, odebrałby mu także Dzieciątko, gdyby nie pospieszyli w sukurs inni zakonnicy, którzy uznali, że kara jest zbyt sroga i że ukaranemu nieszczęśnikowi należy zostawić przynajmniej tę pociechę. Mnich przez chwilę rozważał tę możliwość, po czym rzekł święty, Niech zostanie jako poręczyciel, dopóki nie zwróci lamp. Była już druga nad ranem, tyle czasu zajęły poszukiwania i karygodny wyczyn tu opisany, więc zakonnicy odeszli i udali się na spoczynek, a niektórych nękały obawy, że nawiedzi ich św. Antoni, aby wziąć odwet za doznaną zniewagę.

Następnego dnia, gdzieś koło jedenastej, zastukał do klasztornej furty pewien student, który — trzeba to od razu zaznaczyć — od dawna chciał przywdziać franciszkański habit i bywał nader częstym gościem u tamtejszych zakonników, informację tę zaś dajemy po pierwsze gwoli prawdy, a prawda zawsze może się na coś przydać, a po wtóre, aby pomóc tym, którzy zajmują się rozwiązywaniem łamigłówek życiowych czy też słownych, o ile takowe się nadarzą, tak więc student zastukał do furty i powiedział, że chce mówić z przeorem. Gdy stanął przed jego obliczem, ucałował mu dłoń czy też sznur habitu, a może skraj szaty, to nie zostało całkiem wyjaśnione, po czym oświadczył, że słyszał na mieście, jakoby lampy znajdowały się w klasztorze w Cotovia, u ojców jezuitów, po tamtej stronie Górnego Miasta, na wzgórzu Św. Rocha. Przeor miał pewne wątpliwości, wynikające z oczywistego braku kompetencji człowieka przynoszącego nowinę — jakiś student, który tylko dlatego nie był hultajem, że bardzo chciał zostać zakonnikiem, choć nie jest rzeczą tak znów rzadką, że jedno idzie w parze z drugim — a ponadto wydało mu się nieprawdopodobne, aby zwracano w Cotovia to, co skradziono w Xabregas, bo są to miejsca odległe, leżące na przeciwległych krańcach miasta, a i zakony mało pokrewne, oddalone od siebie prawie o milę w linii prostej, w dodatku jedni chodzą na czarno, drudzy na brązowo, choć to może najmniej ważne, gdyż owoc poznaje się przecież po smaku, a nie po skórcie. Jednakże przezorność wymagała, aby sprawdzić tę wiadomość, toteż z Xabregas wysłano pewnego czcigodnego zakonnika, który w towarzystwie rzeczzonego studenta udał się pieszo do Cotovia, do miasta wkroczyli przez Bramę Św. Krzyża i jeśli ktoś dla pełnego obrazu sprawy chciałby znać ich dalszą drogę, możemy powiedzieć, że przeszli tuż obok kościoła Św. Stefanii, potem minęli kościół Św. Michała i Św. Piotra oraz bramę jego imienia, schodząc następnie w stronę rzeki przez Furtę Hrabiego de Linhares, potem na prawo, przez Bramę Morską doszli do Starego Pręgierza, wszystko to są nazwy, po których zostało tylko wspomnienie, ominęli ulicę Nowokupiecką, jako że zakonnik był człowiekiem świątobliwym,

a w owych czasach, podobnie jak i dziś, kwitła tam lichwa, przeszli tyłami placu Rossio prosto do Furty Św. Rocha i wreszcie wyszli na Cotovia, gdzie zastukali i weszli, a gdy zaprowadzono ich do rektora, zakonnik powiedział, Ten oto student zjawił się w Xabregas, aby oznajmić, że tu znajdują się nasze lampy, skradzione wczorajszej nocy. Tak jest, z tego co mi wiadomo, około drugiej w nocy rozległo się donośne stukanie do furty i na zapytanie furtiana, czego chce, jakiś głos oznajmił, aby natychmiast otworzył, gdyż chodzi o zwrot pewnej rzeczy, wtedy furtian powiadomił mnie o tym niezwykłym wydarzeniu i gdy poleciłem otworzyć, znaleźliśmy te właśnie lampy, które tu leżą, co nieco pogięte i z pooblamywanymi ozdobami, ale jeżeli im czegoś brak, to w takim stanie je oddano. Czy widzieliście tego, który stukał, Nie, nie widzieliśmy, nawet kilku zakonników wyszło na drogę, ale nikogo tam nie było.

Lampy powróciły do Xabregas i teraz każdy niech sobie myśli, co chce. Czy to student, koniec końców szalbierz i hultaj, obmyślił cały ten podstęp, aby dostać się do zakonu i przywdziać habit franciszkanina, co też nastąpiło, czy to on sam ukradł i zwrócił lampy, licząc na to, że paskudny grzech zostanie mu wybaczony w dniu Sądu Ostatecznego z uwagi na dobre intencje. Czy to może św. Antoni, sprawca tylu i tak różnorodnych cudów, dokonał także i tego, widząc, jak ogarnięty świętym oburzeniem mnich zabiera mu wszystkie srebra, a mnich ten dobrze wiedział, komu wymyśla, tak samo jak to wiedzą przewoźnicy i marynarze żeglujący po Tagu, którzy — gdy święty nie spełnia ich życzeń i nie nagradza poczynionych ślubów — wymierzają mu karę zanurzając głowę w rzece. I może nie tyle sama opresja, bo przecież każdy święty godny tego miana równie dobrze potrafi oddychać płucami w naszej atmosferze, jak skrzelami w wodzie, która jest rybim niebem — ale wstyd z powodu wystawionych na widok publiczny mizernych stóp lub też przygnębienie, gdy pozbawia się go sreber i o mały włos również Dzieciątka, sprawiają, że święty Antoni jest największym cudotwórcą ze wszystkich świętych, szczególnie gdy idzie o znalezienie rzeczy zagubionych. Jeśli więc nie padną na studenta inne, równie mgliste podejrzania, niechże zostanie rozgrzeszony i z tego.

Wobec takich precedensów i takiego bogactwa środków, jakimi dysponują franciszkanie, aby zmieniać, odwracać lub przyspieszać naturalny bieg rzeczy, nawet oporna macica królowej ulegnie błyskawicznie nakazowi cudu. Tym bardziej że franciszkanie starają się o klasztor w Mafrze od roku 1624, kiedy to królem Portugalii był jeszcze Filip hiszpański, którego przecież mało powinna obchodzić tutejsza brać zakonna, a jednak przez szesnaście lat, w ciągu których piastował koronę, nie wyraził na to zgody. Mimo to franciszkanie nie ustawiali w staraniach, zyskali nawet poparcie kilku szlacheckich miejscowych donatorów,

jednak wyglądało na to, że skończyła się potęga i wyczerpał upór prowincjałów Arrabidy, którzy zabiegali o klasztor, gdyż jeszcze onegdaj, bo tak przecież można powiedzieć o tym, co wydarzyło się zaledwie przed sześciu laty, w 1705 roku, Królewski Trybunał Apelacyjny odrzucił nową petycję, i to w sposób dość zuchwały, a nawet lekceważący wobec spraw materialnych i duchowych Kościoła, ośmielając się uznać rzeczoną fundację za niewskazaną z uwagi na to, że kraj już ponosi wielkie ciężary na rzecz zakonów żebraczych, a także z powodu różnych innych zastrzeżeń, podyktowanych zwykłą ludzką przecznością. Już tam sędziowie musieli wiedzieć, jakie to zastrzeżenia dyktuje zwykła ludzka przeczność, ale teraz będą musieli przełknąć gorzką pigułkę i porzucić złe myśli, gdyż brat Antoni od św. Józefa zapowiedział, że jak będzie klasztor, będzie i potomstwo. Śluby zostały poczynione, królowa urodzi, a zakonowi Franciszkanów, któremu przypadło tyle palm męczeństwa, przypadnie teraz palma zwycięstwa. Sto lat oczekiwania nie jest przecież nadmierną męką dla kogoś, kogo czeka życie wieczne.

Wyjaśniliśmy już, jak w ostatecznym rozrachunku student został oczyszczony z podejrzeń o kradzież lamp. Niech więc teraz nikt nie mówi, że to z powodu wyjawionej tajemnicy spowiedzi franciszkanie dowiedzieli się o błogosławionym stanie królowej, nim ona sama powiadomiła o tym króla. Niech nikt teraz nie mówi, że JKMość Maria Anna przez wielką pobożność zgodziła się milczeć do chwili, aż cnotliwy wybraniec, brat Antoni, zjawi się z przynętą ślubowania. Niech nikt teraz nie mówi, że król zacznie liczyć księżyce od nocy ślubowania do dnia narodzin infanta i naliczy ich dokładnie tyle, ile trzeba. Nie należy mówić więcej, niż zostało powiedziane.

Jeśli więc na franciszkanów nie padną inne, równie mgliste podejrzania, niechże zostaną rozgrzeszeni i z tego.

Zwykle co roku trochę ludzi umiera z tej przyczyny, że przez całe życie za dużo jedli, co jest powodem powtarzających się ataków apopleksji, jeden, drugi, trzeci, a czasem i pierwszy potrafi wpędzić do grobu, a jeśli nawet człowiek rażony apopleksją tymczasowo uchodzi z życiem, zostaje mu jednostronny paraliż, wykrzywione usta, albo traci głos, to zależy od porażonej strony, w dodatku nie ma na to żadnego lekarstwa, wyjąwszy puszczenie krwi, co też stosuje się nagminnie. Ale nie brak i takich, którzy umierają z większą łatwością, a to dlatego że zawsze nie dojadali lub też utrzymywali się przy życiu mając za codzienne pożywienie sardynki z ryżem i sałata, od której mieszkańców Lizbony zwą sałaciarzami, mięso zaś jadali tylko w dzień urodzin monarchy. Dzięki Bogu, rzeka jest zasobna w ryby, za co niech będzie chwała całej Trójcy Przenajświętszej. Jako i za to, że całe kosze sałaty oraz innych warzyw wędrują z podmiejskich okolic na grzbietach osłów, przy dźwiękach przyśpiewek podlizbońskich wieśniaczek i wieśniaków, którzy jednak nie są w tym najlepsi. Również za to, że braki ryżu nie przekraczają dopuszczalnych granic. Jednakże to miasto, bardziej niż którekolwiek inne, zbyt wiele zjada jednym kącikiem ust, a zbyt mało drugim, toteż nie istnieje tu nic pośredniego między krwistym podgardlem i pomarszczoną szyją, między nosem purpurowym i suchotniczym, między pośladkiem posągowym i całkiem płaskim, między wypchanym kałdunem i brzuchem przyrośniętym do krzyża. Za to Wielki Post, podobnie jak wschodzące słońce, jest dla wszystkich. Karnawał przewalił się ulicami miasta, kto mógł, objadł się do syta kurczaków i baraniny, ptysiów i faworków, na rogach ulic popląsali ci, co nie zwykli tracić nadarzającej się okazji, niejeden musiał umykać przed batem garbującym mu grzbiet, niejednego oblano wodą z gruszki do lewatywy lub obrzucono cebulowymi odpadkami, ludzie pili wino aż do czkawki i wymiotów, tłukli garnki, grali na organkach i jeśli nie tak znów wiele leżało pokotem na bocznych uliczkach, placach i w zaułkach, to tylko dlatego że miasto tonie w brudzie, jest zasłane odchodami i śmieciami, pełne parszywych psów i dzikich kotów, a także błota, nawet gdy nie pada. Teraz zaś nadszedł czas zapłaty za wszelkie wybryki, należy umartwiać duszę, aby ciało mogło udawać, że żałuje, niespokojne i niesforne, nędzne i plugawe ciało tego chlewu, jakim jest Lizbona.

Niebawem ruszy pokutna procesja. Wymierzylismy już swojej cielesnej powłoce karę postu, więc teraz podręczmy ją biczowaniem. Trochę postu oczyszcza humory, a trochę cierpienia szlifuje spoiny duszy. Wśród pokutników są sami mężczyźni, kroczą na czele procesji zaraz po mnichach niosących chorągwie z wizerunkami Najświętszej Panny i Ukrzyżowanego. Za nimi idzie biskup pod przebogatym baldachimem, dalej feretrony z wizerunkami świętych i nie kończące się zastępy kongregacji i bractw, wszyscy zaś myślą o

zbawieniu duszy, zarówno ci, którzy są przekonani, że jeszcze jej nie zatracili, jak i ci, mający co do tego wątpliwości, które zostaną rozwiane dopiero w dniu Sądu, a dziwnym trafem jeden z nich myśli w skrytości ducha, że świat jest zvariowany od chwili stworzenia. Procesja sunie między zgromadzonym ludem, w miarę jej zbliżania się kobiety i mężczyźni rzucają się na ziemię, jedni rozdrapują sobie twarze, inni rwą włosy z głowy lub biją się po twarzach, biskup zaś lekkimi ruchami dłoni kreśli znaki krzyża, to z jednej strony, to z drugiej, podczas gdy ministrant macha kadzielnicą. Lizbona cuchnie, cuchnie zgnilizną, kadzidło nadaje jakiś sens temu smrodowi, zło tkwi w ciałach, nie w duszach, które są wonne.

Zgodnie ze zwyczajem w oknach siedzą same kobiety. Pokutnicy idą z nogami w kajdanach lub też na ramionach dźwigają ciężkie żelazne sztaby, na których opierają rozłożone jak na krzyżu ręce, niektórzy znów chłoszczą sobie plecy dyscyplinami ze sznurów zakończonych kulkami z twardego wosku, najeżonego odłamkami szkła, i właśnie ci, którzy w ten sposób się biczują, są głównym punktem programu, gdyż pokazują prawdziwą krew spływającą po grzbiecie, a do tego przeraźliwie krzyczą, tak z bólu, jak i z wyraźnej przyjemności, której nie zdołalibyśmy pojąć, gdybyśmy nie wiedzieli, że z okien patrzą na nich wybranki serca, a zatem udział w procesji wiąże się nie tyle z myślą o zbawieniu duszy, co z przyobiecanyimi lub już zasmakowanymi uciechami ciała.

Do czapek albo nawet do samej dyscypliny mają przywiązane kolorowe wstążeczki, każdy inną, i jeśli wybranka serca, która w oknie drży z przejęcia i litości dla zakochanego cierpiętka, o ile również nie z rozkoszy, którą znacznie później zaczęto określać jako sadystyczną, a więc jeśli ta wybranka nie zdoła z twarzy czy postaci rozpoznać kochanka w całym tym zamieszaniu pokutników, feretronów, skruszonej i rozmodlonej gawiedzi, w zgiełku litanii, wśród falujących, niesionych nie w nogę baldachimów i gwałtownie chwiejących się obrazów, przynajmniej po różowej, zielonej, żółtej, liliowej, albo czerwonej lub błękitnej wstążeczce będzie mogła się domyślić, że to właśnie ten, a nie inny jest jej ukochanym i sługą, który na jej cześć wymierza sobie tęgie smagnięcia i z niemożności mówienia ryczy niby gzący się byk, ale jeśli kobietom z ulicy, bądź jej samej, wyda się, że męskiemu ramieniu zabrakło wigoru albo że smagnięcie było z tych, co nie tną skóry i nie zostawiają krwawych pręg widocznych z okna, wówczas podnoszą chóralną wrzawę i krzycząc gorączkowo jak opętane, domagają się silniejszych chłaśnień, chcą słyszeć trzask biczów i żeby popłynęła krew, tak jak płynęła z ran Zbawiciela, a jednocześnie całe pulsują pod szerokimi spódnicami, rozchylając i zaciskając uda w rytm rosnącego podniecenia. Pokutnik zatrzymał się pod oknem ukochanej, a ona patrzy nań władczo, być może towarzyszy jej matka lub kuzynka, niańka lub wyrozumiała babka albo też zgryźliwa ciotka,

ale to nie ma znaczenia, bo każda z nich wie z własnego, mniej lub bardziej odległego doświadczenia, co się właściwie dzieje w tym momencie, i że Bóg nie ma z tym nic wspólnego, bo chodzi tu wyłącznie o akt płciowy, i najprawdopodobniej obydwu spazmy rozkoszy — w oknie i na dole — następują w tym samym czasie i podczas gdy zwałony na kolana samiec jęcząc z bólu smaga się z coraz bardziej frenetycznym zapamiętaniem, ona wpatruje się weń szeroko rozwartymi oczyma, a rozchylone wargi gotowe są spijać jego krew i całą resztę. Procesja zatrzymała się, aby akt mógł się spełnić do końca, biskup pobłogosławił i poświęcił wszystko, ciało kobiety ogarnia rozkoszna ociążałość, mężczyzna zaś idzie dalej myśląc z ulgą, że od tej chwili nie będzie musiał smagać się z taką siłą, będą to czynić inni gwoli uciechy innych kobiet.

Wydawać by się mogło, że w umartwionym i wyposzczonym ciele wszelkie nie zaspokojone pragnienia powinny przycichnąć aż do wielkanocnego rozbudzenia i że natura powinna poczekać, aż zniknie cień z oblicza naszej wspólnej Matki, Świętego Kościoła, w dodatku teraz, gdy zbliża się Męka i Śmierć. Ale może to bogactwo fosforu w rybach rozpala krew, a może wielkopostny zwyczaj zezwalający kobietom biegać samopas po kościołach, wbrew zasadom obowiązującym przez resztę roku, kiedy więzi się je w domach, co zresztą nie dotyczy kobiet z ludu, których drzwi wychodzą wprost na ulicę albo które po prostu żyją na ulicy, i to więzi się do tego stopnia, iż o kobietach dobrze urodzonych mówi się, że mogą wyjść tylko do kościoła, i to zaledwie trzy razy w życiu: z okazji chrztu, ślubu i śmierci, gdyż do innych rzeczy służy im domowa kaplica, a więc może właśnie ten zwyczaj sprawia, że Wielki Post jest tak nieznośny, nie mówiąc o tym, że jest to czas przedwczesnych zgonów, o czym każdy powinien pamiętać. W Wielki Post mężczyźni naprawdę wierzą, czy też tylko udają, iż kobiety nie oddają się niczemu innemu, jak tylko praktykom religijnym, którymi motywują wyjście z domu, a tymczasem wtedy właśnie, jeden jedyny raz w roku, kobieta jest wolna i jeśli nie wychodzi sama, bo na to nie zezwala przyzwoitość, to ta, która jej towarzyszy, żywi te same pragnienia i tę samą potrzebę zaspokojenia ich, dlatego też między jednym kościołem a drugim kobieta spotyka się z takim czy innym mężczyzną, a służąca, co ma jej pilnować, też nie jest lepsza, toteż gdy obydwie spotkają się przy kolejnym ołtarzu, są przekonane, że Wielki Post wcale nie istnieje i że na szczęście świat jest całkiem zwariowany od chwili stworzenia. Ulicami Lizbony, pełnej identycznie ubranych kobiet, z głowami tak otulonymi w mantylki i zapaski, że zostaje tylko szparka, przez którą można dawać znaki wzrokiem lub ustami, zgodnie z kodem powszechnie stosowanym przez tych, co skrywają uczucia i kosztują zakazanych rozkoszy, tymi ulicami, gdzie na każdym rogu jest kościół, a w każdym kwartale klasztor, powiało wiosną, która przyprawia o zawrót głowy, a jeśli nawet to

nie powiew wiosny, tenże skutek mają westchnienia płynące zarówno z konfesjonałów, jak i różnych zacisznych miejsc sprzyjających innym spowiedziom, spowiedziom cudzołożnego ciała oscylującego na granicy rozkoszy i piekła, a jedno i drugie jest równie słodkie w te dni umartwienia, nagich ołtarzy, rytualnej żałoby i wszechobecnego grzechu.

Jeśli kobiety wychodzą za dnia, łatwowierni czy też takowych udający mężowie ucinają sobie poobiednią drzemkę, jeśli zaś nocą, gdy ulice i place wypełniają się tłumem, od którego zalatuje cebulą i lawendą, a szmer modlitw wydobywa się przez otwarte na oścież bramy kościołów, wówczas czują się nieco spokojniejsi, gdyż nie będzie to trwało tak długo, o, właśnie już słycać stukanie do drzwi i kroki na schodach, wchodzi pani poufale gawędząc ze służącą, no pewnie, nic dziwnego, lub też z czarną niewolnicą, o ile ta z nią poszła, przez szpary przedzierają się tańczące smugi światła od kaganka lub oliwnej lampy, mąż udaje, że właśnie się obudził, żona udaje, że go obudziła, i jeżeli on spyta: No i jak tam, wiemy już, co mu odpowie, że wprost umiera ze zmęczenia, że prawie nie czuje stóp i kolan, wymienia też tajemniczą cyfrę, w siedmiu kościołach byłam, co brzmi tak namiętnie, że albo jest w tym wielka nabożność, albo też jej całkowity brak. Podobnych rozrywek pozbawione są królowe, szczególnie jeśli są już w ciąży, i to ze swoim prawowitym panem, który przez dziewięć miesięcy więcej się do nich nie zbliży, co jest zresztą powszechnym zwyczajem wśród ludu, choć ostatnio coraz mniej przestrzegany. Królowa Maria Anna ma jeszcze dodatkowe powody do powściągliwości, płynące z maniackalnej nabożności, jaką wpoilo jej wychowanie w Austrii, oraz ze współnictwa w fortelu franciszkanów, jakby chciała pokazać czy też zasugerować, że rozwijające się w jej łonie dziecko pochodzi tyleż od króla Portugalii, co od samego Boga, w zamian za klasztor.

Królowa Maria Anna wcześniej udała się na spoczynek i mimo że przedtem odmówiła pacierze przy wtórce usługujących dam, to jeszcze pod pierzyną modli się w nieskończoność, damy już zaczynają drzemać, choć dzielnie się bronią, wreszcie wychodzą i zostaje tylko jedna, która niebawem zaśnie na swoim niskim posłaniu i może nawet coś jej się przyśni, ale cóż nas obchodzą obrazy przesuwające się pod jej powiekami, nas interesuje jedynie niejasna myśl, która jeszcze kołacze się w głowie królowej Marii Anny, już na w pół śpiącej, że w Wielki Czwartek musi iść do kościoła Matki Boskiej, gdzie znajduje się Święty Całun, który zakonnice rozłożą dla niej, zanim go wystawią na widok wiernych, wyraźnie widać na nim zarysy ciała Chrystusa, a jest to, proszę państwa, jedyny prawdziwy Święty Całun, jaki istnieje w chrześcijańskim świecie, podobnie jak wszystkie inne są jedyne i prawdziwe, inaczej przecież nie wystawiano by ich o tej samej godzinie w tak różnych zakątkach ziemi, ale ponieważ jesteśmy w Portugalii, ten jest najprawdziwszy ze wszystkich i naprawdę

jedyny. Jeszcze na jawie wyobraża sobie, że się pochyla nad przenajświętszą tkaniną, ale nie wiemy już, czy ucałuje ją nabożnie, bo właśnie w tej chwili nagle zasypia i znajduje się wewnątrz powozu, którym wraca do pałacu ciemną nocą, pod strażą przybocznego oddziału łuczników, nagle pojawia się jakiś jeździec wracający z polowania w towarzystwie czterech służących na mułach, przy łąkach i w siatkach mają pełno ptactwa i zwierzyny, jeździec ze strzelbą w rękę zawraca nagle w kierunku powozu, koń kopytami krzesa skry, z nozdrzy bucha mu para, a gdy niczym błyskawica przedziera się przez straż królowej z trudem osadzając konia tuż przy stopniach powozu, światło pochodni pada mu na twarz i okazuje się, że to infant, księżę Franciszek, który przybywa nie wiedzieć dlaczego tak często z jakichś wyśnionych krain. Spłoszył mu się koń, co jest całkiem naturalne, zważywszy na turkot powozu i tętent konnej straży, ale porównując kolejne sny królowa zauważa, że infant za każdym razem podjeżdża coraz bliżej, czego on właściwie chce, czego oczekuje ona sama...

Tak oto Wielki Post jednym przynosi sny, a innym bezsenność. Minęła Wielkanoc, która wszystkich rozbudziła, ale kobiety wtrąciła na powrót w mroki sypialń i okowy ciężkich spódnic. Tu i ówdzie przybyło mężów wystrychniętych na dudka, zazwyczaj dosyć srogich w przypadkach zdrad w innym okresie. A skoro już tak od słowa do słowa zaczęliśmy mówić o ptakach, właśnie teraz jest odpowiedni moment, aby posłuchać kanarków, które w przystrojonych wstążkami klatkach zawieszonych w kościołach wyśpiewują miłosne trele, podczas gdy z ambony zakonnik wygłasza kazanie, mówiąc o sprawach, które wydają mu się niesłychanie święte. Jest czwartek, Święto Wniebowstąpienia, śpiew ptaków wzbija się pod sklepienia, ale czy modły również wzbijają się do nieba, słaba nadzieja, chyba że na skrzydłach ptaków albo może gdy wszyscy zamilkniemy.

Mężczyzna, który, sądząc po zadziornej minie, potrząsaniu szablą i nie dopasowanym do wzrostu ubraniu, mimo iż bosy, wygląda na żołnierza, to Baltazar Mateusz, zwany Siedem Słońc. Został zwolniony z wojska, gdyż na nic się tam już nie mógł przydać po odjęciu lewej ręki, w samym przegubie, została ona bowiem strzaskana przez kulę pod Jerez de los Caballeros podczas wielkiego natarcia naszej jedenastotysięcznej armii, zakończonego śmiercią dwustu żołnierzy i rejteradą ocalałych, ściganych przez hiszpańską kawalerię wysłaną z Badajoz. Schronili się w Olivenca z jakim takim łupem zdobytym w Barcarrota, ale nikogo on nie cieszył, gdyż nie był wart dziesięciu przemaszerowanych mil, które później trzeba było przebiec z powrotem zostawiając na placu boju tylu zabitych i połowę dłoni Baltazara Siedem Słońc. Szczęśliwy los czy też szczególna łaska szkaplerza, który żołnierz nosi na piersi, sprawiły, że w ranę nie wdała się gangrena ani że nie popękały mu żyły od silnie zaciśniętej opaski hamującej krwawienie, a w dodatku chirurg bardzo umiejętnie rozdzielił ścięgna i nawet nie trzeba było piłować kości. Obłożono mu kikut gojącymi ziołami, a że Siedem Słońc miał silny organizm, po dwóch miesiącach był zdrow.

Z żołdu nie mógł wiele zaoszczędzić, musiał więc zebrać w Evorze, by uciąć grosiwo potrzebne na zapłatę kowalowi i rymarzowi, chciał bowiem mieć hak, który by mu zastąpił dłoń. W ten sposób przeżył zimę, odkładając połowę tego, co zebrał, zostawiając na drogę połowę drugiej połowy, a resztę wydając na wino i strawę. Dopiero na wiosnę spłacił ostatnią ratę rymarzowi i otrzymał hak oraz szpikulec, który też sobie zamówił, przyszedł mu bowiem taki kaprys, żeby mieć dwie różne lewe ręce. Części skórzane były starannie wykonane, doskonale połączone z metalowymi, te zaś solidnie wykute i zahartowane, obstalował też podwójne rzemienie do przywiązania nad łokciem i na ramieniu, gwoli wzmocnienia. Siedem Słońc ruszył w drogę w czasie, kiedy już było wiadomo, że armia z Beiry pozostanie w koszarach i nie wspomże oddziałów w Alentejo, wielki bowiem głód panował w tym regionie, tak samo zresztą jak i we wszystkich innych. Żołnierze byli obdarci i bosy, rabowali wieśniaków, odmawiali udziału w bitwach, dezterowali tak do nieprzyjaciela, jak i w rodzinne strony, wędrując bezdrożami, siłą zdobywając pożywienie, gwałcąc zabląkane kobiety, jednym słowem ściągając swój dług z tych, którzy nic im nie byli winni i cierpieli taką samą nędzę. Kaleki Siedem Słońc maszerował do Lizbony królewskim traktem, będąc również królewskim wierzycielem z racji lewej dłoni, której kawałek został w Hiszpanii, kawałek zaś w Portugalii, takich bowiem sztuczek dokonywano na tej wojnie, która miała rozstrzygnąć, kto zasiądzie na hiszpańskim tronie, jakiś Karol austriacki czy jakiś Ludwik francuski, w każdym razie żaden Portugalczyk, ciekawe, czy oni sami wyjdą z wojny

cało, czy może któryś z nich straci rękę lub nogę, o ile w ogóle jest to możliwe, bo ginąć na polu walki lub zostawiać tam jakąś część ciała to bodaj wyłącznie los prostego żołnierza, co może sobie zasiąść najwyżej na ziemi.

Siedem Słońc opuścił Evorę, minął Mentemor, nie ma do towarzystwa czy pomocy ani mnicha, ani diabluka, a jeśli idzie o dziurawą rękę, to wystarcza mu własna.

Idzie wolnym krokiem. Nikt go nie oczekuje ani w Lizbonie, ani w Mafrze, którą opuścił przed laty jako szeregowiec królewskiej piechoty, o ile matka i ojciec jeszcze go pamiętają, pewnie myślą, że żyje, bo nie doszły ich wieści o jego śmierci, albo może myślą, że umarł, bo nie daje znaku życia. Ale wszystko się wyjaśni we właściwym czasie. Teraz świeci słońce, w nocy nie padało, pola są pełne kwiatów, ptaki śpiewają, Baltazar Siedem Słońc schował do sakwy swoje żelastwa, gdyż są takie chwile, a nawet całe godziny, kiedy czuje lewą dłoń, jakby ciągle ją miał, nie chce więc pozbawiać się szczęśliwego złudzenia, że jest zdrow i cały, tak jak zdrowi i cali zasiądą na swoich tronach Karol i Filip, bo w końcu dla obydwu coś się znajdzie, gdy skończy się wojna. Jeśli idzie zaś o Baltazara, to wystarcza mu do szczęścia, pod warunkiem, że nie patrzy na nieszczęsną rękę, swędzenie, które czuje na czubku wskazującego palca, i złudne uczucie, że pociera kciukiem świerzbiące miejsce. A gdy tej nocy ujrzy się we śnie, stwierdzi, że niczego mu nie brak i że może oprzeć zmęczoną głowę na obydwu dłoniach.

Ale Baltazar ma jeszcze inne wyrachowanie w tym, żeby chować żelastwa. Szybko zorientował się, że gdy je zakłada, szczególnie zaś szpikulec, odmawiają mu jałmużny albo dają bardzo skąpo, choć zawsze coś kapnie na widok szpady przypasanej u boku, bo niby wszyscy, nawet czarni, noszą szpady, ale rzadko w ten szczególny sposób, świadczący o umiejętności doskonałego władania nią w razie potrzeby. Jeśli więc grupa podróżnych nie jest dość liczna, by mogli nie obawiać się żebraka, który na środku traktu zastępuje im drogę prosząc o wsparcie dla żołnierza pozbawionego ręki i o mały włos życia, jeśli podejrzewają, że prośba może przerodzić się w rozbój, jałmużna zawsze spada do całej dłoni, to naprawdę szczęście, że ma jeszcze prawą rękę.

Za Pegões, tam gdzie zaczynają się wielkie sosnowe lasy porastające piaszczyste gleby, Baltazar pomagając sobie zębami przywiązuje do kikuta szpikulec, który w nagłej potrzebie może zastąpić sztylet, podówczas zakazany jako broń łatwo powodująca śmierć. Ale Siedem Słońc dysponuje w tym przypadku czymś, co można by nazwać specjalnymi uprawnieniami, a więc podwójnie uzbrojony, w szpikulec i szpadę, rusza w dalszą drogę pośród gęstych drzew. Niebawem zabije jednego z dwu ludzi, którzy na niego napadną, mimo iż będzie krzyczał, że nie ma żadnych pieniędzy, ale nie jest to przecież przypadek godny

szczególnej uwagi, tym bardziej że wracamy z wojny, gdzie widzieliśmy tylu zabitych, może tylko warto dodać, że potem Siedem Słońc zastąpił szpikulec hakiem, żeby ułatwić sobie ściągnięcie trupa z drogi, i w ten sposób wypróbował przydatność obydwu narzędzi. Napastnik, który uszedł z życiem, jeszcze przez jakąś milę szedł za nim wśród sosen, lecz wreszcie zrezygnował i tylko z oddali obrzucił go obelgami i przekleństwami, ale jakoś bez przekonania, jakby nie wierzył w ich skuteczność.

Gdy Siedem Słońc dotarł do Aldegelega, zapadł już zmierzch. Zjadł parę pieczonych sardynek, popił czarką wina, a że miał już zbyt mało pieniędzy, by opłacić nocleg, mogło ich starczyć w najlepszym przypadku na skromne jedzenie następnego dnia, wśliznął się więc pod wiatę, gdzie stały wozy, owinał się opończą i zasnął z lewą ręką uzbrojoną w szpikulec i wystawioną spod wozu. Noc przeszła spokojnie. Śniła mu się potyczka pod Jerez de los Caballeros, którą Portugalczycy mieli tym razem wygrać, gdyż na czele oddziałów szedł Baltazar Siedem Słońc, trzymając w prawej ręce uciętą lewą dłoń, a przed takim cudem Hiszpanów nie mogła osłonić żadna tarcza ani żadne zakłęcie. Gdy się obudził, niebo na wschodzie jeszcze nie pojaśniało, czuł silny ból w lewej ręce, czemu trudno się dziwić, skoro żelazny szpikulec wbijał mu się w ciało. Rozwiązał rzemienie i dzięki sile wyobraźni oraz nieprzeniknionym ciemnościom, wśród których nie mógł dojrzeć własnych rąk, doznał wrażenia, że ma obydwie dłonie. Obydwie. Objął lewym ramieniem sakwę, otulił się opończą i powtórnie zasnął. Przynajmniej uwolnił się od wojny. Stracił kawałek ciała, ale zachował życie.

Wstał o pierwszym brzasku. Niebo było tak czyste, że można było jeszcze dostrzec ostatnie blade gwiazdy. Doskonały dzień na wejście do Lizbony, gdzie albo się zatrzyma, albo ruszy w dalszą drogę, to się okaże na miejscu. Wsunął rękę do sakwy, wyciągnął rozlatujące się trzewiki, których nie włożył ani razu podczas drogi przez Alentejo, bo gdyby to zrobił, już byłoby po nich, i przyuczając prawą rękę do nowych umiejętności oraz pomagając sobie niezdatnym jeszcze kikutem, zdołał jakoś owinać nogi w onuce, w przeciwnym bowiem razie narażał się na pęcherze i otarcia stóp nawykłych do chodzenia boso zarówno w życiu cywilnym, jak i w wojsku, gdyż w taborach nie było kawałka podeszwy nawet na kolację. Trudno zaiste o gorszą dolę niż żołnierska.

Gdy dotarł nad rzekę, słońce już wzeszło. Zaczął się odpływ, szyper pokrzykiwał, że niebawem odbija. Do Lizbony barkas płynie, dobry prąd nas nie ominie, Baltazar pobiegł więc po kładce, żelazo zabręczało mu w sakwie, na co jakiś dowcipniś powiedział, że bezręki ma chyba w worku podkowy, które oszczędza na później, wówczas Siedem Słońc prawą ręką wyciągnął szpikulec, na którym widać było wyraźnie coś, co jeśli nie było zaschłą

krwią, to sam diabeł musiał sprawić, że tak wyglądało. Dowcipniś odwrócił wzrok i polecił się św. Krzysztofowi, opiekunowi podróżnych chroniącemu od niepożądanych spotkań oraz od nieszczęśliwych wypadków, i do samej Lizbony nie otworzył więcej gęby. Jakaś kobieta z mężem, której wypadło usiąść obok Baltazara, wyciągnęła zawiniątko z prowiantem i o ile sąsiadów poczęstowała przez grzeczność, ale bez najmniejszej ochoty dzielenia się z nimi, to na żołnierza tak długo nalegała, że wreszcie przyjął poczęstunek. Baltazar nie lubił jeść przy obcych, gdyż jego samotna prawa ręka robiła wrażenie lewej, chleb wysuwał się z palców, zakąska spadała, ale kobieta położyła mu jedzenie na dużej pajdzie i w ten sposób posługując się na przemian palcami i wyjętym z kieszeni kozikiem mógł jeść bez trudu i w miarę schludnie. Kobieta była w takim wieku, że mogła być jego matką, mąż zaś jego ojcem, nie chodziło tu więc o jakiś flirt na falach Tagu, pod nosem naiwnego lub pobłażliwego rogowca. Ot, zwykłe ludzkie braterstwo, współczucie dla drugiego człowieka, który wraca z wojny na zawsze okaleczony.

Szyper postawił mały trójkątny żagiel, wiatr wspomagał odpływ, a jedno i drugie żeglugę. Rześcy po przespanej nocy i od wypitej gorzałki, wioślarze wiosłowali równo i bez pośpiechu. Gdy minęli cypel, barkas pomknął niesiony odpływem i silnym prądem, jakby płynęli wprost do raju, w słońcu połyskującym na powierzchni wód i w towarzystwie dwu foczych rodzin, które na zmianę wynurzały się przed dziobem wyginając ciemne, lśniące grzbiety, jakby chciały nimi dotknąć nieba, być może w ich wyobraźni znajdującego się całkiem blisko. W oddali, na przeciwległym brzegu, rysowała się już Lizbona, wyrastająca wprost z wody, wylewająca się poza miejskie mury. Ukazał się zamek na wzgórzu, kościelne wieże górujące nad niskimi stłoczonymi domami i niewyraźna masa szczytowych ścian. Szyper zaczął opowiadać. Wczoraj mieliśmy tu niezłą hecę, chcecie posłuchać, wszyscy chcieli, choćby dla zabicia czasu, ta podróż trochę jednak trwała. A więc było tak, zaczął szyper, przyszła flota angielska, która stoi trochę dalej, naprzeciwko plaży w Santos, i przewozi wojsko, które ma walczyć wspomagając oddziały w Katalonii, ale wśród statków był również jeden, na którym znajdowało się parę rodzin zbrodniarzy skazanych na wygnanie na wyspę Barbados oraz jakieś pięćdziesiąt kobiet lekkich obyczajów, zesłanych tamże, aby poprawić rasę, bo w tamtych stronach nawet taka jest dobra, ale ta szelma kapitan statku doszedł do wniosku, że w Lizbonie mogą to robić znacznie lepiej, uwolnił się więc od ładunku wysadzając kobiety na ląd, a zgrabniutki były, parę sam widziałem, naprawdę niczego sobie te Angieleczki. Szyper zaśmiał się, jakby już smakując przyjemności planowanej żeglugi łózkowej oraz zyski z takiego abordażu, rozległ się też głośny rechot algarwijskich wioślarzy. Siedem Słońc przeciągnął się niczym kot w słońcu, kobieta z

zawiniątkiem udała, że nie słyszy, jej mąż natomiast nie mógł się zdecydować, czy potraktować całą historię żartem, czy serio, tym bardziej, że nie mógł już takich historii traktować serio, o ile w ogóle kiedykolwiek mógł mieszkając w zapadłym kącie w okolicy Pancas, gdzie przez całe życie człowiek musi orać tę samą bruzdę, w sensie dosłownym i przenośnym. Myślał więc to o jednej sprawie, to o drugiej i kojarząc je wreszcie w jakiś niewytłumaczalny sposób zapytał żołnierza, A waszmość ile sobie liczy lat, na co Baltazar odrzekł, Dwadzieścia sześć.

Lizbonę było już widać jak na dłoni, domy i mury rosły w oczach. Barkas stanął dziobem do lądu, szyper spuścił żagiel i wykonał manewr podchodzenia do nabrzeża, na jednej burcie wioślarze zgodnym ruchem unieśli wiosła, podczas gdy ci z drugiej burty krótkimi pociągnięciami wspomagali manewr, jeszcze tylko jeden ruch steru i cuma rzucona nad głowami jakby połączyła przeciwległe brzegi rzeki. Nabrzeże było wysokie z powodu odpływu, Baltazar pomógł więc kobiecie z zawiniątkiem i jej mężowi, natomiast dowcipniś, który przez całą drogę nawet nie puścił pary z gęby, wyskoczył na ląd jednym susem, z ulgą w sercu.

W porcie panowało duże zamieszanie, ze stłoczonych kutrów i lugrów wyładowywano ryby, nadzorcy besztali i poszturchiwali czarnoskórych tragarzy ociekających wodą, uginających się pod brzemieniem wielkich koszy, z rękami i twarzami oblepionymi rybią łuską. Wyglądało to tak, jakby wszyscy mieszkańcy Lizbony zebrali się na targu. Baltazarowi ślina napływała do ust, jakby głód nagromadzony podczas czteroletniej służby wojskowej przerwał nagle tamę rezygnacji i dyscypliny. Poczuł, że wprost skręca go z głodu, i zaczął się rozglądać za kobietą z zawiniątkiem, gdzie też ona poszła razem z tym swoim dobrodusznym mężem, który teraz zapewne przygląda się wszystkim napotkanym kobietom próbując odgadnąć, czy są Angielkami i czy lekkich obyczajów, bo każdy mężczyzna czuje potrzebę krzepiących marzeń.

Znalazłszy się w mieście, które słabo znał, i mając w kieszeni zaledwie parę miedziaków pobrzękujących znacznie słabiej niż żelazo w sakwie, Baltazar musiał teraz zdecydować, w którą stronę skieruje swoje kroki, czy do Mafry, gdzie jedną ręką nie będzie już mógł wziąć się do motyki, bo ta wymaga dwóch, czy też do pałacu, gdzie być może dadzą mu jakąś jałmużnę na konto przelanej krwi. Tak mu radzili w Evorze, ale mówili też, że trzeba o to zebrać bardzo długo i mieć duże poparcie, bywa więc, że człowiek prędzej zaniemówi lub wyzionie ducha, niż zdąży powąchać trochę grosza. A skoro już go brak, są przecież bractwa, które dają wsparcie, i zakony, u wrót których można zjeść zupę z pajdą chleba. Poza tym człowiek, któremu brak lewej ręki, nie powinien się zanadto uskarżać, ma

przecież jeszcze prawicę, którą może wyciągać do przechodniów. Albo też żądać zaostrozonym kawałkiem żelaza.

Siedem Słońc przeszedł przez rybi targ. Handlarki nachalnie przywoływały kupujących, zaczepiały ich, wymachiwały rękami pełnymi złotych bransolet, zaklinając się i bijąc w piersi, obwieszone łańcuszkami, krzyżykami, breloczkami i naszyjnikami z solidnego brazylijskiego złota, w ich uszach kołysały się ciężkie kolczyki w formie wisiorków lub obręczy, dodające uroku każdej kobiecie.

Wśród brudnego tłumu one jedne były zaskakująco schludne, jakby ich się nie imał nawet zapach ryb, które brały pełnymi garściami. U wejścia do tawerny, obok sklepu z brylantami, Baltazar kupił sobie trzy gorące pieczone sardynki z obowiązkową kromką chleba i dmuchając pogryzał je idąc w kierunku placu Pałacowego. Już na placu wszedł do jatki, aby nasycić spragnione oczy widokiem wielkich połaci mięsa, ćwiartek wieprzowiny i wołowiny wiszących na hakach. Obiecywał sobie w duchu ucztę z wszelkiego mięsiwa, gdy tylko go będzie na to stać, jeszcze wówczas nie wiedział, że niebawem zacznie tam pracować i że pracę tę zawdzięczać będzie tyleż protekcji, co hakowi, który miał się okazać bardzo praktyczny przy przenoszeniu tusz, wytrząsaniu flaków i oddzielaniu warstw sadła. Pomijając juchę, lokal był czysty, ściany miał wyłożone białymi kafelkami i jeśli sprzedawca nie oszukał na wadze, na niczym innym człowiek nie mógł zostać tam oszukany, gdyż mięso było naprawdę bardzo dobre, z młodych i zdrowych sztuk.

Ta budowla w głębi placu to pałac królewski, ale król jest nieobecny, poluje bowiem w Azeitao w towarzystwie infanta Franciszka, pozostałych braci, służby pałacowej oraz wielebnych ojców jezuitów Jana Seco i Ludwika Gonzagi, którzy zapewne nie udali się tam jedynie po to, by jeść i modlić się, ale też na wypadek, gdyby król chciał odświeżyć sobie lekcje matematyki czy łaciny, których udzielali mu, gdy jeszcze był księciem. Król wziął ze sobą także nową strzelbę, wykonaną przez Jana de Lara, rusznikarza z koronnej zbrojowni, jest ona kunsztownej roboty, inkrustowana srebrem i złotem, i gdyby nawet ją zgubił, szybko wróciłaby do właściciela, gdyż wzdłuż lufy ma napis wyryty piękną antyką, zupełnie jak na frontonie bazyliki Św. Piotra, który głosi co następuje: **JESTEM NAJJAŚNIEJSZEGO PANA AVE NIECH BÓG CHRONI JKM JANA V.** wszystko dużymi literami, tak jak zostało tu przepisane, a mówią, że strzelby umieją przemawiać tylko językiem prochu i ołowiu. Tak istotnie jest ze zwykłymi strzelbami, jakie mają żołnierze i jaką też miał Baltazar Mateusz Siedem Słońc, teraz wprowadzie zdemobilizowany, lecz gdy przystanął pośrodku placu Pałacowego, obserwując przechodniów, lektyki, mnichów, pachółków miejskich i kupców ważących ładunki i skrzynie, naszała go zniechęca wielka tęsknota za wojaczką i gdyby nie

świadomość, że go tam już nie chcą, w jednej chwili pomknąłby do Alentejo, nawet gdyby miała go tam czekać śmierć.

Baltazar ruszył szeroką ulicą w kierunku Rossio, po drodze wstąpił do kościoła Matki Boskiej z Oliveira, gdzie wysłuchał mszy wymieniając znaki z jakąś samotną kobietą, której przypadł do gustu, tego rodzaju rozrywki były zresztą powszechnym zwyczajem, gdyż w sytuacji kiedy kobiety znajdowały się po jednej stronie nawy, mężczyźni zaś po drugiej, wymieniane ukłony, skinienia rąk, machanie chusteczką, miny i mrugnięcia, które oczywiście można uznać za grzech, były zwykłym przekazywaniem wiadomości, umawianiem się na spotkania, dobijaniem targów, ale jako że Baltazar przybywał z daleka, był zdrożony i bez grosza na łąkocie czy jedwabne wstążki, nie posunął się dalej we flircie i wyszedłszy z kościoła ruszył przed siebie szeroką ulicą w kierunku Rossio. Był to zaiste dzień kobiet, bo oto znów pojawił się ich cały tuzin, wyszły z bocznej uliczki otoczone przez czarnoskórych pacholków miejskich, którzy je popędzali, na przedzie zaś kroczył sędzia grodzki z przepisową laską w dłoni, prawie wszystkie miały jasne włosy i jasne oczy, niebieskie, zielone lub szare. Co to za jedne, spytał Siedem Słońc, lecz nim zapytany zdążył odpowiedzieć, już odgadł, że to Angielki, prowadzone na statek, skąd przewrotny kapitan je wysadził, i teraz nie miały już innego wyjścia, jak tylko płynąć na Barbados, zamiast pozostać na tej pocziwej portugalskiej ziemi, tak przychylniej cudzoziemskim kurwom, których profesja kpi sobie z wieży Babel, gdyż do ich przybytków można wchodzić bez słowa i opuszczać je w milczeniu, o ile wcześniej przemówiły pieniądze. Ale szyper powiedział przecież, że było ich z pięćdziesiąt, a tych jest najwyżej dwanaście. Gdzież więc podziała się reszta, na co przechodzień odparł, Już trochę wyłapali, ale nie znajdą wszystkich, niektóre bardzo dobrze się ukryły i może w tej chwili mają już dobre rozeznanie co do różnic między Anglikami i Portugalczykami. Baltazar ruszył w dalszą drogę ślubując św. Benedyktowi, że jeśli mu ześle, choć raz w życiu, jakąś jasnowłosą i zielonooką, a jeszcze na dodatek szczupłą i wysoką Angielkę, to ofiaruje mu woskowe serce. No bo jeśli w dniu tego świętego ludzie modlą się przed jego ołtarzami o to, aby nie brakło im chleba, i jeśli kobiety szukające dobrego męża zamawiają piątkowe msze do św. Benedykta, to cóż w tym złego, że jakiś żołnierz poprosi o Angielkę, przynajmniej raz w życiu, żeby nie umrzeć w niewiedzy.

Całe popołudnie Baltazar Siedem Słońc krążył po ulicach i placach. Zjadł zupę u wrót zakonu św. Franciszka, zasięgnął języka względem tego, które z bractw najszczodrzej rozdziela jałmużnę, zapamiętując trzy do sprawdzenia na później, a mianowicie bractwo cukierników pod wezwaniem Matki Boskiej z Oliveira, gdzie już był, złotników od św. Eligiusza, oraz bractwo Zbłąkanego Chłopcica, z którym jakoś się utożsamiał, choć już

dawno zapomniał chłopięce lata, czuł się jednak zbłąkany i miał nadzieję, że kiedyś ktoś go odnajdzie.

Zapadła noc i Siedem Słońc zaczął rozglądać się za noclegiem. Zdażył już zaprzyjaźnić się z innym byłym żołnierzem, starszym wiekiem i doświadczeniem, który nazywał się Jan Elvas, parał się sutenerstwem i właśnie tę ciepłą noc zamierzał spędzić w opuszczonych brogach, znajdujących się przy samym murze klasztoru Dobrej Nadziei, od strony gaju oliwnego. Baltazar skorzystał z nadarzającej się gościny, było nie było, trafił mu się nowy przyjaciel i towarzystwo do pogawędki, ale pod pretekstem ulżenia prawej ręce dźwigającej sakwę wyjął z niej hak i na wszelki wypadek zamocował go do kikuta, nie chcąc wobec Elvasa i reszty bandy afiszować się ze szpikulcem, bronią, jak wiemy, śmiercionośną. W brogu było ich sześcioro, ale nikt jemu ani on nikomu nic złego nie zrobił.

Przed snem rozmawiali o różnych zbrodniach. Nie o własnych, bo każdy przecież zna siebie, a Pan Bóg zna nas wszystkich, ale o tych popełnionych przez ważnych ludzi, co to nawet w razie wykrycia sprawcy prawie zawsze uchodzą bezkarnie, a gdy sprawa pozostaje nie wyjaśniona, policja też nie wykazuje zbyt wielkiej gorliwości w dochodzeniach, złodziejasek zabijaka, morderca za półtora reala, który na ogół nie wyjawiał mocodawcy, gnił we własnym gównie i szczynach w Limoeiro, gdzie przynajmniej miał zapewnioną więzienną zupełę. Było tam z pięciuset więźniów oraz sporo mężczyzn, zwerbowanych do Indii, z których później zrezygnowano, i panował już taki tłok i taki głód, że wdała się jakaś choroba, która zaczęła ludzi dziesiątkować, tak że zdecydowano się zwolnić stu pięćdziesięciu z lżejszymi wyrokami, wśród których i ja się znalazłem. Ktoś inny powiedział, W tych okolicach popełnia się dużo zbrodni, zabija się tu więcej ludzi niż na wojnie, tak mówią ci, co na niej byli, a ty, Siedem Słońc, co na to powiesz, Baltazar zaś odparł, Widziałem, jak się umiera na wojnie, ale nie wiem, jak się umiera w Lizbonie, dlatego nie mam porównania, ale Jan Elvas, który zna zarówno place boju, jak i place miejskie, mógłby tu coś powiedzieć. Ale Jan Elvas tylko wzruszył ramionami i nic nie powiedział.

Rozmowa wróciła do punktu wyjścia i ktoś opowiedział przypadek złotnika, który dźgnął nożem pewną wdowę, chciał bowiem się z nią żenić, ale ona go nie chciała, więc za karę, że nie spełniła jego pragnień, pozbawił ją życia, sam zaś schronił się w klasztorze św. Trójcy, albo znów historię tej nieszczęsnej kobiety przebitej na wylot szpadą przez męża, którego zwymyślała chcąc go zawrócić ze złej drogi, komuś znów przypomniała się sprawa kleryka, który miłosne zapały przypłacił trzema głębokimi ranami zadanyymi nożem, co miało miejsce podczas Wielkiego Postu, kiedy, jak już wyjaśniliśmy, w ludziach wre krew i wzbiera żółć. Ale sierpień pod tym względem też nie jest lepszy, o czym można się było przekonać

zeszłego roku, gdy znaleziono kobietę pociętą na czternaście czy piętnaście kawałków, dokładnie nikt nie wie, ale wiadomo, że przedtem została bezlitośnie wychłostana po czułych miejscach, takich jak pośladki i łydki, które potem pocięto i oddzielono od kości, parę kawałków znaleźli w Cotovia, resztę zaś na budowie hrabiego Tarouca i trochę niżej, w Cardais, wszystkie leżały na wierzchu, tak że z łatwością je zauważono, bo ani nie zostały zakopane, ani wrzucone do morza, zupełnie jakby ktoś naumyślnie zostawił je na widoku, żeby wzbudzić powszechną zgrozę.

Wtedy głos zabrał Jan Elvas, który oświadczył, Była to straszna rzeź i prawdopodobnie dokonano jej jeszcze za życia tej biedaczki, gdyż nikt tak skrupulatnie nie krajałby trupa, ponadto wszystkie kawałki pochodziły z czułych miejsc, których uszkodzenie nie jest śmiertelne, a więc tylko ktoś po tysiakkroć przeklęty i zatracony mógł być sprawcą takiej zbrodni, chociaż nie wiem, Siedem Słońc, co widziałeś na wojnie, ale z pewnością niczego takiego tam nie widziałeś, korzystając z przerwy włączył się znów ten, który zaczął opowieść. Później stopniowo znajdowano brakujące części ciała, któregoś dnia na Junqueira znalazła się głowa i jedna ręka, a na Boavista jedna noga, i po tej ręce, nodze i głowie można było poznać, że była to kobieta delikatna, dobrze odżywiona, z twarzy wyglądała na jakieś osiemnaście, dwadzieścia lat, a w worku, gdzie znajdowała się głowa, były jeszcze wnętrzności i inne dolne części tudzież piersi, pocięte jak pomarańcze, a przy nich dziecko wyglądające na trzy, cztery miesiące, uduszone jedwabnym sznurem, w Lizbonie działy się już różne rzeczy, ale nigdy jeszcze coś takiego.

Jan Elvas znów włączył się do rozmowy, dorzucając wiadomości, jakie miał na ten temat. Król kazał rozesłać obwieszczenia z nagrodą tysiąca *cruzados* dla tego, kto wykryje zbrodniarzy, ale od tamtego czasu minął już prawie rok i nie zostali oni wykryci, no bo i pewnie, od razu było wiadomo, że chodzi o osoby z innej sfery, gdyż takich zabójstw nie dokonują szewcy czy krawcy, gdyż ci dokonują cięć tylko na sakiewkach klientów, kobieta natomiast została pocięta z takim znanstwem rzeczy i mistrzostwem, bez najmniejszego błędu w jakimkolwiek stawie łączącym te wszystkie poodkrawane części, prawie kość po kości, że wezwani na oględziny lekarze orzekli, iż mógł to zrobić jedynie człowiek doskonale znający anatomię, mało brakowało, a przyznaliby, że nawet oni sami by tak nie potrafili. Za klasztornym murem rozlegają się litanie zakonnice, nawet nie zdają sobie sprawy, czego los im oszczędza, no bo urodzić dziecko i tak okrutnie za to zapłacić, wówczas Baltazar spytał, I nic więcej się nie wyjaśniło, nawet kim była owa kobieta. Ani o niej, ani o zabójcach nic więcej nie wiadomo, wystawili nawet głowę przed Zakładem Miłosierdzia Bożego licząc na to, że ktoś ją rozpozna, ale nic z tego, wówczas jeden z tych, którzy do tej pory milczeli, mężczyzna

z czarną, już mocno posiwiałą brodą, powiedział, Na pewno chodzi tu o ludzi nie związanych z dworem, w przeciwnym wypadku zauważono by zniknięcie kobiety i zaczęto by szeptać po kątach, może był to jakiś ojciec, który postanowił zabić zhańbioną córkę, potem poćwiartowane ciało przywiózł na grzbiecie muła albo w lektyce i rozrzucił je po całym mieście, a tam gdzie mieszka, może zamiast zamordowanej pochował wieprzka, rozgłaszając, że jego biedna córka umarła na ospę albo na cholere, przez co uniknął otwarcia trumny, mówię wam, że są ludzie zdolni do wszystkiego, nawet do tego, czego jeszcze nikt nigdy nie zrobił.

Oburzeni mężczyźni zamilkli, od zakonnic nie dochodził już nawet najłżejszy szmer i Siedem Słońc powiedział, Na wojnie ludzie mają więcej miłosierdzia. Wojna to po prostu fraszka, powiedział w zamyśleniu Jan Elvas. Po tej sentencji nikt już nie miał nic do powiedzenia, więc wszyscy ułożyli się do snu.

Królowa Maria Anna nie będzie dziś uczestniczyć w *auto da fé*. Jest w żałobie po bracie Józefie, cesarzu Austrii, który naprawdę zapadł na ospę i po kilku dniach zmarł mając zaledwie trzydzieści trzy lata, nie jest to wszak główny powód, dla którego tym razem zostanie w zaciszu swoich komnat, źle bowiem działałoby się w państwach, gdzie królowa okazywałaby słabość z tak błahych powodów, gdyż wychowanie przysposabia je do znoszenia równie ciężkich, a nawet cięższych ciosów. Choć jest już w piątym miesiącu, ciągle jeszcze cierpi na mdłości, co również nie byłoby wystarczającym powodem, by opuścić tak uroczystą ceremonię, bogatą w doznania religijne oraz cieszącą wzrok, słuch i węch, jest bowiem wielce budującym aktem wiary zarówno procesja sunąca miarowym krokiem, jak i wolno, dobitnie odczytywane wyroki, wymizerowane, zgięte postacie skazańców, płaczliwe wołania, zapach skwierczącego w płomieniach ciała i kapiących w ogień resztek tłuszczu, jakie skazańcowi zostały po śledztwie i więzieniu. Królowa Maria Anna nie będzie obecna na *auto da fé*, gdyż nie dość że jest brzemienna, to jeszcze trzykrotnie puszczano jej krew, co w połączeniu z niestrawnością, która nęka ją od paru miesięcy, bardzo ją osłabiło. Z puszczaniem krwi zwlekano dość długo, podobnie jak z wiadomością o śmierci brata, medycy bowiem obawiali się o tę mało zaawansowaną ciążę. W dodatku trzeba tu jeszcze dodać, że powietrze w pałacu nie jest najzdrowsze, co też potwierdzają niedawne przypadłości króla, którego tak wzdęło, że poprosił o spowiedź, czemu natychmiast zadośćuczyniono, bo zawsze to dobre dla duszy, alarm jednak okazał się przedwczesny, gdyż wszystko skończyło się pomyślnie i po lewatywie stwierdzono, że było to tylko zaparcie. W pałacu jest teraz smutniej niż zwykle, gdyż król ogłosił na dworze żałobę, obowiązek przywdziania jej mają wszyscy urzędnicy i oficerowie, sam monarcha też to uczynił przestrzegając przez osiem dni grubej żałoby i zachowując jej oznaki jeszcze w ciągu sześciu najbliższych miesięcy, przez pierwsze trzy nosił długi płaszcz, przez pozostałe zaś krótki, aby pokazać, jak bardzo odczuł śmierć swojego cesarskiego szwagra.

Jednakże dziś jest dzień powszechnego wesela, choć może to niezbyt odpowiednie słowo, a radość ta płynie z samej głębi duszy, miło przecież widzieć, że całe miasto wyległo na ulice i place, że wzgórz płyną potoki ludzi, które zlewają się na Rossio, żeby asystować przy wykonywaniu wyroków na Żydach i neofitach, heretykach i czarownikach, nie mówiąc już o rzadszych przypadkach, takich jak sodomia, molinizm, znieprawianie i nagabywanie kobiet oraz tym podobne błahostki, za które grozi zsyłka lub stos. Dziś przyprowadzono sto cztery osoby, pięćdziesięciu jeden mężczyzn i pięćdziesiąt trzy kobiety, z których większość przybyła z Brazylii, równie bogatej w diamenty, jak w bezbożników. Dwie z nich zostaną

przekazane trybunałowi świeckiemu, uznano je bowiem za niepoprawne, to znaczy winne heretyckiej recydywy, za świadome i nieprzejednane, to znaczy upierające się przy swoim na przekór wszelkim dowodom, i wreszcie za zatwardziałe, to znaczy tkwiące w błędach, które dla nich stanowią prawdę, tyle że nie pasującą do czasu i miejsca. Minęły już prawie dwa lata od chwili, kiedy ostatni raz w Lizbonie palono ludzi na stosie, toteż na Rossio zebrał się wielki tłum, podwójnie odświętny, gdyż *auto da fé* odbywa się w niedzielę i prawdę powiedziawszy nie wiadomo, w czym lizbończycy bardziej gustują, właśnie w tym, czy w walkach byków, i czy te gusta się zmieniają, gdy zostaną im już tylko *corridy*. Z okien wychodzących na plac wyglądają kobiety ufryzowane i wystrojone na niemiecką modłę, co zawdzięczamy królowej, policzki i dekolty mają wyróżzowane, wargi układają tak, by wydawały się małe i wąskie, stroją różne miny na pokaz, w duchu zaś niepokoją się, czy muszki na twarzy dobrze się trzymają, ta całuskowa w kąciku ust, ta maskująca na pryszczyku oraz ta uwodzicielska pod okiem, bo właśnie pod oknem przechadza się powiewając peleryną i trzymaną w dłoni chusteczką ten wybrany, darzony względami bądź starający się o nie adorator. Dzień jest upalny, toteż publiczność orzeźwia się popularną lemoniadą, kubkiem wody lub plastrem arbuza, bo przecież z tego powodu, że jedni mają umrzeć, drudzy nie muszą padać z pragnienia. A jeśli żołądek domaga się czegoś bardziej konkretnego, można kupić ziarna białego łubinu, cedrowe orzeszki, słodkie babeczki i daktyle. Co się zaś tyczy króla, to po zakończeniu aktu wiary zje kolację w pałacu Inkwizycji w towarzystwie całego rodzeństwa, infantów i infantek, a że już przeszła mu niedawna dolegliwość, zaszczyci stół wielkiego inkwizytora, uginający się od mis rosołu, kuropatw, cielejących mostków, kulebiaków, pasztecików z baraniny na słodko z cynamonem, bukietów z gotowanych mięs po kastylijsku, przyprawionych szafranem i innymi należnymi dodatkami, od półmisków *risotta*, słodczy i owoców. Król wszelako jest wstrzemięźliwy, nie pije wina, a że dobry przykład jest zawsze najlepszą nauką, wszyscy go w tym naśladowają.

Inny przykład, tym razem bardziej pożyteczny dla ducha niż dla wypełnionego jadłem ciała, będzie tu dziś dany. Waśnie rusza procesja, na której czele kroczą dominikanie z chorągwią św. Dominika, za nimi zaś długim sznurem inkwizytorzy, a następnie skazańcy, których, jako się rzekło, jest stu czterech, każdy z gromnicą w ręku, obok idą osoby towarzyszące, słyhać szmer modlitw i szeptów, a po nakryciach głowy i pokutnych kaftanach można poznać, kto tego dnia umrze, a kto nie, choć jest jeszcze inny nieomylny znak, a mianowicie przed kobietami, które zginą na stosie, niosą krucyfiks, ale odwrócony do nich tyłem, natomiast te, które unikną stosu, mogą patrzeć na dobrotliwą i cierpiącą twarz zwróconą ku nim, w taki oto symboliczny sposób każdy dowiaduje się, co go czeka, o ile

wcześniej nie zwrócił uwagi na swój ubiór, który jest wizualnym wyrazem wyroku — żółty kaftan z czerwonym krzyżem św. Andrzeja mają ci, którzy nie zasłużyli na śmierć, w takich kaftan z wymalowanymi płomieniami zwróconymi ku dołowi, czyli tak zwanym ogniem na opak, ubrani są ci, którzy jej uniknęli przez przyznanie się do winy, natomiast ponura szara tunika z portretem skazańca otoczonego diabłami i ognistymi językami, jaką mają na sobie dwie kobiety, oznacza śmierć na stosie. Kazanie wygłosił brat Jan od Męczenników, prowincjał franciszkanów z Arrabidy, który bez wątpienia był do tego najbardziej predestynowany, skoro to franciszkańską cnotę Bóg nagroził zapładniając królową, i oby jego kazanie okazało się tak pożyteczne dla zbawienia dusz, jak pożyteczny okazał się on sam dla dynastii, która ma zapewnioną sukcesję, oraz dla zakonu Franciszkanów, którym przyrzeczono klasztor.

Przy wtórze wściekłych obelg padających z tłumu pod adresem skazańców, wśród pisku kobiet wychylających się z okien i pacierzy mnichów procesja wije się na Rossio niby olbrzymi wąż, który nie mogąc się wyciągnąć na całą długość, zwija się i skręca, jakby chciał się wszędzie wcisnąć i pokazać budujące przedstawienie całemu miastu, oto właśnie idzie Szymon de Oliveira e Sousa, człowiek świecki bez urzędu i prebendy, który podawał się za cenzora Świętego Oficjum, odprawiał msze, spowiadał i wygłaszał kazania, a czyniąc to wszystko głosił jednocześnie, iż jest heretykiem i Żydem, istne pomieszanie z poplątaniem, na dodatek raz przedstawiał się jako ksiądz Pereira e Sousa, kiedy indziej znów jako brat Manuel od Zwiastowania, Manuel od Zmiłowania Bożego, Belchior Carneiro, Manuel Lencastre, i kto go tam wie, jakich jeszcze używał imion traktując wszystkie jako prawdziwe, bo przecież człowiek powinien mieć prawo wybierać własne imię i zmieniać je sto razy na dzień, imię bowiem nie jest niczym ważnym, a znów ten drugi to Domingos Afonso Lagareiro, urodzony i dotychczas mieszkający w Portel, który chcąc uchodzić za świętego udawał, że ma widzenia i leczył za pomocą błogosławieństw, zamawiania, znaków krzyża i tym podobnych zabobonów, myślałby kto, że on jeden, a znów tamten to ksiądz Antoni Teixeira de Sousa z Wyspy Św. Jerzego, oskarżony o nagabywanie kobiet, przez którą to formułkę kanoniczną należy rozumieć, że chodziło o obmacywanie i kopulację, prawdopodobnie wszystko zaczynało się od słów przy konfesjonale, a kończyło dyskretnym aktem w zakrystii, za co z pewnością skończy w Angoli, dokąd zostanie dożywotnio zesłany, a to jestem ja, Sebastiana Maria de Jesus, w jednej czwartej przechrzta, mam widzenia i objawienia, ale w trybunale powiedzieli mi, że tylko mi się zdaje, iż słyszę głosy z nieba, wyjaśnili też, że to za sprawą diabła uważam, iż mogę być równie święta, jak inni święci, albo nawet i bardziej, bo nie widzę żadnej różnicy między nimi a mną, zganili to jako

niewybaczalne zarozumiałstwo, potworną dumę i wyzwanie wobec Boga oraz uznali za bluźnierstwo, herezję i zuchwalstwo, żeby więc nikt nie usłyszał moich bluźnierstw, herezji i zuchwalstw, idę teraz z zakneblowanymi ustami, jestem skazana na publiczną chłostę i osiem lat zesłania do królestwa Angoli, a słuchając wyroków, mojego i wszystkich innych idących w tej procesji, nie słyszałam, by padło imię mojej córki, czyli Blimundy, gdzie ona może być, gdzie jesteś, Blimundo, jeśli cię nie aresztowano w ślad za mną, musisz tu przyjść, żeby zobaczyć, co się dzieje z twoją matką, ja na pewno cię dostrzegę w tym tłumie, gdyż wyteżam wzrok z całej siły, aby cię ujrzeć, zakneblowali mi tylko usta, nie oczy, oczy, które dawno cię nie widziały, serce, które czuje i czuło, o serce moje, podskocz w piersi na znak, że Blimunda tu jest, w tym tłumie, który pluje obrzucając mnie skórkami arbuza i nieczystościami, ale jakże się mylą, ja jedna wiem, że wszyscy oni mogliby być świętymi, gdyby tylko chcieli, ale nie mogę tego wykrzyczeć, nareszcie w piersi odezwał się sygnał, serce we mnie zawyło, zobaczę Blimundę, zaraz ją ujrzę, oto jest, Blimundo, Blimundo, Blimundo, córko moja, ona też mnie widzi i nie może nic powiedzieć, musi udawać, że mnie nie zna albo że mną gardzi, matką, czarownicą i Żydówką, choć tylko w jednej czwartej, patrzy na mnie, obok niej stoi ksiądz Bartłomiej Wawrzyniec, nic nie mów, Blimundo, tylko patrz, patrz tymi swoimi oczami, które potrafią wszystko zobaczyć, ale kim jest ten wysoki mężczyzna, stoi blisko Blimundy, a ona nie wie, zupełnie nie wie, kim on jest i skąd przybył, ani co ich obydwójce czeka, jak to odgadnąć, żołnierski strój, na twarzy znój, ucięta ręka, żegnaj, Blimundo, więcej już cię nie zobaczę, w tej samej chwili Blimunda powiedziała do księdza, Tam idzie moja matka, później zaś zwróciła się do wysokiego mężczyzny stojącego obok, Jak się pan nazywa, na co mężczyzna odrzekł w sposób zupełnie naturalny, jakby uznając prawo kobiety do zadawania mu pytań, Baltazar Mateusz, wołają mnie też Siedem Słońc.

Sebastiana Maria de Jesus już przeszła, przeszli też wszyscy inni, procesja okrążyła plac, wychłostano tych, którym zasądzono taką karę, spalono dwie kobiety, jedną z nich przedtem uduszono, gdyż oświadczyła, że chce umrzeć w wierze katolickiej, drugą zaś upieczono żywcem za zatwardziały upór nawet w godzinie śmierci, przed stosami rozpoczęły się tańce, tańczą mężczyźni i kobiety, król już odjechał, popatrzył, podjadł sobie, a razem z nim infanci, po czym wrócił do pałacu powozem zaprzężonym w szóstkę koni, w asyście przybocznej straży, tymczasem zapada zmierzch, ale nadal trwa duszący upał, słońce dławi jak garota, na placu Rossio kładą się długie cienie klasztoru Carmo, martwe kobiety ułożono na głowniach, aby do reszty strawił je ogień, a gdy zapadnie noc, popioły zostaną rozsypane i nawet wezwanie na Sąd Ostateczny nie zdoła ich na powrót zebrać, niebawem umocnieni w wierze ludzie powrócą do domów unosząc na podszwach trochę lepkiej sadzy ze

zwęglonych ciał, a może i nie zakrzepłej jeszcze krwi, która nie zdążyła wyparować na rozżarzonych węglach. Niedziela jest dniem Pana, to prawda oczywista, jego są bowiem wszystkie dni, z których każdy stopniowo nas zżera, ale dużo szybciej, w imię tegoż Pana, pożerają nas płomienie, jest więc podwójnym gwałtem palenie mnie w chwili, gdy kierując się własnym rozumem i wolą odmówiłam temuż Panu ciała i kości, a także ducha, co ciało moje podtrzymuje, to syn mój samorodny, spłodziłam go bezpośrednio sama ze sobą, to moje przyrodzone tajemne oblicze, równe jawnemu i przez to nieznanne. Jednak mimo wszystko trzeba umrzeć.

Jeśli przypadkiem ktoś usłyszał słowa Blimundy, zapewne uznał je za bezduszne. Tam idzie moja matka, bez jednego westchnienia, bez jednej łzy, nawet bez współczucia na twarzy, które jednak dostrzegało się niekiedy w tłumie ogarniętym nienawiścią, ciskającym obelgi i szyderstwa, ona zaś była córką, i to kochaną, widać to było w spojrzeniu matki, mimo to powiedziała tylko tyle, Tam idzie, później zaś odwróciła się do jakiegoś mężczyzny, którego widziała pierwszy raz w życiu, i spytała, Jak się pan nazywa, jakby to było dla niej ważniejsze niż cierpienie chłostanej matki, która przeszła już mękę karceru i śledztwa, która nieodwołalnie zostanie zesłana do Angoli, nawet nazwisko nic jej nie pomogło, pewnie już tam na zawsze zostanie, znajdując być może pociechę na duchu i ciele u księdza Antoniego Teixeira de Sousa, ma on już w tym przecież spore doświadczenie, i bardzo dobrze, bo przynajmniej świat nie będzie tak nieszczęśliwy, nawet jeśli czeka go wieczne potępienie. Gdy jednak Blimunda znalazła się w domu, zalała się łzami, o ile jeszcze kiedyś ujrzy matkę, to najwyżej z daleka w porcie, dużo łatwiej jest jakiemuś angielskiemu kapitanowi pozbyć się kobiet lekkich obyczajów, niż córce pocałować skazaną matkę, przytulić twarz do twarzy, gładki policzek do pomarszczonego, jest tak blisko, a tak daleko, gdzie jesteśmy, kim jesteśmy, na co ksiądz Bartłomiej Wawrzyniec powiada, Jesteśmy niczym wobec wyroków Pana, wystarczy, że on wie, kim jesteśmy, pogódź się z tym, Blimundo, zostawmy Bogu sprawy boskie, nie przekraczajmy ustalonych granic, wielbijmy go z tego miejsca i uprawiajmy nasze człowiecze poletko, gdy bowiem będzie gotowe, Bóg zechce nas odwiedzić, a wtedy dopiero zostanie stworzony świat. Baltazar Mateusz, inaczej Siedem Słońc, zachowuje milczenie, patrzy tylko uważnie na Blimundę i za każdym razem, gdy spotyka jej wzrok, czuje ściskanie w dołku, są to bowiem oczy niezwykle, ni to jasnoszare, ni to zielonkawe, ni to niebieskawe, mieniają się w zależności od zewnętrznego światła czy też wewnętrznych myśli, czasem czarne jak noc, a czasem skrzące się brylantową bielą niby rozłupany węgiel. Przyszedł do tego domu nie dlatego, że ktoś go zaprosił, lecz Blimunda spytała go o imię, a on jej odpowiedział, był to więc wystarczający powód. Gdy zakończyło

się *auto da fé* i uprzątnięto plac, Blimunda odeszła w towarzystwie księdza, a wchodząc do domu zostawiła drzwi otwarte, aby Baltazar mógł wejść. Wszedł i usiadł, ksiądz zamknął drzwi i zapalił oliwną lampkę, przez szparę sączył się ostatni blask dnia, czerwony blask zachodu, który jeszcze oświetla wzgórze, podczas gdy w dole miasto już pogrąża się w mroku, z murów zamku dochodzą pokrzykiwania żołnierzy, co w innej sytuacji przypominałoby Baltazarowi wojaczkę, ale teraz jego oczy nie widzą nic poza oczami Blimundy, poza jej postacią, wysoką i smukłą, taka właśnie była Angielka, o której śnił na jawie w dniu przybycia do Lizbony.

Blimunda wstała ze stołka, rozpałała ogień na kominie, postawiła na trójnogu garnek z zupą i gdy się zagotowała, napełniła dwie miski, które podała obu mężczyznom, wszystko to robiła w milczeniu, nie odezwała się ani słowem od chwili, gdy kilka godzin temu zapytała, Jak się pan nazywa, i choć ksiądz pierwszy skończył jeść, poczekała, aż Baltazar zje, żeby użyć jego łyżki, zupełnie jakby milcząco odpowiadała na inne pytanie, Bierzesz do ust łyżkę, której dotykały usta tego mężczyzny, najpierw należała ona do ciebie, potem do niego, a teraz na powrót jest twoja, skoro więc tylekroć zatracą się różnica między pojęciem twoje i moje, wygląda na to, Blimundo, że mówisz tak, nim cię o to zapytano. Wobec tego ogłaszam was mężem i żoną. Ksiądz Bartłomiej poczekał, aż Blimunda skończy jeść pozostała w garnku zupę i wówczas szerokim gestem pobłogosławił ją samą, garnek, łyżkę oraz całą izbę — ogień na kominie, lampkę, matę na podłodze i uciętą rękę Baltazara. Potem wyszedł.

Siedzieli z godzinę nic nie mówiąc. Tylko raz Baltazar wstał, żeby dorzucić drewno do gasnącego ognia, a Blimunda przycięła knot dymiącej lampy i gdy zrobiło się jasno, Siedem Słońce powiedział, Dlaczego spytałaś, jak się nazywam, na co Blimunda odpowiedziała, Ponieważ moja matka chciała wiedzieć i chciała, żebym się dowiedziała. Skąd wiesz, skoro nie mogłaś z nią rozmawiać. Wiem, że wiem, ale nie wiem, jakim sposobem, nie zadawaj mi pytań, na które nie potrafię odpowiedzieć, rób tak, jak już zrobiłaś, przyszedłaś i nie pytałaś dlaczego. Jeśli nie masz lepszego mieszkania, zostań tu. Muszę jechać do Mafry, mam tam rodzinę, żonę, rodziców i siostrę. Zostań, póki nie wyjedziesz, na wyjazd zawsze będziesz miał czas. Dlaczego chcesz, żebym został, Bo tak trzeba. To nie jest przekonujący powód. Jeśli nie chcesz zostać, możesz sobie iść, nie mogę cię zmusić, Nie mam siły stąd odejść, rzuciłaś na mnie urok. Nie rzuciłam żadnego uroku, nie powiedziałam ani słowa i nie dotknęłam cię. Zajrzałaś mi do wnętrza. Przysięgam, że nigdy nie zajrzę ci do wnętrza. Przysięgasz, że tego nie zrobisz, a już zrobiłaś. Sam nie wiesz, co mówisz, nie zajrzałam ci do wnętrza. Jeśli zostanę, gdzie będę spać. Ze mną.

Położyli się. Blimunda była dziewczcą. Ile masz lat, spytał Baltazar, i Blimunda odpowiedziała, Dziewiętnaście, ale w tej chwili czuła się już dużo starsza. Na matę popłynęło trochę krwi. Zmoczywszy w niej czubki wskazującego i środkowego palca Blimunda przeżegnała się i nakreśliła krzyż na piersi Baltazara, na samym sercu. Obydwoje byli nadzy. Z pobliskiej ulicy słychać było podniesione głosy, szczęk szpad, bieganinę. Później nastąpiła cisza. Nie popłynęło więcej krwi.

Gdy nazajutrz rano Baltazar obudził się, zobaczył u swego boku Blimundę jedzącą chleb z zamkniętymi oczami. Otworzyła je dopiero, gdy skończyła jeść, o tej godzinie były szare, i powiedziała, Nigdy nie zjrzą ci do wnętrza.

Unoszenie chleba do ust — to bardzo prosty i przyjemny gest, szczególnie gdy się jest głodnym, ponadto chleb będący pożywieniem dla ciała przynosi także pewien zysk rolnikom oraz ogromne dochody tym, co potrafią zbić kabzę w czasie dzielącym ruch ręki kosiarza od ruchu ręki człowieka jedzącego, taka jest prawda. Prawdą jest też, że Portugalia nie może nastarczyć pszenicy, która by zaspokoiła wprost nienasycony apetyt Portugalczyków na chleb, zupełnie jakby nie mieli nic innego do jedzenia, stąd też osiedli w tym kraju cudzoziemcy, przejęci naszymi potrzebami, które rosną jak grzyby po deszczu, sprowadzają z bliższych i dalszych stron całe floty, liczące niekiedy nawet setkę statków załadowanych zbożem, jedna z nich właśnie wpływa do Tagu oddając salut przy wieży w Belem i okazując komendantowi odpowiednie papiery, z których wynika, że wiezie ponad osiem tysięcy łasztów zboża z Irlandii, a więc przynajmniej na jakiś czas głód ustąpi miejsca obfitości, ale tak wielki ładunek nie pomieści się w portowych spichlerzach i prywatnych magazynach, toteż płaci się każdą cenę za wynajęcie składów, o czym informują stosowne obwieszczenia rozlepione na bramach miejskich, w tej sytuacji ci, którzy sprowadzili zboże, będą sobie płuć w brodę, gdyż z powodu nadmiaru trzeba będzie obniżyć cenę, tym bardziej że mówi się o bliskim przybyciu floty holenderskiej z podobnym ładunkiem, jednak niebawem rozeszła się wieść, że u wejścia do zatoki została ona zaatakowana przez eskadrę francuską, toteż cena, która miała już spaść, nie spadnie, a gdyby nawet zaistniało takie niebezpieczeństwo, to zawsze przecież można podpalić ze dwa spichlerze i potem rozgłosić, że w wyniku pożaru odczuwa się brak zboża, podczas gdy wszyscy myśleli, że jest go aż nadto. Są to kupieckie tajemnice, których cudzoziemcy uczą naszych, choć nasi są na ogół tak głupi, mówimy ciągle o kupcach, że sami nigdy nie sprowadzili zagranicznych towarów zadowolając się kupowaniem ich na miejscu od cudzoziemców, którzy nie tylko się nabijają z naszej głupoty, ale też nabijają sobie na niej kiesy kupując towary po niewiadomych cenach, a sprzedając po aż za dobrze nam znanych, gdyż drą z nas skórę tak, że ledwie zipiemy.

Ale od śmiechu do łez, od beztrioski do niepokoju, od ulgi do strachu jest tylko jeden krok, i tak się dzieje zarówno w życiu jednostek, jak i całych narodów, na dowód czego Jan Elvas opowiada Baltazarowi Siedem Słońc nadzwyczajny wyczyn wojenny marynarki lizbońskiej, postawionej w stan pogotowia od Belem po Xabregas przez dwa dni i dwie noce, podczas których również kawaleria i regimenty zajęły bojowe pozycje wzdłuż brzegu, rozeszła się bowiem wiadomość, że zbliża się armada francuska z zamiarem podbicia kraju, a wiadomo, że u nas w takiej sytuacji, czy to szlachcic, czy kmieć, każdy staje się drugim Duarte Pacheco Pereira, a Lizbona drugim fortem w Diu, ale w końcu armada okazała się flotą wiozącą dorsze, a o ich dotkliwym braku świadczył najlepiej apetyt, z jakim niebawem je zajadano. Z bladym uśmiechem przyjęli tę wiadomość ministrowie, z kwaśnym żołnierze odstawili broń i zsiadli z koni, natomiast prości ludzie śmiali się w kułak, odbijając sobie w ten sposób liczne krzywdy. Ale prawdę mówiąc dużo gorsze od wstydu z tego powodu, że zamiast oczekiwanych Francuzów zjawiły się dorsze, byłoby spodziewać się dorszy i zobaczyć Francuzów.

Siedem Słońc też jest tego zdania, ale wczuwa się w położenie żołnierzy, którzy szykowali się do walki, sam dobrze wie, jak wówczas bije serce, człowiek myśli, co ze mną będzie, może umrę, szykuje się na ewentualną śmierć, a tu naraz mu mówią, że właśnie wyładowują skrzynie dorszy w Nowym Porcie, jeśli Francuzi dowiedzą się o tej pomyłce, to jeszcze bardziej będą się z nas śmiać. Baltazara znów nachodzi tęsknota za wojną, ale przypomina mu się Blimunda i czuje potrzebę sprawdzenia, jakiego właściwie koloru są jej oczy, jest to wojna, którą ostatnio prowadzi z własną pamięcią, która podsuwa mu coraz to inną barwę, i nic dziwnego, skoro nawet patrząc w nie z bliska nie potrafi jej określić. Zapomina więc o powracających tęsknotach i odpowiada Elvasowi, Powinien być jakiś sposób na to, żeby wiedzieć, kto, z czym i w jakich zamiarach przybywa, wiedzą o tym mewy, które siadają na masztach, a my sami, choć dla nas to dużo ważniejsze, nic nie wiemy, na co stary żołnierz odparł, Mewy mają skrzydła, mają je również aniołowie, ale mewy nie mówią, a co do aniołów, to nigdy żadnego nie widziałem.

W tej właśnie chwili przez plac Pałacowy przechodził ksiądz Bartłomiej Wawrzyniec wracający z pałacu, dokąd się udał na prośbę Baltazara, który chciał się dowiedzieć, czy będzie mógł dostać rentę wojenną, gdyby się okazało, że lewa ręka jest jej warta, i gdy Jan Elvas nie wiedząc wszystkiego o życiu Baltazara i kontynuując rozmowę powiedział, O, właśnie idzie ksiądz Bartłomiej Wawrzyniec, zwany Awiatorem, ale temu Awiatorowi nie wyrosły jeszcze odpowiednie skrzydła, nie możemy więc śledzić zbliżających się flot ani też przejrzeć zamiarów i interesów, które je do nas sprowadzają, Siedem Słońc nie zdążył

odpowiedzieć, gdyż ksiądz przystanął i z oddali skinął na niego, ku najwyższemu osłupieniu Jana Elvasa, nie spodziewał się on bowiem, że ma przyjaciela cieszącego się łaskami Dworu i Kościoła, natychmiast też zaczął się zastanawiać, jakie korzyści sam mógłby z tego wyciągnąć. Tymczasem żeby nie tracić czasu, wyciągnął rękę po jałmużnę, najpierw do jakiegoś szlachcica, który okazał się hojny, a następnie, przez nieuwagę, do mnicha-jałmużnika, podsuwającego święty obrazek do ucałowania, i tym sposobem Jan Elvas stracił wszystko, co zdobył. Niech to piorun trzaśnie, może to i grzech tak przeklinać, ale zawsze źle się robi na duszy.

Ksiądz Bartłomiej Wawrzyniec powiedział do Baltazara, Rozmawiałem z królewskimi urzędnikami, obiecali rozpatrzyć twoją sprawę, nie wiadomo, czy warto przedkładać petycję, to się dopiero okaże. A kiedy to nastąpi, proszę księdza, dopytywał się Baltazar, naiwny jak każdy, kto dopiero co zetknął się z dworem i nie zna jego zwyczajów. Nie umiem ci tego powiedzieć, ale w razie zwłoki może uda mi się szepnąć słówko Najjaśniejszemu Panu, który wyróżnia mnie szacunkiem i opieką. To ksiądz może rozmawiać z samym królem, zdziwił się Baltazar i dorzucił, Może ksiądz mówić z królem i znał też matkę Blimundy skazaną przez Inkwizycję, co to za ksiądz z tego księdza, tych ostatnich słów Baltazar już nie wypowiedział głośno, pomyślał tylko z niepokojem. Bartłomiej Wawrzyniec nic nie rzekł, spojrział mu tylko prosto w oczy, stali naprzeciwko siebie, ksiądz był trochę niższy i wyglądał na młodszego, chociaż byli rówieśnikami, liczył sobie bowiem dwadzieścia sześć lat, podobnie jak Baltazar, ale odmiennie ułożyły się losy każdego z nich, Baltazarowi życie upłynęło na pracy i wojnie, ledwie skończył z jednym, już musiał brać się za drugie, ksiądz Bartłomiej zaś urodził się w Brazylii, jako młody chłopiec przybył po raz pierwszy do Portugalii i już w wieku piętnastu lat odznaczał się tak obiecującą wiedzą i pamięcią, że potrafił recytować z pamięci całego Wergiliusza, Horacego, Owidiusza, Kurcjusza, Swetoniusza, Mecenasa i Senekę, w tę i z powrotem oraz na wrywki, opowiedzieć wszystkie mity i legendy oraz wyjaśnić, w jakim celu zostały one wymyślone przez greckich i rzymskich pogan, wyliczyć wszystkich poetów dawnych i nowożytnych aż do roku 1200, i jeśli ktoś wygłosił przy nim jakiś wiersz, mógł natychmiast odpowiedzieć dziesięcioma własnymi improwizacjami, już wówczas zapowiadało się też, że potrafi uzasadnić i dowieść słuszności każdej filozofii, nawet w jej najtrudniejszych punktach. Zinterpretować duży fragment Arystotelesa, łącznie ze wszystkimi zawłościami, twierdzeniami i niedopowiedzeniami, wyjaśnić wszystkie niejasności Pisma Świętego, tak Starego, jak i Nowego Testamentu, deklamując z pamięci tak po kolei, jak i na wrywki całe Ewangelie czterech Ewangelistów, w tę i z powrotem, tak samo listy św. Pawła i św. Jakuba, i powiedzieć, ile lat dzieliło każdego z proroków, jak długo każdy z nich żył, i

takoż odnośnie wszystkich biblijnych królów z góry na dół i z lewa na prawo, z Księgi Psalmów, z Pieśni, z Księgi Wyjścia, z Ksiąg Królewskich i dlaczego nie są autentyczne dwie Księgi Ezdrasza, bo też mówiąc między nami nie bardzo wyglądają na autentyczne, a ten niezwykły talent, zdolności i pamięć zrodziły się i ukształtowały w kraju, z którego chcieliśmy dostawać tylko złoto i brylanty, tytoń i cukier, bogactwa lasów i wszystkie inne, jakie jeszcze zostaną odkryte i będą do nas napływały przez całe wieki, nie mówiąc już o tym, że samo nawrócenie *tapuiów* zapewni nam wieczną chwałę.

Przed chwilą mój przyjaciel Jan Elvas powiedział mi, że księdza nazywają Awiatorem, Skąd się wziął ten przydomek, spytał Baltazar, lecz ksiądz już się oddalał, żołnierz ruszył więc jego śladem i tak idąc z odległości dwóch kroków jeden od drugiego, minęli Arsenał przy Nabrzeżu Okrętowym, później pałac Corte Real i wreszcie w uliczce Remolares, skąd otwiera się widok na rzekę, ksiądz usiadł na kamieniu i skinąwszy na Baltazara, aby spoczął obok, wreszcie odpowiedział, jakby dopiero teraz usłyszał pytanie, Ponieważ latałem. Baltazar rzekł zaś z powątpiewaniem. Za pozwoleniem, ośmielam się twierdzić, że latają tylko ptaki i anioły, a ludzie jedynie we śnie, ale sny nie są materialne. Nie mieszkałeś dotąd w Lizbonie, nigdy cię tu nie widziałem. Cztery lata byłem na wojnie i pochodzę z Mafry. Właśnie, a ja latałem w zaprzyszłym roku, najpierw zrobiłem balon, który się spalił, potem zbudowałem następny, który wzniósł się pod sufit pałacowej sali, i wreszcie jeszcze jeden, który wyleciał przez okno gmachu Kompanii Indyjskiej i nikt go więcej nie widział. Ale czy ksiądz latał osobiście, czy tylko same balony. Latały balony, ale to tak, jakbym ja sam latał. Lot balonu, to nie to samo co lot człowieka. Człowiek najpierw raczkuje, potem chodzi, biega, a któregoś dnia i poleci, odpowiedział Bartłomiej Wawrzyniec i ukląkł, gdyż zbliżał się orszak z Panem Bogiem, najwidoczniej do jakiejś możnej osoby, gdyż baldachim nad księdzem niosło sześciu ludzi, na przedzie trębacze, z tyłu członkowie bractwa w czerwonych kapach niosący gromnice i inne rzeczy potrzebne do udzielenia ostatniego namaszczenia jakiejś duszy zrywającej się do lotu i czekającej tylko, by zrzucić cielesny balast i poszybować z owym wiatrem, co wieje z morskich otchłani, z głębi wszechświata lub z najdalszego krańca zaświatów. Siedem Słońc również ukląkł i gdy się żegnał, jego żelazny hak dotknął ziemi.

Ksiądz Bartłomiej Wawrzyniec nie usiadł z powrotem, podszedł do samej rzeki, Baltazar podążył za nim i tam, patrząc na biegających po desce tragarzy, wyładowujących z barki słomę zawiniętą w wielkie płachty, i na dwie czarne niewolnice idące ku rzece, aby opróżnić wiadra z nieczystościami, pełne uryny i gówna z całego dnia, a może i z całego tygodnia, ksiądz Bartłomiej Wawrzyniec powiedział, Stałem się pośmiewiskiem dworu i

poetów, jeden z nich, Tomasz Pinto Brandao, nazwał mój wynalazek ułudą, która wkrótce się rozwieje, i gdyby nie opieka króla, nie wiem, co by się ze mną stało, ale król uwierzył w moją maszynę i pozwolił, abym w posiadłości księcia Aveiro, w Sao Sebastiao da Pedreira, przeprowadzał swoje eksperymenty, tak że teraz szyderycy zostawili mnie już trochę w spokoju, a doszło do tego, że nawet życzyli mi, żebym połamął nogi skacząc z zamku, chociaż nigdy nie miałem takiego zamiaru, i twierdzili, że moja sztuka ma więcej wspólnego z jurysdykcją Świętego Oficjum niż z geometrią. Księżę Bartłomieju, ja się nie znam na tych rzeczach, byłem chłopem, potem żołnierzem i nie wierzę, żeby ktoś mógł latać nie mając skrzydeł. Kto jest przeciwnego zdania, zna się na tym jak kura na pieprzu. Ty sam nie wymyśliłeś tego haka, który zastępuje ci rękę, trzeba było, aby ktoś miał taką potrzebę i taki pomysł, gdyż bez tej pierwszej nie ma drugiego, aby połączyć skórę i żelazo, tak samo jest ze statkami, które widzisz na rzece, był czas, kiedy nie miały żagli, potem wynaleziono wiosła, potem znów ster i skoro człowiek, stworzenie lądowe, z konieczności stał się marynarzem, z konieczności też stanie się awiatorem. Jeśli ktoś przywiązuje żagle do łodzi, jest i pozostaje na wodzie, natomiast latać to znaczy oderwać się od ziemi i unieść w powietrze, gdzie nie ma żadnej powierzchni, która byłaby oparciem dla stóp. Będziemy jak ptaki, które zarówno mogą przebywać w niebie, jak i siadać na ziemi. A więc to z powodu chęci latania poznał ksiądz matkę Blimundy, ona przecież znała sztuki tajemne. Słyszałem, że miała widzenia ludzi latających z płóciennymi skrzydłami, a choć nie brak tu ludzi mających różne widzenia, jej, jak mi mówiono, były tak przekonywające, że pewnego dnia złożyłem jej dyskretnie wizytę, a później się z nią zaprzyjaźniłem. I dowiedział się ksiądz tego, czego potrzebował. Nie, nie dowiedziałem się, ale zrozumiałem, że jej wiedza, o ile rzeczywiście ją miała, była innego rodzaju i że sam powinienem pokonać moją niewiedzę, bez niczyjej pomocy, obym się nie mylił. Zdaje mi się, że mają rację ci, którzy mówią, że sztuka latania ma więcej wspólnego ze Świętym Oficjum niż z geometrią, toteż na miejscu księdza miałbym się bardzo na baczności, niech ksiądz nie zapomina, że za podobne sztuczki płaci się zwykle lochami i zesłaniem lub stosem, ale o tym ksiądz wie lepiej niż ja. Mam się na baczności i nie brak mi protektorów, kiedyś nadejdzie ten dzień.

Wracali tą samą drogą, przez Remolares. Siedem Słońc chciał coś powiedzieć, ale się powstrzymał, ksiądz zauważył jego wahanie.

Chcesz mi coś powiedzieć, Chciałbym wiedzieć, księżę Bartłomieju, dlaczego Blimunda zawsze je chleb, nim rano otworzy oczy. Spałeś z nią. Mieszkam tam, Zwracam ci uwagę, że popełniacie grzech konkubinatu, lepiej by było wziąć ślub. Ona nie chce, a ja też nie wiem, czy chciałbym, jeżeli któregoś dnia odejdę w moją stronę, a ona będzie wołała

zostać w Lizbonie, to po co się pobierać, ale ja pytałem księdza o co innego, dlaczego Blimunda je rano chleb, nim otworzy oczy. Tak, jeśli któregoś dnia dowiesz się, to od niej, a nie ode mnie. Ale ksiądz zna przyczynę. Znam. I nie powie mi ksiądz, Powiem ci tylko, że chodzi o wielką tajemnicę, latanie jest rzeczą prostą w porównaniu z Blimundą.

Idąc i rozmawiając doszli do zajazdu przy rogatce Bożego Ciała. Ksiądz wynajął tam mulicę, usiadł w kulbace i powiedział, Jadę do Sao Sebastiao da Pedreira zobaczyć moją maszynę, jeśli chcesz jechać ze mną, to mulica udźwignie nas obu. Pójdę, ale pieszo, jestem przecież z piechoty. Jesteś człowiekiem w stanie naturalnym, nie dla ciebie podkowy mulicy ani skrzydła *passaroli*. To tak się nazywa ta maszyna, spytał Baltazar, ksiądz zaś odrzekł, Tak pogardliwie ją nazywają.

Ruszyli pod górę w stronę kościoła Św. Rocha, a następnie okrążając wysokie wzgórze Taipas zeszli przez plac Alegria aż do Valverde. Siedem Słońc bez trudu dotrzymywał kroku mulicy, tylko na równym terenie zostawał nieco w tyle, ale szybko to nadrabiał na najbliższym wzniesieniu lub stoku. Mimo że od kwietnia, a więc od czterech miesięcy, nie spadła ani kropla deszczu, poczynając od Valverde wszystkie pola się zieleniły, było tam bowiem wiele nie wysychających źródeł i zdrojową wodą nawadniano zagony warzyw rozciągające się u wrót miasta. Gdy minęli klasztor św. Marty i św. Joanny Księżniczki, weszli między gaje oliwne, ale nawet i tam trafiały się uprawy warzyw, a brak naturalnych źródeł rekompensowały studnie z żurawiami wznoszącymi wysoko swoje cienkie szyje lub *norie* z zaprzęgniętymi do kieratu osłami, którym zawiązywano oczy, żeby im się zdawało, iż idą prosto przed siebie, bo ani one, ani ich właściciele nie wiedzieli, że gdyby rzeczywiście szły stale przed siebie, to też znalazłyby się z powrotem w tym samym miejscu, gdyż świat jest jak *norია* i ludzie chodzący po nim popychają go i wprawiają w ruch. Toteż nawet bez pomocy objawień nieobecnej już wśród nas Marii de Jesus można łatwo pojąć, że gdy zabraknie ludzi, świat stanie w miejscu.

Kiedy stanęli u wrót posiadłości, gdzie nie ma teraz ani księcia, ani jego służby, gdyż cały książęcy majątek został przejęty przez koronę i trwa właśnie proces o przywrócenie go rodowi Aveiro, a że sprawiedliwość jest nierychliwa, to trudno przewidzieć, kiedy książę wróci z Hiszpanii, gdzie przebywa i gdzie też jest księciem, tyle że nie "de Aveiro", ale "de Banhos", a więc kiedy — jako się rzekło — stanęli u wrót, ksiądz zsiadł z mulicy, wyciągnął z kieszeni klucz i otworzył bramę, zupełnie jakby był u siebie w domu. Wprowadził mulicę, u pyska podwiesił jej kosz ze słomą i strąkami bobu, rozsiodłał ją i przywiązał w cieniu, gdzie stała opędzając się gęstym ogonem przed muchami i gzami, podnieconymi smakołykiem przybyłym z miasta.

W pałacu wszystkie drzwi i okna były pozamykane, folwark zaniedbany, ziemia leżała odłogiem. Z jednej strony obszernego dziedzińca znajdował się budynek wyglądający na spichlerz, szopę czy piwnicę, ale jako że był pustym trudno było określić jego przeznaczenie, bo jeśli to miałby być spichlerz, to brak w nim było stert zboża, jeśli szopa, to gdzie narzędzia, a w piwnicach zawsze przecież są beczki. Drzwi były zamknięte na kłódkę, którą otwierało się kluczem powycinanym w ząbki przypominające arabskie pismo. Ksiądz odsunął zasuwę, pchnął drzwi i okazało się, że to obszerne pomieszczenie nie było całkiem puste, leżały tam bryty żagli, belki, zwoje drutu, paski blachy, wiązki wikliny, wszystko posegregowane, porządnie ułożone, pośrodku zaś było wolne miejsce i tam stało coś, co przypominało wielką muszlę najeżoną drutami lub kosz w trakcie wyplatania, z którego sterczą tworzące szkielet witki.

Baltazar wszedł w ślad za księdzem i z zaciekawieniem rozglądał się wokół, nie pojmując, co to wszystko znaczy, spodziewał się bowiem jakiegoś balonu czy jakichś skrzydeł wróbla w powiększeniu, może worka z piórami, ogarnęły go więc wątpliwości. A więc to jest to, a ksiądz Bartłomiej powiedział, To powinno być to, po czym otworzył skrzynię, wyjął z niej rulon papieru, który rozwinął i na którym był rysunek jakiegoś ptaka, chyba właśnie *passaroli*, z tym Baltazar mógł się zgodzić, ponieważ zaś rysunek najwyraźniej przedstawiał ptaka, uwierzył, że wszystkie te zgromadzone materiały, połączone odpowiednio w jedną całość, byłyby zdolne latać. Bardziej dla siebie samego niż dla Baltazara, który w rysunku nie widział nic ponad podobieństwo do ptaka i to mu wystarczało, ksiądz zaczął wyjaśniać, najpierw spokojnie, a później z rosnącym ożywieniem. To, co tu widzisz, to są żagle służące do łapania wiatru, można je ustawiać stosownie do okoliczności, tu znów jest ster do kierowania statkiem zgodnie z życzeniem wprawnej ręki sternika, a to jest kadłub latającej maszyny, na dziobie i na rufie w kształcie morskiej muszli znajdują się wyloty miechu, na wypadek gdyby zabrakło wiatru, jak to często zdarza się na morzu, tutaj są skrzydła, bez których statek powietrzny nie mógłby utrzymać równowagi, a o tych kulach nic ci nie powiem, to jest moja tajemnica, dość ci wiedzieć, że bez ich zawartości statek nie polecą, ale co do tego jeszcze nie mam pewności, a na tym drucianym sklepieniu zawiesimy kilka bursztynowych gałek, gdyż bursztyn bardzo dobrze reaguje na ciepło promieni słonecznych, co odpowiada moim celom, tu znów jest busola, bez niej nigdzie się nie zajędzie, a tu mamy bloki do rozwijania i zwijania żagli, tak jak na morskich statkach. Zamilkł na chwilę, po czym dodał, A kiedy wszystko zostanie złożone i dopasowane jedno do drugiego, polecę. Baltazara przekonywał rysunek, nie potrzebował wyjaśnień, z tej prostej przyczyny, że nie widząc wnętrza ptaka nie wiemy, dlaczego lata, a mimo to lata, a dlaczego,

dlatego że ptak ma kształt ptaka, nic prostszego, toteż ograniczył się do pytania, Kiedy. Jeszcze nie wiem, odpowiedział ksiądz, brak mi pomocnika, sam nie mogę wszystkiego zrobić, pewne prace przekraczają moje siły. Znów zamilkł na chwilę, po czym zapytał, Może ty chciałbyś mi pomóc. Baltazar w osłupieniu cofnął się o krok. Ja nic nie umiem, jestem wieśniakiem, a ponadto jedyna rzecz, jakiej mnie nauczyle, to zabijanie, a w dodatku teraz z tą ręką. Tą ręką i tym hakiem możesz robić wszystko, co chcesz, a nawet są rzeczy, które łatwiej zrobić tym hakiem niż zdrową ręką, hak nie czuje bólu, kiedy musi trzymać drut lub żelazo, ani się skaleczy, ani oparzy, powiem ci jeszcze, że Bóg jest jednoręki, a stworzył świat.

Baltazar cofnął się z przestrachem, szybko się przeżegnał, żeby nie kusić diabła, Co też mówicie, księżu Bartłomieju, czy gdzieś stoi napisane, że Bóg jest jednoręki. Nigdzie, nikt tego nie napisał, ja twierdzę, że Bóg nie ma lewej ręki, gdyż po jego prawicy, po prawicy, zasiadają wybrańcy, a nigdy się nie wspomina o jego lewicy, ani Pismo Święte, ani Doktorowie Kościoła, po lewicy Boga nikt nie zasiada, jest tam pustka, nicłość, nieobecność, a więc Bóg jest jednoręki. Ksiądz głęboko odetchnął i zakończył, Brak mu lewej ręki.

Siedem Słońc słuchał z uwagą. Popatrzył na rysunek i na rozrzucone wokół materiały, na niekształtną jeszcze muszlę, uśmiechnął się i unosząc nieco ręce powiedział, Jeśli Bóg jest jednoręki i mógł stworzyć świat, to ten oto bezręki człowiek może połączyć żagiel i drut, które mają latać.

Ale wszystko w swoim czasie. Na razie księdzu Bartłomiejowi brakuje pieniędzy, żeby kupić magnesy, które jego zdaniem sprawią, że *passarola* pofrunie, w dodatku trzeba je sprowadzić z zagranicy, toteż tymczasem za jego staraniem Siedem Słońc pracuje w jatce na placu Pałacowym przenosząc na grzbiecie poście mięsiwa, po ćwiartce wołowiny, po tuzinie prosiaków, po dwa barany, które wędrują z jednego haka na drugi, a po drodze zostawiają wielkie krwawe plamy na rogoży przykrywającej mu głowę i plecy, jest to więc brudne zajęcie, dobrze, że choć w nagrodę zawsze trafiają się jakieś resztki, nóżka wieprzowa czy ochłap flaków, a jak Bóg da i humor rzeźnika pozwoli, to nawet skrawki biodrówki, krzyżowej lub zrazowej, zawinięte w liść kapusty, dzięki czemu Baltazar i Blimunda czasem mogą pożywić się trochę lepiej niż zwykle, bo kto dzieli, to i wydzieli, a choć dzielenie nie było zajęciem Baltazara, zawsze coś na tym korzystał.

Lecz oto przyszedł już czas na królową Marię Annę. Jej brzuch nie jest w stanie bardziej urosnąć, choćby skóra nie wiem jak się rozciągała, jest niczym wielki balon, niczym okręt płynący do Indii, niczym flota brazylijska, od czasu do czasu król zasięga wiadomości co do żeglugi infanta, czy już go widać w oddali, czy niosą go dobre wiatry, czy może coś go

niepokoi, podobnie jak nasze eskadry niepokojone są przez Francuzów, którzy ostatnio zdobyli sześć statków handlowych i jeden okręt wojenny, bo też doprawdy wszystkiego można się spodziewać po tych naszych dowódcach i konwojach, chodzą nawet słuchy, że ciż sami Francuzi zamierzają czekać na pozostałe statki przy wejściu do Pernambuco i Bahii, o ile już teraz nie czyhają na flotę, która miała wyjść z Rio de Janeiro. Tyle narobiliśmy odkryć, kiedy było co odkrywać, a teraz inni igrają z nami jak toreador z niedoświadczonym bykiem, a nie umiejącym jeszcze bóść, chyba że przypadkiem. Do królowej Marii Anny też docierają różne złe wieści o wydarzeniach sprzed miesiąca albo i dwóch, kiedy infant w jej łonie był zaledwie czymś w rodzaju galaretowatej masy, kijanki czy też głowiastego kielka, to wprost nadzwyczajne, jak mężczyzna i kobieta formują się we wnętrzu jaja, zupełnie obojętni na świat zewnętrzny, z którym przecież przyjdzie im się zmierzyć, w charakterze króla lub żołnierza, mnicha lub mordercy, Angielki z Barbados lub skazanej z Rossio, tak czy siak, bo zawsze kimś się jest, czy się chce, czy nie, gdyż prawdę mówiąc od wszystkiego można uciec, tylko nie od samego siebie.

Ale z żegluga portugalską nie pod każdym względem jest aż tak źle. Przed kilkoma dniami przybył dawno oczekiwany statek z Makao, który wyruszył z Lizbony przed dwudziestoma miesiącami, ile to już czasu, Siedem Słońc był wtedy jeszcze na wojnie, a podróż ta była szczęśliwa mimo dalekiego rejsu, Makao znajduje się przecież hen za Goa, w Chinach, ziemi wszelkiej obfitości i pomyślności, która przewyższa wszystkie inne pod względem dostatków i bogactw, opływa w tanią żywność, klimat zaś ma tak łagodny i zdrowy, że nie znane są tam żadne dolegliwości czy choroby, dlatego też Chińczycy nie mają lekarzy ani chirurgów, każdy umiera po prostu ze starości, kiedy organizm już się wyczerpie, bo też nie może służyć wiecznie. Statek zabrał z Chin mnóstwo bogactw i drogocенności, następnie sprzedał je w Brazylii, gdzie załadował cukier, tytoń i bardzo dużo złota, na to wszystko starczył mu trwający dwa i pół miesiąca postój w Rio, później w ciągu pięćdziesięciu siedmiu dni przyplłynął tutaj i jest wręcz cudem, że podczas tak długiej i niebezpiecznej podróży nikt nie zachorował ani nie umarł, najprawdopodobniej nie bez znaczenia była tu codzienna msza odprawiana w intencji podróży do Matki Boskiej Miłosiernego Serca, w dodatku sternik nawet nie pomylił drogi, mimo że jej nie znał, co wprost w głowie się nie mieści, toteż powszechnie już się mówi, że najlepsze interesy można zrobić w Chinach. Ale jako że nie wszystko na tym świecie jest doskonałe, przyszła wiadomość o walkach między mieszkańcami Pernambuco i Recife, którzy codziennie staczają bitwy, niektóre bardzo krwawe, doszło nawet do tego, że podpalili lasy i spłonęły wszystkie plantacje trzciny cukrowej i tytoniu, przez co król poniósł wielkie straty.

Wszystkie te nowiny docierają czasami i do królowej, ale są jej zupełnie obojętne, gdyż popadła w ciążowe odrętwienie, buja w innym świecie i jest jej wszystko jedno, czy ją o czymś informują, czy nie, nawet z początkowej chluby, jaką odczuwała z powodu macierzyństwa, zostało tylko blade wspomnienie, tylko dalekie echo wybuchu dumy rozsadzającej ją w pierwszych dniach, kiedy wydawało się jej, że jest jednym z owych galionów zdobiących dzioby statków, co to choć nie sięgają wzrokiem zbyt daleko, od tego jest przecież luneta i majtek na bocianim gnieździe, to jednak widzą najgłębiej. Każda brzemienna kobieta, tak zwykła śmiertelniczka, jak królowa, ma w swoim życiu taką chwilę, kiedy czuje się mądra całą mądrością świata, choć nie potrafi tego wyrazić słowami, lecz później, w miarę puchnięcia brzucha i nasilania się różnych dolegliwości, nie myśli o niczym innym, jak tylko o dniu porodu, a nie zawsze są to myśli wesole, często dręczą ją złe przecucia, w takich jednak przypadkach wielce pomocny okazuje się zakon Franciszkanów, który nie chce stracić obiecanego klasztoru. Wszystkie kongregacje Prowincji Arrabida prześcigają się w mszach, nowennach i modłach w intencjach ogólnych i szczególnych, jawnych i ukrytych, żeby infant przyszedł na świat szczęśliwie i w dobrej godzinie, żeby nie miał żadnej widocznej czy ukrytej wady i żeby potomek był płci męskiej, wtedy to nawet jakaś niewielka skaza będzie wybaczalna, o ile nie zostanie uznana za szczególny znak boży. Ale przede wszystkim dlatego, że męski potomek sprawiłby większą przyjemność królowi.

Jednak król Jan V będzie musiał się zadowolić dziewczynką. Nie zawsze można mieć wszystko naraz, ileż to razy człowiek modli się o jedno, a dostaje drugie, taka już jest tajemnica modłów, ślemy je do góry z jakimś życzeniem, ale one wybierają własną drogę, czasem zwlekają, przepuszczając przodem inne wypowiedziane później, a bywa i tak, że się między sobą żenią, z czego rodzą się modlitwy czystej rasy lub metysy, niepodobne ani do ojca, ani do matki, kiedy indziej znów kłócą się między sobą, zatrzymują się w pół drogi, dyskutując sprzeczności, stąd też się zdarza, że człowiek prosił o chłopca, a dostaje dziewczynkę, choć nawet zdrową, silną i o mocnych płucach, czego świadectwem są jej krzyki. Mimo to całe królestwo jest ogromnie szczęśliwe, nie tylko dlatego że urodził się dziedzic korony i z tego powodu zarządzono trzydniowe obchody z fajerwerkami, lecz także dlatego że biorąc pod uwagę występujące niekiedy uboczne działania modłów na siły przyrody, mogące nawet przybrać postać wielkiej suszy, jak ta ostatnia, która trwała od ośmiu miesięcy, zapewne tylko z tej przyczyny trudno przypuścić, aby było inaczej, jako że gdy tylko ustały modły, zaczęło padać, toteż już się nawet mówi, że narodziny infantki zwiastują pomyślność, teraz bowiem tak leje, że tylko Bóg, uwolniony wreszcie od naszych natarczywych prośb, mógł to sprawić. Chłopi już rozpoczęli orkę, pracują nawet w deszcz,

skiby wyłaniają się z wilgotnej ziemi niby dzieci wychodzące z łona matki, a że nie umieją krzyczeć jak one, dyszą tylko, gdy rozdziera je pług, kładą się na bok i wystawiają lśniące grzbiety na deszcz, który znacznie osłabł, przechodząc w ledwie wyczuwalną mżawkę, dzięki czemu ugór mający przyjąć siew nie straci kształtu nadanego mu przez orkę. Ten poród jest bardzo łatwy, wszakże nie może nastąpić bez tego, czego wymagają również inne — wysiłku i nasienia. Wszyscy mężczyźni są królami, królowymi wszystkie kobiety, książętami zaś ich dzieła.

Nie należy jednak zapominać o różnicach, i to licznych. Księżniczkę ochrzczono w dniu Matki Boskiej Brzemiennej, co nie bardzo pasowało do sytuacji, królowa bowiem już się uwolniła od swojego brzemienia. Tego dnia można też było zauważyć, że nie wszyscy książęta są sobie równi, czego wyrazem jest uroczysta pompa, jaka towarzyszy nadawaniu imion i udzielaniu sakramentów niektórym z nich, ot, choćby teraz, pałac i kaplica królewska są całe przystrojone tkaninami i złotem, dwór natomiast w tak wielkiej gali, że spod mnóstwa ozdób ledwie można odróżnić rysy i sylwetki strojniś i fircyków. Orszak królowej sunie do kościoła przez salę Germańską, za damami kroczy książę Cadaval w ciągnącym się po ziemi płaszczu, pod baldachimem niesionym przez wysoko utytułowanych wielmożów i królewskich doradców, a kogóż to trzyma książę w ramionach, samą infantkę w lnianych powijakach, tonących we wstążkach i kokardach, dalej idzie wyznaczona niańka, czyli stara hrabina Santa Cruz, i wszystkie pozostałe damy dworu, zarówno te piękne, jak i te mniej ładne, następnie kilku markizów wraz z synem księcia, to oni właśnie niosą obrzędowe atrybuty — serwetę, solniczkę, olej i tak dalej, każdemu coś tam się dostało.

Chrzest celebrowało siedmiu biskupów, wyglądających niczym siedem złocistych i srebrzystych słońc na stopniach głównego ołtarza, nadali jej imiona Maria Ksawera Franciszka Lenora Barbara, poprzedzone tytułem *Doña*, skoro już teraz, choć jest zaledwie śliniącym się niemowlęciem, już ją tak tytułują, to czymże będzie, gdy dorośnie, w każdym razie na początek dostała krzyżyk wysadzany brylantami, który ofiarował jej stryj, infant Franciszek, jej chrzestny ojciec, co go kosztowało pięć tysięcy *cruzados*, tenże książę Franciszek, jako kum, podarował matce noworodka pióro do kapelusza, co oczywiście było czysto kurtuazyjnym gestem, ale prócz tego dał jej również diamentowe kolczyki francuskiej roboty, które już kosztowały niebagatelną sumę, bo prawie dwadzieścia pięć tysięcy *cruzados*.

Tego dnia król zstąpił nieco z wysokości swego majestatu i wysłuchał mszy nie kryjąc się za żaluzjami, lecz wystawiając swoją osobę na widok publiczny, i to w dodatku nie we własnej łoży, ale w łoży królowej, okazując tym sposobem, jak wielkim darzy ją szacunkiem,

dzięki czemu szczęśliwa matka znalazła się u boku szczęsnego ojca, choć w trochę niższym fotelu, a wieczorem były fajerwerki. Siedem Słońc zszedł wraz z Blimundą z zamkowego wzgórza, żeby zobaczyć ognie i dekoracje, pałac przybrany gobelinami oraz haki ufundowane przez cechy rzemieślnicze. Jest bardziej niż zwykle zmęczony, być może od przenoszenia wielkich ilości mięsa na bankiety, które się odbyły z okazji urodzin, i na te, które się odbędą z okazji chrzcin. Od nadmiaru wysiłku przy przesuwaniu, podciąganiu w górę i wleczeniu po ziemi boli go lewa ręka. Hak spoczywa teraz w sakwie przewieszanej przez ramię. Blimunda trzyma go za prawą rękę.

W ostatnich miesiącach umarł błogosławioną śmiercią brat Antoni od św. Józefa. A zatem nie będzie już mógł przypominać królowi o ślubowaniu, chyba że zacznie nawiedzać go w snach, ale nie ma obawy, znamy przecież wszyscy dewizę: biednemu nie pożyczaj, od bogatego nie bierz, a mnichowi nie obiecuj, a ponadto król Jan V dotrzymuje słowa. Będziemy więc mieć klasztor.

Baltazar śpi z prawej strony siennika, tak jest od pierwszej nocy, ponieważ po tej stronie ma zdrową rękę i odwracając się do Blimundy może ją przytulić, przesunąć palcami od karku do pasa albo jeszcze niżej, gdy w nocy zmysły obydwójga rozpalą się pod wpływem ciepła i sennych marzeń lub gdy już płonęły, nim jeszcze poszli spać, jako że ta para, pozostająca z własnej woli w nielegalnym, nie uświęconym kościelnymi sakramentami związku, mało dba o formy i konwenanse, toteż gdy jemu przyjdzie ochota, ona też jej nabiera, a gdy ona go zapragnie, on także pragnie jej. Możliwe, że wiąże ich jakiś inny tajemny sakrament, może znak krzyża nakreślony krwią utraconego dziewictwa, gdy odpoczywali leżąc obok siebie, wbrew przyjętym zwyczajom nadzy jak ich matka stworzyła, i gdy przy żółtym świetle oliwnej lampki Blimunda zwilżyła palec w świeżej krwi, która po udach spłynęła na siennik, była to jakby wspólna komunia, o ile nie jest herezją mówić coś takiego, a tym bardziej robić. Od tego czasu upłynęło już wiele miesięcy, jest już inny rok, deszcz bębni po dachu, silny wiatr hula nad rzeką i zalewem, a choć świt już blisko, nadal jest ciemno jak w nocy. Kogo innego mogłoby to zmylić, ale nie Baltazara, on zawsze budzi się o tej samej porze, jest to nawyk czujnego żołnierza, bacznie obserwującego wyłaniające się powoli z ciemności zarysy rzeczy i ludzi, pierś przepęlnia mu kojący spokój, unosi ją pierwsze tego dnia westchnienie, szpary zaczynają niewyraźnie szarzeć, aż wreszcie jakiś szmer budzi Blimundę i wówczas rozlega się inny nieomylny odgłos, to Blimunda je chleb, a po przełknięciu ostatniego kęsa otwiera oczy, obraca się do Baltazara, opiera głowę na jego ramieniu, lewą dłoń kładzie w miejsce, gdzie jemu brak dłoni, ręka na ręce, puls na pulsie, tak oto życie w miarę swoich możliwości naprawia to, czego dokonała śmierć. Ale dziś będzie inaczej. Już raz i drugi Baltazar pytał Blimundę, dlaczego je chleb każdego ranka, nim otworzy oczy, prosił też księdza Bartłomieja Wawrzyńca o wyjaśnienie tej tajemnicy. Blimunda kiedyś powiedziała mu, że przywykła do tego od dziecka, ksiądz zaś, że chodzi o wielką tajemnicę, tak wielką, że w porównaniu z tym latanie jest drobnostką. Dziś się to wyjaśni.

Zawsze po przebudzeniu Blimunda wyciąga rękę po woreczek wiszący u wezglowia, w którym ma zwyczaj trzymać chleb, ale tym razem napotyka puste miejsce. Szuka po omacku na podłodze, na sienniku, pod Jaśkiem i wówczas słyszy głos Baltazara, Nie masz co szukać, bo i tak nie znajdziesz, ona zaś zasłaniając oczy zaciśniętymi pięściami błaga go, Daj mi chleb, Baltazarze, daj mi chleb, zlituj się nade mną. Najpierw musisz mi powiedzieć, co to są za sekrety. Nie mogę, krzyknęła, usiłując stoczyć się z siennika, wówczas Siedem Słońc schwycił ją zdrową ręką i objął w pół, Blimunda próbowała się wyrwać, ale przycisnął ją

prawą nogą i wolną dzięki temu ręką próbował oderwać jej pięści od oczu, lecz zaczęła znów przeraźliwie krzyżeć, Nie rób mi tego, a jej krzyk był tak przejmujący, że Baltazar przestraszył się i puścił ją, czując prawie wyrzuty sumienia z zadanej przemocy. Nie chcę ci zrobić nic złego, chciałbym tylko wiedzieć, co to są za tajemnice. Daj mi chleb, a wszystko ci powiem. Przysięgasz, cóż po przysięgach, jeśli nie wystarcza zwykłe tak lub nie. No to masz, jedz. Baltazar wyciągnął mieszek z sakwy, która służyła mu za Jasiak.

Przesłaniając oczy ręką Blimunda zjadła wreszcie chleb. Przeżuwała go powoli. Gdy skończyła, odetchnęła głęboko i otworzyła oczy. Szary pokój zbłękitniał w świetle poranka, tak zapewne pomyślałby Baltazar, gdyby potrafił myśleć o takich rzeczach, ale zamiast rozmyślać o podobnych subtelnościach, dobrych w pałacowych przedpokojach lub w rozmównicach zakonnich, dużo lepiej było poczuć własną gorącą krew w chwili, gdy Blimunda odwróciła się do niego i spojrzała tymi swoimi oczami, ciemnymi, rozbłyskującymi zielonymi ognikami, jakież znaczenie mogą mieć teraz jakiegokolwiek tajemnice, czyż nie lepiej na nowo zgłębić tę, którą już znał, tajemnicę ciała Blimundy, tamto można odłożyć do innej okazji, gdyż ta kobieta jeśli coś obieca, to dotrzymuje słowa, ona zaś powiedziała, Pamiętasz, jak pierwszy raz, gdy spaliśmy razem, powiedziałeś, że zajrzałam ci do wnętrza. Pamiętam. Nie zdawałeś sobie nawet sprawy z tego, co mówisz, ani nie zrozumiałeś dobrze mojej odpowiedzi, kiedy cię zapewniłam, że więcej nigdy ci nie zajrzę do wnętrza. Baltazar zastanawiając się nad sensem tych słów nie zdążył jeszcze odpowiedzieć, a już usłyszał inne, niewiarygodne słowa, Ja mogę zaglądać ludziom do wnętrza.

Siedem Słońc z niedowierzaniem i niepokojem uniósł się nieco na sienniku, Kpisz sobie ze mnie, nikt nie może zaglądać drugim do wnętrza. Ja mogę. Nie wierzę. Najpierw za wszelką cenę chciałeś się dowiedzieć, teraz już wiesz i mówisz, że nie wierzysz, może to i lepiej, ale na przyszłość nigdy nie zabieraj mi chleba. Uwierzę, jeśli natychmiast mi powiesz, co mam teraz w sobie. Nie widzę nic, o ile nie jestem na czczo, a poza tym przyrzekłam, że nigdy nie zajrzę ci do wnętrza. Powtarzam, że kpisz sobie ze mnie. A ja ci powtarzam, że to prawda. Jak mogę się o tym przekonać. Jutro rano nie będę jeść, wyjdziemy z domu i będę ci opowiadać o wszystkim, co zobaczę, ale na ciebie nie spojrzę, ani ty sam też nie staniesz ze mną twarzą w twarz, zgadzasz się na to. Zgadzam się, odpowiedział Baltazar, ale powiedz mi, na czym polega ta tajemnica, skąd masz taką moc, o ile mnie nie oszukujesz. Jutro przekonasz się, że mówię prawdę. A nie boisz się Świętego Oficjum, inni zapłacili za dużo błahsze rzeczy. Mój dar nie ma nic wspólnego ani z kacerstwem, ani z czarami, moje oczy są zwyczajne. Ale twoja matka została wychłostana i zesłana, gdyż miała widzenia i objawienia, to od niej się nauczyłaś. Nie, to nie to samo, ja widzę tylko to, co jest na świecie, nie widzę

tego, co jest poza nim, ani nieba, ani piekła, nie odmawiam żadnych modlitw, nie wykonuję żadnych gestów rękami, tylko widzę. Ale przeżegnałaś się swoją własną krwią i narysowałaś mi nią krzyż na piersi, czy to nie czary. Dziewicza krew jest jak woda, którą się chrzci, zrozumiałam to, kiedy we mnie wszedłeś, a gdy poczułam, że płynie, odgadłam te gesty, Jaka jest twoja moc. Widzę, co jest wewnątrz ludzkich ciał i czasem to, co jest w głębi ziemi, widzę to, co jest pod skórą, a czasem nawet pod ubraniem, ale tylko wtedy gdy jestem na czczo, tracę ten dar, gdy księżyc zmienia kwadrę, ale wkrótce wraca, dużo bym dała za to, żeby go nie mieć. Dlaczego. Dlatego że to, co kryje się pod skórą, nie jest przyjemne do oglądania. Nawet dusza. Czy widziałaś kiedyś duszę. Nigdy. Może jednak dusza nie znajduje się wewnątrz ciała. Nie wiem, nigdy jej nie widziałam. Być może nie można jej zobaczyć. Być może, a teraz zostaw mnie, zabierz tę nogę, bo chcę wstać.

Przez cały dzień Baltazara nawiedzały wątpliwości, czy rzeczywiście cała ta rozmowa miała miejsce, czy może był to tylko sen, albo po prostu Blimundzie to się przyśniło. Patrzył na wielkie zwierzęta, jeszcze nie poćwiartowane, wiszące na hakach, wyteżał wzrok i nie widział nic ponad obdarte ze skóry, sine, nieprzezroczyste mięso, a kiedy rozłożone na ladzie kawałki i porcje rzucano na wagę, uświadomił sobie, że dar Blimundy jest bardziej karą niż nagrodą, wewnątrz bowiem tych zwierząt rzeczywiście nie cieszyło oczu, podobnie jak nie cieszyłby widok wnętrza tych, którzy przychodzą po mięso, ani tych, którzy je sprzedają, krają czy też noszą, tak jak to robi Baltazar. Zresztą na wojnie widział to samo, co tu, bo żeby sprawdzić, co jest w środku, zawsze konieczny jest topór lub pocisk armatni, siekiera lub klinga szabli, nóż lub kula, które rozrywają delikatną skórę, co jest znacznie boleśniesz niż utraty dziewictwa, obnażają kości i kiszki, lecz tą krwią nie warto się żegnać, nie zwiastuje bowiem życia, ale śmierć. Wszystkie te myśli są chaotyczne, same by to przyznały, gdyby je uporządkować i oczyścić z uboczności, nawet nie warto pytać, O czym myślisz, Baltazarze, ponieważ odpowiedziałby z pełnym przekonaniem, O niczym, a jednak myślał o tym wszystkim i jeszcze o innych rzeczach, bo przypomniał sobie własne białe kości w rozdartym ciele, kiedy go zabierali na tyły, później dłoń leżącą na ziemi, odsuniętą na bok przez nogę chirurga, Dawać następnego, a ten nieszczęśnik, którego wnoszą, wyjdzie stąd w dużo gorszym stanie, gdyż straci obydwie nogi, o ile w ogóle ujdzie z życiem. A jemu zachciewa się zgłębiać tajemnice, właściwie po co, skoro powinno mu wystarczyć to, że budząc się rano czuje przy sobie rozbudzoną lub śpiącą kobietę, którą mu zesłał los i ten sam los jutro ją zabierze, kto wie, czy do innego łóżka, na siennik leżący na ziemi, tak jak ten, czy też do łoża zdobnego złotymi inkrustacjami i festonami, bo przecież ich nie brak, wybierać i przebierać, do wyboru, do koloru, czyż zatem nie jest szaleństwem albo diabelską pokusą pytać ją,

Dlaczego jesz chleb z zamkniętymi oczami, bo jeśli jedząc go jesteś ślepa, jedz go, Blimundo, żebyś tyle nie widziała, bo widzieć tak, jak ty widzisz, to wielkie nieszczęście, to może być trudne do zniesienia. A ty, Baltazarze, o czym myślisz, O niczym, nie myślę o niczym, nie wiem nawet, czy kiedykolwiek o czymkolwiek myślałem. Hej, Siedem Słońc, przyciągnij no tutaj ten płat słoniny.

Ani jedno, ani drugie nie spało tej nocy. Rozwidniło się, a oni dalej leżeli, Baltazar wstał tylko na chwilę, żeby zjeść trochę zimnych skwarków i wypić kubek wina, potem znów się położył, Blimunda zaś leżała spokojnie z zamkniętymi oczami przedłużając post, aby wyostrzyły się lancety jej oczu, aby były jak najcieńsze sztylety, bo kiedy wreszcie ujrzy światło słoneczne, ma widzieć, a nie zwyczajnie patrzeć, jak to robią ci, którzy choć mają oczy, są jednak w pewnym sensie ślepi. Minał ranek, przyszła pora obiadu i Blimunda wreszcie wstała, powieki ma spuszczone, Baltazar zjadł drugi posiłek, ona zaś, by widzieć, musi być na czczo, jemu i tak na nic by to się zdało, wychodzą z domu, dzień jest tak pogodny, że aż nie pasuje do sytuacji, Blimunda idzie przodem, Baltazar za nią, tak aby go nie widziała, ale żeby słyszał, kiedy będzie mówić o tym, co widzi.

Ona zaś mówi, Ta kobieta, która siedzi na schodku przy drzwiach, ma w brzuchu dziecko płci męskiej, ale chłopiec ma szyję dwukrotnie owiniętą pępowiną, może równie dobrze przeżyć, jak i umrzeć, tego nie wiem, a ta ziemia, po której idziemy, z wierzchu jest pokryta czerwoną gliną, pod nią jest biały piasek, dalej czarny piasek, później żwir, a na samym dnie jest granitowy kamień, w którym jest duże zagłębienie wypełnione wodą, a w nim szkielet ryby większej ode mnie, ten staruszek, który przeszedł, podobnie jak ja ma pusty żołądek, ale w przeciwieństwie do mnie traci wzrok, a znów ten młody mężczyzna, który na mnie spojrzał, ma członek zżarty przez chorobę weneryczną, ropiejący, zawinięty w szmaty, a mimo wszystko uśmiecha się, to męska próżność kazała mu spojrzeć na mnie i uśmiechnąć się, obyś tylko ty, Baltazarze, nie ulegał podobnej próżności i obyś zawsze zbliżał się do mnie czysty, a tam znów idzie zakonnik, który ma w kiszkach solitera, musi go żywić jedząc za dwóch lub trzech, chociaż nawet gdyby go nie miał, i tak jadłby za dwóch albo i trzech, teraz spójrz na tych mężczyzn i na te kobiety, klęczących przy kapliczce Św. Kryspina, ty jesteś w stanie zobaczyć tylko to, że robią znaki krzyża, usłyszeć uderzenia w piersi i bicie po twarzach, gdyż na znak pokuty policzkują tak siebie samych, jak i innych, ale ja widzę worki ekskrementów i robaków, a jeden z nich ma w gardle guz, który go udusi, jeszcze o tym nie wie, dowie się jutro, ale już będzie za późno, dziś zresztą też, bo nie ma na to lekarstwa. Ale skąd ja mam wiedzieć, że to wszystko prawda, jeżeli mówisz o rzeczach, których nie mogę zobaczyć na własne oczy, spytał Baltazar, Blimunda zaś odpowiedziała, Zrób szpikulcem

dołek, o tu, w tym miejscu, a znajdziesz srebrną monetę, Baltazar zrobił dołek i znalazł, Pomyliłaś się, Blimundo, to jest złota moneta. Tym lepiej dla ciebie, nie mogłam ryzykować, bo zawsze myślę srebro ze złotem, ale odgadłam, że jest to cenna moneta, czegoż więc jeszcze chcesz, masz prawdę i korzyść, a gdyby przechodziła tędy królowa, powiedziałabym ci, że powtórnie jest w ciąży, ale jeszcze za wcześnie, żeby stwierdzić, czy będzie to chłopiec, czy dziewczynka, moja matka mawiała, najgorzej raz zapłodnić łono kobiety, bo natychmiast domaga się jeszcze i jeszcze, a teraz ci powiem, że zaczęła się zmiana kwadry księżyca, bo czuję, że pieką mnie oczy, i widzę jakieś żółte cienie, które przesuwają się niby rząd wszy przebijających nóżkami, są żółte i gryzą mi oczy, zmiłuj się, Baltazarze, zaklinam cię na zbawienie duszy, zaprowadź mnie do domu, daj mi jeść i połóż się ze mną, będąc przed tobą nie mogę cię widzieć i nie chcę cię widzieć od wewnątrz, chcę tylko na ciebie patrzeć, na twoją smagłą, brodatą twarz, na zmęczone oczy i usta, zawsze takie smutne, nawet gdy leżysz obok mnie i mnie pożadasz, zaprowadź mnie do domu, Baltazarze, będę szła za tobą, ale ze spuszczonej oczami, ponieważ już raz przysięgłam, że nie zajrzę ci do wnętrza, i tak też będzie, niech mnie spotka ciężka kara, jeśli kiedykolwiek to zrobię.

Teraz i my sami otworzymy szeroko oczy, bo nadszedł czas, żeby popatrzeć na infanta Franciszka, który z wychodzącego prosto na Tag pałacowego okna mierzy z fuzji do marynarzy znajdujących się na rejach statków tylko po to, by udowodnić, jak dobrze celuje, i gdy trafia, krwawiący ludzie spadają na pokład, częstokroć już martwi, gdy zaś chybia, to i tak łamią sobie kości, infant klaszcze więc z niepohamowanej uciechy, a służba tymczasem ponownie ładuje broń, może nawet któryś ze służących ma brata wśród tych marynarzy, ale z tej odległości zew krwi jest niestyszalny, kolejny strzał, kolejny krzyk i upadek, bosman jednak nie ośmiela się kazać zejść marynarzom, by nie rozgniewać jego wysokości, a poza tym, bez względu na straty w ludziach, manewr musi być wykonany, ale mówiąc, że się nie ośmiela, zachowujemy się jak naiwny obserwator patrzący na wszystko z oddali, bo z pewnością nawet nie zaświta mu w głowie choćby taka oto zwykła ludzka myśl, Ten skurwysyn strzela do moich marynarzy, a morze unosi ich ciała w nowe podróże odkrywcze do odkrytych już Indii lub Brazylii, toteż zamiast tego rozkazuje szorować pokład, trudno doprawdy coś tu jeszcze dodać, powtarzanie w kółko tego samego staje się w końcu nudne, jeśli bowiem marynarz ma zostać trafiony kulą francuskiego korsarza poza zalewem Tagu, to lepiej, żeby został trafiony tutaj, bo ranny czy martwy zawsze jednak jest u siebie w domu, a skoro już mowa o francuskich korsarzach, sięgnijmy wzrokiem jeszcze dalej, aż do Rio de Janeiro, dokąd wpłynęła nieprzyjacielska armada, i to bez jednego wystrzału, gdyż Portugalczycy spali właśnie podczas sjeisty, i to zarówno zarządzający sprawami morskimi,

jak i lądowymi, Francuzi mogli więc spokojnie rzucić kotwice i wejść do miasta, gdzie naprawdę poczuli się zupełnie jak u siebie w domu, czego dowodem jest fakt, że gubernator wydał natychmiast formalny zakaz wywożenia czegokolwiek z domów, musiał mieć w tym jakieś swoje racje, między innymi podyktowane strachem, toteż Francuzi grabili wszystko, co im wpadło w ręce, a to, czego nie załadowali na statki, wystawiali na sprzedaż na placu i nie brakło ludzi kupujących to, co przed godziną im zrabowano, doprawdy trudno o większą bezczelność, mało tego, podpalili urząd podatkowy i udali się też do lasu, Żydzi bowiem donieśli im, gdzie znajduje się złoto zakopane przez pewne ważne osobistości, i pomyśleć, że Francuzów było zaledwie dwa czy trzy tysiące, a naszych dziesięć tysięcy, ale o czym tu mówić, skoro gubernator był z nimi w zмовie, wśród Portugalczyków nieraz znajdowali się zdrajcy, chociaż pozory mylą, bo na przykład wspomniani już żołnierze z Beiry, którzy dezercerowali do nieprzyjaciela, w istocie wcale nie dezercerowali, raczej poszli tam, gdzie dali im jeść, inni znów pouciekali do domów, co trudno nazwać zdradą, skoro zawsze tak się dzieje, bo jak ktoś chce żołnierzy wysyłać na śmierć, powinien przynajmniej za życia dać im wikt i przyodziewek, tamci zaś wałęsali się bosi, bez żadnej musztry, bez dyscypliny, bardziej skorzy zastrzelić własnego kapitana niż do zranienia jakiegokolwiek Kastylijczyka po tamtej stronie, a teraz, jeśli chcemy się pośmiać z tego, co te nasze oczy widzą, bo na świecie dzieją się różności, przypomnijmy sprawę trzydziestu statków francuskich, które, jako się rzekło, pojawiły się w okolicy Peniche, chociaż chodzą słuchy, że widziano je w Algarve, ale to też blisko, w każdym razie na skutek tych wątpliwości wzmocniono forty na Tagu i cała marynarka aż do nabrzeża Santa Apolonia znalazła się w stanie pogotowia, jakby statki mogły przyplłynąć z biegiem rzeki, z Santarem albo Tancos, bo po tych Francuzach wszystkiego można się spodziewać, a że nasza flota jest taka biedniutka, zwróciliśmy się o pomoc do paru statków angielskich i holenderskich, które ustawiły się u wejścia do zalewu w oczekiwaniu na wymagowanego nieprzyjaciela, jednak podobnie jak w czasach, mówiliśmy już o tym, kiedy zdarzyła się słynna historia z flotą dorszową, znów okazało się, że są to statki wiozące wino z Porto, i to wcale nie francuskie, lecz angielskie, które odbywały zwykły rejs handlowy, podczas dalszej podróży Anglicy pewnie zdrowo z nas się śmiali, stanowimy dla cudzoziemców niezły temat do kawałów, ale sami też doskonale potrafimy je robić, trzeba to przyznać, weźmy na przykład ten, który był tak ewidentny dla wszystkich, że nie trzeba było oczu Blimundy, aby go dostrzec, chodzi mianowicie o pewnego kleryka, co zwykł nawiedzać domy dobroczynnych kobiet, przyzwalających chętnie, żeby i im czyniono dobrze, toteż kleryk zaspokajał u nich zarówno potrzeby żołądka, jak i apetyt ciała, przy czym zawsze sumiennie odprawiał tę swoją mszę, na odchodnym zaś brał sobie wszystko, co mu wpadło

pod rękę, i robił to tak często, że pewna poszkodowana, której dużo więcej zabrał, niż dał, postarała się o nakaz aresztu, wtedy z rozkazu sędziego grodzkiego kilku pachołków i łapaczy udało się do domu, gdzie kleryk zadawał się z kolejnymi zacnymi kobietami, by go aresztować, lecz tak niedbale potraktowali swoje obowiązki, że nie zauważyli go w jednym z łóżek, gdzie się skrył, szukali zatem w innym, wydawało się im bowiem, że właśnie tam powinien się znajdować, dzięki czemu kompletnie nagi ksiądz jak strzała przebiegł schody, kuksańcami i kopniakami utorował sobie drogę zostawiając w tyle jęczących czarnoskórych pachołków, którzy kuśtykając pobiegli w ślad za owym okazem kleryka, boksera i ogiera w jednej osobie, on zaś mknął ulicą Strzelców, a wszystko działo się o ósmej rano, dobry początek dnia, nie ma co, na widok kleryka, umykającego niczym zając przed sforą czarnych pachołków, z okien i drzwi rozlegały się salwy śmiechu, wszyscy mogli podziwiać jego jędrną fujarkę z okazałymi przyległościami, wielkie nieba, męczyzna tak obdarzony przez naturę nie powinien służyć przy ołtarzu, ale kobietom w łóżku, widok ten był prawdziwym wstrząsem dla wielu mieszkanek, biedne panie były zupełnie zaskoczone, podobnie jak zaskoczone w swojej niewinności zostały te, które właśnie modliły się w kościele Conceicao Velha, gdzie zniecka wbiegł zdyszany ksiądz, wprowadzie w stroju niewinnego Adama, lecz jakże grzeszny, z rozkołysanym wielkim dzwonem i podrygującymi sygnaturkami, i raz, dwa, trzy, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zjawił się, mignął przed oczami i zniknął, w której to magicznej sztuczce dopomogli mu księża, gdyż go przygarnęli i umożliwili mu ucieczkę po dachach, już w ubraniu, co nikogo nie powinno dziwić, skoro franciszkanie z Xabregas wciągają w koszach kobiety prosto do swoich cel, gdzie się nimi zabawiają, a rzeczony kleryk na własnych nogach wchodził do domów kobiet, którym miał ochotę udzielić sakramentu, a więc i tym razem jak zwykle wszystko obraca się wokół grzechu i pokuty, nie tylko bowiem podczas wielkopostnej procesji pojawiają się na ulicach podniecające bicze, ileż to złych myśli mają teraz do wyznania panie mieszkające w dolnej części Lizbony, a także dewotki z Conceicao Velha przez to, że napawały oczy widokiem tak wspaniałego księdza, a policja za nim, łapać, trzymać, która nie chciałaby go złapać w pewnym wiadomym już celu, dziesięć ojczy nasz, dziesięć zdrowasiek, dziesięć reali jałmużny dla naszego patrona św. Antoniego, godzina leżenia krzyżem, na brzuchu, tak jak należy przy akcie skruchy, bo leżenie brzuchem do góry to pozycja niebiańskich rozkoszy, a podczas aktu skruchy myśli powinny unosić się coraz wyżej, myśli, nie spódnica, bo to byłby kolejny grzech.

Postługając się oczami każdy z nas widzi tylko tyle, na ile pozwala mu wzrok, częstokroć jest to tylko mała cząstka tego, co chciałby zobaczyć, kiedy indziej znów ujrzy coś przypadkiem, tak właśnie było z Baltazarem, który pracując w jatce mógł wyjść na plac

Pałacowy, aby w towarzystwie innych młodych ludzi zatrudnionych przy ćwiartowaniu i noszeniu tusz obejrzeć wjazd kardynała Nuno da Cunha, który z rąk króla ma otrzymać kapelusz kardynalski, towarzyszy mu legat papieski, który siedzi w lektyce wybitej karmazynowym aksamitem, ze złotymi pasamonami, złożonym filunkiem oraz insygniami kardynalskimi po obu stronach, obok zaś sunie przepyszna karoca, w której nikt nie jedzie, sam tylko przepych, dalej kolaska koniuszego, prywatnego sekretarza i kapelana, którego zadaniem jest podtrzymywanie w stosownych chwilach ogona kardynalskiej peleryny, następnie dwie karety kastylijskie wypełnione po brzegi kapelanami i paziami, lektykę zaś poprzedza dwunastu lokai i cała ta masa ludzi, bo trzeba tu jeszcze dodać stangretów i tragarzy lektyki, służy jednemu tylko kardynałowi, o mało co nie zapomnieliśmy jeszcze o służącym, który idzie na przedzie niosąc srebrny pastorał, dobrze, że przypomniało nam się w porę, zaiste, szczęśny to lud, co rozkoszuje się takimi uroczystościami i wylęga na ulicę, by obejrzeć paradny pochód wszystkich szlachetnie urodzonych, którzy najpierw udali się do domu kardynała, a potem towarzyszyli mu aż do pałacu, dokąd Baltazar już nie może wejść ani też jego wzrok tam nie sięgnie, ale znamy już przecież możliwości Blimundy, wyobraźmy sobie zatem, że jest tu z nami i widzi kardynała idącego między dwoma rzędami gwardii, gdy dociera do ostatniej baldachimowej sali, król wychodzi mu naprzeciw, on zaś podaje mu święconą wodę, po czym w następnej sali król klęka na aksamitnej poduszce, kardynał także, na poduszce leżącej nieco z tyłu, i przy uroczystości przybranym ołtarzu kapelan pałacowy rozpoczyna mszę z całym ceremoniałem, po mszy legat wyciąga papieską nominację i wręcza królowi, który mu ją zwraca w celu odczytania, to z racji wymagań protokołu, a nie dlatego żeby król nie miał zacięcia do łaciny, następnie król bierze z rąk legata kardynalski kapelusz i wkłada go na głowę kardynała uginającego się od chrześcijańskiej pokory, no bo i pewnie, taka zażyłość z Bogiem to ciężar nie lada dla biednego człowieka, lecz to jeszcze nie koniec tych ceregieli, gdyż kardynał wychodzi, aby się przebrać, i wraca w purpurze stosownej do godności, wnet przemówi do króla siedzącego pod baldachimem, po dwakroć zdejmuje i wkłada kapelusz, tyleż razy król unosi swój, a przy trzecim robi cztery kroki w kierunku kardynała, wreszcie obydwaj wkładają nakrycie głowy i siadają jeden trochę wyżej od drugiego, zamieniają kilka słów, wreszcie przychodzi chwila pożegnania, znów zdejmują i wkładają kapelusze, po czym kardynał udaje się do apartamentów królowej, gdzie czynią mu te same honory, wszystko po kolei, aż wreszcie schodzi do kaplicy, gdzie wysłucha *Te Deum laudamus*, niech będzie pochwalony Bóg, który musi znosić podobne przedstawienie.

Po powrocie do domu Baltazar opowiada Blimundzie o wszystkim, co widział, po kolacji schodzą na plac Rossio, żeby zobaczyć zapowiedziane iluminacje, ale tym razem

poходni jest mało, być może pogasił je wiatr, najważniejsze jednak, że kardynał ma już swój kapelusz, przed snem położy go sobie u wezgłowia i jeśli wstanie w środku nocy, by popatrzeć nań bez świadków, nie potępiajmy za to księcia Kościoła, duma jest wszak rzeczą ludzką, a kardynalski kapelusz przysłany przez umyślnego z Rzymu i zrobiony na zamówienie byłby doprawdy przewrotną próbą dla pokory wielkich tego świata, gdyby nie to, że w ich pokorze można pokładać całkowitą wiarę, są bowiem rzeczywiście pokorni, skoro obmywają stopy biednych, jak to czynił i czynić będzie kardynał, jak to czynili i czynić będą król i królowa, a właśnie Baltazar ma podarte zelówki i brudne nogi, spełnia zatem pierwszy warunek, aby pewnego dnia kardynał lub król ukląkł przed nim z lnianymi serwetami, srebrnymi misami i wodą różaną, oczywiście o ile Baltazar spełni drugi warunek, to jest stanie się jeszcze biedniejszy, niż mu się to udało do tej pory, a ponadto jeszcze trzeci warunek, mianowicie musi zostać wybrany jako człowiek prawy i prawość głoszący. Na razie nie ma żadnych wiadomości na temat renty, o którą się ubiega, niewiele pomogły starania i protekcja księdza Bartłomieja Wawrzyńca, z jatki mogą go wyrzucić lada moment pod byle pretekstem, ale zawsze jeszcze może liczyć na klasztorną zupę i jałmużnę w bractwach, w Lizbonie trudno jest umrzeć z głodu, a tutejsi ludzie przywykli żyć o byle czym. Tymczasem urodził się infant Piotr, który jako drugie dziecko miał przy chrzcie tylko czterech biskupów, ale wygrał o tyle, że w ceremonii uczestniczył kardynał, którego jeszcze nie było w czasach chrztu siostry, rozeszła się też wiadomość, że podczas okrążenia Campo Maior zginęło wielu nieprzyjacielskich żołnierzy i niewielu naszych, chociaż niewykluczone, że jutro ogłoszą, że naszych było wielu, a tamtych niewielu, ale czy to nie wszystko jedno, skoro i tak trzeba będzie zdać rachunek, kiedy nastąpi koniec świata i zostaną policzeni zabici na wszystkich frontach. Baltazar opowiada Blimundzie własne wojenne przygody, ona zaś trzyma go za hak lewej ręki, tak jakby trzymała prawdziwą rękę, w każdym razie on tak to odczuwa, pamięć jego skóry czuje skórę Blimundy.

Król udał się do Mafry, aby wybrać miejsce pod budowę klasztoru. Zostanie wzniesiony na wzgórzu zwanym Vela, widać stąd morze, biją tam obfite słodkowodne źródła niezbędne dla przyszłych sadów i warzywników, bo tutejsi franciszkanie pod względem wspaniałych upraw nie zamierzają być gorsi od cystersów z Alcobacy, co prawda św. Franciszkowi z Asyżu wystarczyła pustelnia, ale on był święty i już dawno umarł. Módlmy się.

Siedem Słońc nosi teraz w sakwie jeszcze jeden żelazny przedmiot, jest to klucz od folwarku księcia Aveiro, przysłano już bowiem księdzu Bartłomiejowi rzeczony magnesy i choć brak jeszcze owych tajemniczych substancji, mógł wreszcie poczynić postępy w budowie latającej maszyny i zgodnie z umową zatrudnić Baltazara, który stał się prawą ręką Awiatora, jako że lewej nie potrzebował, skoro — według księdza — nawet sam Bóg jej nie ma, a ksiądz studiował przecież te wszystkie delikatne kwestie, więc wie, co mówi. Sao Sebastiao da Pedreira znajdowało się zbyt daleko, by chodzić tam co dzień, toteż Blimunda postanowiła, że obydwójce zamieszkają na folwarku. Niewiele traciła zostawiając swój dom — dach wsparty na trzech niepewnych ścianach, tylko czwarta była niezwykle solidna, gdyż był to po prostu mur zamkowy zbudowany przed wiekami, jeśli więc ktoś przechodząc tamtędy powie, Patrzcie, pusty dom, ale się w nim nie zainstaluje, to nim minie rok, ściany i dach się zawalą i w miejscu, gdzie mieszkała Sebastiana Maria de Jesus i gdzie oczy Blimundy po raz pierwszy ujrzały widowisko tego świata, bo przecież urodziła się na czczo, a więc w tym miejscu zostanie zaledwie parę kawałków nie wypalonych cegieł rozsypanych na ziemi.

Ich mienie było tak skromne, że na przeprowadzkę wystarczyła jedna podróż, wszystko bowiem sprowadzało się do zawiniątka, które Blimunda niosła na głowie, i tobołka, który Baltazar zarzucił sobie na plecy. Po drodze raz i drugi odpoczywali w milczeniu, cóż bowiem można mówić w chwilach, gdy nasze życie ulega zmianie, a tym bardziej gdy jednocześnie i my sami się zmieniamy. Co się zaś tyczy lekkości bagażu, to zawsze tak powinno być, że mężczyzna i kobieta mogą zabrać ze sobą wszystko co mają, a także swojego partnera, żeby potem nie wracać, bo zawsze to strata czasu, i basta.

W jednym z kątów szopy rozłożyli siennik i matę, w nogach postawili stołek, obok skrzynię, a granicę ich nowego terytorium wyznaczała linia wytyczona zasłonką zawieszoną na drucie, dzięki czemu było to rzeczywiście mieszkanie, które dawało poczucie intymności, gdy byli sami. Gdy zaś zjawiał się ksiądz Bartłomiej, a Blimunda nie zajmowała się akurat praniem czy gotowaniem, co wymagało przebywania przy studni lub w kuchni, ani też nie pomagała Baltazarowi podając mu młotek lub obcęgi, drut lub wiązkę wikliny, wówczas mogła skryć się w swoim zaciszu domowym, na co czasami mają ochotę nawet najzagorzalsze poszukiwaczki przygód, choć nie miewają przygód tak wielkich, na jaką tu się zanosi. Zasłonki służą także przy spowiedzi, spowiednik zostaje na zewnątrz, penitenci zaś kolejno, jeden po drugim, klękają po drugiej stronie, od wewnątrz, a więc w miejscu gdzie bezustannie obydwójce grzeszą pożądaniem, nie mówiąc już o tym, że żyją w konkubinacie,

słowo to jest doprawdy dużo gorsze niż sama sytuacja, z której zresztą ksiądz Bartłomiej bez trudu ich rozgrzeszył, sam bowiem popełnia dużo większy grzech, jakim jest pycha i ambicja uniesienia się pewnego dnia w przestworza, co do tej pory zrobił tylko Chrystus, Najświętsza Panna i kilku wybranych świętych, po to właśnie Baltazar składa pracowicie rozrzucone wokół części, gdy tymczasem Blimunda po drugiej stronie zasłonki mówi dość głośno, aby Siedem Słońc mógł usłyszeć, Nie mam żadnych grzechów do wyznania.

W okolicy nie brak kościołów, choćby augustianów bosych, który znajduje się w pobliżu, nic więc nie stoi na przeszkodzie, aby mogli też spełniać obowiązek uczestniczenia w mszy, gdy jednak zdarzy się, że księdza Bartłomieja zatrzymają kapłańskie obowiązki lub powinności i funkcje dworskie zajmą go bardziej niż zwykle, w dodatku że nie musi przecież przyjeżdżać tu co dzień, gdy więc zdarzy się, że ksiądz nie pospieszy, aby ożywić ogień wiary w chrześcijańskich duszach, bo takowe bez wątpienia mają zarówno Blimunda, jak i Baltazar, to jego tak pochłania maszyna, ją znów pranie i gotowanie, a ponadto obydwójce są tak pochłonięci namiętnością, którą zaspokajają na sienniku, że nierzadko zapominają o ofierze pańskiej i wcale się tym nie przejmują, co słusznie pozwala powątpiewać w to, czy rzeczywiście te dwie domniemane dusze można uznać za chrześcijańskie. Spędzają czas w szopie lub też wychodzą odetchnąć świeżym powietrzem, dookoła rozciąga się porzucony folwark, w którym drzewa owocowe dziczeją, jeżyny zarastają ścieżki, a w miejscu warzywnika wyrósł las wysokich traw i opuncji, ale Baltazar to wszystko skosił, Blimunda zaś motyką poprzecinała i wyciągnęła korzenie, z czasem więc ziemia powinna wynagrodzić ich pracę. Nie brak im też wolnego czasu, toteż gdy swędzenie staje się nieznośne, Baltazar kładzie głowę na kolanach Blimundy, a ona go iska, nie ma się tu czemu dziwić, wszy bowiem miewają również zakochani i konstruktorzy statków powietrznych, o ile w tamtej epoce już się używało tego określenia, bo na przykład teraz mówi się rozejm, a dawniej mówiło się mir. Tylko Blimundy nie ma kto iskać. Baltazar robi, co może, ale o ile ma wystarczająco zręczne ręce i palce, by znaleźć wesz, o tyle nie może sobie poradzić z ciężkimi, gęstymi włosami Blimundy w kolorze ciemnego miodu, ledwie je trochę rozsunie, zaraz wracają na swoje miejsce i uniemożliwiają polowanie. Życia jest pod dostatkiem dla wszystkich.

Praca nie zawsze idzie mu dobrze. Nie jest prawdą, że brak lewej ręki jest nieistotny. Jeżeli Bóg może się bez niej obejść, to dlatego że jest Bogiem, człowiek jednak potrzebuje obydwu rąk, ręka rękę myje, obydwie myją twarz, ileż to razy Blimunda musiała zmywać brud, który przyłgnął do wierzchu dłoni, inaczej by nie zszedł, takie oto nieszczęścia niesie wojna, choć bywają i dużo gorsze, bo iluż żołnierzy straciło obydwie ręce albo obie nogi, albo

też przyrodzenie i nie mają takiej drugiej Blimundy, która by im pomagała, albo może właśnie dlatego ją utracili. Hak doskonale nadaje się do tego, żeby zamocować żelazny pręt lub wygiąć wiklinę, szpikulec znów jest niezastąpiony przy robieniu remizek w żaglu, ale przedmioty nie są posłuszne człowiekowi, jeśli nie czują ciepła dotyku, gdyż wydaje im się, że ludzie, do których przywykli, przestali istnieć, zakłócona zostaje harmonia świata. Dlatego Blimunda często pomaga mu i gdy tylko się pojawia, rzeczy przestają się buntować. Jak dobrze, że przysłaś, mówi Baltazar, a może jest to tylko odczucie rzeczy, trudno stwierdzić z całą pewnością.

Od czasu do czasu Blimunda wstaje trochę wcześniej i nim zje codzienny kawałek chleba, przesuając się wzdłuż ściany, tak aby jej wzrok nie padł na Baltazara, odsuwa zasłonkę i idzie sprawdzić wykonaną pracę, znaleźć jakieś ukryte słabe miejsce w splotach wikliny, jakiś pęcherzyk powietrza we wnętrzu żelaza, i dopiero po skończonej inspekcji zaczyna przeżuwać jedzenie, stając się stopniowo równie ślepa, jak wszyscy inni ludzie, dostrzegający tylko to, co jest widzialne. Gdy zrobiła to po raz pierwszy, Baltazar powiedział potem księdzu Bartłomiejowi, Ten pręt się nie nadaje, jest pęknięty w środku. Skąd wiesz. Blimunda to wykryła, ksiądz odwrócił się do niej, uśmiechnął się, popatrzył to na jedno, to na drugie i oświadczył, Ty jesteś Siedem Słońce, ponieważ widzisz przy świetle, a ty będziesz Siedem Lun, gdyż widzisz w ciemnościach, tak więc Blimunda, która do tej pory nazywała się tak jak jej matka — Jesus, została ochrzczona jako Siedem Lun, i to nie przez byle kogo, ale przez księdza, nie jest to więc pierwszy lepszy przydomek. Tej nocy słońca i luno spały splecione w uścisku, podczas gdy gwiazdy z wolna wędrowały po niebie. Luno, gdzie się podziewasz, Słońce, dokąd zmierzasz.

Zdarza się, że ksiądz Bartłomiej Wawrzyniec przyjeżdża na folwark, by zrobić próbę przygotowywanego kazania, a to z racji dobrej akustyki pomieszczenia, każde słowo brzmi tu bowiem wyraźnie, bez zbytecznego pogłosu, który sprawia, że słowa zlewają się ze sobą i w rezultacie nie można zrozumieć, o co chodzi. Tak właśnie powinny brzmieć klątwy proroków na puszczy, na placach publicznych oraz w innych miejscach nie ograniczonych ścianami lub też na tyle przestronnych, by prawa fizyki nie zniekształcały słów, gdyż ich urok zależy od ust, które je wypowiadają, a nie od uszu, które ich słuchają, czy też od murów, które je odbijają. Jednak w tej religii kazanie musi być wypieszczone, muszą w nim być pulchne aniołki i święci zapaleńcy, rysowane wyobraźnią krągłe uda i ramiona, potrząsanie ornatem, nadymanie piersi i przewracanie oczami, w rezultacie cierpienie tego, który się rozkoszuje, jest równe rozkoszy tego, który cierpi, dlatego właśnie wszystkie drogi wcale nie prowadzą do Rzymu, ale do ciała. Ksiądz wkłada w swoje kazanie wiele wysiłku, tym bardziej że ma tu

przecież słuchaczy, ale czy to widok *passaroli* zbija go z tropu, czy też może chłodna obojętność słuchaczy, a może to brak kościelnej atmosfery, dość że słowa nie wzbijają się, nie grzmia, ale płaczą się jakoś i ma się wrażenie, że ksiądz Bartłomiej nie zasługuje wcale na sławę wielkiego kaznodziei, porównywanego nawet z księdzem Antonim Vieira, którego niech Bóg ma w swojej pieczy, bo Święte Oficjum już go miało. W tejże szopie ksiądz Bartłomiej zrobił kiedyś próbę kazania, które wygłosił w Salvaterra de Magos w obecności króla i dworu, teraz zaś ćwiczy kazanie na święto zaślubin św. Józefa, zamówione przez dominikanów, a więc fama awiatorka i ekscentryka tak bardzo mu nie szkodzi, skoro nawet synowie św. Dominika o niego zabiegają, o królu to nawet nie ma co mówić, jest przecież taki młody, lubi więc zabawki, stąd też popiera księdza i z tejże przyczyny tak ochoczo zabawia się z mniszkami w klasztorach i zapładnia jedną po drugiej, albo i kilka naraz, kiedy zatem jego historia dobiegnie końca, już na dziesiątki będzie można liczyć dzieci spłodzone w ten sposób, biedna królowa, co by się z nią stało, gdyby nie jej spowiednik, jezuita Antoni Stieff, który wpaja jej rezygnację, i gdyby nie sny, w których nawiedza ją infant Franciszek z przytroczonymi do łęków martwymi marynarzami, ale też co by się stało z księdzem Bartłomiejem, gdyby tak weszli tutaj dominikanie, którzy zamówili u niego homilię, i natknęli się na *passarolę*, na tego mańkuta, na tę czarownicę oraz na tego kaznodzieję wbijającego sobie do głowy słowa być może skrywające myśli, których sama Blimunda nie potrafi przejrzeć, choćby nawet i rok pościła.

Ksiądz Bartłomiej właśnie skończył kazanie i nie troszcząc się wcale o jego wydźwięk religijny spytał tylko z roztargnieniem, No i jak, podobało wam się, oni zaś odrzekli, Owszem, czemu nie, ale powiedzieli to jakoś półgębkiem, gdyż kazanie nie przemówiło im do serc, a skoro sercem go nie pojęli, to ich słowa nie są kłamstwem, są po prostu niebytem. Baltazar zaczął na nowo stukać w swoje żelastwo, Blimunda zaś wymiotła na podwórze niepotrzebne kawałki wikliny, a po gorliwości, z jaką to robili, można by pomyśleć, że były to prace nie cierpiące zwłoki, lecz ksiądz znów zaczął mówić, zupełnie jak ktoś, kto dłużej już nie może ukrywać swojego zmartwienia. Jak tak dalej pójdzie, to nigdy nie uda mi się polecieć, powiedział zmęczonym głosem i machnął ręką z tak głębokim zniechęceniem, że Baltazara nagle przeniknęła świadomość bezużyteczności wykonywanej pracy, toteż odłożył młotek, ale jednocześnie jakby chcąc naprawić to, co mogło być zrozumiane jako odmowa, powiedział, Musimy zbudować tu kuźnię, hartować żelazo, w przeciwnym razie pognie się pod samym ciężarem *passaroli*, ksiądz zaś odpowiedział, Nieważne, czy się pognie, czy nie, ważne jest, żeby poleciała, a nie polecie bez eteru. Co to jest, spytała Blimunda. Eter jest tam, gdzie zawieszono są gwiazdy. A jak go tu można sprowadzić, spytał Baltazar. Dzięki sztuce

alchemii, w której nie jestem biegły, ale o tym wszystkim nikomu ani słowa, choćby nie wiem co się stało. No to co można zrobić. Niebawem pojedę do Holandii, tam jest wielu uczonych i od nich nauczę się, jak ściągnąć eter z przestworzy i zamknąć go w kulach, bo bez tego maszyna nigdy nie poleci. Jaką właściwość ma ten eter, spytała Blimunda. Przejawia się w nim ogólna właściwość istot i ciał, a nawet przedmiotów martwych, które ciążą ku słońcu, gdy je uwolnić od ziemskiego ciężaru. Proszę powiedzieć to inaczej, żeby zrozumiała, ojcze Bartłomiej. Aby maszyna uniosła się w powietrze, trzeba, by słońce przyciągało bursztyn, który będzie umocowany na prętach tworzących dach, ten z kolei przyciągnie eter, który będzie się znajdował w kulach, on znów przyciągnie magnesy, które będą na dole, a one przyciągną żelazne pręty, z których będą zrobione żebra statku, w wyniku czego wzniesiemy się w powietrze popychani wiatrem lub podmuchem miechów w przypadku braku wiatru, ale powtarzam, bez eteru wszystko na nic. Blimunda powiedziała wtedy, Jeśli słońce przyciąga bursztyn i bursztyn przyciąga eter, eter zaś przyciąga magnes, a magnes żelazo, to maszyna będzie bez przerwy przyciągana ku słońcu. Przerwała na chwilę, po czym spytała, jakby sama siebie, Jakie też może być słońce w środku. Ksiądz odrzekł. Nie dolecimy do słońca, unikniemy tego dzięki żaglom, które będzie można zwijać i rozwijać wedle uznania, dzięki nim będzie można się zatrzymać na dowolnej wysokości. Ksiądz również przerwał swoją wypowiedź i po chwili milczenia dorzucił, Jeśli zaś chodzi o to, jakie w środku jest słońce, to niech tylko maszyna oderwie się od ziemi, wszystkiego się dowiemy, o ile Bóg nie pokrzyżuje naszych zamiarów.

A właśnie nastąpiły takie czasy, że gdzie nie spojrzeć, same przykrości. Oto zakonnice z klasztoru św. Moniki w wielkim wzburzeniu wyległy na ulicę, na znak protestu przeciwko zarządzeniu króla ograniczającemu wizyty w klasztorze do najbliższej rodziny — rodziców, dzieci, braci i krewnych drugiego stopnia, Jego Królewska Mość zamierza w ten sposób położyć kres skandalicznym praktykom szlachetnie i nieszlachetnie urodzonych miłośników klasztorów, którzy odwiedzając oblubienice Pana w ciągu jednej zdrowaśki odmieniają ich stan, a że to samo robi król Jan V, to tylko dobrze o nim świadczy, bo co wolno królowi, to nie pierwszemu lepszemu Jasiowi Iksińskiemu czy też Józkowi jakiemuś tam. Interweniował już sam prowincjał z klasztoru Graca próbując je uspokoić i nakłonić do uległości wobec woli króla, grożąc nawet ekskomuniką w razie braku posłuchu, ale one w porywie furii zbuntowały się, a było to trzysta kobiet ogarniętych świętym oburzeniem na to, że chcą je odgrodzić od świata, już raz to zrobili i jeszcze im mało, niech więc przekonają się, że słabe kobiece ręce potrafią forsować furty, i rzeczywiście zakonnice opuszczają klasztor prowadząc przemocą przeoryszę, cała procesja ze wzniesionym krzyżem posuwa się ulicami miasta, aż wreszcie

zastępują im drogę zakonnicy z Graca zaklinając na rany Chrystusa, aby zakończyły bunt, no i tu się zaczęła świątobliwa dysputa mniszek i mnichów, każda strona wysuwa swoje racje, aż wreszcie sędzia grodzki pobiegł do króla z zapytaniem, czy ma zawiesić zarządzenie, na tych wędrówkach i debatach zszedł cały ranek, a dla buntowniczek ten dzień zaczął się wcześniej, wstały bowiem o świcie, toteż czekając na powrót sędziego zakonnice pozostały na miejscu, najbardziej leciwe po prostu posiadały na ziemi, natomiast te ze świeżego naboru zachowywały czujność i były niezwykle ożywione, korzystały bowiem z radującego serce słońeczka, przyglądały się przechodniom, którzy z ciekawości zatrzymywali się, bo taka gratka nie zdarza się przecież co dzień, rozmawiały, z kim im przyszła ochota, przez co zacieśnił się niejeden związek z tymi, którym zabroniono wstępu do klasztorów, a którzy natychmiast się zbiegli na wieść o całym zajściu, tak więc do południa czas szybko minął na układach, zalotach, ustalaniu godzin, umownych haseł, znaków dłonią i chusteczką, a że w końcu żołądek zaczął domagać się pożywienia, podjadły sobie słodczy, które miały w sakwach, bo wiadomo, kto rusza na wojnę, zabiera prowiant, aż wreszcie manifestacja zakończyła się, gdy z pałacu przyszło nowe zarządzenie przywracające dawny porządek, w wyniku czego zwycięskie siostry wróciły do klasztoru przy wtórze radosnych pieni, podniesione jeszcze dodatkowo na duchu rozgrzeszeniem udzielonym przez prowincjała, o czym doniósł wysłaniec, nie sam prowincjał, który obawiał się jakiejś zbląkanej kuli, bo wojna ze zbuntowanymi zakonnicami to nie są żarty. Często te kobiety siłą zamyka się w klasztorach, masz tam siedzieć i koniec, w ten sposób można lepiej podzielić spadek, z korzyścią dla ordynata i reszty rodzeństwa płci męskiej, lecz nie dość, że się je więzi, to jeszcze zabrania się im nawet zwykłego uścisku palców przez kratę, potajemnych schadzek, lubego obcowania, słodkiej pieśczoły, którą one błogosławią, choć prowadzi wprost do piekła. No bo w końcu, jeśli słońce przyciąga bursztyn, a świat przyciąga ciało, to ktoś przecież powinien coś na tym skorzystać, choćby nawet dostały mu się tylko resztki po tych, co to im z urodzenia wszystko się należy.

Inna przykrość, jakiej niebawem można się spodziewać, to *auto da fé*, oczywiście nie dla Kościoła, który wykorzystuje tę ceremonię dla umocnienia wiary i innych celów praktycznych, ani też dla króla, któremu dostaną się majątki skazanych w tym akcie wiary brazylijskich plantatorów trzciny cukrowej, ale przede wszystkim dla tych, którzy zostaną wychłostani, zesłani lub spaleni na stosie, chociaż tym razem tylko jedna kobieta jest skazana na śmierć, a więc w kościele Dominikanów nie będą mieli wiele pracy z namalowaniem jej portretu do galerii zwęglonych, upieczonych, rozsypanych i podmiecionych, to wprost niewiarygodne, że męczeństwo tyłu nie jest żadną nauką dla innych, a może ludzie po

prostu lubią cierpieć albo też bardziej sobie cenią przekonania niż własne ciało, Bóg doprawdy nie wiedział, w co się wpakował, kiedy stworzył Adama i Ewę. Ot, dla przykładu, co powiedzieć o tej zakonnicy, która złożyła śluby, a potem okazało się, że jest Żydówką, skazano ją więc na dożywotni habit i karcer, albo o tej Murzynce z Angoli, zupełnie nowy przypadek, która przyjechała z Rio de Janeiro oskarżona o judaizm, czy też o tym kupcu z Algarve, który twierdzi, że w każdej wierze można być zbawionym, gdyż wszystkie są jednakowe, a zatem Mahomet jest równie dobry, jak Chrystus, Kabała tyleż warta, co Ewangelia, słodycz tyle, co gorycz, a grzech, tyle co cnota, a także o tym okazałym Mulacie z wyspy Caparica, który nazywa się Manuel Mateusz, ale nie jest żadnym krewnym Siedmiu Słońc, ma on przydomek Saramago, ale kto go tam wie, kim byli jego przodkowie, jest sławnym czarownikiem i właśnie za to został skazany, podobnie jak trzy dziewczyny, które weszły na tę samą drogę, cóż można o nich wszystkich powiedzieć oraz o pozostałych stu trzydziestu, którzy zostali skazani w tym *auto da fé* i z których wielu będzie towarzyszyć matce Blimundy, o ile jeszcze żyje.

Siedem Słońc i Siedem Lun, skoro już jej dali tak piękne imię, to niech go używa, zostali w Sao Sebastiao da Pedreira, nie poszli na Rossio, żeby obejrzeć *auto da fé*, ale nie zabrakło tam zwykłego w tych razach tłumu i dzięki niektórym obecnym, a także dzięki rejestrom, które jednak zostają, mimo wszelkich pożarów i trzęsień ziemi, zachowała się pamięć o tym, co widzieli, i o tych, których widzieli palonych bądź okazujących skruchę, czarną kobietę z Angoli, Mulata z Caparica, zakonnice-Żydówkę, księży odprawiających msze, spowiadających, udzielających komunii i wygłaszających kazania bez stosownych święceń, sędziego z Arraiolos, który po mieczu i po kądzieli był neofitą, razem sto trzydzieści i siedem osób, bo Inkwizycja przy każdej okazji zarzuca na świat sieci, które zawsze się zapelniają, i w ten szczególny sposób stosuje się do nauki Chrystusa, który polecił Piotrowi, aby stał się rybakiem łowiącym ludzi.

Blimunda i Baltazar martwią się, że nie mają innej sieci, którą by można zarzucić w niebo i ściągnąć trochę tego eteru podtrzymującego gwiazdy, jak to twierdzi ksiądz Bartłomiej Wawrzyniec, który w tych dniach wyjeżdża i nie wiadomo, kiedy wróci. *Passarola*, niegdyś przypominająca rosnący w oczach zamek, teraz wygląda jak obrócona w grzyby baszta, jak wieża Babel, której budowę zatrzymano w połowie, sznury, żagle, druty, pomieszane żelastwo, nie można nawet na pociechę zajrzeć do skrzyni, żeby popatrzeć na rysunek, gdyż ksiądz już go zapakował i zabiera w podróż, wyrusza nazajutrz statkiem, co nie stwarza większego ryzyka niż to, jakie zwykle łączy się z podróżą, ogłoszono bowiem wreszcie pokój z Francją, czemu towarzyszyła uroczysta procesja sędziów okręgowych,

grodzkich i woźnych sądowych, wszyscy na pięknych wierzchowcach, za nimi zaś trębacze z fanfarami, następnie odźwierni pałacowi ze swymi srebrnymi laskami na ramieniu, na końcu zaś siedmiu heroldów w przepysznych pelerynkach, z których ostatni trzymał w ręku papier, było to właśnie obwieszczenie o pokoju, odczytane najpierw na placu Pałacowym, pod oknami, w których znajdowali się najjaśniejsi państwo i książęta, w obecności nieprzebranej cizby wypełniającej plac oraz stojącej w szeregu kompanii gwardii, a kiedy zakończono czytanie, cały orszak przeszedł pod katedrę, gdzie odczytano je powtórnie, po raz trzeci zaś jeszcze na Rossio u wrót szpitala, a więc wreszcie został zawarty pokój z Francją, teraz powinny nastąpić traktaty z innymi krajami. Ale żaden traktat nie zwróci mi straconej ręki, mówi Baltazar. Nie martw się, razem mamy trzy ręce, pociesza go Blimunda.

Ksiądz Bartłomiej Wawrzyniec pobłogosławił żołnierza i jasnowidzącą, oni zaś ucałowali jego dłoń, ale w ostatniej chwili wszyscy troje objęli się, przyjaźń zwyciężyła nad respektem i ksiądz powiedział, Żegnaj Blimundo, żegnaj Baltazarze, dbajcie o siebie nawzajem i o *passarolę*, gdyż pewnego dnia powrócę z tym, po co jadę, a nie będzie to ni złoto, ni diamenty, ale powietrze, którym oddycha Bóg, zachowaj klucz, który ci dałem, a ponieważ udajecie się do Mafrzy, nie zapomnij zajrzeć tu od czasu do czasu, żeby sprawdzić, w jakim stanie jest maszyna, możesz tu wchodzić i wychodzić bez obawy, gdyż ten folwark powierzył mi sam król i wie, co tu się znajduje, to rzekłszy dosiadł muła i odjechał.

Ksiądz Bartłomiej Wawrzyniec już żegluje sobie po morzu, a co my teraz mamy począć, skoro nieprędko możemy mieć nadzieję na niebo, ano, chodźmy na walkę byków, jest to naprawdę świetna rozrywka, w Mafrze nigdy tego nie było, mówi Baltazar, ale mamy za mało pieniędzy na całe czterodniowe widowisko, gdyż tego roku wyśrubowali cenę za teren na placu Pałacowym, pójdziemy więc tylko w ostatnim dniu, kiedy trybuny ustawiają wokół całego placu, nawet od strony rzeki, tak że ledwie widać czubki rej zakotwiczonych statków, Siedem Słońc i Blimunda zdobyli dobre miejsca, bynajmniej nie dlatego że przyszli wcześniej od innych, ale dlatego że żelazny hak będący przedłużeniem ręki toruje drogę niczym owa kolubryna, co ją przywieźli z Indii i ustawili na wieży św. Gwidona, no bo człowiek czuje, że ktoś trąca go w plecy, odwraca się więc i ma wrażenie, jakby zobaczył wycelowaną prosto w twarz lufę. Cały plac otoczony jest masztami przystrojonymi u góry chorągiewkami i aż do ziemi oplecionymi trzepoczącymi na wietrze wstążkami, wejście do zagrody dla byków zdobi portyk z malowanego drewna imitującego biały marmur, kolumny zaś naśladują marmur z Arrabidy i są zwieńczone złożonymi fryzami i gzymsami. Główny maszt podtrzymują cztery potężne, kolorowe, bogato złożone figury, a chorągiew z blachy cynkowej ma po obydwu stronach wymalowany wizerunek św. Antoniego na srebrzystych błoniach, ozdoby są

złoczone, drzewce zaś wieńczy różnobarwny, wielki pióropusz z piór tak dobrze pomalowanych, że wyglądają zupełnie jak naturalne. Mrowie ludzkie wypełnia trybuny i miejsca stojące, ważne osobistości zajmują zarezerwowane łóża, para królewska oraz ich książęce wysokości patrzą z okien pałacu, ale na razie na placu uwijają się tylko polewacze zraszający wodą arenę, osiemdziesięciu mężczyzn ubranych z mauretańska, z herbami Senatu Lizbony wyhaftowanymi na kaftanach, ciżba zaczyna się już niecierpliwić, czeka na wejście byków, skończyły się już bowiem tańce, zniknęli też polewacze, arena jest jak cacko, pachnie wilgotną ziemią, zupełnie jakby świat dopiero co został stworzony, ale niech tylko rozlegnie się gong, wkrótce zbruka ją krew i mocz, łajno byków i końska mierzwa, a jeśli któryś z mężczyzn też sfajda się ze strachu, oby hajdawery pomogły mu ukryć wstyd przed ludem Lizbony i królem Janem V.

Wbiegł pierwszy byk, wbiegł drugi, wbiegł trzeci, za nimi osiemnastu pieszych toreadorów, których Senat za grube pieniądze sprowadził z Kastylii, wjechali też na plac jeźdźcy, powbijali swoje lance, piesi zaś swoje piki przystrojone pociętą bibułą, jeden z jeźdźców mszcząc się na byku, przez którego spadła mu peleryna, natarł na zwierzę i ranił je szpadą, w taki bowiem sposób zmywa się plamę na honorze. Wbiegł czwarty byk, potem piąty i szósty, już jest ich dziesięć, a może piętnaście czy dwadzieścia, cała arena spływa krwią, damy śmieją się i popiskują, biją brawo, okna przypominają bukiety kwiatów, byki padają jeden po drugim, usuwają je z areny na niskich wozach z sześciokonnym zaprzęgiem, używanym tylko przez osoby koronowane albo wysoko utytułowane, i jeśli nie świadczy to o królewskości i godności byków, z pewnością świadczy o ich wadze, którą najlepiej mogą ocenić konie, nawiasem mówiąc piękne, w okazałej uprzęży, kaptury z haftowanego karmazynowego aksamitu, czapraki ze srebrzystymi frędzlami, także nagłówki i kapy przykrywające szyję, oto właśnie byk podziurawiony lancami, z flakami ciągnącymi się po ziemi, opuszcza arenę, ogarnięci gorączkowym podnieceniem mężczyźni obmacują rozplomienione kobiety, te zaś ocierają się o nich nie dbając wcale o pozory, nawet Blimunda nie jest wyjątkiem, bo i dla czegoż miałyby być, przywarła całym ciałem do Baltazara, lejąca się krew uderza jej do głowy, z poranionych byków tryska jak ze źródła, śmierć pulsująca życiem, kręci się od tego w głowie, ale obraz, który pozostaje w pamięci i chłodzi rozpalone oczy, to bezwładny łeb byka, otwarty pysk, zwisający gruby, chropowaty język, który już więcej nie będzie szczypać trawy na łąkach, może tylko na jakichś zasnutych mgłami pastwiskach w zaświatach dla byków, i trudno powiedzieć, czy to będzie piekło, czy raj.

Ale jeśli istnieje sprawiedliwość, powinien to być raj, w każdym razie do piekła nie mogą trafić byki, przecież tyle wycierpiały z powodu ognistych czapraków, czyli grubych,

kilkuwarstwowych kap naszpikowanych różnego rodzaju racami, które się podpala z dwu stron, kiedy zaś cały czaprak płonie, wówczas race zaczynają strzelać i trwa to długo, wybuchają i rozświetlają cały plac, a byk żywcem się piecze, biega jak oszalały, pełen furii, po całej arenie, ryczy i skacze, a król Jan V i jego lud oklaskują tę nędzną śmierć, gdyż byk nie może nawet się bronić i zginąć w walce. Czuć swąd palonego ciała, ale ten zapach nie razi tu niczyjego powonienia, przywykłego do szaszłyków ze stosu, z takiego byka będzie przynajmniej jakiś pożytek, gdyż w końcu trafi na stół, podczas gdy po spalonym Żydzie zostaje tylko jego majątek.

Na arenę wniesiono teraz gliniane figury, wielkością przewyższające człowieka z podniesionymi do góry rękami, ustawiono je pośrodku, a cóż to znowu za numer, pytają ci, którzy czegoś podobnego jeszcze nie widzieli, może wreszcie oczy odpoczną od rzezi, tak czy siak skoro są z gliny, to najgorsze, co może z tego wyniknąć, to kupa skorup i skończy się tym, że będą musieli zamiatać arenę i koniec z zabawą, ot co, mówią sceptycy i raptusy, lepiej jeszcze raz daliby ognisty czaprak, wszyscy by się przynajmniej pośmiali razem z królem, a nie mamy znów tak wiele okazji, żeby śmiać się wspólnie, w tej właśnie chwili z zagrody wybiegają dwa byki, rozglądają się ogłupiałe i widzą, że arena jest pusta, przed nimi tylko te kukły z podniesionymi rękami, beznogie, brzuchate i upstrzone farbą jak wszyscy diabli, trzeba więc na nich pomścić wszystkie zniewagi, byki atakują, gliniane gary pękają z głuchym łoskotem, a z ich wnętrza wyskakują dziesiątki przerażonych królików, które rozbiegają się na wszystkie strony, pędzą na oślep, a za nimi kapeadorzy z pałkami, na arenę wyskakuje też paru widzów, miotają się na wszystkie strony, łapaj tego, co zmyka, trzymaj tego, co huknął w coś głową, ludzie wprost zaśmiewają się, salwy śmiechu towarzyszą poczynaniom zapaleńców, lecz nagle zmienia się ton okrzyków, pękają bowiem dwie następne gliniane kukły i z gwałtownym trzepotaniem skrzydeł wylatują stada gołębi, oszołomionych i oślepionych ostrym światłem, niektóre tracą zdolność latania, nie udaje się im wzbić dość wysoko, by nie zawadzić o wysokie trybuny, skąd wyciągają się ku nim łapczywe ręce, żadne może nie tyle pożywnego kaska, jakim jest duszony gołąb, co wierszyka wypisanego na karteczce przyczepionej do ptasiej szyi, na przykład takiego, W okropnym więzieniu siedziałam, skąd nareszcie się wyrwałam, będę więc bardzo szczęśliwa, gdy mnie przygarnie dłoń tkliwa, albo Choć przestworza skrzydłem pruję, wielki strach mnie oblatuje, bo kto wysoko szybuje, to upadkiem ryzykuje. W tobie, Boże, ufność moja, skoro umrzeć mi wypada, dłoń szlachetna niech śmierć zada. Na oślep me skrzydła szybują, uciekam od tych, co mi śmierć gotują. Bo ten, co za bykiem pędzi, i gołębia nie oszczędzi, niektórym jednak udało się wyrwać z otchłani wrzasków i wyciągniętych dłoni zataczają coraz wyższe kręgi,

odnajdują właściwy rytm skrzydeł poją się słonecznym blaskiem i gdy nikną wysoko ponad dachami wyglądają, jakby były ze złota.

Następnego dnia o świcie, nim jeszcze się rozwidniło, Baltazar i Blimunda wyruszyli w drogę do Mafry, mając za cały bagaż tobolek z odzieżą i trochę jedzenia w sakwie.

Wrócił syn marnotrawny, przyprowadził też żonę i jeśli nie można powiedzieć, że przychodzi z pustymi rękami, to tylko dlatego, że jedną stracił na polu walki, w drugiej zaś trzyma dłoń Blimundy, nie pytajmy też, czy jest teraz bogatszy, czy biedniejszy, bo przecież każdy dobrze wie, co ma, choć nie wie, ile to warte. Gdy Baltazar otworzył drzwi, zobaczył matkę, Martę Marię, bo tak jej na imię, która przycisnęła go do piersi z taką mocą, jakby miała siłę mężczyzny, ale była to tylko siła Serca. Baltazar objął ją ręką zakończoną hakiem i widok zakrzywionego żelastwa na kobiecym ramieniu, zamiast zgiętych, układających się stosownie do obejmowanego kształtu palców, których dotyk w razie potrzeby tak krzepi, przejmował litością i zgrozą. Ojca nie było w domu, pracował w polu, jedyna siostra Baltazara wyszła za mąż i ma już dwoje dzieci, jej mąż nazywa się Alvaro Mularz, za nazwisko służy mu nazwa wykonywanego zawodu, co często się zdarza, ale dla jakiej przyczyny i w jakich okolicznościach daje się ludziom takie przydomki, jak chociażby Siedem Słońc? Blimunda zatrzymała się na progu, czekając na swoją kolej, ale staruszka jej nie widziała, była bowiem niższa od syna, ponadto w domu panował mrok. Tak właśnie myślał Baltazar, toteż odsunął się nieco, żeby matka mogła zobaczyć Blimundę, ale biedaczka już ją wcześniej dostrzegła, czy też może wyczuła jej obecność, i do cierpienia wywołanego zimnym dotknięciem żelaza, które uwierało ją w ramię, doszedł niepokój spowodowany pojawieniem się drugiej kobiety, toteż Blimunda wyszła na zewnątrz, niech wszystko dzieje się we właściwym czasie, i z podwórza słyszała pytania i płacz, Kochany synu, jak to się stało, kto ci to zrobił, zaczynało już się ściemniać, Baltazar podszedł do drzwi i zawołał, Wejdz, w domu paliła się lampa, Marta Maria jeszcze cicho szlochała, Matko, to jest moja żona, nazywa się Blimunda de Jesus.

Właściwie powinno ludziom wystarczyć, gdy się wymienia czyjeś nazwisko, bo przecież żeby się dowiedzieć, kim naprawdę jest, potrzeba całego życia, gdyż bycie teraz to nie to samo, co bycie przedtem lub potem, ale panują inne zwyczaje, pytają więc, kim są twoi rodzice, gdzie się urodziłeś, ile masz lat i wydaje im się, że dzięki temu wiedzą więcej, a może nawet wszystko. O zmierzchu wrócił do domu ojciec Baltazara, Jan Franciszek, syn Manuela i Hiacynty, urodzony w Mafrze i stale tu mieszkający, w tym samym domu, w cieniu kościoła Św. Andrzeja i pałacu wicehrabiostwa, żeby go lepiej przedstawić, dodajmy jeszcze, że jest to mężczyzna równie wysoki jak jego syn, trochę przygarbiony przez wiek i wiązkę drewna, którą przyniósł. Baltazar zdjął mu ją z pleców, stary spojrzał na niego i powiedział, Ach, chłopie, zauważył zaraz jego kalectwo, ale nic na ten temat nie rzekł, tylko tyle. Trudno, jak się było na wojnie, później spojrzał na Blimundę i domyślając się, że to żona syna, dał jej

rękę do pocałowania, po chwili teściowa wraz z synową krzątały się przy szykowaniu kolacji, Baltazar zaś opowiadał ojcu, jak wyglądała bitwa, amputacja ręki, o tych wszystkich latach nieobecności, przemilczał jednak, że prawie dwa lata był w Lizbonie nie dając znaku życia, pierwsza i ostatnia wiadomość od niego przysłała zaledwie przed paroma tygodniami, był to list napisany jeszcze przez księdza Bartłomieja Wawrzyńca, w którym Baltazar zdecydował się wreszcie zawiadomić, że żyje i zamierza wrócić, jakże nieczułe są serca dzieci, które żyją, a ich milczenie jest poczytywane za śmierć. Jeszcze nic nie powiedział o ślubie z Blimundą, czy pobrali się, gdy był jeszcze w wojsku, czy też później, co ona zaszła i kto ją rodził, ale starzy albo zapomnieli o to zapytać, albo woleli nie wiedzieć, być może uderzył ich niezwykle wygląd dziewczyny, te rude włosy, choć to nieodpowiednie słowo, bo były koloru miodu, i te jasne oczy, ni to zielone, ni to szare, w pełnym świetle niebieskie, czasem znów ciemniejące zniecka i połyskujące brązem kasztanów, mrokiem wodnej głębi, albo też całkiem czarne, gdy padał na nie cień, dlatego też wszyscy zamilkli, a po chwili zaczęli mówić jeden przez drugiego. Nie znałam ojca, myślę, że umarł jeszcze przed moim urodzeniem, matka została zesłana do Angoli na osiem lat, minęły dopiero dwa, nie wiem nawet, czy jeszcze żyje, nie miałam od niej żadnych wiadomości. Ja i Blimunda zostaniemy w Mafrze, może znajdzie jakiś dom. Nie musisz szukać, pomieścimy się we czwórkę, już mieszkało tu więcej osób, a dlaczego twoja matka została zesłana. Z powodu donosu do Inkwizycji, ojciec, Blimunda nie jest Żydówką ani przechrztą, w całej tej sprawie ze Świętym Oficjum, więzieniem i zesłaniem chodziło o to, że matka jej miała widzenia i twierdziła też, że ma objawienia i słyszy głosy. Nie ma kobiety, która by nie miała widzeń, objawień i nie słyszała głosów, słyszymy je cały dzień, na to nie trzeba być czarownicą. Moja matka nie była czarownicą i ja też nie jestem. Ty też masz widzenia. Tylko takie jak wszystkie kobiety, matko, Czy możesz przysiąc, że nie jesteś Żydówką ani neofitką. Przysięgam, ojciec. Skoro tak, witamy cię z otwartymi ramionami w domu Siedmiu Słońc. Ona już się nazywa Siedem Lun. Kto ją tak nazwał. Ksiądz, który dał nam ślub. Ksiądz, któremu takie rzeczy przychodzą do głowy, nie jest zapewne owocem dojrzewającym w zakrystiach, ten żart wszystkich rozśmieszył, choć niektórzy wiedzieli na ten temat więcej od innych. Blimunda popatrzyła na Baltazara i każdemu z nich stanął w oczach ten sam obraz, części zniszczonej *passaroli* rozsypane po ziemi, ksiądz Bartłomiej Wawrzyniec wychodzący z bramy folwarku, dosiadający muła, wyruszający do Holandii. W powietrzu zawisło kłamstwo o braku rodzinnych powiązań Blimundy z nowowiercami, o ile można to uznać za kłamstwo, wzięwszy pod uwagę fakt, że tych dwoje przywiązywało bardzo małą wagę do tych spraw, a poza tym czasem trzeba skłamać w imię jakiejś ważniejszej prawdy.

Ojciec mówi, Sprzedałem ziemię na wzgórzu Vela, nawet nieźle, za trzynaście i pół tysiąca reali, ale będzie nam jej brakować. No to po co sprzedawałeś. Była potrzebna królowi, podobnie jak inne pola. A po co one królowi. Każe tam zbudować męski klasztor, nie słyszałeś o tym w Lizbonie. Nie, ojczy, nie słyszałem. Nasz wikary mówi, że to z powodu pewnych ślubów poczynionych przez króla w związku z potomstwem, kto na tym dobrze zarobi, to twój szwagier, będą potrzebować mularzy. Gdy spożyli fasolę z kapustą, kobiety jadły na stojąco i w pewnej odległości, Jan Franciszek Siedem Słońc podszedł do beczki z solonym mięsem, wyjął kawałek słoniny, ukroił cztery plasterki, każdy z nich położył na kromkę chleba i rozdał obecnym. Uważnie przy tym patrzył na Blimundę, ale ona wzięła swój kawałek i zaczęła jeść z całkowitym spokojem. Nie jest Żydówką, pomyślał teści. Marta Maria też patrzyła z niepokojem, później zaś surowo spojrzała na męża, jakby ganiąc go za ten podstęp. Blimunda skończyła jeść i uśmiechnęła się, teściowi nawet przez myśl nie przyszło, że zjadłaby tę słoninę, nawet gdyby była Żydówką, dla dobra innej sprawy, w imię innej prawdy.

Baltazar powiedział, Muszę zacząć szukać pracy, Blimunda też będzie pracować, nie możemy być na cudzym garnuszku. Jeśli idzie o Blimundę, to nie ma pośpiechu, chcę, żeby posiedziała przez jakiś czas w domu, chcę lepiej poznać moją nową córkę, Dobrze, mam, ale ja muszę znaleźć pracę. Bez tej ręki cóż ty możesz robić. Mam ten hak, ojczy, który może być bardzo pomocny, gdy człowiek umie się nim posługiwać. Może i tak, ale nie możesz kopać ziemi, nie możesz żąć, nie możesz rąbać drzew. Mogę zajmować się bydłem. No tak, to możesz. Mogę też być woźnicą, do trzymania lejców wystarczy hak, a resztę zrobi druga ręka. Bardzo się cieszę, synu, że wróciłeś. Nadeszła pora, żeby wrócić, ojczy.

Tej nocy Baltazarowi śniło się, że orał całe wzgórze Vela pługiem zaprzęgniętym w parę wołów, za nim szła Blimunda wtykając w ziemię skrzydła ptaków, które niebawem zaczęły się poruszać, jakby chciały pofrunąć i unieść ze sobą ziemię, wtedy zjawił się ksiądz Bartłomiej Wawrzyniec z rysunkiem w ręku wskazując na błąd, który popełnili, trzeba było zacząć wszystko od początku, Baltazar musiał na nowo orać ziemię, a Blimunda siedziała obok i mówiła, Chodź, połóż się przy mnie, już zjadłam chleb. Gdy Baltazar obudził się, było jeszcze zupełnie ciemno, przyciągnął do siebie śpiącą obok postać, ona wyszeptwała jego imię, a on jej, spali w kuchni na dwu złożonych derkach i w milczeniu, aby nie obudzić śpiących przez ścianę rodziców, oddali się sobie.

Następnego dnia siostra Baltazara, Ines Antonina, i jej mąż, który, jak się okazało, nazywa się Alvaro Diogo, przyszli uczcić nowo przybyłych i poznać nową krewną. Przeprowadzili też synów, jeden ma cztery lata, a drugi dwa, ale uchowa im się tylko starszy,

gdyż nim miną trzy miesiące, młodszego zabierze ospa, lecz Bóg, czy też ktokolwiek inny, kto tam w niebie decyduje o długości życia, bardzo skrupulatnie dba o zachowanie równowagi między bogatymi i biednymi, i jeśli zajdzie potrzeba, to nawet w rodzinach królewskich szuka przeciwwagi, czego dowodem jest fakt, że śmierć tego dziecka zostanie zrekompensowana śmiercią infanta Piotra, w chwili gdy osiągnie ten sam wiek, bo z woli Boga wszystko może stać się przyczyną zgonu, który w przypadku infanta nastąpił z powodu odstawienia go od piersi, coś takiego może zdarzyć się tylko delikatnym infantom, bo syn Inesy Antoniny, kiedy umarł, już jadł chleb i wszystko co popadło. Po wyrównaniu rachunku Bóg nie interesuje się już pogrzebami, dlatego w Mafrze pochowano po prostu jednego aniołka więcej, a jego pogrzeb, podobnie jak inne, nie zwrócił niczyjej uwagi, zupełnie inaczej niż w Lizbonie, gdzie odbyła się następna pompa, trumienka infanta została wyniesiona z pałacu przez radców stanu, w asyście całej szlachty, w orszaku był też król i jego bracia, a obecność króla, o ile nawet wyrażała ojcowski ból, to przede wszystkim podyktowana była tym, że zmarł najstarszy syn, dziedzic korony, a więc tego wymagał protokół, zeszedli na podwórzec, gdzie znajdowała się kaplica, wszyscy z nakrytymi głowami, lecz kiedy trumnę ustawiono na katafalku, królewski rodzic dwukrotnie uchylił kapelusza, po czym wrócił do pałacu, zgodnie z nieludzkimi wymogami protokołu. Dalszą drogę do kościoła Św. Wincentego infant odbywa już sam, bez ojca i matki, towarzyszy mu tylko wspaniały kondukt, który otwiera kardynał, za nim grupa konnych z pastorałem, urzędnicy dworscy i tytułarni, dalej klerycy i młodziankowie z kościelnego chóru, kanonicy natomiast czekają na zwłoki infanta przed kościołem Św. Wincentego, każdy z nich trzyma płonąca pochodnię, po bokach w dwu rzędach stoi gwardia z porucznikami na przedzie i oto pojawia się trumna cała pokryta bogatą czerwoną tkaniną, takąż przykrywa królewską karocę, za trumną idzie książę Cadaval starszy, jako że jest majordomusem królowej, ona zaś, jeśli nie jest pozbawiona matczyne serca, z pewnością teraz oplakuje syna, jest również markiz Minas, jej wielki koniuszy, ale miłość królowej zostanie oceniona wedle wylanych łez, a nie wedle tytułów sług, a wspomniane tkaniny oraz uprzęż i kapy okrywające ogierzy dostaną się zakonnikom od św. Wincentego, zgodnie z pradawnym zwyczajem, a za wynajem ogierów, które są własnością tychże mnichów, zapłacono dwanaście tysięcy reali, czemu nie należy się dziwić, jest to najem jak każdy inny, bo ogierzy to przecież nie istoty ludzkie i mimo że są ogierami, to też się je wynajmuje, i właśnie to wszystko razem składa się na pompę, ceremonię i uroczystość, wzdłuż ulic, którymi posuwa się kondukt, stoją rzędem żołnierze i mnisi ze wszystkich bez wyjątku zakonów, brak tylko jałmużników, jako że są gospodarzami klasztoru, który przyjmie chłopca zmarłego wskutek odstawienia od piersi, jest to dla

braciszków zasłużony zaszczyt, podobnie jak klasztor, który stanie w osadzie Mafra, gdzie przed niespełna rokiem pochowano chłopczyka, którego imienia nie znamy, ale którego odprowadzała cała rodzina, rodzice, dziadkowie, wujostwo i inni krewni, kiedy więc infant znajdzie się w niebie i dowie się o tych różnicach, będzie mu bardzo przykro.

Królowa wykazuje jednak takie skłonności do macierzyństwa, że spodziewa się już następnego infanta, i ten owszem, będzie królem, o którym można by napisać oddzielny memoriał, i inne wstrząsy będą towarzyszyć jego panowaniu, a jeśli ktoś przez ciekawość chciałby wiedzieć, kiedy Bóg zrównoważy królewskie urodziny urodzinami plebejskimi, możemy zapewnić, że to nastąpi, ale nie wśród tych nieznanymi mężczyzn i anonimowych kobiet, gdyż Ines Antonina nie chce więcej patrzeć na śmierć swoich dzieci, co do Blimundy zaś należy przypuszczać, że stosuje jakieś tajemnicze sztuczki, aby ich nie mieć. Pozostawmy zatem przy tych dzieciach już podchowanych i przy powtarzanych na nowo przez Siedem Słońc opowieściach o wojnie, o jego własnych przeżyciach, jak mu przestrelili rękę, jak ją amputowali, pokazuje żelazne protezy, znów więc rozlegają się zwykłe i mało odkrywczym lamentsy: tylko biedakom przytrafiają się takie nieszczęścia, co niezupełnie jest prawdą, bo przecież nie brak też zabitych czy rannych wśród kaprali i kapitanów, gdyż Bóg zarówno wynagradza braki, jak i odbiera nadmiar, jednak po jakiejś godzinie wszyscy już się oswoili z kalectwem, tylko malcy nie mogą oderwać zafascynowanych oczu i przenika ich dreszcz, kiedy wuj, ot tak, dla zabawy, posługuje się hakiem, żeby podnieść ich do góry, ta zabawa znacznie bardziej podoba się młodszemu, baw się, baw, póki jeszcze czas, bo zostały ci już tylko trzy miesiące.

W pierwszych dniach Baltazar pomaga ojcu w pracach polowych, na ziemi, której jest tylko dzierżawcą, musi uczyć się wszystkiego od nowa, oczywiście nie zapomniał dawnych ruchów, ale jak je teraz wykonywać. A najlepszym dowodem na to, że sny są czystą złudą, jest fakt, że o ile we śnie był zdolny do orki na wzgórzu Vela, to na jawie wystarczyło spojrzeć na pług, żeby zrozumieć, ile jest warta lewa ręka. Jedynym stosownym zajęciem dla niego jest zostać woźnicą, ale jako że woźnica musi mieć wóz i woły, na razie będzie je pożyczał od ojca, raz ty, raz ja, a kiedyś dorobisz się własnych. Gdybym niespodziewanie umarł, być może spożytkujesz uzbierane pieniądze na zakup wozu i wołów. Ojciec, nie mów takich rzeczy. Baltazar chodzi również na budowę, przy której pracuje jego szwagier, jest to nowy mur folwarku wicehrabiego de Vila Nova da Cerveira, nie dajmy się wszakże zwieść tym nazwom, gdyż wicehrabiostwo jest stamtąd, ale pałac jest tu, i jeśli zgodnie z dawną pisownią napisalibyśmy bicehrabia i bicehrabiostwo, na pewno zostalibyśmy wyśmiani i zawstydzeni z powodu tej regionalnej pomocnej wymowy nie pasującej zupełnie do

cywilizowanego kraju, który odkrył światu Nowy Świat, chociaż jak wiadomo, cały świat jest jednakowo stary, ale jeśli rzeczywiście taka wymowa przynosi wstyd, to nie będzie on wcale większy, jeśli nazwiemy go bstydem. Na tym murze Baltazar nie mógłby położyć ani jednego kamienia, chyba byłoby jednak lepiej, gdyby stracił nogę, człowiek przecież stoi jednakowo dobrze na nodze jak na drewnianej kuli, po raz pierwszy przyszło mu to do głowy, ale zaraz uświadomił sobie, w jak trudnej sytuacji znalazłby się w łóżku, szczególnie kiedy leży na Blimundzie, no nie, mój panie, już lepiej, że straciłeś rękę, i miałeś przy tym wiele szczęścia, że trafili cię w lewą. Alvaro Diogo schodzi z rusztowania, siada w cieniu żywopłotu i jedząc obiad przyniesiony przez Ines Antoninę mówi, że kiedy zaczną budowę klasztoru, będzie dużo pracy dla mularzy, nie będzie więc potrzebował wędrować po okolicy w poszukiwaniu pracy i spędzać całych tygodni poza domem, bo choć w naturze mężczyzn leży skłonność do włóczęgi, to jednak dom, w którym jest szanowana kobieta i ukochane dzieci, smakuje jak chleb, co niby na co dzień powszedniejsze, lecz gdy go zabraknie, dotkliwie to odczuwamy. Baltazar Siedem Słońc poszedł przejść się na wzgórze Vela, skąd widać całą Mafre leżącą w kotlinie, w samym środku doliny. Tu bawił się, gdy był w wieku starszego siostrzeńca, a i później też, lecz niedługo, gdyż jego ręce wcześniej były potrzebne do pracy w polu. Morze jest daleko, ale wydaje się blisko, błyszczy jak szpada zgubiona przez słońce, które w miarę zniżania się nad horyzontem będzie powolutku chować ją do pochwy, aż cała zniknie. Te porównania są wymyślone przez tego, który pisze dla tego, co był na wojnie, nie wymyślił ich Baltazar, ale miał jakieś swoje powody, dla których przypomniawszy mu się szpada zostawiona w domu rodziców, nigdy więcej nie wyciągnął jej z pochwy, pewnie już zardzewiała, któregoś dnia trzeba będzie podostrzyć ją osełką i nasmarować oliwą, nigdy nie wiadomo, co nam jutro przyniesie.

Dawniej były tu pola uprawne, teraz wszystko leży odłogiem. Widoczne jeszcze miedze, żywopłoty, wiklinowe płotki i rowy nie stanowią już granic poszczególnych własności. Wszystko należy teraz do jednego właściciela, do króla, który o ile jeszcze nie zapłacił, z pewnością zapłaci, bo w rachunkach jest skrupulatny, trzeba mu to przyznać. Jan Franciszek Siedem Słońc czeka na swoją część, szkoda, że cały teren nie należał do niego, gdyż stałby się bogaty, do chwili obecnej dokumenty sprzedaży opiewają na trzysta pięćdziesiąt osiem tysięcy pięćset reali, a z czasem, bo suma ta ciągle jeszcze rośnie, przekroczy piętnaście milionów reali, jest to ilość, która nie mieści się w głowach prostych ludzi, powiedzmy więc inaczej, że będzie piętnaście contos i prawie sto tysięcy reali, a więc kupa pieniędzy. Trudno powiedzieć, czy to dobry, czy zły interes, gdyż wartość pieniądza ulega zmianom, w przeciwieństwie do ludzi, którzy zawsze są warci tyle samo, dużo albo nic.

Czy ten klasztor będzie duży, pyta Baltazar szwagra, ten zaś odpowiada, Najpierw mówili, że na trzynastu zakonników, później liczba ta urosła do czterdziestu, a ostatnio franciszkanie z przytułku i z kaplicy Świętego Ducha mówią już o osiemdziesięciu. Kupa ludzi się tu zmieści, zauważył Baltazar. Rozmowa ta miała miejsce już po odejściu Ines Antoniny, toteż Albaro Diogo mógł poruszyć też męskie tematy. Przychodzą tu braciszki, żeby zabawić się z kobietami, jak to mają w zwyczaju, ale moi franciszkanie, jeżeli przyłapię któregoś na tych bezceństwach, to wszystkie gnaty połamię, a mówiąc to rozbijał uderzeniami młotka kamień, na którym przed chwilą siedziała Ines Antonina. Słońce zaszło, leżąca w dole Mafra stała się ciemna jak studnia. Baltazar schodzi ze wzgórza, patrzy na kamienie wytyczające teren od tej strony, dziewiczo białe, jeszcze nie tknięte pierwszymi chłodami ani wielkimi upałami, kamienie oszołomione jeszcze światłem dnia. Stanowią one pierwszy fundament klasztoru, z rozkazu króla już zostały ociosane, są to portugalskie kamienie ukształtowane przez portugalskie ręce, gdyż jeszcze nie nadeszła chwila, by z Mediolanu przybyli bracia Garvos, którzy będą kierować pracą kamieniarzy. Wchodząc do domu Baltazar słyszy szmer głosów dochodzących z kuchni, to głosy matki i Blimundy, raz jeden, raz drugi, ledwie się znają, a już mają sobie tak wiele do powiedzenia, jest to długa, nie kończąca się rozmowa kobiet, wydawałoby się o niczym, tak przynajmniej myślą mężczyźni, nie mając pojęcia o tym, że właśnie ta rozmowa utrzymuje ziemię na jej orbicie, bo gdyby nie kobiece rozmowy, mężczyźni już dawno straciliby poczucie tego, co to jest dom i planeta. Matko, pobłogosław mnie. Niech cię Bóg błogosławi, mój synu, Blimunda nie odezwała się do Baltazara, ani Baltazar do niej, popatrzyli tylko na siebie, a w tych spojrzeniach był ich wspólny dom.

Jest wiele sposobów na to, aby mężczyzna i kobieta się połączyli, ale nie sporządzamy tu ich wykazu, nie piszemy też vademecum swatania, odnotujemy zatem tylko dwa, z których pierwszy polega na tym, że mężczyzna i kobieta znajdują się blisko jedno drugiego, ale się nie znają i nic o sobie nie wiedzą, obydwójce uczestniczą w *auto da fé*, oczywiście jako widzowie, i patrzą na idących pokutników, nagle kobieta zwraca się do mężczyzny z pytaniem, Jak się pan nazywa, i nie robi tego ani z natchnienia bożego, ani z własnej woli, lecz na skutek rozkazu myślowego własnej matki, akurat przechodzącej w procesji, tej samej, która miała widzenia i objawienia, ale, jak twierdzi Święte Oficjum, tylko udawała, tym razem jednak jej przecucia się sprawdziły, gdyż wyraźnie zobaczyła tego żołnierza i przewidziała, że jest on przeznaczony jej córce, przez co ich połączyła. Drugi sposób natomiast polega na tym, że on i ona znajdują się z dala od siebie, nie znają się i nic o sobie nie wiedzą, każde na swoim dworze, on w Lizbonie a ona w Wiedniu, on ma dziewiętnaście lat, ona dwadzieścia pięć, zawarli małżeństwo *per procura* za pośrednictwem ambasadorów,

zobaczyli najpierw swoje korzystne portrety, on postawny i portugalsko śniady, ona pulchna i białoaustricka, jest przy tym bez znaczenia, czy się sobie podobają, czy nie, gdyż urodzenie nakazuje im ten związek, on to sobie potem niezłe powetuje, ale ona, biedactwo, nie, jest bowiem uczciwą kobietą, niezdolną podnieść oczu na innego mężczyznę, bo sny się przecież nie liczą.

Na wojnie toczonej przez Jana Baltazar stracił rękę, na wojnie toczonej przez Inkwizycję Blimunda straciła matkę, ale ani Jan nie odniósł zwycięstwa, gdyż nic nie zyskaliśmy na zawartym pokoju, ani nie odniosła go Inkwizycja, gdyż w miejsce każdej spalonej czarownicy rodzi się dziesięć nowych, nie licząc czarowników rodzaju męskiego, których też nie brak. Każde z nich ma swoją drobną buchalterię, swoją księgę rachunkową przychodów i rozchodów, wykaz zmarłych z jednej strony, rejestry żywych zaś z drugiej, różnią się też sposobem ściągania podatków i monetą, w pierwszym przypadku pieniądzem jest krew, w drugim natomiast okrwawione pieniądze, ale są tacy, którzy wołają się modlić, jak na przykład królowa, pobożna rodzicielka, która tylko w tym celu przyszła na świat, w sumie urodzi sześćoro dzieci, ale jej modlitwy liczą się w miliony, bo to odwiedza zakład nowicjuszy zakonu Jezusowego, to znów kościół parafialny Św. Pawła, raz odmawia nowennę do św. Franciszka, drugi raz znów modli się przed obrazem Matki Boskiej Opiekunki w Potrzebie, to zjawia się w klasztorze św. Benedykta w Loios, to znów w kościele parafialnym Tajemnicy Wcielenia, skąd jedzie do kościoła Niepokalanego Poczęcia w Marvila, później do klasztoru św. Benedykta Uzdrawiciela, to podąży przed obraz Matki Boskiej z Luz, to do kościoła Bożego Ciała, a także do kościoła Matki Boskiej Łaskawej, do Św. Rocha i Trójcy Świętej, do królewskiego klasztoru Bogarodzicy przed obraz Matki Boskiej Dobrej Pamięci, tudzież do kościoła Św. Piotra z Alcantara i do Matki Boskiej z Loreto, do klasztoru Dobrej Nowiny, gdy zaś opuszcza pałac, aby spełniać te nabożne praktyki, strażnicy biją w bębny i dmą w dudy, nie jej oczywiście, cóż za pomysł łączyć te dźwięki z osobą królowej, halabardnicy ustawiają się w szpaler, a że ulice są jak zwykle brudne, mimo wszelkich obwieszczeń i zarządzeń nakazujących uprzątnięcie nieczystości, przed królową idą tragarze z szerokimi deskami zarzuconymi na plecy, gdy wychodzi z karety, kładą deski na ziemi, ona przechodzi po nich, wtedy oni przenoszą je dalej i tak w kółko, królowa ciągle idzie po czystych deskach, tragarze zaś stojąc w rynsztokach przesuwiają je wciąż do przodu, tak że nasza miłościwa pani przypomina Pana Naszego Jezusa Chrystusa stąpającego po wodzie i takim oto cudownym sposobem wchodzi do klasztoru Trynitarek, do klasztoru Bernardynek, do Przenajświętszego Serca i do Św. Alberta, a także do kościoła Matki Boskiej Nieustającej Pomocy, która oby nie ustała, i do kościoła Św.

Katarzyny, i do klasztoru Paulinów, i do klasztoru Augustianów bosych, i do Matki Boskiej z Monte do Carmo, i do kościoła Matki Boskiej Opiekunki Męczenników, którymi wszyscy jesteśmy, i do klasztoru św. Joanny Księżniczki, i do klasztoru Zbawiciela, i do klasztoru sióstr św. Moniki, co to już o nich była mowa, i do królewskiego klasztoru Zadośćuczynienia, i do klasztoru Beneficjantek, ale do jednego klasztoru nie odważy się iść, do Odivelas, i wszyscy domyślają się dlaczego, jest bowiem żalosną, zdradzaną królową, której jedynie modlitwy nie zdradzają, toteż poświęca im wszystkie swoje dni i godziny, modląc się zarówno wtedy, gdy ma ku temu powód, jak i bez wyraźnego powodu, za lekkomyślnego męża, za krewnych, którzy są tak daleko, za kraj, który nie jest jej ojczyzną, za dzieci, które są jej tylko w połowie, a może nawet mniej jak w połowie, w każdym razie tak twierdzi infant Piotr w niebie, za imperium portugalskie, za nadciągającą zarazę, za skończoną wojnę, również za ewentualną przyszłą, za szwagierki infantki, za szwagrów infantów, za księcia Franciszka również, i kieruje modły do Jezusa Maryi Józefa świętego z powodu pokus cielesnych, wyobrażanej i niemal fizycznie odczuwanej rozkoszy, z powodu trudno osiągalnego zbawienia, czyhającego piekła, ciężaru korony, smutnej kobiecej doli, i z obu tych powodów razem wziętych, a także w intencji wpływającego życia i zbliżającej się śmierci.

Ale w chwili obecnej Jej Królewska Mość Maria Anna ma inne, dużo pilniejsze powody do modłów. Król ostatnio niedomaga, cierpi na niespodziewane wzdęcia, co, jak wiemy, nie jest nową dolegliwością, jednak ostatnio nasiliła się ona tak bardzo, że omdlenia trwają znacznie dłużej niż zwykłe zasłabnięcia, i widok potężnego króla tracącego przytomność jest zaiste doskonałą lekcją pokory, bo cóż mu z tego, że jest panem Indii, Afryki i Brazylii, jesteśmy doprawdy niczym i wszystko, co mamy, musimy zostawić na tym świecie. Jak zwykle w takich przypadkach, udzielają mu natychmiast ostatniego namaszczenia, monarcha wszak nie może umrzeć bez sakramentów świętych, niby pierwszy lepszy żołnierz na polu bitwy, gdzie kapelani nie docierają lub nie chcą dotrzeć, ale czasem zdarzają się nieprzewidziane trudności, raz na przykład król był w Setubalu i oglądał z okna walkę byków, a tu znenacka popada w głębokie omdlenie, lekarz spieszy z pomocą, bada puls, woła balwierza, puszczają mu krew, zjawia się spowiednik z olejami, ale nikt nie wie, jakie grzechy popełnił król Jan V od ostatniej spowiedzi, którą odbył onegdaj, ile złych myśli można mieć i ile złych czynów można dokonać w ciągu dwudziestu czterech godzin, nie mówiąc już o tym, jak niestosowna jest cała sytuacja, gdyż na arenie byki umierają, a król leży z wywróconymi oczami i nie wiadomo, czy umrze, czy nie, a jeśli nawet umrze, to nie od ran odniesionych na arenie, gdzie zwierzętom od czasu do czasu udaje się wyrzucić zemstę na

nieprzyjacielu, o, właśnie przed chwilą wielmożny pan Henryk Almeida wyleciał w powietrze razem z koniem i już go wynoszą z dwoma złamanymi żebrami. Wreszcie król otworzył oczy, jeszcze tym razem wyszedł z tego, ale nogi się pod nim uginają, ręce mu drżą, jest bardzo blady i w niczym nie przypomina galanta, na którego skinienie rozkładają nogi wszystkie mniszki, i nie tylko one, bo na przykład w zeszłym roku pewna Francuzka też urodziła mu dziecko, ale gdyby w tej chwili ujrzały go kochanki, zarówno te klasztorne, jak i świeckie, to z pewnością w tym ledwie żywym i apatycznym człowieczku nie rozpoznałyby niezmordowanego królewskiego rozplodnika. Król pojechał do Azeitao w nadziei, że świeże powietrze i zioła wyleczą go z tej melancholii, bo tak lekarze określają jego chorobę, ale Jego Królewska Mość cierpi najprawdopodobniej na zaburzenia humorów, co, jak wiadomo, powoduje obstrukcje, wzdęcia, zbieranie się żółci, a są to wtórne następstwa czarnej melancholii, zatem tak właśnie należy nazwać chorobę króla, dobrze jeszcze, że dolegliwości nie dotyczą także narządów płciowych, pomimo wybryków erotycznych i ryzyka francy, ale w tym przypadku zaaplikowałiby mu sok żywokostowy, co wybornie leczy owrzodzenia jamy ustnej i dziąseł, a także jąder i przyległości.

Królowa Maria Anna została w Lizbonie i najpierw modliła się na miejscu, później zaś udała się na modły do Belem. Mówią, iż jest urażona odmową króla, który nie chciał jej powierzyć kierowania krajem, istotnie, wydaje się niestosowne, by mąż tak nie dowierzał własnej żonie, ale to tylko chwilowy upór, gdyż w przyszłości królowa będzie zawsze sprawować regencję, nim król się wykuruje na lubych błoniach Azeitao, gdzie towarzyszą mu franciszkanie z Arrabidy i gdzie szum fal jest ciągle taki sam, podobnie jak kolor morza i oszałamiający zapach alg podczas odpływu, i gdzie po dawnemu pachną lasy, a tymczasem infant Franciszek też pozostał w Lizbonie, dwornie sobie poczyina w pałacu i zaczyna snuć intrygę, gdyż liczy na to, że śmierć króla wpłynie na jego własne losy. Jeżeli okaże się, że na tę melancholię, która dokucza królowi, nie ma żadnego lekarstwa i jeżeli Bóg zechce tak wczesnie przerwać jego doczesne życie i przenieść go do wieczności, to ja, jako młodszy brat, a więc najbliższy krewny, szwagier Waszej Królewskiej Mości i wielce oddany sługa jej urody i cnoty, to ja, przepraszam za śmiałość, mógłbym wstąpić na tron, a przy okazji i do łoża Waszej Miłości, moglibyśmy bowiem pobrać się zgodnie ze wszelkimi wymogami prawa kanonicznego, i mogę zapewnić, że jako mężczyzna w niczym nie ustępuję bratu. Doprawdy, to bardzo niestosowne tak mówić do szwagierki, król jeszcze żyje i, dzięki moim modlitwom, jeśli Bóg mnie wysłucha, nie umrze i żyć będzie na chwałę królestwa, tym bardziej że zgodnie z przepowiednią mam mieć z nim sześcioro dzieci, więc brakuje jeszcze trojga. A jednak Wasza Królewska Mość śni o mnie co noc, dobrze o tym wiem, To prawda,

są to takie kobiece słabostki, które chowam na dnie serca i nawet spowiednikowi ich nie powierzam, ale muszę mieć chyba na twarzy wypisane te sny, skoro tak łatwo je odgadnąć. A więc, jeśli umrze mój brat, pobierzemy się. Jeśli będzie to korzystne dla królestwa, nie spowoduje obrazy boskiej ani mój honor na tym nie ucierpi, to pobierzemy się. Oby umarł, chcę bowiem zostać królem i spać z Waszą Królewską Mością, już mi się znudziło być infantem. Mnie też już się znudziło być królową, a nie mogę być niczym innym, tak czy owak modłę się o zdrowie dla mojego męża i oby drugi nie był gorszy. A zatem Wasza Królewska Mość przypuszcza, że byłbym gorszym mężem niż mój brat. Wszyscy mężczyźni są źli, każdy na swój sposób, ta sceptyczna i mądra sentencja położyła kres rozmowie w pałacu, pierwszej z wielu, którymi infant Franciszek zaczął niepokoić królową, zarówno w Belem, gdzie właśnie przebywa, jak i w Belas, dokąd niezwłocznie wyruszy, oraz w Lizbonie, gdy wreszcie zostanie regentką, rozprawia o tym w komnatach i ogrodach, toteż sny królowej nie są już takie, jak były, tak rozkoszne, porywające ducha i dręczące ciało, teraz infant zjawia się tylko po to, żeby powiedzieć, iż chce zostać królem, a niech tam, ale czym wcale nie warto śnić, ja sama jako królowa wiem to najlepiej. Król poważnie zachorował, umarły sny królowej, później król wyzdrowieje, ale sny królowej już nie zmartwychwstaną.

Świat utrzymuje się na swojej orbicie nie tylko dzięki kobiecym pogawędkom, ale również dzięki snom, które otaczają go niby korona z księżyców, stąd właśnie niebo jest blaskiem rozświetlającym ludzkie głowy, o ile w ogóle ludzka głowa nie jest jedynym prawdziwym niebem. Ksiądz Bartłomiej Wawrzyniec wrócił z Holandii, ale czy przywiózł alchemiczną tajemnicę eteru, czy też nie, o tym dowiemy się później, być może owa tajemnica nie ma nic wspólnego z tą alchemią, jaką dawniej praktykowano, może jedno zwykłe słowo wystarczy, by napełnić kule latającej maszyny, w każdym razie Bóg ograniczył się do słów i to wystarczyło do stworzenia wszystkiego, tak go uczyli w seminarium w Bahii, potwierdzenie tego znalazł też w bardziej zaawansowanych wywodach i studiach na Wydziale Kanonicznym w Coimbrze, zanim jeszcze dokonał pierwszych prób z balonami, teraz zaś po powrocie z ziemi holenderskiej powtórnie uda się do Coimbrzy, gdyż niezależnie od tego, że się jest wielkim awiatorem, zawsze dobrze mieć jeszcze stopień bakałarza, magistra czy doktora, bo wówczas nawet człowiek może nie latać, a i tak darzą go szacunkiem. Bartłomiej Wawrzyniec pojechał na folwark Sao Sebastiao da Pedreira, gdzie nie był przez całe trzy lata, szopa wyglądała na całkowicie opuszczoną, na ziemi poniewierały się różne materiały, których nawet nie warto było zbierać, toteż nikt by się nie domyślił, co się tu szykuje.

Wewnątrz budynku latały wróble, dostały się tam przez dziurę w dachu, dwie dachówki były stłuczone, jakie malutkie są te ptaki, niezdolne wznieść się ponad najwyższy jesion na folwarku, wróbel to ptak lubiący ziemię, kompost, nawóz i pole uprawne, i dopiero gdy jest martwy, można zrozumieć, dlaczego nie może latać wyżej, ma tak słabe skrzydła, tak kruchutkie kostki, podczas gdy moja *passarola* polecą tam, dokąd tylko można sięgnąć wzrokiem, wystarczy spojrzeć na mocny szkielet gondoli, w której polecę, ale pręty pordeziewały, to zły znak, wygląda na to, że Baltazar tu nie zaglądał mimo moich zaleceń, a jednak ślady bosych stóp świadczą o tym, że był, sam, bez Blimundy, a może Blimunda umarła, widać, że spał na sienniku, derka jest odrzucona na bok, jakby przed chwilą wstał, ja też się położę na tym sienniku i przykryję się derką, ja, ksiądz Bartłomiej Wawrzyniec, ja, który wróciłem z Holandii, dokąd pojechałem, żeby się dowiedzieć, czy w Europie już potrafią latać na skrzydłach i czy w tej dziedzinie nauki są bardziej zaawansowani niż ja w moim kraju żeglarzy, studiowałem w Zwolle, Ede i Nijkerk u kilku uczonych i starych alchemików, którzy potrafią tworzyć słońca w retortach, co to później w dziwny sposób zamierają, stopniowo wysychają, aż stają się niczym wiązka łamliwej słomy i wówczas spalają się jak słoma, każdy tego pragnie w godzinie śmierci, żeby został po nim tylko popiół, zapalają się zaś samorzutnie, a na mnie cały czas czeka tu maszyna latająca, która jeszcze nie

lata, oto kule, które muszę napełnić niebiańskim eterem, człowiekowi się zdaje, że wie, co mówi, gdy spojrzy w niebo i powie. Niebiański eter, ale ja już wiem, czym on jest, to jest tak proste, jak słowa Boga, Niech stanie się światłość, i stała się światłość, tak się to mówi, ale tymczasem nastąpiła noc, zapalę zatem tę lampę zostawioną przez Blimundę, małe słońce, które mogę rozniecić albo zgasić wedle własnej woli, mam na myśli lampę, a nie Blimundę, żadna ludzka istota nie może mieć na tym ziemskim padole wszystkiego, czego pragnie albo o czym marzy, dobrej nocy.

Po kilku tygodniach ksiądz Bartłomiej, zaopatrzywszy się we wszystkie stosowne dyspozycje, zezwolenia i świadectwa wyruszył do Coimbry, grodu tak sławnego i szczytującego się tyloma leciwymi uczonymi, że gdyby byli w nim również alchemicy, w niczym nie ustępowałby Zwolle, ksiądz podróżuje na wynajętej mulicy, bardzo łagodnej, jak przystoi duchownemu nie wyróżniającemu się w sztuce jeździeckiej i dysponującemu skromnymi środkami, gdy dojedzie do celu, wierzchowiec wróci z innym jeźdźcem, być może z jakimś świeżo upieczonym doktorem, choć do takiej godności bardziej pasuje lektyka przystosowana do długich podróży, w której człowiek ma wrażenie, jakby płynął po rozkołysanym morzu, o ile muł idący przodem nie będzie zbyt bezwstydnie puszczać wiatrów. Aż do osady Mafra, dokąd najpierw się udaje, w jego podróży nie ma nic ciekawego do odnotowania, pomijając historie napotykanych ludzi, ale oczywiście nie możemy się zatrzymywać i pytać każdego, Kim jesteś, czym się zajmujesz, co cię trapi, ksiądz Bartłomiej zatrzymał się wprawdzie parę razy, ale dosłownie na chwilę, aby udzielić błogosławieństwa, o które go proszono, i natychmiast ruszał dalej, lecz historia życia niektórych z napotkanych ludzi przybierze całkiem inny obrót, tak aby mogli wkroczyć w tę historię, którą opowiadamy, zwykłe spotkanie z księdzem jest bowiem znakiem, gdyż jedzie on przecież do Coimbry, a więc nie jechałby tą drogą, gdyby nie to, że najpierw musi wstąpić do Mafry, gdyż tam znajdują się Baltazar Siedem Słońc i Blimunda Siedem Lun. Nieprawdą jest, że dzień jutrzejszy jest w rękach Boga, że człowiek musi czekać do następnego dnia, aby się przekonać, co mu przyniesie, że jedynie śmierć jest pewna, nie znamy tylko dnia ani godziny, to takie gadanie tych, którzy nie są w stanie zrozumieć znaków, które daje nam przyszłość, jak na przykład pojawienie się tego księdza jadącego z Lizbony, błogosławiącego tych, którzy o to proszą, i zmierzającego do Mafry, co przecież znaczy, że pobłogosławiony człowiek też uda się do Mafry, będzie pracować przy budowie królewskiego klasztoru i tam umrze bądź spadając z muru, bądź z powodu zarazy, bądź od pchnięcia nożem, albo też zmiążdżony statua św. Brunona.

Ale na razie jeszcze jest za wcześnie na te wszystkie wypadki. Gdy ksiądz Bartłomiej na ostatnim zakręcie drogi zaczął zjeżdżać w dolinę, natknął się na masę ludzi, choć może to przesada nazywać masą kilkuset mężczyzn, w pierwszej chwili nie mógł pojąć, co się dzieje, gdyż wszyscy oni biegli w jedną stronę, słychać było głos trąbki, czy to jakiś festyn, czy może wojna, potem huknął dynamit, ziemia i kamienie z wielką siłą wyleciały w powietrze, po dwudziestu wybuchach znów rozległ się głos trąbki, tym razem odmienny, mężczyźni z taczkami i łopatami skierowali się do porytej ziemi, ładowali ją i wywozili na stok od strony Mafry, jednocześnie inni mężczyźni z motykami na ramieniu znikali w głębokich wykopach, dokąd tragarze spuszczały kosze, a następnie je wyciągali, gdy tylko zostały napełnione ziemią, którą wysypywali dalej, skąd z kolei zabierali ją taczkarze i wywozili na nasyp, zaiste nie ma żadnej różnicy między setką ludzi a setką mrówek, coś się przenosi stąd dotąd, gdyż na więcej nie starcza sił, zjawia się więc inna mrówka, która przenosi ładunek do następnej mrówki, aż jak zwykle wszystko kończy się pod ziemią, dla mrówek jest to miejsce życia, dla ludzi zaś wiecznego spoczynku, a więc jak widać, na jedno wychodzi.

Ksiądz Bartłomiej popędził mulicę uderzeniami pięt, gdyż doświadczony zwierzę wcale nie przestraszyło się wybuchów, tak to już jest z mieszającami, z tymi, którzy nie będąc czystej rasy niejedno już widzieli, mieszaniec nie jest strachliwy i jest to najlepsza życiowa postawa zarówno dla zwierząt, jak i dla ludzi. Droga tonęła w błocie, gdyż od owych wstrząsów miejscowe źródła pogubiły swoje dawne koryta i woda płynęła tam, gdzie nie była potrzebna, albo też rozpląwała się cieniutkimi strużkami, które się rozdzielały na coraz mniejsze, aż wreszcie rozpadały się na atomy nie zostawiające już śladów wilgoci, tą właśnie drogą lekko poganiając mulicę ksiądz zjechał do osady i wstąpił do domu wikarego, aby zapytać, gdzie mieszka Siedem Słońc. Pleban ów zrobił dobry interes na ziemi, którą miał na wzgórzu Vela, gdyż albo istotnie była dużo warta, albo dużo wart był jej właściciel, dość że wyceniono ją wysoko, na sto czterdzieści tysięcy reali, co jest nieporównywalne z trzynastoma tysiącami pięćset, jakie otrzymał Jan Franciszek. Wikaremu poszczęściło się, tuż obok będzie miał klasztor z osiemdziesięcioma zakonnikami, przez co w osadzie znacznie wzrośnie liczba chrztów, ślubów, pogrzebów, a każdy sakrament, jak wiadomo, składa się z części duchowej i materialnej, w wyniku zatem prostej zależności między nimi wzrosną zarówno jego dochody, jak i szansę na zbawienie. A więc księżu Bartłomieju, to dla mnie wielki zaszczyt przyjmować księdza w moim domu, rodzina Siedem Słońc mieszka tuż obok, mieli pole sąsiadujące z moim na wzgórzu Vela, oczywiście mniejsze od mojego, teraz stary wraz z rodziną utrzymuje się z ziemi, którą dzierżawi, cztery lata temu wrócił ich syn, Baltazar, wrócił z kalekiej wojny, to jest chciałem powiedzieć, że wrócił kaleki z wojny,

przyprował żonę, wydaje mi się, że nie są złączeni świętym sakramentem małżeństwa, ona ma jakieś takie pogańskie imię. Blimunda, powiedział ksiądz Bartłomiej. A więc ksiądz ją zna. Tak, to ja udzieliłem im ślubu. Ach, to jednak mają ślub. Udzieliłem im ślubu w Lizbonie. Awiator, który w Mafrze nie był znany jako taki, podziękował wikaremu za wylewność, której źródłem były wyłącznie specjalne rekomendacje z pałacu, i wyruszył na poszukiwanie Baltazara, zadowolony ze swojego kłamstwa wobec Boga i zarazem wiedząc, że Bogu jest to całkiem obojętne, człowiek sam powinien wiedzieć, kiedy jego kłamstwa są wybaczalne.

Drzwi otworzyła mu Blimunda. Zapadał już zmierzch, ale ona rozpoznała księdza zsiadającego z mulicy, cztery lata to nie tak znów wiele, pocałowała go w rękę, gdyby w pobliżu nie było ciekawskich sąsiadów, powitanie wyglądałoby inaczej, gdyż tych dwoje, a raczej troje, razem z Baltazarem, miało takie same odruchy serca i wśród wielu minionych nocy na pewno była przynajmniej jedna, kiedy każde z nich miało ten sam sen, śniła im się maszyna, która leci trzepocząc skrzydłami, widzieli, jak słońce wybucha silniejszym blaskiem i wówczas bursztyń przyciąga eter, eter przyciąga magnes, magnes przyciąga żelazo, wszystkie rzeczy przyciągają się nawzajem, problem polega tylko na tym, żeby ustawić je w odpowiednim porządku, a wówczas cały dotychczasowy porządek zostanie zburzony. Ojciec Bartłomieju, to jest moja teściowa, Marta Maria zbliżyła się zaintrygowana panującym milczeniem, w dodatku Blimunda otworzyła drzwi, nim w nie zapukano, i oto pojawia się w nich młody ksiądz, który pyta o Baltazara, nie jest to przyjęty sposób składania wizyt w tych czasach, ale są wyjątki, o czym wiadomo z dawien dawna, i takim właśnie wyjątkiem jest pojawienie się w Mafrze księdza z Lizbony, który chce się zobaczyć z jednorękiem żołnierzem i z kobietą reprezentującą najgorszy rodzaj jasnowidztwa, gdyż widzi to, co naprawdę istnieje, o czym w tajemnicy Marta Maria już wie, skarży się ona na guz w brzuchu, ale Blimunda mówi jej, że nie ma żadnego guza, chociaż oboje dobrze znają prawdę. Jedz, Blimundo, chleb, jedz.

Gdy Baltazar wraz z ojcem wrócił do domu, ksiądz Bartłomiej siedział przy ogniu, gdyż pod wieczór zrobiło się chłodno. Zobaczyli przed drzwiami jeszcze nie rozsiodlaną mulicę przywiązaną do oliwki. Kto to mógł przyjechać, spytał Jan Franciszek, Baltazar zaś nic nie odpowiedział, ale odgadł, że to ksiądz, mulice bowiem, których dosiadają duchowni, mają w sobie jakąś ewangeliczną łagodność, być może, nabytą, lecz kontrastującą z niesfornością wierzchowców, dosiadanych przez ludzi świeckich, jako więc że była to typowa księżowska mulica, wyglądająca przy tym na zdrożoną, a nie spodziewano się tu ani legata papieskiego, ani też żaden nuncjusz się nie zapowiedział, więc nie mógł to być nikt inny, jak

ksiądz Bartłomiej, i tak też istotnie było. Jeśli kogoś zdziwi fakt, że Baltazar Siedem Słońce dostrzegł tyle rzeczy w zapadającym zmroku, możemy wyjaśnić, że aureola opromieniająca świętych nie jest czczym urojeniem zrodzonym w chorych umysłach mistyków albo też zwykłym religijnym symbolem z olejnych obrazów i że Baltazar przez ciągłe spanie z Blimundą i przez niemal co noc powtarzające się akty cielesnego oddania zaczynał też przejawiać zdolność podwójnego widzenia, wprawdzie nie na tyle, by sięgać do głębi, ale w stopniu dostatecznym, by czynić spostrzeżenia podobne powyższym. Jan Franciszek rozsiadł mulicę i gdy wszedł do domu, ksiądz Bartłomiej właśnie mówił Baltazarowi i Blimundzie, że zje kolację u wikarego, który go zaprosił, i u niego również przenocuje, gdyż po pierwsze, w domu Baltazara nie ma dość miejsca, a po drugie, mieszkańcy Mafrы byliby zapewne zdziwieni tym, że ksiądz przybyły z daleka wybrał sobie gospodę dającą niewiele lepsze schronienie niż bróg w Belem, zamiast wygod na plebanii albo w pałacu wicehrabiego, gdzie z pewnością nie odmówiono by przyjęcia przysłemu doktorowi prawa kanonicznego. Marta Maria powiedziała, Gdybyśmy zawczasu wiedzieli o wizycie waszej wielbności, zabiłoby się koguta, bo wszystko inne, czym dysponujemy, nie nadaje się dla gości. Bardzo chętnie zjadłbym właśnie to, co macie, ale będzie lepiej, jeśli tu nie zostaną długo i nie zjem kolacji, a co do koguta, to lepiej żeby pani Marta Maria pozwoliła mu nadal piąć, bo choćby nie wiem jak smakowity miał się okazać po wyjęciu z garnka, to jego pianie dostarcza człowiekowi znacznie więcej radości, a poza tym nie możemy czegoś takiego zrobić kurom. Jan Franciszek zaśmiał się z tego wyводу, Marta Maria nie mogła, gdyż właśnie poczuła przeszywający ból w brzuchu, Blimunda i Baltazar natomiast tylko się uśmiechnęli, nie musieli się śmiać, wszak dobrze wiedzieli, że powiedzenia księdza zawsze spełniają oczekiwania rozmówców, co jeszcze raz się potwierdziło. Jutro, na godzinę przed wschodem słońca, przyprowadźcie mi mulicę na plebanię, już osiodłaną, przyjdźcie obydwójce, gdyż musimy porozmawiać przed moim wyjazdem do Coimbry, a teraz panie Janie Franciszku i pani Marto Mario daję wam moje błogosławieństwo, o ile jest ono coś warte w oczach Boga, jest bowiem wielką pychą zakładać, że możemy sami sądzić o wartości błogosławieństw, a więc jeszcze raz przypominam, na godzinę przed wschodem słońca, co powiedziawszy wyszedł, a w ślad za nim Baltazar z lampą, która dawała niewiele światła, jakby tylko mówiła nocy, Jestem światłem, podczas krótkiej drogi nie rozmawiali ze sobą, Baltazar wrócił po omacku, jego stopy dobrze znały drogę, a gdy wszedł do kuchni, Blimunda spytała, No i co, czy ksiądz powiedział, czego od nas chce. Nic nie powiedział, dopiero jutro się dowiemy, Jan Franciszek zaśmiał się ponownie, Niezły był ten dowcip z kogutem. Jeśli zaś idzie o Martę

Marię, to wyczuwała w tym wszystkim jakąś tajemnicę. Kolacja gotowa, mężczyźni usiedli przy stole, kobiety oddzielnie, taki tu panuje zwyczaj.

Tej nocy każdy spał, jak mógł, śniąc własne tajemne sny, wiadomo zaś, że sny są jak ludzie, niby do siebie podobne, lecz nigdy identyczne, wyrażamy się zatem nieściśle mówiąc, Widziałem we śnie mężczyznę, albo, Śniła mi się płynąca woda, to za mało, żeby stwierdzić, o jakiego mężczyznę i o jaką wodę chodzi, woda bowiem płynąca we śnie jest wodą tylko tego jednego śpiącego człowieka i nie możemy zrozumieć, co to znaczy, że płynie, o ile nie zrozumiemy, kim jest śniący, tak więc przechodzimy od snu do śniącego i od śniącego do snu, ciągle pytając. Pewnego dnia przyszło pokolenia będą litować się nad naszą małą i niedokładną wiedzą, księżę Franciszku Goncalvesie, tak powiedział ksiądz Bartłomiej, nim poszedł spać do swojego pokoju, na co ksiądz Franciszek Goncalves, jak przystało na wikarego, rzekł, Wszelka wiedza jest w Bogu. Oczywiście, powiedział Awiator, ale wiedza Boga jest jak rzeka płynąca do oceanu, Bóg jest źródłem, ludzie zaś oceanem i gdyby miało być inaczej, to stworzenie świata nie miałoby najmniejszego sensu, z naszej strony możemy dorzucić, że wydaje się wprost niemożliwe, by człowiek, który wypowiedział lub usłyszał takie słowa, mógł spać spokojnie.

O świcie Baltazar i Blimunda przyprowadzili mulicę i nie musieli wcale wołać księdza Bartłomieja, otworzył bowiem drzwi, gdy usłyszał stuk podków na kamieniach, a po chwili wyszedł z domu, pożegnawszy wikarego, który miał teraz o czym myśleć, czy Bóg jest źródłem, a ludzie oceanem, jaka część wiedzy ogólnej przypadnie mu w przyszłości, gdyż co się tyczy przeszłej wiedzy, to prawie zupełnie ją zapomniał i prócz łaciny, stale używanej podczas mszy i przy udzielaniu sakramentów, dobrze pamiętał tylko drogę wiodącą między uda gospodyni, która ostatniej nocy, z powodu gościa, spała pod schodami. Baltazar trzymał wodze mulicy, Blimunda stała o kilka kroków za nim ze spuszczonej oczami i nasuniętą na twarz zarzutką. Dzień dobry, powiedzieli. Dzień dobry, odrzekł ksiądz i spytał, czy Blimunda coś jadła, ona zaś z twarzą ukrytą w cieniu spowijającej jej głowę chusty odparła, Nie jadłam, okazuje się jednak, że poprzedniego wieczoru Baltazar i ksiądz Bartłomiej zamienili ze sobą parę słów. Powiedz Blimundzie, żeby jutro była na czczo, Baltazar powtórzył jej to szeptem, gdy już leżeli, nie chciał, aby starzy coś usłyszeli, jak tajemnica, to tajemnica.

Pograżonymi w ciemnościach uliczkami doszli aż na szczyt wzgórza Vela, nie była to droga na wioskę Paz, jaką powinien obrać ktoś kierujący się na pomoc, wyglądało po prostu na to, że chcieli się oddalić w ustronne miejsce, choć i tu znajdowały się liche, byle jak sklecone budy zamieszkałe przez wstających już o tej porze kopaczy, mężczyzn silnych i nieokrzęsanych, wrócimy jeszcze w te okolice za parę miesięcy i za parę lat, ale wówczas

ujrzymy tu całe drewniane miasto, większe od Mafry, kto dożyje, zobaczy to wszystko oraz jeszcze parę innych rzeczy, a na razie są tu jedynie te byle jak sklecone budy, w których mogą rozprostować zmęczone kości mężczyźni od motyki i kilofa, wkrótce zatrąbią na pobudkę, gdyż jest tu także wojsko, które nie ginie już na wojnie, ale nadzoruje te prostackie legiony lub też pomaga w pracach nie przynoszących ujmy mundurowi, ale prawdę mówiąc, pilnujący niewiele się różnią od pilnowanych, bo jedni obdarci, a drudzy w łachmanach. Od strony morza niebo jest perłowszare, lecz nad wzgórzami nabiera stopniowo koloru rozwodnionej krwi, która staje się coraz czerwiejsza, aż wreszcie wschodzi złoto—błękitny dzień, gdyż jest to czas pięknej pogody. Blimunda jednak nic nie widzi, oczy ma spuszczone, a w kieszeni kawałek chleba, którego jeszcze nie może zjeść. Czego oni będą ode mnie chcieli.

Ale to tylko ksiądz czegoś chce, Baltazar wie na ten temat równie mało jak Blimunda. W dole widać niewyraźne zarysy wykopów odcinających się czernią na szarym tle, tam właśnie stanie bazylika. Płaskowyz wypełnia się ludźmi, którzy rozpalają ogniska, by przygotować gorącą stawę, odgrzewają wczorajsze resztki, piją polewkę z drewnianych misek, mocząc w niej razowiec, tylko Blimunda musi jeszcze czekać na swoją kolej. Ksiądz Bartłomiej mówi, Blimundo i Baltazarze, tylko was mam na świecie, moi rodzice są w Brazylii, moi bracia w Portugalii, mam więc rodzinę, ale nic tu po rodzinie, potrzebni mi są przyjaciele, słuchajcie więc, w Holandii dowiedziałem się, czym jest eter, jest to coś zupełnie innego, niż się powszechnie uważa i uczy, nie można go otrzymać w wyniku zabiegów alchemicznych, a znów żeby dotrzeć tam, gdzie się znajduje, to znaczy do nieba, trzeba latać, a my jeszcze nie latamy, lecz eter, słuchajcie teraz uważnie, zanim uleci w niebo, w przestwór, gdzie zawieszono gwiazdy i którym oddycha Bóg, żyje wewnątrz mężczyzn i kobiet. A więc to jest dusza, powiedział Baltazar. Nie, ja też z początku myślałem, że eter składa się z dusz uwolnionych z ciała przez śmierć i czekających na sąd ostateczny, ale eter nie składa się z dusz zmarłych, składa się, słuchajcie dobrze, z woli żywych.

W dole mężczyźni już zaczęli schodzić do wykopów, gdzie wciąż panował półmrok. Ksiądz mówił dalej, Wewnątrz nas znajduje się wola i dusza, dusza ulatuje wraz ze śmiercią i zdąża tam, gdzie wszystkie dusze czekają na sąd, nie wiadomo, gdzie to jest, ale wola albo opuszcza człowieka jeszcze za życia, albo w chwili śmierci, ona właśnie jest eterem, a zatem to ona podtrzymuje gwiazdy i nią oddycha Bóg. A co ja mogę zrobić, spytała Blimunda, ale już domyślała się, jaka będzie odpowiedź. Wypatrzysz wolę wewnątrz ludzi. Nigdy jej nie widziałam, tak jak nigdy nie widziałam duszy. Nie widzisz duszy, gdyż nie można jej zobaczyć, woli natomiast do tej pory nie widziałam, gdyż jej nie szukałam. A jak wygląda wola. Jest to gęsty obłok, Ale jaki jest ten gęsty obłok. Rozpoznasz go, kiedy go

ujrzesz, spróbuj na Baltazarze. Nie mogę, przysięgam, że nigdy nie zajrzę mu do wnętrza. No to możesz na mnie.

Blimunda podniosła głowę, spojrzała na księdza i zobaczyła to, co zawsze, ludzie są bardziej do siebie podobni od wewnątrz niż na zewnątrz, różnią się tylko w przypadku choroby, popatrzyła jeszcze raz i powiedziała, Nic nie widzę. Ksiądz uśmiechnął się, Może nie mam już woli, poszukaj dokładniej. Widzę, widzę gęsty obłok nad samym żołądkiem. Ksiądz przeżegnał się, Dzięki ci, Boże, teraz na pewno polecę. Wyjął z sakwy szklany flakonik, na którego dnie był krążek żółtego bursztynu, ten bursztyn, zwany także elektro, przyciąga eter, będziesz go zawsze mieć przy sobie chodząc między ludźmi na procesjach, na *auto da fé*, tu na budowie klasztoru i gdy tylko zobaczysz, że z kogoś wychodzi obłok, co ciągle się zdarza, zbliżysz się z otwartym flakonikiem, i wola do niego wleci. A kiedy się zapełni, zapełni go już nawet jedna wola, ale niezgłębiona tajemnica woli polega na tym, że tam gdzie mieści się jedna, mieszczą się miliony, jeden równa się nieskończoności. Czy tymczasem będziemy coś robić, spytał Baltazar. Ja jadę do Coimbrы, stamtąd we właściwym czasie przyślę wiadomość i wtedy obydwójce udacie się do Lizbony, ty zbudujesz maszynę, a ty będziesz zbierać wole, spotkamy się we trójkę, gdy nastanie dzień lotu, ściskam cię, Blimundo, nie patrz tak na mnie z bliska, ściskam cię, Baltazarze, do zobaczenia. Wsiadł na mulicę i zaczął zjeżdżać po zboczu. Słońce już wstało nad wzgórzami. Zjedz chleb, powiedział Baltazar, a Blimunda odparła, Jeszcze nie, najpierw chcę zobaczyć wolę tych ludzi.

Wrócili z mszy i usiedli pod okapem pieca chlebowego. Siąpi łagodny deszczyk, od czasu do czasu wygląda słońce. Wcześniej zaczęła się jesień, toteż Ines Antonina mówi do syna, Chodź tu, bo cały przemokniesz, on zaś udaje, że nie słyszy, już w tamtych czasach chłopcy mieli ten zwyczaj, nim zaczęli w bardziej radykalnej formie przejawiać nieposłuszeństwo, Ines Antonina powiedziała to tylko raz i więcej nie nalega, przecież dopiero trzy miesiące temu umarł młodszy, po cóż więc jeszcze dokuczać temu, niech tam się bawi, skoro chlapanie się w kałużach sprawia mu tyle radości, niech go Matka Boska uchowa przed ospą, która zabrała mu brata. Alvaro Diogo mówi, Już mi obiecali pracę przy budowie królewskiego klasztoru, o tym właśnie wszyscy rozmawiają, tylko matka myśli o zmarłym synu, ale jej myśli rozpraszają się i całe szczęście, że tak się dzieje, inaczej z pewnością ją przytłaczały, byłyby nie do zniesienia, podobnie jak ból, który odczuwa Marta Maria, ból uporczywy, przeszywający brzuch niczym szpady, co przeszywa serce Matki Boskiej, właściwie dlaczego serce, skoro nowe życie rodzi się w brzuchu, który jest piecem wytwarzającym życie, a jak inaczej wykarmić to życie, jeśli nie poprzez pracę, dlatego właśnie Alvaro Diogo jest tak zadowolony, budowa klasztoru potrwa wiele, wiele lat i każdy, kto zna mularski fach, będzie miał zapewniony chleb, trzysta reali dziennie, a jak dobrze pójdzie, to i pięćset. A ty, Baltazarze, jednak zamierzasz wrócić do Lizbony, chyba źle robisz, bo tu nie zabraknie pracy. Ale nie będą przyjmować kalek, mają tylu ludzi do wyboru. Tym swoim hakiem potrafisz robić prawie wszystko, co robią inni. Bardzo bym chciał, mówisz tylko tak, żeby mnie pocieszyć, ale musimy wracać do Lizbony, prawda, Blimundo, a Blimunda, która cały czas milczała, skinęła potakująco głową. Siedzący trochę na uboczu Jan Franciszek plecie rzemienny postronek, słyszy rozmowę, ale nie zwraca uwagi na jej treść, wie już, że syn wyjedzie za parę tygodni i ma do niego o to żal, powtórnie ich opuszcza po tylu latach spędzonych na wojnie. Szkoda, że nie stracił prawej ręki, oto jakie myśli może człowiekowi podsunąć miłość. Blimunda wstała, przeszła przez podwórze i skierowała się do ogrodu oliwnego, który rozciąga się na zboczu aż do kamieni wytyczających teren budowy, grube podeszwy drewniaków grzęzły w rozmiękłym od deszczu ugorze, ale gdyby nawet szła boso po ostrych kamieniach, to nie czułaby zapewne bólu, bo czymże mógł być taki mały ból w porównaniu ze zgrozą, jaką odczuwała z powodu tego, na co się odważyła tego ranka, przyjęła bowiem komunię na czczo, jeszcze leżąc udała, że je chleb, jak to zwykle robiła, ale nie zjadła go i później chodziła po domu ze spuszczonej oczami udając skrucę i nabożność, tak też weszła do kościoła, nie podniosła oczu nawet podczas kazania, wydawało się, że przytłacza ją obecność Boga i przerażają groźby piekła płynące z ambony, lecz gdy

przyjmowała świętą hostię, podniosła oczy i zobaczyła. Podczas tych wszystkich lat, od kiedy objawił się jej szczególny dar, zawsze przyjmowała komunię w stanie grzechu, po jedzeniu, dziś jednak nie mówiąc nic Baltazarowi zdecydowała, że pójdzie na czczo, nie żeby przyjąć Boga, ale żeby zobaczyć, czy się tam znajduje.

Blimunda usiadła na wystającym korzeniu oliwki, widać było stąd morze zlewające się z horyzontem zasnutym ulewą, jej oczy są pełne łez, a ramionami wstrząsa gwałtowne łkanie. Baltazar, który podszedł niepostrzeżenie, dotknął jej głowy, No i co zobaczyłaś w hostii, okazuje się, że nie udało się go zwieść, było to wręcz niemożliwe w sytuacji, kiedy spali razem i co noc odnajdywali się nawzajem, no może nie tak zupełnie co noc, ale w każdym razie to już sześć lat, jak żyją ze sobą. Zobaczyłam gęsty obłok, odpowiedziała. Baltazar usiadł na ziemi, w tym miejscu nie tkniętej pługiem i pokrytej wyschlą trawą, teraz mokrą od deszczu, ale prosty lud ma małe wymagania i siada lub też kładzie się gdzie popadnie, choć mężczyźni najchętniej składają głowę na kolanach kobiety, jestem pewien, że był to ostatni gest w chwili, gdy wody potopu już zalewały świat. Blimunda mówi, Myślałam, że zobaczę Chrystusa, ukrzyżowanego lub zmartwychwstałego w chwale, a zobaczyłam gęsty obłok. Nie myśl o tym więcej. Ale cały czas myślę, jak mogę nie myśleć, skoro w hostii jest to samo, co w człowieku, czym więc jest cała religia, szkoda, że nie ma księdza Bartłomieja, może on mógłby wyjaśnić tę tajemnicę. Nie wiadomo, czy by potrafił, może nie wszystko da się wyjaśnić, kto to może wiedzieć, ledwie zabrzmiały te słowa, deszcz zaczął padać ze wzmożoną siłą, jakby na znak, że może tak, a może nie, całe niebo zasnuło się chmurami, kobieta i mężczyzna siedzą pod drzewem, ale bez dziecka na ręku, właściwie trudno stwierdzić, czy pewne sytuacje powtarzają się, gdyż są to inne czasy, inne miejsce i inne drzewo, ale o deszczu w każdym razie można powiedzieć, że zawsze jest taką samą pociechą dla ziemi i ciała, jest życiem, którego nadmiar zabija, ale do tego przyzwyczailiśmy się od początku świata, wiadomo, że łagodny wiatr miele zboże, a porywisty łamie skrzydła wiatraka. Różnica między życiem i śmiercią to tylko kwestia gęstego obłoku, powiedziała Blimunda.

Zgodnie z przyrzeczeniem ksiądz napisał zaraz po zainstalowaniu się w Coimbrze, wiadomość dotyczyła tylko tego, że szczęśliwie dojechał, ale teraz przyszedł nowy list, wzywający ich możliwie jak najszybciej do Lizbony, on sam, gdy tylko upora się trochę ze studiami, przyjedzie do nich, tym bardziej że ma też duszpasterskie obowiązki na dworze i wówczas naradzą się nad wielkim zamysłem, który zamierzają zrealizować. Ciekaw jestem, jak tam z naszą wolą, pytanie wyglądało zupełnie niewinnie, jakby się pytał o wolę każdego z nich, gdy tymczasem chodziło mu o zupełnie inną, o tę, którą inni ludzie tracili, ale było to

pytanie, na które nie oczekiwał odpowiedzi, tak jak nie oczekuje odpowiedzi kapitan wydający słownie lub głosem trąbki rozkaz do natarcia, Naprzód, nie oczekuje on od żołnierzy, że się naradzą i odpowiedzą. Idziemy. Nie idziemy, albo więc natychmiast ruszają naprzód, albo idą pod sąd wojenny. Wyruszymy w przyszłym tygodniu, oświadczył Baltazar, ale w końcu minęły jeszcze dwa miesiące, gdyż w Mafrze rozeszła się wieść, potwierdzona z ambony przez wikarego, że sam król zainauguruje budowę fundamentów, kładąc swoimi królewskimi rękami pierwszy kamień. Najpierw miało to być któregoś tam października, ale nie zdążyli wykopać dość głębokich fundamentów, mimo że pracowało sześciuset ludzi i mimo licznych wybuchów dynamitu, które całymi dniami rozrywały powietrze, ogłosili więc, że uroczystości odbędą się w listopadzie, najdalej w połowie miesiąca, gdyż później zacznie się zima i król musiałby brodzić w błocie aż po podwiązki. Niechże wreszcie Jego Królewska Mość przyjedzie, aby dla Mafrzy nastały dni chwały, aby jej mieszkańcy wnieśli ręce do nieba, oni, których śmiertelne oczy ujrzą, jak wielki może być król, wspaniały monarcha, dzięki któremu możemy zajrzeć do przedsionka raj, zanim wstąpimy na niebiańskie pokoje, oby jak najpóźniej, bo zawsze przyjemniej być żywym niż martwym. Zobaczymy uroczystości i wyjedziemy, postanowił Baltazar.

Alvaro Diogo już pracuje, na razie tnie wielkie kamienne bloki przywożone z Pero Pinieiro na wozach zaprzężonych w dziesięć albo i dwadzieścia par wołów, jednocześnie inni robotnicy rozłupują młotami pospolity kamień przeznaczony na fundamenty, które będą prawie na sześć metrów głębokie, mówimy tu o metrach, ale przecież to jest dzisiejsza miara, dawniej mierzyło się wszystko na piędzi i do dziś tak się mierzy jeszcze ludzi, wielkich i małych, bo na przykład Baltazar Siedem Słońc, choć nie jest królem, jest wyższy od Jana V, a znów Alvaro Diogo nie będąc ułomkiem jest robotnikiem na wielkiej budowie, gdzie kilofem łupie kamienne bryły, ale później będzie robił inne rzeczy, będzie pomagał przy ich układaniu, będzie ociosywaczem i kamieniorytnikiem, natomiast wznoszenie prostych ścian wymagające użycia pionu murarskiego jest już królewskim zajęciem, to nie to, co ciesielska robota polegająca na wbijaniu gwoździ w nie heblowane deski, czym właśnie zajmują się cieśle budujący drewniany kościół, w którym celebrować się będzie akt poświęcenia i rozpoczęcia budowy, gdy przyjedzie król. Rzeczony kościół wspiera się na wysokich, mocnych masztach rozmieszczonych zgodnie z zarysem fundamentów przyszłej bazyliki, dach zrobiono z żagli okrętowych podszytych grubym płótnem, kościół, jak każda godna tego miana budowla, ma kształt krzyża, a choć drewniany i prowizoryczny, nosi już znamiona dostojności przyszłych kamiennych murów, które tu staną, aby zobaczyć wszystkie te przygotowania mieszkańcy osady zaniedbują wszelkie zajęcia i prace polowe, tak marne w

porównaniu z wielką konstrukcją, która wznosi się na wzgórzu Vela, a to dopiero początek. Niektórzy mają lepsze wymówki, żeby tam chodzić, na przykład Baltazar i Blimunda prowadzą siostrzeńca, aby zobaczyć, jak ojciec pracuje, w porze obiadowej zjawia się też Ines Antonina z garnkiem gotowanej kapusty okraszonej odrobiną boczku, rodzina jest więc w komplecie, brakuje tylko starych, i gdybyśmy nie wiedzieli, że wszystko, co się tu dzieje, jest wynikiem pobożnej obietnicy w intencji narodzin królewskiego potomka, moglibyśmy sądzić, że wzgórze jest celem jakiejś pielgrzymki, że ludzie masowo spełniają jakieś ślubowania. Ale mojego syna nikt mi nie zwróci, pomyślała Ines Antonina, czując zarazem jakby niechęć do tego, który bawi się wśród kamieni.

Przed paroma dniami wydarzył się w Mafrze cud, a mianowicie przyszła od morza wielka wichura i zwała drewniany kościół, maszty, deski, belki, wiązania stropowe, żagle, wszystko się pomieszało, był to jakby gigantyczny podmuch Adamastora, bo wiadomo, że Adamastor dmuchał, kiedy usiłowano opłynąć przylądek jego i naszych nadziei, ale jeśli kogoś oburza, że zawalenie się kościoła traktujemy jako cud, to proszę powiedzieć, jak inaczej wyjaśnić fakt, że król przybywszy do Mafry i dowiedziawszy się o całym zdarzeniu zaczął rozdawać złote monety, ot tak, po prostu, równie zwyczajnie, jak my o tym opowiadamy, a że budowniczowie w dwa dni wszystko odbudowali, więc złote monety rozmnożyły się, co było dużo lepsze od rozmnożenia chleba. Jego Królewska Mość jest przewidującym monarchą, zawsze bierze w podróż kufry złota na wypadek takich czy innych burz.

Nastał wreszcie dzień inauguracji, król zatrzymał się na noc w pałacu wicehrabiego, przy którym zaciągnęła wartę kompania pomocnicza dowodzona przez miejscowego majora, Baltazar dowiedziawszy się o tym nie mógł oprzeć się chęci pogadania z wojskowymi, ale nic z tego nie wyszło, gdyż żaden z żołnierzy go nie znał, a poza tym kto by chciał mówić o wojnie w czasach pokoju. Chłopie, nie tarasuj mi drzwi, bo za chwilę ma wyjść król, Baltazar odszedł więc i udał się wraz z Blimundą na wzgórze Vela, mieli dużo szczęścia, udało się im bowiem wejść do kościoła, czym nie wszyscy mogli się pochwalić, a w środku było istne чудо, sklepienie całe z plandeki podbitej czerwoną i żółtą taftą tworzącą efektowny deseń, ściany pokryte pięknymi arrasami, wszystko jak w prawdziwym kościele, imitacje okien i drzwi z kotarami z karmazynowego adamaszku, przybranymi złotymi galonami i frędzlami. Zbliżając się do kościoła król zobaczył najpierw trzy szerokie frontowe odrzwia z umieszczonym nad nimi malowidłem przedstawiającym świętego Piotra i świętego Jana uzdrawiających żebraka u wejścia do świątyni w Jerozolimie, co można było zrozumieć jako wymowną zapowiedź cudów, które zdarzą się również w tym kościele, ale zapewne żaden nie

będzie miał tak głośnego wydźwięku, jak ten z monetami, o którym wspomnieliśmy, nad tym obrazem znajdował się jeszcze inny, przedstawiający św. Antoniego, ku czci którego miała stanąć bazylika, zgodnie ze szczególną intencją króla, jeśli o tym jeszcze nie było mowy, to tylko dlatego, że w ciągu tych sześciu lat działo się tyle rzeczy, że coś niecoś mogło wylecieć z pamięci. Wewnątrz, jako już się rzekło, panuje wielki przepych, wcale nie ma się wrażenia, że jest to buda, która pojutrze zostanie rozebrana. Od strony ewangelii, to znaczy z lewej strony stojąc twarzą do ołtarza, którego nie można nazwać wielkim tylko dlatego, że jest jedyny, nie należy źle zrozumieć tych wyjaśnień, nie świadczą one bowiem o naszej ignorancji, podajemy te szczegóły dlatego, że po czasach wiary i opartej na niej nauki zwykle nadchodzą czasy niewiary i odmiennych nauk, toteż nigdy nie wiadomo, kto nas będzie czytał, a więc od strony ewangelii znajdują się stalle, do których prowadzi sześć schodków przybranych drogocenną białą materią i baldachimem, naprzeciwno, od strony listów apostoelskich, są inne stalle, do których prowadzą tylko trzy schodki, a nie sześć, jak do tamtych, co powtarzamy gwoźli lepszemu zrozumieniu różnicy, nie ma też baldachimu, a zatem są przeznaczone dla mniej ważnych użytkowników. Tu właśnie leżą paramenty, które przywdzieje patriarcha Tomasz de Almeida, oraz wiele srebrnych przedmiotów służących do spełnienia boskiej ofiary, a wszystko nosi piętno wielkości monarchy, który właśnie nadchodzi. W kościele nie brak dosłownie niczego, po lewej stronie krzyża wzniesiono chór, wybitny karmazynowym adamaszkiem, są też organy, które będą grać w stosownych chwilach, tam też zasiądą, w zarezerwowanej ławie, kanonicy katedralni, po prawej stronie wznosi się natomiast trybuna, ku której zmierza król Jan V, stąd będzie oglądał całą ceremonię, szlachta i inne znaczne osoby siedzą nieco niżej, w ławkach. Ziemię usłano sitowiem i tatarakiem, na wierzchu zaś rozłożono zielone sukno, jak widać upodobanie Portugalczyków do zieleni i czerwieni ma dawne tradycje i kiedy nastanie republika, taki właśnie będzie ich sztandar.

Pierwszego dnia odbyła się ceremonia poświęcenia ogromnego pięciometrowego krzyża, który byłby dobry dla jakiegoś giganta w rodzaju Adamastora albo dla Pana Boga naturalnej wielkości, wszyscy obecni kornie padali przed nim na kolana, a sam król wylał niemało pobożnych łez, gdy zaś zakończyła się adoracja krzyża, został on podniesiony z ziemi przez czterech duchownych, każdy za jeden koniec, i ustawiony w specjalnie przygotowanym kamieniu, ale jego obróbką nie zajmował się Alvaro Diogo, w kamieniu zaś był otwór, w który wstawiono krzyż, bo choć jest boskim emblematem, nie może stać bez zamocowania, w przeciwieństwie do ludzi, którzy nawet bez nóg trzymają się prosto, to kwestia woli. Całej ceremonii towarzyszyły wdzięczne dźwięki organów, którym wtórowały instrumenty dęte i głosy kantorów, a tłum ludzi, przybyłych z Mafry i okolic, którzy nie

pomieścili się w kościele lub byli zbyt brudni, by wejść do środka, delectował się na zewnątrz echem antyfon i psalmów, tak wyglądał pierwszy dzień.

Natomiast następnego dnia, ach, następnego dnia, gdy minęła chwila grozy spowodowana nowym atakiem wichury, od której cała buda zatrzęsa się w posadach, ale nie trwało to długo, a więc następnego dnia, wróćmy do tematu, szesnastego listopada roku pańskiego tysiąc siedemset siedemnastego, ach, z jakąż pompą celebrowano kolejne ceremonie na placu budowy, już o siódmej rano, nie bacząc na dotkliwy chłód, zebrali się tam proboszcze ze wszystkich okolicznych parafii wraz z miejscowymi klerykami i tłumem parafian. Król zjawił się wpół do dziewiątej, wypiwszy uprzednio poranną czekoladę podaną osobiście przez wicehrabiego, uformowała się wówczas procesja, na czele której szło sześćdziesięciu franciszkanów z Arrabidy, za nimi miejscowy kler, krzyż patriarszy, sześciu mężczyzn w fioletowych kaftanach, muzykanci, kapelani w komzach, liczna grupa różnych kleryków, potem przerwa, następnie kanonicy w asyście dostojnych orszaków, ubrani w białe lub haftowane pluwiaty, których ogony podtrzymywali kaudatariusze, dalej szedł patriarcha w kosztownych szatach i jeszcze kosztowniejszej mitrze wysadzonej brazylijskimi kamieniami, i wreszcie sam król, jego świta, miejscowy sędzia z ławnikami, sędzia okręgowy, a za nim rzesze wiernych, ponad trzy tysiące, o ile się nie pomylił ten, który liczył, i pomyśleć, że to z powodu zwyczajnego kamienia zebrała się tu taka kupa ludzi, że z tegoż powodu trąbki i bębny grzmą w niższych i wyższych warstwach atmosfery, defiluje wojsko piesze i konne, ponadto gwardia niemiecka, a za nią znów ludzie, mnóstwo ludzi, tyle ludzi naraz Mafra nigdy nie widziała, nie dla wszystkich starczy miejsca w kościele, toteż wchodzi tam tylko wielcy, a z maluczkich tylko ci, którzy się zmieszczą lub też potrafią się wśliznąć, żołnierze od samego rana musieli nawoływać do zachowania porządku, wicher ustał w jednej chwili, od lekkiej morskiej bryzy trzepocą chorągwie i spódnice kobiet, jest to chłodny wietrzyk stosowny do pory roku, ale serca zebranych rozpala najczystsza wiara i radują się ich dusze, a jeśli jakaś osłabiona wola zechce ulecieć z ciała, Blimunda czeka w pogotowiu i żadna wola nie zbłądzi ani nie wzbije się ku gwiazdom.

Poświęcono główny kamień, potem również mniejszy oraz jaspisową urnę, które przed wmurowaniem w fundament obnoszą w procesji, w urnie są obiegowe monety, złote, srebrne i miedziane, kilka medali, złotych i srebrnych, a także pergamin ze spisaniem ślubowania, procesja zrobiła jedno okrążenie, aby to wszystko pokazać klęczącemu ludowi, który tylekroć musiał padać na kolana, a to przed krzyżem, a to przed patriarchą, a to przed królem, a to przed zakonnikami, a to przed kanonikami, że przestał po prostu wstawać z klęczek, śmiało więc możemy napisać, że klęczało mnóstwo ludzi. Wreszcie król, patriarcha i kilku akolitów

skierowało się do miejsca, gdzie miał zostać położony główny oraz pozostałe kamienie, zeszli po trzydziestu szerokich drewnianych stopniach, nawiasem mówiąc, na pamiątkę trzydziestu srebrników, każdy zaś stopień był ponad dwumetrowej szerokości. Patriarcha wspomagany przez kanoników niósł główny kamień, natomiast mniejszy i jaspisową urnę nieśli inni kanonicy, za nimi szedł król i generał zakonu św. Bernarda, który jako wielki jałmużnik niósł pieniądze.

Wraz z nimi król zszedł po trzydziestu schodach w głąb wykopu, zupełnie jakby się żegnał ze światem, mogłoby to być zejście do piekieł, gdyby nie to, że był tak dobrze chroniony przez błogosławieństwa, szkaplerze i modlitwy, a co będzie, jeśli obsuną się ściany wykopu, ależ Wasza Królewska Mość może się nie obawiać, proszę spojrzeć, jak je wzmocniliśmy porządnym brazylijskim drewnem, są bardzo solidne, a tu jest ławka przykryta karmazynowym aksamitem, jest to kolor często używany w ceremoniach państwowych i okolicznościowych, z biegiem czasu pojawi się też na teatralnych kurtynach, a na tej ławce stoi srebrne wiadro ze święconą wodą i dwa kropidełka z zielonego wrzosu, których końce okręcone są jedwabnym sznurem i oprawione w srebro, teraz ja, majster murarski, wysypuję wapno z kasty, a Wasza Królewska Mość tą kielnią srebrnego murarza, o przepraszam, tą srebrną kielnią murarską, o ile murarze mają takowe, rozgarnie wapno, pokropiwszy je uprzednio kropidełkiem umoczone w święconej wodzie, teraz pomóżcie no mi trochę, już możemy położyć kamień, ale ostatnią osobą, która go dotyka, musi być Najjaśniejszy Pan, dobrze, może tylko jeszcze jedno dotknięcie, żeby wszyscy zobaczyli, Wasza Królewska Mość może już wejść na górę, proszę tylko uważać, żeby nie upaść, a my już do reszty zbudujemy ten klasztor, teraz można już kłaść pozostałe kamienie, wokół tamtego, a panowie szlachta niech przyniosą jeszcze dwanaście, jest to szczęśliwa liczba od czasu apostołów, tudzież kasty z wapnem w srebrnych koszach, w ten sposób umocujemy lepiej główny kamień, wicehrabia chcąc naśladować pomocników murarza niesie kastrę na głowie, w ten sposób wykazuje większą pobożność, jako że nie miał okazji pomagać Chrystusowi w dźwiganiu krzyża, ale rozlewa wapno, które przecież może go poparzyć, co byłoby nawet niezłym zakończeniem uroczystości, jednak to nie jest żrące wapno, mości panie, lecz gaszone. Tak jak wola tych ludzi, dodałaby Blimunda.

Następnego dnia, zaraz po wyjeździe króla, kościół został zburzony bez pomocy wiatru, trochę tylko padało z woli Boga, maszty i deski przeznaczone zostały na zgoła niekrólewskie potrzeby, na rusztowania, prycze, koje, stopy, podeszwy drewniaków, natomiast wszelkie materie, tafty, adamaszki i płótna wróciły do właścicieli, srebra do skarbcza, szlachta do szlachectwa, organy i kantorzy do innych solfeży, a żołnierze do innej

parady, zostali tylko franciszkanie, bacznie wszystko obserwujący, oraz krzyż, czyli pięć metrów ukrzyżowanego drewna, umocowanego w wydrążonym kamieniu. Do rozmiękłych wykopów powrócili ludzie, gdyż nie we wszystkich miejscach osiągnięto pożądaną głębokość, Najjaśniejszy Pan nie widział wszystkiego, a na odjeźdźnym, wchodząc do powozu, powiedział coś w tym sensie, Uwińcie się z tym jak najprędzej, już minęło sześć lat od chwili ślubowania, nie chcę w nieskończoność mieć na karku franciszkanów, a więc bierzcie się za klasztor, o pieniądze się nie martwcie, zapłaci się, ile będzie trzeba. Ale w Lizbonie skarbnik powie królowi, Ośmielam się donieść Waszej Królewskiej Mości, że na inaugurację w Mafrze wydano okrągłą sumkę dwustu tysięcy *cruzados*, król zaś odrzeknie, Dolicz do kosztów, powie tak, gdyż to dopiero początek budowy, a pewnego dnia będziemy chcieli się dowiedzieć, koniec końców, ile to kosztowało, i nikt nie potrafi przedstawić wydatków ani rachunków, ani pokwitowań, ani wykazów importowych, nie mówiąc już o zgonach i cierpieniach, bo te są bardzo tanie.

Po tygodniu, gdy pogoda się poprawiła, Baltazar Siedem Słońc i Blimunda Siedem Lun wyruszyli do Lizbony, każdy ma w życiu jakąś swoją budowę, oni zostają tu, aby wznosić mury, my zaś będziemy pleść wiklinę, druty i pręty oraz zbierać wolę, gdyż dzięki temu wszystkiemu wzniesiemy się w powietrze, ludzie bowiem to anioły bez skrzydeł, i to jest właśnie takie piękne, urodzić się bez skrzydeł i wyhodować je sobie, nasz umysł już to potrafi, a jeśli on potrafi, to i my potrafimy, żegnaj matko, żegnaj ojciec. Tylko tyle powiedzieli, żegnajcie, jedni bowiem nie umieli mówić okrągłymi zdaniami, drudzy zaś by ich nie zrozumieli, ale z czasem zawsze się może trafić ktoś, kto wyobrazi sobie rzeczy, które mogłyby być powiedziane, albo też zmyśli je, a historie zmyślane wyglądają na prawdziwsze niż prawdziwe przypadki, o których opowiadają, chociaż trudno jest na przykład zastąpić innymi słowami wypowiedziane przez Martę Marię, Żegnajcie, już was więcej nie zobaczę, jest to bowiem najczystsza prawda, gdyż nim mury bazyliki wzniosą się metr nad ziemią, Marta Maria już będzie w grobie. A wówczas Jan Franciszek, któremu nagle przybędzie drugie tyle lat, usiądzie pod okapem pieca chlebowego patrząc przed siebie niewidzącymi oczyma, zupełnie jak teraz, kiedy patrzy na oddalającego się syna Baltazara i córkę Blimundę, bo synowa to jakieś takie niezręczne słowo, ale ma jeszcze przy sobie Martę Marię, choć już jakby nieobecna, już jedną nogą na tamtym świecie, właśnie splata ręce na brzuchu, który kiedyś rodził dzieci, a teraz kiełkuje w nim śmierć. Jej łono było źródłem życia, kilkoro dzieci umarło, uchowało się tylko tych dwoje, a teraz nie nosi już dziecka, nosi w sobie śmierć. Już ich nie widać, chodźmy do domu, mówi Jan Franciszek.

Jest grudzień, dni stały się krótkie, a przy pochmurnym niebie zmrok zapada jeszcze wcześniej, dlatego Baltazar i Blimunda przenocowali raz w stodole w Morelena, powiedzieli, że idą z Mafry do Lizbony, gospodarz uznał, że to przyzwoici ludzie, i dał im derkę, żeby się przykryli, co to znaczy ufać ludziom. Wiemy już, że tych dwoje kocha się duszą, ciałem i wolą, ale kiedy leżą, dusza i wola każdego z nich towarzyszy przyjemności ciała, albo może jeszcze bardziej się z nim jednoczy, żeby uczestniczyć w przyjemności, choć trudno stwierdzić, jaki jest w tym udział każdej ze stron, czy dusza coś zyskuje, czy traci, kiedy Blimunda podnosi spódnicę a Baltazar spuszcza hajdawery, czy wola zyskuje na tym, czy też traci, gdy obydwójce wzdychają i jęczą, czy ciało jest zwycięzcą, czy też zwyciężonym, gdy Baltazar odpoczywa na Blimundzie, a ona daje mu odpoczynek, odpoczywają więc oboje. Najprzyjemniejszy zapach pod słońcem to zapach pogniecionej słomy, ciał pod derką i wołów żujących u żłobu, a także zapach zimna wdzierającego się przez szpary stodoły, może też zapach księżycy, każdy przecież wie, że księżycowe noce pachną inaczej, nawet ślepy, który nie odróżnia dnia od nocy, powie, Świeci księżyc, można by pomyśleć, że to święta Łucja dokonała cudu, ale to tylko sprawa powonienia. Ależ pięknie świeci księżyc tej nocy.

Rano, nim jeszcze się rozwidniło, Blimunda i Baltazar wstali. Blimunda zjadła chleb i złożyła derkę, powtarzając odwieczne gesty kobiety, rozkładającej ręce, przytrzymującej brodą gotowe fałdy, potem przesuwającej rękami aż do pasa, by na koniec złożyć jeszcze na pół, patrząc na nią nikt by nie pomyślał, że ma niezwykle dar widzenia i że gdyby tej nocy opuściła swoje ciało, zobaczyłaby siebie samą pod Baltazarem, doprawdy o Blimundzie można powiedzieć, że widząc widzi własne oczy. Gdy gospodarz wejdzie do stodoły, zobaczy złożoną derkę, znak podziękowania, i będąc żartownisiem zagada do wołów, No i jak, mieliśmy nocną mszę, one zaś bez zdziwienia zwrócą ku niemu wolne od jarzma łby, ludzie zawsze mają coś do powiedzenia i czasami trafiają w sedno, tak właśnie było tym razem, gdyż między miłością tych, którzy tu spali, i świętą mszą nie ma żadnej różnicy, a jeśli nawet jest, to na korzyść miłości.

Baltazar i Blimunda zdążają już w stronę Lizbony okrążając wzgórze z wiatrakami na szczytach, niebo jest zachmurzone, słońce wyjrzało tylko na chwilę i zaraz się schowało, południowy wiatr niesie groźbę ulewnego deszczu, toteż Baltazar mówi, Jeżeli zacnie padać, nie będzie gdzie się schować, spogląda przy tym w ołowianoszare niebo, Jeżeli ludzka wola jest gęstym obłokiem, to chyba musi utknąć w tych chmurach, tak grubych i ciemnych, że nie przepuszczają nawet promienia słońca, na co Blimunda odpowiedziała, Gdybyś mógł zobaczyć gęsty obłok, który jest w tobie, albo we mnie, to wiedziałbyś, że niczym jest chmura na niebie w porównaniu z tą, która jest w człowieku. Ale ty nigdy nie widziałeś ani mojego

obłoku, ani swojego, nikt nie może zobaczyć swojej własnej woli, a tobie przysięgam, że nigdy ci nie zajrzę do wnętrza, ale Baltazarze Siedem Słońc, moja matka nie pomyliła się, bo kiedy mi dajesz rękę, kiedy się o mnie opierasz, kiedy mnie przyciskasz do siebie, nie potrzebuję zaglądać ci do środka. Jeśli umrę przed tobą, proszę cię, żebyś zajrzała, Jeżeli umrzesz, wola opuści ciało, Nie wiadomo.

Przez całą drogę nie padało. Ale ciemny pułap chmur wisiał tak nisko, że wprost dotykał wzgórz na horyzoncie i wydawało się, że wystarczy podnieść rękę, by dotknąć mokrych chmur, przyroda jest niekiedy dobrym towarzyszem, idą sobie mężczyzna i kobieta, a chmury mówią jedna do drugiej, Poczekajmy, aż wejdą do domu, wtedy damy upust wodzie. I rzeczywiście, gdy tylko Baltazar i Blimunda weszli do szopy na folwarku, zaczęło padać, a że kilka dachówek było uszkodzonych, woda szemrząc lała się do środka, jakby szeptała, Oto jestem, Witajcie. Gdy Baltazar dotknął latającej gondoli, zazgrzytały wszystkie pręty i druty, ale trudno odgadnąć, co chciały w ten sposób powiedzieć.

Druty i pręty porzewiały, płótno pokrywa pleśń, wyschnięte wikliny rozłazą się, dzieło porzucone w połowie nie musi więc się zestarzeć, by popaść w ruinę. Baltazar dwa razy obszedł latającą maszynę, której wygląd bynajmniej nie cieszył oczu, hakiem przymocowanym do lewej ręki szarpnął metalowy szkielet sprawdzając jego wytrzymałość, która, jak się okazało, była niewielka. Chyba lepiej byłoby rozebrać to wszystko i zacząć od początku, Rozebrać można, odpowiedziała Blimunda, ale przed przyjazdem księdza Bartłomieja nie ma sensu rozpoczynać pracy, Mogliśmy zostać dłużej w Mafrze, Jeśli polecił nam przyjechać, to znaczy, że niebawem się tu zjawi, kto wie, może nawet już był, podczas gdy my czekaliśmy na uroczystości. Nie, nie było go, nic na to nie wskazuje, Oby, Dałby Bóg, Tak, dałby Bóg.

Nim minął tydzień, maszyna w niczym już nie przypominała maszyny ani nawet jej projektu, to, co z niej zostało, mogło służyć do tysiąca innych rzeczy, człowiek nie posługuje się bowiem zbyt wieloma materiałami i wszystko zależy wyłącznie od sposobu i kolejności, w jaki się je łączy, weźmy na przykład motykę czy hebel, w obydwu jest trochę żelaza i trochę drewna, ale służą do całkiem innych czynności. Blimunda powiedziała, Zanim przyjedzie ksiądz Bartłomiej, możemy zbudować kuźnię, Ale jak zrobimy miech, Pójdiesz do kowala i zobaczysz, jak wygląda, a jeżeli nie uda ci się za pierwszym razem, to uda się za drugim albo za trzecim, to jedyna rzecz, jaką możemy zrobić. Można by przecież uniknąć tej całej pracy i za pieniądze, które ksiądz nam zostawił, po prostu kupić miech, Ale ktoś mógłby się zainteresować tym, po co Baltazarowi Siedem Słońc miech, skoro nie jest kowalem, lepiej, żebyś sam to zrobił, nawet jeśli byś miał próbować sto razy.

Baltazar nie poszedł sam, choć to zadanie nie wymagało podwójnego widzenia, Blimunda miała jednak bystrzejszy wzrok, dokładniej odtwarzała potem zarysy i nie popełniała tak rażących błędów, jeśli idzie o proporcje części składowych przedmiotu. Palcem umocowanym w czarnym od sadzy oleju z lampy narysowała na ścianie poszczególne części miecha, kawałki skóry zgodnie ze stosownym wykrojem, dyszę, przez którą ma wychodzić powietrze, część dolną, zrobioną z drewna i przegubowo połączoną z resztą, brakowało tylko ludzika dmącego w miech. W odległym kącie ułożyli z kamieni kwadratowy mur, mniej więcej na wysokość bioder mężczyzny, wzmocniony drutami, które od wewnątrz szły od jednej ściany do drugiej, na zewnątrz zaś opasywały całą konstrukcję, której środek wypełnili potem ziemią i drobnymi kamieniami. Z tego właśnie powodu księżę Alveiro miał zrujnowanych kilka murków na folwarku, ale budowla wzniesiona przez Baltazara i Blimundę, choć nie dorównywała dostojnością królewskiemu klasztorowi, wyrosła także za

monarszym przyzwoleniem, choć może sam o tym zapomniał i nawet przestał już pytać księdza Bartłomieja, czy ma jeszcze jakieś szansę na lot, czy też po prostu te projekty są jedynie pretekstem pozwalającym trzem osobom bujać w krainie marzeń, podczas gdy każde z nich mogłoby się zająć czymś pożyteczniejszym, ksiądz głószeniem słowa Bożego, Blimunda wykrywaniem źródeł wody, a Baltazar żebraniem, przez co otwierałby wrota raję ludziom dającym jałmużnę, jeśli bowiem idzie o latanie, to przecież wiadomo, że mogą to robić tylko aniołowie albo diabeł, co do tych pierwszych, to nikt przecież nie ma wątpliwości, niektórzy nawet widzieli na własne oczy, co zaś tyczy drugiego, mamy świadectwo w samym Piśmie Świętym, gdzie jest mowa o tym, że diabeł postawił Jezusa na szczycie świątyni, a więc musiał go tam przenieść drogą powietrzną, nie szli przecież po schodach, i powiedział mu diabeł, Rzuć się stąd w dół, a on nie rzucił się, gdyż nie chciał być pierwszym latającym człowiekiem. Pewnego dnia synowie rodu ludzkiego zaczną latać, powiedział ksiądz Bartłomiej, gdy przybywszy na folwark, ujrzał gotowe palenisko, obok stał cebrzyk z wodą do hartowania żelaza, brakowało tylko miecha, ale skoro powiało tu rozumem, to i z miecha też kiedyś powieje.

Od ilu ludzi zebrałaś wolę, spytał tego wieczoru przy kolacji ksiądz Bartłomiej, Co najmniej od trzydziestu, odpowiedziała, To mało, a kto przeważa, mężczyźni czy kobiety, spytał jeszcze, Mężczyźni, wygląda na to, że wola kobiet jest mocniej związana z ciałem, ciekawe dlaczego. Na to pytanie ksiądz nie odpowiedział i wtedy odezwał się Baltazar, Kiedy mój gęsty obłok spoczywa na twoim gęstym obłoku, czasem mało brakuje, aby twój połączył się z moim, A mnie się znów zdaje, że w takich chwilach ty masz dużo mniej woli niż ja, odparła Blimunda, całe szczęście, że ksiądz Bartłomiej nie gorszy się tak swobodną rozmową, a może i jemu nieobce są takie chwile osłabienia woli, może zabrał ich w Holandii, a może przeżywa je tu w kraju, o czym Inkwizycja albo nie wie, albo nie chce wiedzieć, jako że temu wykroczeniu nie towarzyszą inne mniej powszednie grzechy.

Musimy teraz porozmawiać serio, powiedział ksiądz Bartłomiej, będę tu przyjeżdżał w każdej wolnej chwili, ale praca może się posuwać tylko dzięki waszym wspólnym wysiłkom, dobrze, że zbudowaliście palenisko, ja postaram się o miech, nie potrzebujesz się z tym męczyć, ale musisz go dobrze obejrzyć, gdyż trzeba będzie zrobić wielkie miechy do maszyny, dam ci odpowiednie rysunki, kiedy bowiem zabraknie wiatru w atmosferze, będziemy lecieć dzięki miechom, a ty, Blimundo, pamiętaj, że potrzebujemy woli od co najmniej dwu tysięcy osób, dwa tysiące gęstych obłoków, które będą chciały oderwać się od niegodnej ich duszy lub doczesnej powłoki, tych trzydzieści nie wystarczy nawet żeby unieść Pegaza, choć przecież ma skrzydła, pomyślcie tylko, jak wielka jest ziemia, po której

chodzimy i która z taką siłą przyciąga do siebie ciała, a słońce, choć o tyle większe, nie jest jednak w stanie przyciągnąć ziemi do siebie, tak więc do oderwania się od ziemi będą potrzebne zespolone siły słońca, bursztynu, magnesów i woli, ale z tego wszystkiego wola jest najważniejsza, bez niej ziemia nie pozwoli nam wznieść się w powietrze, jeśli chcesz Blimundo zebrać wiele gęstych obłoków, idź na procesję Bożego Ciała, w takim tłumie na pewno będzie sporo takich, co zechcą ulecieć, wiedzcie bowiem, że podczas procesji człowiek słabnie tak bardzo, że nawet nie ma siły zatrzymać woli, zupełnie inaczej jest na *corridach* i na *auto da fé*, gdyż podczas jednych i drugich ludzi ogarnia furia, od której obłoki woli stają się tak gęste, że aż czarne, zupełnie jak na wojnie, kiedy wewnątrz ludzi wypełniają ciemności.

Na co Baltazar powiedział, A co do maszyny, jak mam ją budować, Tak jak zaczęliśmy, ma to być ten sam wielki ptak, który widnieje na rysunku, jego części składowe masz na drugim szkicu wraz ze wskazówkami co do rozmiarów poszczególnych części, zaczniesz budowę od dołu i będziesz posuwać się do góry, tak jakbyś budował statek, spleciesz ze sobą wiklinę i żelazo, wyobraź sobie, że łączysz pióra i kości, ja zaś, jako rzekłem, przyjadę, gdy tylko będę mógł, wiesz, gdzie kupować żelazo, a po wiklinę będziesz chodził do okolicznych wierzbowych gajów, skóry na miechy będziesz kupował w jatce, powiem ci, jak należy je wyprawić i pociąć, rysunki zrobione przez Blimundę są dobre dla miecha kowalskiego, ale nie dla miecha lotniczego, masz tu jeszcze dodatkowe pieniądze na kupno osła, bez niego nie mógłbyś przewieźć wszystkich potrzebnych materiałów, nabędziesz także kilka wielkich koszy, ale zawsze musisz mieć pod ręką trawę albo słomę, żeby ukryć ich zawartość, pamiętajcie, że nasze przedsięwzięcie wymaga absolutnej tajemnicy, nie może o tym dowiedzieć się nikt z rodziny ani przyjaciół, poza naszą trójką nie istnieją dla nas żadni przyjaciele, a jeśli ktoś zacznie was wypytywać, powiedzcie, że pilnujecie folwarku z rozkazu króla, przed którym za to odpowiadam ja, ksiądz Bartłomiej Wawrzyniec de Gusmao, De co, spytali jednogłośnie Blimunda i Baltazar, De Gusmao, teraz się tak nazywam, przybrałem nazwisko brazylijskiego księdza, który był moim nauczycielem, Ale przecież Bartłomiej Wawrzyniec wystarczyło, powiedziała Blimunda, trudno będzie się przyzwyczaić mówić Gusmao. Wcale nie musisz, dla ciebie i Baltazara zawsze będę Bartłomiejem Wawrzyńcem, ale na dworze i w akademii będą musieli nazywać mnie Bartłomiejem Wawrzyniec de Gusmao, kto bowiem tak jak ja zamierza zostać doktorem prawa kanonicznego, musi mieć nazwisko stosowne do godności, Adam nie miał nazwiska, powiedział Baltazar, Bóg także go nie ma, odrzekł ksiądz, prawdę mówiąc, nie znamy jego imienia, a w raju nie było innego mężczyzny, od którego Adam musiałby się odróżniać, Ewa też była tylko Ewą, powiedziała Blimunda. I

w dalszym ciągu Ewa nie jest niczym innym, jak tylko Ewą, myślę, że na świecie jest po prostu jedna kobieta o wielu obliczach, dlatego nie potrzebuje ona innych imion, ty na przykład jesteś Blimunda, po co ci jeszcze potrzebny Jezus, Jestem chrześcijanką, Nikt w to nie wątpi, rzekł ksiądz Bartłomiej i dodał, Rozumiesz, o co mi chodzi, jeśli ktoś mówi o sobie "de Jesus", to znaczy, że należy do Jezusa, i czy to oznacza wiarę, czy nazwisko, pozostaje pustym gadaniem, bądź po prostu Blimundą i używaj tylko tego imienia, kiedy cię o to zapytają.

Ksiądz wrócił do swoich studiów, najpierw został bakałarzem, potem magistrem, a niebawem będzie doktorem, tymczasem Baltazar kuje żelazo i hartuje je w wodzie, Blimunda czyści skóry przynoszone z jatki, a ponadto razem tną witki i pracują przy kowadle, ona trzyma pręt obcęgami, on uderza młotem, muszą przy tym bardzo dobrze się rozumieć, by nie poszło na darmo ani jedno uderzenie, ona podaje rozżarzony pręt, on uderza celnie i ze stosowną siłą w odpowiednie miejsce, nie muszą nawet nic mówić. Tak przeszła zima, potem wiosna, parę razy ksiądz przyjeżdżał do Lizbony, zjawiał się na folwarku, chował w skrzyni bursztynowe kule, które nie wiedzieć gdzie zdobywał, pytał o ilość gęstych obłoków, oglądał ze wszystkich stron maszynę, która rosła i nabierała kształtu, była już większa od tej pierwszej, którą Baltazar rozebrał, dawał parę rad i przestroóg, po czym wracał do Coimbrы, do dekretaliów i dekretalistów, teraz nie jest już studentem i wyklada *Iuris ecclesiastici universi libri tre, Colectanea doctorum tam veteram quam recentiorum in ius pontificium universum, Repertorium iuris civilis et canonici et cetera*, ale nigdzie tam nie jest napisane, Będziesz latał.

Nadszedł czerwiec. Po Lizbonie krążą niepomyślne pogłoski na temat tegorocznej procesji Bożego Ciała, ma nie być figur olbrzymów ani syczącego węża, ani zionącego ogniem smoka, ani korridy jałówek, nie będzie także tańców na ulicach ani cymbałków, ani piszczałek, ani nawet króla Dawida tańczącego przed baldachimem, ludzie zadają sobie więc pytanie, co to będzie za procesja bez przebierańców z Arrudy i ogłuszającej wrzawy ich tamburynów, bez kobiet z Frielas tańczących *chaconę*, bez tańca z szablami, bez zabawy w zamki, bez muzyki organków i bębenków, bez satyrów igrających z nimfami, pod czym kryją się całkiem inne swawole, bez mauretańskich tancerek, bez łodzi świętego Piotra żeglującej na ramionach mężczyzn, toż to żadna procesja i żadna zabawa, bo co z tego, że nawet zostawią wóz ogrodników, skoro nie usłyszymy już syku węża, od którego, mówię ci, kumie, aż mnie ciarki przechodziły.

Ludzie ciągną na plac Pałacowy, żeby zobaczyć przygotowania do uroczystości i można powiedzieć, że wcale nieźle to wygląda, ta cała kolumnada, sześćdziesiąt jeden

kolumn i czternaście filarów co najmniej ośmiometrowej wysokości, cały zaś szpaler ma ponad sześćset metrów, samych tylko portyków jest cztery, a figury, medaliony, piramidy i inne ozdoby wprost trudno zliczyć. Ludziom nawet zaczyna się podobać ten nowy wystrój, bo przecież na tym nie koniec, wystarczy popatrzeć na ulice, całe zacienione oponami rozciągniętymi pomiędzy złożonymi i przybranymi jedwabiami masztami, co się zaś tyczy medalionów zwisających z rzeczonych opon, to na niektórych widniała otoczona promieniami hostia i herb patriarchy, na innych natomiast herby Senatu i Rady Miejskiej. A te okna, popatrz tylko na te okna, uwaga bardzo słuszna, gdyż istotnie cieszą oczy kotary i zasłony z karmazynowego adamaszku ze złotymi frędzlami, Nigdy czegoś podobnego nie widzieliśmy, lud już prawie zaczyna się godzić z tym wszystkim, pozbawili go wprawdzie jednej zabawy, ale dają inną, trudno właściwie stwierdzić, która z nich jest lepsza, może na jedno wychodzi, nie bez powodu złotnicy zapowiedzieli, że zajmą się oświetleniem ulic i chyba też nie bez powodu sto czterdzieści dziewięć kolumn ulicy Nowej obwieszono jedwabiami i adamaszkami, może w ten sposób wystawia się je na sprzedaż, dziś tak, a jutro już gorzej. Ludzie spacerują, dochodzą do końca ulicy i zawracają, ale nie próbują nawet końcami palców dotknąć przebogatych materii, tylko oczy nimi napawają, podobnie jak arrasami zdobiącymi sklepy pod arkadami, można by pomyśleć, że żyjemy w świecie pełnym zaufania, ale jednak przed wejściem do każdego sklepu stoi czarny niewolnik z kijem w jednej i szpadą w drugiej ręce, gotów obić grzbiet każdemu zuchwalcowi, a jeśli zuchwalstwo jest zbyt wielkie, to niebawem zjawią się też i pacholkiwie miejscy, którzy wprawdzie nie noszą już przyłbic, szyszaków ni tarcz, ale kiedy sędzia grodzki rozkaże, Stać, do Limoeiro, nie ma innej rady, jak tylko usłuchać i stracić w ten sposób całą procesję, może właśnie dlatego niewiele jest kradzieży w Boże Ciało.

Tym razem nie będzie też kradzieży woli, czyli gęstych obłoków. Księżyc jest w nowiu i Blimunda nie widzi więcej, niż wszyscy inni ludzie, bez względu na to, czy jest na czczo, czy nie, napełnia ją to spokojem i radością, niech sobie ludzka wola robi, co chce, zostaje w ciele czy też ulatuje, dziś mam odpoczynek, ale nagle poczuła niepokój pod wpływem myśli, która ją naszła i przejęła zgrozą, A jak wyglądałby gęsty obłok w Bożym Ciele, w jego cielesnej powłoce, powiedziała szeptem do Baltazara, a on równie cicho odrzekł, Na pewno jest taki, że tylko on sam jeden uniósłby *passarole*, Blimunda zaś dorzuciła, Kto wie, czy wszystko, co widzimy, nie jest gęstym obłokiem Boga.

Tak sobie gawędzili bezręki i jasnowidząca, on dlatego że mu czegoś brak, ona zaś dlatego że ma coś w nadmiarze, należy więc wybaczyć im, że nie są na zwykłą miarę i rozmawiają o rzeczach transcendentnych podczas wieczornej przechadzki ulicami łączącymi

Rossio i plac Pałacowy, w tłumie innych ludzi, którzy podobnie jak i oni stąpają po skrzącym się piasku i polnych trawach, dzięki podlizbońskim wieśniakom, tak obficie zaścielającym bruk, że miasto jest czyste jak nigdy, to samo miasto, które w dni powszednie nie ma sobie równego, jeśli idzie o brud. Za zamkniętymi oknami damy kończą układać fryzury, ogromne konstrukcje pełne błyskotek i dopinanych pukli, niebawem wystawią się na pokaz, każda w swoim oknie, ale żadna nie chce być pierwsza, bo choć nie ulega wątpliwości, że natychmiast przyciągnęłaby uwagę przechodniów i gapiów, to przyjemność byłaby krótkotrwała, tylko do chwili pojawienia się w oknie przeciwległego domu sąsiadki, a zarazem rywalki, no proszę, już wszyscy odwracają ode mnie oczy, nie zniosę chyba tej zazdrości, tym bardziej że ona jest pospolitą brzydulą, a ja jestem boską pięknnością, ma wielkie usta, a moje są niczym pączek kwiatu, muszę ją więc ubiec i pierwsza zawołam, Rzucam *mote*. W tego rodzaju turniejach uprzywilejowane są damy mieszkające na niższych piętrach, pod ich oknami niebawem zbierają się galanci wysilający łepetyny, aby rozwinąć *mote* w pulsujących rymem i rytmem strofach, ale oto z najwyższego piętra ktoś wykrzykuje inną *mote*, a jednocześnie pierwszy poeta recytuje ułożoną wreszcie *glose*, nagrodzoną łaskami damy, pozostali zaś mierzą zimnym wzrokiem konkurenta podejrzewając, że *mote* i *glosa* były umówione, gdyż ją i jego łączyła zmowa innego rodzaju. Ale o tych podejrzaniach się nie mówi, gdyż wszyscy są tu jednakowo winni.

Noc jest upalna. Niektórzy przechodnie grają i śpiewają, chłopcy urządzają gonitwy, to prawdziwa zaraza, której nie można zwalczyć od początku świata, wplątują się w spódnice kobiet, obrywają kopniaki i szturchańce od eskortujących je mężczyzn, na co reagują, już z bezpiecznej odległości, robiąc miny i nieprzyzwoite gesty, po czym znów ruszają w dalszą pogoń. Jest też zaimprovizowana *corrida*, w której byczka wyobrażają dwa baranie rogi, nawiasem mówiąc, nie od pary, oraz ucięta łodyga agawy, wszystko razem umocowane na szerokiej desce z uchwytem z przodu, natomiast jej tył opiera się o pierś tego, który udaje byka, naciera on niezwykle mężnie, ryczy udając ból, kiedy drewniane *banderille* wbijają się w agawę, ale gdy *banderillero* zamiast ciosu na niby trafia w rękę rogatego zwierza, wówczas ulatnia się cała godność rasowego zwierza i ulicami mknie nowy pościg wytrącający z równowagi poetów, którzy proszą o powtórzenie *mote*, wołając z głową zadartą w górę. Co pani powiedziała, na co ona wdzięcząc się, Ćwierkają ptaszki w gaju o smutku, co duszę mą gnębi, na takich zabawach i figlach mija noc ludziom znajdującym się na ulicach, w domach natomiast śpiewa się kancony i pije czekoladę, o pierwszym brzasku zaczyna zbierać się wojsko, które będzie tworzyć skrzydła procesji, a na cześć Najświętszego Sakramentu przyodziane jest w nowe mundury.

W całej Lizbonie nikt nie zmrużył oka. Skończyły się poetyckie turnieje, damy opuściły okna, by poprawić wyblakły lub rozmazany makijaż, niebawem znów się pokażą w całym blasku świeżego rózu i bielidła. Tymczasem pospólstwo, złożone z białych, czarnych i Mulatów wszelkich odcieni, zalega ulice jeszcze mroczne w porze pierwszego brzasku, tylko po placu Pałacowym otwartym na morze i niebo pełzają błękitnawe cienie, które nagle czerwienieją od strony pałacu i katedry, słońce bowiem wychynęło z zaświatów i świetlistym podmuchem rozerwało mgłę. Teraz właśnie rusza procesja. Najpierw pojawiają się chorągwie rzemiosł Cechu Dwudziestu Czterech, na czele z chorągwią stolarzy zdobną wizerunkiem św. Józefa, jako że tym właśnie rzemiosłem się parał, dalej insygnia pozostałych cechów oraz wielkie podobizny różnych świętych wyhaftowane na zdobnych złotem i brokatem adamaszkach, które są tak ogromnych rozmiarów, iż do ich niesienia potrzeba czterech mężczyzn co jakiś czas zmieniających się z inną czwórką, i w ten sposób raz jedni, raz drudzy odpoczywają, dobrze chociaż, że nie ma wiatru, złoto i jedwabne sznury kołyszają się w takt marszu, także złote pompony zwisające z wyblyszczonych uchwyty drągów. Na końcu niosą obraz przedstawiający św. Jerzego, w asyście stosownego orszaku, dobosze pieszo, trębacze na koniach, jedni biją w werble, drudzy dmą w trąbki, ratapla, rata—pla, tataratara, ta, tata, Baltazar nie ogląda procesji na placu Pałacowym, słyszy tylko z daleka granie trąbki i przenika go dreszcz, jakby był na polu bitwy i widział nieprzyjaciela stojącego w szyku bojowym, raz oni atakują, raz my, nagle poczuł, że boli go ręka, która już tak dawno go nie bolała, może dlatego że dziś nie założył ani haka, ani szpikulca, ciało ma swoje różne wspomnienia i złudzenia. Gdyby nie ty, Blimundo, kogo bym mógł obejmować prawą ręką, jesteś obok mnie, przyciskam zdrową ręką twoje ramię albo cię obejmuję w pół, mimo że zwraca to uwagę ludzi nie nawykłych do takiego widoku. Przeszły już chorągwie, oddala się hałaśliwe granie trąbek i werbli, teraz znów pojawia się chorąży św. Jerzego, żelazny rycerz, ubrany i obuty w żelazo, z pióropuszem na szyszaku i spuszczoną przyłbicą, adiutant świętego, we wszystkich bitwach noszący jego sztandar i lancę, idący na przedzie, by sprawdzić, czy smok już wyszedł z jamy, czy jeszcze śpi, dziś to zbędna ostrożność, bo ani wyszedł, ani śpi, wzdycha jeno, że już więcej nie pojawi się na procesji Bożego Ciała, takich rzeczy nie powinno się robić smokom ani węzom, ani wielkoludom, marny jest ten świat, który pozwala, by go pozbawiano tylu atrakcji, choć trzeba przyznać, że niektóre jednak przetrwają, gdyż są bardzo piękne, i również tym razem reformatorzy procesji, ograniczmy się tu do nich, nie odważyli się zamknąć koni w stajniach lub wypuścić te liche szkapy na łąki, aby swobodnie się pasły, toteż oglądamy czterdzieści sześć karych i siwków okrytych przepięknymi czaprakami i gwoli sprawiedliwości trzeba powiedzieć, że zwierzęta są lepiej

ubrane niż oglądający je ludzie, a to przecież Boże Ciało. Każdy więc przywdział najlepszy strój, w którym godzi się oglądać Pana, bo choć stworzył nas nago, to przed Swe oblicze dopuszcza tylko w ubraniu, i zrozum tu, człowieku, tego Boga i tę religię, jaką dla niego stworzono, co prawda nie każdy jest piękny nago, widać to też po twarzach, jeśli nie są umalowane, wyobraźmy sobie choćby, jakie też ciało ma św. Jerzy pod srebrzystą zbroją i zdobnym piórami szyszakiem, zwykła kukła bez jednego włoska w miejscach, gdzie mężczyźni je mają, człowiek może być święty i zarazem mieć wszystko to, co mają inni ludzie, w ogóle nie do pomyślenia powinna być świętość nie połączona z ludzką siłą i słabością, która czasem tkwi w tej sile, i całe szczęście, ale jak to wytłumaczyć św. Jerzemu, jadącemu na białym koniu, o ile w ogóle można nazwać koniem to wyhodowane w królewskich stajniach zwierzę, którym się opiekuje specjalny stajenny, to koń tylko dla świętego jeźdźca, koń, którego nigdy nie dosiadł diabeł ani nawet człowiek, biedne zwierzę, umrze nie zaznawszy życia, dałby Bóg, żeby z twojej skóry, kiedy ci ją zedną, zrobili werbel, którego odgłos wzburzy twoje stare serce, ale na tym świecie wszystko się wyrównuje i rekompensuje, co już wykazał przykład śmierci chłopca z Mafry i infantu Piotra, a teraz znów się potwierdza, jest bowiem zwykłym sługą ten chłopak, który jako giermek św. Jerzego dosiada karego konia, wysoko dzierży lancę i powiewa pióropuszem na szyszaku, iluż matkom stojącym wzdłuż ulic i oglądającym procesję poprzez kordon wojska przyśni się tej nocy, że to ich syn jedzie na koniu jako giermek św. Jerzego na ziemi, a może i w niebie, dla tego samego warto było go wydać na świat, a oto znów pojawia się św. Jerzy, teraz na wielkiej chorągwi niesionej przez bractwo Królewskiego Kościoła Królewskich Szpitalników i wreszcie na końcu tego pierwszego dostojnego orszaku kroczą dobosze i trębacze strojni w aksamity i białe pióra, za nimi krótka przerwa i z kaplicy królewskiej zaczynają wychodzić inne bractwa, tysiące kobiet i mężczyzn według przynależności i płci, tu nie mieszają się ewy z adamami, patrz, patrz, tam idzie Antoni Maria i Szymon Nunes i Manuel Caetano i Józef Bernard i Anna da Conceicao i Antonina da Beja i Józef dos Santos i Błażej Franciszek i Piotr Caim i Maria Caldas, nazwiska są równie urozmaicone, jak stroje, czerwone, niebieskie, białe, czarne i karmazynowe kapy, szare kaftany, brązowe, niebieskie i fioletowe, a także białe, czerwone, żółte, karmazynowe i zielone pelerynki, czarne również, tak czarne, jak niektórzy z braci, ale to braterstwo widoczne w idącej ulicami procesji bynajmniej nie oznacza, że tak samo dzieje się przy wchodzeniu na drabinę prowadzącą do stóp Pana Naszego Jezusa Chrystusa, jest jednak dobrym znakiem, gdyż wystarczy, że pewnego dnia Pan Bóg przebierze się za Murzyna i ogłosi w kościołach, Każdy biały jest wart połowę czarnego, teraz radźcie sobie jak chcecie z wejściem do rajy, a wtedy plaże Portugalii, tego

ogrodu, jak mówi poeta, wyrosłego nad samym morzem, zapełnią się ludźmi pragnącymi oczernić przodków, co dziś wydaje się śmiesznym pomysłem, inni znów wprawdzie nie pójdą na plażę i zostaną w domu, ale za to wysmarują się różnymi mazidłami, tak że kiedy wyjdą na ulicę, nawet sąsiedzi ich nie poznają, Co tu robi ten czarnuch, i na tym właśnie polega cała trudność z bractwami ludzi kolorowych, na razie więc mam tylko takie jak bractwo Matki Boskiej Świętej Doktryny, Matki Jezusowej, Różańcowej, bractwo św. Benedykta, co mało je ciasta, a w sadło obrasta, Matki Boskiej Łaskawej, świętego Kryspina, Matki Bożej z Sao Sebastiao da Pedreira, gdzie mieszkają Baltazar i Blimunda, Drogi Krzyżowej z Sao Pedro i Sao Paulo oraz Drogi Krzyżowej z Aleorim, Matki Boskiej z Ajuda, bractwo Chrystusowe, bractwo Matki Boskiej Dobrej Pamięci, Matki Boskiej Opiekunki Zdrowia, bez niego skąd wzięłoby się męstwo Rosy Marii, skąd by je miała Severa, później idzie bractwo Matki Boskiej z Oliveira, gdzie Baltazar raz dostał jedzenie, świętego Antoniego Franciszkanek od św. Marty, Matki Boskiej Ukojenia z Aloantara, Matki Boskiej Różańcowej, św. Chrystusa i św. Antoniego, Matki Boskiej Orędowniczki Uwięzionych, świętej Marii Egipcjanki, do tego właśnie bractwa należałby Baltazar, gdyby był żołnierzem gwardii królewskiej, szkoda, że nie ma bractwa bezrękich, teraz znów przechodzi bractwo Miłosierdzia, to też pasuje, jeszcze jedno bractwo Matki Boskiej Orędowniczki Uwięzionych, ale tym razem z klasztoru Carmo, to pierwsze było tercjarek od św. Franciszka, zdaje się, że już wyczerpali się patroni i zaczynają się powtarzać, znów przechodzi bractwo Chrystusowe, ale od Świętej Trójcy, tamto było od Paulinów, bractwo Dobrej Decyzji, ale Kancelaria Królewska nie podjęła żadnej dobrej decyzji w stosunku do Baltazara, św. Łucji, Matki Boskiej Dobrej Śmierci, o ile takowa jest możliwa, Dzieciątka Opiekuna Zapomnianych, co najlepiej świadczy o tym, jak źle jest z religią, dopuszczającą istnienie jakichś zapomnianych i polecającą ich wątpliwej opiece Jezusa, który gdyby był prawdziwy, nie byłoby żadnego zapomnienia, bractwo Zaduszne z kościoła Matki Boskiej Niepokalanego Poczęcia, komórki do wynajęcia, Bractwo Matki Boskiej Grodzkiej, Zaduszne od Matki Boskiej z Ajuda, Matki Boskiej Bolesnej, św. Józefa Cieśli, Matki Boskiej Nieustającej Pomocy, Matki Boskiej Litościwej, świętej Katarzyny i Zbłąkanego Młodzianka, jedni zbłąkani, drudzy zapomniani, nikt ich nie szuka i nikt nie wspomina, nawet Matka Boska Dobrej Pamięci nic im nie może pomóc, bractwo Matki Boskiej Gromnicznej, jeszcze jedno św. Katarzyny, to pierwsze było księgarzy, a teraz brukarzy, św. Anny, św. Eligiusza, bogatego patrona złotników, św. Michała i Zaduszne, św. Marcelina, Matki Boskiej Różańcowej, św. Justyny i św. Rufiny, Dusz Męczenników, Ran Chrystusowych, Matki Bożej, św. Franciszka Grodzkiego, Matki Boskiej Poczieszycielki Strapionych, których nie brak, i wreszcie Matki Boskiej Skutecznego Leku, bo wiadomo, że

leki daje się zawsze po fakcie, a czasem nawet za późno, lecz jeśli istnieje odrobina nadziei, można jeszcze uciec się do Najświętszego Sakramentu, który właśnie się zbliża, wyhaftowany na sztandarze, przed nim zaś niosą, jako prekursora, św. Jana Chrzciciela, przedstawionego pod postacią ubranego w skóry pacholęcia w asyście czterech aniołów sypiących kwiaty, prawdopodobnie nie ma drugiego takiego kraju, gdzie by aniołowie tak licznie przechadzali się po ulicach, wystarczy tylko wyciągnąć rękę, żeby sprawdzić, iż są najzupełniej prawdziwe i realne, chociaż nie latają, zatem latanie nie jest wcale dowodem anielskości, jeśli więc ksiądz Bartłomiej de Gusmao, albo po prostu Wawrzyniec, poleci pewnego dnia, to z tak błahego powodu nie stanie się aniołem, do tego potrzebne są inne cechy, wszelako za wcześnie na takie rozważania, jeszcze nie ma dostatecznych zapasów ludzkiej woli, na razie przeszła dopiero połowa procesji, zaczyna już dokuczać upał późnego poranka tego dnia ósmego czerwca roku pańskiego 1719, teraz nadchodzą różne inne zgromadzenia, ale ludzie są już roztargnieni, idą zakonnicy i nikt nie zwraca na nich uwagi, nawet nie wszystkie bractwa zostały dostrzeżone, Blimunda patrzy w niebo, Baltazar na Blimundę, ta zaś zastanawia się, czy rzeczywiście księżyc jest w nowiu, czy przypadkiem nad klasztorem Carmo nie pojawi się cienki, ostry jak brzytwa półksiężyc pierwszej kwadry, który niczym wyostrzony pałasz otworzy przed jej wzrokiem wszystkie ciała, przeszło właśnie pierwsze zgromadzenie, jakie to było, nawet nie wiem, jacyś zakonnicy, trynitarze św. Franciszka od Jezusa, franciszkanie, karmelici, dominikanie, cystersi, jezuici od św. Rocha i od św. Antoniego, od tylu nazw i kolorów kręci się w głowie i nie sposób tego zapamiętać, najwyższy czas, żeby zjeść prowiant zabrany z domu czy też coś kupionego na miejscu, a podczas posiłku można porozmawiać o tym, co już się zobaczyło, o złożonych krzyżach, marszczonych rękawach, białych chustach, ogoniastych frakach, długich pończochach, butach z klamrami, bufkach, czepkach, krynolinach, fantazyjnych pelerynach, koronkowych kołnierzach, zakiecikach, tylko polne lilie nie umieją praść ni tkać i dlatego są nagie, gdyby zaś Bóg chciał, abyśmy też byli nadzy, uczyniłby nas liliami, kobiety na szczęście i tak nimi są, ale liliami ubranymi, Blimunda ubrana, ale i rozebrana, lecz cóż to za myśli, Baltazarze, co za grzeszne wspomnienia, i to w chwili gdy zbliża się krzyż katedralny, za nim zaś kongregacja misjonarzy, dalej oratorianie i nieprzebrany tłum kleru z różnych parafii, doprawdy, moi państwo, tylu ludzi zajmuje się zbawieniem naszych dusz, a ciągle nie wiadomo, czym one są, nie myśl sobie, Baltazarze, że jako żołnierz, choć inwalida, należysz do bractwa mężów idących w procesji, do tych stu osiemdziesięciu czterech z zakonu rycerskiego Santiago da Espada, stu pięćdziesięciu z zakonu Aviz i tyluż z zakonu Chrystusa, gdyż oni sami wybierają sobie konfratrów, a ponadto Bóg nie chce na swoich ołtarzach

zwierząt ułomnych, i na dodatek pośledniej krwi, zostań więc, Baltazarze, na swoim miejscu i oglądaj sobie procesję, właśnie przechodzą paziowie, kantorowie, kamerdynerzy, dwaj porucznicy gwardii królewskiej, raz, dwa, w przepysznych mundurach, dziś powiedzielibyśmy galowych, krzyż patriarszy z rubinowymi szarfami po bokach, kapelani z uniesionymi laskami zwieńczonymi pęczkami goździków, taki to już los kwiatów, pewnego dnia zatkną je też w lufy karabinów, chłopcy z chóru, okrągłe baldachimy z bazyliki Santa Maria Maior i z bazyliki patriarchalnej, obydwa z białych i czerwonych klinów ułożonych na przemian, skąd za dwieście czy trzysta lat może bazylika będzie oznaczać parasol, Złamał mi się drut w bazylice, Zostawiłam bazylikę w autobusie, Zamówiłam nową rączkę do bazyliki, Kiedy będzie gotowa moja bazylika w Mafrze, zastanawia się król, który przytrzymuje jedno z drzewc baldachimu, przed nim idzie kapituła, diakoni w białych dalmatykach, następnie prezbiterzy w takichże ornatach, dalej różni dostojnicy w humerałach, pluwiach i paliuszach, lud nawet nie zna tych wszystkich słów, może tylko zna mitrę i wie nawet, jaki ma kształt, bo równie dobrze zdobi kurzy kuper, jak głowy kanoników, z których każdy idzie w towarzystwie trzech paziów, jeden niesie płonąca pochodnię, drugi kapelusz, obydwoj ubrani na dworską modłę, kaudatariusz zaś odziany jest w kaftan i kolczugę, teraz dopiero zbliża się orszak patriarchy, na przedzie kroczy sześciu szlachciców z jego rodu niosących płonąca pochodnie, później beneficjant asystujący z pastorałem oraz drugi kapelan z trybularzem, za nim akolici kołyszący zdobnymi srebrnymi kadzielnicami, dwóch mistrzów ceremonii i dwunastu giermków również z pochodniami, O grzeszny ludu, wy mężczyźni, i wy, kobiety, którzy w zatraceniu pędzicie wasz przemijający żywot, spółkujecie, pijecie i objadacie się ponad miarę, nie przestrzegacie przykazań, płacenia dziesięciny oraz ośmielacie się bez lęku i drwiąco mówić o piekle, wy, mężczyźni, którzy przy każdej okazji obmacujecie w kościele tyłki kobiet, i wy, kobiety, które dzięki resztkom wstydu nie obmacujecie w kościele przyrodzenia mężczyzn, patrzcie, co macie przed oczami, oto baldachim na ośmiu drzewcach, a pod nim ja, patriarcha, ze świętą monstrancją w ręku, klękajcie, grzesznicy, powinniście teraz, w tej chwili, się wykastrować, żeby więcej nie spółkować, powinniście w tej chwili związać sobie szczęki, żeby więcej nie kłać duszy obżarstwem i opilstwem, w tej chwili powinniście też wywrócić i opróżnić wasze kieszenie, bo w raju nie są potrzebne monety, w piekle także nie, w czyścicu zaś długi się płaci modlitwami, tu, owszem, są one potrzebne na jeszcze jedną złotą monstrancję i na opłacenie srebrem tych wszystkich ludzi, dwóch kanoników podtrzymujących poły mego pluwiaka i niosących mitry, dwóch subdiakonów unoszących rąbek fałdy, kaudatariuszy idących z tyłu, i stąd kaudatariuszami zwanych, a także tego oto mego brata, który jest hrabią i niesie ogon mego pluwiaka, i dwóch

giermków z flabellami, i innych ze srebrnymi laskami, pierwszego subdiakona niosącego welon pozłacanej mitry, tej samej, której nie można dotykać rękami, niemądry był Chrystus, że nie włożył sobie na głowę mitry, wprawdzie był synem Boga, w co nie wątpię, ale był prostaczkiem, przecież z dawien dawna wiadomo, że żadna religia nie przyjmie się bez mitry, tiary lub melonika, gdyby go sobie włożył, od razu stałby się najwyższym kapłanem, zarządcą zamiast Poncjusza Piłata, i pomyśleć, czego uniknąłem, tak właśnie powinno być na tym świecie, bo gdyby nie był taki, jaki jest, to ja też nie byłbym patriarchą, płacicie zatem, co komu należy, cesarzowi co boskie i Bogu co cesarskie, a my już wszystko policzymy i rozdzielimy pieniądze, grosik dla mnie, grosik dla ciebie, zaprawdę powiadam wam i zawsze będę to mówił. A oto ja, wasz król Portugalii, Algarve i całej reszty, idę tu trzymając jedno z drzewc, patrzcie, jak wasz monarcha się stara i jak dba o dobra doczesne i wieczne ojczyzny i ludu, mogłem przecież przysłać na moje miejsce jakiegoś sługę, jakiegoś księcia albo markiza, żeby nieśli na zmianę, lecz nie, jestem tu we własnej osobie, tak samo we własnej osobie infanci, moi bracia a wasi panowie, klękajcie, klękajcie, przechodzi bowiem monstancja i ja również, wewnątrz niej jest Chrystus, a wewnątrz mnie łaska bycia królem na ziemi, któryś z nas zwycięży, jeśli idzie o sprawy cielesne, to ja, królewski knur, bo wiadomo, że choć mniszki są oblubienicami Pana, i jest to święta prawda, to właśnie mnie jak Pana przyjmują w swoich łózkach i dlatego że to właśnie ja jestem Panem, wzdychają z rozkoszy zaciskając w dłoni różaniec, splecione i zapomniane mistyczne ciało, a tymczasem święci z kapliczki nasłuchują namiętych szeptów płynących spod sklepienia łoża, sklepienia, które góruje nad niebieskim, bo tu właśnie jest niebo najlepsze ze wszystkich. Ukrzyżowanemu zaś głowa opadła na ramię, biedaczysko, może to z bólu i umęczenia, a może by lepiej widzieć rozbierającą się Paulę, może jest zazdrosny o tę skradzioną oblubienicę, o ten klasztorny kwiat pachnący kadzidłem, o to boskie ciało, ale przecież, kiedy wychodzę, ma ją dla siebie, a jeśli zaszła w ciążę, to wiadomo, że syn jest mój, nie ma co dwa razy tego powtarzać, bezpośrednio za mną idą kantorzy intonujący motety i hymny kościelne, co nasunęło mi pewną myśl, nie ma to jak królewskie myśli, zresztą jak bez nich panować, pomyślałem sobie więc, że każę siostrzom z Odivelas, by w sypialni Pauli śpiewały *Benictus*, gdy będę z nią w łóżku, przed, podczas i po wszystkim, amen.

Zagrzmiały salwy z okrętów, zawtórował im bastion na placu Pałacowym, dwa kroki stąd, a ich dudniące echo złało się z hukiem armat ze wszystkich wież i fortów, pułk królewski oraz pułki z Peniche i z Setubalu stojące na placu sprezentowały broń. Boże Ciało idzie ulicami Lizbony, baranek ofiarny, pan zastępów, sprzeczność nie do pogodzenia, złote słońce, kryształ i monstancja, przed którą chylą się głowy, bóstwo zjadane i doszczętnie

trawione, być może kogoś zdziwi, że jesteś za pan brat z lizbończykami, z tymi wszystkimi kozłami ofiarnymi, z żołnierzami bez własnej broni, białymi szkieletami na pustyni, zjadaczami siebie samych, dlatego właśnie ci wszyscy mężczyźni i kobiety czołgają się po ulicach, wymierzając sobie i bliźnim policzki, bijąc się z hukiem w piersi i po bokach, wyciągając ręce ku idącym w procesji, ku rąbkom szat, brokatom i koronkom, ku aksamitom i kokardom, ku wstążkom, haftom i klejnotom. *Pater noster qui non es in coelis.*

Zapada zmierzch. Na niebie ledwie dostrzegalna światłość zwiastuje wzejście księżycy. Jutro Blimunda odzyska swój wzrok, w dniu dzisiejszym jest ślepa.

Ksiądz Bartłomiej Wawrzyniec wrócił z Coimbry, jest już doktorem prawa kanonicznego i ma czarno na białym, że nazywa się de Gusmao, nie posądzajmy go wszakże o grzech pychy, wybaczymy mu raczej, z pożytkiem dla własnej duszy, ten brak pokory, zważywszy na przytoczone przezeń powody, a przez to i nam być może zostaną wybaczone winy, ta i inne, bo przecież zmiana nazwiska nie jest jeszcze rzeczą najgorszą, dużo gorzej jest zmienić oblicze albo dane słowo. Wygląda jednak na to, że nie zmienił on ani oblicza, ani słowa, a dla Baltazara i Blimundy nazywa się też po dawnemu, jeśli zatem król mianował go szlachcicem, królewskim kapelanem i członkiem królewskiej akademii, to te wszystkie oblicza i tytuły oraz przybrane nazwisko są tylko zewnętrzną maską, którą zostawia u wrót majątku księcia Aveiro, zostaje ona za progiem, bo też wyobraźmy sobie, jak każdy z tych trzech zareagowałby na widok maszyny, szlachcic powiedziałby, że to zajęcie dla mechanika, kapelan wykląłby diabelski wynalazek, natomiast członek akademii odwróciłby się od niej, gdyż uznałby, że to sprawa przyszłości, i zająłby się nią dopiero, kiedy by się stała sprawą należącą do przeszłości. A my jesteśmy w dniu dzisiejszym.

Ksiądz mieszka na tyłach placu Pałacowego, w domu pewnej wdowy, której mąż nosił pastorał, ale dawno temu zginął w bójce od pchnięcia rapierem, zajście to miało miejsce jeszcze za króla Piotra II, a więc w odległej przeszłości, i nadmieniamy o nim tylko dlatego, że w domu tej właśnie kobiety zamieszkał ksiądz Bartłomiej Wawrzyniec, a zatem wypada coś o niej powiedzieć, skoro pominęliśmy jej nazwisko, które, jako się rzekło, znaczy tyle co nic. Mieszka zatem ksiądz w pobliżu pałacu i całe szczęście, gdyż często tam bywa, i to nie tyle z powodu funkcji królewskiego kapelana, bo jest ona raczej honorowa i nie związana z konkretnymi obowiązkami, lecz dlatego iż cieszy się względami króla, który ciągle nie traci nadziei, mimo że mija już jedenaście lat, i od czasu do czasu dobrodusznie zapytuje, A więc, kiedy będę mógł zobaczyć maszynę w locie, na co ksiądz Bartłomiej Wawrzyniec z czystym sumieniem może powiedzieć tylko tyle, Najjaśniejszy Panie, możesz być pewien, że pewnego dnia maszyna polecie, Ale czy dożyję tego dnia, Wasza Miłość nie musi wcale żyć tak długo, jak biblijni patriarchowie, by nie tylko zobaczyć maszynę w powietrzu, ale nawet nią polecieć. Odpowiedź ta zabrzmiała trochę impertynencko, wszakże król tego nie zauważył, albo zauważył i potraktował ją pobłaźliwie, albo też jego uwagę zaprzątnęła już myśl o tym, że ma asystować przy lekcji muzyki córki, infantki Dony Marii Barbary, chyba tak, bo skinął na księdza, aby się przyłączył do orszaku, nie wszyscy mogą się poszczycić dostąpieniem takiej łaski.

Dziewczynka siedzi już przy klawikordzie, jest taka młodziutka, jeszcze nie skończyła nawet dziewięciu lat, a już takie obowiązki ciążyą na jej krągłej główce, musi się nauczyć stawiać krótkie paluszki na odpowiednich klawiszach i wiedzieć o tym, o ile wie, że w Mafrze buduje się klasztor, dużo prawdy jest w powiedzeniu, z małej chmury duży deszcz, bo z racji tego, że w Lizbonie przyszło na świat dziecko, w Mafrze rozpoczęto budowę kamiennego kolosa, a z Londynu sprowadzono Domenica Scarlattiego. Lekcji przysłuchuje się para królewska w małym gronie, wszystkiego jakieś trzydzieści osób, licząc dyżurnych pokojowców jego i jej, piastunki, damy dworu, księdza Bartłomieja Wawrzyńca oraz innych duchownych stojących z tyłu. *Il maestro* koryguje palcówki, fa, la, do, fa, do, la, Jej Wysokość bardzo się stara, przygryza usteczka, pod tym względem nie różni się od każdego innego dziecka, urodzonego w pałacu czy gdzie indziej, matka usiłuje ukryć pewne zniecierpliwienie, ojciec jest królewski i surowy, tylko kobiety, istoty o miękkich sercach, poddają się urokowi muzyki i dziewczątka, mimo że gra tak źle, ale nie ma się czemu dziwić, to dopiero początki, więc królowa Maria Anna nie powinna spodziewać się cudów, *Il signor* Scarlatti przyjechał dopiero przed paroma miesiącami, dlaczego też ci cudzoziemcy tak komplikują nazwiska, przecież łatwo odgadnąć, że ten po prostu nazywa się Szkarłat, co zresztą pasuje do niego, jest to mężczyzna pięknej postury, twarz ma podłużną, wydatne, mocno zarysowane usta, szeroko rozstawione oczy, Włosi jednak mają coś w sobie, popatrz choćby na tego, który trzydzieści pięć lat temu urodził się w Neapolu, To się nazywa być w sile wieku, moja droga.

Po zakończeniu lekcji całe towarzystwo rozchodzi się, król w jedną stronę, królowa w drugą, infantka też w swoją stronę, jak zwykle wszystko odbywa się z zachowaniem etykietalnych zasad pierwszeństwa, wśród niezliczonych ukłonów, wreszcie cichnie szum krynolin, spodni i kokard, w salonie zostaje tylko Domenico Scarlatti i ksiądz Bartłomiej de Gusmao. Włoch przebiega palcami po klawiaturze, zrazu od niechcenia, jakby szukając tematu lub też usiłując poprawić błakające się jeszcze echa, lecz nagle muzyka porywa go, palce płyną po klawiszach niby unoszona prądem kwietna łódź, co już to zwolni, przytrzymana przez chylące się ku wodzie gałęzie, już to mknie rażno, by po chwili sunąć cicho po bezkresnej toni jeziora, po świetlistych wodach Zatoki Neapolitańskiej, po tajemnych i dźwięcznych kanałach Wenecji, po rozświetlonym jutrzemką Tagu, król już gdzieś zniknął, królowa skryła się w swojej komnacie, infantka zaś pochyła się nad tamborkiem, od maleńkości trzeba się uczyć, a muzyka dźwięczy niby paciorki świeckiego różańca, matko nasza, któraś jest na ziemi. Panie Scarlatti, odezwał się ksiądz, gdy improwizja się skończyła, przywracając harmonię pałacowym echom, wprowadzie nie mogę

się pochwalić znajomością tej sztuki, ale sędzę, że nawet Indianina z moich stron, jeszcze mniej się na tym rozumiejącego niż ja, musiałby porwać te boskie brzmienia. Wątpię, odpowiedział muzyk, wiadomo bowiem, że słuch trzeba szkolić, by umiał cenić dźwięki, podobnie jak oczy muszą uczyć się rozróżniać wartość poszczególnych liter i odczytywać ich układy, a uszy rozumieć ludzką mowę. Te roztropne słowa korygują moją nierozważną wypowiedź, ale to zwykły ludzki błąd, zamiast ograniczyć się do prawdy, wolimy mówić to, co inni chcieliby usłyszeć. By jednak ludzie mogli ograniczyć się do prawdy, muszą najpierw poznać błędy, i popełniać je, Nie potrafiłbym na to odpowiedzieć jednoznacznie, lecz jestem przekonany o konieczności błędów.

Ksiądz Bartłomiej Wawrzyniec oparł łokcie na wieku klawesynu i spojrział w zadumie na Scarlattiego, skorzystajmy więc z ich milczenia i dorzućmy od siebie, iż ta płynna rozmowa między portugalskim księdzem i włoskim muzykiem może nie jest całkiem zmyślona, a jest wszak wielce prawdopodobne, że takie właśnie słowa i grzeczności wymieniali oni w owym czasie, zarówno w pałacu, jak i poza nim, o czym niebawem będzie mowa. A jeśli kogoś dziwi, że Scarlatti w ciągu paru miesięcy nauczył się tak dobrze po portugalsku, to po pierwsze nie zapominajmy, że to przecież muzyk, po drugie zaś możemy dodać, że od siedmiu lat język ten nie jest mu obcy, gdyż w Rzymie był w służbie u naszego ambasadora, a później podczas wędrówek po różnych dworach królewskich i biskupich, i nie zapomniał tego, czego się nauczył. Co się zaś tyczy uczonego charakteru rozmowy oraz doboru gładkich słów, to ktoś tu trochę pomógł.

Macie, panie, rację, rzekł ksiądz, lecz w ten sposób człowiek naraża się na to, że wydaje mu się, iż wyznaje prawdę, gdy tymczasem tkwi w błędzie. Tak, ale równie dobrze może mu się wydawać, że tkwi w błędzie, gdy w istocie wyznaje prawdę, odparł muzyk, na co znów ksiądz, Nie zapominajcie, że Piłat pytając Chrystusa o prawdę nie oczekiwał bynajmniej odpowiedzi, a i Zbawiciel mu jej nie dał. Być może obydwaj wiedzieli, że nie istnieje odpowiedź na to pytanie, Skoro tak, to pod tym względem Piłat nie różniłby się od Jezusa, Na to w końcu wychodzi, Jeśli muzyka jest taką mistrzynią argumentacji, chcę natychmiast zostać muzykiem, a nie kaznodzieją, Dzięki za komplement, ale naprawdę chciałbym, ojcze Bartłomieju, by pewnego dnia moja muzyka potrafiła coś wyłożyć, zanegować i wyciągnąć wnioski, tak jak to czyni kazanie lub wykład, Choć zważywszy na to, co i jak się mówi, panie Scarlatti, najczęściej te wywody za i przeciw są bardzo mgliste i nic z nich nie wynika. Muzyk nic na to nie odpowiedział i ksiądz dodał jeszcze, Każdy uczciwy kaznodzieja musi to czuć schodząc z ambony. Włoch wzruszył ramionami i powiedział, Po

muzyce i po kazaniu zawsze nastaje cisza, jest więc bez znaczenia, czy się chwali kazanie i oklaskuje muzykę, bo może tylko cisza istnieje naprawdę.

Domenico Scarlatti i Bartłomiej Wawrzyniec wyszli na plac Pałacowy i rozstali się, muzyk mając wolny czas przed próbą w kaplicy królewskiej udał się na przechadzkę, podczas której komponował nowe melodie, ksiądz zaś wrócił do domu, na taras, skąd rozciągał się widok na Tag i leżącą na przeciwległym brzegu równinę Barreiro, wzgórze Almady, Pragal i hen, dalej, aż po ledwie widoczny szczyt Cabega Seca do Bugio, co za promienny dzień, kiedy Bóg tworzył świat, nie wypowiedział słowa Fiat, gdyby to zrobił, cały świat byłby jednakowy, wystarczyłoby jedno słowo, ale on robił to stopniowo, krok za krokiem, wprzód stworzył morze i pożeglował po nim, potem stworzył ziemię, żeby móc wylądować, w niektórych miejscach zatrzymał się dłużej, na inne nawet nie rzucił okiem, a tu właśnie odpoczywał, a jako że nie było jeszcze mogących go podglądać przedstawicieli rodu ludzkiego, wykąpał się, i właśnie na pamiątkę tego na tutejszym brzegu zbierają się wielkie stada mew czekających ciągle, że Bóg wróci, by powtórnie się wykąpać w wodach Tagu, choć już nie tych samych, i że przynajmniej raz będą mogły mu okazać wdzięczność za to, że są mewami. Chcą również przekonać się, czy Bóg bardzo się postarzał. Wdowa przyszła zawiadomić księdza, że obiad jest gotów, pod oknami przejechał powóz w otoczeniu halabardników. Jakaś mewa, która odłączyła się od stada, szybowała nad krawędzią dachu podtrzymywana podmuchem od lądu. Bądź błogosławiony, ptaku, szepnął ksiądz i w głębi ducha poczuł, że jest ulepiony z tego samego ciała i tej samej krwi, przeszedł go dreszcz, gdyż miał wrażenie, iż z ramion wyrastają mu pióra, kiedy zaś mewa zniknęła, wydało mu się, że zablądził na pustyni. Skoro tak, to Piłat nie różniłby się od Jezusa, pomyślał nagle wracając do rzeczywistości, jednocześnie przeniknęła go świadomość, że jest nagi, odarty ze skóry, jakby ją zostawił w łonie matki, wtedy powiedział głośno, Bóg jest jeden.

Cały ten dzień ksiądz Bartłomiej przesiedział w swoim pokoju wzdychając i jęcząc, tak też spędził wieczór i wreszcie wdowa znów zastukała do zamkniętych drzwi mówiąc, że czas na wieczerzę, ksiądz jednak nie chciał nic jeść, wyglądało na to, że szykuje się do długotrwałego postu, pragnąc zaostrzyć zdolność widzenia i rozumienia, choć sam nie wiedział, co jeszcze miałby zrozumieć po tym, jak ogłosił jedność Boga mewom znad Tagu, co było najwyższym zuchwalstwem, bo nawet heretycy nie negują faktu, że Bóg jest jeden w swojej istocie, a księdza uczono przecież, że wprawdzie Bóg jest jeden, ale w trzech osobach, w co dziś zwątpił pod wpływem mew. Zapadła ciemna noc, całe miasto już śpi, a nawet jeśli nie śpi, to ucichło i tylko od czasu do czasu słychać pohukiwanie czuwających straży, żeby czasem korsarze francuscy gdzieś tu nam nie wylądowali, tymczasem Domenico Scarlatti

pozamykał drzwi i okna, zasiadł do klawesynu i subtelne dźwięki zaczęły sączyć się przez szpary i komin wypełniając lizbońską noc, co to za muzyka, zastanawiają się portugalscy i niemieccy gwardziści, a tak jedni, jak i drudzy rozumieją ją jednak, słyszą ją też przez sen marynarze śpiący pod gołym niebem na pokładach, a obudziwszy się, natychmiast ją rozpoznają, słyszą ją też włóczędzy szukający schronienia na nabrzeżu, pod wyciągniętymi na ląd łodziami, słyszą ją też mnisi i mniszki z tysiąca klasztorów, którzy mówią, Toż to chóry anielskie, w tym kraju dzieją się coraz to nowe cuda, słyszą ją też zamaskowani mordercy i konające ofiary, którym w godzinie śmierci zastępuje ona spowiedź i odpuszczenie grzechów, usłyszał ją również pewien więzień w lochach Inkwizycji, chwycił za gardło znajdującego się w pobliżu strażnika i udusił go, wszak to zabójstwo i tak już nie zmieni rodzaju śmierci, na jaką został skazany, słyszą tę muzykę również Baltazar i Blimunda, choć znajdują się daleko od Lizbony, i leżąc obok siebie zastanawiają się, Co to za muzyka, ale najpierwszy usłyszał ją ksiądz Bartłomiej Wawrzyniec, który mieszka w pobliżu, wstał z łóżka, zapalił oliwną lampę i otworzył okno, żeby lepiej słyszeć. Wleciały natychmiast wielkie komary, które posiadały na suficie, najpierw kołysząc się na długich nogach, a później tkwiąc nieruchomo, może zafascynowało je skrzywienie pióra, gdyż ksiądz Bartłomiej siadł do pisania, *Et ego in illo*, I ja jestem w nim, aż do białego rana pisał kazanie na Boże Ciało, toteż jego ciało nie posłużyło tej nocy za pożywienie komarom.

Po paru dniach Włoch podszedł do księdza w kaplicy królewskiej i zaczął z nim rozmawiać. Po wymianie pierwszych słów wyszli z kaplicy przez drzwi znajdujące się pod lożami króla i królowej, a prowadzące do pałacowej galerii. Gawędzili o tym i owym, oglądając arrasys wiszące na ścianach, jest tu i historia Aleksandra Wielkiego, i triumfy Wiary i Sakramentu według rysunków Rubensa, i historia Tobiasza według rysunków Rafaela, i zdobycie Tunisu, jeśli pewnego dnia te tkaniny się zapalą, nie zostanie z nich ani jedna jedwabna nitka. Domenico Scarlatti jakby od niechcienia powiedział w pewnej chwili, Król ma w swojej loży kopię rzymskiej bazyliki Św. Piotra, którą wczoraj złożył w mojej obecności, co poczytuję sobie za wielki zaszczyt, Którego ja nigdy nie dostąpiłem, ale nie mówię tego przez zazdrość, przeciwnie, cieszę się, że naród włoski został tak zaszczycony w osobie jednego ze swoich synów, Mówią, że król jest wielkim budowniczym, stąd też może jego zamiłowanie do wznoszenia własnymi rękami architektonicznej głowy Kościoła Świętego, choć w miniaturze, Zupełnie inne wymiary ma bazylika budowana w Mafrze, jest to gigantyczna budowla, która zadziwi świat, Jakże różnorodne są dzieła ludzkich rąk, moje — to dźwięki, Mówicie, panie, o rękach, Mówię o dziełach, które umierają wkrótce po

narodzinach, Mówicie o dziełach, Mówię o rękach, na co by się zdały, gdyby brakło pamięci i papieru, na którym je zapisuję, mówicie o rękach, Mówię o dziełach.

Wydawać by się mogło, że jest to jedynie wdzięczna gra słów, igranie z ich znaczeniem, zabawa w stylu epoki bez szczególnego przywiązywania wagi do zrozumiałości wypowiedzi, lub też celowe zaciemnianie jej sensu. Zupełnie tak, jakby w kościele podczas kazania kaznodzieja wykrzyknął pod adresem wizerunku św. Antoniego, Czarnuch, złodziej, pijanica, po czym próbował zatuszować skandal wyjaśniając ukrytą intencję, podstęp i pozory zawarte w tej apostrofie, no bo nazwał go czarnuchem, gdyż miał skórę osmaloną przez diabła, który jednak nie zdołał zbrukać jego duszy, złodziejem był zaś dlatego, iż wykradł Dzieciątko z objęć Maryi, pijanica natomiast z uwagi na to, że był w stanie permanentnego upojenia łaską boską, ale moim zdaniem powinienś uważać, mości kaznodziejo, gdy bowiem odwracasz cały koncept do góry nogami, mimo woli folgujesz pokusie herezji, która w tobie drzemie i maści twoje sny, wykrzykujesz więc jeszcze, Przeklęty niech będzie Ojciec, przeklęty Syn, przeklęty Duch Święty, choć zaraz dodajesz, Ryczą demony w piekle, myśląc, że tym sposobem unikniesz potępienia, ale ten, który wszystko widzi, nie ten ślepy Tobiasz, ale ten, dla którego nie istnieją ciemności i ślepotą, on dobrze wie, że wypowiedziałeś dwie głębokie prawdy, z których wybrał jedną, tę swoją, gdyż ani ty, ani ja nie wiemy, jaka jest prawda boska, w dodatku jeśli idzie o prawdziwego Boga.

Dzieła, ręce, dźwięki, loty wszystko to wygląda na grę słów, Dowiedziałem się, ojcie Bartłomieju de Gusmao, że za sprawą twoich rąk jakaś maszyna uniosła się w powietrze i poleciała, Prawdę rzekli o tym, co wówczas ujrzeli, później natomiast stali się ślepi na prawdę, która przesłoniła tę pierwszą, Nie bardzo rozumiem, Było to przed dwunastu laty, od tego czasu prawda bardzo się zmieniła, Ciągle nie rozumiem, Bo to tajemnica, Na to mogę odpowiedzieć, że według mojego rozumienia tylko muzyka może unosić się w powietrzu, Wobec tego jutro pojedziemy zobaczyć pewną tajemnicę. Zatrzymali się właśnie przed ostatnim arrasem, przedstawiającym historię Tobiasza, na którym gorzka rybia żółć przywraca wzrok ślepcowi, Gorycz wyziera z oczu widzących, panie Domenico Scarlatti, Pewnego dnia wszystko to wypowie muzyka, ojcie Bartłomieju de Gusmao.

Następnego dnia każdy z nich dosiadł mulicy i pojechali do Sao Sebastiao da Pedreira. Patio znajdujące się między pałacem z jednej strony a spichlerzem i szopą z drugiej było starannie zamiecione. Rynną leżącą na ziemi płynęła woda, słychać było skrzypienie obracającej się norii. Pobliskie grządki były uprawione, drzewa owocowe zadbane i poprzycinane, w zasięgu wzroku nic nie przypominało dzikiej gęstwiny sprzed dziesięciu lat, kiedy po raz pierwszy Baltazar i Blimunda się tu zjawili. Ale reszta folwarku nie była

zagospodarowana i nie mogło być inaczej, jeśli do pracy na roli były tylko trzy ręce, i to przez większość czasu zajęte robotą nie związaną z uprawą ziemi. Z wnętrza szopy słysząc przez otwarte drzwi odgłosy pracy w warsztacie. Ksiądz Bartłomiej poprosił Włocha, by poczekał na zewnątrz, i wszedł do środka. Baltazar był sam i za pomocą toporka ociosywał długą belkę. Dzień dobry, powiedział ksiądz, przyprowadziłem gościa, który chce zobaczyć maszynę. Kto to jest, Ktoś z pałacu, Chyba nie król, Pewnego dnia i on się zjawi, przed paroma dniami zapytał mnie na osobności, kiedy ujrzy maszynę w powietrzu, ale tym razem przyprowadziłem kogoś innego. A więc pozna naszą tak pilnie strzeżoną tajemnicę, tego nie przewidywała nasza umowa, po cóż więc milczeliśmy przez tyle lat, Ja jestem wynalazcą *passaroli* i ja decyduję o wszystkim, Ale to my ją budujemy, jeśli ksiądz sobie życzy, możemy sobie pójść. Baltazarze, nie wiem, jak ci to powiedzieć, ale jestem przekonany, że ta osoba zasługuje całkowicie na zaufanie, włożyłbym za nią rękę w ogień i oddałbym duszę w zastaw, Czy to kobieta, Nie, to mężczyzna, narodowości włoskiej, jest od paru miesięcy na dworze, to muzyk, uczy infantkę gry na klawesynie i jest kapelmistrzem królewskiej kaplicy, nazywa się Domenico Scarlatti, Szkarłat, co prawda nie jest to prawidłowa wymowa, ale to niewielka różnica, możesz więc nazywać go Szkarłat, tym bardziej że wszyscy tak właśnie go nazywają, i co więcej, uważają tę wymowę za prawidłową. Ksiądz skierował się w stronę drzwi, ale przystanął i zapytał, A gdzie Blimunda, Jest w ogrodzie, odpowiedział Baltazar.

Włoch skrył się w chłodnym cieniu rozłożystego platanu. Nie był zbyt zainteresowany otoczeniem, patrzył spokojnie na pozamykane okna pałacu, na porosły trawą gzyms, na rynnę z wodą, po której ślizgały się jaskółki goniące owady. Ksiądz Bartłomiej podszedł do niego z chustką wyciągniętą z kieszeni i powiedział z uśmiechem, Tylko z zawiązanymi oczami można zgłębiać tajemnicę, muzyk zaś odpowiedział tym samym tonem, A mimo to, ileż razy się od niej odwracamy, Tym razem tak nie będzie, panie Scarlatti, uwaga na próg, to ta wyższa płyta, a teraz, nim panu odsłonię oczy, chcę wyjaśnić, że mieszkają tu dwie osoby, pewien mężczyzna, zwany Baltazar Siedem Słońc, i pewna kobieta, Blimunda, którą z tej racji, że jest towarzyszką życia Siedmiu Słońc, nazwałem Siedem Lun, to oni właśnie realizują dzieło, które panu pokażę, wyjaśniam im, co mają robić, a oni to wykonują, teraz może pan już odwiązać chustkę, panie Scarlatti. Bez pośpiechu, z tym samym spokojem, z jakim obserwował jaskółki, Włoch zdjął opaskę.

Przed nim stał gigantyczny ptak z rozpostartymi skrzydłami, wachlarzowatym ogonem, długą szyją i jeszcze nieforemną głową, przez co nie było wiadomo, czy to ma być sokół, czy mewa. To o tę tajemnicę chodziło, spytał, Tak, do tej pory była to tajemnica trzech osób, a teraz już czterech, to właśnie jest Baltazar Siedem Słońc, Blimunda przyjdzie

niebawem, jest w ogrodzie. Włoch skłonił się lekko Baltazarowi, na co ten odpowiedział głębszym, choć niezdarnym ukłonem, jest przecież tylko mechanikiem, a w dodatku taki brudny, cały czarny od sadzy kuźniczej, tylko hak połyskuje od wyteżonej, nieprzerwanej pracy. Domenico Scarlatti podszedł do maszyny wspartej na poziomych podporach, położył rękę na jednym ze skrzydeł, zupełnie jakby to była klawiatura, i wówczas stała się rzecz dziwna, cały ptak zadrżał mimo swojego ciężaru, mimo drewnianego szkieletu, żelaznych prętów i wikliny, doprawdy, jeśli znajdzie się siła zdolna to wszystko unieść, to już dla człowieka nie będzie rzeczy niemożliwych, Te skrzydła są nieruchome, Owszem, są, Ale żaden ptak nie poleci bez poruszania skrzydłami, Baltazar odpowiedziałby na to, że wystarczy być ptakiem, żeby pofrunąć, ale ja powiem, że tajemnica latania nie tkwi w skrzydłach, I właśnie tej tajemnicy nie mogę poznać, Nie mogę wyjaśnić nic ponadto, co tu widać, Już za to jestem wdzięczny, ale skoro ten ptak ma polecieć, to jak się stąd wydostanie, przecież nie zmieści się w drzwiach.

Baltazar i ksiądz Bartłomiej spojrzeli po sobie z zakłopotaniem, a potem zwrócili się w stronę drzwi, w których właśnie stanęła Blimunda z koszem pełnym czereśni i odpowiedziała, W swoim czasie się buduje i w swoim czasie się burzy, kiedyś jakieś ręce ułożyły dachówkę na rym dachu, inne zaś go rozbiorą, być może razem ze ścianami, o ile zajdzie potrzeba. To właśnie jest Blimunda, powiedział ksiądz, Siedem Lun, dorzucił muzyk. Miała w uszach kolczyki z czereśni, chciała się w nich pokazać Baltazarowi, podeszła więc do niego podając z uśmiechem koszyk, Wenus i Wulkan, pomyślał muzyk, ale wybaczymy mu to klasyczne porównanie, nie miał przecież najmniejszego pojęcia o tym, jak naprawdę wygląda ciało Blimundy pod zgrzebnym ubiorem, a i Baltazar wbrew pozorom nie był po prostu usmolonym kowalem, na jakiego wyglądał, wszak Wulkan był kuternogą, on zaś jednoręki, podobnie zresztą jak Pan Bóg. Dodajmy jeszcze, że gdyby Wenus miała takie oczy jak Blimunda, piałaby na jej cześć wszystkie koguty świata, nie mówiąc już o tym, że czytałyby w rozkochanych sercach, zwykły śmiertelnik musi przecież w czymś przewyższać bóstwa, Baltazar też zresztą góruje nad Wulkanem, ów bóg bowiem stracił swoją boginię, ten mężczyzna zaś nie straci swojej kobiety.

Zasiedli wszyscy wokół koszyka, w którym kolejno zanurzali ręce, nie zważając zupełnie na konwenanse, bacząc jedynie, by nie przeszkadzać sobie wzajemnie, teraz właśnie sięga klockowata ręka Baltazara, chropowata niczym kora oliwki, następnie świątobliwa i miękka dłoń księdza Bartłomieja, później zwinne palce Scarlattiego i wreszcie dłoń Blimundy, powściągliwa i zniszczona, z brudnymi paznokciami, gdyż przed zbieraniem czereśni peła w warzywniku. Wszyscy rzucają pestki na ziemię, sam król będąc tam robiłby

to samo, takie właśnie drobiazgi świadczą o tym, że ludzie naprawdę są sobie równi. Czereśnie są wielkie, mięsiste, niektóre już podziobane przez ptaki, ciekawe, czy w niebie znajdzie się czereśniowy sad, gdzie — w stosownej porze — mógłby się pożywić ten ptak, co jeszcze nie ma głowy, ale czy okaże się mewą, czy sokołem, zarówno aniołowie, jak i wszyscy święci mogą być spokojni, że będą jeść nie tknięte czereśnie, gdyż, jak wiadomo, te ptaki gardzą roślinnym pożywieniem. Nie mogę wyjawić ostatecznej tajemnicy lotu, ale powiem panu to, co już nadmieniłem w petycji i w memoriale, a mianowicie, maszyna będzie się poruszać za sprawą właściwości przyciągających przeciwdziałających sile ciężenia, bo jeśli upuszczę tę pestkę, to spadnie ona na ziemię, cała więc trudność polega na znalezieniu czegoś, co uniesie ją w górę. I znalazł pan, Owszem, odkryłem tę tajemnicę, ale wyszukanie, pozбиieranie i zgromadzenie tego jest pracą dla nas trojga, Tworzycie więc ziemską trójcę, ojciec, syn i duch święty, Ja i Baltazar mamy tyle samo lat, trzydzieści pięć, a więc zgodnie z prawami przyrody nie moglibyśmy być ojcem i synem, prędzej braćmi, i to bliźniakami, ale znów on urodził się w Mafrze, a ja w Brazylii i zupełnie nie jesteśmy do siebie podobni, a co z duchem, duchem mogłaby być Blimunda, ona najbardziej nadawałaby się do uczestnictwa w jakiejś trójcy nie mającej ziemskiego charakteru, ja też liczę sobie trzydzieści pięć lat, ale urodziłem się w Neapolu, a więc nie możemy być trojczakami, a ile lat ma Blimunda, Dwadzieścia osiem i nie mam brata ani siostry, odparła Blimunda, w półmroku szopy jej oczy wydały się prawie białe i Domenico Scarlatti poczuł, jakby w duszy zadźwięczała mu najgrubsza struna harfy. Baltazar ostentacyjnie podniósł na haku prawie pusty koszyk i powiedział, Podwieczorek skończony, bierzemy się do pracy.

Ksiądz Bartłomiej przystawił do *passaroli* drabinę. Panie Scarlatti, może chce pan zobaczyć moją maszynę od wewnątrz. Weszli obydwaj, ksiądz trzymał w ręku rysunek i chodząc po pokładzie, zupełnie takim jak na statku, objaśniał rozmieszczenie i funkcje poszczególnych elementów, drutów z bursztynem, kul, żelaznych prętów, powtarzając, że wszystko to będzie działać na zasadzie wzajemnego przyciągania, ale nic nie wspomniał o słońcu ani o zawartości kul, toteż muzyk zapytał, A przez co będzie przyciągany bursztyn, Może przez Boga, w którym mieszka wszelka siła, odrzekł ksiądz, A co będzie przyciągał bursztyn, To co będzie we wnętrzu kul, I to właśnie jest ta tajemnica, Tak, to jest ta tajemnica, Jest to minerał, roślina czy zwierzę, Ani minerał, ani roślina, ani zwierzę, Ale wszystko jest albo minerałem, albo rośliną, albo zwierzęciem, Nie wszystko, istnieją jeszcze inne rzeczy, na przykład muzyka, Ojciec Bartłomieju de Gusmao, chyba nie chce ksiądz powiedzieć, że te kule będą zawierały muzykę, Nie, ale kto wie, czy nie byłaby ona w stanie unieść mojej maszyny, muszę o tym pomyśleć, prawdę powiedziałem, mało brakuje, żebym ja sam uleciał

w przestworza, gdy słyszę pana grę na klawesynie, To chyba żart, Niezupełnie, panie Scarlatti.

Włoch wyjechał pod wieczór. Ksiądz Bartłomiej został na noc, chciał skorzystać z okazji i przeciwiczyć kazanie, gdyż do obchodów Bożego Ciała zostało już tylko parę dni. Żegnając muzyka powiedział, Panie Scarlatti, jeśli znudzi pana królewski dwór, niech pan nie zapomina o tym miejscu, Z pewnością nie zapomnę, a jeśli Baltazarowi i Blimundzie nie przeszkadzałoby to w pracy, chciałbym przywieźć tu klawesyn, żeby grać dla nich i dla *passaroli*, może moja muzyka będzie harmonizować z tym tajemniczym pierwiastkiem w kulach, Panie Szkarłat, wtrącił porywczo Baltazar, może pan przyjeżdżać, skoro jego świątobliwość ksiądz Bartłomiej pozwala, ale, Ale co, Rękę zastępuje mi ten hak albo szpikulec, a na sercu noszę nakreślony krwią krzyż, Moją krwią, dorzuciła Blimunda, Będę waszym bratem, powiedział Scarlatti, o ile wam to odpowiada. Baltazar wyszedł z nim, pomógł mu dosiąść mulicy, Panie Szkarłat, jeśli by panu była potrzebna pomoc przy transporcie klawesynu, to wystarczy tylko powiedzieć.

Zapadła noc, ksiądz Bartłomiej zjadł wieczerzę w towarzystwie Baltazara i Blimundy, solone sardynki, jajecznica, dzban wody, twardy razowy chleb. Dwie lampy oliwne słabo oświetlały szopę. Ciemności zdawały się kłębić po kątach, nacierając i cofając się w rytm chybotania małych, bladych płomyków. Cień *passaroli* poruszał się na białej ścianie. Noc była upalna, przez otwarte drzwi ponad dachem pałacu widać było gwiazdy na wklęsłym niebie. Ksiądz wyszedł na podwórze, odetchnął głęboko i zapatrzył się w świetlistą drogę przecinającą całe sklepienie niebieskie, to droga do Santiago de Compostela, a może raczej to oczy pielgrzymów, które od usilnego wpatrywania się w niebo zostawiły na nim swój blask. Bóg jest jeden i w jednej osobie, krzyknął nagle ksiądz Bartłomiej. Zwabieni tym krzykiem Baltazar i Blimunda stanęli w drzwiach, wprawdzie nie dziwiły ich już deklamacje księdza, ale do tej pory jeszcze nie zdarzyło się, by kierował ku niebu tak gromkie wołania. W chwili ciszy, jaka nastąpiła, słychać było tylko granie świerszczy, wnet jednak ponownie rozległ się jego głos, Bóg jest jeden, ale w trzech osobach. Ani po pierwszej, ani po drugiej wypowiedzi nic się nie zdarzyło. Ksiądz Bartłomiej wrócił do szopy i powiedział, Wygłosiłem dwa sprzeczne stwierdzenia, które według was jest prawdziwe, Ja tam nie wiem, odparł Baltazar, Ja też nie, odrzekła Blimunda, ksiądz zaś powtórzył, Bóg jest jeden i w jednej osobie, Bóg jest jeden, ale w trzech osobach, gdzie jest prawda, a gdzie fałsz, Nie wiemy, powiedziała Blimunda, i nie rozumiemy tych słów, Ale wierzysz w Trójcę Przenajświętszą, w Ojca, Syna i Ducha Świętego, mam na myśli tę, o której naucza Kościół Święty, a nie tę, o której mówi Włoch, Wierzę, A zatem dla ciebie Bóg jest w trzech osobach, Zgadza się, A jeśli bym ci teraz

powiedział, że Bóg jest tylko jedną osobą, że był sam, kiedy tworzył świat i ludzi, czy uwierzyłybyś mi, Jeśli ksiądz mówi, że tak jest, to wierzę, Mówię ci tylko, uwierz, ale sam nie wiem w co, nie mów nikomu o tym, co teraz usłyszałaś, A jakie jest twoje zdanie, Baltazarze, Odkąd zająłem się budową latającej maszyny, przestałem myśleć o tych rzeczach, czy Bóg jest jeden, czy też potrójny albo nawet poczwórny, to przecież wszystko jedno, może jest on jedynym żołnierzem, jaki został przy życiu ze stutysięcznej armii, stąd też jest zarazem szeregowym, kapitanem i generałem, a ponadto jest bezręki, jak mi już kiedyś wyjaśniono i w co uwierzyłem, Piłat spytał Jezusa, co jest prawdą, a on nie odpowiedział, Może wówczas było jeszcze za wcześnie na tę odpowiedź, powiedziała Blimunda i usiadła obok Baltazara na kamieniu obok drzwi, na tym samym, gdzie czasem się iskali, teraz zaś odwiązała mu ramię mocujące hak i okaleczoną rękę położyła sobie na kolanach, chcąc ulżyć temu wielkiemu i nieuleczalnemu cierpieniu.

Et ego in illo, te słowa ksiądz Bartłomiej wypowiedział już w szopie, obwieszczając w ten sposób temat kazania, ale dziś nie przywiązywał wagi do efektów głosowych, do potocznych tremolo, które wzruszyłyby słuchaczy, do grzmiących napomnień, do wymownych pauz. Wypowiadał słowa wcześniej spisane i te, które teraz przychodziły mu do głowy i były zaprzeczeniem tamtych, podawały je w wątpliwość bądź nadawały im inny sens. *Et ego in illo*, tak, ja jestem w nim, ja, Bóg, w nim, w człowieku, we mnie, który jestem człowiekiem, jesteś ty, któryś jest Bogiem, Bóg mieści się w człowieku, ale jak Bóg może zmieścić się w człowieku, skoro Bóg jest ogromny, a człowiek tylko małą częścią jego stworzenia, odpowiedź jest taka, że Bóg jest w człowieku poprzez sakrament, to jasne, ale jeśli jest w człowieku poprzez sakrament, trzeba, żeby człowiek go przyjął, a więc Bóg nie jest w człowieku, kiedy zechce, ale wtedy gdy człowiek zechce go przyjąć, w świetle tego, co zostało powiedziane, można założyć, że w jakiejś mierze stwórca jest stworzony przez człowieka, jak wielka zatem niesprawiedliwość spotkała Adama, który nie miał w sobie jeszcze Boga, gdyż nie było wówczas sakramentu, mógł więc Adam sprzeciwić się Bogu, który za ten jeden jedyny grzech zabronił mu jeść z drzewa życia i na zawsze zamknął przed nim bramy raj, a przecież potomkowie tegoż Adama, popełniający znacznie więcej, i w dodatku cięższych grzechów, mają w sobie Boga i jedzą z drzewa życia bez najmniejszych wątpliwości czy przeszkód, jeśli więc Adam został ukarany za to, że chciał być podobny Bogu, to dlaczego ludzie, którzy teraz mają w sobie Boga, nie są karani, a może karani nie są, bo nie chcą go przyjąć, ale też jednakowo absurdalne jest chcieć jak i nie chcieć przyjąć Boga, jedno i drugie jest przecież niemożliwe, a mimo to *Et ego in illo*, Bóg jest we mnie albo Bóg we mnie nie jest, jak się połapać w tej gmatwaninie twierdzeń i negacji, twierdzeń, które

są negacjami, i negacji, które są twierdzeniami, sprzeczne zbieżności, zbieżne sprzeczności, jak tu bezpiecznie przejść po ostrzu brzytwy, a zatem reasumując można powiedzieć, że zanim Chrystus stał się człowiekiem, Bóg znajdował się poza człowiekiem i nie mógł być w nim, dopiero później, przez sakrament w nim zamieszkał, przez co człowiek stał się prawie Bogiem, a może nawet jest samym Bogiem, tak, tak, jeśli Bóg jest we mnie, ja jestem Bogiem, jestem nim nie w trzech czy czterech osobach, ale w jednej, w jedności z Bogiem, my Bóg, on mną, ja nim, *Durus est hic sermo, et quis potest cum audire.*

Noc stawała się coraz chłodniejsza. Blimunda zasnęła z głową wspartą na ramieniu Baltazara. Po jakimś czasie zaprowadził ją do środka i położyli się. Ksiądz wyszedł na podwórzec, gdzie spędził całą noc stojąc i patrząc w niebo, które najwyraźniej wodziło go na pokuszenie, bo przez cały czas coś do siebie szeptał.

Po kilku miesiącach pewien zakonnik, konsultant cenzury Świętego Oficjum, napisał w recenzji kazania, że tego rodzaju tekst budzi raczej uznanie niż obawy, raczej podziw niż wątpliwości. Jednak mimo wszelkiego uznania i podziwu brat Manuel Wilhelm musiał najwidoczniej poczuć się jakoś nieswojo i zaleciało mu chyba trochę herezję, skoro nie mógł się powstrzymać od napomknięcia o obawach i wątpliwościach, jakie go opadły podczas zbożnej lektury. Inny zaś wielebny ksiądz magister, Antoni Caetano de Sousa, gdy przyszła jego kolej na ocenzurowanie kazania, stwierdził, że tekst nie zawiera nic sprzecznego ze świętą wiarą i dobrymi obyczajami, nie budzi wątpliwości i obaw, które, jak się wydaje, nękały pierwszą instancję, i na zakończenie podkreślił życzliwość, jaką doktorowi Bartłomiejowi Wawrzyńcowi de Gusmao okazuje się na dworze, i tym dwornym argumentem rozwiął ostatecznie wszelkie doktrynalne niejasności, które być może wymagały dokładniejszego rozpatrzenia. Ostatnie słowo należało wszakże do księdza Bonawentury od św. Gwidona, królewskiego cenzora, który rozpluwając się w pochwałach i zachwytach orzekł, że tylko głos milczenia mógłby się okazać wymowniejszy nad jego słowa, a zatem ograniczy swoją wypowiedź, przydając jej tym sposobem większej wagi i rewerencji, w tej sytuacji my, którzy znamy większą część prawdy, powinniśmy zapytać, jakie to inne grzmiące głosy lub straszna cisza będą odpowiedzią na słowa, które ksiądz kierował ku gwiazdom owej nocy na folwarku księcia Aveiro, kiedy Baltazar i Blimunda spali po nużącym dniu, a *passarola* stojąca w ciemnej szopie wysilała wszystkie swoje żelastwa, by zrozumieć, o czym mówił na zewnątrz jej twórca.

Na jawie ksiądz Bartłomiej Wawrzyniec ma trzy, o ile nie cztery różne wcielenia, ale we śnie jest tylko jedną osobą, choć więc miewa rozmaite sny, po przebudzeniu się nie jest w stanie ustalić, czy w nocnych majakach występował jako ksiądz wchodzący po stopniach ołtarza i prawidłowo odprawiający mszę, czy jako członek akademii tak szacowny, że król incognito, ukryty w niszy za kotarą, przysłuchuje się jego przemówieniu, czy jako wynalazca latającej maszyny oraz różnych sposobów wylewania wody z ciekących statków bez użycia pracy ludzkich rąk, czy też może po prostu jest człowiekiem o złożonej osobowości, nękanym przez obawy i wątpliwości, kaznodzieją w kościele, uczonym w akademii, dworakiem w pałacu, wizjonerem i bratem prostych wyrobników w Sao Sebastiao da Pedreira, który w snach rozpaczliwie stara się odnaleźć swoją kruchą i niepewną jedność, rozsypującą się wraz z otwarciem oczu, nie musi nawet być na czczo tak jak Blimunda. Zarzucił lekturę uczonych doktorów Kościoła, kanonistów oraz scholastyków rozprawiających o istocie i osobach, miał wrażenie, że jego dusza już wyczerpała wszystkie słowa, ale jako że człowiek jest jedynym

zwierzęciem, które mówi i czyta, o ile go tego uczą w wieku, gdy jeszcze brakuje mu wielu lat, by stać się człowiekiem, ksiądz Bartłomiej Wawrzyniec wertuje i studiuje dokładnie Stary Testament, szczególnie pięć pierwszych ksiąg, czyli Pięcioksiąg przez Żydów nazywany Torą, a także Koran. Blimunda mogłaby we wnętrzu ciała każdego z nas zobaczyć wszystkie organa, a także wolę, ale nawet ona nie potrafi czytać myśli, zresztą nawet by ich nie zrozumiała, bo też widok myślącego człowieka, który w jednej myśli potrafi zawrzeć dwie zupełnie sprzeczne ze sobą prawdy, może przyprawić o obłąd, mogłaby więc zwariować, gdyby to zobaczyła, jemu zaś to grozi, gdyż tak właśnie myśli.

Muzyka to co innego. Domenico Scarlatti sprowadził do szopy klawesyn, nie dźwigał go sam, ale dwóch tragarzy, wyposażonych w drągi, sznury i krążki na głowie, obydwaj też porządnie się napocili przy przeniesieniu go z ulicy Nowokupieckiej, gdzie go kupiono, do Sao Sebastiao da Pedreira, gdzie będzie rozbrzmiewał, towarzyszył im Baltazar wskazując drogę, nie chcieli od niego żadnej pomocy, bo też przenoszenie takich rzeczy to specjalna sztuka, trzeba umieć rozłożyć ciężar, zespolić wysiłek, jak w piramidzie tańczących akrobatów, wykorzystać kołysanie sznurów i drąga do wyrównania kroku, no cóż, każdy zawód ma swoje tajemnice, a każdy fachowiec uważa, że jego są najważniejsze. Tragarze zostawili klawesyn przed szopą, tylko tego brakowało, żeby zobaczyli latającą maszynę, do środka instrument wniesiony został przez Baltazara i Blimundę, którzy nie mało się przy tym natrudzili, i to nie tyle z powodu ciężaru, lecz dlatego że nie umieli się do tego należycie zabrać, a w dodatku dźwięczące struny jakby się skarżyły, od czego ścisnęły się im serca, poruszone i przestraszone tak wielką wrażliwością. Tego samego dnia po południu przyjechał Domenico Scarlatti i zaraz zasiadł do strojenia klawesynu, podczas gdy Baltazar plół wiklinę, a Blimunda szyła żagle, obydwie prace nie powodowały żadnego hałasu i nie przeszkadzały muzykowi. A gdy skończył strojenie, dopasował obluźowane podczas transportu młoteczki i sprawdził jedno po drugim kacze pióra, zaczął grać, najpierw przebiegał palcami po klawiszach, jakby uwalniając uwiecznione dźwięki, następnie łączył je w krótkie sekwencje, jakby wybierając między udanymi i nieudanymi, między formą harmonijną i chaotyczną, między frazą i jej częścią, by wreszcie ująć w nową wypowiedź wszystko to, co wprzód wydawało się fragmentaryczne i nieskładne. Baltazar i Blimunda mało się znali na muzyce, do tej pory dane im było słyszeć tylko pienia zakonników, grzmiące tony *Te Deum*, popularne przyśpiewki wiejskie i miejskie, każde z nich inne, nigdy natomiast nie słyszeli czegoś, co przypominałoby dźwięki, jakie Włoch wydobywał z klawesynu, brzące zarazem jak dziecinne zabawy i jak gwałtowne wyrzuty, mogące zatem wyrażać równie dobrze igraszki aniołów, jak i gniew Boga.

Po jakiejś godzinie Scarlatti wstał od klawesynu, przykrył go żaglowym płótnem, po czym zwrócił się do Baltazara i Blimundy, którzy przerwali pracę, Jeśli *passarola* księdza Bartłomieja de Gusmao wzbije się pewnego dnia w powietrze, chciałbym nią polecieć i grać w niebie, na co Blimunda odparła, Jeśli maszyna poleci, całe niebo będzie muzyką, Baltazar zaś, wspominając wojnę dorzucił, O ile całe niebo nie jest piekłem. Tych dwoje nie umie czytać ani pisać, a mimo to mówią rzeczy zupełnie nie pasujące do miejsca i czasu, ale jeśli wszystko na świecie ma swoje wytłumaczenie, spróbujmy i to wytłumaczyć, skoro jednak w tej chwili jeszcze nie potrafimy, zostawmy na kiedy indziej. Wiele razy przyjeżdżał Scarlatti na folwark księcia Aveiro, nie zawsze nawet grywał, czasami jednak prosił ich, aby nie przerywali hałaśliwych zajęć i wówczas wśród odgłosów kucia, huku młota spadającego na kowadło i syku wody kipiącej w kadzi, wśród zgiełku wypełniającego szopę ledwie można było odróżnić dźwięki klawesynu, a mimo to on najspokojniej w świecie tworzył swoją muzykę, jakby otaczała go wielka cisza przestworzy, gdzie pragnął kiedyś zagrać. Każdy z nas ma swoją własną drogę wiodącą ku łasce, czymkolwiek by ona była, krajobrazem ze skrawkiem nieba, jakąś chwilą za dnia czy w nocy, dwoma drzewami, jeśli rembrandtowskie, to trzy, czy może jakimś szeptem, ale ani nie wiemy, gdzie i kiedy ta nasza droga się kończy lub zaczyna, ani dokąd prowadzi, czy do innego krajobrazu, chwili, drzewa lub szeptu, bo weźmy tego księdza, który stara się wyrwać z siebie jednego Boga i zastąpić go innym, zupełnie nie wiedząc, co mu to da, czy w ogóle to coś da, a jeśli tak, to kto koniec końców na tym skorzysta, albo weźmy tego muzyka, który nie potrafiłby komponować innej muzyki niż ta, jaką komponuje, za sto lat nie będzie go już wśród żywych i nie usłyszysz pierwszej symfonii ludzkości, błędnie nazwanej Dziewiątą, weźmy też tego jednorękiego żołnierza, który jak na ironię losu konstruuje skrzydła, choć służył wyłącznie w piechocie, człowiek nigdy nie wie, co go czeka, a ten to już zupełnie tego nie podejrzewa, albo weźmy tę kobietę, o nadmiernej zdolności widzenia, która urodziła się po to, by odkryć w człowieku wolę, toteż jej wcześniejsze widzenia raka, uduszonego płodu i srebrnej monety były zaledwie drobnymi sztuczkami i kuglarstwem, gdyż dopiero teraz czeka ją wielkie życiowe zadanie, bo oto zjawił się na folwarku ksiądz Bartłomiej Wawrzyniec i przyniósł wiadomość, że w Lizbonie grasuje zaraza, w każdym domu umierają ludzie, Pomyślałem więc, Blimundo, że nigdy nie nadarzy się lepsza okazja, żeby zebrać wolę konających, o ile ją jeszcze mają, ale moim obowiązkiem jest cię ostrzec, że jest to niebezpieczne zajęcie, możesz zatem nie iść, jeśli nie chcesz, nie będę cię zmuszać, nie mam do tego żadnego prawa, Co to za choroba, Mówią, że przywłókł ją jakiś statek z Brazylii i pierwsze przypadki miały miejsce w Ericeirze. To blisko moich stron, powiedział Baltazar, a ksiądz odrzekł, W Mafrze nie było dotychczas wypadków

śmiertelnych, ale jeśli idzie o tę chorobę, to z objawów przypomina czarne wymioty, zwane też żółtą febrą, zresztą mniejsza o nazwę, chodzi o to, że ludzie mrą jak muchy, co zamierzasz zrobić, Blimundo. Blimunda wstała z pieńka, na którym siedziała, uniosła wieko kufra i z jego wnętrza wyjęła szklany flakonik, ile też ludzkiej woli mogło w nim być, może od jakichś stu osób, to prawie nic w stosunku do potrzeb, a przecież był to owoc długiego i uciążliwego polowania, wielu głodówek, błędzenia w labiryncie, gdzie jest ta wola, zupełnie jej nie widzę, same tylko żyły i kości, rozedrgana sieć nerwów, morze krwi, maziowate jedzenie w żołądku, ekskrementy, Pójdiesz, spytał ksiądz, Pójdę, odpowiedziała, Ale nie sama, dorzucił Baltazar.

Następnego dnia wczesnie rano, a pora była deszczowa, Baltazar i Blimunda opuścili folwark, ona była na czczo, on zaś niósł w sakwie pożywienie dla obydwójga, by mogli się pokrzepić w chwili, gdy Blimunda z powodu osłabienia lub też zadowalających zbiorów będzie mogła lub musiała coś zjeść. Tego dnia przez wiele godzin Baltazar nie ujrzy twarzy Blimundy, będzie zawsze szła przodem, ostrzegając go, w razie konieczności odwrócenia się, dziwnie jakoś się zabawiają ci dwoje, jedno nie chce, by nań patrzeć, drugie też unika patrzenia, ale tylko oni wiedzą, ile ich to kosztuje, że na siebie nie patrzą. Dlatego też dopiero pod koniec dnia, kiedy Blimunda już się posili i jej oczy staną się zwyczajnie ludzkie, Baltazar poczuje, że budzi się jego zdrętwiałe ciało, nie tyle zmęczone całodziennym chodzeniem, co tym, że nie patrzyła na niego.

Zanim jednak to nastąpi, Blimunda odwiedzi wielu konających. Gdziekolwiek przyjdzie, witają ją słowa uznania i wdzięczności, nie pytają nawet, czy jest krewną, czy przyjaciółką, czy mieszka przy tej samej ulicy, czy w drugim końcu miasta, a jako że w tym kraju powszechnie praktykuje się dobroczynność, czasem nawet nikt nie zwraca na nią uwagi, bo pokój chorego jest pełen ludzi, w korytarzu też tłoczno, na schodach bezustanny ruch w tę i z powrotem, a to ksiądz z ostatnim namaszczeniem idący do lub od chorego, a to medyk, o ile warto było go wzywać i czym zapłacić, a to cyrulik puszczałający krew, który chodzi od domu do domu ostrząc brzytwy, nikt więc nie zwraca uwagi na złodziejkę ze szklanym flakonikiem ukrytym w chustach, na dnie którego tkwi żółty bursztyn, do niego zaś skradzione gęste obłoki lgną jak pszczoły do miodu. Między Sao Sebastiao da Pedreira i Ribeirą Blimunda weszła do trzydziestu dwóch domów, zebrała dwadzieścia cztery gęste obłoki, sześciu chorych już ich nie miało, może stracili je już dawno, dwa zaś tak kurczowo trzymały się ciała, że chyba tylko śmierć mogła je stamtąd wyrwać. W pięciu innych domach, które odwiedziła, nie było już ani woli, ani duszy, jedynie martwe ciało, trochę łez lub głośnie zawodzenia.

W celu odstraszenia zarazy palono wszędzie rozmaryn, na ulicach, przed progami domów, a przede wszystkim w pokojach chorych powietrze było niebieskawe od dymu, aromatyczne, nikt by nie poznał smrodliwego miasta z dawnych zdrowych czasów. Wielkim popytem cieszyły się języki św. Pawła, to takie kamyki w kształcie ptasich języczków, które znaleźć można na plaży między Sao Paulo i Santos, i czy to dlatego że miejsce jest święte samo z siebie, czy też uświęcają je nazwy rzeczonych miejscowości, dość że jest powszechnie wiadome, iż owe kamyki oraz inne, okrągłe, wielkości ziarna włoskiego grochu, odznaczają się nadzwyczajnymi właściwościami leczniczymi właśnie w przypadku febry tyfusowej, gdyż będąc zlepkiem niesłychanie drobnego proszku, mogą zarówno łagodzić nadmierną gorączkę, jak biegunkę, a czasami wywołać poty. Ten właśnie proszek otrzymywany przez mielenie kamieni jest niezawodny przeciwko truciznie, nieważne jakiej i jak podanej, osobliwie zaś w przypadkach ukąszeń jadowitych gadów, wystarczy przyłożyć na ranę język św. Pawła albo ziarno włoskiego grochu i jad zostaje wyspany w mgnieniu oka. Stąd też nazywa się te kamienie również okiem żmii.

Wobec istnienia tak zbawiennych leków dziwnym wydaje się, że ludzie wciąż umierają, Lizbona musiała chyba ciężko zgrzeszyć przeciwko Bogu, skoro w ciągu trzech miesięcy epidemia zabrała cztery tysiące osób, co oznacza, że każdego dnia trzeba było grzebać ponad czterdzieści trupów. Plaże zostały całkiem ogołoczone z kamieni, natomiast języki zmarłych na zawsze umilkły, nie mogą więc powiedzieć, że to lekarstwo też by ich nie wyleczyło. A gdyby nawet padły takie słowa, byłyby jedynie dowodem ich zatwardziałości, bo cóż w tym dziwnego, że kamienie mogą leczyć tyfus tylko dlatego, że zostały sproszkowane i dodane do kordiału lub rosołu, głośna przecież jest historia matki Teresy od Zwiastowania, co to pewnego dnia robiła kandyzowane owoce i zabrakło jej cukru, posłała więc do sąsiedniego klasztoru, ale tamtejsza siostra odpowiedziała, że wprawdzie ma cukier, ale nieodpowiedni, nawet nie warto go brać, matka Teresa załamała wtedy ręce, sama nie wiem, co ze sobą zrobię, otóż wiem, zrobię karmelki, co jak wiadomo jest duże prostsze, wzięła się zatem do robienia karmelków, nie z siebie, ma się rozumieć, ale z cukru, jednak kiedy syrop już stosownie zgęstniał, stał się grudkowaty i tak żółty, że bardziej przypominał żywice niż jadalne łakocie, zupełna rozpacz, nie było już innej rady, jak zwrócić się do Pana i przypomnieć mu o jego obowiązkach, co czasem skutkuje, pamiętamy wszak historię świętego Antoniego i srebrnych lamp. Wiesz dobrze, Panie, że nie mam więcej cukru, ani skąd go wziąć, a w końcu to praca dla ciebie, nie dla mnie, raczysz zatem postąpić, jak uznasz za stosowne, ty wszystkim rządysz, nie ja, co rzekłszy pomyślała jeszcze, że same napomnienia może nie wystarczą, odcina więc kawałek sznura przewijającego szatę Pana i

wrzuca go do rondla, wtedy trzask prask, cukier z żółtego i grudkowego staje się biały i puszysty, karmelki wyszły takie, że najstarsze zakonnice nie pamiętają, proszę, poczęstuj się. A jeśli dziś nie zdarzają się cuda przy wyrobie słodczy, to tylko dlatego że dawno już brak sznura, który po kawałeczku rozdzielono między wszystkie kongregacje siostr i cukierniczek, to były czasy, ale minęły bezpowrotnie.

Baltazar i Blimunda, zmordowani długą wędrówką i całodziennym chodzeniem po schodach, wrócili wreszcie na folwark, siedem gasnących słońc i siedem bladych lun, Blimundę męczyły nieznośne mdłości, jakby wróciła z pola bitwy usłanego tysiącami ciał zmasakrowanych przez artylerię, Baltazarowi zaś wystarczyło pomyśleć jednocześnie o wojnie i o rzeźni, by wyobrazić sobie to, na co się napatrzyła Blimunda. Położyli się spać, lecz tej nocy ich ciała nie pragnęły się, i to nie tyle z powodu zmęczenia, dobrze przecież wiemy, że ono jest nieraz dobrym doradcą zmysłów, co z powodu jakiejś nadmiernej świadomości organów wewnętrznych, które jakby odczuwali na powierzchni skóry, trudno to wytłumaczyć, ale w każdym razie to właśnie poprzez skórę ciała się rozpoznają i wzajemnie akceptują, a jeśli nawet niektóre intymne kontakty zachodzą między skórą a błoną śluzową, to prawie nie zauważa się żadnej różnicy, bo jest to jakby szukanie i odnalezienie jakiejś praskóry. Zasnęli obydwójce pod starą derką, nawet się nie rozebrali, dziw doprawdy bierze, że tak wielkie zadanie zostało poruczone parze włóczęgów, którzy w dodatku teraz, gdy już stracili świeżość młodości, wyglądają niczym kamienie z fundamentu, czarne od ziemi i przytłoczone ciężarem tego, co muszą dźwigać. Tej nocy księżyc wzeszedł późno, gdy oni już spali, nie widzieli przeto, jak sącząca się przez szpary księżycowa poświata wędrująca powoli przez całą szopę oświetliła latającą maszynę i przelotnie musnęła szklany flakonik, w którym wyraźnie zarysowały się gęste obłoki, może ujawniły się dlatego, że nikt na nie nie patrzył, a może księżycowe światło ma moc wydobywania na jaw rzeczy niewidzialnych.

Ksiądz Bartłomiej był bardzo rad z pierwszego wypadu, wyruszyli przecież na chybił trafił w miasto nękane chorobą i pogrążone w żałobie i od razu do rejestru przybyły dwadzieścia cztery gęste obłoki. Po miesiącu obliczyli, że flakonik zawiera już około tysiąca obłoków, co ksiądz uznał za wystarczającą siłę nośną dla jednej kuli, wręczył więc Blimundzie drugi flakonik. Niebawem cała Lizbona mówiła o tym mężczyźnie i o tej kobiecie przemierzających miasto wzdłuż i wszerz i nie okazujących lęku przed epidemią, on zawsze z tyłu, ona na przedzie, a czy to na ulicach, którymi kroczą, czy w domach, gdzie nie bawią długo, obydwójce niezmiennie milczą, ona zaś spuszcza oczy, ilekroć musi obok niego przejść, ta powtarzająca się dzień w dzień historia nie wzbudziła poważniejszych podejrzeń jedynie dlatego, iż rozeszły się słuchy, jakoby odprawiali w ten sposób pokutę, co było fortem

wymyślonym przez księdza Bartłomieja, który dzięki niemu zażegnał pierwsze niepokojące pogłoski. Gdyby miał odrobinę więcej fantazji, mógłby z tej tajemniczej pary zrobić wysłanników niebios, przynoszących lekkie skonanie i swoją obecnością wzmacniających działanie ostatniego namaszczenia, osłabione zresztą przez ciągły użytek. Jeśli bowiem wystarcza byle błahostka, by zrujnować człowiekowi reputację, to także byle błahostka ją tworzy i naprawia, trzeba tylko znaleźć właściwą drogę do łatwowiernych lub ciekawskich, którzy przez to, że jak echo powtarzają daną wiadomość, stają się bezwiednymi współnikami.

Wraz z ustaniem epidemii zmniejszyła się liczba zgonów, jednak ludzie nagle zaczęli umierać na co innego, toteż we flakonikach zebrało się dobrych dwa tysiące gęstych obłoków. Wtedy Blimunda zachorowała. Nic ją nie bolało, nie miała też gorączki, tylko bardzo wychudła i stała się tak blada, że jej skóra wydawała się wprost przezroczysta. Leżała nieruchomo na sienniku z zamkniętymi oczami, tak w dzień, jak w nocy, nie był to jednak ni sen, ni odpoczynek, gdyż powieki miała zaciśnięte i twarz stężała niby w agonii. Baltazar jej nie odstępował, chyba że był zmuszony przygotować jedzenie lub załatwić potrzeby naturalne, bo przecież nie wypadało robić tego na miejscu. Ksiądz Bartłomiej całymi godzinami przesiadywał nieruchomo na pieńku, pogrążony w ponurej zadumie. Czasem wydawało się, że odmawia modlitwy, lecz nie można było zrozumieć, co szeptał i do kogo te szepty kierował. Przystał ich spowiadać i gdy Baltazar dwukrotnie coś napomknął o gromadzących się grzechach, które się później zapomina, ksiądz odrzekł, że Bóg czyta w ludzkich sercach i nie potrzebuje, by ktoś w jego imieniu rozgrzeszał, a jeśli grzechy są tak ciężkie, że zasługują na karę, to Bóg niebawem ją ześle, jeśli taka będzie jego wola, lub też osądzi je w stosownym miejscu, kiedy nastanie kres wszystkiego, o ile przedtem dobre uczynki nie wyrównają złych, a może też się zdarzyć, że wszystko zostanie załatwione przez powszechne odpuszczenie lub powszechne potępienie, trzeba jeszcze tylko wyjaśnić, kto ma wybaczyć Panu Bogu, albo go ukarać. Spoglądając na śmiertelnie wycieńczoną i nieobecną duchem Blimundę, ksiądz gryzł palce z bólu i wyrzucał sobie, że tak długo kazał jej obcować ze śmiercią, aż jej własne życie musiało w końcu ulec, co było wyraźnie widać, tej dziwnej pokusie przejścia na drugą stronę bez najmniejszego bólu, jakby nie chcąc już dłużej trzymać się brzegów świata szła bezwolnie na dno.

Co wieczór w drodze powrotnej do miasta, gdy schodził ciemnymi ścieżkami ku Santa Maria i Valverde, ksiądz żywił gorączkową nadzieję, że może napadną go bandyci lub nawet sam Baltazar z zardzewiałą szablą czy śmiercionośnym szpikulcem, by pomścić Blimundę, w ten sposób wszystko by się skończyło. Lecz o tej porze Siedem Słońc leżał już u boku Blimundy, tulił ją zdrową ręką i szeptał jej imię, które długo wędrowało przez ogromną,

mroczną i pełną cieni pustynię, by dopiero po długiej chwili dotrzeć do miejsca przeznaczenia, a wtedy po równie długo trwającej drodze powrotnej, po mozolnym przedzieraniu się przez cienie, na usta z trudem wydobywał się szept, Baltazarze, z zewnątrz dochodził szum drzew, od czasu do czasu krzyk nocnego ptactwa, błogosławiona niech będzie noc, której płaszcz otula i chroni zarówno piękno, jak i brzydotę, bez najmniejszej różnicy, witaj, odwieczna, niezmienna nocy. Oddech Blimundy uległ zmianie, to znak, że usnęła, a więc i wyczerpany troską Baltazar może pogrążyć się we śnie, by odnaleźć śmiech Blimundy, trudno sobie wyobrazić, co by z nami było, gdyby nie sny.

Podczas całej choroby, o ile to w ogóle była choroba, a nie długotrwały powrót woli, która zaszyła się w najdalszych zakamarkach ciała, wielokrotnie przyjeżdżał Domenico Scarlatti, z początku były to tylko krótkie odwiedziny Blimundy, której zdrowie wciąż nie ulegało poprawie, później zaś zaczął zostawać dłużej gawędząc z Baltazarem, aż wreszcie pewnego dnia zdjął z klawesynu żaglowe płótno i zaczął grać, była to łagodna, słodka muzyka, ledwie wydobywająca się z lekko trącanych strun, niby delikatny szmer skrzydlatego owada, którzy to szybkuje nieruchomo, to nagle wzbija się w górę, by po chwili znów opaść, nie miała ona nic wspólnego z ruchami palców, które jakby wzajem się goniły po klawiszach, niemożliwe jednak, aby to one były źródłem tych dźwięków, klawiatura bowiem ma pierwszy i ostatni klawisz, ta muzyka zaś jest bez początku i bez końca, płynie z zaświatów leżących po mojej lewicy i ulatuje w te, które leżą po prawicy, przynajmniej muzyka ma obydwie ręce, nie tak jak niektórzy bogowie. Niewykluczone, że właśnie takiego lekarstwa oczekiwała Blimunda, a może tylko jakaś część jej jestestwa, zdolna jeszcze na cokolwiek czekać, gdyż świadomie każdy z nas czeka tylko na to, co zna, lub takowym mu się wydaje, czeka się też na coś, co według innych jest pożyteczne w danych okolicznościach, na przykład puszczenie krwi, ale na to była zbyt słaba, język św. Pawła, ale podczas epidemii plaże zostały dokładnie wyczyszczone, kilka jagód psianki, parę czopków Gordonia, korzeń mikołajka polnego, eliksir Francuza, o ile wszystko to razem nie jest nieszkodliwą miksturą, której jedyną zaletą jest to, że nie może zaszkodzić. Nie przypuszczała, że na dźwięki muzyki pierś jej wzbierze głębokim westchnieniem, jakie wydaje się tylko w chwili narodzin lub śmierci, toteż Baltazar pochylił się nad nią pełen niepokoju, myśląc, że odchodzi, podczas gdy w istocie nareszcie wracała. Tym razem Domenico Scarlatti został na noc i grał przez wiele godzin, aż wreszcie o świcie Blimunda już leżała z otwartymi oczami, z których wolno spływały łzy, gdyby jakiś lekarz to zobaczył, zapewne powiedziałby, że dzięki nim nastąpiło oczyszczenie humorów po urazie nerwu wzrokowego i może miałyby rację, może łzy nie są niczym innym, jak tylko ukojeniem różnych urazów.

Przez cały następny tydzień, nie zważając na słońce, wiatr i roztopy na drogach wiodących do Sao Sebastiao da Pedreira, muzyk każdego dnia zjawiał się na folwarku i grał tam po dwie, trzy godziny, aż wreszcie Blimunda, choć jeszcze blada, miała już dość sił, aby wstawać i siadać przy klawesynie, pogrążając się w muzyce niby w morskiej głębi, chociaż mówiąc między nami nigdy nie pływała po morzu i jej zatonięcie miało całkiem inny charakter. Szybko wracała do zdrowia, o ile w ogóle kiedykolwiek cierpiała na jego brak. A kiedy muzyk przestał przyjeżdżać, może przez delikatność, a może zatrzymywały go ostatnio zaniedbywane obowiązki, był przecież kapelmistrzem kaplicy królewskiej i nauczycielem infantki, choć ta zapewne nie uskarżała się z powodu opuszczonych lekcji, wtedy Baltazar i Blimunda zdali sobie sprawę z tego, że od dawna nie widzieli księdza Bartłomieja, co ich zaniepokoiło. Toteż pewnego dnia, gdy pogoda się nieco poprawiła, wyruszyli do miasta i szli obok siebie rozmawiając, a tym razem, ku obopólnej radości, Blimunda mogła patrzeć na Baltazara i widzieć po prostu tylko jego. Ludzie, których spotykali po drodze, byli jak zamknięte kufry, jak kasy pancerne, i nieważne było, czy się uśmiechali, czy spoglądali spode łba, gdyż patrzący nie powinien wiedzieć więcej o człowieku oglądanym niż on sam o sobie. Dlatego też Lizbona wydała im się taka spokojna, mimo obwieszceń wykrzykiwanych na rogach ulic, mimo sąsiedzkich kłótni, bijących na różne tony dzwonów, zawodzenia ludzi modlących się przed kapliczkami, dźwięków trąbki, grania werbli, wystrzałów sygnalizujących wejścia i wyjścia statków z portu, mimo litanii i dzwoneczków zebrzących zakonników. Ci, którzy mają wolę, mogą ją sobie zatrzymać i z niej korzystać, natomiast ci, którym jej brak, muszą sobie jakoś bez niej radzić, Blimundy już to nie interesuje, ma już dosyć woli na swoim koncie, i tylko ona jedna wie, jaką cenę musiała zapłacić za kapitał przechowywany na folwarku.

Księdza Bartłomieja nie było w domu, wdowa powiedziała, że poszedł do pałacu albo do akademii. Może chcecie zostawić jakąś wiadomość, ale Baltazar odpowiedział, że nie, przyjdą później lub poczekają na placu. Ksiądz pojawił się dopiero koło południa. Trawiony przez inny rodzaj choroby i inne widzenia, schudł i wbrew swoim zwyczajom zaniedbał się w ubiorze, wyglądał tak, jakby sypiał w ubraniu. Ujrzawszy ich obydwój siedzących na kamiennej ławie u wejścia do domu zasłonił twarz rękami, po chwili zaś ją odsłonił i podszedł z wyrazem ulgi, zupełnie jakby dopiero co uniknął wielkiego niebezpieczeństwa, ale nie tego, o jakim wspominał w pierwszych słowach, Cały czas czekałem, że Baltazar przyjdzie mnie zabić, z czego można by wnosić, że bał się o swoje życie, ale to nieprawda, Byłaby to słuszna kara, Blimundo, za twoją śmierć, Pan Szkarłat przecież wiedział, że już mi lepiej, Unikałem go, wymyślałem różne preteksty, żeby go nie przyjmować, czekałem na spełnienie losu, Los

nie zawsze się spełnia, powiedział Baltazar, Blimunda nie umarła, to dla mnie, dla nas, łaska losu, ale co mamy dalej robić, skoro choroba minęła, zgromadziliśmy dużo woli, maszyna jest gotowa, nie trzeba już kuć żelaza, szyć i smołować żagli ani wyplatać wikliny, mamy tyle bursztynu, że możemy umieścić kulę na każdym skrzyżowaniu drutów dachowych, gotowa też jest głowa *passaroli*, nie jest to całkiem głowa mewy, ale podobna, jednym słowem, co mamy dalej robić, skoro wykonaliśmy naszą pracę, co będzie teraz z nami i z maszyną, ojcze Bartłomieju. Ksiądz zbladł, rozejrzał się wokół, jakby bał się, że ktoś usłyszy, i odrzekł, Muszę poinformować króla, że maszyna została zbudowana, lecz wpierw trzeba ją wypróbować, nie chcę, żeby znów śmiali się ze mnie, jak piętnaście lat temu, wracajcie na folwark, niebawem do was przyjadę.

Odeszli parę kroków, ale Blimunda przystanęła, Ojcze Bartłomieju, ksiądz chyba jest chory, ta bladeść, te zapadnięte oczy i wcale księdza nie ucieszyła dobra wiadomość, Ucieszyłem się, Blimundo, ucieszyłem, choć wiadomości, od których zależy nasz los, są zawsze połowiczne, ważne jest tylko to, co zdarzy się jutro, dzień dzisiejszy jest bez znaczenia, Pobłogosław nas, ojcze, Nie mogę, nie wiem już, w imię jakiego Boga bym was błogosławił, lepiej pobłogosławcie się nawzajem, to zupełnie wystarczy, oby wszystkie błogosławieństwa mogły być takie.

Niektórzy twierdzą, że w królestwie źle się dzieje, że nie ma już sprawiedliwości, nie zauważają jednakowoż, iż sprawiedliwości nic nie brak, ma opaskę na oczach, wagę i miecz, czegoś więcej można od niej chcieć, tylko tego brakowało, żebyśmy sami tkali opaskę, cechowali odważniki i odkuwali brzeszczot, ciągle łątając dziury, naprawiając szczyrby i ostrząc klingę, a może jeszcze powinniśmy pytać podsądnego, wygrywającego lub przegrywającego proces, czy jest zadowolony z wymiaru sprawiedliwości. Pomijamy tu sądy Świętej Inkwizycji, bo ta ma oczy szeroko otwarte, zamiast wagi gałązkę oliwną, a ponadto jej szpada jest ostra w sytuacjach, gdy tamta okazuje się tępą i poszczerbioną. Można by pomyśleć, że gałązka jest oznaką pokoju, wszelako jest oczywiste, że to po prostu rozpałka przyszłego stosu, tak więc, człowieku, czeka cię albo miecz, albo ogień, jeśli przeto zamierzasz złamać prawo, to już lepiej zasztyletować podejrzaną o niewierność żonę, niżli uchybić w czci zmarłemu chrześcijaninowi, rzecz tylko w tym, żeby mieć odpowiednich opiekunów, którzy wybaczą zabójstwo, a ponadto tysiąc *cruzados* na szalkę wagi, przecież właśnie w tym celu sprawiedliwość ją dzierży w dłoni. Można bowiem karać dla przykładu Murzynów i inną hołotę, lecz należy uszanować ludzi majątnych i dobrze urodzonych i nie domagać się, by płacili zaciągnięte długi, rezygnowali z zemsty czy nienawiści, natomiast podczas procesów, skoro już nijak nie da się ich uniknąć, należy się uciekać do zwykle stosowanych metod, do matactw, oszukaństwa, apelacji, owijania w bawełnę, żeby jak najpóźniej wygrał ten, który po sprawiedliwości powinien wygrać od razu, i żeby jak najpóźniej przegrał ten, który powinien przegrać na samym początku. Tymczasem bowiem można doić to wspaniałe mleko, jakim są pieniądze, tę cudowną śmietankę, ten pyszny twarożek, które stanowią pożywienie woźnego sądowego i pośrednika, adwokata i przesłuchującego, świadka i sędziego, jeśli kogoś tu zabrakło, to dlatego że ksiądz Antoni Vieira o nim zapomniał, a nam też się nie przypomina.

Tak wyglądają jawne działania sprawiedliwości. Jeśli zaś idzie o niejawne, to tu, najdelikatniej mówiąc, sprawiedliwość jest ślepa i nieudolna, czego niewątpliwym dowodem jest zatonięcie łodzi, którą z polowania po tamtej stronie Tagu wracali infanci Franciszek i Miguel, dwaj królewscy bracia, nagły poryw wiatru wyrócił żaglówkę, przez co Miguel utonął, Franciszek zaś uratował się, a przecież po sprawiedliwości powinno być odwrotnie, są bowiem powszechnie znane niegodziwości Franciszka, uwodzenie królowej, zakusy na tron, strzelanie do marynarzy, podczas gdy Miguelowi nic takiego się nie zarzuca, w każdym razie nie tak poważnego. Nie sądźmy jednak zbyt pochopnie, kto wie, czy Franciszek już się nie

pokajał i czy Miguel nie przypłacił życiem tego, że przyprawił rogi szyprowi owej łodzi lub też może uwiódł mu córkę, historia królewskich rodów obfituje w podobne przypadki.

Tymczasem pewnego dnia stało się ostatecznie wiadomym, że król przegrał proces wytoczony w 1640 roku, nie przez niego osobiście, lecz przez koronę, przeciwko księciu Aveiro. Przez ponad osiemdziesiąt lat obydwie rody ciągały się po sądach, a szło im nie o byle co, nie procesowali się o jakiś tam strumień czy miedzę, ale o dwieście tysięcy *cruzados* rocznego dochodu, można sobie wyobrazić, trzy razy tyle, ile król pobiera tytułem podatku od czarnych niewolników wysyłanych do brazylijskich kopalń. Wszakże koniec końców jest jeszcze jakaś sprawiedliwość na tym świecie, a skoro tak, król będzie musiał zwrócić księciu Aveiro wszystkie dobra, co prawda to nie nasza sprawa, ale chodzi tu również o majątek Sao Sebastiao da Pedreira, łącznie z kluczem, studnią, sadem i pałacem, które bezpośrednio nie interesują księdza Bartłomieja, gorzej jednak z szopą. Ale jako że nie wszystkie nieszczęścia chodzą parami, wyrok został ogłoszony w dobrym momencie, gdyż maszyna latająca jest już całkiem gotowa, można już powiadomić Jego Królewską Mość, który czekał tyle lat nie tracąc królewskiej cierpliwości, zawsze jednak uprzejmy i życzliwy, jednakże ksiądz Bartłomiej znalazł się w tej szczególnej sytuacji twórcy, który nie może się rozstać ze swoim dziełem, w sytuacji marzyciela, który ma utracić wszystkie marzenia. Jeśli okaże się, że maszyna będzie latać, to co mi zostanie do roboty, bo choć przemyśliwa o innych wynalazkach, jak węgiel wytwarzany z błota i chrustu czy nowy typ młyna cukrowniczego, to przecież *passarola* jest jego największym wynalazkiem, nigdy wszak nie było i nie będzie drugich takich skrzydeł, które by się mogły porównać ze skrzydłami *passaroli*, z wyjątkiem tych najpotężniejszych ze wszystkich, ale ich nigdy nie poddaje się próbie latania.

W Sao Sebastiao da Pedreira Baltazar i Blimunda zastanawiają się, co ich czeka, niebawem zapewne pojawi się służba księcia Aveiro, by zająć się majątkiem, Może lepiej wracajmy do Mafry, Ale ksiądz mówi, żeby czekać, że porozmawia w tych dniach z królem, trzeba też wypróbować maszynę i o ile próba się powiedzie, a miejmy nadzieję, że tak, to dla wszystkich będzie z tego chwała i pożytek, po całym świecie rozejdzie się wieść o wyczynie Portugalczyków, a wraz ze sławą przyjdzie też bogactwo. Wszystko, co otrzymam, podzielę między nas troje, bez twoich oczu, Blimundo, nie byłoby *passaroli*, a także bez twojej prawej ręki i twojej cierpliwości, Baltazarze. Jednak ksiądz jest jakiś niespokojny, jakby sam nie wierzył w to, co mówi, albo jakby to niewiele znaczyło wobec innych, poważniejszych trosk, toteż Blimunda zapytuje półgłosem, rozmowa ma miejsce późną nocą, palenisko już wygaszone, *passarola* wciąż stoi w szopie, lecz wydaje się nieobecna, Ojciec Bartłomieju, czego ojciec się boi, ksiądz zadrżał usłyszawszy tak wprost postawione pytanie, wstał,

podszedł do drzwi, wyrzwał na zewnątrz, wrócił do środka i powiedział cicho, Świętego Oficjum. Baltazar i Blimunda spojrzeli po sobie, Baltazar powiedział, O ile mi wiadomo, chęć latania nie jest żadnym grzechem ani herezją, przecież już piętnaście lat temu wyleciał z pałacu balon i nic złego z tego nie wynikło, Balon to głupstwo, powiedział ksiądz, ale jak teraz polecą maszyna, to Święte Oficjum może się w tym doszukać diabelskiej sztuczki, a jeśli zechcą się dowiedzieć, dzięki czemu maszyna szybuje w przestworzach, to przecież nie powiem im, że kule są wypełnione ludzką wolą, dla Świętego Oficjum nie istnieje nic takiego, jak wola, według nich istnieje tylko dusza, uznają więc, że więzimy chrześcijańskie dusze uniemożliwiając im wstąpienie do raju, a sami wiecie, że dla Świętego Oficjum każdy dobry argument może okazać się zły, i odwrotnie, a gdy braknie jednych i drugich, mają przecież tortury, wodę i ogień, koło i obcegi, dzięki którym rodzą się one z niczego i w dowolnej ilości. Ale skoro król jest po naszej stronie, to Święte Oficjum nie sprzeciwi się woli i chęciom Miłościwego Pana, Jeśli sprawa będzie wyglądać podejrzanie, to król podporządkuje się Świętemu Oficjum.

Blimunda zadała jeszcze jedno pytanie, Ale czego ksiądz się bardziej boi, tego, co już się stało, czy tego, co się może stać, Co chcesz przez to powiedzieć. Wydaje mi się, że Święte Oficjum ma już księdza na oku, tak jak miało moją matkę, znam dobrze towarzyszące temu oznaki, podejrzanego otacza jakaś szczególna aura, jeszcze sam nie wie, o co mogą go oskarżyć, a już się czuje winny, Ja dobrze wiem, o co mnie oskarżają, kiedy wybije moja godzina, zarzucą mi, że przeszedłem na judaizm, co jest prawdą, że praktykuję czary, co także jest prawdą, jeśli za czary uznać *passarolę* i inne maszyny, o których bezustannie rozmyślałem, po tym wszystkim, co powiedziałem, macie mnie w garści i jeśli mnie wydacie, jestem zgubiony. Na co rzekł Baltazar, Niech stracę drugą rękę, jeśli coś podobnego uczynię, Blimunda też dorzuciła, Gdybym coś takiego zrobiła, niech moje oczy nigdy więcej się nie zamkną i widzą tak, jakbym stale była na czczo.

Baltazarowi i Blimundzie, którzy nie ruszają się z majątku, czas bardzo się dłuży. Minął sierpień, już prawie połowa września, już pająki zaczęły prząść swoje nici tkając własne żagle i skrzydła na *passaroli*, klawesyn pana Szkarłata od dawna milczy, całe Sao Sebastiao stało się najsmutniejszym miejscem na ziemi. Jest coraz chłodniej, coraz mniej słońca, jak tu wypróbować maszynę przy pochmurnym niebie, jeśli ksiądz Bartłomiej zapomniał, że bez słońca maszyna nie wzbije się w górę i zjawi się tu z królem, to najemy się tyle wstydu, że chyba zapadnę się pod ziemię. Ale ani król się nie zjawił, ani ksiądz nie przyjechał, niebo na powrót stało się bezchmurne, zajaśniało słońcem, a Blimunda i Baltazar ciągle trwali w niespokojnym wyczekiwaniu. Aż wreszcie któregoś dnia ksiądz przyjechał.

Zza bramy doszedł ich głośny stukot mulich kopyt, co było bardzo dziwne, gdyż nie jest to przecież zwierzę skłonne do szalonego pędu, a więc coś się musiało stać, może wreszcie król przyjeżdża, żeby zobaczyć wspaniały start *passaroli*, choć z drugiej strony tak bez uprzedzenia, bez wysłania przodem służby, która sprawdziłaby, czy panuje tu należyty porządek, zadbałaby o zapewnienie odpowiednich wygod, rozwiesiłaby baldachy, to jednak musi być coś innego. Tak też było. Ksiądz Bartłomiej wpadł pędem do szopy, był trupio blady, jakiś poszarzały, wyglądał niczym rozkładający się nieboszczyk, który właśnie zmartwychwstał, Musimy uciekać, Jestem poszukiwany przez Święte Oficjum, chcą mnie aresztować, gdzie są flakoniki. Blimunda otworzyła kufer, wyjęła jakieś ubrania, Oto one, wtedy Baltazar spytał, Co robimy. Ksiądz trząsł się cały, ledwie trzymał się na nogach, Blimunda podtrzymała go, Co robimy, powtórzyła, na co on krzyknął, Uciekniemy *passarolą*, po czym, jakby zdjęty nagłym strachem, wyszeptał ledwie dosłyszalnym głosem wskazując na maszynę, Uciekniemy nią, Dokąd, Nie wiem, w każdym razie stąd trzeba uciekać, Baltazar i Blimunda wymienili długie spojrzenia. Los tak chciał, powiedział Baltazar, Polecimy, powiedziała Blimunda.

Jest już druga po południu, a przed nimi mnóstwo pracy, nie ma ani chwili do stracenia, trzeba usunąć dachówkę, pociąć deski i belki, których nie uda się wyrwać, ale przede wszystkim umocować bursztynowe kule na skrzyżowaniach drutów, rozwinąć górne żagle, by słońce nie padało przed czasem na maszynę, przełożyć do kul dwa tysiące gęstych obłoków, po tysiącu do każdej, żeby jedna nie ciągnęła w górę mocniej niż druga, co mogłoby spowodować koziołkowanie maszyny w powietrzu, bo jeżeli ma to nastąpić, to już z przyczyn, których nie jesteśmy w stanie przewidzieć. Tyle pracy, a tak mało czasu, Baltazar już jest na dachu i zrzuca dachówki, które z trzaskiem rozbijają się na kawałki, ksiądz Bartłomiej otrząsnął się wreszcie z obojętności i robi co może, aby od wewnątrz zrywać co cieńsze deski, gdyż belki wymagają znacznie więcej siły, trzeba więc z nimi poczekać, Blimunda tymczasem z całkowitym spokojem, jakby przez całe życie nic innego nie robiła, tylko latała, sprawdza stan żagli, czy są równo nasmołowane, i wzmacnia niektóre szwy.

A może i ty mógłbyś się tu przydać, Aniele Strózu, nigdy jeszcze, odkąd zostałeś powołany na to stanowisko, twoja pomoc nie była tak potrzebna, jak teraz, spójrz tylko na tych troje, niebawem uleczą w przestworza, gdzie człowiek nigdy jeszcze nie dotarł, potrzebują zatem kogoś, kto ich będzie chronił, ze swej strony zrobili wszystko, co mogli, zespolili materiały z ludzką wolą, powiązali ciała stałe z lotnymi, poskładali to wszystko razem na własne ryzyko. Są już gotowi, muszą jeszcze tylko do reszty rozebrać dach, zwinąć żagle, by

słońce oświetliło maszynę i żegnajcie, już nas tu nie ma, jeśli więc ty, Aniele Strózu, nie pomożesz im choć odrobinę, to nie jesteś żadnym aniołem, pewnie, że można by się zwrócić do różnych świętych, ale żaden z nich nie zna się tak jak ty na arytmetyce, ty przecież umiesz na pamięć trzynaście słów, od pierwszego do trzynastego, bezbłędnie je recytujesz, a jako że w tej sprawie potrzebna jest cała możliwa matematyka i geometria, możesz od razu zaczynać od pierwszego słowa, które brzmi Jeruzalem, gdzie Chrystus, jak powiadają, umarł za nas wszystkich, a teraz dwa następne słowa oznaczające dwie tablice Mojżeszowe, na których, jak powiadają, Chrystus postawił stopy, a teraz trzy słowa, co, jak powiadają, oznaczają Trójcę Przenajświętszą, i jeszcze cztery słowa, co, jak powiadają, są imionami czterech Ewangelistów, Jana, Łukasza, Marka i Mateusza, następnie pięć słów, co, jak powiadają, są pięcioma ranami Chrystusa, teraz znów sześć słów, co, jak powiadają, są sześcioma błogosławionymi liliami, które Chrystus miał w chwili narodzin, i jeszcze siedem słów, co, jak powiadają, są siedmioma sakramentami, a teraz osiem słów, co, jak powiadają, oznaczają osiem łask, i dziewięć słów, co są dziewięcioma miesiącami, podczas których, jak powiadają, Przenajświętsza Panna nosiła w swoim niepokalanym łonie syna, i dziesięć słów, co, jak powiadają, są dziesięcioma przykazaniami, i jedenaście słów, co, jak powiadają, są jedenastoma tysiącami dziewic, i dwanaście słów, co, jak powiadają, są imionami dwunastu apostołów, i wreszcie trzynaście słów, co są trzynastoma promieniami księżyca, tego już nikt nie potrzebuje mówić, bo właśnie jest tu Blimunda Siedem Lun, to ta kobieta ze szklanym flakonikiem w rękę, miej ją w swojej opiece, Aniele Strózu, jeśli stłucze flakonik, to z podróży nic nie wyjdzie, i tego księdza, który sprawia wrażenie obłąkanego i nie będzie mógł uciec, miej w swojej pieczy także tego mężczyznę stojącego na dachu, nie ma on lewej ręki, wszystko przez ciebie, zagapiłeś się tam na polu bitwy, może jeszcze dobrze nie znałeś swojej tabliczki mnożenia.

Jest czwarta po południu, szopa bez dachu wydaje się ogromna, latająca maszyna stoi pośrodku, miniaturowe kowadło jest na wpół w cieniu, na przeciwległym krańcu leży siennik, tu właśnie Baltazar i Blimunda spali przez sześć lat, skrzyni już nie ma, została przeniesiona do *passaroli*, co jeszcze powinniśmy zabrać, sakwy, trochę jadła, a klawesyn, co zrobić z klawesynem, musi zostać, wybaczymy im ten egoizm, są przecież tak bardzo zdenerwowani, żadne z nich nie pomyślało jednak, że jeśli klawesyn zostanie w szopie, wzbudzi ciekawość zarówno władz świeckich, jak i duchownych, skąd tu się wziął ten instrument, zupełnie nie na miejscu w szopie, a poza tym, skoro to huragan zerwał dachówki i krokwie, to dlaczego nie uszkodził klawesynu, instrumentu tak delikatnego, że nawet przy przenoszeniu poluzowały się młoteczki, pan Szkarłat nie zagra w niebie, powiedziała Blimunda.

Teraz mogą już ruszać w drogę. Ksiądz Bartłomiej spojrział kolejno w bezchmurne przestworza, na słońce przypominające złotą monstrancję, na Baltazara trzymającego linkę do zwijania żagli i wreszcie na Blimundę, gdybyż oczy jej mogły przewidzieć przyszłość, Polećmy się Bogu, bez względu na to, kim on jest, wyszeptał, po czym dodał zdławionym głosem, Ciągnij, Baltazarze, ale Baltazar zwlekał z wykonaniem polecenia, zadrżała mu ręka, czuł się tak, jakby miał powiedzieć Fiat, po którym słowo staje się czynem, no bo pociągnię linkę i polecą, lecz dokąd, wtedy podeszła Blimunda, ujęła w obie dłonie jego rękę i jednym ruchem, jakby tylko właśnie tak należało to zrobić, pociągnęli razem za linkę. Żagiel obrócił się w drugą stronę, bursztynowe kule znalazły się w pełnym słońcu, co teraz z nami będzie. Maszyna drgnęła, zakołysała się, jakby starając się chwycić nagle straconą równowagę, wszystko w niej zaskrzypiało, żelazne pręty i wiklina, po czym znienacka, jakby wessana przez świetlisty wir, dwa razy zakręciła się wokół własnej osi odrywając się jednocześnie od ziemi i gdy znalazła się nad szopą, uniosła w górę swoją mewią głowę i płynnie, niczym strzała pomknęła w niebo. Na skutek początkowych gwałtownych wstrząsów Baltazar i Blimunda przewracali się na drewniany pokład maszyny, natomiast ksiądz Bartłomiej chwycił się mocno jednego z masztów żaglowych, dzięki czemu mógł obserwować uciekającą z nieprawdopodobną szybkością ziemię, już ledwie mógł dojrzeć folwark, który niebawem skrył się między wzgórzami, a tam dalej, cóż to takiego, ależ to oczywiście Lizbona, rzeka, ach i morze, to samo, które ja, Bartłomiej Wawrzyniec de Gusmao, dwukrotnie przemierzyłem w drodze z Brazylii, morze, którym płynąłem do Holandii, do jakich to jeszcze ziemskich i powietrznych kontynentów zawieszysz mnie, moja maszyno, wiatr gwizdże mi w uszach, jeszcze nigdy żaden ptak nie wzbił się tak wysoko, gdyby też król mnie teraz zobaczył, albo ten Tomasz Pinto Brandao, co to wyśmiewał mnie w wierszach, gdyby zobaczyło mnie Święte Oficjum, wszyscy oni przekonaliby się, że jestem wybrańcem Boga, właśnie ja, który lecę ku niebu za sprawą mojego geniuszu, jak również za sprawą oczu Blimundy, ciekawe, czy w niebie są drugie takie oczy, ale i za sprawą prawej ręki Baltazara, wzięłem cię ze sobą, Boże, ty, który nie masz lewej ręki, Blimundo, Baltazarze, wstańcie, chodźcie popatrzeć, nie bójcie się.

Nie bali się, byli tylko przestraszeni własną odwagą. Ksiądz śmiał się, coś wykrzykiwał, przestał się już trzymać masztu i biegał po pokładzie w tę i z powrotem, żeby oglądać ziemię ze wszystkich stron, z tej odległości była tak wielka, wreszcie Baltazar i Blimunda wstali chwytając się kurczowo masztów, potem burty, byli oszołomieni słońcem i wiatrem, lecz niebawem wyzbyli się wszelkiego lęku, Ach, krzyknął Baltazar, Udało się, objął Blimundę i zaczął płakać niby zabłąkane dziecko, wprost nie do wiary, żeby żołnierz,

który był na wojnie, który w Pegoes szpikulcem zabił człowieka, szlochał tak ze szczęścia tuląc się do Blimundy, ona zaś całuje jego brudną twarz, no już dobrze, już dobrze. Ksiądz podszedł do nich i też ich objął, był do głębi poruszony analogią, o której mówił Włoch, on sam jest Bogiem, Baltazar Synem, Blimunda zaś Duchem Świętym i cała trójca znajduje się w niebie, jest tylko jeden Bóg, krzyknął ksiądz, ale wiatr porwał te słowa z jego ust. Blimunda powiedziała wtedy, Jeśli nie rozwiniemy żagla, będziemy ciągle się wznosić i nie wiadomo, gdzie w końcu się zatrzymamy, może na słońcu.

Nigdy nie zastanawialiśmy się nad tym, czy w szaleństwie nie tkwi zawsze odrobina rozsądku, uważamy jednak, że jak świat światem, każdy trochę jest wariatem. Ale wyobraźmy sobie, co by było, gdyby wariaci pod pretekstem, że przecież ciągle należą do świata ludzi rozumnych, domagali się równych z nimi praw, nie są przecież całkiem szaleni, bo na przykład zachowują dość rozsądku, by ratować własne życie, jak to właśnie czyni ksiądz Bartłomiej. Jeśli gwałtownie rozwiniemy żagiel, spadniemy na ziemię jak kamień, sam więc manewruje linką stopniowo ją luzując, by żagiel łagodnie opadał, trzeba to robić z wyczuciem, żagiel powoli się rozwija rzucając coraz więcej cienia na bursztynowe kule, maszyna zmniejsza prędkość, kto by pomyślał, że tak łatwo jest pilotować statek powietrzny, teraz możemy już wyruszyć na odkrycie nowych Indii. Maszyna przestała się wznosić, zastygła w niebie z rozpostartymi skrzydłami i dziobem zwróconym na pomoc, może nawet się porusza, ale wcale tego nie widać. Ksiądz dalej rozwija żagiel, już trzy czwarte bursztynowych kul znajduje się w cieniu, maszyna schodzi łagodnie, zachowuje się jak łódź na spokojnym jeziorze, przesunięcie steru, lekki ruch wiosłem, człowiek doprawdy wszystko potrafi. Ziemia powoli się zbliża, Można już rozpoznać Lizbonę, nieregularny prostokąt placu Pałacowego, labirynt ulic i zaułków, fryz domu, gdzie mieszkał ksiądz i gdzie właśnie tam wchodzi sługi Świętego Oficjum, aby go aresztować, lecz się spóźnili, bo ptaszek już wyfrunął, a choć tak skrupulatnie dbają o interesy nieba, nie mają zwyczaju weń spoglądać, zresztą maszyna jest tak wysoko, że wydaje się tylko ciemnym punktem, na błękicie, a poza tym jak mogą patrzeć w niebo, skoro ich przerażony wzrok przyciąga Biblia, z której wydarto Pięcioksiąg oraz poszarpany na strzępy Koran, wychodzą więc, idą w kierunku Rossio, do pałacu Estaus, by poinformować o ucieczce księdza, który miał trafić do lochu, nawet im przez myśl nie przejdzie, że schronił się pod wielką kopułą niebieską, gdzie oni nigdy nie dotrą, to prawda, że Bóg ma swoich wybrańców, ale znajduje ich wśród pomyleńców, kalek i nawiedzonych, nigdy jednak wśród sług Świętej Inkwizycji. *Passarola* schodzi jeszcze niżej, z trudem udaje im się dojrzeć folwark księcia Aveiro, ale przecież są początkującymi awiatorami, brak im doświadczenia, które pozwala na pierwszy rzut oka rozpoznać główne

punkty orientacyjne terenu, ciekły wodne, jeziora, osiedla rozproszone po ziemi niby gwiazdy, ciemne lasy, lecz oto ujrzeni cztery ściany szopy, skąd wystartowali, księdzu Bartłomiejowi przypomniało się wtedy, że ma ze sobą lunetę, szybko więc po nią sięgnął i wycelował, ach, jakież to wspaniałe żyć i być wynalazcą, teraz wszystko widać jak na dłoni, siennik w kącie, kowadło, tylko klawesyn zniknął, co też mogło się z nim stać, my wiemy, co się stało, spieszymy zatem wyjaśnić, że Domenico Scarlatti wybrał się na folwark i gdy był już całkiem blisko, zobaczył nagle maszynę ulatującą z głośnym szumem skrzydeł, a co by było, gdyby się poruszały, na folwarku natychmiast zauważył skutki startu, potłuczone dachówki rozsypane wokół szopy, deski i belki pocięte lub powyrywane, nie ma chyba nic smutniejszego nad nieobecność, samolot mknie po pasie startowym, wznosi się w powietrze i zostawia po sobie czarną melancholię, i to właśnie pod jej wpływem Domenico Scarlatti siadł do klawesynu i zaczął grać, ale tylko trochę, jego palce zaledwie przemknęły po klawiaturze, jakby muskały czyjąś twarz w chwili, gdy wszystko już zostało powiedziane lub też zamiast zbędnych słów, następnie, zdając sobie dobrze sprawę z tego, jak niebezpiecznie byłoby zostawić klawesyn w szopie, wyciąga go na zewnątrz, klawesyn podskakuje na wybojach, jęcząc rozedrgane struny, teraz to już się na dobre rozstroją, dowlókl go wreszcie do studni, na szczęście ocembrowanie jest niskie, więc choć z dużym trudem, podnosi klawesyn i wrzuca go do środka, pudło po dwakroć uderza o ściany studni, rozlega się krzyk strun, wreszcie zanurza się w wodzie, nikt nie zna swojego losu, klawesyn, który tak pięknie grał, pograża się teraz bulgocąc niby topielec i osiada na mulistym dnie. Z góry muzyk jest już niewidoczny, wędruje jakimiś ścieżkami, być może okrężną drogą, być może spogląda w górę i ponownie widzi *passarolę*, macha kapeluszem, ale tylko jeden raz, lepiej uważać i udawać, że nic się nie zauważa, dlatego właśnie nie dostrzegli go z *passaroli*, kto wie, czy jeszcze kiedykolwiek się spotkają.

Wiatr wieje z południa, jest to lekka bryza, która nawet nie rozwiewa włosów Blimundy, przy takim podmuchu daleko nie zalecą, równie dobrze można by chcieć przemierzyć wpław ocean, dlatego też Baltazar pyta, Może zaczną dąć w miech, każdy medal ma dwie strony, najpierw ksiądz stwierdził, Jest tylko jeden Bóg, teraz znów Baltazar czeka na odpowiedź, Może zaczną dąć w miech, po rzeczach wzniosłych czas na przyziemne, bo kiedy Bóg przestaje dąć, człowiek musi wyteńczy siły. Lecz ksiądz Bartłomiej jest jak zaczarowany, nie rusza się, nic nie mówi, patrzy tylko na wielki ziemski okrąg, z jednej strony morze i rzeka, z drugiej góra i dolina, tam dalej to chyba albo piana, albo biały żagiel, ówdzie znów snująca się mgła, a może dym z komina, lecz mimo wszystko ma się wrażenie, jakby świat zamarł i wymarli wszyscy ludzie, ta cisza jest przerażająca, w dodatku wiatr

całkiem ustał, na głowie Blimundy nie drży nawet jeden włos. Dmij w miech, Baltazarze, powiedział ksiądz.

Pedały są zupełnie takie jak przy organach, stopy wchodzi w specjalne noski, natomiast na wysokości piersi znajduje się pręt przytwierdzony do kadłuba maszyny, który służy do oparcia rąk, nie jest to żaden dodatkowy wynalazek księdza Bartłomieja, wzorował się po prostu na organach katedralnych, cała różnica polega na tym, że tu nie będzie słyhać żadnej muzyki, jedynie świst podmuchu skierowanego na skrzydła i na ogon *passaroli*, która wreszcie zaczyna się poruszać, lecz tak wolno, z takim trudem, że można się zmęczyć od samego patrzenia, nie posunęli się jeszcze na odległość strzału z kuszy, a Baltazar już się porządnie zmęczył, nie, w ten sposób daleko nie zalecimy. Ksiądz zasępił się, obserwuje wysiłki Baltazara i widzi, że jego wielki wynalazek ma jedną wadę, w niebieskich przestworzach nie można postępować tak jak na wodzie, uciec się do wiosł, gdy zawiedzie wiatr, Przestań, nie dmij już w te miechy, Baltazar wyczerpany siada na pokładzie.

Po chwilach strachu i zachwyty, które kolejno przeżywali, teraz ogarnęło ich przygnębienie, umieją tylko wznosić się i zniżać, zupełnie jak człowiek, który potrafi wstawać i kłaść się, ale nie chodzi. Słońce chyli się ku zatoce, na ziemi kładą się długie cienie. Ksiądz Bartłomiej czuje jakiś nieokreślony niepokój, ale wnet o nim zapomina, gdyż zauważa, że kłęby dymu z jakiegoś odległego karczowiska płyną na pomoc, to znaczy, że bliżej ziemi wiatr ciągle wieje. Manewruje więc żaglem, nieco go rozwija, pogrążając w cieniu jeszcze jeden rząd bursztynowych kul, maszyna gwałtownie opada w dół, ale nie na tyle, by chwycić wiatr. Następny rząd kul pogrąża się w cieniu, spadek jest tak raptowny, że żołądek podchodzi do gardła, no i nareszcie, wiatr energicznie chwyta maszynę swą niewidzialną dłonią i ciska ją do przodu z taką szybkością, że Lizbona w mig zostaje w tyle, gdzieś na horyzoncie, przesłonięta błękitną mgiełką, zupełnie jakby wreszcie udało im się odcumować, wypłynąć z portu i ruszyć na nieznane szlaki, stąd też wszyscy troje czują taki ucisk w sercu, nie wiadomo przecież, jakie niebezpieczeństwa jeszcze na nich czyhają, jakie adamastory, jakie ognie św. Elma unosić się będą nad morzem już rysującym się w oddali, jakie trąby wodne będą wsysać powietrze, które potem stanie się słońce. Blimunda spytała wówczas, Dokąd lecimy, na co ksiądz odrzekł, Tam gdzie nie dosięgnie nas ręka Świętej Inkwizycji, o ile takie miejsce w ogóle istnieje.

Nasz lud, który tak wiele spodziewa się po niebiosach, rzadko jednak spogląda w górę, gdzie, jak powiadają, jest niebo. Ludzie pracują w polu, wchodzi i wychodzą z domów, idą na podwórko, do studni, kucają za jakąś sosną, i tylko jedna jedyna kobieta leżąca na rżysku, a na niej mężczyzna, ma wrażenie, jakby coś przesuwano się po niebie, jednakże myśli, że to

pewnie nadmiar rozkoszy mąci jej wzrok. Tylko zaciekawione ptaki pytają zataczając niespokojne koła wokół maszyny, co to jest, co to jest, może to ptasi mesjasz, bo przy nim nawet orzeł mógłby uchodzić co najwyżej za jakiegoś Jana Chrzciciela, Za mną idzie mocniejszy ode mnie, ale historia awiacji na tym się nie kończy. Przez pewien czas towarzyszył im sęp, który odstraszył wszystkie inne ptaki, lecieli zatem tylko we dwójkę, sęp bijąc skrzydłami i szybując, od razu widać, że leci, *passarola* zaś bez poruszania skrzydłami, gdybyśmy więc sami nie wiedzieli, że w tym wszystkim jest słońce, bursztyn, gęste obłoki, magnesy i żelazne pręty, też nie wierzylibyśmy własnym oczom, w dodatku nie mając takiego wytłumaczenia, jak ta leżąca na rżysku kobieta, zresztą już nie leży, już po rozkoszach, a i samego miejsca też nie widać.

Wiatr skręcił na południowo-wschodni, wieje z dużą siłą, toteż ziemia przesuwa się pod nimi niby ruchoma tafla rzeki, której prąd unosi pola, lasy, wsie, kolorowe plamy zieleni, żółcienia, ochry i brązu, białe mury, skrzydła wiatraków, a także inne płynące po niej wody, czy istnieje siła zdolna rozdzielić wodę od wody, wielka rzeka tocząc się porywa wszystko, łącznie ze strumykami, szukającymi w niej swojej drogi, lecz woda w wodzie jej nie znajduje.

Na pokładzie maszyny trójka awiatorów leci na zachód, ksiądz Bartłomiej znów ogarnia rosnący niepokój przechodzący w panikę, która wyraża się wreszcie w jęku, wraz z zachodem słońca maszyna nieodwołalnie zejdzie w dół, może spadnie, może się rozbije i wszyscy zginą, Widać Mafre, o tam, krzyczy Baltazar zupełnie jak majtek siedzący na bocianim gnieździe i wołający, Ziemia, trudno zresztą o bardziej stosowne porównanie, gdyż to właśnie jest rodzinna ziemia Baltazara, rozpoznał ją natychmiast, mimo iż nigdy nie widział jej z lotu ptaka, zupełnie nie wiadomo, na jakiej zasadzie, może po prostu każdy z nas ma w sercu jakąś osobistą orografię, która nieomylnie wskazuje każdemu miejsce urodzenia, moja wklęsłość odpowiada twojej wypukłości, twoja wypukłość mojej wklęsłości, zupełnie jak u mężczyzny i kobiety, jesteście ziemią na ziemi, dlatego właśnie Baltazar krzyczy, To moja rodzinna ziemia, rozpoznaje ją jak osobę. Przelatują szybko nad klasztorem w budowie, lecz tym razem zostali dostrzeżeni, jedni pierzchają w przerażeniu, drudzy padają na kolana błagalnie wznosząc ręce, inni znów rzucają kamieniami, tysiące ludzi ogarnia popłoch, ci, którzy nic nie widzieli, powątpiewają, ci, którzy widzieli, zaklinają się i powołują na świadectwo sąsiadów, nikt jednak nie ma dowodów, maszyna bowiem odleciała w kierunku zachodzącego słońca i stała się niewidoczna na tle lśniącej tarczy, może to była tylko jakaś halucynacja, niedowiarki podsycają niepewność tych, co uwierzyli.

Po paru minutach maszyna jest już nad brzegiem morza, wydaje się, że słońce ciągnie ją na drugą stronę świata. Ksiądz Bartłomiej widząc, że spadną do wody, szarpie gwałtownie

linkę, żagiel przelatuje na drugą burtę i jednocześnie się zwija, maszyna natychmiast szybko idzie w górę, horyzont znów się poszerza, a nad nim pojawia się słońce. Jest już jednak zbyt późno. Od wschodu już zalegają cienie, nadchodzi noc i nie sposób przed nią uciec. Maszyna zaczyna z wolna dryfować na północny wschód, schodząc zarazem ukosem ku ziemi, działa na nią teraz podwójne przyciąganie, z jednej strony szybko gasnące światło słoneczne, na tyle jednak silne, by utrzymać ją w powietrzu, z drugiej zaś wieczorny mrok, zalegający już odległe doliny. Wiatr ustał, czują jedynie gwałtowny podmuch wywołany spadaniem, świszający w wiklinowych splotach kadłuba. Słońce zastygło na morskim horyzoncie niby pomarańcza na dłoni, jest jak metalowa tarcza stygnąca po zdjęciu z kowadła, jej blask już nie razi oczu, z rozpalonej do białości robi się pąsowa, rubinowa, purpurowa, jeszcze się żarzy, ale już ciemnieje, mówi do widzenia, żegnajcie, do jutra, o ile jakieś jutro czeka jeszcze tych troje powietrznych nautów, co lecą w dół niby śmiertelnie ranny ptak strojny w diadem z koncentrycznych bursztynowych kół i z trudem utrzymujący równowagę dzięki krótkim skrzydłom, wydaje się, że to spadanie nie ma końca, lecz niebawem się skończy. Przed nimi wznosi się jakiś ciemny kształt, może to adamastor tej wyprawy, z ziemi wystają zaokrąglone góry, na ich szczytach jeszcze pełzają czerwone smugi. Ksiądz Bartłomiej patrzy obojętnie przed siebie, jest zupełnie nieobecny duchem i z całkowitą rezygnacją oczekuje rychłego końca. Wtem Blimunda odrywa się od Baltazara, którego rozpaczliwie się chwyciła, gdy maszyna zaczęła spadać, obejmuje ramionami jedną z kul wypełnionych zwartymi obłokami, jest ich aż dwa tysiące, a jednak to wszystko mało, przywiera do nich całym ciałem, jakby chciała je w siebie wchłonąć, zespolić się z nimi. Maszyna gwałtownie podskakuje, podrywa głowę niczym koń szarpnięty za uzdę, przez chwilę trwa w niepewnym bezruchu, po czym znów zaczyna spadać, lecz dużo wolniej, wtedy Blimunda woła, Baltazarze, Baltazarze, i nie musiała już nawet wołać po raz trzeci, gdyż Baltazar przylgnął całym ciałem do drugiej kuli, Siedem Lun i Siedem Słońc własną wolą podtrzymują maszynę, która teraz opada łagodnie, tak łagodnie, że wikliny ledwie zatrzeszczały, gdy dotknęły ziemi, przechyliła się tylko na jedną stronę, nie czekała na nią przecież żadna podpora, ale nie można mieć wszystkiego naraz. Wyczerpani, ledwie trzymający się na nogach podróżnicy próbowali chwycić się burty, lecz im się to nie udało, potoczyli się więc na zewnątrz i upadli na ziemię bez najmniejszego nawet zadrapania, i jak tu nie wierzyć w cuda, przecież to jeden z lepszych, nawet nie trzeba było wzywać św. Krzysztofa, cały czas był na miejscu kierując ruchem i gdy tylko spostrzegł spadający samolot, wziął sprawę w swoje ręce, dzięki czemu obyło się bez katastrofy, jak na jego pierwszy cud lotniczy, to wcale nieźle.

Gasną ostatnie blaski dnia, niebawem do reszty się ściemni, na niebie zapalają się już pierwsze gwiazdy, tak bardzo się do nich zbliżyli, a przecież ich nie dosięgli, bo też w gruncie rzeczy cały ten lot był niczym pchli skok, wystartowaliśmy w Lizbonie, przelecieliśmy nad Mafra i budującym się klasztorem, o mało nie wpadliśmy do morza. A co teraz, Gdzie jesteśmy, spytała Blimunda i jęknęła, gdyż bardzo bolał ją żołądek i zupełnie nie miała siły, by poruszyć bezwładnymi rękami, na to samo skarżył się Baltazar próbując bezskutecznie stanąć prosto na nogach, przy czym zataczał się niczym wół z rozbitą obuchem czaszką, nim ostatecznie padnie, Baltazar ma jednak lepsze widoki na przyszłość, gdyż właściwie wraca z tamtego świata, nic więc nie szkodzi, że się trochę pozatacza, przynajmniej doceni, co to znaczy stanąć nogami na ziemi, Nie wiem gdzie jesteśmy, nigdy tu nie byłem, wygląda na jakieś góry, może ksiądz Bartłomiej się orientuje. Ksiądz właśnie wstał, nie bolały go ręce ani żołądek, jedynie głowa, jakby od skroni do skroni przeszywał ją ostry sztylet, Grozi nam równie wielkie niebezpieczeństwo, jakbyśmy wcale nie opuścili folwarku, złapią nas, jeśli nie dziś, to jutro, Ale jak się nazywa to miejsce, gdzie jesteśmy, Każde miejsce na ziemi jest przedpiekłem, czasem człowiek tam idzie martwy, a czasem żywy, śmierć zaś przychodzi potem, Na razie jeszcze żyjemy, Ale jutro umrzemy.

Blimunda podeszła do księdza i powiedziała, Podczas spadania znajdowaliśmy się w wielkim niebezpieczeństwie, jeśli potrafiliśmy go uniknąć, unikniemy i innych, niech ksiądz tylko powie, dokąd iść, Nie wiem, gdzie się znajdujemy, Jak się rozwidni, wejdziemy na którąś z gór, rozejrzemy się i kierując się według słońca znajdziemy drogę, powiedział Baltazar i dorzucił, Polecimy maszyną, umiemy już się z nią obchodzić i jeśli dopisze nam wiatr, w ciągu jednego dnia zalecimy bardzo daleko, gdzie Święta Inkwizycja nie dosięgnie księdza. Ksiądz Bartłomiej nie odpowiedział, ścisnął tylko rękami głowę, później gestykulował, jakby rozmawiał z kimś niewidzialnym, a jego postać coraz bardziej zacierała się w ciemnościach. Maszyna wylądowała na terenie porośniętym niskimi zaroślami, lecz już w odległości trzydziestu kroków rysowały się na niebie wysokie kępy. Sądząc po tym, co zdołali zobaczyć, w pobliżu nie było ludzi. Z zapadnięciem nocy bardzo się ochłodziło i nic dziwnego, przecież to już koniec września, dzień też nie był upalny. Za maszyną, która stanowiła osłonę od wiatru, Baltazar rozpałił małe ognisko, bardziej dla dodania wszystkim otuchy niż dla rozgrzewki, duży ogień był zresztą niewskazany, gdyż widać by go było z daleka. Baltazar i Blimunda usiedli i wzięli się do jedzenia tego, co mieli w sakwie, zawołali też księdza, lecz ani się odezwał, ani podszedł do nich, widzieli z daleka jego nieruchomą sylwetkę, może patrzył w gwiazdy, a może na ścielącą się szeroko rozległą dolinę, gdzie nie migotało ani jedno światełko, zupełnie jakby ludzie opuścili świat, nie brak przecież

latających maszyn zdolnych do lotu o każdej porze, nawet w nocy, a więc wszyscy odlecieli, została tylko ta trójka i to ptaszydło, które nie wie, dokąd lecieć, jeśli nie ma słońca.

Kiedy po skończonym posiłku położyli się pod kadłubem maszyny, przykrywszy się opończą i żaglem wyjętym ze skrzyni, Blimunda szepnęła, Ksiądz Bartłomiej jest chory, to nie ten sam człowiek, Już od dawna wygląda, jak nie ten sam człowiek, ale co tu można zrobić, A co my zrobimy, Nie wiem, może jutro ksiądz podejmie jakąś decyzję. Usłyszeli, że ksiądz się poruszył i powłócząc nogami wszedł w zarośla, coś przy tym szeptał, odgłosy te uspokoiły ich, gdyż najgorsze było to jego uporczywe milczenie, toteż mimo zimna i niewygody rychło zasnęli, choć nie był to głęboki sen. Obydwojgu śniło się, że odbywają podróż powietrzną, Blimunda w karecie ciągniętej przez skrzydlate konie, Baltazar zaś cwałował na byku przykrytym ognistym czaprakiem, nagle konie potraciły skrzydła, zapalił się lont i z hukiem zaczęły strzelać race, pod wpływem koszmarnego snu obydwójka się obudzili i oślepił ich blask, jakby cały świat się palił, to ksiądz płonąca gałęzią podpalał maszynę i wiklinowy kadłub już się zajął, Baltazar jednym susem znalazł się przy księdzu i objawszy go w pasie próbował odciągnąć od maszyny, ale ksiądz się opierał, toteż Baltazar ścisnął go z całej siły, obalił na ziemię i zdeptał żagiew, Blimunda tymczasem za pomocą żagla tłumiła ogień, który już rozprzestrzenił się na zarośla, ale stopniowo wygasał. Pokonany ksiądz podniósł się z rezygnacją. Baltazar przysypywał ziemią ognisko. Prawie nie widzieli się w ciemnościach. Blimunda spytała cicho i spokojnie, jakby z góry znała odpowiedź, Dlaczego ksiądz podpalił maszynę, na co Bartłomiej Wawrzyniec odrzekł, Jeżeli mam spłonąć na stosie, to już wolę na takim. Oddalił się w stronę zarośli pokrywających zbocze, dojrzeli jeszcze, że szybko się schylił, po czym zniknął im z oczu, może z powodu jakiejś pilnej potrzeby ciała, o ile człowiek, który chciał spalić marzenia, jeszcze miewa tego rodzaju potrzeby. Czas mijał, a ksiądz nie wracał. Baltazar poszedł go szukać. Nigdzie go nie było. Zawołał więc, ale żadnej odpowiedzi.

Wschodził księżyc, a wraz z nim wszystko pokryły jakieś zwodnicze cienie, Baltazar poczuł, że jeżą mu się włosy na głowie i reszcie ciała. Przyszły mu na myśl wilkołaki i wszelkie inne zmory przybierające różną postać, może błakają się tu pokutujące dusze, doszedł wreszcie do wniosku, że księdza musiał chyba porwać sam diabeł, toteż w obawie przed tym, że i on za chwilę będzie wierzgał w szponach tego samego czarta, zmówił czym prędzej Ojcie Nasz do św. Egidiusza, opiekuna i orędownika w przypadkach paniki, epilepsji, obłądki i nocnych lęków. Nie wiadomo, czy święty wysłuchał modlitwy, w każdym razie diabeł nie porwał Baltazara, choć lęk go nie opuścił, teraz znów miał wrażenie, że z ziemi wydobywają się jakieś szepty, ale może to złudzenie wywołane księżycową poświatą, tak czy

inaczej najlepszą świętą dla mnie będzie Siedem Lun, wrócił więc do niej jeszcze drżąc ze strachu. Zniknął, a na to Blimunda, Poszedł sobie, już go więcej nie ujrzymy.

Prawie nie spali tej nocy. Ksiądz Bartłomiej nie wrócił. Rankiem, jeszcze przed wschodem słońca, Blimunda powiedziała, Jeśli nie rozpostrzesz żagla i dobrze nie przykryjesz bursztynowych kul, to maszyna odleci sama, nikt nie musi nią kierować, może i lepiej byłoby, żeby sobie poleciała, może gdzieś na ziemi lub w niebie spotka się z księdzem Bartłomiejem, Baltazar zaś odrzekł porywczo, Albo w piekle, maszyna zostanie tu, gdzie jest, i poszedł rozciągnąć nasmołowany żagiel, aby bursztyn znalazł się w cieniu, nie wydało mu się to jednak wystarczające, żagiel może się rozerwać albo też wiatr może go podnieść. Dlatego nożem naciął gałęzi z wysokich zarośli i przykrył nimi maszynę, tak więc już po godzinie, kiedy się całkiem rozwidniło, patrząc z daleka można było dostrzec jedynie większą kępę zieleni wystającą ponad niskie zarośla, co nie jest żadną rzadkością, gorzej jednak będzie, jak to wszystko uschnie. Baltazar pożywił się resztką jedzenia z poprzedniego dnia. Blimunda już to zrobiła wcześniej, jako że zawsze je pierwsza i zawsze, jak pamiętamy, z zamkniętymi oczami, dziś nawet schowała głowę pod opończę Baltazara. Nie mają tu już nic więcej do roboty. Co dalej, spytało jedno, drugie zaś odpowiedziało, Nie mamy tu już nic więcej do roboty, To ruszajmy w drogę, zejdziemy tą stroną, gdzie zniknął ksiądz Bartłomiej, może natrafimy na jego ślad. Cały ranek przeszukiwali zbocze góry schodząc jednocześnie coraz niżej, wokół roztaczały się góry o zaokrąglonych wierzchołkach pogrążone w całkowitej ciszy. Co to za góry mogą być, nie znaleźli najmniejszego śladu księdza, nawet czarnego strzępka na kolczastych gałęziach, zupełnie jakby rozpułynał się w powietrzu, ciekawe, gdzie też może być w tej chwili. I co teraz, spytała Blimunda, Teraz idziemy przed siebie, słońce mamy z tyłu, z prawej strony morze, Jak tylko spotkamy jakichś ludzi, dowiemy się, gdzie jesteśmy i co to za góry, na wypadek jeśli zechcemy tu wrócić, To góry Barregudo, powiedział im napotkany pastuch, kiedy uszli jakąś milę, a tamten wysoki szczyt to Monte Junto.

Do Mafry dotarli dopiero po dwóch dniach, musieli nadłożyć sporo drogi, żeby wyglądało, iż idą z Lizbony. Ulicami ciągnęła właśnie procesja, ludzie dziękowali Bogu za cud, jaki raczył uczynić zsyłając nad budujący się klasztor Duchy Świętego.

Żyjemy w czasach, kiedy jest rzeczą najnormalniejszą w świecie, że pierwszej lepszej zakonnicy zdarza się zobaczyć w klasztornych krużgankach Dzieciątka Jezus bądź na chórze anioła grającego na harfie, a w dyskretnym zaciszu celi widzenia te przybierają bardziej cielesny charakter, dręczy ją diabeł, który trzęsie łóżkiem i targa całym ciałem, górnymi członkami w taki sposób, iż falują piersi, dolnymi znów tak, iż dreszcze przenikają zroszoną potem szczelinę, którą można uznać bądź za wrota piekieł, bądź za bramy raj, to zależy od punktu widzenia, podczas czy po rozkoszy, i w to wszystko ludzie wierzą, lecz gdyby Baltazar Mateusz, zwany Siedem Słońc, powiedział, Przeleciałem z Lizbony do Monte Junto, wzięliby go za wariata, i całe szczęście, bo z tak błahego powodu nie zajęłaby się nim Święta Inkwizycja, wariatów przecież nie brak w tym zwariowanym kraju. Dotychczas Baltazar i Blimunda żyli z pieniędzy otrzymanych od księdza Bartłomieja, żywiąc się kapustą i fasolą uprawianą na folwarku, solonymi sardynkami, gdy brakło świeżych, czasem trafił się też kawałek mięsa, w sumie jednak na własne utrzymanie wydawali znacznie mniej niż na to, czym musieli żywić maszynę latającą, by zapewnić jej wzrost, o ile wówczas w ogóle wierzyli w to, że kiedyś polecą.

Maszyna jednak poleciała, kto chce, niech wierzy, a ich ciała jak co dzień dopominają się pożywienia, i tu właśnie tkwi przyczyna wszystkich górnolotnych marzeń, lecz Baltazar nie może zarabiać nawet jako woźnica, gdyż ojciec już dawno sprzedał woły, a i wóz też się rozleciał, gdyby nie niedbalstwo Pana Boga, dobra biedaków byłyby niezniszczalne. Mając własną parę wołów i własny wóz Baltazar mógłby się zgłosić do pracy i w głównym kantorze z pewnością by go przyjęli bez względu na kalectwo. Ale w obecnej sytuacji niechybnie będą mieć zastrzeżenia, czy jednoręki człowiek jest w stanie powozić zwierzętami należącymi do króla, szlachty lub też innych właścicieli, którzy wypożyczyli je, by zyskać łaski korony. Cóż więc mógłbym robić, bracie, takie pytanie zadał Baltazar swojemu szwagrowi, Alvaro Diogo, już pierwszego wieczoru po powrocie do rodzinnego domu, w którym wszyscy razem mieli teraz zamieszkać, zjedli już kolację wysłuchawszy przedtem relacji Ines Antoniny o cudownym pojawieniu się Ducha Świętego nad osadą. Na własne oczy widziałam, siostró Blimundo, Alvaro Diogo też widział, był wtedy na budowie, prawda, mężu, że widziałeś, na co Alvaro Diogo dmuchając w gasnącą głównię na palenisku odpowiedział, że owszem, że coś przeleciało nad budową, To był Duch Święty, upierała się Ines Antonina, zakonnicy ogłosili to wszem wobec, był to najprawdziwszy Duch Święty, nawet urządzili dziękczynną procesję, Może i był, mruknął z rezygnacją mąż, Baltazar zaś spoglądając na Blimundę, która się uśmiechała, powiedział, Mało to takich rzeczy na niebie, których nie umiemy wyjaśnić,

Blimunda poparła go mówiąc, Gdybyśmy znali te rzeczy, może miałyby one inne nazwy. W kącie przy kominie drzemał stary Jan Franciszek, który nie ma już ani wozu, ani pary wołów, ani ziemi, ani Marty Marii, wydawało się, że nie słucha całej rozmowy, ale nagle odezwał się, po czym natychmiast znów zapadł w drzemkę, Na świecie jest tylko życie i śmierć, wszyscy czekali, że jeszcze coś powie, ciekawe, dlaczego starzy zawsze milkną w chwilach, kiedy powinni dalej mówić, dlatego właśnie młodzi muszą uczyć się wszystkiego od początku. Jest tu jeszcze ktoś, kto śpi i z tej racji nie może mówić, ale nawet gdyby nie spał, prawdopodobnie i tak nie dopuściliby go do głosu, gdyż ma zaledwie dwanaście lat, może to i racja, że przez usta dziecka przemawia prawda, lecz żeby ją wypowiedzieć, musi najpierw dorosnąć, a wówczas już zaczyna kłamać, ten chłopiec, jedyny syn, który zachował się przy życiu, wraca do domu wieczorem padając ze zmęczenia, jest pomocnikiem murarskim, cały dzień biega po rusztowaniu w górę i w dół, toteż po kolacji natychmiast zasypia. Na dobrą sprawę dla każdego znajdzie się jakaś praca, powiedział Alvaro Diogo, możesz być choćby pomocnikiem albo taczkarzem, twój hak w zupełności wystarczy, żeby przytrzymać rączkę tacek, życie doprawdy płata nam niespodzianki, człowiek idzie na wojnę, wraca okaleczony, potem lata za sprawą tajemnych sztuk, a kiedy wreszcie chce zarobić na kawałek chleba, ot, co go spotyka, i jeszcze na dodatek może uważać się za szczęśliwca, gdyż jakieś tysiąc lat temu pewnie nie znali haków zastępujących rękę, ciekawe, jak to będzie za następne tysiąc lat.

Baltazar, Alvaro Diogo i chłopiec wyszli z domu wcześniej rano, jak już wspomniano, ich dom znajduje się w pobliżu kościoła Św. Andrzeja i pałacu wicehrabiego, jest to najstarsza część miasta, są tu jeszcze pozostałości zamku zbudowanego przez Maurów w czasach ich świetności, wyszli więc wcześniej rano, po drodze spotykają innych miejscowych mężczyzn, Baltazar ich zna, wszyscy idą na budowę i może właśnie z tej przyczyny pola leżą odłogiem, starcy i kobiety nie są w stanie ich obrobić, a że Mafra leży w niecce, idą pod górę, ale zupełnie nowymi ścieżkami, stare bowiem zostały zawałone gruzem wysypywanym ze wzgórza Vela. Mury widziane z dołu bynajmniej nie zapowiadają jakiejś drugiej wieży Babel, a przy podejściu na szczyt budowla całkiem się chowa i pomyśleć, że ciągnie się to już siedem lat, w takim tempie zapewne potrwa aż do sądnego dnia, a wtedy to już będzie bez znaczenia. Budowla jest ogromna, mówi Alvaro Diogo, jak podejdziesz blisko, sam zobaczysz, lecz Baltazar lekceważąco nastawiony do mularzy i kamieniarzy nabrał wody w usta, i to nie tyle z racji już wzniesionych murów, co z powodu mnóstwa ludzi wypełniających cały teren, jest to prawdziwe ludzkie mrowie płynące ze wszystkich stron, jeśli to wszystko idzie do pracy, to zwracam honor, wyraziłem się zbyt pochopnie. Chłopiec już się od nich

odłączył, poszedł nosić kasty pełne wapna, dwaj mężczyźni zaś przemierzywszy plac kierują się w lewo, do kantoru, gdzie Alvaro Diogo powie, że to właśnie jego szwagier, urodzony i mieszkający w Mafrze, ostatnio przez kilka lat przebywał w Lizbonie, lecz wrócił na dobre do ojcowskiego domu i szuka pracy, te rekomendacje nie mają wprawdzie większego znaczenia, ale w każdym razie Alvaro Diogo jest tu od samego początku, jest zdolnym i pracowitym robotnikiem, a poza tym nigdy nie zaszkodzi szepnąć słówka poparcia. Baltazar otwiera usta ze zdziwienia, oto ze wsi wszedł zniecka do miasta, choć nie takiego jak Lizbona, bo też Lizbona nie jest byle czym, ale stolicą królestwa, którego panowanie rozciąga się zarówno na księstwo Algarwe, to akurat jest małe i znajduje się blisko, jak i na inne wielkie i odległe kraje, jak Brazylia, Afryka, Indie i parę innych miejsc rozproszonych po świecie, a więc, jak mówię, chociaż Lizbona jest przeogromnym i zgiełkliwym miastem, to jednak żeby sobie zdać sprawę z tego, czym jest tutejsze wielkie skupisko daszków i domów przeróżnych kształtów i wielkości, trzeba po prostu to zobaczyć z bliska, kiedy bowiem Siedem Słońc przed trzema dniami leciał nad Mafrą, miał taki zamęt w głowie, że te rzędy domów i ulice wydały mu się jakimś złudzeniem, natomiast zręby przyszej bazyliki wyglądały jak trochę większa kaplica. Jeśli Pan Bóg, który na wszystko patrzy z góry, widzi równie źle, to powinien raczej chodzić po świecie, i to na własnych boskich nogach, można by wtedy uniknąć pośredników i gońców, którym nigdy nie można całkiem zaufać, podobnie jak fizycznym oczom, które widzą jako małe to, co z bliska jest duże, chyba że Pan Bóg używa lunety, takiej jaką miał ksiądz Bartłomiej, co bym dał za to, żeby teraz na mnie patrzył, ciekawe, czy dadzą mi jakąś pracę, czy też nie.

Alvaro Diogo poszedł już do swojej roboty, układa kamienie, jeden na drugim, gdyby dłużej został z Baltazarem, potraciliby mu ćwierć dniówki, a to wielka strata, Baltazar musi teraz do reszty przekonać skrybę, że żelazny hak jest tyleż wart, co ręka z krwi i kości, ten wszelako waha się, sam nie może podjąć decyzji, idzie więc na zaplecze, musi zapytać, szkoda, iż Baltazar nie może potwierdzić listem uwierzytelniającym, że jest konstruktorem statków powietrznych, albo przynajmniej wyjaśnić, że walczył na wojnie, ale czy to by się na coś zdało, minęło już przecież czternaście lat, na szczęście panuje pokój, co tu więc gadać o wojnie, przeszło, minęło, jakby jej wcale nie było. Skryba wrócił z dobrą miną, Jak się nazywasz, bierze do ręki kacze pióro i macza je w brązowym atramencie, a jednak na coś się zdały słowa Alvara Dioga, może pomogło też, że petent jest miejscowy i w sile wieku, liczy sobie trzydzieści dziewięć lat, choć ma już parę siwych włosów, a może sprawił to Duch Święty, który pojawił się przed trzema dniami, i w tej sytuacji byłoby obrazą boską odmówić proszącemu o pracę, Jak się nazywasz, Baltazar Mateusz, wołają mnie też Siedem Słońc,

Możesz przyjść do pracy w poniedziałek, zaczniesz od początku tygodnia, zgłoś się do taczkarzy. Baltazar podziękował skrybie jak należy i wyszedł z kantoru nie odczuwając ani radości, ani smutku, człowiek musi umieć zarobić na chleb zawsze i wszędzie, ale jeśli ten chleb nie jest również strawą dla duszy, to zaspokaja tylko ciało, dusza zaś cierpi.

Baltazar już wiedział, że miejsce, gdzie teraz się znalazł jest powszechnie nazywane Wyspą Madeirą i trudno o lepszą nazwę, gdyż oprócz zaledwie kilku domów murowanych cała reszta była drewniana, choć solidnej roboty. Były tam warsztaty kowalskie, no właśnie, przecież Baltazar mógł coś napomknąć o swojej praktyce kowalskiej, ale trudno tak o wszystkim pamiętać, były też i takie rzemiosła, na których się nie znał, a później przybyli jeszcze blacharze, szklarze, malarze i mnóstwo innych. Wiele z tych drewnianych domów miało piętra, na dole lokowano woły i inne zwierzęta, na górze zaś mniej lub bardziej ważne osoby, jak majstrowie murarscy, skryby i inni panowie z kantoru oraz oficerowie dowodzący żołnierzami. O tej rannej godzinie wyprowadzano ze stajni woły i muły, inne zwierzęta wyszły wcześniej, ziemia przesiąknięta była moczem i łajnem, i podobnie jak w Lizbonie podczas procesji Bożego Ciała dzieciarnia uganiała się między ludźmi i zwierzętami szturchając się zapamiętale, jeden z chłopców uciekając przed innym upadł i potoczył się pod zaprzęg wołów, ale jakoś go nie nadepnęły, chyba anioł stróż musiał być w pobliżu, gdyż wyszedł z tego bez szwanku, jedynie upačkany śmierdzącym nawozem. Baltazar śmiał się z niego, podobnie jak inni, budowa też ma swoje rozrywki. Gwardia również je ma. Właśnie maszeruje około dwudziestu żołnierzy piechoty w pełnym rynsztunku, jak na wojnę, może to jakieś manewry, a może idą do Ericeiry, by odeprzeć desant francuskich piratów, którzy tak długo będą próbować, aż pewnego dnia im się uda, ale nastąpi to dopiero wiele lat po zakończeniu budowy tej Wieży Babel, do Mafry wkroczy wówczas Junot i w klasztorze zostanie zaledwie kilkunastu starych mnichów, całkiem zniedołężniałych, wysłany przodem pułkownik Delagarde, a może kapitan, mniejsza z tym, chciał wówczas dostać się do pałacu, ale zastał drzwi zamknięte, kazał więc wezwać brata Feliksa od Matki Boskiej z Arrabidy, który był furtianem, lecz biedaczyna nie miał kluczy, były w posiadaniu rodziny królewskiej, która uciekła, wówczas ten perfidny Delagarde, tak właśnie określił go historyk, wymierzył siarczasty policzek nieszczęsnemu zakonnikowi, który, o anielska pokoro, o boski przykładzie, nadstawia natychmiast drugi policzek, gdyby tak Baltazar straciwszy lewą rękę pod Jerez de los Caballeros nadstawił prawą, to teraz nie mógłby utrzymać rączek taczki. A skoro już mowa o caballeros, to są tu również i kawalerzyści, uzbrojeni podobnie jak piechurzy, którzy właśnie rozchodzą się po placu budowy, teraz wszystko stało się jasne, zaciągają strażę, nie ma to jak pracować pod okiem gwardii.

W każdym z tych wielkich drewnianych baraków śpi co najmniej po dwustu ludzi, Baltazar usiłuje je policzyć, ale nie jest w stanie tego zrobić z miejsca, w którym się znajduje, nie mówiąc już o tym, że w ostatnich latach nie podciągnął się w arytmetyce, doszedł więc do pięćdziesięciu siedmiu i zaplątał się, najlepiej byłoby wziąć pędzel oraz wiadro z wapnem i znaczyć kolejno drzwi, raz jedno, raz drugie, w ten sposób nic się nie pominie i nie policzy dwa razy, tak właśnie maluje się krzyże św. Łazarza na domach, w których są ludzie dotknięci trędem. Baltazar też spałby na którejś z tych mat czy prycz, gdyby nie miał w Mafrze domu i żony do towarzystwa w łóżku, biedni są ci wszyscy przybysze z dalekich stron, powiadają, że człowiek nie jest z drewna, i zaiste, nie ma nic gorszego ani trudniejszego do wytrzymania niż własny kołek, gdy twardnieje, z pewnością w Mafrze nie starczy wdów, by zaspokoić ten ogrom potrzeb, jak to zatem będzie. Baltazar odszedł od baraków mieszkalnych i skierował się w stronę obozu wojskowego, na którego widok serce podskoczyło mu w piersi, tyle polowych namiotów, zupełnie jakby czas się cofnął, może to wydać się nieprawdopodobne, ale w życiu zdemobilizowanego żołnierza zdarzają się takie chwile, kiedy odzywa się w nim tęsknota za wojną, Baltazara nawiedza to już nie pierwszy raz. Alvaro Diogo coś napomknął, że w Mafrze jest wielu żołnierzy, którzy bądź pomagają w pracach ziemnych i przy odstrzeliwaniu skał, bądź też nadzorują robotników przywołując do porządku prowokujących bójki, i jeśli sądzić po liczbie namiotów, musi tu ich być parę tysięcy. Siedem Słońc jest tym wszystkim trochę oszołomiony, to jakaś zupełnie inna Mafra, tam w dole z pięćdziesiąt domów, tu z pięćset, nie mówiąc już o innych nowościach, na przykład mnóstwo jadłodajni mieszczących się w barakach prawie tak obszernych, jak mieszkalne, a w nich długie ławy i stoły umocowane do ziemi oraz podłużne lady, teraz jeszcze nie ma tu nikogo, lecz niebawem kotły zaczną bulgotać na ogniu i gdy w południe trąbka zagra na przerwę obiadową, wszyscy rzucą się na wyścigi, pobiegną jeden przez drugiego, prosto od roboty, wśród ogłuszającego zgiefku, przyjaciele nawołują się nawzajem, siadaj tutaj, zajmij mi miejsce, ale cieśle siadają z cieślami, kamieniarze z kamieniarzami, kopacze z kopaczami, a na końcu stołu hałastra złożona z wszelkiego rodzaju pomocników, swój ciągnie do swego, całe szczęście, że Baltazar może iść na obiad do domu, bo z kim miałby tu rozmawiać, skoro na taczkach jeszcze się nie zna, a na samolotach zna się tylko on jeden.

Niech Alvaro Diogo mówi, co chce, w obronie własnej i innych robotników, ale budowa wcale nie jest zaawansowana. Baltazar bacznie ją obejrzał ze wszystkich stron, jakby to był dom, w którym miałby zamieszkać, obserwował ludzi krążących z taczkami, wspinających się na rusztowania z wapnem i piachem, przetaczających kamienie po

łagodnych pochylniach, majstrów doglądających robót z pałką w dłoni, dozorców czujnie nadzorujących gorliwość i staranność robotników. Jak na razie, wysokość wzniesionych murów zaledwie trzykrotnie przewyższa wzrost Baltazara, a i obwód bazyliki nie jest jeszcze zamknięty, mury są jednak tak grube, jak w jakiejś warowni, znacznie grubsze niż te, które zostały po mauretańskim zamku, ale też wtedy były inne czasy, nie było artylerii, nic dziwnego, że skoro tyle kamienia idzie na szerokość, to cierpi na tym wysokość. Baltazar zobaczył porzuconą taczkę i pomyślał, że spróbuje, czy sobie z nią poradzi, okazało się, że bez kłopotu, a jeśli jeszcze wypiłuje wgłębienie pod lewą rączką, będzie mógł iść w zawody z każdą parą rąk.

Baltazar schodzi tą samą ścieżką, którą przyszedł, budowa i Wyspa Madeira skryły się już za zboczem i gdyby nie to, że z góry ciągle wysypują ziemię i kamienie, można by ulec złudzeniu, że nie ma tu żadnej budowy, ani bazyliki, ani klasztoru, ani pałacu królewskiego, że to ciągle ta sama malutka Mafra, taka jak była przed wiekami za Rzymian, którzy zaszczepili prawa, albo za Maurów, którzy nastali po nich, zasadzili sady i ogrody, po których już prawie nie ma śladu, czy też jeszcze za naszych czasów, kiedy staliśmy się chrześcijanami z woli tych, co nami rządzą, bo jeśli Chrystus chodził po tym świecie, to tu nigdy nie zawędrował, w przeciwnym razie jego kalwaria byłaby na wzgórzu Viela, gdzie trwa budowa klasztoru, która w gruncie rzeczy jest tym samym. Przy okazji tych religijnych dywagacji, o ile są to myśli samego Baltazara, ale po cóż nam to wiedzieć, Siedem Słońc pomyślał o księdzu Bartłomieju, nie po raz pierwszy oczywiście, gdyż ilekroć zostawał sam na sam z Blimundą, prawie o niczym innym nie mówili, teraz zaś przypomniał sobie, jak brutalnie się z nim obszedł w górach, tamtej strasznej nocy, czuł się tak, jakby pobił chorego brata, dobrze wiem, że on jest księdzem, a ja nawet żołnierzem już nie jestem, jednak jesteśmy w tym samym wieku i pracowaliśmy razem. Baltazar obiecuje sobie, że przy pierwszej okazji wróci w góry Barregudo, na szczyt Monte Junto, żeby sprawdzić, czy maszyna jeszcze tam jest, mogło się przecież zdarzyć, że ksiądz wrócił po kryjomu i sam odleciał do krajów bardziej sprzyjających wynalazkom, jak chociażby taka Holandia, kraj szczególnie predestynowany do zjawisk aeronautycznych, co miał w przyszłości potwierdzić niejaki Hans Pfall, któremu nie wybaczone kilku drobnych zbrodni i przez to do dziś mieszka na Księżycu. Ale jeszcze tylko tego brakowało, żeby Baltazar poznał te wszystkie przyszłe wydarzenia, łącznie z tym, że dwóch ludzi poleciało na Księżyc, wszyscy to przecież widzieli, lecz nie znaleźli tam Hansa Pfalla, być może źle szukali. To nie takie proste odnaleźć właściwą drogę.

Tutaj jest to o wiele prostsze. Od wschodu do zachodu słońca Baltazar, podobnie jak setki innych mężczyzn, może jest ich siedmiuset, może tysiące, a może tysiąc dwustu, ładuje

na taczki ziemię i kamienie, jeśli idzie o Baltazara, to hakiem przytrzymuje sobie stylisko łopaty, pracuje zaś prawą ręką, w trójnasób zręczną i silną, taka zresztą jest już od piętnastu lat, następnie rusza nie kończąca się procesja *Corpus Homini*, jeden za drugim wyrzucają gruz na zbocze, przysypując nie tylko las, ale i pola uprawne, przy okazji niejeden ogród z czasów mauretańskich zakończy swój żywot, biedaczysko, przez tyle stuleci rodził delikatną kapustę, świeżutką, chrupiącą sałatę, majeranek, pietruszkę i miętę, a teraz żegnajcie przepyszne nowalijki, już nie popłynie woda tymi bruzdami, już nie przyjdzie ogrodnik, by rozrzucić kopczyk tamujący wodę i napoić spragnioną grządkę, podczas gdy sąsiednia już się rozkoszuje sytością. Mówi się, że niezbadane są losy świata, lecz jeszcze bardziej niezbadane są losy człowieka, bo może ten, co właśnie teraz przechylił taczkę, z której w podskokach potoczyły się w dół kamienie i posypała ziemia, jest właśnie owym ogrodnikiem, ale nie, to chyba nie on, bo nawet łza nie zabłysła mu w oku.

Mijają dni i tygodnie, a mury ledwie trochę się podniosły. Wybuchy rozrywają twardą skałę, którą żołnierze ostatnio zaatakowali, mogłaby być bardzo użyteczna, gdyby oprócz tego, że daje ludziom zarobek, posłużyła także do budowy murów, ale niestety, ta skała, która tak mocno przywarła do góry, że można ją tylko przemocą od niej oderwać, po wydobyciu na światło dzienne natychmiast rozsypuje się w proch, który niebawem stałby się próchnicą, gdyby nie wywożono go na taczkach. Do usuwania gruzu używa się też wozów na wysokich kołach ciągniętych przez muły, często są one przeładowane i w ostatnich dniach, kiedy sporo pada, zwierzęta grzęzną w błocie, skąd z trudem się wygrzebują ponaglone batem chlastającym grzbiety, a bywa, że i łby, kiedy Pan Bóg nie widzi, choć to wszystko robi się ku jego chwale, stąd też właściwie nie wiadomo, czy nie specjalnie odwraca on czasem wzrok. Taczkarze mają niniejszy ładunek, przeto mniej są narażeni na ugrzęźnięcie w błocie, poza tym z desek, których jest w bród do budowy rusztowań, zrobili solidne kładki, nie wystarcza ich jednak dla wszystkich, toteż nieustannie trwa wojna podjazdowa, gdyż każdy stara się wjechać na kładkę przed innymi, gdy zaś zdarzy się, że u jej wlotu spotka się dwóch taczkarzy, wówczas dochodzi do kuksańców i kopniaków, a czasem nawet i drażni idą w ruch, ale w tych przypadkach rusza do akcji patrol wojskowy i na ogół już sama jego obecność wystarcza, by uspokoić emocje, jeśli jednak to nie nastąpi, wówczas żołnierze okładają grzbiety zwaśnionych pałkami i batami, tak jak się to robi z mułami.

Ostatnio sporo pada, ale nie na tyle, by wstrzymano roboty, pracę przerwali tylko mularze, woda bowiem rozmywa zaprawą i zbiera się na szerokich murach, toteż schronili się pod daszkami czekając na przejaśnienie, kamieniarze natomiast, którzy stanowią elitę, obrabiają marmur pod dachem, przygotowując zarówno bryły ciosane, jak i rzeźbione, nie

mogą więc ani chwili odpocząć, choć też mieliby ochotę. Jeśli o nich idzie, to jest im wszystko jedno, czy mury wznoszą się wolno, czy szybko, obchodzi ich tylko rysunek na kamieniu, którego mają się trzymać, kanele, akanty, festony, akroteria, girlandy, kiedy zaś wykonają swoje zadanie, wówczas tragarze za pomocą drągów i sznurów przenoszą bryłę pod zadaszenie, gdzie wraz z innymi będzie czekać na chwilę, kiedy i stąd ją zabrają w ten sam sposób, chyba że jest tak ciężka, że będzie wymagać kabestanu i pochylni. Kamieniarze korzystają więc z przywileju stałej pracy, bez względu na pogodę, przez co mają zawsze zapewnioną dniówkę, siedzą sobie pod daszkiem, stuk-puk, stuk-puk, dłutem i młotkiem, pracują obydwoma rękami, a ich ubielone marmurowym pyłem włosy przypominają peruki arystokratów. Dzisiejszy deszcz nie jest na tyle silny, by dozorca kazali wszystkim przerwać pracę, albo przynajmniej taczkarzom, pracującym ciężiej niż mrówki, bo kiedy pada, mrówki kryją się po różnych dziurach, skąd patrzą sobie w niebo, nie są przecież jakimiś ludźmi, żeby miały pracować w deszczu. Aż wreszcie od strony morza sunie przez pola ciemna ściana ulewy, taczkarze nie czekając na rozkaz rzucają taczki i pędzą pod daszki lub chronią się pod murami, choć nie ma to większego znaczenia, gdyż i tak już przemokli do nitki. Muły zaprzęgnięte do wozów stoją spokojnie pod strugami nawałnicy, ich sierść przesiąknięta potem nasiąka teraz wodą, woły stojące w zaprzęgach żują obojętnie, a przy silniejszych chłasnieniach ulewy potrząsają głowami, nie sposób odgadnąć, co czują te zwierzęta, jakie nerwy i jak głęboko w nich drgają, gdy niechcący trącają się lśnącymi rogami, może w ten sposób mówią do siebie, Aha, jesteś tu. Skoro tylko deszcz ustanie lub choćby przycichnie, ludzie wracają do pracy i wszystko zaczyna się od nowa, ładują i rozładowują, ciągną i pchają, wloką po ziemi i podnoszą, dziś nie ma wybuchów dynamitu, jest bowiem zbyt wilgotno, żołnierze korzystają więc z wolnego i za pan brat z wartownikami, którzy również się schronili pod dach, delektują się błogim spokojem. Deszcz ponownie się nasila, niebo jeszcze bardziej ciemnieje, wygląda na to, że nierychło przestanie padać, toteż zezwolono ludziom na przerwanie pracy, zostają jedynie kamieniarze, ciągle słychać to ich postukiwanie, stuk-puk, stuk-puk, siedzą pod tak przestronnymi zadaszeniami, że zacinający wiatr nie spryska nawet kawałeczka marmuru.

Baltazar zszedł do osady śliską ścieżką, mężczyzna idący przed nim przewrócił się w błoto, co wszystkich bardzo rozśmieszyło, jeden nawet upadł ze śmiechu, dobrze, że są tu choć takie rozrywki, bo przecież w Mafrze nie ma trupy teatralnej ani śpiewaczek, ani komediantów, opera jest tylko w Lizbonie, do wynalezienia kina brakuje jeszcze dwustu lat, wtedy też pojawią się *passarole* z silnikami, długo jeszcze przyjdzie czekać, nim spotka nas to szczęście, hej, witaj. Szwagier z siostrzeńcem już wrócili do domu i bardzo są zadowoleni,

bo gdy człowiek skostnieje z zimna, to nie ma nic lepszego niż usiąść przy ogniu, wyciągnąć ku niemu zgrabiałe ręce i przysunąć do żaru podeszwy nagich stóp, wtedy chłód pomalutku ustępuje z kości, niby szron topniejący w słońcu. Ale, prawdę mówiąc, jest jedna rzecz jeszcze lepsza, a mianowicie kobieta w łóżku, a jeśli na dodatek jest to kobieta kochana, to wystarczy nawet, że wyjdzie na drogę, tak jak teraz Blimunda, która czeka na Baltazara, aby dzielić z nim zimno i deszcz, i zarzuca mu na głowę jedną ze swoich spódnic, ach, ten zapach kobiecej spódnicy, człowiekowi łza kręci się w oku, Jesteś zmęczony, spytała, jak mało trzeba, by życie stało się znośne, wystarczy spódnica zarzucona na dwie głowy, tego nie da się porównać nawet z niebem, oby tylko Bóg tak współczuł ze swoimi aniołami.

Do Mafry dotarły pogłoski o lekkim trzęsieniu ziemi w Lizbonie, ale obeszło się bez większych strat, jedynie w niektórych starych domach rozleciały się kominy, podpadały fryzy i popękały mury, a jako że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, świetny interes zrobili na tym fabrykanci świec, gdyż w kościołach zaroilo się wprost od gromnic, szczególnie przed ołtarzami św. Krzysztofa, opiekuna nader skutecznego w razie dżumy, epidemii, piorunów, pożarów i burz, a ponadto powodzi, niebezpiecznych podróży i trzęsień ziemi, ale również i przed ołtarzami św. Barbary i św. Eustachego, którzy śmiało mogą z nim iść w zawody, gdyż wcale nie są gorszymi opiekunami w podobnych sytuacjach. Ale święci są jak ludzie budujący ten klasztor, a mówiąc o tych mamy na myśli także wszystkich innych, cokolwiek wznoszących bądź burzących, święci po prostu też się męczą i bardzo cenią sobie odpoczynek, a tylko oni sami wiedzą, ile wysiłku trzeba na to, by okiełznać siły przyrody, bo gdyby to były siły boskie, wystarczyłoby zwrócić się do Pana Boga z prośbą, Daj spokój, przestań już dąć, wstrząsać, podpalać i zalewać, przestań zsyłać zarazy i bandytów na drogi, i jeśli to nie byłby bóg zła, z pewnością usłuchałby tych prośb, ale że mamy do czynienia z siłami przyrody, a święci próżnują, więc ledwie zdołamy odetchnąć z ulgą po lekkim trzęsieniu, a już przychodzi taka burza, że najstarsi ludzie nie pamiętają, i to nawet bez deszczu czy gradu, już chyba lepiej, żeby padało, złagodziłoby to może nieco furię wichury, która miota zakotwiczonymi w porcie statkami, jakby to były skorupki orzechów, szarpie, targa i drze cumy, zrywa kotwice, unosi z redy statki, które się zderzają, rozpadają i idą na dno wśród krzyku marynarzy wzywających nie wiadomo czyjej pomocy lub też osiadają na mieliznach, gdzie wzburzone fale niszczą je do reszty. Całe nabrzeże jest zrujnowane, wiatr i fale wyrywają z posad kamienie i ciskają je z taką siłą, iż rozbijają okna i drzwi niby armatnie kule, cóż to za wróg, który zadaje tyle ran bez ognia i miecza. Wszystkie kobiety, co do jednej, czy to pani domu, czy służąca, czy niewolnica, klęczą przed świętymi obrazami w przekonaniu, że cały ten zamęt w przyrodzie spowodowany jest przez diabła, Matko

Przenajświętsza, Pani Nasza Niepokalana, natomiast śmiertelnie bladzi mężczyźni, nie mając pod ręką Maura czy Indianina, których można by dźgnąć szpadą, przebierają paciorki różańca, ojciec nasz, zdrowaś-maryjo, wygląda na to, że skoro tylekroć ich wzywamy, to chyba jesteśmy sierotami bez ojca i matki. Fale biją z takim impetem na plaży Boavista, że bryzgi unoszone przez wiatr spadają niby rześisty prysznic na mury klasztoru Bernardynek, a nawet jeszcze dalej, na klasztor św. Benedykta. Gdyby świat był okrętem żeglującym po morzach, to tym razem na pewno by zatonął i wreszcie nastąpiłby jeden wielki potop, z którego nie uratowałyby się ani Noe, ani gołąb. Na przestrzeni przeszło półtorej mili między Fundiçao i Belem cała plaża zasłana jest szczątkami statków, piętrzą się tam połamane maszty i resztki ładunków, gdyż wszystko, co nie było dostatecznie ciężkie, by pójść na dno, fale wyrzucają na brzeg, są to niepowetowane straty dla właścicieli i duży uszczerbek dla króla. Na niektórych statkach zrąbano maszty, żeby uchronić je od wywrócenia, ale mimo to trzy okręty wojenne zaczęły dryfować ku plaży, gdzie niechybnie by się rozbiły, gdyby nie udzielono im specjalnej pomocy. Trudno wprost zliczyć łodzie, czółna i barki, które się roztrzaskały na plażach, w sumie sto dwadzieścia większych jednostek osiadło na mieliźnie i uległo zniszczeniu, a o ofiarach w ludziach nawet nie ma co mówić, skąd można wiedzieć, ile trupów uniósł odpływ, a ile legło na dnie, jedyne co wiadomo, to że na plaże, niby paciorki różańca, zostało wyrzuconych przez fale sto sześćdziesiąt osób, płaczą teraz po nich wdowy i sieroty, o mój najdroższy ojciec, wśród topielców jest też parę kobiet, a więc może i jakiś mężczyzna zawoła, o moja najdroższa żono, jak widać po śmierci wszyscy idziemy w cenę. Trupów jest tak dużo, że grzebie się je byle gdzie, niektórych nie udało się zidentyfikować, rodziny mieszkały prawdopodobnie daleko i nie zgłosiły się w porę, ale nie czas żałować róż, gdy płoną lasy, gdyby niedawne trzęsienie ziemi było silniejsze i spowodowało wiele ofiar, postąpiono by identycznie, w myśl zasady, że należy grzebać zmarłych i ratować żywych, warto o tym pamiętać na przyszłość, na wypadek podobnej klęski, od czego uchowaj nas Boże.

Minęły już przeszło dwa miesiące od chwili, gdy Baltazar i Blimunda zamieszkali w Mafrze. Pewnego dnia, kiedy z racji kościelnego święta wstrzymano pracę na budowie, Baltazar wyruszył w drogę do Monte Junto, gdzie zostawił latającą maszynę. Znajdowała się nadal w tym samym miejscu i w tej samej pozycji, po starym przechylona na jedną stronę, oparta na skrzydle i przykryta suchymi już gałęziami. Nasycony smołą górny żagiel, rozciągnięty nad pokładem, rzucał cień na bursztynowe kule. Dzięki przechyłowi kadłuba woda deszczowa nie zbierała się na płótnie, nie było zatem narażone na butwienie. Z kamienistej gleby wyrastał wokół maszyny nowy, bujny zagajnik, w którym były nawet

jeżyny, co bez wątpienia należy uznać za rzecz niezwykłą, gdyż ani czas, ani miejsce nie były po temu, wyglądało na to, że *passarola* broni się jakimiś własnymi metodami, ale po takiej maszynie wszystkiego można się spodziewać. Tak czy inaczej, Baltazar na wszelki wypadek naciął świeżych gałęzi, aby zamaskować maszynę, tym razem przyszło mu to dużo łatwiej, gdyż zabrał siekierkę, kiedy zaś skończył pracę, obszedł dookoła tę swoją bazylikę i stwierdził, że wszystko jest jak należy. Następnie wszedł do maszyny i końcem szpikulca, którego w ostatnich czasach nie musiał używać, w jednej z desek pokładowych wydrapał słońce i księżyc, zostawiając w ten sposób nieomylny ślad na wypadek powrotu księdza Bartłomieja, który niechybnie zauważy i rozpozna ten przyjacielski znak. Baltazar pomaszerował z powrotem, wyruszył z domu o świcie, a wrócił już ciemną nocą, przemierzył w obydwie strony ponad dziesięć mil, wprawdzie przysłowie mówi, nie ma złej drogi do mej niebogi, ale jednak Baltazara zmęczyła ta wyprawa, ten, kto wymyślił to powiedzenie, musiał chyba uganiać się za nimfą i w końcu się nią nacieszyć, nie należy mu się więc dziwić.

Pewnego razu, gdzieś w połowie grudnia, Baltazar wracał do domu pod wieczór i jak zwykle Blimunda czekała na niego na drodze, ale tym razem była jakoś dziwnie poruszona, a każdy, kto zna Blimundę, dobrze wie, że odnosi się do wszystkiego z takim spokojem, jakby już to znała z innego życia, toteż Baltazar ledwie podszedł do niej, spytał z niepokojem, Czy coś nie w porządku z moim ojcem, ona zaś odpowiedziała, Nie, po czym zniżywszy głos dodała, Przyjechał pan Szkarłat, jest w domu wicehrabiego, co on tu robi, Czy jesteś pewna, widziałaś go, Tak, na własne oczy, Może to ktoś podobny do niego, To on, mnie wystarcza raz zobaczyć człowieka, a jego widziałam tyle razy. Weszli do domu, zjedli kolację, następnie cała rodzina ułożyła się do snu, każda z par na swoim sienniku, a stary Jan Franciszek razem z wnukiem, który śpi niespokojnie, całą noc tak się rzuca przez sen, że niech Bóg broni, ale dziadkowi to nie przeszkadza, zawsze to jakieś towarzystwo na bezsenne noce. I właśnie dlatego tylko on jeden usłyszał o jakiejś późnej godzinie, późnej dla kogoś, kto wcześniej się kładzie, jakąś subtelną muzykę sączącą się przez szpary w drzwiach i dachu, wielka cisza musiała panować tej nocy w Mafrze, skoro dźwięki zwykłego klawesynu przedostały się przez pałacowe okna i drzwi zamknięte z powodu zimna, a gdyby nawet nie było zimno, to tak nakazywała przyzwoitość, i dotarły do uszu przygłuchego starca, gdyby to jeszcze byli Baltazar i Blimunda, to co innego, oni od razu by odgadli, To gra pan Scarlatti, wiadomo przecież, że dzieło chwali mistrza, ale to już jest nasza uwaga, tak nam się powiedziało, bo jest takie porzekadło i pasuje do sytuacji. Następnego dnia o bladym świcie, przycupnąwszy przy rozpalonym ogniu, stary powiedział, Tej nocy słyszałem jakąś muzykę, Ines Antonina, Alvaro Diogo i wnuk nie zwrócili na to uwagi, starzy zawsze coś tam słyszą, ale Baltazar i

Blimunda poczuła ukłucia zazdrości, jeśli ktokolwiek miał prawo słuchać tej muzyki, to wyłącznie oni. Baltazar poszedł do pracy, Blimunda zaś cały dzień krążyła wokół pałacu.

Domenico Scarlatti poprosił króla o zezwolenie na obejrzenie budującego się klasztoru. Znalazł gościnę u wicehrabiego, który wprawdzie nie przejawiał jakiegoś szczególnego umiłowania muzyki, ale ponieważ Włoch był królewskim kapelmistrzem i nauczycielem infantki, więc niejako opromieniał go blask dworu. Nigdy nie wiadomo, czy przygarnięcie kogoś nie przyniesie jakichś splendorów, a że jego pałac to nie pierwszy lepszy zajazd, wicehrabia starannie selekcjonuje gości. Po południu Domenico Scarlatti grał na rozstrojonym klawesynie wicehrabiego, a wśród audytorium zebranego w salonie była wicehrabina trzymająca na kolanach trzyletnią córeczkę Manuelę Ksawerę, która słuchała go dużo uważniej niż inni, przebierała przy tym paluszkami naśladowując Scarlattiego, co w końcu zirytowało matkę, toteż oddała dziecko niańce. W życiu tej dziewczynki nie będzie zbyt wiele muzyki, podczas nocnego koncertu Scarlattiego będzie już spać, a za dziesięć lat umrze i zostanie pochowana w kościele Św. Andrzeja, gdzie spoczywa do dziś, jeśli na tym świecie dzieją się cuda i dziwy, to może pod ziemią dochodzi do niej muzyka wygrywana przez wodę na klawesynie zatopionym w studni w Sao Sebastiao da Pedreira, o ile studnia w ogóle jeszcze istnieje, bo każde źródło w końcu się wyczerpuje i źródło wysycha.

Muzyk wyszedł, by obejrzeć klasztor, i dostrzegł Blimundę, udali jednak, że się nie znają, gdyż zapewne niejednemu w Mafrze wydałoby się dziwne, a dziwne to tyle, co podejrzane, iż żona Baltazara Siedem Słońc rozmawia jak równy z równym z muzykiem mieszkającym u wicehrabiego, co on tu właściwie robi, jak to co, przyjechał zobaczyć budowę klasztoru, na co mu to, skoro nie jest ani mularzem, ani architektem, a dla organisty jeszcze nie mamy organów, tu musi chodzić o coś innego. Przyjechałem, by zawiadomić ciebie i Baltazara, że ksiądz Bartłomiej de Gusmao umarł w Toledo, w Hiszpanii, mówią, że zwariował, a że nikt nic nie wspominał ani o tobie, ani o Baltazarze, zdecydowałem się tu przyjechać, żeby dowiedzieć się, czy żyjecie. Blimunda złożyła ręce, lecz nie jak do modlitwy, raczej jakby chciała wyłamać sobie palce, Umarł, Takie wieści dotarły do Lizbony, Tej nocy, kiedy maszyna spadła na góry, ksiądz Bartłomiej Wawrzyniec uciekł od nas i więcej nie wrócił, A co z maszyną, Ciągłe tam jest, co teraz z nią zrobić, Miejcie na nią baczenie, dbajcie o nią, może pewnego dnia znów polecą, Kiedy ksiądz Bartłomiej umarł, Podobno dziewiętnastego listopada, akurat tego dnia w Lizbonie była wielka burza, gdyby ksiądz Bartłomiej był świętym, można by to uznać za znak niebios, Co to znaczy być świętym, panie Szkarłat, Co to znaczy być świętym, Blimundo.

Nazajutrz Domenico Scarlatti wyjechał do Lizbony. Na zakręcie drogi za osadą czekali na niego Blimunda i Baltazar, który stracił ćwierć dniówki, by móc go pożegnać. Zbliżyli się do powozu, jakby prosili o jałmużnę, Scarlatti kazał zatrzymać, wyciągnął ku nim ręce, Żegnajcie, Zegnajcie. Z dala dochodziły wybuchy dynamitu, zupełnie jak na jakimś festynie, Włoch ma smutną minę, nic dziwnego, skoro opuszcza ten festyn, ale tych dwoje też wygląda niewesoło, dziwne, przecież tam wracają.

W płaszczu nocy, w gwiazd blasku samotny na tronie, u stóp nowe morza i wymarłe ścielą mu się ery, glob ziemski — to imperium, które ujmie w dłonie, oto jaki był infant Henryk, a w każdym razie tak go będzie opiewał pewien poeta, który dopiero ma się urodzić, cóż, każdy ma swoje sympatie, ale skoro już mowa o kuli ziemskiej, o imperium i o dochodach, jakie imperia zwykły przynosić, to trzeba powiedzieć, że infant Henryk wypada bardzo blado przy naszym Janie, piątym, jako się rzekło, tego imienia, który zasiadł wygodnie w hebanowym fotelu, w ten sposób z całym spokojem ducha może słuchać skarbnika, który sporządza spis dóbr i bogactw, z Makao jedwabie, obicia, porcelana, wyroby z laki, herbata, pieprz, miedź, szary bursztyn, złoto, z Goa diamenty, rubiny, perły, cynamon, znów pieprz, tkaniny bawełniane, saletra, z Diu dywany, inkrustowane meble, haftowane kapy, z Melinde kość słoniowa, z Mozambiku Murzyni, złoto, z Angoli również Murzyni, ale trochę gorsi, kość słoniowa, ta z kolei najlepsza, jaką można znaleźć na całym zachodnim wybrzeżu Afryki, z wyspy św. Tomasza drewno, mąka maniokowa, banany, pataty, kury, barany, koźlęta, indygo, cukier, z Wysp Zielonego Przylądka trochę Murzynów, воск, kość słoniowa, skóry, nawiasem mówiąc, nie każda kość słoniowa jest ze słonia, z Azorów i Madery tkaniny, pszenica, likiery, wytrawne wina, wódki, kandyzowana skórka cytrynowa, owoce, z krainy zaś, która kiedyś stanie się Brazylią, cukier, tytoń, kopal, indygo, drewno, skóry, bawełna, kakao, diamenty, szmaragdy, srebro, złoto, samego złota rokrocznie napływa do królestwa na sumę od dwunastu do piętnastu milionów *cruzados*, i to licząc tylko piasek i monety, bez całej reszty oraz bez tego, co podczas podróży tonie lub pada łupem piratów, ale to oczywiście nie przynosi żadnego pożytku koronie, która, owszem, jest bogata, ale nie tak znów bardzo, jeśli jednak wszystko razem zsumować, zarówno dochody zamorskie, jak i krajowe, to do królewskiej szkatuły wpływa powyżej szesnastu milionów *cruzados*, sama tylko opłata za przeprawę przez rzeki na szlaku prowadzącym do Minas Gerais przynosi trzydzieści tysięcy, no i proszę, Pan Bóg zadał sobie tyle trudu, by wyźłobić koryta, którymi mogłyby popłynąć rzeki, a tu zjawia się król portugalski i pobiera lichwiarskie myto.

Król Jan V zastanawia się, co począć z tymi krociami, z tymi nieprzebranymi bogactwami, myśli o tym dzisiaj, rozmyślał też wczoraj i niezmiennie dochodzi do wniosku, że przede wszystkim trzeba mieć na względzie dobro duszy, trzeba się o nią troszczyć na wszystkie możliwe sposoby, tym bardziej że wszelkie ziemskie i cielesne pociechy też są dla niej bardzo krzepiące. Dajmy zatem mnichom i mniszkom na pierwsze potrzeby, ale dajmy im również i na zbytki, mnich przecież wymienia mnie na pierwszym miejscu w swoich modlitwach, mniszka zaś pieściwie gładzi moje prześcieradło i inne rzeczy, Rzymowi też

płacimy brzęczącą monetę za to, że mamy Świętą Inkwizycję, a ponadto za inne mniej krwawe usługi, w zamian za legaty i prezenty, a jeśli w tym nieszczęsnym kraju analfabetów, kmiotków i prymitywnych rzemieślników nie mogą powstać kunsztowne arcydzieła, to przecież do mojego klasztoru w Mafrze można sprowadzić je z Europy i zapłacić złotem z moich kopalń czy innych dóbr, można zamówić umeblowanie i ozdoby, które, jak powie kiedyś historyk, napełnią tamtejszym rzemieślnikom kiesy, nas zaś napełnią podziwem. Z Portugalii wystarczą kamienie, cegły, drewno opałowe i ludzie o krzepkich ramionach i słabych umiejętnościach. Jeśli zatem architektem jest Niemiec, jeśli Włosi są majstrami ciesielskimi, murarskimi i kamieniarskimi, jeśli kupcy angielscy, francuscy, holenderscy oraz szalbierze wszelkich innych nacji dzień w dzień nas sprzedają i kupują, to w tych warunkach jest rzeczą naturalną, że z Rzymu, Wenecji, Mediolanu, Genui, a także z Liege, z Francji i Holandii przysyłają nam dzwony i kuranty, kandelabry, lampy, świeczniki, żagiewnice, kielichy i monstrancje z pozłacanego srebra, tabernakula, figurki świętych, których król darzy szczególnym nabożeństwem, kościelne paramenta, frontony ołtarzy, dalmatyki, ornaty, pluwiały, sznury, baldachimy, alby, koronki oraz trzy tysiące orzechowych desek na skrzynie do zakrystii i ławy na chór, jako że św. Karol Boromeusz właśnie to drewno ceniał osobliwie do powyższych celów, z krajów pomocnych przychodzą znów całe statki załadowane deskami na rusztowania, wiaty i baraki mieszkalne, oraz sznurami i linami na kabestany i zblocza, z Brazylii dostajemy niezliczoną ilość desek z drzewa zwanego *angelim* na klasztorne drzwi i okna oraz na posadzkę w celach, dormitoriach, refektarzach i innych pomieszczeniach, łącznie z kratami odpchlarni, jest to bowiem trwałe drewno, nie tak jak nasza sękata sosna, która nadaje się wyłącznie na ogień, do ugotowania stawy, lub do tego, żeby przy nim zasiadło paru ludzi z pustymi brzuchami i takimiż kieszeniami. Od chwili gdy przed ośmiu laty położono w Mafrze pierwszy kamień, dzięki Bogu, że przynajmniej ten jeden był z Pero Pinheiro, cała Europa ma nas w życzliwej pamięci, a to zarówno z racji otrzymanych zaliczek, jak i spodziewanych wpływów za wykonane zamówienia, na co czeka każdy jeden jubiler, złotnik i srebrzasz, każdy jeden odlewnik dzwonów, każdy jeden rzeźbiarz figurek i ornamentów, każdy jeden tkacz, każda jedna koronkarka i hafciarka, każdy jeden zegarmistrz, każdy jeden rytownik, każdy jeden malarz, każdy jeden powroźnik, każdy jeden cieśla i stolarz, każdy jeden szmuklerz, każdy jeden grawer, każdy jeden tapicer, każdy jeden ludwisarz, każdy jeden właściciel statku, skoro bowiem ta krowa, która tak łatwo daje się doić, nie może być nasza, albo raczej dopóki nie stanie się nasza, niech sobie tymczasem należy do Portugalczyków, którzy niebawem i tak będą u nas kupować na kredyt kwaterkę

mleka, żeby móc wypiekać te swoje fanfaronki i anielskie delikcje. Jeśli Wasza Królewska Mość ma ochotę na jeszcze jedno, to bardzo proszę, mówi siostra Paula.

Roje mrówek ciągną do miodu, do rozsypanego cukru, do manny lecącej z nieba, ile ich może być, chyba ze dwadzieścia tysięcy, wszystkie zwrócone głowami w jedną stronę, zupełnie jak pewien gatunek morskich ptaków, czcicieli słońca, których setki zbierają się na plażach, by wpatrywać się w wędrujące oko niebios, co tak je pochłania, iż zupełnie nie zważają na to, czy wiatr dmucha im w ogon, czy stroszy pióra, szybkimi kroczkami wyprzedzają się nawzajem i drepczą tak długo, aż skończy się plaża lub zajdzie słońce, jutro znów tu wrócimy, a jeśli nie my, to nasze dzieci. Te dwadzieścia tysięcy to prawie wyłącznie mężczyźni, nieliczne kobiety skupiły się na obrzeżach tłumu, nie tyle z powodu zwyczaju każącego mężczyznom i kobietom stać po przeciwnych stronach nawy podczas mszy, ale głównie dlatego, że gdyby wmieszały się w tę ciżbę, to może i uszłyby z życiem, ale niechybnie zostałyby, jak to się dziś mówi, zgwałcone, Nie kuś twego Pana i Boga, a jeśli go kusisz, to się potem nie uskarżaj, że jesteś przy nadziei.

A więc, jako się już rzekło, odbywa się msza. Między budową a wyspą Madeirą rozciąga się przestronny plac udeptany przez nieustannie chodzących tędy robotników i poryty koleinami wyżłobionymi przez kręcące się w tę i z powrotem wozy, na szczęście teraz, już u progu lata, jest tu sucho, a więc mężczyźni będą mogli klękać bez zbytnich obaw o nakolanniki, choć przecie ci ludzie niespecjalnie dbają o czystość, kąpią się wszak we własnym pocie. W głębi placu na niewielkim wzniesieniu stoi drewniana kaplica i jeśli zgromadzeni myślą, że za sprawą jakiegoś cudu mogliby się tam wszyscy pomieścić, to się grubo mylą, bo to dużo trudniejsze niż rozmnożenie chleba czy ryb albo zebranie dwóch tysięcy gęstych obłoków w szklanym flakoniku, co zresztą nie jest żadnym cudem, ale rzeczą najzwyczajszą w świecie, wystarczy tylko chcieć. Lecz oto rozlega się zgrzyt kołowrotów, podobny hałas muszą chyba robić rozwierające się wrota niebios lub piekieł, oczywiście każde w swoim rodzaju, kryształowe do przybytku Boga i mosiężne do przybytku Szatana, co wyraźnie można rozróżnić po brzmieniu rozchodzącego się echa, tym razem jednak skrzypienie jest spowodowane wyłącznie przez drewno trące o drewno, bo właśnie z wolna wznosi się front kaplicy, który zamienia się w daszek, jednocześnie zaś rozsuwają się boczne ściany, zupełnie jakby jakieś niewidzialne ręce otwierały tabernakulum, kiedy nastąpiło to po raz pierwszy, na budowie nie pracowało jeszcze tylu robotników, ale w każdym razie z piersi pięciu tysięcy zebranych wówczas przed kaplicą wydobyło się chóralne Ach, każda epoka przynosi coś nowego, co ludzi zadziwia, ale potem przyzwyczajają się, otwarła się więc kaplica na oścież ukazując ołtarz i celebransa, czy będzie to zwyczajna msza, chyba

niemożliwe, a jednak wszyscy już zapomnieli o tym, że nad Mafrą pojawił się Duch Święty, niezwykcyjne są tylko msze polowe poprzedzające bitwy, bo nigdy nie wiadomo, czy w chwili liczenia i grzebania zabitych nie okaże się czasem, że i ja sam będę wśród nich, skorzystajmy zatem jak najwięcej z tej świętej ofiary, gdyż nieprzyjaciół może zaatakować lada moment, mógł przecież iść na wcześniejszą mszę, albo też wyznaje religię zwalniającą z tego obowiązku.

Ksiądz celebrujący mszę wygłasza z prowizorycznej ambony kazanie do tego morza ludzi, gdyby to chociaż było morze ryb, jakże cudowne kazania można by tu powtórzyć, jeszcze raz zabrzmiałyby tamte klarowne i zdrowe nauki, ale że ludzie nie ryby, mają więc takie kazanie, na jakie zasługują, słyszą zresztą wyłącznie ci, którzy stoją w pobliżu, o ile jednak habit nie czyni mnicha, to wiara na pewno czyni, toteż słysząc kosa bogobojni wierni domyślają się, że chodzi o niebiosa, że kaftan to szatan, że woły anioły, a buta pokuta, jeśli zaś w pewnej chwili przestają w ogóle cokolwiek słyszeć, nawet echo słów, to dlatego, że kazanie się skończyło i można już sobie iść. Aż dziw bierze, że po skończonej mszy nie został na placu ani jeden trup, nikogo nie poraziły nawet skry bijące od monstrancji lśniącej w pełnym słońcu, ale czasy się zmieniają, bo przecież przed wiekami, kiedy znący zboże Betsamici przypadkiem podnieśli wzrok w niebo i ujrzeli lecącą z ziemi Filistynów Arkę Przymierza, na sam jej widok pięćdziesiąt tysięcy ludzi padło trupem na miejscu, a teraz patrzyło dwadzieścia tysięcy i nic, to ty też tam byłeś, jakoś cię nie widziałem. Religia łączy się zresztą z wypoczynkiem, szczególnie, że przy tak wielkim nagromadzeniu wiernych brak możliwości, by wszyscy mogli się wyspowiadać i przyjąć komunię, każdy więc stoi, jak mu się żywnie podoba, ziewając na całe gardło lub kłócąc się z sąsiadem, a kobiety ukryte za jakimś nasypem czy w innym bardziej ustronnym miejscu kręcą tyłkami, do widzenia, jutro znów jest dzień roboczy.

Baltazar przechodzi przez plac, na którym grupki mężczyzn zabawiają się niewinną grą w szajbę lub też oddają się grom zabronionym przez króla, jak na przykład w trzy karty, jeśli złapie ich na tym sędzia grodzki odbywający właśnie obchód, to z pewnością nie ominą ich dyby. W umówionym miejscu czekają na Baltazara Blimunda i Ines Antonina, niebawem powinien też nadejść Alvaro Diogo z synem. Wszyscy razem schodzą w dolinę, w domu czeka na nich Jan Franciszek, który ledwie powłóczy nogami, musi więc zadowolić się cichą mszą, którą wikary odprawia w kościele św. Andrzeja, dokąd przychodzi cała rodzina wicehrabiego, dlatego może kazania są tu mniej piorunujące, ale mają tę złą stronę, że trzeba ich wysłuchać w całości, a wszelka nieuwaga, naturalna przecież u leciwego, steranego życiem człowieka, zaraz rzuca się w oczy. Zjedli obiad, Alvaro Diogo ucina sobie poobiednią

drzemkę, chłopak w towarzystwie rówieśników wyrusza na wróble, kobiety natomiast biorą się za łątanie i cerowanie, lecz robią to dyskretnie, gdyż Pan Bóg nie życzy sobie, by pracować w dzień świąteczny, jeśli jednak dzisiaj nie zaszyje się tej dziury, to jutro będzie większa i o ile prawdą jest, że Pan Bóg karze nas bez użycia kija i kamienia, to również jest prawdą, że do łątania konieczna jest igła z nitką, wprawdzie nie wychodzi mi to najlepiej, ale nie ma się czemu dziwić, gdyż w chwili stworzenia Adam i Ewa umieli tyle samo i nigdzie nie jest powiedziane, że później, po wypędzeniu z raju, archanioł miałby dać im jakąś listę prac męskich i niewieścich, kobiecie powiedział tylko, W bólach rodzić będziesz, ale i to się skończy pewnego dnia. Baltazar zostawia w domu hak i szpikulec, chce sobie przewietrzyć kikut i sprawdzić, czy wrócą jeszcze te krzepiące bóle ręki, ostatnio coraz rzadsze, a także znajome swędzenie po wewnętrznej stronie kciuka oraz przyjemność, jaką daje drapanie go paznokciem wskazującego palca, nikt go nie przekona, że to wszystko odbywa się tylko w jego głowie, ma na to gotową odpowiedź, że w głowie nie ma palców, Ależ Baltazarze, ty już przecież nie masz ręki, To wcale nie jest takie pewne, no i jak tu z takim rozmawiać, jeśli gotów jest przeczyć rzeczom oczywistym.

Wiadomo, że tego dnia Baltazar będzie pił, ale się nie upije. Pije od czasu, kiedy dowiedział się o śmierci księdza Bartłomieja, co za smutna śmierć, wstrząsnęła ona Baltazarem niczym trzęsienie ziemi, które naruszyło fundamenty, choć na zewnątrz ściany stoją prosto. Pije, gdyż bezustannie myśli o *passaroli* zostawionej w górach Barregudo, na zboczu Monte Junto, kto wie, może już ją odkryli pasterze lub przemytnicy, na samą myśl o tym cierpi, jakby go łamali kołem. Lecz zawsze podczas picia przychodzi taka chwila, kiedy czuje na swoim ramieniu dotyk ręki Blimundy i to wystarcza, Blimunda siedzi sobie w najlepsze w domu, Baltazar bierze do ręki kubek wina w przekonaniu, że wychyli go podobnie jak poprzednie, lecz ręka dotyka jego ramienia i słyszy głos mówiący, Baltazarze, odstawia wtedy nietknięty kubek i przyjaciele wiedzą już, że tego dnia nie wypije ani kropli więcej. Będzie siedział w milczeniu słuchając rozmów towarzyszy, które stopniowo będą nabierać sensu, w miarę jak wino będzie wietrzało mu z głowy, co prawda są to w kółko te same historie, Nazywam się Franciszek Marques, urodziłem się w Cheleiros, to tu, niedaleko Mafry, będzie jakieś dwie mile, mam żonę i trzech małych synków, całe życie robiłem na dniówkę, a ponieważ nijak nie mogłem wygrzebać się z nędzy, postanowiłem nająć się do pracy przy klasztorze, zresztą ten mnich od ślubowania podobno był z moich stron, tak przynajmniej ludzie mówią, ja wtedy byłem jeszcze wyrostkiem, jak twój siostrzeniec, no i właściwie nie powinienem się uskarżać, Cheleiros nie jest tak daleko, od czasu do czasu puszczam nogi w ruch, te dwie, które maszerują, i tę, co jest między nimi, w rezultacie żona

znów jest w ciąży, zostawiam jej wszystkie uciulane pieniądze, ale wiadomo, że taki biedak jak ja musi za wszystko płacić, nic mu nie wpadnie z interesów w Indiach czy Brazylii albo też z urzędów i prebend dworskich, cóż można zwojować za dwieście reali dziennie, muszę zapłacić i w jadłodajni, i za ten kubek wina, tutaj dobrze się powodzi tylko szynkarzom, podobno wielu z nich zostało zmuszonych do przyjazdu z Lizbony, ale mnie też tu sprowadził mus i mus mnie ciągle przyciska, Nazywam się Józef Mały, nie mam ni ojca, ni matki, ni żony, nawet nie jestem pewien, czy to rzeczywiście moje imię, czy też przedtem miałem jakieś inne, jedno jest pewne, że znaleźli mnie w wiosce pod Torres Vedras i wikary mnie ochrzcił jako Józefa, Mały nazwali mnie później, bo niewiele urosłem, przez ten garb na plecach żadna kobieta nie chce mnie na stałe, ale jeśli trafi się, że się z którą prześpię, to zawsze upomina się o jeszcze, to moja jedyna pociecha w życiu, chodź no tu do mnie, teraz możesz już sobie iść, jak się zestarzeję, to nawet do tego nie będę zdatny, przyjechałem do Mafry, bo lubię pracować przy wołach, woły podobnie jak ja są tylko wynajęte i tak jak ja nie są z tych stron, Nazywam się Joachim da Rocha, urodziłem się w okolicy miasta Pombal, mam tam rodzinę, ale tylko żonę, bo czterech synów mi umarło, nim dożyli dziesięciu lat, dwóch na czarną ospę, trzeci na anemię, a czwarty na białaczkę, dzierżawiłem tam ogród, ale dochód z niego był tak mały, że nie starczało na życie, toteż powiedziałem żonie, idę do Mafry, tam ma się pracę zagwarantowaną na wiele lat, do tej pory jakoś to było, ale ostatnio już sześć miesięcy nie byłem w domu i chyba więcej tam nie wrócę, kobiet tu nie brak, a moja musi mieć jakąś złą naturę, skoro urodziła czworo dzieci i pozwoliła wszystkim umrzeć, Nazywam się Manuel Milho, jestem ze wsi pod Santarem, pewnego dnia zjawili się u nas heroldzi miejscy ogłaszając, że na budowie w Mafrze można mieć dobrą dniówkę i dobre utrzymanie, to przyszedłem razem z kilkoma innymi, dwóch zginęło zeszłego roku, wtedy jak obsunęła się ziemia, nie podoba mi się tutaj, nawet nie dlatego, że zginęło dwóch moich ziomków, człowiek nie wybiera przecież miejsca, w którym umrze, chyba że sam wybierze swoją śmierć, brak mi jednak rzeki z moich stron, choć wiem dobrze, że w morzu jest dużo więcej wody, widać przecież stąd, ale powiedzcie sami, co człowiek może robić na tych bezkresach, woda ciągle wali o skały, ciągle uderza w piasek, podczas gdy rzeka pełźnie spokojnie między dwoma brzegami, niczym pokutna procesja, a człowiek stoi sobie na brzegu jak jakiś jesion czy topola i patrzy, jeśli zaś zechce zobaczyć własną twarz, sprawdzić, czy bardzo się postarzał, to może przejrzeć się w zwierciadle wody, która płynąc stoi jednocześnie w miejscu, człowiek natomiast przemija, choć tkwi nieruchomo, sam nie wiem, skąd mi takie rzeczy przychodzą do głowy, Ja się nazywam Jan Anes, pochodzę z Porto i jestem bednarzem, przy budowie klasztoru potrzebni są też i bednarze, bo któż miałby robić i

naprawiać kadzie, beczki i szafliki, weźmy takiego mularza, stoi na rusztowaniu i podają mu kastę z zaprawą, ale zanim położy kamień, musi go pokropić miotłką, żeby dobrze się związał z tym, który jest na dole, i z tym, który będzie nad nim, do tego właśnie służy mu szaflik, a znów zwierzęta, z czego piją, z koryta, a kto je robi, bednarze, nie mówię tego, żeby się chwalić, ale nie ma takiego drugiego zawodu jak mój, nawet Pan Bóg był bednarzem, wystarczy spojrzeć na tę wielką kadź, jaką jest morze, jeśli by nie była ona doskonale wykonana, jeśli klepki nie byłyby dobrze dopasowane, to woda by przeciekała do środka ziemi i mielibyśmy drugi potop, jeśli chodzi o moje życie, to nie mam wiele do powiedzenia, rodzina została w Porto, jakoś tam sobie radzą, już dwa lata nie widziałem żony, czasem śni mi się, że jestem z nią w łóżku, ale nie mam twarzy, wtedy zawsze następnego dnia robota mi nie idzie, wolałbym mieć w snach swoją własną twarz, zamiast tej bezkształtnej gęby bez ust, bez oczu i bez nosa, ciekawe, jaką twarz widzi moja żona w takich sytuacjach, wolałbym, żeby to była moja, ale nie wiem, Ja się nazywam Julian Niepogoda, jestem z Alentejo, do Mafry przyznał mnie głód, jaki panuje stale w moich stronach, sam nie wiem, jak to się dzieje, że ludzie tam jeszcze utrzymują się przy życiu, gdyby nie to, że przywykli do jedzenia zielska i zołędzi, to dawno by już chyba wszyscy wymarli, serce się kraje, jak się patrzy na tak rozległe tereny, każdy, kto tam był, wie, jak to wygląda, same dzikie pola, bardzo mało ziemi się tam uprawia i obsiewa, większość to pustkowiec i nieużytki, a poza tym ciągle musimy walczyć z Hiszpanami, którzy sobie poczynają jak u siebie w domu, zjawiają się i znikają, kiedy im się podoba, ostatnio jakoś dają nam spokój, ale Bóg raczy wiedzieć, na jak długo, a król i panowie szlachta, o ile nie gonią nas na wojnę, to sami uganiają się za zwierzyną na polowaniach i biada nieszczęśnikowi, którego przyłapią z królikiem w worku, nawet gdyby to był królik, co zdechł z powodu choroby czy ze starości, w najlepszym wypadku zarobi tuzin batów, żeby miał nauczkę i zapamiętał sobie, że Pan Bóg stworzył króliki gwoździ rozrywki panów i na pański stół, nawet warto byłoby obrywać te baty, gdyby można było zatrzymać zwierzynę, przyjechałem do Mafry, bo wikary z mojej parafii ogłaszał w kościele, że kto tu będzie pracował, stanie się królewskim sługą, no, może nie tak zupełnie królewskim sługą, ale coś w tym rodzaju, a królewscy słudzy, tak mówił, mają zawsze co włożyć do gęby i na grzbiet, a to przecież lepiej niż w raju, bo chociaż Adam z nikim nie musiał dzielić się swoim wiktem, to z ubraniem było u niego gorzej, ale koniec końców wszystko okazało się kłamstwem, nie mówię o raju, bo mnie wtedy nie było, ale o Mafrze, bo jeśli jeszcze nie umarłem z głodu, to tylko dlatego, że wydaję wszystko, co zarabiam, i po dawnemu chodzę obdarty, a co do tego królewskiego sługi, to mam nadzieję, że przed śmiercią ujrzę twarz mojego pana, chyba że wcześniej skomam z powodu rozłąki z rodziną,

jak człowiek ma dzieci, to karmi się też ich widokiem i dobrze by było, żeby i one mogły się karmić widokiem ojca, ale taki już nasz los, wszyscy skończymy tutaj patrząc jeden na drugiego, kim jesteś, co tu robisz, a kim miałbym być i co miałbym robić, sam nie wiem, żadne z moich dzieci nie ma niebieskich oczu, ale jestem pewien, że wszystkie są moje, ale z tymi niebieskimi oczami to jest tak, że pojawiają się w rodzinie od czasu do czasu, już matka mojej matki też miała oczy tego koloru, Ja nazywam się Baltazar Mateusz, wszyscy mnie znają jako Siedem Słońc, Józef Mały wie, dlaczego go tak nazwali, ale ja zupełnie nie wiem, od jak dawna dodano mojej rodzinie te siedem słońc, może jesteśmy siedem razy starsi niż to jedyne słońce, które nam świeci, ale w takim razie powinniśmy być królami świata, ale to tylko takie głupie gadanie kogoś, kto już kiedyś znalazł się blisko słońca, a teraz za dużo wypił, jeśli będę wam plótł coś od rzeczy, to albo z powodu udaru słonecznego, albo też wino zbyt uderzyło mi do głowy, w każdym razie pewne jest, że urodziłem się tutaj równo czterdzieści lat temu, o ile nie pomyliłem się w rachubie, moja matka już nie żyje, nazywała się Marta Maria, mój ojciec już ledwie chodzi, zdaje mi się, że korzenie zaczynają wyrastać mu z nóg albo serce ciągnie do ziemi, żeby odpocząć, mieliśmy tu ogród, tak jak Joachim da Rocha, ale tak tu wszystko rozkopali, że nawet nie odnalazłbym już tego miejsca, ja sam wywoziłem stamtąd parę taczek ziemi, mój dziadek nigdy nie przypuszczał, że wnuk będzie wywoził ziemię uprawianą i obsiewaną, teraz budują tam basztę, nigdy nie wiadomo, co komu pisane, jako młody chłopak kopałem i siałem dla innych, nasze pole było tak małe, że ojciec sam jeden je obrabiał przez okrągły rok i jeszcze miał czas na parę zagonów, które dzierżawił, głodu, takiego prawdziwego, nigdy nie zazналиśmy, ale nigdy też nie zagościł u nas dostatek ani obfitość, kiedy król ogłosił wojnę, walczyłem i straciłem lewą rękę, dopiero później dowiedziałem się, że bez niej stałem się równy Bogu, a że nie nadawałem się już do wojaczki, wróciłem do Mafry, ale przedtem parę lat spędziłem w Lizbonie, to wszystko. A co robiłeś w Lizbonie, spytał Jan Anes, jedyny wśród nich wykwalifikowany czeladnik, pracowałem w jatce na placu Pałacowym, ale tylko nosiłem mięso, A kiedy znalazłeś się blisko słońca, chciał z kolei dowiedzieć się Manuel Milho, może dlatego, że sam lubił obserwować płynącą rzekę, Pewnego razu, kiedy wszedłem na bardzo wysoką górę, tak wysoką, że wystarczyło wyciągnąć rękę, żeby dotknąć słońca, toteż sam już nie wiem, czy straciłem rękę na wojnie, czy też spaliło mi ją słońce, A co to były za góry, w Mafrze nie ma takich gór sięgających słońca, a i w Alentejo, które bardzo dobrze znam, też takich nie ma, dopytywał się Jan Niepogoda, Może ta góra kiedyś była tak wysoka, a teraz jest niska, ale jeśli dla zniwelowania takiego wzgórza jak Vela potrzeba tysięcy wybuchów dynamitu, to żeby obniżyć wysoką górę, trzeba by zużyć cały dynamit świata, zauważył Franciszek

Marques, ten który pierwszy zabrał głos, natomiast Manuel Milho upierał się przy swoim, Do słońca mógłbyś się zbliżyć tylko w wypadku, gdybyś latał jak ptak, nad rzeczynymi rozlewiskami można czasem zobaczyć sokoły, które kołując wznoszą się coraz wyżej i wyżej, aż wreszcie stają się tak małe, że znikają z oczu, wtedy właśnie lecą do słońca, ale człowiek ani nie zna drogi, która tam prowadzi, ani nie wie, przez którą bramę należy wejść, a przecież ty jesteś człowiekiem i nie masz skrzydeł, Chyba że jesteś czarownikiem, powiedział Józef Mały, w tych stronach, gdzie zostałem znaleziony, była taka jedna, co smarowała się jakimiś mazidłami, siadała okrakiem na miotle i po nocach na niej latała, tak przynajmniej ludzie gadali, ja sam tego nie widziałem, Nie jestem żadnym czarownikiem, jak będziecie wygadywać takie rzeczy, to zabierze mnie Święte Oficjum, a poza tym przecież nikomu nie mówiłem, jakobym latał, Ale oświadczyłeś, że byłeś blisko słońca, a prócz tego powiedziałeś jeszcze coś innego, że od kiedy straciłeś rękę, stałeś się równy Panu Bogu, jeśli takie herezje dojdą do uszu Świętej Inkwizycji, to nic cię już nie zbawi, Wszyscy będziemy zbawieni, jeśli dorównamy Bogu, powiedział Jan Anes, Jeśli dorównamy Bogu, będziemy mogli osądzić go za to, że nie dał nam od początku tej równości, powiedział Manuel Milho, Baltazar zaś konstatuując z ulgą, że przestali już mówić o lataniu, wyjaśnił im, że Bóg nie ma lewej ręki, gdyż jego wybrańcy zasiadają po prawicy, skoro więc potępieni idą do piekła, to po jego lewicy nie ma nikogo, skoro zatem nikogo tam nie ma, to na cóż byłaby Bogu lewa ręka, bo jeśli lewa ręka jest nieprzydatna, to znaczy, że jej nie ma, moja natomiast jest nieprzydatna, bo jej nie ma, i na tym polega cała różnica, Może po lewicy Pana Boga zasiada inny Bóg, może Pan Bóg zasiada po prawicy innego boga, może Pan Bóg jest tylko wybrańcem innego boga, może my wszyscy zasiadamy tu jako bogowie, sam nie wiem, skąd takie rzeczy przychodzą mi do głowy, powiedział Manuel Milho, a Baltazar dorzucił jeszcze, Ja w każdym razie jestem ostatni w szeregu, po mojej lewicy już nikt nie może usiąść, na mnie kończy się świat, Doprawdy, skąd takie myśli przychodzą do głowy tym niepiśmiennym chłopom, z których tylko Jan Anes liznął trochę nauki, tego my też zupełnie nie wiemy.

Z głębi doliny, z kościoła św. Andrzeja rozległo się bicie dzwonów na nieszpory. Ponad wyspą Madeirą, na ulicach i placach, w tawernach i barakach mieszkalnych unosi się jakiś nieprzerwany szum, jakby odległe falowanie morza. Czyżby tych dwadzieścia tysięcy ludzi odmawiało popołudniowy pacierz, a może wszyscy naraz opowiadają historie swojego życia, Bóg raczy wiedzieć.

Ziemię, żwir i kamienie ze skał rozsadzanych prochem i rozłupywanych kilofami taczkarze wywożą w dolinę, która stopniowo zapełnia się gruzem pochodzącym z niwelowanego szczytu i z wykopów. Grubszy i cięższy gruz ładuje się na wielkie, obite blachą wozy, ciągnięte przez woły, które zatrzymują się jedynie na czas załadunku i wyładunku. Po ułożonych z belek pochylniach robotnicy wnoszą na rusztowania kamienie zawieszane na drągu opartym na ramionach i karku, wieczna chwała temu, kto wynalazł koromysło, na pewno musiał sam dobrze znać ten ból. Prace, o których tu mowa, są łatwe do opisanego, gdyż sprowadzają się do wysiłku fizycznego, a poza tym są tak zwyczajne, tak proste i tak monotonne, że patrzymy na nie równie obojętnie jak na ruchy własnej ręki, gdy coś piszemy, stąd też zarówno w jednym, jak i w drugim przypadku wykonywana praca przesłania pracującego człowieka. Dużo lepiej i dużo więcej zobaczymy, jeśli spojrzymy z góry, na przykład z pokładu latającej maszyny, na całą Mafre, na rzeczony wzgórze, znajomą dolinę, wyspę Madeirę, gdzie po kilku sezonach drewno pociemniało od deszczu i słońca, a miejscami nawet już murszeje, na wycinkę sosnowych lasów w okolicach Leirii, Torres Vedras i Lizbony, na setki dymów unoszących się dniem i nocą między Mafre a Cascais z pieców, w których wypala się cegłę i wapno, na załadowane cegłą barki, które z Algarve i z Entre-Douro-e-Minho zmierzają do portu w Santo Antonio de Tojal, dokąd podpływają specjalnie przekopanym kanałem, na wozy, które przez Monte Achique i przez Pinheiro de Loures dowożą te wszystkie materiały na budowę klasztoru Jego Królewskiej Mości oraz na inne wozy pełne kamieni z Pero Pinheiro, doprawdy trudno o lepszy belweder niż ten, na którym się znajdujemy, nie byłibyśmy bowiem w stanie ocenić ogromu przedsięwzięcia, gdyby ksiądz Bartłomiej Wawrzyniec nie wynalazł *passaroli*, którą w powietrzu utrzymuje ludzka wola zebrana przez Blimundę do metalowych kul, w dole natomiast wola wielu innych ludzi przykuta jest do ziemi prawem ciężenia i życiowej konieczności, gdybyśmy mogli zliczyć te wszystkie wozy, które krążą w tę i z powrotem po bliższych i dalszych drogach, okazałoby się, że jest ich dwa i pół tysiąca, z góry wydaje się, że stoją, ale to z powodu nadmiernego obciążenia. Gdybyśmy chcieli dojrzeć także i ludzi, trzeba by patrzeć z mniejszej odległości.

Przez wiele miesięcy Baltazar ciągnął i pchał taczki, aż wreszcie stwierdził, że znudziła mu się rola muła zaprzęganego raz z przodu a raz z tyłu lektyki, wykazał się więc publicznie, w obecności fachowców, odpowiednimi umiejętnościami i zaczął powozić parą wołów. W tym awansie pomógł mu wydatnie Józef Mały, gdyż karbowego bawił jego garb i mawiał nawet, że twarz poganiacza znajduje się na wysokości pysków zwierząt, co niewiele

odbiegało od prawdy, jeśli jednak myślał, że go w ten sposób obraża, to się mylił, gdyż właśnie dzięki temu Józef Mały po raz pierwszy uprzytomnił sobie przyjemność płynącą z możliwości patrzenia prosto w ogromne, łagodne wole oczy, w których widział odbicie swojej głowy, tułowia oraz nóg ginących gdzieś na granicy dolnej powieki, skoro cały człowiek mieści się w wolim oku, to można powiedzieć, że świat jest wcale nieźle urządzony. Józef Mały pomógł mu o tyle, że nalegał na karbowego, aby przeniósł Baltazara do poganiaczy, jeśli bowiem jeden kaleka pogania woły, to i drugi może to robić, będą sobie wzajem dotrzymywać towarzystwa, a gdyby okazało się, że nie radzi sobie z tą pracą, to przecież nie ma tu żadnego ryzyka, po prostu wróci do taczek, jeden dzień wystarczy, by sprawdzić jego przydatność. Baltazar nieźle znał się na wołach i mimo że tyle lat nie miał z nimi do czynienia, wystarczyło obrócić dwa razy, by się przekonać, że hak nie stanowi żadnej przeszkody i że prawa ręka nie zapomniała nic ze sztuki władania batem i ościeniem. Wracając wieczorem do domu czuł się równie zadowolony jak wówczas, gdy jako chłopak znalazł w gnieździe pierwsze jajko, gdy jako mężczyzna był pierwszy raz z kobietą i gdy jako żołnierz usłyszał pierwsze dźwięki trąbki, nad ranem zaś śniły mu się woły i zdrowa lewa ręka, niczego więc mu nie brakowało, tym bardziej że jednego z wołów dosiadała Blimunda, ale co to miało znaczyć, mógłby powiedzieć tylko ktoś, kto się zna na tłumaczeniu snów.

Wkrótce po tym, jak Baltazar rozpoczął nowe życie, rozeszła się wieść, że jakoby mają jechać do Pero Pinheiro po bardzo duży kamień przeznaczony na taras, który ma się znajdować nad kościelnym portykiem, kamień ten jest tak wielki, że do jego transportu trzeba będzie dwieście par wołów oraz wielu ludzi do pomocy. W Pero Pinheiro już został zbudowany specjalny wóz, coś na kształt okrętu z indyjskiej floty, oczywiście na kołach, tak przynajmniej mówią ci, którzy widzieli go na ukończeniu oraz mieli okazję rzucić okiem na rzeczony okręty. Jest w tym pewnie sporo przesady, lepiej więc będzie, jeśli zobaczymy go na własne oczy, wraz z tymi wszystkimi, którzy wstają przed świtem, by wyruszyć do Pero Pinheiro, a razem z nimi czterysta wołów oraz dwadzieścia wozów z ekwipunkiem, potrzebnym do transportu kamienia, takim jak sznury i powrozy, kliny, drągi, koła zapasowe, dodatkowe osie, na wypadek gdyby się jakaś złamała, podpory różnych rozmiarów, młoty, kleszcze, żelazne płyty, kosy do koszenia trawy dla zwierząt, a także prowiant dla ludzi, bo nie wszystko będzie się kupować po drodze, jednym słowem, wozy są tak wyładowane, że nikomu nie uda się jechać, wszyscy muszą iść pieszo, zresztą nie jest to znów tak daleko, zaledwie trzy mile w jedną i trzy mile w drugą stronę, wprawdzie droga nie jest dobra, męcząca przy pokonywaniu wzniesień i niebezpieczna przy zjeździe w dół, lecz ludzkie stopy i zwierzęce kopyta tylekroć ją przemierzały z innymi ładunkami, że znają ją na pamięć.

Spośród mężczyzn, których wcześniej spotkaliśmy, w tę podróż wyruszają Józef Mały i Baltazar, każdy ze swoim zaprzęgiem, a w gromadzie robotników pieszych, których mięśnie mają wspomagać wysiłek wołów, idzie ów mieszkaniec Cheleiros, który ma tam żonę i dzieci, wołają go Franciszek Marques, idzie również Manuel Milho, ten, któremu nie wiadzie skąd przychodzą różne rzeczy do głowy. Jest tam też wielu innych Józefów, Franciszków i Manueli, mniej może Baltazarów, jest sporo Janów, Alwarów, Antonich i Joachimów, może też jacyś Bartłomieje, lecz nie ma wśród nich tego naszego, jest też trochę Piotrów, Wincentych, Benedyktów, Bernardów i Kajetanów, są tam wszystkie możliwe imiona i wszystkie możliwe życiorysy, zwłaszcza zaś te pełne udręki i nędzy, a skoro nie możemy opowiedzieć o życiu każdego z nich, są bowiem zbyt liczni, to przynajmniej odnotujmy niektóre imiona czyniąc je nieśmiertelnymi, upamiętnijmy zatem Alcyna, Błażeja, Daniela, Egasa, Firmina, Geralda, Horacego, Izydora, Juwenala, Krzysztofa, Ksawerego, Ludwika, Markolina, Nikanora, Onufrego, Pawła, Quiteria, Rufina, Sebastiana, Tadeusza, Ubalda, Walerego, Zachariasza, po jednym na każdą literę, żeby nikogo nie pominąć, choć może nie każde z tych imion pasuje do miejsca i czasu, a tym bardziej do osób, ale póki będą istnieć ci, którzy pracują, póty będą istnieć różne prace, i może w przyszłości zdarzy się, że ktoś noszący któreś z tych imion będzie właśnie robił to, co oni teraz. Przykro nam jednak, że spośród wymienionych w tej przykładowej alfabetycznej liście nie opowiemy przynajmniej o życiu Błażeja, podobnie jak Camoes rudowłosego i jednookiego, mogłoby to wszakże nasunąć przypuszczenia, że jesteśmy w kraju kalek, jeden garbaty, drugi jednoręki, trzeci jednooki oraz że przedstawiamy wszystko w czarnych barwach, podczas gdy na bohaterów należy wybierać urodziwych i zgrabnych, wysokich i postawnych, całych i zdrowych, my też byśmy tego chcieli, lecz prawda jest prawdą, należy nam zatem raczej podziękować, że nie wprowadziliśmy do naszej opowieści tych wszystkich mamrotów i jękałów, chromych i końskoszczękich, koślawych i epileptyków, kłapouchów i półgłówków, albinosów i debilów, świerzbowatych, skrofulicznych, parszywych i pryszczatych, dopiero wtedy pochód wyruszający z Mafry byłby prawdziwą paradą łazarzy i quasimodów, całe szczęście, że jeszcze się nie rozwidniło, w nocy bowiem wszystkie koty są szare, a ludzie wyglądają na ludzi, gdyby przyszła tu Blimunda, w każdym z nich ujrzałaby wołę bycia kim innym.

Ledwie weszło słońce, dzień stał się upalny, i nie dziwota, przecież to lipiec. Dla takich jak my, Portugalczycy, obieżyświatów trzy mile to nie żadna mordercza podróż, tym bardziej że większość dostosowuje się do kroku wołów, które nie widzą żadnego powodu do pośpiechu. Woły zaś idą tym razem bez żadnego ładunku, dźwigają jedynie jarzma łączące je w pary i ten komfort napełnia je jakąś nieufnością, może już tuczą je przed wysłaniem na

ubój, toteż prawie zazdroszczą współbraciom ciągnącym wozy z ekwipunkiem. Tak więc, jako się rzekło, ludzie idą powoli, jedni w milczeniu, inni znów gawędząc z przyjaciółmi, tylko jeden z nich zaraz po wyjściu z Mafry puścił się pędem, jakby go giez ugryzł, jakby w Cheleiros miał uratować ojca od stryczka, to Franciszek Marques pragnący skorzystać z okazji, by samemu zawisnąć w pętli żoninych objęć, bo właśnie jest już po połogu, ale może miał inne zamiary, może chciał tylko zobaczyć dzieci, zamienić dwa słowa z małżonką, powiedzieć jej coś miłego, może wcale nie myślał o sprawach łózkowych, było przecież mało czasu i wypadało, żeby w Pero Pinheiro zjawił się jednocześnie z resztą towarzyszy, którzy właśnie teraz przechodzą przez Cheleiros, no, ale mimo wszystko zdążyliśmy iść do łóżka, mały śpi, nic nie zauważył, resztę dziatwy wysłaliśmy na dwór, żeby się tam pobawili, dzieci rozumieją jednak, że ojciec chce pobyc trochę z matką, co by z nami było, gdyby król kazał budować klasztor w Algarve, a kiedy ona zapytała, Już odchodzisz, on odrzekł, Co robić, ale w drodze powrotnej, jeśli będziemy biwakować w pobliżu, spędzę z tobą całą noc.

Franciszek Marques dotarł do Pero Pinheiro zziajany i na miękkich nogach, kiedy inni zdążyli już rozbić obóz, nie było wszakże szałasów ni namiotów, jedynie żołnierze zaciągnęli codzienną wartę i całe obozowisko wyglądało raczej na zwierzęcy targ, ponad czterysta wołów, wśród których uwijali się ludzie, spędzając je na jedną stronę, niektóre płoszyły się, nacierały z impetem, acz niegroźnie łbami, ale już po chwili najspokojniej w świecie żuły siano wyładowywane z wozów, długo musiały na to czekać, teraz z kolei pośpiesznie posilają się kopacze, gdyż oni będą potrzebni w pierwszej kolejności. Zbliży się południe, słońce praży niemiłosiernie twardą, wyschniętą ziemię usłaną kawałkami, odłamkami i odpryskami marmuru, a po obydwu stronach głębokiej jamy kamieniołomu leżą wielkie bloki czekające na przewiezienie do Mafry. Ta podróż ich nie ominie, ale jeszcze nie dziś.

Pośrodku drogi zrobiło się zbiegowisko, stojący z tyłu usiłują wypatrzeć coś ponad głowami innych lub też próbują przepchnąć się do przodu, dołączył do nich Franciszek Marques starając się nadrobić spóźnienie gorliwą ciekawością, Co wy tam oglądacie, Kamień, odpowiedział rudy, ktoś inny zaś dorzucił, Nigdy w życiu nie widziałem czegoś podobnego, i pokiwał głową w osłupieniu. Wówczas zjawili się żołnierze z rozkazem rozejścia się popartym szturchańcami, Przejdźcie tam dalej, mężczyźni są równie ciekawi wszystkiego jak wyrostki, nadszedł też urzędnik intendentury odpowiedzialny za transport kamienia, Odsuńcie się, zróbcie miejsce, ludzie odeszli na bok popychając się nawzajem i wówczas ukazało się ich oczom to, o czym mówił rudy i jednooki Błazej. Była to ogromna prostokątna płyta, zwalista masa pofałdowanego marmuru leżąca na sosnowych pniach, gdyby tak podejść bliżej, to z pewnością można by usłyszeć jęk żywicy, podobny temu, jaki wydobył się z ust

zdzumionych mężczyzn w chwili, gdy kamień objawił im się w całej swej królewskiej wielkości. Intendent podszedł do kamienia i położył na nim rękę, jakby biorąc go we władanie w imieniu Jego Królewskiej Mości, jeśli jednak ci ludzie i te woły nie wyteżą wszystkich sił, to cała władza króla okaże się czystą ułudą, bańką mydlaną i w ogóle niczym. Wszelako wyteżą wszystkie siły. Po to właśnie tu są, po to porzucili pracę na swojej ziemi, pracę, która też wymagała siły, i ziemię, z której na siłę się utrzymywali, lecz intendent może być spokojny, nikt tu nie będzie się wymigiwał.

Podeszli teraz robotnicy z kamieniołomu, wykończą i wyrównają niewielki nasyp, na którym właśnie leży kamień, jego krótsza krawędź znajduje się nad pionową ścianą nasypu, o nią właśnie oprze się ów indyjski okręt, lecz najpierw przybysze z Mafry muszą przygotować szeroki trakt, którym wóz podjedzie, i gdy łagodnie pochylona rampa prowadząca do drogi będzie gotowa, wówczas rozpocznie się transport. Mężczyźni z Mafry uzbrojeni w łopaty i oskardy wysunęli się do przodu, urzędnik zaznaczył na ziemi zarysy traktu i Manuel Milho, który wraz z robotnikiem z Cheleiros znalazł się w pobliżu kamienia, powiedział mierząc się z nim, To matka kamieni, nie nazwał go ojcem kamieni, lecz właśnie matką, może dlatego, że został wydobyty z wnętrza ziemi i jeszcze nosił ślady macicznej gliny, gigantyczna matka, ilu też ludzi mogłoby się na nim położyć, a ilu zostać przezeń zmiażdżonych, jeśli ktoś chce, może to sobie obliczyć, kamień jest bowiem na trzydzieści pięć piędzi długi, na piętnaście szeroki i gruby na cztery piędzi, dla dokładności zaś dodamy, że po obrobieniu i wyszlifowaniu w Mafrze niewiele się zmniejszy i będzie mierzył odpowiednio trzydzieści dwie, czternaście i trzy piędzi, a gdy pewnego dnia wyjdą z użycia piędzi i stopy, zostaną bowiem wynalezione metry, inni ludzie dokonają nowych pomiarów i ustalą, że ma on wymiary siedem metrów, trzy metry i sześćdziesiąt cztery centymetry, warto zapamiętać, ponieważ zaś stare wagi podzieliły losy dawnych miar to zamiast mówić, iż waży on dwa tysiące sto dwanaście arrobas powiemy, że kamień z tarasu komnaty, która będzie zwana *Benedictione*, waży, proszę pań i panów turystów, trzydzieści jeden tysięcy dwadzieścia jeden kilogramów, czyli w zaokrągleniu trzydzieści jeden ton, a teraz przechodzimy do następnej sali, gdyż jeszcze mamy wiele do zwiedzania.

Przez cały ten dzień mężczyźni kopali ziemię. Z pomocą przyszli im poganiacze wołów, Baltazar Siedem Słońc wrócił do taczki, nie przynosiło mu to jednak żadnej ujmę, niekiedy dobrze jest przypomnieć sobie ciężkie roboty, kiedyś może się to jeszcze przydać, wyobraźmy sobie na przykład, że któregoś dnia ludzie zapomną o istnieniu dźwigni, nie będzie wówczas innej rady, jak uciec się do własnej ręki i ramienia, aż wreszcie pewnego dnia zmartwychwstanie Archimedes i powie, Dajcie mi punkt oparcia, a podniosę świat. O

zmierzchu trakt był już gotów, liczył sobie sto kroków i dochodził do bitej drogi, którą tego ranka przemierzili prawie spacerkiem. Ludzie zjedli wieczerzę i ułożyli się do snu pod gołym niebem w zaciszu śnieżnobiałych kamiennych bloków, które wraz z pojawieniem się księżyca nabrały srebrzystego blasku. Noc była gorąca. Płonące tu i ówdzie ogniska rozpalono więc wyłącznie dla przyjemności. Z pysków przeżuwiających wołów ciekły strużki śliny, wraz z nią wracały do ziemi jej soki, do tej ziemi wraca bowiem wszystko, i kamienie wydobywane w takim znoju, i wykopujący je ludzie, i podtrzymujące je dźwignie, i klocki, na których się opierają, nie mają państwo pojęcia, ile pracy włożono w ten klasztor.

Jeszcze przed świtem rozległ się głos trąbki. Ludzie wstali, zwinęli derki, poganiacze zaprzęgli woły w jarzma, intendent wyszedł z domu, gdzie spędził noc wraz ze swoimi pomocnikami, zjawili się też dozorczy, żeby zapoznać się z rozkazami, które będą potem przekazywać. Z wozów wyładowano sznury i powrozy, woły ustawiono rzędem po obydwu stronach traktu. Brakowało tylko indyjskiego okrętu. W istocie była to platforma zrobiona z grubych bali i wsparta na sześciu masywnych kołach osadzonych na solidnych osiach, a jej rozmiary przewyższały nieco kamień, do; którego transportu była przeznaczona. Właśnie podjeżdża, pchana przez ludzi, wśród wrzawy tych, którzy wyteżają siły, i tych, którzy nimi dyrygują, jakiś mężczyzna zagapił się i wsunął nogę pod koło, rozległ się przeraźliwy krzyk, skowyt bóleści nie do wytrzymania, źle się zaczyna ta podróż. Znajdujący się w pobliżu Baltazar zobaczył tryskającą krew i nagle wydało mu się, że znów jest w Jerez de los Caballeros, piętnaście lat temu, ależ ten czas leci. Wraz z jego upływem zablizniają się też rany, sporo jednak potrwa, nim ta rana się zablizni, wciąż krzyczącego mężczyznę kładą właśnie na nosze i zabierają do lazaretu w Morelenie. W tejże Morelenie Baltazar nocował kiedyś z Blimundą, tak to jest na tym świecie, to samo miejsce może się kojarzyć z wielką przyjemnością i wielkim bólem, z przyjemnym zapachem zdrowych humorów i smrodem ropiejącej rany, żeby wyobrazić sobie piekło i niebo, wystarczy poznać ludzkie ciało. Na drodze nie ma już śladów krwi, przeszły po niej koła, ludzkie stopy i rapciaste racice wołów, reszta wsiąkła i zmieszała się z ziemią, jedynie kopnięty na bok kamień zachowuje jeszcze trochę czerwieni.

Platforma posuwała się bardzo wolno, podtrzymywana na pochyłości przez ludzi ostrożnie luzujących sznury, aż wreszcie oparła się o ziemną ścianę, wyrównaną wcześniej przez kamieniarzy. Teraz dopiero trzeba będzie się wykazać nie lada wiedzą i sztuką. Pod wszystkie koła wozu podłożono wielkie kamienie, by nie odjechał podczas przesuwania płyty z sosnowych bali na platformę. Jej powierzchnia została pokryta gliną w celu zmniejszenia tarcia marmuru o drewno, po czym przystąpiono do obwiązywania płyty powrozami, dwa

sznury opasywały ją wzdłuż, na samym brzegu, poza sosnowymi pniami i jeden w poprzek, a wszystkich sześć końcówek łączyło się przed wozem, na grubym drażu wzmocnionym żelazem, do którego zostały przywiązane, od niego zaś odchodziły dwa dalsze powrozy, jeszcze grubsze, stanowiące główne ciągła rozwidlające się następnie na cieńsze odgałęzienia, do których miały być wprzęgnięte woły. Powyższe czynności nie są z rodzaju tych, których opis zajmuje więcej czasu niż wykonanie, wręcz przeciwnie, słońce już wzeszło, już opromienia góry, jakie widzimy z tamtej strony, a dopiero wzmacnia się ostatnie węzły, glinę zaś, która tymczasem zdążyła już wyschnąć, polewa się wodą, lecz przede wszystkim trzeba jeszcze ustawić woły w odpowiedniej odległości, tak, by wszystkie sznury były stosownie napięte i by nie tracić na próżno siły pociągowej z powodu nie zgranych ruchów, gdy jeden ciągnie, a drugi nie, w dodatku dla dwustu par wołów jest tu zbyt mało miejsca, a trzeba będzie ciągnąć równo, do przodu i pod górę. To ciężka sprawa, powiedział Józef Mały, stojący jako pierwszy przy sznurze po lewej, nie dosłyszał jednak odpowiedzi Baltazara, gdyż ten znajdował się nieco dalej. Majster stojący na nasypie i kierujący całą akcją rzuca komendę, jest to przeciągły krzyk urywający się znienacka, sucho, jak wybuch prochu, któremu nie towarzyszy echo, Eeeeeiiii-o, jeśli woły z jednej strony będą ciągnąć silniej od tych z drugiej, to będzie kłopot, Eeeeeiiii-o, właśnie rozległ się okrzyk, dwieście par wołów drgnęło, zaczęły ciągnąć, najpierw szarpnęły, potem wysiłek stał się bardziej równomierny, lecz wkrótce nastąpiło zamieszanie, gdyż jedne zaczęły się ślizgać, inne ciągnąć ku środkowi szpaleru lub na boki, ale to już jest sprawa umiejętności poganiacza, sznury wrzynają się w boki, zewsząd słychać krzyki, przekleństwa, ponaglenia, aż wreszcie na kilka sekund udało się zespolić siły i kamienna płyta posunęła się na jakąś piędź miażdżąc pod sobą pnie. Pierwszy zryw okazał się udany, drugi chybiony, trzeci musiał wyrównać dwa poprzednie, teraz mają ciągnąć tylko te, reszta stoi spokojnie, wreszcie kamień zaczął wjeżdżać na platformę, ciągle jeszcze sunął po pniach, aż wreszcie się przechylił i runął na wóz, bum, szorstka krawędź wbiła się w drewno i kamień znieruchomiał, okazało się, że smarowanie gliną na nic by się nie zdało, gdyby nie zastosowano innych środków. Na platformę weszli ludzie z długimi, mocnymi dragami, z wielkim trudem podważyli nieco chwiejny jeszcze kamień, wówczas inni podłożyli podeń klocki z żelaznymi okuciami, które mogły ślizgać się po glinie, teraz powinno pójść łatwo, Eeeeeiiii-o, Eeeeeiiii-o, Eeeeeiiii-o, wszyscy ciągną z zapalem, tak ludzie, jak i woły, szkoda, że tego nie widzi król Jan V, nie ma bowiem drugiego narodu, który by tak dobrze ciągnął. Boczne powrozy już odczepiono, cała siła pociągowa skupia się teraz na linii opasującej kamień w poprzek i to już wystarcza, płyta wydaje się lekka, z taką łatwością ślizga się po platformie, dopiero gdy spada na nią całą powierzchnią,

rozlega się huk świadczący o jej ciężarze, cały szkielet wozu trzeszczy i gdyby nie to, że ziemia jest tu w sposób naturalny wybrukowana przez kilka warstw kamieni, koła pewnie by się zaryły po osie. Wyciągnięto spod kół duże marmurowe bloki, które służyły za klocki, nie ma już obawy, że wóz się sam potoczy. Teraz przyszła kolej na cieśłów, którzy za pomocą drewnianych młotów, świdrów i dłut robią wzdłuż całej płyty otwory w grubej platformie, są to prostokątne okienka, w które wbijają kliny mocowane następnie grubymi gwoździami, wszystko to razem zajmuje trochę czasu, toteż pozostali ludzie porozchodzili się i odpoczywają w cieniu, woły, zaś przeżuwiają i opędzają się od much, jest bardzo gorąco. Cieśle skończyli dopiero, gdy rozległ się sygnał na obiad, intendent wydał rozkaz przywiązania płyty do wozu, co było zadaniem żołnierzy, i może dzięki ich dyscyplinie i odpowiedzialności, a może dzięki praktyce artyleryjskiej, uporali się z tym w niecałe pół godziny, oplatając dokładnie cały kamień sznurami, tak że stał się nieodłączną częścią platformy, dokąd potoczy się jedna, tam i drugi. Nic dodać, nic ująć, solidna robota. Wóz widziany z daleka wygląda jak opancerzony stwór, jak przysadzisty żółw na krótkich nogach, a że jest cały w glinie, można by mniemać, iż dopiero co wychynął z głębi ziemi, jest jakby przedłużeniem ziemnego nasypu, o który się opiera. Ludzie i woły jedzą już swój obiad, po którym czeka ich jeszcze sjesta, doprawdy, gdyby życie było pozbawione tak dobrych rzeczy jak jedzenie i odpoczynek, to nie byłoby warto budować klasztorów.

Mówi się, że złe chwile mijają, lecz sądząc po zmęczeniu, jakie po nich zostaje, ma się czasem wrażenie, iż wcale tak nie jest, natomiast nie ulega najmniejszej wątpliwości, że szczęście nie trwa wiecznie. Bo oto leży sobie człowiek pogrążony w rozkoszonym odrętwieniu, słuchając grania cykad, wprowadzie nie najadł się do syta, lecz przyzwyczajony żołądek potrafi zadowolić się skromną strawą, tym bardziej że świeci słońce, które też przecież nas żywi, a tu nagle rozlega się głos trąbki, gdyby to się działo w dolinie Jozefata, musieliby powstać umarli, lecz tutaj niestety muszą podnieść się żywi. Trzeba ładować na wozy różnorodny sprzęt, wszystko jest wpisane do inwentarza, sprawdzić trwałość węzłów, przywiązać powrozy do platformy, i gdy rozlega się na nowo okrzyk Eeeeeiii-o, woły beładnie rzucają się do przodu, wbijają racice w nierówną kamienistą drogę, ościenie kłują im karki i wóz, jakby wrywany z wnętrza ziemi, rusza powoli, koła kruszą zaścielające ziemię kawałki marmuru, podobna płyta nigdy jeszcze nie wyszła z tego kamieniołomu. Intendent oraz kilku jego ważniejszych pomocników dosiadło mułów, inni odbędą tę podróż pieszo, z konieczności i obowiązku, są bowiem podwładnymi, wszakże każdy z nich dysponuje jakąś wiedzą, i jakąś władzą, wiedzą pochodzącą z władzy i władzą pochodzącą z wiedzy, nie dotyczy to jednak ogromnej masy ludzi i wołów, ich zadanie polega wyłącznie na

podporządkowaniu się władzy, a najlepszy jest ten, kto wykazuje najwięcej siły. Od ludzi wymaga się ponadto trochę zręczności, żeby nie ciągnęli w przeciwną stronę, żeby w porę podkładali klocek pod koła, żeby umieli przemówić zachęcająco do wołów, połączyć i zwielokrotnić ich wysiłki, co, prawdę powiedziawszy, jest nie lada jaką umiejętnością. Wóz przebył już jakieś pięćdziesiąt kroków, jest w połowie rampy i sunie dalej gwałtownie kolebiąc się na wystających kamieniach, nie jest to przecież żadna karoca ani powóz prałata, które mają resory jak Pan Bóg przykazał. Ten wóz ma sztywne osie i kłocowate koła, grzbietów wołów nie zdobi uprząż, a woźnice nie noszą liberii, to zbieranina, która nigdy nie pójdzie w orszaku triumfalnym ani też nie zostanie dopuszczona do procesji na Boże Ciało. Przewożą wprawdzie kamienną płytę na taras, z którego za parę lat patriarcha wszystkich nas pobłogosławi, lecz byłoby dużo lepiej, żeby każdy z błogosławionych był zarazem błogosławiącym, podobnie jak rzecz się ma z sianiem i jedzeniem chleba.

Będzie to długa podróż. Mimo że król kazał poprawić bruk, droga do Mafry jest bardzo trudna, wije się to w górę, to w dół, to schodzi w nizinę, to pnie się na szczyty, a ten, kto naliczył czterysta wołów i sześciuset ludzi, o ile się pomylił, to raczej na minus niż na plus. Mieszkańcy Pero Pinheiro wylegli z domów, by podziwiać tę wielką pompę, nigdy nie widzieli naraz tylu zaprzęgów i nie słyszeli takiej wrzawy, niektórym żal jest tego wspaniałego kamienia, zrodziła go przecież nasza ziemia, tu, w Pero Pinheiro, oby tylko nie rozleciał się w drodze, bo w takim razie po co w ogóle miałby się narodzić. Intendent ruszył przodem, niczym generał dowodzący bitwą wraz ze sztabem adiutantów polowych i ordynansów, będą badać teren, mierzyć zakręty, oceniać spadki, wyznaczać miejsca obozowania. Po jakimś czasie wracają do wozu, czy dużo przejechał, ale ciągle jest w Pero Pinheiro, skąd wyruszył. Tego dnia w ciągu całego popołudnia przebyli najwyżej z pięćset kroków. Droga była wąska, po jej obydwu stronach ciągnęły się szeregi wołów, nie było miejsca na manewrowanie, toteż połowa siły pociągowej marnowała się z braku zgrania wysiłku, źle też było słycać rozkazy. Kamień zaś był niesamowicie ciężki. Gdy wóz się zatrzymywał, bo raz koło utknęło w jakiejś dziurze, raz znów woły przystawały na chwilę zbierając siły przed wzniesieniem, wydawało się, że żadna siła już go nie ruszy. Gdy jednak wreszcie zaczynał się posuwać, wszystkie bale trzeszczały, jakby chciały skruszyć żelazne okucia i klamry. A był to najłatwiejszy odcinek drogi.

Tej nocy woły zostały wyprzęgnięte z jarzma, lecz nie spędzono ich w stado, zostały po prostu na drodze. Księżyc wzeszedł nieco później, wielu ludzi już spało, podłożywszy sobie pod głowę buty, oczywiście jeśli takowe mieli. Niektórych przyciągała zwodnicza poświata, wpatrywali się w planetę widząc na niej wyraźnie sylwetkę mężczyzny, który w

niedzielę wycinał jeżyny, za co Pan go pokarał skazując na wieczne dźwiganie zebranej wiązki oraz na księżycowe wygnanie, gdzie ciągle przebywa, co jest oczywistym dowodem sprawiedliwości boskiej, ku przestrodze nieposłusznych. Baltazar odszukał Józefa Małego i obydwaj przyłączyli się do Franciszka Marquesa oraz paru innych skupionych wokół ogniska, gdyż noc była chłodna. Później nadszedł Manuel Milho i zaczął opowiadać taką historię, Była sobie pewnego razu królowa, która wraz z królewskim małżonkiem mieszkała w pałacu, miała też dzieci, infanta i infantkę, mniej więcej tego wzrostu, a ten król bardzo lubił być królem, królowa wszakże nie była całkiem pewna, czy lubi być tym kim jest, gdyż została wychowana wyłącznie na królową, nie mogła zatem wybrać i powiedzieć, najbardziej podoba mi się być królową, żeby chociaż była taka sama jak król, ten był całkiem zadowolony z tego, że jest królem, gdyż jego też wychowali wyłącznie na króla, ale królowa była inna, gdyby była taka sama, nie byłoby tej historii, w owym królestwie przebywał też pewien pustelnik, który przeżył mnóstwo przygód, przeżywał je przez wiele lat, aż wreszcie zamieszkał w jaskini, nie wiem, czy już mówiłem, że ta jaskinia była w pewnej górze, nie był to jednak pustelnik z tych, co to się tylko modlą i umartwiają, nazywali go pustelnikiem, gdyż mieszkał sam, żywił się tym, co znalazł, nigdy nie prosił o jedzenie, lecz nie odmawiał, gdy ktoś mu coś ofiarował, pewnego razu królowa wraz z orszakiem przechadzała się w pobliżu i powiedziała do najstarszej piastunki, że chce porozmawiać z pustelnikiem i spytać go o jedną rzecz, na co piastunka odrzekła, Wasza Królewska Mość musi wiedzieć, że to nie jest pustelnik religijny, to człowiek jak każdy inny, różnica polega tylko na tym, że mieszka sam w jaskini, tak powiedziała piastunka, my już o tym wcześniej wiedzieliśmy, wtedy królowa powiedziała, Pytanie, które chcę mu zadać, nie jest związane z religią, poszli zatem w kierunku jaskini i gdy znaleźli się u jej wlotu, jeden z paziów zawołał pustelnika i ten się pojawił, był to mężczyzna w podeszłym wieku, ale krzepki niczym drzewo na rozstajnych drogach, a gdy się pojawił, spytał, kto mnie woła, na co paź odpowiedział, Jej Królewska Mość, i tyle, na dziś dosyć opowiadania, idziemy spać. Słuchacze zaprotestowali, chcieli dowiedzieć się, co było dalej z królową i pustelnikiem, wszakże Manuel Milho nie dał się przekonać, ciąg dalszy dopiero jutro, cóż więc było robić, każdy ułożył się do snu z głową pełną myśli podyktowanych osobistymi, znanymi nam już upodobaniami, tak więc Józef Mały myślał, że król być może już sobie nie folgował z królową, ale skoro pustelnik jest stary, to co z tego może wyniknąć, Baltazar, że królowa to Blimunda, a on sam jest pustelnikiem, co by się całkiem zgadzało, gdyż chodzi tu o historię kobiety i mężczyzny, mimo licznych różnic, Franciszek Marques domyśla się jak się to wszystko skończy, w Cheleiros wam powiem. Księżyc płynie już wysoko na niebie, wiązka jeżyn nie jest nawet

taka ciężka, najgorsze są kolce, to chyba nieładnie, że Chrystus tak się mści za koronę, którą mu nałożyli.

Następny dzień był pasmem udręki. Wprawdzie droga stała się trochę szersza, woły mogły się zatem swobodniej poruszać, bez tłoczenia się, lecz wóz z uwagi na swoje rozmiary, sztywne osie oraz wielkie obciążenie z trudem brał zakręty, musieli więc przesuwać go bokiem, najpierw przód, potem tył, koła stawiały opór, zawadzały o kamienie, które trzeba było rozbijać młotem, lecz nawet w tej sytuacji ludzie nie narzekali, jeśli tylko mieli dość miejsca, by wyprząc tyle wołów, ile trzeba było do przesunięcia wozu i ustawienia go przodem w kierunku jazdy. Pokonywanie wzniesień bez zakrętów było kwestią jedynie wysiłku fizycznego, ciągnęły wszystkie woły z łbami tak bardzo wysuniętymi do przodu, że dotykały niemal zadów tych, które szły przed nimi, nierzadko też ślizgały się na łąjnie i mocz, płynących koleinami wyżłobionymi przez koła i kopyta. Co dwa zaprzęgi szedł poganiacz, z daleka widać było ich głowy i ościenie wyłaniające się pomiędzy kabłąków jarzma, górujące nad złocistymi grzbietami, jedynie Józef Mały był niewidoczny, i nic dziwnego, pewnie szeptał do ucha swoim braciom we wzroście, Ciągnijcie, wołki moje, ciągnijcie.

Lecz udręka zamieniała się w koszmar, gdy droga prowadziła w dół. Wóz w każdej chwili mógł nadmiernie się rozpędzić, trzeba było bezustannie podkładać klocki, wypręgać prawie wszystkie woły, trzy, cztery zaprzęgi z każdej strony wystarczały, by ciągnąć kamień, wszelako setki ludzi przypominających mrówki musiało wówczas chwytać za sznury z tyłu platformy i zapierając się nogami w ziemię oraz przechylając się całym ciałem do tyłu powstrzymywać wóz, który w każdej chwili mógł porwać ich za sobą w dolinę i w mgnieniu oka wypaść z zakrętu. Tymczasem woły znajdujące się gdzieś nie opodal obojętnie żuły trawę, obserwując całe zamieszanie, bieganinę ludzi wydających rozkazy, intendenta dosiadającego muła, twarze nabiegłe krwią i zlane potem, one zaś czekając na swoją kolej stoją sobie tak spokojnie, iż nawet nie drgnie oścień oparty o jarzmo. Ktoś wpadł na pomysł, żeby woły zaprząć od tyłu, lecz wkrótce trzeba było z tego zrezygnować, wół bowiem nie rozumie arytmetyki wysiłku wynikającej z dwóch kroków do przodu i trzech do tyłu. Wół albo pokonuje wzniesienie i wlecze pod górę to, co właśnie powinno zjeżdżać, albo bez stawiania najmniejszego oporu daje się pociągnąć w dół, przez co grozi mu połamanie kości w sytuacji, kiedy można by sądzić, że nie powinien się w ogóle zmęczyć.

W ciągu całego tego dnia, od wschodu do zachodu słońca, przebyli jakieś półtora tysiąca kroków, czyli mniej niż połowę tutejszej mili, co w porównaniu z wielkością kamienia równało się jego dwustu długościom. Tyle godzin, tyle wysiłku i tyle potu kosztowało ich

przebycie tak krótkiej drogi, w ciągu której wóz toczył się wówczas, gdy właśnie powinien stać i stał wówczas, gdy powinien się toczyć, przeklęty bądź kamienny potworze wraz z tymi, którzy kazali cię wykopać, a nam każą się wlec przez te pustkowia. Wycieńczeni ludzie padają na ziemię, dyszą ciężko leżąc na wznak i patrząc w niebo, które z wolna ciemnieje, najpierw ma się wrażenie, że to świt, a nie zmierzch, potem w miarę ubywania światła staje się coraz bardziej przezroczyste, aż wreszcie zniecka kryształ zamienia się w czarny aksamit i zapada noc. Księżyc znajdujący się w ostatniej kwadrze wszędzie tej nocy późno, gdy cały obóz będzie już pogrążony we śnie. Ludzie jedzą kolację przy ogniskach, ziemia konkuruje z niebem, tam są gwiazdy, a tu ogniska, może kiedyś w początkach świata wokół tychże gwiazd zasiadali mężczyźni wlokący kamienne bryły, z których zbudowane jest sklepienie niebieskie, i kto wie, może mieli równie zmęczone, zarośnięte twarze, równie ciężkie, zgrubiałe i brudne ręce, z żalobą, jak się to mówi, za paznokciami, może też byli równie złani potem. Baltazar poprosił Manuela Milho, Opowiedz, co było dalej po tym, jak pustelnik pojawił się u wlotu jaskini, wtedy Józef Mały zaczął zgadywać, Pewnie królowa odesłała paziów i piastunki, szelma z tego Józefa Małego, lecz zostawmy spowiednikowi zadanie mu stosownej pokuty, naturalnie o ile spowiedź będzie uczciwa i pełna, w co należy wątpić, i posłuchajmy Manuela Milho, który mówi tak, Kiedy pustelnik pojawił się u wlotu jaskini, królowa zrobiła trzy kroki w jego stronę i zapytała, jeżeli kobieta jest królową, a mężczyzna królem, co mają zrobić, żeby nie czuli się tylko królem i królową, lecz mężczyzną i kobietą, na co pustelnik odpowiedział innym pytaniem, jeżeli mężczyzna jest pustelnikiem, to co powinien zrobić, żeby czuł się mężczyzną, a nie tylko pustelnikiem, królowa pomyślała chwilę i odrzekła, królowa przestanie być królową, król nie będzie więcej królem, pustelnik opuści pustelnię, ot co każdy powinien zrobić, ale chcę zadać jeszcze jedno pytanie, kim są mężczyzna i kobieta, skoro on nie jest pustelnikiem, a jedynie mężczyzną, ona zaś nie jest królową, a jedynie kobietą, co to jest być nie będąc tym, kim się jest, na co pustelnik odpowiedział, nikt nie może być nie będąc, mężczyzna i kobieta nie istnieją, istnieje tylko to, kim są, i bunt przeciwko temu, kim są, wtedy królowa oświadczyła, ja buntuję się przeciwko temu, kim jestem, powiedz mi teraz, czy ty też się buntujesz przeciwko temu, kim jesteś, on zaś odpowiedział, bycie pustelnikiem jest zaprzeczeniem bycia, tak myślą inni ludzie, wszelako jest to jednak bycie kimś, na co ona, jakie zatem jest wyjście, na co on, jeśli chcesz być kobietą, przestań być królową, resztę poznasz później, na co ona, jeśli chcesz być mężczyzną, to dlaczego nadal jesteś pustelnikiem, na co on, ponieważ najtrudniej ze wszystkiego jest być mężczyzną, na co ona, czy wiesz, co to znaczy być mężczyzną i kobietą, na co on, tego nikt nie wie, po tej odpowiedzi królowa oddaliła się w otoczeniu szemrającego

orszaku, resztę opowiem jutro. Dobrze zrobił Manuel Milho przerywając opowiadanie, gdyż dwaj słuchacze, Józef Mały i Franciszek Marques, już pochrapywali zawinięci w derki. Ogniska powoli wygasły. Baltazar uważnie popatrzył na Manuela Milho, Ta cała historia nie trzyma się kupy, w niczym nie przypomina znanych opowieści o księżniczce pasącej gęsi, o dziewczynce z gwiazdką na czole, o drwalu, co znalazł w lesie dziewczkę, o błękitnym byku, o diable z Alfusqueiro, o siedmiogłowym smoku, Manuel Milho odpowiedział na to, Gdyby był na świecie olbrzym tak wielki, że sięgałby nieba, uznałbyś, że jego stopy to góry, głowa zaś to gwiazda poranna, jak na człowieka, który twierdzi, że latał w powietrzu i że jest równy Bogu, jesteś zbyt podejrzliwy. Baltazar pominął milczeniem tę wymówkę, powiedział tylko dobranoc, odwrócił się plecami do ogniska i wkrótce zasnął. Manuel Milho jeszcze jakiś czas zastanawiał się, jak najlepiej wybrnąć z historii, w którą się uwikłał, czy pustelnik ma zostać królem, królowa zaś pustelniczką, dlaczego bajki muszą zawsze tak się kończyć.

Podczas tego wlokącego się w nieskończoność dnia tyle wycierpieli, że wszyscy powtarzali, Gorzej już być nie może, a jednak zdawali sobie sprawę z tego, że jutro będzie po tysiącokroć gorzej. Pamiętali dobrze drogę wiodącą w dolinę Cheleiros, pełną ostrych zakrętów, stromych pochyłości i urwistych, prawie pionowych ścian piętrzących się na jej brzegach. Jak my tamtędy przejedziemy, zastanawiał się każdy w duchu. Był to najgorętszy dzień lata, ziemia jak rozżarzone węgle, słońce jak ostroga wbijająca się w plecy. Wzdłuż całego długiego pochodu biegali ludzie z kwartami wody, musieli szukać jej w studniach rozrzuconych po odległych niekiedy dolinach, potem wspinać się pod górę stromymi ścieżkami, by napełnić beczki, było to gorsze niż galery. Koło obiadu znaleźli się na szczycie, skąd w głębi doliny widać było Cheleiros. Właśnie na to liczył Franciszek Marques, nieważne, czy zjadą w dolinę, czy nie, nic go nie powstrzyma, by spędzić tę noc z żoną. Intendent w otoczeniu kilku adiutantów zjechał aż do płynącego w dole strumienia, po drodze zaznaczali niebezpieczne miejsca, gdzie należało zatrzymać się na odpoczynek i dla większego bezpieczeństwa kamienia, później rozkazał wyprząc woły, odprowadzić je na bok za trzecim zakrętem i trzymać w takiej odległości, by z jednej strony nie utrudniały manewru, z drugiej zaś mogły być szybko sprowadzone, jeśli rzeczony manewr będzie tego wymagał. W ten sposób platforma będzie zjeżdżać sama. Nie było innego wyjścia. Podczas gdy wyprzęgano woły, ludzie rozproszeni po zalanym słonecznym żarem szczycie spoglądali na cichą dolinę, na warzywniki, cieniste ogrody i domy, które tchnęły tak wielkim spokojem, że wydawały się wprost nierealne. Może tak właśnie każdy z nich myślał, a może i nie, może myśli każdego sprowadzały się do jednego tylko zdania, Jeżeli jutro dotrzemy tam na dół, będzie to prawdziwy cud.

O tym, jak to wszystko się odbyło, niech opowiedzą ci, którzy wiedzą więcej. Sześciuset ludzi rozpaczliwie uczepionych powrozów przywiązanych z tyłu platformy, sześciuset ludzi, którzy czuli, że w miarę upływu czasu i przeciągającego się wysiłku wiotczeją im mięśnie, sześciuset ludzi, z których każdy był wcieleniem strachu o życie, tym razem naprawdę, wczoraj to była dziecinna zabawa, a historia Manuela Milho to czysta fantazja, bo czymże w rzeczywistości jest człowiek, którego człowieczeństwo mierzy się siłą mięśni, otóż jest ucieleśnieniem strachu, boi się, że ta siła okaże się niewystarczająca, by powstrzymać potwora, który go bezlitośnie ciągnie za sobą, wszystko zaś z powodu kamienia, który wcale nie potrzebował być aż tak wielki, taras można by przecież zrobić z trzech czy dziesięciu niniejszych, lecz wówczas nie moglibyśmy się pysznić wobec Jego Królewskiej Mości, Jest to jeden kamień, i wobec zwiedzających, nim przejdą do innej sali, Jest to jeden kamień, właśnie tego rodzaju pycha jest źródłem wszelkiego zakłamania, zarówno w skali ogólnej, jak i jednostkowej, o czym świadczy chociażby takie oto stwierdzenie z podręczników historii, Klasztor w Mafrze zawdzięczamy królowi Janowi V który ślubował zbudować go, jeśli będzie miał potomka, a gdzie tych sześciuset mężczyzn, którzy wszak nie zrobili żadnego dziecka królowej, a jednak to oni spełniają ślubowanie, niech to, proszę wybaczyć anachroniczne powiedzonko, cholera weźmie.

Gdyby droga schodziła prosto w dolinę, wszystko sprowadzałoby się do powtarzania na zmianę dwóch czynności, powstrzymywania i zwalniania tego kamiennego latawca, co nawet mogło być niezłą zabawą, poluzować mu sznurek i znów go zwinąć, pozwolić mu się toczyć, póki przyspieszenie jest jeszcze do opanowania, i zatrzymać w porę, by nie runął w dolinę masakrując ludzi, którzy nie zdążą się odeń uwolnić, nieszczęsne latawce uwiązane do tych i innych sznurków. Są wszakże te koszarne zakręty. Na równym terenie stosowali opisaną już metodę, a mianowicie kilka wołów przesuwało bokiem przód wozu ustawiając go w kierunku prostego odcinka drogi, bez względu na jego długość. Była to praca wymagająca wiele cierpliwości, lecz tylekroć ją powtarzali, że wkrótce nabrali rutyny, wyprzęgać, zaprzęgać, wyprzęgać, zaprzęgać, najczęściej męczyły się przy tym woły, ludzie właściwie ograniczali się tylko do krzyków. Teraz zaś, o ile będą krzyczeć, to z rozpacz, z powodu tej szatańskiej kombinacji spadku i zakrętów, z którą wiele razy będą musieli się uporać, lecz krzyk w tej sytuacji mógłby spowodować utratę tchu, którego już i tak nie ma za wiele. Lepiej więc wynaleźć inny sposób, krzyki zaś zostawić na później, kiedy będą mogły wyrażać ulgę. Wóz wchodzi w zakręt, trzyma się możliwie najbliżej jego wewnętrznej krawędzi, z tej właśnie strony podpira się jedno koło, lecz klocek nie może być ani tak solidny, by zahamował cały wóz, ani tak słaby, by został zmiażdżony pod jego ciężarem, jeśli więc

komuś się zdaje, że sprawa nie należy do niezwykle trudnych, to widać, że nie wioził tego kamienia z Pero Pinheiro do Mafry, a tylko obserwował wszystko siedząc z założonymi rękami, albo też ogranicza się do oglądania wszystkiego z odległej perspektywy czasu i przestrzeni, jaką mu daje niniejsza stronica. Przyhamowany w tak niebezpieczny sposób wóz może też mieć szatańską zachciankę, by utknąć w miejscu na dobre, jakby miał wszystkie koła wbite w ziemię. Tak dzieje się najczęściej, jedynie przy bardzo rzadkim zbiegu okoliczności sprzyjających, na które składają się nachylenie zakrętu na zewnątrz oraz minimalna chropowatość terenu i jego odpowiedni spadek, bez trudu udaje się przesunąć bokiem tył platformy, albo, co już jest prawdziwym cudem, ona sama obraca się wokół jedyne punktu oparcia pod przednim kołem. Z reguły jednak jest inaczej, z reguły trzeba znów przykładać ogromną siłę w optymalnych punktach i w odpowiednim czasie, by obrót nie był zbyt zamaszysty, a więc fatalny w skutkach, lub też, Bogu niech będą dzięki za mniejsze zło, by nie był potrzebny nowy, mozolny wysiłek w odwrotnym kierunku. Cztery tylne koła podwęża się drągami, próbuje się przesunąć wóz chociażby o pół piędzi ku zewnętrznej krawędzi zakrętu, ludzie trzymający sznury pomagają ciągnąć w tę samą stronę, wszyscy podnoszą wrzawę, i ci od drągów, stojący w gęszczu naciągniętych niczym struny powrozów, i ci ciągnący za sznury, rozstawieni na zboczu, po którym niejedyn już się obsunął i przeokoziółkował w dół, jak dotąd bez większego szwanku. Wóz wreszcie drgnął, przesunął się na jakieś dwie piędzi, podczas całego tego manewru zewnętrzne koło było na zmianę hamowane i zwalniane, by zapobiec wymknięciu się platformy spod kontroli w jednym z tych momentów, gdy znajdowała się jakby w stanie zawieszenia, pozostawiona własnemu losowi, gdyż nie było dość ludzi do przytrzymywania jej, dla większości bowiem nie było nawet miejsca przy tych skomplikowanych operacjach. Ze szczytu wzgórza przygląda się temu wszystkiemu diabeł i dziwi się własnej naiwności i dobroduszości, jak to się stało, że do tej pory nie wymyślił podobnej tortury dla ukoronowania piekielnych mąk. Jednym z tych, którzy zajmują się podstawianiem klocków pod koła, jest Franciszek Marques. Wykazał się sporą zręcznością na kilku zakrętach, jeden gorszy od drugiego, niektóre nawet wymagały wariackiej odwagi i na każdym z nich trzeba było zrobić ze dwadzieścia ruchów. Jest świadom tego, iż dobrze wykonuje swoją pracę, teraz nawet nie myśli o żonie, wszystko w swoim czasie, cała jego uwaga skupia się na kole, które zaczyna się toczyć i trzeba je w porę zahamować, nie za wcześnie, by nie zmarnować wysiłku towarzyszy ciągnących z tyłu, ale i nie za późno, by wóz nie nabrał rozpędu i nie wyminął klocka. Co właśnie się stało. Może Franciszek zagapił się ocierając ramieniem pot z czoła, może spojrzął w dolinę, na rodzinne Cheleiros, przypominając sobie wreszcie o żonie, nie wiadomo, co było przyczyną, dość, że

klocek wysliznął mu się z ręki w chwili, gdy wóz już się toczył, a on sam znalazł się pod kołem, które po nim przejechało, przypomnijmy, że tylko sam kamień ważył ponad dwa tysiące arrobas. Mówi się, że nieszczęścia chodzą parami, co istotnie jest prawdą, każdy z nas się o tym przekonał, lecz tym razem ten, który zsyła nieszczęścia, uznał, że wystarczy zabić jednego człowieka. Wóz, który mógł przecież popędzić w podskokach w dół, wkrótce się zatrzymał, gdyż koło wpadło w jakąś dziurę, ratunek nie zawsze przychodzi stąd, skąd można by się go spodziewać.

Ciało Franciszka Marquesa wyciągnięto spod wozu. Koło przetoczyło mu się po brzuchu, robiąc jedną miazgę z kości i trzewi, nogi ledwie się trzymały tułowia, mowa tu o nodze prawej i lewej, nie zaś o tej środkowej, tej niespokojnej, z miłości do której Franciszek Marques tylekroć maszerował do Cheleiros, po tej nie został nawet najmniejszy ślad, nawet najmniejszy strzęp. Przyniesiono nosze, złożono na nich ciało owinięte w derkę, która niebawem nasiąkała krwią, dwóch ludzi chwyciło za drągi, dwóch innych przyłączyło się do nich, by nieść na zmianę, wszyscy czterej powiedzą wdowie, Przynieśliśmy męża, oświadczą to kobiecie, która właśnie w tej chwili stanęła w furtce, spogląda na wzgórze, gdzie znajduje się mąż, i mówi do dzieci, Tej nocy wasz ojciec będzie spał w domu.

Gdy kamień zjechał w dolinę, wprzęgnięto na powrót wszystkie woły. Niewykluczone, że zsyłający nieszczęścia pożałował swojej pierwotnej powściągliwości, gdyż wóz zatoczył się na skalnym wyboju i przygniótł do pionowej ściany dwa woły łamiąc im nogi. Trzeba było je dobić ciosami siekier i gdy wieść o tym rozeszła się wśród mieszkańców Cheleiros, wszyscy zbiegli się na darmowy poczęstunek, woły na miejscu zostały obdarte ze skóry i poćwiartowane, krew płynęła strumieniem po drodze i nic nie pomogły kije żołnierzy, dopóki kości nie zostały oczyszczone z ostatniego kawałeczka mięsa, wóz nie mógł dalej jechać. Tymczasem zapadła noc, rozbili więc obóz tam, gdzie stali, jedni usadowili się wzdłuż drogi, inni na brzegu potoku. Intendent wraz z kilkoma pomocnikami spędzi noc pod dachem, reszta zaś jak zwykle owinie się po prostu w derki i przed zaśnięciem skrajnie wyczerpani ludzie będą się zastanawiać, jak to się stało, że jeszcze żyją po tej strasznej podróży w głąb ziemi, niektórzy nawet będą się bronić przed snem, w obawie, że może przynieść śmierć. Przyjaciele Franciszka Marquesa poszli czuwać przy zmarłym, Baltazar, Józef Mały, Manuel Milho oraz paru innych, Błażej, Firmino, Izidor, Onufry, Sebastian, Tadeusz, a także jeszcze jeden, o którym dotychczas nie było mowy, niejaki Damian. Wchodzili, spoglądali w zadumie na nieboszczyka, jak to możliwe, że człowiek ginie tak okrutną śmiercią i jest tak spokojny, jakby spał głębokim snem bez koszmarów i lęków, szeptem odmawiali pacierze, owa kobieta z boku to właśnie wdowa, nie wiemy, jak jej

na imię, zresztą nic by ono nie wniosło do naszej historii, podobnie jak imię Damiana wniosło tylko tyle, że zostało odnotowane. Nazajutrz o wschodzie słońca kamień ruszy w dalszą wędrówkę, w Cheleiros zostanie jeden mężczyzna do pochowania oraz mięso wołów do zjedzenia.

Nie zauważa się ich braku. Wóz jedzie teraz pod górę równie wolno, jak zjeżdżał, gdyby Bóg miał trochę litości dla ludzi, stworzyłby świat płąściutki jak dłoń, transport kamieni trwałby wówczas krócej. Ten podróżuje już piąty dzień, droga poprawi się za następnym wzniesieniem, ludzi nie opuści wszakże duchowe zmęczenie, o fizycznym zaś nawet nie ma co mówić, bolą ich wszystkie mięśnie, ale kto by się tam uskarżał, po to przecież je mają. Woły nie dyskutują i nie skarżą się, po prostu odmawiają dalszej jazdy, w tej sytuacji jedynym wyjściem jest pozwolić im odrobinę odpocząć, podsunąć pod pysk wiązkę słomy i niebawem zachowują się tak, jakby wypoczywały od wczoraj, ich zady rażno falują wzdłuż całej drogi, aż miło patrzeć. Dopóki nie trafi się nowy stok lub nowe wzniesienie. Wówczas znów ludzie łączą się w zastępy, rozdziela się zadania, tyłu a tyłu stanie tu albo tam, zaczynamy ciągnąć, Eeeeeiii-o, rozlega się donośny okrzyk, tara-tata-ta, dźwięczy trąbka, jest to prawdziwe pole bitwy, nie brak na nim nawet zabitych i rannych, nie wiemy wszak, jak ich razem policzyć, nie wszyscy bowiem są jednakowej natury, chyba najzręczniejszy byłoby powiedzieć, że straty wynoszą cztery głowy.

Po południu, ku powszechnemu zadowoleniu, spadł ulewny deszcz. W nocy znów zaczęło padać, lecz nikt nie złorzeczył. Największa mądrość życiowa polega właśnie na obojętnym przyjmowaniu tego, co zsyłają niebiosa, słońce czy deszcz, byleby nie w nadmiarze, ale nawet i wtedy, bo przecież ani w czasie potopu nie zginęli wszyscy ludzie, ani nie było jeszcze takiej suszy, żeby nie przetrwała choćby jedna trawka lub nadzieja na jej odnalezienie. Popadało dobrą godzinę, później chmury rozeszły się, nawet chmury się złoścą, jeśli nie zwracać na nie uwagi. Zapłonęły duże ogniska, niektórzy mężczyźni rozebrali się do naga, by wysuszyć ubrania, można by sądzić, że to jakieś pogańskie zgromadzenie, wiemy wszakże, iż chodzi tu o jedną z najbardziej katolickich akcji, gdyż wieźć kamień do Mafry to jakby nieść wiarę tym, którzy na to zasługują, nad tą ostatnią kwestią można by zresztą w nieskończoność dyskutować, gdyby nie to, że Manuel Milho ciągnie dalej swoją historię, brakuje mu jednego słuchacza, ale tylko ja, ty i ty zauważamy jego nieobecność, inni w ogóle nie znali Franciszka Marquesa, niektórzy widzieli jego trupa, większość nawet i tego nie, nie wyobrażajmy sobie, że sześciuset mężczyzn przedefiluje przed nieboszczykiem składając mu w ten wzruszający sposób ostatni hołd, takie rzeczy zdarzają się tylko w eposejach, wróćmy zatem do naszej historii, Pewnego dnia królowa

zniknęła z pałacu, gdzie mieszkała z królewskim małżonkiem i małymi infantami, do uszu króla dotarły plotki, że rozmowa w jaskini nie była z rodzaju tych, jakie zwykle odbywają królowe i pustelnicy, przypominała raczej taniec tokujących pawi, król wpadł więc w szał zazdrości i pobiegł do jaskini podejrzewając, iż został splamiony jego honor, królowie tacy właśnie są, mają więcej honoru niż inni ludzie, co widać nawet po samej koronie, w jaskini nie zastał jednak ani pustelnika, ani królowej, co jeszcze bardziej go rozwścieczyło, świadczyło bowiem niezbitcie o wspólnej ucieczce, rozesłał zatem po całym królestwie wojsko mające poszukiwać zbiegów, a podczas gdy oni szukają, my pójdziemy spać, bo już najwyższy czas. Józef Mały zaprotestował, Czy ktoś kiedyś słyszał taką historię w kawałkach, na co Manuel Milho odrzekł, Każdy dzień jest kawałkiem historii, nikt nie jest w stanie opowiedzieć jej do końca, Baltazar zaś pomyślał, Ten Manuel Milho na pewno przypadłby do gustu księdzu Bartłomiejowi Wawrzyńcowi.

Nazajutrz była niedziela, mieli więc mszę z kazaniem. Zakonnik, chcąc być lepiej słyszany, wygłaszał kazanie stojąc na wozie z taką swobodą, jakby stał na ambonie, nie zdawał sobie zupełnie sprawy z tego, iż nieopatrznie popełnia profanację, deptał bowiem sandałami kamień ofiarny uświęcony niewinną krwią, krwią mężczyzny z Cheleiros, który miał żonę i dzieci, oraz tego, który stracił nogę w Pero Pinheiro nim kondukt zdążył wyruszyć, a także krwią wołów, nie zapominajmy o wołach, w każdym razie nieprędko o nich zapomną ludzie, którzy je ćwiartowali i dziś, w niedzielę, mają lepszy obiad. Zakonnik podczas kazania powiedział to, co wszyscy zawsze mówią, Ukochani bracia, z nieba patrzy na nas Przenajświętsza Panna i jej Boski Syn, z nieba spogląda na nas również nasz patron, święty Antoni, to z miłości ku niemu wieziemy kamień do Mafry, niewątpliwie ciężki, lecz dużo cięższe są wasze grzechy, wszelako nosicie je w sercach nie odczuwając ich brzemienia, musicie zatem potraktować tę podróż jako pokutę, a także jako dar miłości, szczególna to pokuta i osobliwy dar, za który nie tylko płacą dniówkę, ale jeszcze obiecują nagrodę w niebie, gdyż zaprawdę powiadam wam, przewiezienie tego kamienia do Mafry jest równie świętym przedsięwzięciem jak niegdysiejsze wyprawy krzyżowe, które szły uwolnić Święte Miejsca, wiedźcie bowiem, iż wszyscy, którzy wówczas zginęli, dziś cieszą się życiem wiecznym i patrzą w oblicze Pana, wśród nich znajduje się także wasz towarzysz, zmarły onegdaj, to szczególny traf, iż wypadek ten zdarzył się w piątek, zmarł wprawdzie bez spowiedzi, gdyż spowiednik nie zdążył na czas do wezgłowania konającego, zginął bowiem na miejscu, zbawiło go jednak to, że był krzyżowcem tej wyprawy, podobnie jak zbawieni zostali ci, co pomarli w lazaretach Mafry lub zabili się spadając z murów, wszyscy, prócz tych niepoprawnych grzeszników, których zabrały wstydlive choroby, miłosierdzie niebios

jest zaś tak wielkie, że wrota raju otwierają się nawet przed nożownikami ginącymi w burdach, które bez przerwy wszczynacie, trudno zaiste znaleźć ludzi tak pobożnych i zarazem takich awanturników, lecz tak czy owak, budowa posuwa się naprzód, oby Bóg zesłał nam cierpliwość, wam siłę, a królowi pieniądze na jej ukończenie, gdyż ten klasztor jest niezwykle potrzebny dla umocnienia zakonu i triumfu wiary, amen. Po skończonym kazaniu mnich zszedł na ziemię, a jako że była to niedziela, dzień, który należy święcić, nie było nic więcej do roboty, toteż jedni się spowiadali, inni przyjęli komunię, nie wszyscy oczywiście, dla wszystkich nie starczyłoby świętego opłatka, chyba że nastąpiłoby cudowne rozmnożenie hostii, nic wszakże na ten temat nie wiadomo. Pod wieczór wybuchła bójka między pięcioma krzyżowcami tej wyprawy, nie będziemy jednak podawać szczegółów, gdyż wszystko skończyło się na siniakach i krwawiących nosach. Gdyby się pozabijali, poszliby prosto do nieba.

Tego wieczoru Manuel Milho opowiedział koniec historii. Siedem Słońc spytał go, czy żołnierzom udało się w końcu złapać królową i pustelnika, on zaś odpowiedział, Nie złapali ich, przemierzyli całe królestwo wzdłuż i wszerz, szukali w każdym domu, lecz ich nie znaleźli, co powiedziawszy zamilkł. Wtedy Józef Mały spytał, Co za sens opowiadać coś takiego prawie przez tydzień, a Manuel Milho odrzekł, Pustelnik przestał być pustelnikiem, królowa przestała być królową, nie wiadomo jednak, czy pustelnik potrafił stać się mężczyzną i czy królowa potrafiła stać się kobietą, ja osobiście uważam, że nie byli do tego zdolni, w przeciwnym razie coś by było o tym wiadomo, gdy coś takiego kiedyś się zdarzy, z pewnością będzie o tym głośno, ale w tym przypadku nie, wszystko to zdarzyło się przed wieloma laty, obydwójce już pewnie pomarli, a wraz ze śmiercią kończy się każda historia. Baltazar uderzył swoim hakiem w pobliski kamień. Józef Mały potarł szczeniastą brodę i spytał, A w jaki sposób poganiacz wołów może stać się człowiekiem, na co Manuel Milho odrzekł, Nie wiem, Siedem Słońc wrzucił kamień w ognisko i powiedział, Może latając.

Jeszcze jedną noc spędzili w drodze. Podróż z Pero Pinheiro do Mafry trwała całych osiem dni. Gdy dotarli na plac, wyglądali niczym żołnierze wracający z przegranej wojny, brudni, obdarci i bez łupów. Ludzie dziwowali się niezwyklej wielkości kamienia, Jaki ogromny. Natomiast Baltazar spoglądając na bazylikę szepnął, Jaka mała.

Od chwili gdy latająca maszyna wylądowała na Monte Junto, Baltazar już ze sześć czy siedem razy chodził tam, by sprawdzać jej stan i w miarę swoich możliwości naprawiać powstające z upływem czasu szkody, gdyż mimo osłony gałęzi i jeżyn w istocie znajdowała się pod gołym niebem. Kiedy zauważył, że metalowe pręty zaczynają rdzewieć, wziął ze sobą garnek z łojem i starannie je nasmarował, powtarzając ten zabieg przy kolejnych wyprawach. Nabrał również zwyczaju przynoszenia na plecach wiązki wikliny, którą wycinał na przydrożnych bagnach i która służyła mu do naprawiania dziur i pęknięć w plecionce gondoli, nie zawsze powstałych w sposób naturalny, gdyż na przykład pewnego razu znalazł tam lisie gniazdo z sześcioma małymi. Zabił je z łatwością, jakby to były króliki, waląc hakiem w czubek głowy, po czym rozrzucił je w pewnej odległości od maszyny. Gdy ojciec i matka poczują krew i natrafią na martwe lisiątka, najprawdopodobniej więcej w to miejsce nie powrócą. W nocy usłyszał pomruki zbliżających się zwierząt. Prawdopodobnie poczuły człowieka. Gdy znalazły martwe szczenięta, biedactwa podniosły głośny lament, nie mogły wszakże wiedzieć, czy wszystkie zostały zabite, nie umiały przecież liczyć, toteż zbliżyły się do tego, co uważały za swoją norę, a co było cudzą latającą maszyną, podchodziły ostrożnie ze względu na zapach człowieka, a poczuwszy znów rozlaną krew rodzonych dzieci, odeszły warcząc i jeząc sierść. Więcej się nie pojawiły. Cała ta historia mogła wszakże skończyć się zupełnie inaczej, gdyby zamiast lisów w grę wchodziły wilki. Toteż od tego dnia Siedem Słońc wyruszał z domu zawsze uzbrojony w szpadę, wprowadzie już nieco nadżartą przez rdzę, lecz jeszcze zdatną do ucięcia głowy wilkowi lub wilczycy.

Do tej pory chodził zawsze sam, sam zamierzał iść także i tym razem, ale dziś, po raz pierwszy w ciągu trzech lat, Blimunda powiedziała mu, Idę z tobą, co go bardzo zdziwiło, To przecież daleko, zmęczysz się, Chcę znać drogę na wypadek, gdybym kiedyś musiała iść tam bez ciebie. Był to rozsądny argument, Baltazar wszakże obawiając się wilków powiedział, Choćby nie wiem, co się stało, nigdy nie pójdziesz tam sama, drogi są złe, prowadzą przez pustkowia, o ile sobie przypominasz, mogą cię zaatakować dzikie zwierzęta, na co Blimunda odparła, Nigdy nie należy mówić, choćby nie wiem co się stało, gdyż zawsze mogą stać się rzeczy nieprzewidziane, których nie braliśmy pod uwagę, Mówiąc, choćby nie wiem co się stało, mówisz zupełnie jak Manuel Milho, A kto to jest ten Manuel Milho, Pracował ze mną na budowie, ale zdecydował się wrócić w rodzinne strony, powiedział, że z dwojga złego woli umrzeć podczas wylewu Tagu niż zostać zmiażdżony przez kamień w Mafrze, bo jednak wbrew powszechnej opinii śmierć śmierci nierówna, równość panuje jedynie wśród

nieboszczyków, wrócił więc w swoje strony, gdzie kamienie są drobne i jest ich mało, a woda słodka.

Baltazar, nie chcąc narażać Blimundy na długi marsz, wynajął osła i pożegnawszy się z rodziną wyruszyli oboje w drogę nie odpowiadając na pytania Ines Antoniny i szwagra, Dokąd się wybieracie, z powodu tej podróży stracisz dwie dniówki, w razie jakiegoś nieszczęścia nie będziemy wiedzieli, jak was zawiadomić, mówiąc o nieszczęściu Ines Antonina miała prawdopodobnie na myśli śmierć Jana Franciszka, kostucha bowiem już krążyła wokół jego domu, to podchodząc do drzwi, to znów się cofając, jakby ją zbijało z tropu milczenie starego, bo jak tu powiedzieć człowiekowi, Chodź ze mną, jeśli ten ani nie odpowiada, ani o nic nie pyta, tylko patrzy, takie spojrzenie może onieśmielać. Lecz Ines Antonina i jej mąż nie wiedzą, nie wie też ich syn, który zresztą jest w takim wieku, iż obchodzą go tylko własne sprawy, że Baltazar powiedział Janowi Franciszkowi, dokąd idą, Ojcze, idziemy z Blimunda w góry Barregudo, na Monte Junto, zobaczyć, co się dzieje z maszyną, którą przylecieliśmy z Lizbony, przypominasz sobie, jak mówiło się, że Duch Święty przeleciał nad budującym się klasztorem, to nie był żaden Duch Święty, to my lecieliśmy razem z księdzem Bartłojem Wawrzyńcem, pamięta ojciec tego księdza, był tu u nas jeszcze za życia matki, chciała wtedy zabić koguta, ale on nie pozwolił, uważał, że zamiast jeść koguta, lepiej posłuchać jego piania i że nie należy robić tego kurom. Jan Franciszek wysłuchał tych wspomnień i choć ostatnio nic nie mówił, tym razem powiedział, Wszystko pamiętam, możesz iść spokojnie, jeszcze teraz nie umrę, a jak nadejdzie ta chwila, odnajdę cię, gdziekolwiek będziesz, Ale czy ojciec mi wierzy, że latałem, Dopiero kiedy człowiek jest stary, zaczynają się dziać rzeczy przyszłe, stąd też potrafimy wierzyć w rzeczy, w które dawniej wątpiliśmy, a nawet nie wierząc, że tak mogło być, wierzymy, że tak będzie, Ja naprawdę latałem, ojcze, Wierzę ci, synu.

Klap, klap, klap, mój śliczny osiołku, wprawdzie słowa wierszyka do niego nie pasują, ma on bowiem, osiołek, a nie wierszyk, liczne odparzenia pod kulbaką, mimo to jednak kroczy rażno, gdyż brzemień wcale nie jest ciężkie, jest wręcz bardzo lekkie, bo Blimunda straciła wprawdzie swoją eteryczną wiotkość, przecież minęło już szesnaście lat od naszego pierwszego spotkania z nią, lecz w jej dojrzałości tkwi ciągle cudowna młodość, widocznie nic tak nie konserwuje młodości jak posiadanie i strzeżenie jakiejś tajemnicy. Gdy dotarli do bagien, Baltazar naciął wikliny, Blimunda zaś w tym czasie zebrała wodne lilie na wianek, którym przystroiła uszy osła, wyglądał w nim uroczo, nikt go tak jeszcze nie ufetował, cała ta scena jest jakby wyjęta z opowieści arkadyjskich, mamy pasterza, wprawdzie jednorękiego, ale zawsze, jest też i pasterka strzegąca gęstych obłoków oraz

osiołek, choć takowe zwykle nie występują w tego rodzaju historiach, w tej jednak występuje, został wynajęty, gdyż pasterz nie chciał, by pasterka się zmęczyła, lecz tylko ktoś, kto nie wie, jak często osły bywają niezadowolone z tego, co muszą dźwigać i jak często cierpią na odparzenia i obtarcia, mógłby uznać, że to zwykła historia. Wprawdzie wraz z wiązką wikliny obciążenie się zwiększyło, lecz miły ciężar nie męczy, tym bardziej że Blimunda postanowiła iść pieszo, cała zatem trójka odbywa spacer, jedno niesie kwiaty, dwoje zaś mu towarzyszy.

Jest wiosna, łąki bielą się od niziutkich stokrotek i gdy podróżni skracając sobie drogę wchodzą między kwiaty, ich twarde główki bębnią o bosc stopy Baltazara i Blimundy, każde z nich ma wprawdzie buty, lecz schowali je do sakwy, wzują je dopiero, gdy droga stanie się kamienista, z ziemi unosi się cierpki zapach stokrotek, tak zapewne pachniał świat w pierwszym dniu istnienia, nim Bóg stworzył różę.

Pogoda jest piękna, w sam raz na wycieczkę do latającej maszyny, po niebie płyną wielkie białe obłoki, jak dobrze byłoby wzbić się jeszcze raz w *passaroli*, poszybować w przestworza, okrążyć te podniebne wiszące zamki, zrobić to, na co ptaki się nie odważają, śmiało się w nie zagłębić, drżeć ze strachu i z zimna, potem zaś wyjść z powrotem w błękit i słońce, ujrzyć Ziemię i rzec, Ziemio, jak piękna jest Blimunda. Lecz idą pieszo, Blimunda nie jest już tak piękna, nawet osioł pogubił lilie, które zwiędły z pragnienia, teraz przysiadziemy na chwilę i zjemy nasz twardy codzienny kawałek chleba, ale zaraz ruszamy dalej, przed nami jeszcze szmat drogi. Blimunda notuje w pamięci wszystkie szczegóły, tu góra, tam zarośla, cztery kamienie leżące rzędem, sześć zaokrąglonych wzgórz, nazwy mijanych wiosek, Codegal, Gradil, Cadriceira, Furadouro, Merceana, Pena Firme, szliśmy, szliśmy, aż doszliśmy, oto Monte Junto i *passarola*.

W bajkach zawsze jest tak, że gdy człowiek wymawia zaklęcie, przed zaczarowaną grota wyrasta dąbrowa, nie do przebycia dla kogoś, kto nie zna innego zaklęcia, dzięki któremu w miejsce dąbrowy pojawia się rzeka, a na tej rzece łódka z wiosłami. W tym miejscu też zostały wypowiedziane pewne słowa, Jeśli mam umrzeć na stosie, to już wolę na takim, powiedział je ksiądz Bartłomiej Wawrzyniec w przypiływie szaleństwa, i może te jeżynowe zarośla to właśnie dąbrowa, te kwitnące krzewy to wiosła i rzeka, łodzią zaś może być ten zraniony ptak, lecz jakie zaklęcie należy wypowiedzieć, by to wszystko nabrało sensu. Rozkubaczyli osła, spętali mu przednie nogi, by zanadto się nie oddalił, niech sobie sam poszuka pożywienia i je to, na co ma ochotę, choć wydaje się, że w tak skromnych warunkach będzie miał raczej niewielki wybór, Baltazar tymczasem toruje przejście do maszyny poprzez gąszcz chroniących ją jeżyn, dzieje się tak za każdym razem, ledwie bowiem się odwróci, wnet wyrasta płatanina nowych pędów i pnączy, wśród których bardzo

trudno jest utrzymać tunel wycięty także wokół maszyny, bez którego nie mogliby naprawić wiklinowej plecionki, wzmocnić osłabionych skrzydeł, wyprostować pochylonej głowy i opuszczonego ogona oraz podregulować sterów, faktem jest, że spadliśmy na ziemię, lecz trwamy w pogotowiu. Baltazar długo się musiał trudzić raniąc ręce o kolczaste gałęzie i gdy dojście do maszyny było gotowe, zawołał Blimundę, która mimo wszystko musiała czołgać się na kolanach, wreszcie jakoś do niego dotarła, zewsząd otaczał ich zielony cień, przezroczysty w miejscach, gdzie rosły młode gałązki o świeżych listkach przepuszczających światło i tworzących ażurową kopułę nad czarnym żagle, ponad którą rozciągała się inna kopuła, kopuła ciszy, nad ciszą zaś wznosiło się sklepienie świetlistego błękitu przezierającego przez szczeliny, szparki, prześwity. Po skrzydle opartym o ziemię weszli na pokład maszyny. Na jednej z desek widać było wryte słońce i księżyc, lecz nie przybył żaden nowy znak, zupełnie jakby już nikogo więcej nie było na świecie. Poszycie pokładu miejscami spróchniało, następnym razem Baltazar będzie musiał przynieść parę desek z budowy, jakieś kawałki nieprzydatne na rusztowania, na cóż bowiem zda się konserwacja żelaznych prętów i wiklinowej plecionki, skoro podłoga zapada się pod nogami. W cieniu żagla blado połyskiwały bursztynowe gałki, niczym oczy nie mogące się zamknąć lub też czuwające, by nie przegapić godziny startu. Widać jednak, że maszyna jest opuszczona, w wodzie stojącej na pokładzie, której nie wysuszyły jeszcze letnie upały, czernieją suche liście, gdyby nie wytrwałość Baltazara, zastalibyśmy tu zupełną ruinę, zaledwie szkielet martwego ptaka.

Jedynie kule wykonane z sekretnego stopu błyszczą tak samo jak pierwszego dnia, są świetliste, choć matowe, wyraźnie widać ich ozebrowanie, mocno tkwią w oprawach, trudno wprost uwierzyć, że znajdują się tu już prawie cztery lata. Blimunda podeszła i położyła rękę na jednej z nich, kula nie była ani gorąca, ani zimna, zupełnie jakby ręką Blimundy dotknęła drugiej ręki, wówczas też nie czuje się ani ciepła, ani zimna, czuje się jedynie, że obydwie ręce są żywe, gęste obłoki ciągle w niej chyba żyją, nie widzę żadnych uszkodzeń w metalu, kule są całe, nie mogły więc wyjść, biedactwa, tyle czasu są tu zamknięte, nie wiadomo po co. Baltazar pracujący na dole usłyszał częściowo te słowa lub też może je tylko odgadł, Jeśli wola uleciała z kul, to maszyna jest całkowicie nieprzydatna, nie było tu po co przychodzić, na co Blimunda powiedziała, Jutro sprawdzę.

Pracowali do zachodu słońca. Miotłą zrobioną z gałęzi Blimunda wymiotła liście i inne śmieci, potem pomogła Baltazarowi wymienić połamane łoży i wysmarować łożem pręty. Następnie zajęła się kobiecą czynnością, a mianowicie zszyła rozdarty w dwu miejscach żagiel i pokryła smołą naprawioną powierzchnię, poprzednimi razy Baltazar

wykonywał jedynie prace żołnierskie. Zapadła noc. Baltazar zdjął osłę, by biedak nie był skazany przez całą noc na taką niewygodę, i przywiązał go w pobliżu maszyny, ostrzeże ich na wypadek pojawienia się dzikich zwierząt. Wcześniej sprawdził wewnątrz *passaroli* schodząc przez otwór w pokładzie spełniający rolę luku na tym statku powietrznym czy też aerostatku, jak zostanie nazwany w przyszłości, gdy zajdzie potrzeba stworzenia takiego słowa. Pod pokładem nie było żadnego śladu żywego stworzenia, ani węża, ani jaszczurki, która wciska się we wszystkie zakamarki, ani nawet pajęczyny, bo skąd tu wzięłyby się muchy. Było to jakby wewnątrz jaja otoczone skorupką i wypełnione ciszą. Tam właśnie ułożyli się na posłaniu z liści mając za pościel zdjęte ubrania. W głębokich ciemnościach ich nagie ciała odnalazły się, wszedł w nią pełen żądy, przyjęła go spragniona, potem i ją ogarnęła żądza, a jego pragnienie, wreszcie przywarli do siebie, ruchy, głos płynący z głębi jestestwa, które nie ma własnego głosu, przeciągły krzyk, nagle urwany, szloch, nieoczekiwana łza, maszyna drży, wibruje, być może już oderwała się od ziemi, rozerwała osłonę z jeżyn i pnączy, poszybowała w noc, między chmury, Blimundo, Baltazarze, jego ciało ciąży na niej, obydwójce ciężą ku ziemi, są jednak tutaj, odlecieli, lecz wrócili.

Gdy pierwszy brzask zaczął się sączyć przez wiklinowe łoża, Blimunda wstała ostrożnie i odwracając oczy od Baltazara prześliznęła się nago przez luk. Poranny chłód przejął ją dreszczem, choć może dreszcz ten był w większym stopniu wywołany widokiem świata, o którego istnieniu prawie zapomniała, świata zbudowanego z nakładających się na siebie przezroczyści, skroś burty maszyny widać jeżynowe zarośla i pnącza, dalej majaczy nierealna sylwetka osła, przez niego prześwitują drzewa i krzewy, jakby zawieszzone w powietrzu, i wreszcie solidna ściana pobliskiej góry, gdyby nie ona, można byłoby dojrzeć ryby w odległym morzu. Blimunda podeszła do jednej z kul i utkwiała w niej wzrok. Wewnątrz wirował jakiś cień, coś jakby trąba powietrzna oglądana z dużej odległości. W drugiej kuli było to samo. Blimunda z powrotem przeszła przez luk, zanurzyła się w mrocznym jaju i po omacku poszukała chleba. Baltazar ciągle spał z lewą ręką częściowo przykrytą liśćmi, nie wyglądał wcale na kalekę. Blimunda powtórnie zasnęła. Było już jasno, gdy obudziła się pod wpływem natarczywego uścisku Baltazara. Nim otwarła oczy, powiedziała, Chodź, już zjadłam chleb, wówczas Baltazar wszedł w nią bez obawy, gdyż wiedział, że zgodnie z dawną obietnicą ona nie wejdzie w niego. Gdy opuścili wewnątrz maszyny i ubrali się, Baltazar zapytał, Czy już oglądałaś kule, Tak, odrzekła, Czy nadal wypełnia je ludzka wola, Tak, Czasami zastanawiam się, czy nie powinniśmy otworzyć kul, żeby je wszystkie wypuścić, Jeśli je wypuścimy, to będzie tak, jakby nigdy nic się nie

zdarzyło, jakbyśmy w ogóle się nie urodzili, ani ty, ani ja, ani ksiądz Bartłomiej Wawrzyniec, Czy one ciągle przypominają gęste obłoki, To są gęste obłoki.

Przed południem zakończyli pracę. Maszyna była jak nowa, wyglądała na równie sprawną jak pierwszego dnia, do czego zapewne bardziej przyczynił się fakt, iż wspólnie zajęli się nią kobieta i mężczyzna, niż to, że były to po prostu dwie osoby. Przyciągając i splatając ze sobą gałęzie jeżyn Baltazar zasłonił dojście do maszyny. Koniec końców wszystko dzieje się naprawdę jak w baśni. Przed grotą jest dąbrowa, o ile to, co widzimy, nie jest raczej rzeką bez łodzi i wiosła. Tylko z góry można zobaczyć osobliwe, czarne sklepienie groty, tylko szybująca *passarola* mogłaby je dojrzeć, lecz jedyna, jaka istnieje, utknęła tutaj, zwykłe zaś ptaki stworzone ręką lub z woli Boga przelatują raz, przelatują drugi raz, spoglądają raz, spoglądają drugi raz, i nic z tego nie pojmują. Osioł też nie wie, po co tu przyszedł. Wynajęte zwierzę idzie tam, gdzie mu każą, dźwiga to, co mu załadują na grzbiet, wszystkie podróże są dla niego jednakie, dobrze jednak byłoby, gdyby zawsze były takie jak ta, gdyż większą część drogi przebył luzem, z liliami na uszach, kiedyś zapewne i osłom słoneczko zaświeci.

Zeszli z gór i przezornie wybrali inną drogę, wiodącą przez Lapaducos i Vale Benfeito, zakładali, że wśród ludzi mniej będą rzucać się w oczy, toteż zboczyli na Torres Vedras, potem na południe, nad strumień Pedrullhos, gdyby na świecie nie było smutku i nędzy, gdyby wszędzie po kamieniach płynęły potoki i śpiewały ptaki, można by spędzić życie siedząc sobie na trawce ze stokrotką w dłoni i nawet nie obrywać płatków, gdyż znałoby się wszystkie odpowiedzi lub też byłyby one tak mało ważne, iż ich poznanie nie byłoby warte życia kwiatka. Istnieją wszak jeszcze inne niewyszukane sielskie przyjemności, na przykład Baltazar i Blimunda myją teraz w strumieniu nogi, ona wysoko podkasała spódnicę, lepiej by zrobiła opuszczając ją, gdyż na każdą kąpiącą się nimfę zawsze czyha jakiś satyr, jeden właśnie jest w pobliżu i już atakuje. Blimunda ucieka śmiejąc się, on chwytą ją wpół, padają na ziemię, jedno na drugie, w niczym nie przypominają ludzi tamtej epoki. Osioł podnosi łeb, ogląda swoje długie uszy i nie dostrzega tego, co my, jedynie poruszające się cienie i szare drzewa, każdy ma taki świat, jaki widzą jego oczy. Baltazar bierze Blimundę na ręce i sadza w kulbace, wio osiołku, klap, klap. Popołudnie jest wyjątkowo ciche, bez najłżejszego wiatorku, bez najsłabszej bryzy, muśnięcia powietrza skóra odczuwa niby dotyk innej skóry, nie ma bowiem żadnej różnicy między Baltazarem i resztą świata, a jakąż może być różnica między światem i Blimundą. Do Mafry wrócili nocą. Na wzgórzu Vela płoną ogniska. Gdy języki ognia strzelają wyżej, oświetlają nieregularne mury bazyliki, puste nisze,

rusztowania, czarne otwory okienne, wygląda to bardziej na ruiny niż na nową budowlę, zawsze tak się dzieje, gdy praca zostaje bez ludzi.

Znojne dni i niespokojne noce są udziałem ponad dwudziestu tysięcy robotników śpiących na prymitywnych barakowych pryzkach, ale wielu z nich nawet tego nie miało we własnych domach, gdzie obywali się matą rozłożoną na ziemi i sypiali w ubraniu przykrywając się kapotą, tu zaś w razie chłodu można przynajmniej ogrzać się od ciał towarzyszy, znacznie gorzej jest podczas upałów, gdy zaczynają dokuczać pchły, pluskwy, wszy we włosach i odzieży, oraz inne robactwo powodujące piekielną świerzbiączkę. Do tego jeszcze dochodzi swędzenie przyrodzenia, nagromadzenie humorów, wytryski nasienia we śnie, obok sapiący sąsiad, ale cóż robić, skoro nie ma kobiet. To znaczy właściwie są, lecz nie starcza dla wszystkich. Najlepiej mają ci, którzy przybyli tu jako pierwsi, związali się bowiem z wdowami i porzuconymi, Mafra jest jednak mała i wkrótce nie zostało ani jednej kobiety do wzięcia, mężczyźni mają więc teraz kłopot, muszą dobrze strzec swego ogrodu, choćby i całkiem pozbawionego czaru, od kusicieli i rabusiów. Już nieraz noże poszły w ruch z tego powodu. W przypadku zabójstwa interweniuje sędzia kryminalny wraz z pachołkami, w razie potrzeby pomaga im wojsko, morderca idzie do więzienia i wtedy jedno z dwojga, jeśli zabójca był tym, który miał kobietę, to bardzo szybko pojawia się jego następca, jeśli zaś kobieta należała do ofiary, to następca pojawia się jeszcze szybciej.

A pozostali, cóż oni mają ze sobą począć. Ano, włóczą się po ulicach, błotnistych od bezustannie wylewanych pomyj, zapuszczają się w zaułki, w których również stoją drewniane domy, być może wzniesione z inicjatywy intendentury, która zna przecież męskie potrzeby, być może zbudował je jakiś chciwy zysku właściciel burdeli, w każdym razie natychmiast zostały sprzedane, później wynajęte, a najemczynie wynajmują z kolei same siebie, dużo szczęśliwszy od nich jest osioł wynajęty przez Baltazara i Blimundę, dostał wszak wianek z wodnych lilii, natomiast tym kobietom, ukrytym za wahadłowymi drzwiami, nikt nie przynosi kwiatów, jedynie niecierpliwą chuć, pospiesznie zaspokajaną w ciemnościach, częstokroć niosącą początki zgnilizny, francy, od której nieszczęśnicy niebawem cierpią i jęczą tak samo jak te biedaczki, co ich zaraziły, po udach bezustannie spływa im ropa, a z tą chorobą nie przyjmują do lazaretu i jedynym dostępnym lekarstwem są okłady z żywokostu, tej wspomnianej już cudotwórczej rośliny, która jest dobra na wszystko i niczego nie leczy. Nie brak tu takich, którzy przybyli do Mafry jako dorodne chłopaki, a w ciągu trzech, czterech lat kompletnie stoczyła ich zgnilizna. Nie brak też i kobiet, z początku najzdrowszych pod słońcem, które po śmierci trzeba było natychmiast głęboko zakopywać, gdyż zamieniały się w cuchnącą kupę gnoju. Lecz już następnego dnia ich dom zajmowała nowa lokatorka, prycza

pozostawała ta sama, bety nawet nie uprane, znów jakiś mężczyzna stuka do drzwi, wchodzi, wszystko odbywa się bez słowa, cena jest znana, on rozpina spodnie, ona podnosi spódnicę, niebawem on jęknie z rozkoszy, ona nie musi udawać, są przecież ludźmi poważnymi.

Mnisi z hospicjum obchodzą to miejsce z daleka, wygląda na to, że z cnotliwości, nie litujemy się jednak nad nimi, nie ma bowiem drugiej takiej kongregacji, która umartwienia tak umie sobie wynagradzać przyjemnościami. Idą ze spuszczonego wzrokiem potrząsając kulkami, zarówno tymi od różańców, którymi są opasani, jak i tej rzeczy, co to w sekrecie służy do wspólnych modłów z penitentkami, i jeśli któraś z nich potem owinie sobie lędźwia włosienicą lub w przypadku większej ekstrawagancji kolczatką, to możemy się założyć, iż oni żadnych włosienic na lędźwiach nie noszą, a wszystko, co tu mówimy, należy czytać bardzo uważnie, gwoli lepszemu zrozumieniu. Jeśli nie oddają się innym zajęciom i obowiązkom, idą do szpitala, by pielęgnować chorych, karmią ich rosółem dmuchając na łyżkę, sprowadzają na właściwą drogę konających, w ostatnich dniach właśnie zmarło najpierw dwóch, potem trzech, nic im bowiem nie pomogli ani święci opiekunowie lazaretów, a mianowicie Kosma i Damian, patroni medyków, ani św. Antoni, umiejący równie dobrze składać kości, jak zlepić gliniane dzbany, ani św. Józef, który jako cieśla może wystrugać protezy, ani św. Franciszek Ksawery znający się na wschodniej medycynie, ani Jezus Maryja Józef, czyli cała święta rodzina. Motłoch i tu oddzielony jest od znaczniejszych osobistości i oficerów, ci bowiem mają oddzielny lazaret, a jako że mnisi wiedzą dobrze, komu zawdzięczają klasztor, można sobie wyobrazić różnice tak w leczeniu, jak i w ostatniej posłudze. Lecz niech rzuci w nich kamieniem ten, kto nigdy nie popełnił podobnych grzechów, przecież nawet Chrystus faworyzował Piotra i rozpieszczał Jana, choć apostołów było dwunastu. Pewnego dnia okaże się, że Judasz zdradził z zazdrości, gdyż czuł się opuszczony.

Mniej więcej w tym czasie zmarł też Jan Franciszek Siedem Słońc. Począł, aż syn wróci z budowy, najpierw wszedł Alvaro Diogo, który chciał szybko zjeść i wrócić do ciosania kamieni, właśnie moczył chleb w zupie, gdy wszedł Baltazar, Dobry wieczór, pobłogosławił mnie, ojczy, dzień wydawał się taki sam jak inne, brakowało tylko najmłodszego członka rodziny, który zawsze przychodził ostatni, może ukradkiem zaglądał już na ulicę kobiet, ale jak sobie radzi z płaceniem, skoro musi ojcu oddawać całą dniówkę, co do grosza, i właśnie Alvaro Diogo pyta, Gabriela jeszcze nie ma, wprost nie do wiary, już tyle lat znamy tego chłopaka, a dopiero teraz, kiedy stał się mężczyzną, usłyszeliśmy jego imię, Ines Antonina starając się usprawiedliwić syna mówi, Pewnie zaraz nadejdzie, jest to więc dzień taki sam jak inne, padają te same słowa i nikt nie zauważa zdumienia malującego się na twarzy Jana Franciszka, który siedzi przy kominie mimo panującego upału, nawet Blimunda

tego nie spostrzegła, była bowiem zajęta Baltazarem, który dopiero co wszedł, powiedział dobry wieczór i poprosił ojca o błogosławieństwo nie słuchając odpowiedzi, jak się jest synem przez wiele lat, to czasem okazuje się taki brak uwagi, a więc było to tak, Pobłogosław mnie, ojcze, stary powoli podnosi rękę, tak wolno, jakby już tylko na to starczało mu siły, to jego ostatni gest, nie dokończony, gdyż ręka osunęła się na fałdy kapoty, obok drugiej ręki, i gdy Baltazar wreszcie obrócił się, by przyjąć ojcowskie błogosławieństwo, widzi, że stary opiera się o ścianę, ręce zwisają mu bezwładnie, głowa opadła na piersi, Czy ojciec źle się czuje, pytanie jest zupełnie zbędne, zapewne wszyscy by oniemieli, gdyby Jan Franciszek odpowiedział, Umarłem, co byłoby najprawdziwszą z prawd. Połało się trochę zwykłych w takich wypadkach łez, Alvaro Diogo nie poszedł do pracy, Gabriel zaś po powrocie do domu chcąc nie chcąc musiał udawać smutnego, choć był w świetnym humorze, wracał bowiem prosto z raj, oby tylko ogień piekielny nie zaczął go przypiekać między udami.

Jan Franciszek pozostawił ogródek i stary dom. Kiedyś miał kawałek ziemi na wzgórzu Vela. Przez całe lata czyścił go z kamieni, by wreszcie motyka sięgnęła pulchnej ziemi. Nie miało to sensu, znów pełno tam kamieni, właściwie po co człowiek przychodzi na ten świat.

W ostatnich latach rzymska bazylika św. Piotra niezbyt często opuszczała kufry. W przeciwieństwie bowiem do tego, co sądzi ciemny lud, królowie są zwykłymi ludźmi, jak wszyscy dorastają, dojrzewają i w zależności od wieku zmieniają im się gusta, choć bywa, że chcąc się przypodobać innym skrywają je lub też udają ze względów politycznych. Poza tym mądrość ludowa i indywidualne doświadczenia dowodzą, iż wszystko, co zbyt często się powtarza, staje się nudne. Bazylika św. Piotra nie ma już najmniejszych sekretów dla króla Jana V. Potrafi ją złożyć i rozłożyć z zamkniętymi oczami, samodzielnie lub z czyjąś pomocą, zaczynając od pomocy lub południa, od kolumnady lub absydy, z najdrobniejszych kawałków względnie z większych elementów, rezultat jest zawsze taki sam, ta sama drewniana konstrukcja, klocki lego, składanka, kościół na niby, w którym nigdy nie odbędzie się prawdziwa msza, choć Bóg jest wszędzie.

Jedyna pociecha, że człowiek może przedłużyć swoje życie dzięki dzieciom i o ile wiadomo, że im starszy i bardziej zgorzkniały, tym mniej mu się podoba, jeśli idąc w jego ślady popełniają czyny będące dla innych kamieniem obrazy lub solą w oku, o tyle cieszy go, gdy powtarzają niektóre z jego gestów, słów i zachowań, ludzi się bowiem, że wszystko, co niegdyś zrobił i czym był, zyskuje w ten sposób nowe uzasadnienie. Jest rzeczą jasną, że dzieci udają. Innymi słowy chodzi o to, że król Jan V, straciwszy już upodobanie do składania bazyliki św. Piotra, znalazł drogę pośrednią, by dawało mu to jeszcze pewną przyjemność, zaprosił mianowicie do pomocy swoje dzieci, infanta Józefa i Doñę Marię Barbarę, okazując im w ten sposób ojcowskie i królewskie uczucia. O każdym z nich już mówiliśmy i jeszcze będziemy mówić, tu chcemy tylko nadmienić, że biedna Maria Barbara została bardzo oszpecona przez ospę, lecz księżniczki mają takie szczęście, że nie omija ich małżeństwo z powodu brzydoty i dziobów na twarzy, o ile tylko leży to w interesie korony. Oczywiście, udział dzieci w składaniu bazyliki nie jest zbyt duży. Jeśli nawet król potrzebował pomocy pokojowców przy ustawianiu kopuły Michała Anioła, a propos, przypomnijmy proroczy huk, który temu towarzyszył owej pamiętnej nocy, kiedy król wybierał się do sypialni królowej, to tym bardziej pomocy potrzebują słabe dzieci w wieku szesnastu i czternastu lat. Jest to rodzaj przedstawienia, połowa dworu przygląda się zabawie infanta i infantki siedzących pod baldachimem, są też obecni mnisi, którzy zwierają się sobie z klasztornych przyjemności, podczas gdy dworzanie starają się przybrać taką minę, która by wyrażała jednocześnie szacunek dla książąt, rozczerzenie ich młodym wiekiem oraz religijny pietyzm dla świętej budowli w miniaturze, zaiste, trudno pogodzić i odmalować tyle wrażeń na jednej twarzy, nic więc dziwnego, że wyglądają tak, jakby czuli jakiś skrywany i być może niestosowny ból.

Kiedy Doña Maria Barbara własnoręcznie ustawia którąś z figur zdobiących kapitel, cały dwór bije brawo, gdy zaś infant Józef osobiście wstawia krzyż wieńczący szczyt kopuły, mało brakuje, by wszyscy padli na kolana, wszak to następca tronu. Ich książęce moście uśmiechają się, później król przywołuje dzieci, chwali ich zręczność i udziela im błogosławieństwa, przy którym one kłękają. Świat wydaje się tak pełen harmonii, przynajmniej w tym salonie, jakby był odbiciem tego zwierciadła doskonałości, jakim jest niebo. Każdy wykonywany tu gest jest szlachetny, może nawet boski w swej powadze i ważkości, każde zaś wypowiedane słowo stanowi jakby część zdania, którego końca nie widać i właściwie nie ma żadnego powodu ku temu, żeby się miało skończyć. W taki sposób mówią i zachowują się mieszkańcy niebios, gdy przechadzają się po diamentowych ulicach i gdy ojciec wszechświatów przyjmuje ich na audiencji w swoim złocistym pałacu, gdzie jako członkowie dworu przyglądają się zabawie syna, który układa, psuje i na nowo układa drewniany krzyż.

Król Jan V wydał rozkaz, by nie rozbierano bazyliki, została więc na swoim miejscu. Dworzanie opuścili salę, wyszła też królowa oraz infant i infantka, w ślad za nimi ruszyli mnisi mruczący litanie, król natomiast z powagą przygląda się bazylice, w czym starają się go naśladować szlachcice, których służba przypada na bieżący tydzień. Ponad pół godziny trwała ta zbiorowa kontemplacja króla i pokojowców. W myśli tych ostatnich nie będziemy wnikać, skąd można wiedzieć, co im tam chodzi po głowach, może przykry kurcz łydki, może ulubiona suka, która lada moment się oszczeni, przesyłka z Goa czekająca w urzędzie celnym, nagły apetyt na karmelki, miękka rączka zakonnicy na klasztornej kracie czy swędzenie pod peruką, wszystko jest możliwe, wyjąwszy wzniosłą myśl zaprzatającą króla, która jest następująca, Chcę mieć taką samą bazylikę obok pałacu, tego się zupełnie nie spodziewaliśmy.

Nazajutrz król kazał przywołać architekta Mafrzy, niejakiego Jana Fryderyka Ludovice, tak z portugalska brzmi jego niemieckie nazwisko, i powiedział mu bez ogródek, Moim życzeniem jest, aby w Mafrze, obok pałacu, zbudowano taki sam kościół jak św. Piotra w Rzymie, co rzekłszy, surowo popatrzył na artystę. No cóż, królowi nigdy nie należy mówić nie, a tenże Ludovice, który podczas pobytu w Italii nazywał się Ludovisi, a więc dwukrotnie zmieniał nazwisko rodowe po niemiecku brzmiące Ludwig, dobrze wie, że powodzenie w życiu nie może się obejść bez kompromisu, zwłaszcza gdy się żyje między stopniami ołtarza i tronu. Jednak wszystko ma swoje granice, ten król nie zdaje sobie sprawy z tego, czego żąda, jest głupcem, durniem, przecież jakaś zachcianka, choćby i królewska, nie sprawi, że urodzi się drugi Bramante, Rafael, Sangallo, Peruzzi, Buonarroti, Fontana, Della Porta, Maderna,

uważa, że wystarczy mi powiedzieć, Ludwigu bądź Ludovisi, czy tam Ludovice, jeśli ma być po portugalsku, Chcę św. Piotra, i św. Piotr już stoi, podczas gdy ja wiem, że tylko potrafię budować Mafry, racja, że jestem artystą, i to równie próżnym jak każdy inny, znam wszakże moje możliwości, a także usposobienie tutejszych ludzi, mieszkam tu już przecież dwadzieścia osiem lat, chętni, lecz leniwi, trzeba jednak zρέcznie mu odpowiedzieć, żeby moje nie bardziej mu schlebiło niż najuniżeńsze tak, nie jest to wcale łatwe, oby Bóg mi dopomógł, Zamysł Waszej Królewskiej Mości godny jest wielkiego monarchy, który kazał zbudować Mafrę, wszelako życie jest krótkie, Miłościwy Panie, a św. Piotr, od poświęcenia pierwszego kamienia do konsekracji bazyliki, pochłonał sto dwadzieścia lat pracy i bogactw, Miłościwy Pan, o ile wiem, nigdy tam nie był i opiera swoje wyobrażenie wyłącznie na składanym modelu, myślę, że nam nie udałoby się to nawet i za dwieście czterdzieści lat, Wasza Królewska Mość już dawno byłby w grobie, a także syn, wnuk, prawnuk, praprawnuk i prapraprawnuk Waszej Królewskiej Mości także, zapytuję więc z całym szacunkiem, czy warto budować bazylikę, która może być gotowa dopiero w roku dwutysięcznym, zakładając, że świat będzie jeszcze wtedy istniał, Wasza Królewska Mość raczy zdecydować, Czy świat będzie jeszcze istniał, Nie, Miłościwy panie, czy budować w Lizbonie drugą bazylikę św. Piotra, mnie osobiście wydaje się bardziej prawdopodobny koniec świata niż zbudowanie drugiej takiej bazyliki, Cóż, nie uczynię więc zadość mojemu życzeniu, Wasza Królewska Mość żyć będzie wiecznie w pamięci poddanych, opromieniony wiekuistą chwałą niebios, pamięć jednakowoż nie jest dobrym terenem do stawiania fundamentów, mury rychło by się zawaliły, niebo zaś jest jednym wielkim kościołem, toteż rzymska bazylika jest tyle warta co ziarnko piasku, Skoro tak, to po co budujemy na ziemi kościoły i klasztory, Gdyż nie zdajemy sobie sprawy z tego, że ziemia była już kiedyś kościołem i klasztorem, miejscem wiary i odpowiedzialności, miejscem kultury i wolności, Nie bardzo rozumiem te słowa, I ja nie bardzo rozumiem to, co mówię, ale wracając do sprawy, jeśli Wasza Królewska Mość chce pod koniec życia zobaczyć choćby piędź muru, należy już teraz wydać stosowne rozkazy, w przeciwnym razie nie wykroczymy poza wykopy, Czyżbym miał żyć tak krótko, Budowa trwa długo, a życie krótko.

Mogliby tak rozmawiać przez resztę dnia, wszakże król Jan V, który na ogół nie dopuszcza, by sprzeciwiano się jego woli, tym razem popadł w melancholię, wyobraziwszy sobie kondukty żałobne swoich potomków, syna, wnuka, prawnuka, praprawnuka, prapraprawnuka, z których każdy zmarł nie doczekawszy końca budowy, skoro tak, nie warto więc zaczynać. Jan Franciszek Ludovice stara się ukryć zadowolenie, zorientował się już bowiem, że nie będzie lizbońskiej bazyliki św. Piotra, ma przecież już dość pracy z kaplicą w

Evorze i z budową kościoła św. Wincentego, są to rzeczy na miarę Portugalii, we wszystkim należy zachować proporcje. Obydwaj zamilkli, król nic nie mówi, architekt też się nie odzywa i tak oto rozwiewają się wielkie marzenia i nigdy nie dowiedzielibyśmy się o tym, że Jan V zamierzał wybudować drugą rzymską bazylikę św. Piotra w Parku Edwarda VII, gdyby nie brak dyskrecji Ludovice, który powiedział o tym synowi, ten zaś w sekrecie przekazał nowinę swojej przyjaciółce, pewnej zakonnicy, co to u niej bywał, ona z kolei zwierzyła się spowiednikowi, który podzielił się z generałem zakonu, ów zaś z patriarchą, który zapytał o to króla, na co ten odrzekł, że jeśli ktokolwiek ośmieli się wrócić do tej sprawy, narazi się na jego gniew, tak właśnie to wszystko się odbyło, przestało się zatem o tym mówić i jeśli dziś ten projekt jest znany, to jedynie dlatego, iż prawda historyczna chadza własnymi drogami i po pewnym czasie objawia się nam mówiąc, Oto jestem, nie pozostaje przeto nic innego, jak w nią uwierzyć, wychodzi naga z głębokiej studni niczym muzyka Domenica Scarlattiego, który nadal mieszka w Lizbonie.

Nagle król uderza się w czoło, jego jaśniejącą radością twarz otacza aureola natchnienia. A gdybyśmy powiększyli klasztor w Mafrze tak, by mógł pomieścić dwustu mnichów, co mówię dwustu, niechby i pięciuset, niechby i tysiąc, tuszę, że byłoby to dzieło nie mniej wiekopomne niż bazylika, której nie możemy mieć. Architekt zastanowił się, Tysiąc mnichów, pięciuset mnichów to bardzo wielu mnichów, Wasza Królewska Mość, musielibyśmy zbudować dla nich kościół równie wielki jak w Rzymie, No więc ilu, Powiedzmy trzystu, lecz i w tej sytuacji bazylika, którą zaprojektowałem i która się już buduje, bardzo opieszale, jeśli wolno zauważyć, będzie za mała, Niechże więc będzie trzystu i nie mówmy o tym więcej, takie jest moje życzenie, Wszystko będzie zrobione, niech tylko Wasza Królewska Mość wyda stosowne polecenia. Polecenia zostały wydane. Przedtem jednak pewnego dnia król spotkał się z prowincjałem franciszkanów z Arrabidy, skarbnikiem koronnym i tymże architektem. Ludovice przyniósł swoje rysunki, rozłożył je na stole i objaśnił, Tu mamy kościół, te galerie i baszty w linii północ-południe należą do pałacu królewskiego, z tyłu znajdują się boczne skrzydła klasztoru, a zatem, by uczynić zadość woli Najjaśniejszego Pana, musimy jeszcze za tym wszystkim dobudować nowe skrzydła, lecz w tym właśnie miejscu wznosi się bardzo twarda skała, której wysadzenie i rozkruszenie będzie kosztować wiele trudu, już nieźle się namęczyliśmy nad uszczknięciem jej brzegu, by wyrównać teren. Usłyszawszy, iż król zamierza tak znacznie powiększyć klasztor, pierwotnie obliczony na osiemdziesięciu zakonników, teraz zaś na trzystu, rzecz zaiste nie do wiary, prowincjał, który przyszedł do pałacu nic jeszcze o tym nie wiedząc, padł teatralnie do królewskich stóp, obsypał pocałunkami ręce monarchy i wreszcie oświadczył zdławionym

głosem, Najjaśniejszy Panie, możesz być przekonany, iż w tej właśnie chwili Bóg wydaje rozkazy, by w raju przygotowano nowe, wspanialsze komnaty dla tego, za którego sprawą Jego wielkość i chwałę głoszą na ziemi żywe kamienie, zapewniam cię, Panie, że za każdą nową cegłę położoną w Mafrze zostanie zmówiona w twojej intencji jedna modlitwa, nie za zbawienie duszy, gdyż to zagwarantowały ci już twoje uczynki, modlitwy te będą tylko kwiatami do wieńca, w którym staniesz przed Najwyższym Sędzią, a Bóg da, że dopiero za wiele lat, aby jak najdłużej trwała szczęśliwość twoich poddanych i nie osłabła wdzięczność Kościoła oraz zakonu, którego jestem sługą i przedstawicielem. Król Jan V wstał z fotela i ucałował dłoń prowincjała, wyrażając w ten sposób uległość władzy ziemskiej wobec władzy niebieskiej, gdy zaś na powrót usiadł, znów wokół głowy pojawiła mu się aureola, ten król musi doprawdy uważać, żeby nie zostać świętym. W oczach skarbnika błyszczą pocziwe łzy, Ludovice ciągle trzyma palec wskazujący prawej ręki na planie, w tym miejscu, gdzie znajduje się rzeczona skała, której zrównanie ma kosztować tyle pracy, prowincjał spogląda w sufit, uważa się niejako za przedstawiciela Empireum, król natomiast spogląda kolejno na każdego z nich, obwołają mnie wielkim, pobożnym, najwierniejszym z wiernych, oto co można wyczytać z jego wielkodusznego oblicza, nie co dzień wszak zdarza się, by ktoś kazał powiększyć klasztor osiemdziesięciu na trzystu mnichów, lud mówi, że dobro i zło wypisane jest na twarzy, tym razem na twarzy króla wypisane jest wszystko, co najlepsze.

Wyszedł zgięty w niskich ukłonach Jan Fryderyk Ludovice, zacznie zaraz poprawiać rysunki, wyszedł i prowincjał, uda się do swojej prowincji, by ogłosić dobrą nowinę i zarządzić uroczystości dziękczynne, król natomiast został na miejscu, jest przecież u siebie w domu i właśnie czeka na skarbnika, który poszedł po księgi rachunkowe, a gdy wielkie foliały leżą już na stole, król zapytuje go, No i co tam mamy w rubrykach ma i winien. Rachmistrz w zadumie pociera brodę, jakby coś rozważał, potem otwiera jedną z ksiąg, jakby zamierzał wymienić jakąś konkretną kwotę, lecz poniechawszy jednego i drugiego ogranicza się do następujących słów, Wiedz, Najjaśniejszy Panie, że mieć to mamy coraz mniej, winni zaś jesteśmy coraz więcej, Już w zeszłym miesiącu mówiłeś mi to samo, W zaprzeszłym także oraz w ubiegłym roku, jak tak dalej pójdzie, to wkrótce, Wasza Miłość, ujrzymy dno szkatuły. Do dna naszych szkatuł jeszcze daleko, jedna w Brazylii, druga w Indiach, gdy się wyczerpią, dowiemy się o tym z tak wielkim opóźnieniem, że będziemy mogli powiedzieć, iż w istocie byliśmy biedni i nic o tym nie wiedzieliśmy, Za pozwoleniem Waszej Królewskiej Mości, ośmielam się zauważyć, że jesteśmy biedni i wiemy o tym, Ale Bogu niech będą dzięki, pieniędzy nam nie brakuje, Istotnie, wszakże praktyka rachmistrzowska nauczyła mnie, że najgorszym biedakiem jest ten, komu nie brak pieniędzy, tak właśnie dzieje się w Portugalii,

która jest workiem bez dna, pieniądze wchodzą tu ustami, a wychodzą tyłkiem, za przeproszeniem Miłościwego Pana, Ha, ha, ha, zaśmiał się król, a to dobre, nie ma co, chcesz przez to powiedzieć, że gówno to pieniądze, Nie, Najjaśniejszy Panie, pieniądze to gówno, kto jak kto, ale ja dobrze to widzę z pozycji, w jakiej się znajduję, siedzę bowiem w kucki, jak powinien siedzieć każdy, kto liczy cudze pieniądze. Powyższy dialog jest nieprawdziwy, apokryficzny, oszczerczy, głęboko niemoralny, a także pozbawiony jakiegokolwiek szacunku dla tronu i ołtarza, król i skarbnik wyrażają się jak nie przymierzając furmani w karczmie, brakuje tylko wina i plugawych dziewczek, byłby to już kompletny bezwstyd, jednakże to, co tu przeczytaliśmy, jest jedynie współczesnym tłumaczeniem soczystej od wieków portugalszczyzny, co zważywszy, król powiedział, Od dziś podwajam ci pensję, żebyś nie musiał tak bardzo stękać, całuję ręce Waszej Królewskiej Mości, odrzekł rachmistrz.

Nim Jan Fryderyk Ludovice zdążył zakończyć rysunki rozbudowanego klasztoru, do Mafrzy pogalopował goniec królewski z kategorycznym rozkazem, by niezwłocznie przystąpić do niwelowania góry, przez co zyskiwało się trochę na czasie. Goniec zeskoczył z konia u drzwi intendentury, to samo zrobiła eskorta, otrzepał się z kurzu, wszedł po schodach, wkroczył do salonu, Doktorze Leandrze de Melo, tak brzmiało nazwisko intendenta, Jestem taki a taki, powiedział, przywożę bardzo pilne listy Jego Królewskiej Mości, oto one, i proszę łaskawie o pokwitowanie, gdyż natychmiast wracam na dwór. Tak też się stało, goniec odjechał wraz z eskortą, teraz już stępa, intendent zaś otworzył list pocałowawszy uprzednio z szacunkiem pieczęć, gdy skończył czytać, był tak blady, iż jego zastępca zaczął już żywić nadzieję, że chodzi o dymisję, na czym ewentualnie mogłaby zyskać jego własna kariera, wkrótce jednak się rozczarował, gdyż doktor Leandro de Melo wstał i powiedział, Idziemy na budowę, idziemy na budowę, i już po paru minutach zebrali się wokół niego kwestor, mistrz ciesielski, mistrz mularski, mistrz kamieniarski, główny rządca, inżynier górnik oraz kapitan dowodzący wojskiem, jednym słowem wszyscy, którzy mieli w Mafrze jakąś władzę, a gdy byli już w komplecie, główny intendent odezwał się w te słowa, Panowie, Jego Królewska Mość w swojej pobożności i niezmierzonej mądrości postanowił zwiększyć liczbę miejsc w klasztorze do trzystu i w tym celu należy natychmiast rozpocząć niwelowanie góry od strony wschodniej, gdyż tam właśnie stanie nowy budynek według przybliżonych wymiarów podanych w tym oto liście, a że rozkazy królewskie są po to, by je wykonywać, chodźmy zatem wszyscy na budowę i zobaczymy, jak się do tego zabrać. Kwestor odpowiedział, że po to, by opłacać związane z tym wydatki, nie musi wcale oglądać góry, mistrz ciesielski, że jego sprawa to drewno, ciosanie i piłowanie, mistrz mularski, że jest od budowy murów i układania posadzek, mistrz kamieniarski, że zajmuje się wyłącznie wydobywym kamieniem,

główny rządca zaś, że jeśli będzie trzeba, wyśle tam woły i muły, wszystkie te odpowiedzi, w których można by się doszukać braku subordynacji, były w istocie tylko głosem rozsądku, bo po cóż wszyscy mieli iść oglądać górę, skoro i tak dobrze wiedzieli, jak wiele będzie kosztować jej zniwelowanie. Intendent przyjął tę odpowiedź z dobrą wiarą i koniec końców poszedł wyłącznie w towarzystwie inżyniera, gdyż sprawa leżała w jego kompetencji, oraz kapitana, jako że burzenie jest głównie zajęciem żołnierzy.

Na części terenu ciągnącego się za murem od strony wschodniej brat ogrodnik posadził już drzewa owocowe, założył też grządki różnych warzyw i kwiatów, będące na razie jedynie zapowiedzią przyszłego sadu i warzywnika, przymiarką do ogrodu. Wszystko to zostanie zniszczone. Robotnicy ujrzeli głównego intendenta idącego w towarzystwie hiszpańskiego specjalisty od robót górniczych, popatrzyli potem na skalne straszdyło i natychmiast rozeszła się wieść, iż klasztor zostanie rozbudowany od tej strony, to wprost nie do wiary, jak szybko do publicznej wiadomości przedostają się polecenia, co do których powinna obowiązywać pewna dyskrecja, przynajmniej do chwili ogłoszenia ich przez tego, który je otrzymał. Można by mniemać, że przed napisaniem do doktora Leandra de Melo Jan V wysłał do Siedmiu Słońc albo do Józefa Małego bilecik następującej treści, Nie chcę was martwić, ale przyszło mi do głowy, żeby w klasztorze zamiast osiemdziesięciu umieścić trzystu mnichów, co z drugiej strony jest dobre dla wszystkich pracujących na budowie, gdyż dłużej będą mieć zagwarantowaną pracę, a pieniędzy, jak przed kilkoma dniami powiedział mi mój zaufany skarbnik, mamy dosyć, musicie bowiem wiedzieć, że jesteśmy najbogatszym narodem w Europie, nikomu nic nie jesteśmy winni i wszystkim płacimy, na tym kończę, przesyłam pozdrowienia dla trzydziestu tysięcy Portugalczyków, którzy tam u was zdobywają swój kawałek chleba i tak bardzo się starają, by ich władca miał tę ogromną przyjemność oglądania, wzniesionej ku niebu po wsze czasy, najpiękniejszej w historii ludzkości budowli sakralnej, ktoś mi już nawet powiedział, że rzymski Św. Piotr w porównaniu z nią wygląda na jakąś kapliczkę, do widzenia, do następnego razu, pozdrowienia dla Blimundy, nie mam żadnych wiadomości o latającej maszynie ani o księdzu Bartłomieju Wawrzyńcu, tak bardzo mu pomagałem, tyle wydałem pieniędzy, świat doprawdy pełen jest niewdzięczników, jeszcze raz do widzenia.

Doktor Leandro de Melo stoi załamany u stóp ogromnej skalnej turni, znacznie wyższej od murów, które mają tu stanąć, przedtem był jedynie sędzią w Torres Vedras, szuka więc ratunku u inżyniera górnika, który będąc typowym andaluzyjskim fanfaronem mówi prosto z mostu, *Aun que fuera la Sierra Morena, yo la arrancaria con mis brazos y la precipitaria en la mar*, co po naszymu znaczy tyle co, Zostawcie to mnie, niebawem w tym miejscu będziecie mieć tak przestronny rynek, że lizboński nie będzie się do niego umywał. W ciągu ostatnich lat, a już minęło jedenaście, po okolicznych urwiskach bezustannie dudniło echo wybuchów prochu, ostatnio coraz rzadszych, stosowanych jedynie w przypadkach opornych występów skalnych tkwiących w już przygotowanym terenie. Człowiek naprawdę nigdy nie wie, czy wojna już się skończyła. Mówi sobie, no, to już koniec, lecz nagle okazuje

się, że wcale nie, że zaczyna się na nowo, ta kurwa odżywa po prostu pod inną postacią, jeszcze wczoraj mieliśmy wymachiwanie szablami, a dziś walą z kolubryn, jeszcze wczoraj rozwalano mury, a dziś rozwała się całe miasta, jeszcze wczoraj unicestwiano państwa, a dziś światy, jeszcze wczoraj śmierć człowieka była tragedią, a dziś jest rzeczą banalną zagłada milionów, oczywiście nie dotyczy to Mafry, gdzie nigdy nie zgromadzi się tylu ludzi, choć i tak jest już dużo, wszakże komuś, kto przyzwyczał się do pięćdziesięciu czy stu wybuchów dziennie, ogłuszający huk tysiąca detonacji prochu rozlegających się od wschodu do zachodu słońca, po dwadzieścia w jednej serii, musiał się wydawać końcem świata, tym bardziej że ziemia i kamienie z taką siłą wylatywały w powietrze, iż robotnicy na budowie byli zmuszeni chronić się po drugiej stronie murów lub pod rusztowania, co nie przeszkodziło, że i tak kilku zostało rannych, nie mówiąc już o tych pięciu minach, które zniemacka wybuchły rozrywając na kawałki trzech mężczyzn.

Siedem Słońc nie odpowiedział jeszcze królowi, krępuje się poprosić kogoś o napisanie listu, lecz gdy pewnego dnia przewycięży wstyd, napisze, co następuje, Drogi królu, dostałem Twój list, z którego dowiedziałem się o wszystkim, co chciałeś mi powiedzieć, pracy mamy pod dostatkiem, przerywamy ją tylko wtedy, gdy leje tak, że nawet kaczki miałyby dosyć, ewentualnie gdy spóźnia się dostawa kamienia albo gdy przywiozą cegłę złej jakości i musimy czekać na inną, ostatnio zapanowało spore zamieszanie w związku z tym pomysłem rozbudowy klasztoru, nie wyobrażasz sobie nawet, drogi królu, jak wielka jest ta skalna turnia i ilu wymaga ludzi, trzeba było zaniechać prac przy kościele i pałacu, co spowoduje spore opóźnienie, nawet cieśle i kamieniarze przeszli do wywózki kamienia, ja sam raz poganiał woły, raz zaprzęgam się do taczki, szkoda mi tylko tych drzew cytrynowych i brzoskwińowych, które zostały powyrywane, bratki wyleciały w powietrze, nie ma sensu siać kwiatów, skoro potem traktuje się je z takim okrucieństwem, ale cóż, jak drogi król nadmienia, nic nikomu nie jesteśmy winni, zawsze to jakaś pociecha, moja matka zawsze mawiała, dług rzecz święta, spłacić go trzeba, biedaczka, już jej się zmarło, nie ujrzy zatem najpiękniejszej, jak piszesz w swoim liście, budowli sakralnej w historii ludzkości, chociaż chcąc być szczerym muszę powiedzieć, że w historiach, które znam, nie ma mowy o budowlach sakralnych, tylko o zaczarowanych Mauretankach i ukrytych skarbach, a skoro się już zgadało o skarbach i Mauretankach, Blimunda czuje się dobrze, już nie jest wprawdzie tak ładna jak dawniej, ale niejedna młódka mogłaby jej pozazdrościć, Józef Mały zapytuje, kiedy odbędzie się ślub infantu Józefa, bo chce mu wysłać prezent, może dlatego, że są imiennikami, a trzydzieści tysięcy Portugalczyków poleca się łaskawej uwadze i dziękuje, czują się tak sobie, niedawno mieliśmy tu powszechną sraczkę, tak że smród się niósł na trzy

mile, musiało nam zaszkodzić jakieś jedzenie, ale chyba nie tyle sama mąka, co wołki zbożowe, i nie tyle mięso, co czerwie, ale można się było przy okazji nawet uśmieć, jak człowiek widział cały rząd tyłków wystawionych do wiatru, przy tym orzeźwiającym chłodzie wiejącym od morza, i ledwie jedni kończyli, natychmiast drudzy zaczynali, a czasami tak człowieka przypiliło, że załatwiał się tam, gdzie stał, aha, jeszcze jedno, byłbym zapomniiał, ja też nie mam żadnych wieści o latającej maszynie, może ksiądz Bartłomiej Wawrzyniec zabrał ją do Hiszpanii, może teraz jest w posiadaniu tamtejszego króla, który jak słyszałem ma zostać, drogi królu, twoim kumem, musisz na niego uważać, na tym kończę, pozdrowienia dla królowej, do widzenia, drogi królu, do widzenia.

Powyższy list nigdy nie został napisany, lecz dusze komunikują się między sobą na różne sposoby, ciągle jeszcze pozostające tajemnicą, toteż spośród wielu słów, których Siedem Słońc nie zdołał napisać, niektóre przeniknęły jednak do serca króla, podobnie jak owo fatalne ostrzeżenie pod adresem Baltazara wypisane ognistymi głoskami na murze, zważono, policzono, rozdzielono, chodziło tu wszakże o innego Baltazara, nie o znanego nam Baltazara Mateusza, lecz o tego, który był królem Babilonii i podczas uczty sprofanował święte naczynie ze świątyni w Jeruzalem, za co został ukarany, zginął bowiem z ręki Cyrusa, który narodził się, by wykonać wyroki boskie. Król Jan V grzeszy w inny sposób i jeśli profanuje jakieś naczynie, to jedynie natury cielesnej, to znaczy oblubienice Pana, ale one to lubią, Bogu zaś jest wszystko jedno, a więc do dzieła. W uszach Jana V niczym dzwon żalobny zabrzmiał fragment, w którym Baltazar mówi o śmierci matki i żałuje, iż nie zobaczy ona najpiękniejszej z sakralnych budowli, to znaczy Mafry. Król uświadamia sobie nagle, że jego życie będzie krótkie, podobnie jak krótkie jest życie każdego człowieka, że wielu ludzi umarło i jeszcze umrze przed zakończeniem budowy Mafry, że jutro on sam może na zawsze zamknąć powieki. Myśli o tym, że zrezygnował przecież z budowy kopii rzymskiej bazyliki św. Piotra, gdyż Ludovice przekonał go o krótkości ludzkiego żywota, a wedle tego, co powiedział architekt, tenże św. Piotr pochłonał ni mniej, ni więcej, tylko sto dwadzieścia lat pracy i krociowe sumy. Otóż w Mafrze utopiono już jedenaście lat pracy, a o sumach to lepiej nawet nie wspominać, Kto mi zagwarantuje, że będę żył w chwili konsekracji, przecież jeszcze przed paroma laty groziła mi przedwczesna śmierć z powodu melancholii, która mnie wtedy nękała, a ta biedna matka Siedmiu Słońc widziała początek, lecz nie ujrzy końca, to samo może wszak spotkać i króla.

Jan V znajduje się w jednej z komnat baszty wychodzącej na rzekę. Odprawił pokojowców, sekretarzy, mnichów oraz pewną śpiewaczkę komediową, nie chce nikogo widzieć na oczy. Na jego twarzy maluje się strach przed śmiercią, co jest rzeczą wielce

wstydlivą dla tak potężnego monarchy. Lecz ów strach przed śmiercią nie polega na obawach, iż zniemacka zasłabnie i wyzionie ducha, on się po prostu boi, że jego oczy nie będą otwarte i pełne blasku, gdy w Mafrze staną wieże i kopuła, że jego uszy nie będą już reagować na dźwięki, gdy w Mafrze zwycięsko zabrzmia kuranty i pienia, że nie będzie mógł dotknąć własnymi palcami przebogatych paramentów i odświętnych serwet, że jego nos nie poczuje kadzidła unoszącego się ze srebrnych trybularzy, że będzie już tylko królem, który kazał budować, lecz nie ujrzał gotowej budowli. Po rzece płynie łódź, czy jednak dopłynie do portu, Po niebie mknie chmura, lecz czy rozpułnie się w strugach deszczu, Pod tymi wodami ławica ryb zbliża się ku sieci. Próżność nad próżnościami, rzekł Salomon, a król Jan V powtarza za nim, Wszystko jest próżnością, próżnością jest pragnąć, posiadać jest próżnością.

Wszakże próżności nie przewyżczą skromność, a tym bardziej pokora, raczej nadmiar próżności. W rezultacie tych medytacji i lęków król nie przywdział bynajmniej zgrzebnej szaty pokutnika, lecz przywołał na powrót pokojowców, sekretarzy i mnichów, śpiewaczka przyjdzie później, i zapytał ich, czy prawdą jest, że jak mi się wydaje, bazyliki poświęca się tylko w niedzielę, na co oni odpowiedzieli twierdząco, tego wymaga rytuał, wtedy król polecił sprawdzić, kiedy dzień jego urodzin, to jest dwudziesty drugi października, wypadnie w niedzielę, na co sekretarze przejrzawszy skrupulatnie kalendarze odrzekli, że nastąpi to za dwa lata, w tysiąc siedemset trzydziestym, A więc tego dnia zostanie poświęcona bazylika w Mafrze, takie jest moje życzenie, rozkaz i postanowienie, co usłyszawszy pokojowcy ucałowali rękę najjaśniejszego pana, Trudno wprost orzec, co większą jest chlubą, nad światem panować czy nad takim ludem.

Królewski zapął, acz z pełną rewerencją, ostudzili wszakże Jan Franciszek Ludovice i doktor Leandro de Melo, pospiesznie wezwani z Mafry, dokąd pierwszy pojechał, drugi zaś przebywał tam stale, obydwaj bowiem mając w świeżej pamięci to, co widzieli, zgodnie orzekli, że stan budowy nie rokuje takich nadziei, co dotyczy zarówno klasztoru, którego drugie skrzydło bardzo wolno pnie się w górę, jak i kościoła, który jest przecież budowlą szczególną, wymagającą rozważnego doboru kamieni, Wasza Królewska Mość wie o tym lepiej niż ktokolwiek inny, wszak tak harmonijnie godzi i równoważy wszystkie warstwy, z których składa się naród. Król Jan V zmarszczył czoło, gdyż to zdawkowe pochlebstwo nie było żadną pociechą, i już cisnęła mu się na usta jakaś oziębła odpowiedź, jednak rozmyślił się i ponownie wezwał sekretarzy, których zapytał kiedy po roku tysiąc siedemset trzydziestym, będącym, jak się wydaje, zbyt krótkim terminem, jego urodziny znów wypadną w niedzielę. Po mozolnych wyliczeniach sekretarze niezbyt pewnie oświadczyli, że powtórzy się to dopiero za dziesięć lat, w roku tysiąc siedemset czterdziestym.

W sali oprócz króla, Ludovice i Leandra znajdowało się jeszcze kilku sekretarzy oraz paru pełniących tygodniowy dyżur szlachciców, razem jakieś dziesięć osób, i wszyscy oni poważnie pokiwali głowami, zupełnie jakby sam Halley skończył właśnie wyjaśnienia na temat cykliczności komet, czego to ludzie nie potrafią odkryć. Jednakże po twarzy króla Jana V widać, iż nękają go czarne myśli, szybko podlicza w pamięci pomagając sobie palcami, W tysiąc siedemset czterdziestym będę miał pięćdziesiąt jeden lat, mówi i dodaje ponuro, O ile dożyję. Chwile, które teraz nastąpiły, były dla króla straszne, ponownie przeżywał gólgotę strachu przed śmiercią i przerażenia na myśl o tym, że zostanie ze wszystkiego ograbiony, bezsilną zawiść budzi w nim podsuwany przez wyobraźnię obraz syna sprawującego władzę królewską, mającego u boku młodą królową, która niebawem ma przybyć z Hiszpanii, obydwójce delektują się inauguracją i poświęceniem Mafry, podczas gdy on gnije w katakumbach św. Wincentego obok księżątka Piotra, zmarłego w tak młodym wieku z powodu brutalnego odstawienia od piersi. Wszyscy obecni przyglądają się królowi, Ludovice z naukową ciekawością, Leandro de Melo oburzony na bezwzględność prawa czasu, które nie respektuje nawet królewskiego majestatu, sekretarze zastanawiając się, czy nie pomylili lat przestępnych, a pokojowcy rozważając własne możliwości przeżycia. Czekają, co będzie dalej. Wtedy król Jan V powiedział, Poświęcenie bazyliki w Mafrze odbędzie się dnia dwudziestego drugiego października roku tysiąc siedemset trzydziestego, bez względu na to, czy czasu jest za mało, czy za dużo, czy będzie słońce, czy deszcz, śnieżyca czy wichura, czy świat zaleje potop, czy też trafi go szlag.

Ten sam rozkaz, tyle że bez tych wszystkich emfatycznych wyrażen, był właściwie wydany już wcześniej, teraz to jest jakby uroczysta deklaracja dla historii, w rodzaju tej powszechnie znanej, Ojciec, w ręce twoje polecam ducha mego, masz, bierz, koniec końców, proszę państwa, Bóg nie jest wcale jednoręki, to tylko ksiądz Bartłomiej Wawrzyniec tymi swoimi domowymi czarami sprowadził Baltazara Siedem Słońc z dobrej drogi, wystarczyło przecież zapytać Syna, który wszak ma obowiązek wiedzieć, ile rąk ma jego Ojciec, ale do tego, co już powiedział król Jan V, należy dorzucić jeszcze to, co my sami wiemy na temat liczby rąk, jakimi dysponują jego poddani, synowie ludu portugalskiego, a także do czego te ręce oraz oni sami służą, Rozkazuję sędziom w całym królestwie, by zebrali i przystali do Mafry wszystkich robotników, jakich znajdą w okręgach podlegających ich jurysdykcji, mogą to być cieśle, mularze oraz robotnicy niewykwalifikowani, należy ich oderwać od dotychczasowych zajęć, nawet siłą, pod żadnym pretekstem nie można im pozwolić zostać w domu, bez względu na sytuację rodzinną czy wcześniejsze zobowiązania, nie ma bowiem nic ważniejszego niż wola królewska, chyba że wola boska, jednak wszelkie powoływanie się na

nią jest w tym przypadku bezcelowe, gdyż powyższe środki podejmuje się właśnie gwoli jej zadośćuczynienia, tako rzekłem. Ludovice z powagą kiwnął głową, miał przy tym taką minę, jakby przed chwilą odkrył zasadę przebiegu jakiejś reakcji chemicznej, sekretarze w błyskawicznym tempie coś notowali, pokojowcy spojrzeli po sobie z uśmiechem, to dopiero nazywa się król, a doktor Leandro de Melo pomyślał, iż jego to nie dotyczy, gdyż w podległym mu okręgu wszyscy już pracowali na rzecz klasztoru, bezpośrednio lub pośrednio.

Rozesłano rozkazy, przysłano ludzi. Nieliczni tylko przyszli z własnej woli, zachęcenii obietnicami dobrego zarobku, z zamiłowania do przygód lub z braku więzów uczuciowych, prawie wszystkich trzeba było sprowadzić siłą. Obwieszczenie odczytywano w miejscach publicznych i jeśli nie zgłosiło się dość ochotników, sędzia w otoczeniu pachółków przemierzał ulice, wchodził do domów, otwierał furtki ogrodów i nawet na polach szukał ukrywających się zbiegów, w ten sposób pod koniec dnia zawsze zbierała się grupa dziesięciu, dwudziestu czy trzydziestu mężczyzn, gdy było więcej, strażnicy wiązali ich na różne sposoby, łączyli po kilku powrozami przewiązanymi w pasie, zakładali na szyję zaimprovizowane obroże względnie związywali wszystkich za nogi jak galerników lub niewolników. Wszędzie powtarzała się ta sama scena, Z rozkazu Jego Królewskiej Mości pójdiesz do pracy na budowie klasztoru w Mafrze, i gdy sędzia był bardzo gorliwy, nie zwracał zupełnie uwagi na to, czy wezwany jest w sile wieku, czy stoi nad grobem, czy też jest prawie dzieckiem. Ludzie początkowo odmawiali i mając nadzieję wykręcić się przedstawiali różne wymówki, żona przed rozwiązaniem, stara matka, gromada dzieci, rozpoczęta budowa, skrzynia wymagająca naprawy, nie zaorany ugór, nikt jednak nie zdołał dokończyć wyjaśnień, chwyтали go bowiem pachółkowie i o ile stawiał opór, bili, toteż wielu ruszyło w drogę brocząc krwią.

Biegły za nimi płaczące kobiety i krzyczące dzieci, panował taki zgiełk, jakby to była branka do wojska lub do Indii. Na placach Celorico, Tomaru, Leirii, Vila Pouca, Vila Muita, we wsiach, których nazwy znają tylko ich mieszkańcy, w miejscowościach przygranicznych lub nadmorskich, wokół przęgierzy i w przedsionkach kościołów, w Santarem i Beja, w Faro i Portimao, w Portalegre i Setubalu, w Evorze i w Montemor, w górach i dolinach, w Viseu, Guarda, Bragança, Vila Real, Miranda, Chaves i Amarante, w różnych Vianach i Povoach, wszędzie, gdzie sięgała królewska sprawiedliwość, spędzano mężczyzn, pętanych niczym bydło powrozami poluzowanymi tylko na tyle, by się o siebie nie potykali i mogli patrzeć na żony i dzieci błagające sędziego, próbujące przekupić pachółków kilkoma jajkami czy kurą, lecz te żałosne zabiegi nie odnosiły żadnego skutku, gdyż moneta, jaką król płaci swoje należności, to złoto, szafiry i diamenty, to pieprz i cynamon, kość słoniowa i tytoń, cukier i

drewno sucupiry, łyzy zaś nie są towarem importowanym. Jeśli czas na to pozwolił, niektórzy pachołkowie zabawili się z żonami pojmanych, nieszczęsne kobiety nawet na to przystawały, byle tylko ratować mężów, toteż rozpacz ich nie miała granic, gdy potem patrzyły, jak odchodzą przy wtórze kpin tych, co je wykorzystali, Przeklęty bądź do piątego pokolenia, oby trąd stoczył ci ciało, oby kurwą została twoja matka, kurwą twoja żona i kurwą twoja córka, obyś został wbity na pal od tyłka po gardło, przeklęty, przeklęty, przeklęty. Wyruszył już konwój mężczyzn z Arganil, aż na gościniec idą za nimi zawodzące wniebogłosy kobiety, O mój słodki, kochany mężu, inna znów, O mój synu, jedyna pociecho i osłodo moich starych lat, tym bezustannym zawodzeniem odpowiadają echem pobliskie góry, jakby zdjęte głęboką litością, lecz uprowadzeni mężczyźni są coraz dalej, giną za zakrętem drogi, oczy mają pełne łez, a co bardziej uczuciowym leją się one strumieniem, wtedy rozlega się grzmiący głos, to krzyczy pewien stary chłop, tak stary, że go nie wzięli, krzyczy ze szczytu wzgórza, tej ambony wieśniaków, O blasku władzy, o marna chciwości, o podły królu, ojczyzno bez sprawiedliwości, ledwie zdążył to wykrzyknąć, jakiś pachołek tak go zdeptał pałką w głowę, że zginął na miejscu.

Nie ma to jak być królem. Siedzi sobie na tronie i w każdej chwili może sobie pofolgować stosownie do potrzeby, bądź tam, gdzie król piechotą chodzi, bądź w klasztornej celi, ponadto z każdego miejsca i o każdej porze w imię interesów państwa, które przecież należy do niego, może wysłać rozkaz, by z Penamacor stawili się zdadni, a nawet niekoniecznie zdadni, mężczyźni do pracy przy klasztorze w Mafrze, budowanym z tej racji, że franciszkanie się go domagają już od roku tysiąc sześćset dwudziestego czwartego, oraz z okazji śpłodzenia z królową córki, która nawet nie będzie królową Portugalii, lecz Hiszpanii, tego bowiem wymagają interesy dynastyczne i prywatne. W rezultacie ludzie, którzy nigdy nie widzieli króla ani król nigdy ich nie widział, ruszają w drogę wbrew własnej woli, pod eskortą żołnierzy i pachołków, wędrują luzem, o ile są spokojnego usposobienia lub pogodzili się z losem, natomiast spętani na różne sposoby idą ci, którzy się buntują, lub też kierując się niecną przebiegłością najpierw udawali, że idą dobrowolnie, a później próbowali uciekać, najgorzej, jeśli z dobrym skutkiem. Idą przez pola i lasy, po nielicznych królewskich traktach, niekiedy zbudowanych jeszcze przez Rzymian, najczęściej wszakże polnymi drogami w pięknym słońcu, ulewnym deszczu i przejmującym chłódzie, gdyż w Lizbonie Jego Królewska Mość liczy na to, że każdy spełni swój obowiązek.

Czasami dochodzi do spotkań. Jedni idą bardziej z północy, z Peneli, drudzy bardziej z południa, z Proença-a-Nova, i spotykają się w Porto de Mós, żaden z nich nie wie, gdzie szukać tych miejsc na mapie, nie mają też pojęcia, jaki kształt ma Portugalia, czy jest

kwadratowa, okrągła, czy trójkątna, czy to jest kółko graniaste całe kanciaste, czy chusteczka haftowana wszystkie cztery rogi. Obydwa konwoje łączą się w jeden i zgodnie z wyszukanyimi więziennymi metodami stosuje się mistyczną zasadę związywania ludzi na zmianę, jeden z Proençy, drugi z Peneli, co znacznie utrudnia knowania i przynosi oczywistą korzyść poszerzania wiedzy Portugalczyków o Portugalii, Jak tam jest w twoich stronach, kiedy sobie o tym gwarzą, nie myślą o innych rzeczach. Chyba że któryś umrze w drodze. Zdarza się, że ktoś pada rażony jakimś atakiem, tocząc pianę z ust, albo po prostu runie zniecka pociągając za sobą idących z przodu i z tyłu, którzy wpadają w panikę widząc, iż są przywiązani do nieboszczyka, czasem znów ktoś zasłabnie w odludnym miejscu i niczym kłodę zwalają go na wózek, by po rychłej śmierci pogrzebać przy drodze stawiając w głowach drewniany krzyż, gdy zaś ma więcej szczęścia, przyjmuje ostatnie sakramenty w najbliższej wiosce, podczas gdy reszta zesłańców siedzi na ziemi czekając na ostateczne rozstrzygnięcie sprawy, *Hoc est enim corpus meus*, to ciało umęczone długim marszem, to ciało poranione wrzynającym się powrozem, to ciało wycieńczone znacznie skąpszym niż zwykle pożywieniem. Noce spędzają w stodołach, klasztornych krużgankach, w opróżnionych spichlerzach, a jak Bóg da oraz pogoda pozwoli, to i na świeżym powietrzu, w ten sposób mamy połączenie wolnego powietrza ze zniewolonymi ludźmi, to dobry temat do długich dysput filozoficznych, na które wszakże nie czas. Robotnicy królewscy wstają na długo przed wschodem słońca, i całe szczęście, bo wtedy jest najchłodniej, są zziębnięci i zgłodnieli, dobrze, że choć uwolniono ich z pęt, dziś bowiem wkroczą do Mafry i należy unikać złego wrażenia, jakie zrobiłaby banda oberwańców spętanych niczym brazylijscy niewolnicy lub stado koni. Gdy ujrzeli z oddali mury bazyliki, żaden z nich nie zawołał Jeruzalem, Jeruzalem, tak więc kłamał ów mnich, co to podczas kazania wygłoszonego w drodze z Pero Pinheiro do Mafry, kiedy przewozili kamienną płytę, powiedział, że wszyscy oni są krzyżowcami nowej krucjaty, ale co z nich za krzyżowcy, jeśli prawie nic nie wiedzą o swojej wyprawie. Pachołkowie zatrzymali pochód, by ze szczytu wzniesienia przybysze mogli podziwiać szerokie widoki, wśród których przyjdzie im żyć, z prawej morze, po którym żeglują nasze okręty, władcy wodnego żywiołu, przed nami od południa przesławne wzgórza Sintry, przedmiot chluby naszych i zazdrości obcych, gdzie z powodzeniem można by stworzyć drugi raj, gdyby Bóg się na to zdecydował, osada zaś, którą widać w dole, to Mafra, wedle erudyków jest ona właśnie tym, na co sama jej nazwa wskazuje, pewnego dnia wszakże nastąpi sprostowanie znaczeń słów i nazwa ta, czytana litera po literze, będzie oznaczać martwych, analfabetów, fraszliwych, rozgoryczonych, anonimowych, wszakże to nie ja, prosty pachołek, ośmielam się w ten sposób odczytywać to słowo, lecz pewien opat

benedyktyński, który z tego właśnie powodu nie weźmie udziału w poświęceniu monumentalnego kolosa, lecz nie uprzedzajmy faktów, do końca jest jeszcze wiele pracy, i to właśnie z tego powodu ściągnęli was z odległych okolic, co żeście tam mieszkali do tej pory, nie zwracajcie uwagi na błędy gramatyczne, nas przecież nikt nie uczy wyrażać się poprawnie, robimy te same błędy co nasi rodzice, a poza tym żyjemy w czasach przejściowych, ale skoro już zobaczyliście, co was czeka, ruszajcie naprzód, bo musimy was przekazać i wracać po następnych.

Aby dotrzeć na budowę, bez względu na to, z której strony przychodzą, muszą przejść przez osadę, w cieniu pałacu wicehrabiego, i prawie otrzeć się o próg Siedmiu Słońc, a że nie znają ksiąg genealogicznych ani memoriałów, tyleż wiedzą o jednym co i o drugim, Tomasz da Silva Teles, wicehrabia de Vila Nova da Cerveira, Baltazar Mateusz, konstruktor samolotów, a z biegiem czasu zobaczymy, który z nich wygra. W pałacu nikt nie uchyla okna, by popatrzeć na pochód nieszczęśników, ależ od nich cuchnie, pani wicehrabino. Natomiast w domu Siedmiu Słońc otwiera się lufcik, przez który wygląda Blimunda, nic nowego, ileż konwojów już tędy przeszło, lecz zawsze, ilekroć jest w domu, patrzy na nich, jakby witając w ten sposób przybyszy, wieczorem zaś mówi do Baltazara, znów dzisiaj przyprowadzili co najmniej setkę, należy jej wybaczyć ten brak dokładności, nie uczyła się wszak liczyć, równie niedokładne są wyrażenia mało, dużo, przekroczyłem trzydziestkę, Baltazar z kolei mówi, Słyszałem, że do tej pory sprowadzili już pięciuset, Tak dużo, dziwi się Blimunda, choć ani jedno, ani drugie nie wie dokładnie, ile to jest pięćset, pomijając już fakt, że liczebnik jest rzeczą najmniej precyzyjną ze wszystkich, mówi się przecież pięćset cegieł i mówi się też pięciuset ludzi, a właśnie między cegłą a człowiekiem zachodzi ta sama różnica, jaka wydaje się nie zachodzić między jedną i drugą pięćsetką, ale jeśli ktoś tego nie zrozumiał za pierwszym razem, to nie ma sensu tłumaczyć mu po raz drugi.

Wszyscy nowo przybyli zebrali się w jednym miejscu, dzisiaj będą spać gdzie popadnie, jutro ich posegregują. Zupełnie jak cegły. Niezdatne cegły zostaną odłożone gdzieś na bok, przydadzą się na późniejsze budowle, na pewno znajdą się na nie amatorzy, niezdatnych ludzi natomiast odeśle się z powrotem, na dolę i niedolę. Nie nadajesz się, wracaj do siebie, i wracają, idą drogami, których nie znają, błądzą, zamieniają się we włóczęgów, umierają na środku gościńca, czasem rabują, czasem mordują, a czasem odnajdują dom.

A jednak są jeszcze na świecie szczęśliwe rodziny. Do takich właśnie należy hiszpańska rodzina królewska. Portugalska również. Dzieci obydwu rodów mają wstąpić w związki małżeńskie, od nich przyjeżdża Marianna Wiktoria, od nas jedzie Maria Barbara, zaś odnośnymi, by tak rzec, narzeczonymi są tutejszy Józef i tamtejszy Ferdynand. Nie są to bynajmniej decyzje podejmowane na łapu capu, gdyż zapadły one już w tysiąc siedemset dwudziestym piątym. Pertraktacje ciągnęły się bez końca, uczestniczyło w nich wielu posłów, targowano się o różne szczegóły, pełnomocnicy obydwu stron krążyli w tę i z powrotem, trzeba było uzgodnić klauzule i prerogatywy kontraktów małżeńskich oraz wiano oblubienic, wszak tego rodzaju związek wymaga zastanowienia, to przecież nie to samo, co mówiąc wulgarnie przygadać sobie chłopca przed jatką, dlatego też minęło już pięć lat i dopiero teraz ma nastąpić wymiana księżniczek, jedna dla mnie, druga dla ciebie.

Maria Barbara skończyła szesnaście lat, ma twarz niczym księżyc w pełni i, jako się rzekło, jest dziobata, ale to poczciwa dziewczyna i jak na księżniczkę nawet dość muzykalna, w każdym razie nie poszły całkiem na marne lekcje Domenica Scarlattiego, który zresztą będzie jej towarzyszył do Hiszpanii, skąd już nie powróci. Czeka tam na nią narzeczony, wspomniany Ferdynand, o dwa lata od niej młodszy, będzie on szóstym królem hiszpańskim o tym imieniu i właściwie jedynie do tego będzie się sprowadzała cała jego królewskość, ale to tylko uwaga na marginesie, nie chcemy bowiem, by nas oskarżono o mieszanie się w sprawy wewnętrzne sąsiedniego państwa. Z którego to państwa, tym sposobem związanego bliskimi więzami historycznymi z naszym, z którego to państwa, powtórzmy, przyjedzie Marianna Wiktoria, dziewczynka zaledwie jedenastoletnia, lecz mimo tak młodego wieku już boleśnie doświadczona przez życie, wystarczy powiedzieć, że miała poślubić króla Francji, Ludwika XV, a ten ją odtrącił, wprawdzie takie określenie może wydać się przesadne i niedyplomatyczne, lecz jakiegoż innego możemy użyć w stosunku do tego dziecka, które mając cztery latka zostało wysłane na dwór francuski celem odpowiedniego wychowania w związku z planowanym małżeństwem, lecz po dwóch latach odesłano je z powrotem, gdyż oblubieńcowi czy też jego doradcom strzeliło do głowy, że trzeba natychmiast zapewnić następców koronie, ta biedula zaś z przyczyn fizjologicznych mogła sprostać owemu zadaniu dopiero za jakieś osiem lat. A zatem pod pretekstem odwiedzin rodziców, króla Filipa i królowej Izabeli, chudziutką, delikatną, odżywiającą się jak ptaszek dziewczynkę odesłano do Madrytu, gdzie już została czekając na mniej niecierpliwego partnera, no i trafił się nasz Józef, który nie skończył jeszcze piętnastu lat. Jeśli idzie o upodobania Marianny Wiktorii, to niewiele możemy powiedzieć, wiadomo, że lubi się bawić lalkami i przepada za słodyczami,

rzecz naturalna w jej wieku, jest ponadto bardzo zręczna w polowaniu, a gdy podrośnie, cenić sobie będzie lekturę i muzykę. Są ludzie obdarzeni dużo większą władzą przy znacznie mniejszej wiedzy.

Historia ślubów odnotowuje wiele przypadków ludzi, którym zamknięto drzwi przed nosem, chcąc więc uniknąć podobnej przykrości, należy pamiętać o tym, że na wesele oraz chrzciny nie idź, jeśliś nie proszony. Zaproszony na pewno nie był Jan Elvas, ów przyjaciel Baltazara z czasów lizbońskich, zanim jeszcze Siedem Słońc poznał Blimundę i się z nią związał, ten sam, co przygarnął Baltazara na noc w brogu przy klasztornej murze, gdzie spało wielu innych włóczęgów, jak wszyscy zapewne pamiętają. Już wtedy był niemłody, teraz zaś bardzo się postarzał, przekroczył sześćdziesiątkę i w tym sędziwym wieku ogarnęła go tęsknota za rodzinnym miastem, od którego wziął nazwisko i do którego postanowił wrócić, podobne pragnienia zwykle nawiedzają starców, którzy nie mogą mieć już innych pragnień. W związku z tą podróżą nękały go jednak pewne obawy, wprawdzie nie bał się, że zawiodą go nogi, jeszcze bardzo sprawne jak na jego wiek, obawiał się raczej wielkich pustkowi w Alentejo, gdzie łatwo o niebezpieczne spotkanie, przypomnijmy choćby to, co zdarzyło się Baltazarowi Siedem Słońc w lasach sosnowych pod Pegoes, choć w tym przypadku spotkanie okazało się niebezpieczne raczej dla owego rabusia, którego trup stał się pewnie pastwą kruków i psów, o ile nie został pogrzebany przez towarzysza. Ale, prawdę mówiąc, człowiek nigdy nie wie, co go czeka, czy zdarzy mu się coś złego, czy dobrego. Czy taki Jan Elvas mógł przypuszczać w czasach wojaczki, albo i później, gdy stał się zwykłym włóczęgą, że któregoś dnia przyjdzie mu towarzyszyć królowi Portugalii w podróży nad rzekę Caia, by odprowadzić jedną księżniczkę i przyprowadzić drugą. Ani on sam, ani nikt inny nie mógł tego przewidzieć, mogło o tym wiedzieć jedynie przeznaczenie, zawczasu splatające nici losu, zarówno nici dyplomatyczne i dynastyczne łączące oba dwory, jak i nić życia starego żołnierza pozbawionego środków do życia i ogarniętego tęsknotą. Jeśli pewnego dnia uda się nam rozsypać te zagmatwane sploty, to wyprostujemy nić losu i osiągniemy najwyższą mądrość, o ile upieramy się przy istnieniu czegoś takiego.

Jan Elvas nie podróżuje oczywiście ani powozem, ani konno. Jako się rzekło, ma on mocne nogi, może więc się nimi posługiwać. Cały czas będzie mu towarzyszył król Jan V, jadący bądź przodem, bądź z tyłu, podobnie zresztą jak królowa i infanci, książę i księżniczka oraz inni wielcy tego świata, którzy również wyruszyli w tę podróż. Żadnemu z tych wielkich panów nawet przez myśl nie przejdzie, że eskortują pewnego włóczęgę chroniąc jego skąpy dobytek i chylące się ku końcowi życia. Nie chcąc jednak zbyt wcześnie stracić jednego i drugiego, w szczególności zaś życia, najcenniejszego z dóbr, Jan Elvas musi trzymać się w

pewnej odległości od orszaku, wiadomo bowiem, jak szybko i zarazem ciężką rękę mają żołnierze, niech Bóg ma ich w swojej opiece, jeśli wyda im się, że coś zagraża jakże cennemu bezpieczeństwu Najjaśniejszego Pana.

Mając na uwadze powyższe środki ostrożności, Jan Elvas opuścił Lizbonę i w pierwszych dniach stycznia roku pańskiego tysiąc siedemset dwudziestego dziewiątego znalazł się w Aldegalega, gdzie zatrzymał się obserwując, jak ze statków wyładowują powozy i wierzchowce mające służyć w drodze. Gwoli poszerzenia własnej wiedzy zadawał różne pytania, co to wszystko znaczy, skąd i dokąd jadą, kto będzie z tego korzystał, w przypadku kogo innego mogłyby one zostać potraktowane jako natrętna wścibskość, lecz temu godnie wyglądającemu, acz brudnemu starcowi każdy stajenny czuje się w obowiązku udzielić odpowiedzi, a czasami paru informacji dostarczy mu też jakiś karbowy, nabrawszy zaufania do pobożnego starca, który prawdę mówiąc mało zna się na modlitwach, ale za to jest świetnym aktorem. A jeśli nawet zamiast odpowiedzi dadzą mu kuksańca, odpędzą lub zwymyślają, to taki sposób traktowania również pozwala domyślić się tego, co zostało przemilczane, i co za tym idzie, skorygować błędy historii.

Gdy zatem następnego dnia, to jest ósmego stycznia, król Jan V rozpoczynając wielką podróż przeprowił się przez rzekę, w Aldegalega czekało na niego ponad dwieście pojazdów, takich jak kolasy, koczki, dwukółki, furgony, kariolki, lektyki, niektóre sprowadzone z Paryża, inne zaś wykonane w Lizbonie specjalnie na tę okazję, nie mówiąc już o karocach królewskich ze złotymi żaluzjami, nowymi aksamitami, rozczesanymi frędzlami i pomponami. Z samych tylko królewskich stajni sprowadzono prawie dwa tysiące koni, nie licząc wierzchowców przybocznej gwardii i oddziałów wojska eskortujących orszak. W Aldegalega, miejscowości, przez którą musi przejechać każdy jadący do Alentejo, widziano już niejedno, lecz nigdy jeszcze czegoś podobnego, wystarczy powiedzieć, że samych tylko kucharzy i służących jest dwustu dwudziestu dwóch, dwustu halabardników, siedemdziesięciu garderobianych, stu trzech kredensowych, ponad tysiąc stajennych oraz niezliczona liczba innych sług i niewolników we wszystkich odcieniach czerni. W Aldegalega zebrano się mrowie ludzi i byłoby ich jeszcze więcej, gdyby nie to, że szlachta i inni panowie pojechali przodem drogą do Elvas i Caia, co było konieczne, gdyby bowiem wszyscy wyruszyli jednocześnie, to pary książęce byłyby już po ślubie, a ostatni goście dopiero by wjeżdżali do Vendas Novas.

Król przyplął na swojej brygantynie, po drodze wstąpił do kościoła Bożej Rodzicielki, gdzie pomodlił się przed obrazem Najświętszej Panny, wraz z nim przybyli książę Józef, infant Antoni, panowie usługujący królowi, a mianowicie książę de Cadaval,

markiz de Marialva i markiz de Alegrete, pewien szlachcic towarzyszący infantowi oraz inni panowie, nie należy się dziwić, iż nazywamy ich sługami, gdyż być sługą rodziny królewskiej to zaszczyt. Jan Elvas znajdował się w tłumie, który stał po obydwu stronach ulicy i krzyczał, *reali, reali*, pod adresem Jana V króla Portugalii, mogło to być wszakże jakieś inne słowo trudne do rozróżnienia w ogólnej wrzawie, gdyż właściwie jedynie z tonu okrzyków można było się domyślać, czy wyrażają one aplauz, czy szyderstwo, wydaje się jednak mało prawdopodobne, by ktoś się ośmielił ciskać zniewagi i nie okazać należytego szacunku, tym bardziej że chodziło o króla Portugalii. Jan V zatrzymał się w domu miejscowego notariusza, natomiast Jana Elvasa spotkało w Aldealega pierwsze rozczarowanie, odkrył bowiem, że za królewskim orszakiem ciągnie sporo żebraków i włóczęgów liczących na resztki i jałmużnę. Trudno. Jeśli oni się pożywią, to i dla niego coś się znajdzie, właściwie był to najbardziej ważki argument przemawiający za tą podróżą.

O wpół do szóstej rano, jeszcze po ciemku, król wyruszył do Vendas Novas, wyprzedził go jednak Jan Elvas, który na własne oczy chciał zobaczyć przejazd orszaku w całej jego krasie, a nie końcowe zamieszanie towarzyszące zwijaniu obozowiska i formowaniu kolumny pojazdów w szyku ustalonym przez mistrzów ceremonii, czemu towarzyszyły gromkie krzyki stangretów i forysiów, którzy jak wiadomo słyną z tego, że mają niewyparzone gęby. Jan Elvas nie wiedział wszakże, iż król wstąpi na mszę do kościoła Matki Boskiej z Atalaia, dlatego też w oczekiwaniu na orszak najpierw zwolnił kroku, a potem zatrzymał się, gdzie u diabła mogli się podziać, przysiadł nad rowem osłoniętym od porannej bryzy rzędem agaw. Niebo było pokryte niskimi chmurami, zanosilo się na deszcz i panował przejmujący chłód. Jan Elvas opatulił się kapotą, nasunął na uszy kapelusz i czekał tu dobrą godzinę, patrząc na drogę, którą z rzadka ktoś przejeżdżał, jakby wcale nie było żadnych uroczystości.

Lecz wkrótce uroczysty pochód nadciągnął. Z oddali dobiega już granie trąbek i bicie werbli, od których krew zaczyna żywiej krążyć w żyłach starego żołnierza, a w jego sercu odzywają zapomniane wzruszenia, to zupełnie tak, jak człowiek, dla którego kobiety są już tylko wspomnieniem, nagle zwróci na którąś uwagę i wówczas, czy to na skutek uśmiechu, czy falowania spódnicy, czy zaczesania włosów, poczuje, że cały się rozplywa, bierz mnie, rób ze mną, co chcesz, tak samo właśnie działa zew wojaczki. Lecz oto nadciąga triumfalny pochód. Jan Elvas widzi jedynie konie, ludzi i pojazdy, nie wie natomiast, kto siedzi w środku, a kto jedzie wierzchem, my wszakże możemy sobie bez trudu wyobrazić, że przysiadł się do niego jakiś poczciwy i usłużny szlachcic, zdarzają się bowiem tacy, i że ów szlachcic jest z tych, co wszystko wiedzą o dworze i dworskich urzędach, posłuchajmy go zatem uważnie, Popatrz, Janie Elvasie, zaraz po tym poruczniku, po trębaczach i werblastach, którzy już przeszli i których znasz, gdyż był to kiedyś twój fach, jedzie teraz dworski kwatermistrz oraz jego podwładni, to on właśnie jest odpowiedzialny za kwatery, tych sześciu na koniach to rządowi kurierzy, przekazują i przywożą informacje i rozkazy, teraz zbliża się berlinka spowiedników króla, księcia i infanta, nie wyobrażasz sobie nawet, jaki ładunek grzechów wiezie, znacznie lżejsze od nich są pokuty, dalej widać berlinkę garderobianych, co się tak dziwisz, Jego Królewska Mość nie jest takim nędzarzem jak ty, przecież ty masz tylko tyle, co na sobie, to doprawdy osobliwe mieć tylko tyle, co na sobie, niech cię też nie dziwi, że następne dwie berlinki pełne są księży jezuitów, a więc raz kapłonek, raz jelonek, raz Towarzystwo Jezusowe, a raz Towarzystwo Janowe, przecież tak jeden, jak i drugi jest królem, a wszyscy ci akolici razem wzięci bynajmniej nie należą do podrzędnych, i skoro już o tym mowa, to właśnie teraz mamy berlinkę podkoniuszego, następne zaś trzy należą do nadwornego sędziego i dworzan, dalej kolasa wielkiego koniuszego, karety pokojowców infanta, a teraz uwaga, bo to ciekawe, te puste kolasy i karety to kolasy i karety honorowe królewskiej pary, za nimi jedzie konno podkoniuszy i wreszcie nadchodzi oczekiwana chwila, przyklęknij Janie Elvasie, teraz bowiem przejeżdża Jego Królewska Mość wraz z księciem Józefem i infantem Antonim, wszak to król twój, Janie, papużka królewska rusza na polowanie, patrz tylko, co za majestat, jakaż niezrównana prezenca, jak wdzięczne i surowe jest jego oblicze, tak musi wyglądać sam Pan Bóg w niebiosach, możesz być tego pewny, ach, Janie Elvasie, Janie Elvasie, choćby nie wiem jak długo jeszcze przyszło ci żyć, nigdy nie zapomnisz tej chwili doskonałego szczęścia, gdy ujrzałeś króla Jana V jadącego w karocy, ty zaś na kolanach obok tych oto agaw, zapamiętaj dobrze to wszystko, szczęśliwczu, a teraz możesz już wstać, bo już przejechali i oddalają się, za nimi konno sześciu chłopców

stajennych, potem cztery kolasy wiozące królewskich pokojowców i dwukółka chirurga, skoro bowiem jedzie tylu troszczących się o duszę, to musi być też ktoś troszczący się o ciało, pod koniec nie ma już nic ciekawego do oglądania, sześć rezerwowych dwukółek, sześć koni luzem, gwardia kawaleryjska pod wodzą kapitana i jeszcze dwadzieścia pięć dwukółek wiozących królewskiego balwierza, chłopców kredensowych, chłopców pokojowych, architektów, kapelanów, medyków, aptekarzy, kancelistów, garderobianych, krawców, praczki, nadwornego kuchmistrza, podkuchmistrza oraz mnóstwo innych, ponadto dwa furgony z królewską i księżęcą garderobą, na koniec zaś dwadzieścia sześć koni luzem, czy kiedykolwiek widziałeś podobny orszak, Janie Elvasie, teraz możesz już dołączyć do tej chmary żebraków, wśród nich jest twoje miejsce, nie musisz mi wcale dziękować za to, że byłem tak dobry i wszystko ci wyjaśniłem, jesteśmy wszak dziećmi jednego Boga.

Tak więc, gdy Jan Elvas przyłączył się do armii włóczęgów, wiedział o dworze znacznie więcej niż wszyscy oni razem wzięci, wszelako nie został zbyt dobrze przyjęty, wiadomo bowiem, że jałmużna podzielona między sto jeden osób to nie to samo, co podzielona między okrągłą setkę, jednakże gruby kij wsparty na ramieniu niby lanca oraz marsowy wygląd zdołały onieśmielić całą bandę. Nim przeszli pół mili, zbratali się już ze sobą. Gdy dotarli do Pegoes, król na stojąco jadł lekki obiad składający się z cyranek duszonych z pigwą, odrobiny bulionu oraz pasztecików ze szpikiem, co razem wzięwszy mogło wystarczyć na zatkanie dziury w zębie. Tymczasem zmieniano konie. Żebracza czereda stanęła u drzwi kuchni recytując zdrowaśki i ojczenaszki, aż wreszcie dostała swój kocioł. Niektórzy mniej roztropni ulegli rozleniwiającemu działaniu sytości i postanowili zostać na miejscu. Inni jednakże, mimo pełnego brzucha, ruszyli w ślad za oddalającym się źródłem wikt, wiedzieli bowiem dobrze, że dzisiejszy chleb nie zabije ani wczorajszego, ani tym bardziej jutrzejszego głodu. Wśród nich był także Jan Elvas, który kierował się własnymi, mniej lub bardziej niewinnymi racjami.

Król przybył do Vendas Novas koło czwartej po południu, Jan Elvas natomiast koło piątej. Wkrótce zapadła noc i niebo tak się zachmurzyło, iż miało się wrażenie, że wystarczy podnieść rękę, by dotknąć obłoków, zdaje się, że już raz użyliśmy tego określenia, gdy zaś w porze kolacji rozdzielano jedzenie, stary żołnierz ograniczył się do suchego prowiantu, wołał bowiem zjeść w spokoju, na osobności, pod jakimkolwiek dachem nad głową, choćby pod chłopskim wozem, byle jak najdalej od bandy głodomorów, których rozmowy nudziły go. Wygląda więc na to, że Jan Elvas szukał samotności nie tyle ze względu na wiszący w powietrzu deszcz, co przez dziwną, zdarzającą się u niektórych ludzi skłonność do

samotnictwa, do izolowania się od innych, szczególnie gdy pada, a zdobyty kawałek chleba jest twardy.

Po jakimś czasie Jan Elvas popadł w drzemkę i ni to we śnie, ni to na jawie usłyszał szelest słomy i zobaczył, że ktoś się zbliża z łuczywem w dłoni. Po kolorze i jakości pończoch oraz spodni a także po suknie peleryny i lakierowanych trzewikach Jan Elvas zorientował się, iż jest to ktoś szlachetnie urodzony, i istotnie okazało się, że był to ów dworzanin, który w przydrożnym rowie udzielił mu tylu cennych informacji. Zacny ów szlachcic sapał ze zmęczenia i narzekał, Jestem wykończony szukaniem cię, obszedłem całe Vendas Novas, Gdzie się podziewa Jan Elvas, Gdzie się podziewa Jan Elvas, nikt nie umiał mi na to odpowiedzieć, dlaczego biedni ludzie nie przedstawiają się sobie nawzajem, no ale wreszcie cię znalazłem, chciałem ci opowiedzieć o pałacu, który król kazał wznieść specjalnie na tę okazję, budowali go dziesięć miesięcy, dzień i noc, do nocnych prac zużyto ponad dziesięć tysięcy żagwi, a zatrudnionych było przeszło dwa tysiące ludzi różnych zawodów, malarzy, kowali, drzeworytników, inkrustatorów, czeladników, żołnierzy piechoty i kawalerzystów, wyobraź sobie, że kamień budowlany przywozili z miejsca odległego o trzy mile, do czego służyło ponad pięćset wozów, nie licząc tych, którymi przywozili inne potrzebne materiały, takie jak wapno, belki, deski, kamień ciosany, cegłę, dachówkę, śruby i okucia żelazne, samych tylko zwierząt pociągowych było ponad dwieście, z większym rozmachem buduje się tylko klasztor w Mafrze, nie wiem, czy byłeś tam, ale całe przedsięwzięcie okazało się warte zachodu i pieniędzy, mogę ci powiedzieć w zaufaniu, ale zachowaj to dla siebie, że ten pałac oraz dom, który widziałeś w Pegoes, kosztowały milion *cruzados*, tak jest, cały milion, ty oczywiście nawet sobie nie wyobrażasz, co to jest milion *cruzados*, nie powinieneś jednak zazdrościć, Janie Elvasie, przecież nawet nie wiedziałbyś, co zrobić z taką masą pieniędzy, a król doskonale wie, uczył się tego od maleńkości, biedni nie umieją wydawać pieniędzy, ale możni panowie owszem, ileż tu poszło na malowidła i przepyszne ozdoby, na apartamenty dla kardynała i patriarchy, jest też sala baldachimowa, gabinet oraz sypialnia dla księcia Józefa, w identycznych apartamentach zatrzyma się infantka Maria Barbara, kiedy będzie tędy przejeżdżać, dla króla i królowej przeznaczono dwa oddzielne skrzydła, w ten sposób będą czuć się swobodnie, nie będzie im ciasno spać, ale, prawdę mówiąc, trudno by znaleźć drugie łoża tak szerokie jak twoje, Janie Elvasie, właściwie masz do dyspozycji całą ziemię, rozwalasz się do woli na słomie, przykrywasz się kapotą i chrapiesz sobie jak, za przeproszeniem, jakiś wieprzek, pachniesz też nie najlepiej, ale nie martw się, jak się zobaczymy następnym razem, podaruję ci buteleczkę wody

węgierskiej, to tyle miałbym ci dziś do powiedzenia, nie zapomnij, że król wyrusza do Montemor o trzeciej nad ranem, nie zaśpij, jeśli chcesz mu towarzyszyć.

Lecz Jan Elvas zaspał. Gdy się obudził, było już po piątej i siał deszcz. Z porannej szarówki wywnioskował, że król, o ile wyruszył punktualnie, musiał już być daleko. Otulił się więc kapotą, podkurczył nogi, jakby znajdował się jeszcze w łonie matki, i drzemał dalej w ciepłej słomie, która tak przyjemnie pachnie, gdy ją ogrzeje ludzkie ciało. Są ludzie szlachetnie urodzeni, albo nawet i nie, którzy nie znoszą podobnych woni i starają się nawet zabić własne naturalne zapachy, nie nadeszły wszakże jeszcze czasy, kiedy sztucznym zapachem różanym będzie się perfumować sztuczne róże, by móc powiedzieć, Jak pięknie pachną. Jan Elvas sam nie wiedział, skąd mu takie myśli przyszły do głowy i czy był to sen, czy też marzenia na jawie. Wreszcie otworzył oczy i obudził się na dobre. Pionowe strugi deszczu dudniły mu nad głową, współczuć należy ich królewskim mościom, że muszą podróżować w taką pogodę, dzieci nigdy nie wynagrodzą rodzicom tych wszystkich poświęceń, jakie dla nich ponoszą. Bóg jeden wie, ile odwagi musiał wykazać i ilu przeciwnościom musiał stawić czoło król w drodze do Montemor, gdy trzeba było przeprować się przez potoki, bagna i wezbrane strumienie, serce wprost się ścisnęło na myśl o strachu, jakiego najedli się ci wszyscy panowie, pokojowcy i spowiednicy, klerycy i szlachcice, zakładam się, że trębacze schowali trąbki do futerałów w obawie przed zachłyśnięciem się, na werblach natomiast bębni ulewa, wcale nie trzeba używać pałeczek. A co z królową, co się z nią teraz dzieje, jedzie przecież z Aldegalega razem z infantką Marią Barbarą i infantem Piotrem, ale to nie ten sam, dali mu tylko to samo imię, a więc dwie słabe niewiasty i słabe dziecko także cierpią z powodu złej pogody, a są tacy, którzy twierdzą, że niebo jest po stronie możliwych, no to patrzcie, przekonajcie się, że deszcz nie oszczędza nikogo.

Jan Elvas spędził cały ten dzień w ciepłym szynku zakrapiając winem jadalne przyniesione w sakwie, obficie zaopatrzonej przez królewską spiżarnię. Większość żebraków ciągnących w ogonie królewskiego orszaku również została w osadzie czekając na poprawę pogody. Lecz deszcz nie ustawał. Pierwsze pojazdy ze świty Marii Anny, przypominające bardziej wojsko w rozsypce niż orszak królewski, przybyły do Vendas Novas o zmierzchu. Skrajnie wyczerpane konie z ledwością ciągnące berlinki i karety, nierzadko padały i zdychały w zaprzęgu. Służba i chłopcy stajenni wymachiwali pochodniami, panowała taka wrzawa i takie zamieszanie, że nie znaleziono odpowiednich kwater dla wszystkich członków asysty królowej, toteż wielu z nich musiało wrócić do Pegoes, Bóg jeden wie, w jak żalosnym stanie. Była to wprost katastrofalna noc. Następnego dnia zrobiono rachunek strat i okazało

się, że padły dziesiątki zwierząt, nie licząc tych, które wcześniej zostały zajeżdżone na śmierć lub też połamały sobie nogi. Damy cierpiały na zawroty głowy i omdlenia, panowie starali się zamaskować znużenie spacerując po salonach, a deszcz padał i padał, jakby Pan Bóg mając jakąś ukrytą złość do ludzi chciał podstępnie ich ukarać drugim potopem, tym razem nieodwracalnym.

Królowa chciała już nazajutrz o świcie ruszać do Evory, co jednak jej wyperswadowano, było to bowiem wielce ryzykowne przedsięwzięcie, ponadto wiele pojazdów przybywało z opóźnieniem, przynosząc tym samym uszczerbek dostojności królewskiego orszaku, A w dodatku te drogi, Najjaśniejsza Pani, to wprost trudne do opisania, już podczas przejazdu króla były okropne, jakież więc muszą być teraz, kiedy deszcz leje bez przerwy dzień i noc, ale wysłano już rozkaz do sędziego okręgowego w Montemor, żeby zwołał ludzi do naprawy dróg, zasypią grzędzawiska, wyrównają wyrwy, Wasza Królewska Mość odpocznie sobie ten jeden dzień, jedenastego, w Vendas Novas, w tym majestatycznym pałacu zbudowanym przez króla, są tu wszelkie wygody, Najjaśniejsza Pani może sobie pogawędzić z księżniczką i dać jej ostatnie matczyne rady, Musisz wiedzieć, moja córko, że mężczyźni są zawsze brutalni pierwszej nocy, później zresztą też, lecz ta pierwsza jest najgorsza, wprawdzie zapewniają, że będą bardzo uważać i że nic nie będzie bolało, ale później, niech Bóg broni, nie wiem, co się zaczyna z nimi dziać, ale sapią i warczą jak, za przeproszeniem, jakieś buldogi, a nam, niebogom, nie zostaje nic innego, jak znosić cierpliwie te ich ataki, póki nie dopną swego, zdarza się wszakże, że nie udaje się im za pierwszym razem, lecz nie należy się wówczas śmiać, gdyż poczytują to sobie za najgorszą obrazę, najlepiej udać, że się nic nie zauważyło, bo jeśli nie pierwszej, to na pewno drugiej lub trzeciej nocy im się uda, a więc tak czy inaczej ból nas nie ominie, a teraz każę zawołać pana Domenica Scarlatti, trzeba się trochę oderwać od okropności tego życia, muzyka niesie wielką ulgę, moja córko, podobnie jak modlitwa, myślę, że wszystko jest muzyką, albo może raczej modlitwą jest wszystko na tym świecie.

W tym samym czasie, gdy królowa dawała córce powyższe rady, a Domenico Scarlatti grał na klawesynie, Jan Elvas został zatrudniony przy naprawie dróg, los płata bowiem czasami takie figle, których nie sposób uniknąć, otóż przemykał właśnie pod ścianami domów chroniąc się przed deszczem, a tu nagle słyszy głos, Stać, z tonu rozkazu poznał, że to pacholek miejski, i tak go to zaskoczyło, iż nawet nie potrafił udawać zgrzybiałego starca, wprawdzie jego siwe włosy wzbudziły u przedstawiciela władzy pewne wątpliwości, jednakże doszedł do wniosku, że ktoś, kto tak chyżo biega, nadaje się też do kilofa i łopaty. Gdy Jan Elvas wraz z innymi złapanymi znalazł się w szczerym polu, gdzie droga ginęła w

bajorach i trzęsawiskach, było tam już wielu innych mężczyzn noszących ziemię i kamienie z wyżej położonych, a więc suchszych miejsc, praca polegała zatem na wykopywaniu tam i zasypywaniu tu, niekiedy przekopywali też rowy odprowadzające wodę, wszyscy robotnicy wyglądali jak jakieś gliniane straszdyła, upiory czy inne mary i niebawem on sam też się do nich upodobnił, szkoda, że nie został w Lizbonie, wiadomo przecież, że choćby człowiek nie wiem jak się starał, nie potrafi stać się na powrót dzieckiem. Ta ciężka praca trwała cały dzień, deszcz trochę złagodniał, co bardzo pomogło, gdyż nasypy zyskały na trwałości, oby tylko w nocy nie przyszła nowa nawałnica, która wszystko rozmyje. Królowa Maria Anna, ukołysana szumem deszczu i przykryta jak zwykle swoją puchową pierzyną, z którą się nigdy nie rozstaje, dobrze spała tej nocy, wszelako określone przyczyny nie zawsze przynoszą te same skutki, zależy to od osoby, od okoliczności i od kłopotów, z jakimi człowiek kładzie się do łóżka, toteż księżniczce Marii Barbarze przez całą noc dźwięczały w uszach echa ulewy, a może to były echa niepokojących słów, które usłyszała od matki. Jeśli idzie o tych, którzy pracowali na drodze, to jedni spali lepiej, inni gorzej, w zależności od stopnia zmęczenia, gdyż Jego Królewska Mość nie poskąpił na wygody i gorącą strawę, dając tym wyraz uznania dla robotników.

Wczesnym rankiem orszak królowej wyruszył wreszcie z Vendas Novas, gdzie dotarły też spóźnione pojazdy, choć nie wszystkie, gdyż niektóre wymagały poważnej naprawy, inne zaś trzeba było całkiem spisać na straty, karety są w opłakanym stanie, przemoczone tkaniny, pociemniałe złocenia i barwy, jeśli choć na chwilę nie wyjrzy słońce, będzie to najsmutniejszy ślub na świecie. Przestało padać, lecz daje się we znaki przejmujący chłód, toteż mimo zarękawków i pledów już jest parę przypadków odmrożeń rąk, oczywiście mówimy tu o damach, tak skostniałych z zimna i tak zakatarzonych, że aż litość bierze. Przed orszakiem, na wozach ciągniętych przez woły, jedzie wataha robotników drogowych i gdy się trafia grzęzawisko, wezbrany strumień lub wyrwa, zeskakują na ziemię i naprawiają, podczas gdy cała kolumna stoi i czeka pośród przygnębiająco smutnej przyrody. Z Vendas Novas i innych okolicznych miejscowości sprowadzono zaprzęgi wołów, i to nie jeden i nie dwa, lecz dziesiątki, służą one do wyciągania z błota dwukółek, berlinek, furgonów i karet, które bezustannie w nim grzęzną, toteż trzeba w kółko wyprzegać muły i konie, zaprzęgać woły, potem znów wyprzegać woły a zaprzęgać muły i konie, co odbywa się wśród głośnych krzyków i świstu batów, kiedy zaś kareta królowej zapadła się w błoto po osie, trzeba było aż sześć par wołów, żeby ją wyciągnąć, i wtedy pewien mężczyzna, który przyszedł z pobliskiej wioski na rozkaz sędziego okręgowego, powiedział jakby do siebie, lecz Jan Elvas był w pobliżu i usłyszał, Zupełnie tak, jakbyśmy ciągnęli kamień do Mafry. Była to chwila, gdy

woły wyteżały wszystkie siły, ludzie zatem mogli trochę odetchnąć, dlatego też Jan Elvas zagadnął, Co to był za kamień, człowieku, tamten zaś odrzekł, Był to kamień wielkości domu przywieziony z Pero Pinheiro do Mafry, na budowę klasztoru, zobaczyłem go dopiero na miejscu i nawet trochę przy nim pomogłem, było to w czasach, kiedy jeszcze tam pracowałem, Mówisz, że był duży, To była matka kamieni, jak mawiał mój przyjaciel, który był przy jego transporcie z kamieniołomu i który później wrócił w swoje strony, bo podobnie jak ja miał tego dosyć. Woły, którym błoto sięgało brzuchów, ciągnęły bez widocznego wysiłku, jakby chciały po dobremu przekonać grzęzawisko, żeby puściło zdobycz. Wreszcie koła karety stanęły na twardym gruncie i wielka landara zaczęła wynurzać się z bagna, ludzie bili brawo, królowa się uśmiechała, księżniczka machała ręką, natomiast mały infant Piotr był najwyraźniej rozczarowany tym, że nie mógł się ślizgać w błocie.

Tak wyglądała droga aż do Montemor, nic więc dziwnego, że przebycie niecałych pięciu mil zajęło im prawie osiem godzin, niezwykle pracowitych i wyczerpujących tak dla ludzi, jak i dla zwierząt. Księżniczka Maria Barbara próbowała się zdrzemnąć, by trochę odpocząć po męczącej, bezsennej nocy, jednakże wstrząsy karety, krzyki robotników drogowych oraz tętent jeźdźców cwałujących w tę i z powrotem z rozkazami, wszystko to powodowało zamęt w jej biednej główce i bardzo ją denerwowało, Boże drogi, ileż to kłopotów i ile zamieszania z powodu jednego ślubu, niechby nawet i książęcego. Królowa bezustannie odmawia pacierze i chyba robi to raczej dla zabicia czasu niż z obawy przed ewentualnymi niebezpieczeństwami, a że już ładnych parę lat żyje na tym świecie, więc zdążyła się przyzwyczać i od czasu do czasu popada w drzemkę, z której się wkrótce budzi i jakby nigdy nic zaczyna się modlić od początku. Jeśli chodzi o infanta Piotra, to na razie nie mamy o nim nic do powiedzenia.

Jan Elvas i mężczyzna, który wspominał o kamieniu, prowadzili dalej rozpoczętą rozmowę, stary żołnierz powiedział, Z Mafry pochodzi mój przyjaciel z dawnych lat, ale nie wiem, co teraz się z nim dzieje, przez pewien czas mieszkał w Lizbonie, ale zniknął mi pewnego dnia z oczu, tak to już jest, może wrócił w rodzinne strony, Jeśli tam wrócił, to może go znam, a jak się nazywa, Nazywa się Baltazar Siedem Słońc, nie ma lewej ręki, stracił ją na wojnie, Siedem Słońc, Baltazar Siedem Słońc, pewnie, że go znam, pracowaliśmy razem, Miło to słyszeć, świat jednak jest naprawdę mały, spotykamy się przypadkiem na tej oto drodze i okazuje się, że mamy wspólnego przyjaciela, Siedem Słońc to był porządny chłop, czy on czasem nie umarł, Nie wiem, ale chyba nie, jak się ma taką żonę jak on, taką Blimundę, która miała oczy w kolorze trudnym do określenia, to człowiek trzyma się mocno życia, chwyta się go choćby tylko jedną prawą ręką, Nie znam jego żony, Siedem Słońc

miewał czasem dziwne pomysły, pewnego dnia oświadczył nawet, że zdarzyło mu się raz być blisko słońca, Może był pod gazem, Rzeczywiście trochę sobie wtedy popiliśmy, ale nikt nie był pijany, chociaż może i tak, już teraz nie pomnę, w każdym razie chciał dać do zrozumienia, że latał, Nigdy nic o tym nie słyszałem, żeby Siedem Słońc latał.

Tak gawędząc przeprawili się na drugi brzeg wezbranej i spienionej rzeki Canha, gdzie licznie zebrali się mieszkańcy Montemor, którzy na powitanie królowej wyszli przed rogatki i dzięki wspólnym wysiłkom wszystkich obecnych oraz beczkom, które utrzymywały pojazdy na powierzchni wody, już po godzinie podróżni mogli zasiąść do obiadu w mieście, panowie w miejscach stosownych do ich godności, pomocnicy natomiast różnie, jak się dało, niektórzy jedli w milczeniu, inni rozmawiali, podobnie jak Jan Elvas, który mówił ni to do rozmówcy, ni to do siebie, Przypominam sobie, że w Lizbonie Siedem Słońc miał jakieś powiązania z Awiatorem, ja sam nawet wskazałem mu tego Awiatora kiedyś na placu Pałacowym, pamiętam, jakby to było wczoraj, Któż to taki, ten Awiator, Awiator to był pewien ksiądz, ksiądz Bartłomiej Wawrzyniec, który cztery lata temu umarł w Hiszpanii, dużo się o tym mówiło swego czasu, Święta Inkwizycja miała go na oku, Ale czy ten Awiator latał, Niektórzy twierdzą, że tak, inni, że nie, któż to może wiedzieć, Jedno jest pewne, że Siedem Słońc oświadczył, że był blisko słońca, Musi w tym być jakaś tajemnica, Może i jest, powiedziawszy to mężczyzna od kamienia zamilkł i obydwaj skończyli jeść obiad.

Chmury się rozeszły, szybują teraz wysoko, deszczu już chyba nie będzie. Mężczyźni sprowadzeni z okolic Vendas Novas i Montemor wrócili do domów. Dostali podwójną dniówkę dzięki dobrotliwemu wstawiennictwu królowej, okazuje się, że czasem się opłaca dźwigać na plecach moźnych tego świata. Jan Elvas podróżuje teraz nieco wygodniej, gdyż poznał paru forysiów i stangretów, którzy pozwalają mu przysiąść na jakimś furgonie i jechać wymachując nogami ponad błotem i łajnem. Dawny robotnik z Mafry stoi na poboczu drogi i niebieskimi oczami patrzy na starego, który sadowi się między dwoma kuframi. Należy przypuszczać, że nigdy więcej się nie spotkają, wszak przyszłość nawet dla Pana Boga stanowi tajemnicę, gdy zatem furgon ruszył, Jan Elvas powiedział, Jeśli kiedyś zobaczysz Siedem Słońc, powiedz mu, że rozmawiałeś z Janem Elvasem, na pewno mnie pamięta, i pozdrów go ode mnie, Na pewno powiem i pozdrowię, ale wątpię, czy się z nim spotkam, A ty jak się nazywasz, Julian Niepogoda, A więc do widzenia, Julianie Niepogodo, Do widzenia, Janie Elvasie.

W drodze z Montemor do Evory znów były kłopoty. Od nowa zaczęło padać, drogi rozmiękły, pękały osie i szprychy łamały się jak chrust. Zapadał wczesny zmierzch, było coraz chłodniej i księżniczka Maria Barbara, która wreszcie zasnęła pod wpływem kojącej

słodyczy karmelków, jakimi obficie się raczyła, oraz dzięki łagodnemu kołysaniu karety na półkilometrowym odcinku drogi bez wybojów, ocknęła się nagle, gdyż przeniknął ją silny dreszcz, jakby jakaś lodowata ręka dotknęła jej czoła, spojrzała zaspanymi oczyma na tonące w szarówce pola i zobaczyła, że wzdłuż drogi stoi szeregiem kilkanaście ciemnych postaci powiązanych ze sobą sznurami.

Księżniczka, upewniwszy się, że to nie sen ani mara, poczuła się nieswojo, przykro jest oglądać kajdany, szczególnie w przeddzień ślubu, kiedy wszystko powinno być radością i śmiechem, wystarczy, że jest taka okropna pogoda, plucha i zimno, dużo lepiej by było wziąć ślub na wiosnę. Karete eskortował pewien oficer, któremu Maria Barbara kazała dowiedzieć się, co to za ludzie, jakie popełnili zbrodnie i dokąd zmierzają, do Limoeiro, czy do Afryki. Oficer osobiście ruszył na zwiady, być może dlatego, iż był po uszy zakochany w infantce, jako się rzekło brzydkiej i dziobatej, ale czyż ma to jakieś znaczenie, wywożą ją teraz do Hiszpanii, będzie z dala od jego niewinnej i beznadziejnej miłości, plebejusz zakochany w księżniczce to czysty obłąd, pojechał i niebawem wrócił, oczywiście nie obłąd, lecz oficer, który powiedział, Melduję Waszej Wysokości, że ci ludzie idą do pracy w Mafrze, przy budowie królewskiego klasztoru, pochodzą z okolic Evory i są rzemieślnikami, A dlaczego są spętani, Ponieważ idą pod przymusem i gdyby ich uwolnić, toby puciekali, Aha. Księżniczka w zamyśleniu oparła się o poduszki, podczas gdy oficer powtarzał sobie w duchu i wbijał w pamięć jej słodkie słowa, nigdy nie zapomni tej uroczej rozmowy, nawet gdy już będzie stary, zgrzybiały i na emeryturze, jak też ona teraz wygląda, po tylu latach.

Księżniczka nie myśli już o ludziach spotkanych na drodze. Dopiero teraz przyszło jej do głowy, że nigdy dotąd nie była w Mafrze, czy to nie dziwne, że z powodu narodzin Marii Barbary buduje się klasztor, spełnia się śluby z powodu narodzin Marii Barbary, a sama Maria Barbara nic nie widziała i nic nie wie, kamienia węgielnego nawet nie tknęła pulchym paluszkiem, nigdy nie podała własnoręcznie zupy mularzom, nie przyłożyła balsamu na kikut Baltazara Siedem Słońc, obolały po zdjęciu haka, nie otarła łez kobiecie, która straciła męża, a teraz już jedzie do Hiszpanii, klasztor zostanie więc dla niej czymś mglistym i nieuchwytnym jak sen, nie potrafi go sobie nawet wyobrazić, chyba że niedawne spotkanie ożywi jej pamięć. Cała wina Marii Barbary polega właśnie na tym, że samo jej urodzenie spowodowało tyle zła, nie trzeba wszak daleko szukać, wystarczy przecież tych kilkunastu mężczyzn, obok których przejeżdżają zakonne dwukółki, szlacheckie berlinki, furgony załadowane strojami oraz kolasy wiozące damy i ich kufry wypełnione klejnotami, haftowanymi pantofelkami, flakonikami wody kwiatowej, złotymi paciorkami, wyszywanymi złotem i srebrem szarfami, gorsecikami, bransoletami, strojnymi mufkami, puszystymi

pomponami, gronostajowymi etolami, och, jak rozkosznie zepsute i jak piękne potrafią być kobiety, nawet wówczas, gdy są brzydkie i dziobate, podobnie jak nasza infantka, wystarczy trochę uwodzicielskiej melancholii i trochę zadumy na twarzy, nie musi nawet być zepsuta, Pani matko i królowo moja, wiezicie mnie do Hiszpanii, skąd już nigdy nie wrócę, a wiem, że w Mafrze buduje się klasztor z powodu ślubów związanych z moją osobą, nikt mnie tam nigdy nie zawiózł, żebym go zobaczyła, jest to dla mnie niezrozumiałe, Córko moja i przyszła królowo, nie trać po próżnicy czasu przeznaczzonego na modlitwy, są to czcze rozmyślenia, gdyż klasztor buduje się z woli króla, mojego pana a twojego ojca, z woli tegoż króla jedziesz teraz do Hiszpanii i nigdy nie zobaczysz klasztoru, wola króla decyduje o wszystkim, reszta jest niczym, Niczym zatem jest infantka, którą jestem, niczym ci ludzie idący drogą, niczym wioząca nas karetą, niczym ten jadący obok i spoglądający ku mnie oficer, niczym, Tak właśnie jest, moja córko, i im dłużej będziesz żyć, tym lepiej zrozumiesz, że świat jest niby wielki cień, który stopniowo wypełnia nasze serca, dlatego właśnie świat coraz bardziej pustoszeje, a serce tego nie wytrzymuje, Ach, matko moja, czymże więc są narodziny, Narodziny to śmierć, Mario Barbaro.

Cały urok dalekich podróży polega właśnie na takich filozoficznych dysputach. Znużony infant Piotr usnął z głową opartą na ramieniu matki, jest to piękna scena rodzinna, warto wszakże zauważyć, że ten śpiący chłopiec właściwie niczym nie różni się od innych dzieci, jego uśpione liczko wyraża beztronską ufność, a z uchylonych ust spływa na falbany haftowanej kryzy strużka śliny. Księżniczka otarła łzę. Wzdłuż kolumny pojazdów zaczynają rozbłyskiwać pochodnie, wyglądają niby paciorki gwiazdnego różańca, który wysunął się z rąk Dziewicy i przypadkiem, o ile nie przez szczególną uwagę, spadł na ziemię portugalską. Do Evory wjeżdżamy ciemną nocą.

Czeka tam król wraz z infantami, Franciszkiem i Antonim, czekają też wiwatujący mieszkańcy Evory, pochodnie rozświetlają mrok, żołnierze oddają okolicznościowe salwy, gdy zaś królowa oraz księżniczka przesiadają się do karety króla, entuzjazm przechodzi w zbiorową euforię, nigdy jeszcze nie było tylu ludzi szczęśliwych naraz. Jan Elvas zeskoczył z furgonu, na którym jechał, ma zupełnie zdrętwiałe nogi, toteż przyrzeka sobie w duchu, że w przyszłości będzie się nimi posługiwał zgodnie z ich naturalnym przeznaczeniem i zamiast drzemać na wozie, pomaszeruje o własnych siłach, bo i cóż może być przyjemniejszego. Tej nocy nie odwiedził go znajomy szlachcic, a nawet gdyby się zjawił, jakież wiadomości mógłby mu przynieść, najwyżej o bankietach i baldachimach, wizytach w klasztorach i nadawaniu tytułów, o rozdzielanych datkach i całowanych rękach. Z tego wszystkiego Jana Elvasa urządziłyby tylko jakiś datek, ale na pewno nie zabraknie po temu okazji. Następnego

dnia długo się wahał, czy towarzyszyć dalej królowi, czy królowej, w końcu jednak wybrał Jana V, i dobrze zrobił, gdyż nieszczęsną królową Marię Annę, która wyruszyła dzień później, złapała w drodze taka zawieja śnieżna, że mogła ulec złudzeniu, iż znalazła się w rodzinnej Austrii, a nie w okolicy Vila Vicosa, miejscowości znanej z letnich upałów, podobnie zresztą jak wszystkie inne, które mijaliśmy po drodze. Wreszcie wczesnym rankiem w dniu szesnastego stycznia, po ośmiu dniach od wyjazdu z Lizbony, cały orszak w komplecie wyruszył do Elvas, król, kołodziej, żołnierz, złodziej, to tylko takie bezceństwa dzieciarni, która nigdy w życiu nie widziała tylu wielmożności naraz, przecież samych tylko powozów dworskich jest sto siedemdziesiąt, a dodajmy do tego jeszcze mnóstwo ciągnącej zewsząd szlachty, delegacje bractw z Evory oraz osoby prywatne, które nie chcą stracić okazji do uświetnienia historii własnego rodu, twój prapradziadek towarzyszył rodzinie królewskiej do Elvas, tego roku, kiedy miała miejsce wymiana księżniczek, pamiętaj, żebyś nigdy o tym nie zapomniał.

Okoliczny lud wyległ na drogę i klęcząc błagał króla o łaskę, wyglądało na to, iż ci biedacy domyślali się, w jakim celu król wiezie ze sobą skrzynię pełną miedzaków, i istotnie, od czasu do czasu zamaszystym ruchem siewcy rzucał je na prawo i lewo, pełnymi garściami, co wywoływało wielkie poruszenie i wielką wdzięczność, szeregi gwałtownie się załamywały, ludzie starali się chwycić lecące monety i trzeba było widzieć, jak starzy i młodzi grzebali w błocie, gdzie ugrzązł jakiś real, jak ślepcy po omacku szukali na dnie mętnych kałuż, gdzie jakiś real się utopił, podczas gdy ich królewskie moście suną naprzód, ich oblicza są poważne, surowe, majestatyczne, bez cienia uśmiechu, Bóg przecież też nigdy się nie uśmiecha, już on tam dobrze wie dlaczego, niewykluczone, że wstyd mu z powodu świata, jaki stworzył. Jan Elvas, który również znajduje się w tłumie, wyciągnął kapelusz w stronę króla, by pozdrowić go spełniając tym samym obowiązek poddanego, i wówczas wpadło mu do środka parę monet, ten stary chyba w czepku się urodził, nie musi się nawet schylać, szczęście garnie się do niego, a pieniądze same wchodzą mu do rąk.

Gdy orszak wjechał do miasta, było już po piątej. Przywitała go salwa artyleryjska i wszystko było tak zgrane, że jednocześnie po drugiej stronie granicy rozległy się wystrzały na cześć wyjeżdżającej do Badajoz hiszpańskiej pary królewskiej, ktoś nie zorientowany mógłby pomyśleć, iż to początek wojny, na którą wbrew przyjętym zwyczajom idzie król i złodziej, a nie tylko żołnierz i kołodziej, którzy zawsze na nią idą. Są to jednak wystrzały pokojowe, ogień równie sztuczny, jak fajerwerki i pokazy pirotechniczne, które odbędą się wieczorem, król i królowa wychodzą teraz z powozu, król chce iść pieszo, lecz jest tak zimno, że ręce szczypią i grabieją, również twarz marznie i szczypie do tego stopnia, iż król daje za wygraną

i wraca do powozu, wieczorem zaś być może wypomni królowej, że to przez nią, że to ona nie chciała iść pozbawiając go niewątpliwej przyjemności i satysfakcji, jaką czułby przemierzając pieszo ulice Elvas w otoczeniu kapituły oczekującej go ze wzniesionym krucyfiksem, świętą relikwią, którą wprawdzie ucałował, lecz jej nie towarzyszył, tak więc tej drogi krzyżowej król Jan V nie odbył.

Jest rzeczą dowiedzioną, że Bóg bardzo kocha swoje stworzenia. Toteż wypróbował ich cierpliwość i wytrwałość na przestrzeni tylu kilometrów i tylu dni, podczas których zsyłał im ulewne deszcze i przejmujące chłody, co szczegółowo tu opisaliśmy, postanowił w końcu wynagrodzić ich wiarę i pokorę. A jako że dla Boga nie ma rzeczy niemożliwych, wystarczyło więc, że trochę podniósł ciśnienie atmosferyczne, przez co chmury poszły w górę i pokazało się słońce, nastąpiło to w chwili, gdy ambasadorzy uzgadniali formę, w jakiej królowie mieli się do siebie zwracać, te żmudne negocjacje trwały aż trzy dni i zakończono je po ustaleniu wszystkich kroków, gestów i wypowiedzi, minuta po minucie, by żadna z koron nie doznała uszczerbku wskutek zachowania lub słowa mniej godnego niż zachowanie i słowo drugiej strony. Gdy dnia dziewiętnastego stycznia król w towarzystwie królowej, książąt i wszystkich infantów wyruszył z Elvas w kierunku Caia, które leży tuż obok, była tak piękna, słoneczna i bezwietrzna pogoda, że trudno wprost marzyć o lepszej. Niech zatem ci, którzy tego nie widzieli, spróbują sobie wyobrazić całą galę nie kończącego się orszaku, plecione grzywy cugowych koni ciągnących karety, blask srebra i złota, trąbki idące w zawody z werblami, aksamity, halabardnicy, szwadrony gwardii, insygnia kościelne, rzucające skry drogie kamienie, wszystko to widzieliśmy już w deszczu, toteż teraz nie zawahamy się stwierdzić, że nie ma to jak słońce, gdyż nic tak jak ono nie uświetnia uroczystości.

Mieszkańcy Elvas i okolic, którzy asystowali przejazdowi orszaku stojąc wzdłuż drogi, w pewnej chwili rzucili się na przełaj ku rzece, by z jej brzegu oglądać resztę widowiska, po jednej i po drugiej stronie zebrało się mrowie ludzi, po naszej Portugalczycy, po tamtej Hiszpanie, a tak jedni, jak i drudzy krzyczą radośnie i wiwatują, nikt by nie powiedział, że od tylu wieków zabijamy się nawzajem, może zatem dobrym wyjściem z sytuacji byłoby stale żenić naszych z tamtymi, wtedy mielibyśmy co najwyżej wojny małżeńskie, które są nie do uniknięcia. Jan Elvas jest tu już od trzech dni i udało mu się zająć bardzo dobre miejsce, zupełnie jak na trybunie. Na skutek szczególnego kaprysu, zrodzonego zapewne z długoletniej tęsknoty, postanowił opóźnić wejście do rodzinnego miasta. Pójdzie tam dopiero wówczas, gdy wszyscy wyjadą, gdy będzie mógł samotnie chodzić cichymi ulicami i wsłuchiwać się jedynie w swoją własną radość, o ile takowa jest możliwa u starca

szukającego śladów młodości, być może odczuje tylko bolesne rozgoryczenie. Dzięki tej właśnie decyzji mógł zaangażować się jako tragarz i wejść do domu, w którym nastąpi spotkanie monarchów oraz książąt, a który został zbudowany pośrodku kamiennego mostu łączącego brzegi rzeki. Znajdują się w nim trzy sale, dwie po bokach dla monarchów obydwu krajów i jedna wspólna, gdzie odbędzie się wymiana księżniczek, macie tu Barbarę, dawajcie Mariannę. Jan Elvas nie wie, jak ostatecznie wygląda wnętrze, gdyż pracował tylko przy noszeniu cięższych rzeczy, ale dopiero co odszedł stąd ów poczciwy szlachcic, którego chyba opatrność zesłała mu w tej podróży, Gdybyś to teraz zobaczył, tobyś nie poznał, w komnacie portugalskiej wszystko wysłane jest kobiercami, kotary są z karmazynowego adamaszku, a lambrekiny ze złotego brokatu, podobnie jest po naszej stronie w sali środkowej, Kastylijczycy zaś mają u siebie brokat w biało-zielone pasy przedzielone szerokim złocistym deseniem, na środku stoi wielki stół z siedmioma krzesłami po naszej i sześcioma po hiszpańskiej stronie, nasze wyściełane złotą, a tamte srebrną materią, to wszystko, co miałbym ci do powiedzenia, nic więcej nie udało mi się zobaczyć, muszę już iść, nie masz mi czego zazdrościć, bo skoro nawet ja nie mogę tam teraz wejść, to tym bardziej ty, jeśli kiedyś jeszcze się spotkamy, to ci opowiem, jak to wszystko się odbyło, o ile wprawdzie mnie ktoś też opowie, gdyż właśnie tylko w taki sposób, opowiadając sobie nawzajem, możemy dowiadywać się o różnych rzeczach.

Było to bardzo wzruszające, zarówno matki, jak i córki się popłakały, ojcowie chmurzyli czoła, starając się w ten sposób maskować uczucia, narzeczeni zaś zerkali na siebie z ukosa, ich tajemnicą wszakże pozostanie, czy przypadli sobie do gustu, czy też nie. Jeśli idzie o lud zebrany po obu stronach rzeki, to nic nie widział i nic nie słyszał, jednakże na podstawie własnych wspomnień i doświadczeń każdy wyobrażał sobie uściski kumów, wylewność kum, przewrotne żarciki narzeczonego, udawane pąsy narzeczonej, ale, ale, dobry król, dobry żebrak, o ile mu ptaszka nie brak, doprawdy, cóż to za grubiański naród.

Ceremonia trwała dość długo, W pewnej chwili tłum nad rzeką ucichł jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, proporce i sztandary prawie znieruchomiały na masztach, wszystkie oczy zwróciły się w stronę domu na moście, skąd dała się słyszeć leciusienka, delikatniusienka muzyka, niby granie srebrnych i kryształowych dzwoneczków, przerywane od czasu do czasu szorstkim akordem, jakby ich harmonię dławiono nagłe, chwytające za gardło wzruszenie. Co to może być, spytała jakaś kobieta obok Jana Elvasa, na co stary odrzekł, nie wiem, ktoś gra dla rozrywki ich królewskich i książęcych gości, gdyby był tutaj mój szlachcic, tobym go spytał, on wszystko wie, jest jednym z nich. Muzyka się skończyła, ludzie się rozeszli, każdy w swoją stronę, rzeka Caia toczy leniwie swoje wody, z

chorągwi nie zostało ani jednej nitki, ani jednego dźwięku z bicia werbli, a Jan Elvas nigdy się nie dowie, że słyszał Domenica Scarlattia grającego na klawesynie.

Na przedzie jadą św. Wincenty i św. Sebastian, ich figury są największe, słusznie więc należy się im dowództwo, obydwaj są męczennikami, choć o męczeństwie św. Wincentego świadczy jedynie symboliczna palma, gdyż oprócz tego zdobi go diakoński strój i emblematyczny kruk, podczas gdy drugi święty, jak wszystkim wiadomo, stoi przywiązany do drzewa, a jego nagie ciało jest całe podziurawione strasznymi ranami, z których jednak przezornie wyjęto dzidy, by nie połamały się podczas podróży. Zaraz za nimi znajdują się trzy damy, trzy wdzięczne gracje, z których najpiękniejsza jest św. Elżbieta, królowa węgierska zmarła w wieku zaledwie dwudziestu czterech lat, dalej św. Klara i św. Teresa, dwie namiętne natury trawione wewnętrznym ogniem, przynajmniej tak można wnosić z ich słów i czynów, lecz o ileż więcej moglibyśmy wnosić, gdybyśmy wiedzieli, co kryje się w duszach świętych. Tuż obok św. Klary znajduje się św. Franciszek i nie dziwny się tej sympatii, znają się przecież jeszcze z czasów Asyżu, teraz zaś spotkali się na drodze do Piteus i niewiele warta byłaby ich przyjaźń, czy jak tam nazwać to, co ich łączyło, gdyby na nowo nie podjęli rozmowy, przerwanej, można powiedzieć, w połowie. Jeśli uznać, że św. Franciszek znalazł się rzeczywiście w najodpowiedniejszym dla siebie towarzystwie, jako że ze wszystkich świętych jadących w tym orszaku ma on najwięcej kobiecych zalet, takich jak łagodne serce i wesołe usposobienie, to trzeba stwierdzić, że również na swoim miejscu są św. Dominik i św. Ignacy, obydwaj tak bardzo iberyjscy i posepni, że wręcz demoniczni, za przeproszeniem demona, którego być może obrażamy, trzeba wszakże oddać im sprawiedliwość, jeśli jeden święty potrafił wymyślić inkwizycję, drugi zaś kształtowanie dusz. Dla każdego, kto zna te dwie policje, nie ulega wątpliwości, że św. Franciszek musi być dla nich podejrzany.

Lecz jeśli już mowa o świętych, to trzeba powiedzieć, że mamy ich do wyboru, do koloru. Potrzebujemy na przykład świętego zamiłowanego do prac ogrodniczych, a jednocześnie uprawiającego literaturę, proszę bardzo, mamy św. Benedykta. Potrzebujemy innego, którego życie byłoby surowe, mądre, pełne umartwień, św. Brunonie wystąp. Potrzebny nam taki, który w imię dawnych tradycji zwoła nowych krzyżowców, nikt nie zastąpi tu św. Bernarda. Wszyscy trzej jadą razem, może dlatego, że są podobni z twarzy, może dlatego, że cnoty całej trójki razem wzięte starczyłyby na jednego uczciwego człowieka, a może po prostu dlatego, iż ich imiona zaczynają się na tę samą literę, często wszak bywa, że ludzi łączą podobne przypadki, i kto wie, czy nie taki właśnie zbieg okoliczności zaważył na związku Blimundy i Baltazara, a skoro już o nim mowa, to nie od rzeczy będzie wspomnieć, że powozi parą wołów, która ciągnie wóz ze św. Janem Bożym, jedynym świętym portugalskim w całym tym bractwie, które przyplłynęło z Włoch do portu w

Santo Antonio de Tojal, zmierzając, jak prawie wszystko, o czym opowiada niniejsza historia, w kierunku Mafry.

Za św. Janem Bożym, którego dom w Montemor odwiedził półtora roku temu król Jan V, było to wtedy, gdy odprowadzał księżniczkę do granicy, lecz we właściwym czasie nie wspomnieliśmy o tych odwiedzinach, co dowodzi, jak mało wagi przywiązujemy do rodzimych wielkości, mamy wszakże nadzieję, że święty nie obraził się z powodu tego przemilczenia, a więc, jako się rzekło, za św. Janem Bożym sunie paru mniej głośnych świętych, nie chcemy tu bynajmniej pomniejszać ich cnót i zalet, lecz codzienne doświadczenie niezbitie dowodzi, iż bez odpowiedniego rozgłosu na ziemi niemożliwa jest też sława niebieska, co jest oczywistą niesprawiedliwością, i jej ofiarami padli właśnie ci wszyscy święci, którzy przez to, że mniej ważni, nazywają się po prostu Jan da Mata, Franciszek de Paula, Kajetan, Feliks de Valois, Piotr Nolasco, Filip Neri, zupełnie jakby byli zwykłymi ludźmi, choć z drugiej strony nie mogą się skarżyć, każdy bowiem jedzie na oddzielnym wozie, i to nie byle jak, ale tak samo jak święci pierwszej klasy na miękkim łożu z pakół, wełny i worków wypełnionych plewami, dzięki czemu nie pogniecie im się ani jedna fałda i niczyje ucho się nie obtłucze, marmur bowiem mimo swojej twardości jest kruchy, wystarczy lekko uderzyć, by Wenus straciła obie ręce, A my tracimy chyba pamięć, bo przecież wymienialiśmy tu Brunona, Benedykta, Baltazara i Blimundę, a zapomnieliśmy o Bartłomieju de Gusmao, czy też, jak kto woli, Bartłomieju Wawrzyńcu, ale jak się zwał, tak się zwał, byleby się dobrze miał. Słusznie powiadają, że biada temu, kto umiera, lecz podwójnie biada temu, którego nie zbawi jakiś prawdziwy czy też fałszywy święty. Minęliśmy już Pinteus i jedziemy w kierunku Fanhoes, na osiemnastu wozach znajduje się osiemnaście posągów, a ciągnie je tyleż par wołów, którym towarzyszy odpowiednia liczba ludzi ze sznurami, nie jest to jednak przygoda na miarę tamtej z kamieniem Benedictione, takie rzeczy zdarzają się tylko raz w życiu, gdyby ludzki koncept nie potrafił wymyślić sposobu na to, by rzeczy trudne stawały się łatwymi, to świat nie wydobyłby się z prymitywu stanu pierwotnego. Ludzie wychodzą na drogę, by uczcić przejazd świętych, dziwi ich tylko, że jadą oni na leżąco, i mają rację, o ile bowiem piękniejszy i bardziej budujący byłby widok świętych figur stojących na wozach niczym na feretronach, wtedy nawet najniższe, nie przekraczające według dzisiejszej miary trzech metrów, byłyby widoczne z daleka, nie mówiąc już o dwóch pierwszych, św. Wincentym i św. Sebastianie, którzy mierzą sobie prawie po pięć metrów, są to gigantyczni atleci, chrześcijańscy herkulesi, orędownicy wiary, i gdyby tak mogli spoglądać ponad płotami i koronami drzew oliwnych na szeroki świat, to ich religia nie ustępowałaby w niczym greckiej i rzymskiej. W Fanhoes cały orszak się zatrzymał,

gdyż mieszkańcy chcieli się dokładnie dowiedzieć, jak się nazywa i kim jest każdy poszczególny święty, przecież nie co dzień zdarza im się przyjmować, choćby i przejazdem, gości tak wielkich duchem i ciałem, to zupełnie co innego niż codzienne przejazdy wozów z materiałami budowlanymi, tego panteonu świętych nie da się porównać nawet z niedawnym orszakiem ponad stu dzwonów, które tędy przejechały w stronę Mafry, gdzie będą rozbrzmiewać na wieczną pamiątkę tych wydarzeń. Poproszono miejscowego proboszcza, by służył za przewodnika wśród świętych figur, lecz nie stanął na wysokości zadania, nie wszystkie bowiem posągi miały imiona wypisane na piedestale, toteż pojawiły się trudności z identyfikacją, co innego przecież rozpoznać św. Sebastiana, a co innego recytować z pamięci i na wrywki, Drodzy bracia, święty, którego teraz widzicie, to Feliks de Valois, który był wychowankiem św. Bernarda, widzimy go tam z przodu, tenże Feliks wraz z Janem da Mata, jadącym z tyłu, ufundował zakon Trynitarzy założony w celu wykupywania niewolników z rąk niewiernych, zwróćcie uwagę, jak piękne karty zawiera historia naszej religii. Cha, cha, cha, śmieją się mieszkańcy Fanhoes, a kiedy wreszcie powstanie zakon wykupujący niewolników z rąk wiernych, księżę proboszczu.

Wobec zaistniałych trudności ksiądz zwrócił się do komendanta konwoju z prośbą o udostępnienie papierów eksportowych przysłanych z Włoch i dzięki temu wybiegowi udało mu się odzyskać nadwątloną wiarygodność i mieszkańcy Fanhoes mogą teraz podziwiać swojego niedouczonego pasterza, jak stojąc na przykościelnym murze ogłaszał błogosławione imiona zgodnie z porządkiem przejeżdżających wozów, aż do ostatniego, na którym jechał św. Kajetan prowadzony przez Józefa Małego, który uśmiechając się do wiwatujących ludzi zarazem się z nich naśmiewał. Ale ten Józef Mały to złośliwa bestia, nie bez racji więc Pan Bóg go skarał, a może diabeł go skarał tym garbem na plecach, ale raczej ta kara pochodzi od Boga, gdyż, o ile wiadomo, diabeł nie ma takiej mocy nad żywym człowiekiem. Świętobliwy pochód przedefilował, kieruje się teraz w stronę Cabeço Monte Achique, szczęśliwej drogi.

Niezbyt szczęśliwą drogę mają natomiast nowicjusze z klasztoru w S. José de Ribamar, to tam koło Alges i Carnaxide, gdyż z woli nadto surowego lub może umartwiającego się ich kosztem prowincjała musieli iść do Mafry pieszo. A oto jak do tego doszło. Kiedy data poświęcenia klasztoru była już blisko, w Lizbonie zaczęto gromadzić i starannie ładować skrzynie z obrzędowymi paramentami kościelnymi oraz innymi przedmiotami przeznaczonymi dla mających zamieszkać w rzeczonym klasztorze zakonników. Działo się to z rozkazu prowincjała, który, gdy przyszła po temu pora, wydał następne polecenie, a mianowicie, by nowicjusze udali się do swego nowego domu, doniesiono o tym również królowi i pobożny monarcha kierując się odruchem serca

zaofiarował nowicjuszom swoje fregaty, by na ich pokładzie popłynęli do Santo Antonio de Tojal, oszczędzając im w ten sposób wielu trudów podróży. Wszakże morze było tak wzburzone i szalał taki sztorm, że tylko wariat mógł się odważyć na podobną żeglugę, w tej sytuacji król zaproponował nowicjuszom swoje karety, na co prowincjał, ogarnięty świętym oburzeniem, odpowiedział, jakże to, Najjaśniejszy Panie, mamy dostarczać wygodę tym, których przeznaczeniem jest włosienica, wytchnienia tym, którzy mają stać na straży, sadzać na miękkich poduszkach tych, co powinni przywykać do cierni, póki będę prowincjałem, nigdy na to nie pozwolę, pójdą pieszo, by dać ludziom budujący przykład, nie są przecież lepsi od Pana Jezusa, który jeden jedyny raz jechał na osle.

Wobec tak ważkich argumentów król wycofał również i tę drugą ofertę, a nowicjusze, zabierając ze sobą jedynie brewiarze, wyruszyli pewnego ranka z S. José de Ribamar. Była to grupa trzydziestu zahukanych i smutnych wyrostków prowadzonych przez preceptora, brata Manuela od Krzyża, oraz gwardiana, brata Józefa od św. Teresy. Biedni chłopcy, biedne nieopierzone pisklęta, nie dość że preceptor, zgodnie z regułą, był straszliwym tyranem obstającym przy codziennych biczowaniach, sześć, siedem, osiem, aż do żywego ciała, i skazującym ich na jeszcze gorsze rzeczy, jak choćby noszenie na poranionych plecach różnych ciężarów, co jątrzyło rany, to jeszcze teraz muszą bosymi stopami przemierzyć sześć mil, przez góry i doliny, drogami tak kamienistymi i błotnistymi, że w porównaniu z nimi ziemię, po której stapał osiołek z Matką Boską uciekającą do Egiptu, można by nazwać miękką łąką, o św. Józefie tu nie wspominamy, gdyż znany jest przecież jako wzór cierpliwości.

Przeszli ledwie pół mili, a już na skutek gwałtownych potknięć, od których pęka opuszka dużego palca, a także od stąpania po morderczych graniach i chropowatej ziemi co wrażliwsze stopy zaczęły krwawić, znacząc nabożnie drogę czerwonymi kwiatami, i byłaby to wcale piękna religijna scena, gdyby nie dotkliwe zimno, od którego nowicjusze mieli spierzchnięte usta i zażawione oczy, do nieba nie tak łatwo się dostać.

Maszerowali czytając modlitwy z brewiarza, co zaleca się jako środek znieczulający na wszelkie cierpienia duchowe, ich cierpienia wszakże były natury cielesnej, toteż para sandałów z powodzeniem zastąpiłaby najbardziej nawet skuteczną modlitwę, Boże mój, jeśli ci na tym tak zależy, to oddał ode mnie wszelkie pokusy, lecz wpierw usuń ten kamień z mojej drogi, jesteś przecież ojcem tak kamieni, jak i mnichów, bądź mi zatem ojcem, nie ojczymem. Trudno o cięższy żywot niż żywot nowicjusza, choć może równie ciężki będzie miał w niedalekiej przyszłości terminator kupiecki, nie bez kozery zatem mówi się, że nowicjusz to terminator u Pana Boga, może to potwierdzić chociażby brat Jan od Matki

Boskiej, który był niegdyś nowicjuszem w tymże zakonie franciszkańskim, a teraz ma jechać do Mafry, by wygłosić kazanie w trzecim dniu konsekracji, co jednak nie nastąpiło, gdyż był jedynie rezerwowym kaznodzieją, może to również potwierdzić brat Jan Okrągły, nazywany tak z racji nadmiernej tuszy, której nabrał już jako zakonnik, w czasach bowiem nowicjatu i chudości chodził w Algarve po kweście przez całe trzy miesiące, głodny, bosi i obdarty, wyprasząc jagnięta dla klasztoru, można sobie wyobrazić, ile się musiał namęczyć, żeby zebrać stado, wędrować z nim od wioski do wioski, prosić w imię boskie o jeszcze jedno jagniątko, wypędzać zwierzęta na pastwisko i podczas tych wszystkich bogobojnych czynów skrecać się z głodu, gdyż żył o chlebie i wodzie nieustannie marząc o gulaszu. Żywot nowicjusza, terminatora i rekruta jest jednako ciężki.

Tyle jest dróg na świecie, a jednak czasem niektóre trasy się powtarzają. Wyruszywszy z S. José de Ribamar, nowicjusze skierowali się na Queluz, następnie Belas i Sabugo, zatrzymali się na odpoczynek w Morelenie, w tamtejszym lazarecie podleczyli, na tyle, na ile to było możliwe, umęczone stopy, po czym, cierpiąc z początku podwójnie, póki do tego nowego cierpienia nie przywykli, ruszyli drogą do Pero Pinheifo, najgorszą ze wszystkich, gdyż cała była usłana odłamkami marmuru. W pobliżu Cheleiros ujrzeli stojący przy drodze krzyż, znak, że ktoś tu umarł, prawdopodobnie ofiara zabójstwa, ale bez względu na okoliczności śmierci należy zmówić ojcze nasz za duszę zmarłego, uklękli więc zakonnicy wraz z nowicjuszami i chórem odmówili modlitwę, trzeba przyznać tym nieszczęśnikom, że był to z ich strony akt prawdziwej wielkoduszności, modlili się wszak za osobę nieznaną, a klęcząc pokazywali podeszwy stóp, tak bardzo okaleczone, tak okrwawione, tak obolałe i tak brudne, zwrócone ku niebu, dokąd nigdy nie pójda, stopy klęczącego człowieka to doprawdy najbardziej wzruszająca część ludzkiego ciała. Odmówiwszy ojcze nasz ruszyli w dolinę, przeszli potem przez most, a że pogrążeni byli w lekturze brewiarza, nie zauważyli więc kobiety, która podeszła do furtki i powiedziała, Przeklęci niech będą mnisi.

Ślepy traf, który rządzi tak dobrymi, jak i złymi przypadkami, sprawił, że posągi świętych i nowicjusze spotkali się w miejscu, gdzie schodzą się drogi z Cheleiros i Alcaíña Pequena, co zakonnicy przyjęli z oznakami wielkiej radości, poczytując za dobrą wróżbę. Zaintonowali religijne pienia i ruszyli na czele kolumny wozów jako straż przednia lub zaklinacze złych mocy, nie nieśli jednak krzyża, gdyż go nie mieli, nie wiadomo też, czy byłoby to zgodne z rytuałem. Gdy weszli do Mafry, zgotowano im gorące przyjęcie, mieli bardzo pokaleczone nogi, a ich oczy rozplómił gorączkowy blask wiary, choć może był to po prostu głód, gdyż od opuszczenia S. José de Ribamar żywili się wyłącznie twardym chlebem moczonym w źródlanej wodzie, teraz wszakże z pewnością zostaną lepiej

potraktowani w hospicjum, gdzie mają spędzić tę noc, prawie już padają z nóg, to tak jak z ogniskiem, gaśnie wielki płomień i zostaje popiół, gaśnie podniecenie i zostaje melancholia. Nawet nie poczekali, aż posągi zostaną zdjęte z wozów. Zjawili się inżynierowie i tragarze, przynieśli kabestany, wciągniki, kołowroty, liny, podkładki, kliny, klocki, przekłete przedmioty, które lubią wymykać się z rąk, dlatego właśnie owa kobieta w Cheleiros powiedziała, Przekłęci niech będą mnisi, wyładowanie figur kosztowało wiele wysiłku i potu, ustawione w koło, z twarzami zwróconymi do środka, wyglądały niby uczestnicy jakichś obrad czy zebrania towarzyskiego, między św. Wincentym i św. Sebastianem znajdują się trzy święte, Elżbieta, Klara i Teresa, które w tym sąsiedztwie wydają się malutkie, kobiet wszakże nie mierzy się na piędzi, nawet gdy nie są święte.

Baltazar schodzi w dolinę, wraca do domu, wprawdzie na budowie jeszcze pracują, lecz po trudach tak dalekiej podróży, nie zapominajmy, że drogę z S. Antonio de Tojal przebyli w jeden dzień, ma prawo do wcześniejszego zakończenia pracy, musi tylko przedtem wyprząc i nakarmić woły. Czasami ma się wrażenie, że czas kręci się w miejscu zupełnie jak jaskółka, która wijąc gniazdo pod dachem wylatuje i przylatuje, fruwa tam i z powrotem, lecz ani na chwilę nie tracimy jej z oczu, toteż wydaje się nam, że ta sytuacja trwać będzie całą wieczność, lub przynajmniej połowę wieczności, co też nie byłoby źle. Lecz nagle spostrzegamy, że gdzieś znikła, dopiero co była, a już jej nie ma, gdzież mogła się podziać, i jeśli przypadkiem spojrzymy w lustro, Boże Świąty, ile tu już czasu minęło, ależ się zestarzałem, jeszcze wczoraj byłem piękny i młody, a dziś ani piękny, ani młody. Jedynym lustrem, jakim dysponuje Baltazar, są nasze oczy, które obserwują go, jak schodzi błotnistą ścieżką, i one właśnie mówią mu, W twojej brodzie jest pełno białych nitek, Baltazarze, twoje czoło poorane jest zmarszczkami, Baltazarze, masz pofałdowaną szyję, Baltazarze, zgarbiły ci się plecy, Baltazarze, bardzo się zmieniłeś, Baltazarze, lecz to z pewnością jest wada naszych oczu, gdyż właśnie nadchodzi kobieta, która w przeciwieństwie do nas widzi w nim młodzieńca, żołnierza, którego niegdyś zapytała, Jak się nazywasz, chociaż może i nie, może też widzi jedynie brudnego, steranego życiem, jednorękiego mężczyznę zwanego Siedem Słońc, trudno o przydomek mniej pasujący do człowieka tak strudzonego, dla niej jednak niezmiennie jest słońcem, co choć już nie błyszczy, choć przesłaniają je chmury i zaćmienia, to przecież ciągle istnieje, ciągle żyje, Boże drogi, otwiera ramiona, kto, jak to kto, on do niej, a ona do niego, jedno do drugiego, cała Mafra zgorszona jest tym, że tak obejmują się w publicznym miejscu, w dodatku w takim wieku, może dzieje się tak dlatego, iż nie mają dzieci, może widzą się nawzajem młodszymi, niż są w istocie, a może są jedynymi istotami

na świecie, które widzą się takimi, jakimi naprawdę są, co jest niezmiernie trudne, teraz zaś, gdy są razem, nawet nasze oczy są w stanie dostrzec, że stali się piękni.

Podczas kolacji Alvaro Diogo powiedział, że posągi zostaną tam, gdzie są, brak bowiem czasu na to, by je wstawić w odpowiednie nisze, poświęcenie bazyliki ma się odbyć już w niedzielę i trzeba będzie nie lada mozołu, by nadać jej składny wygląd skończonego dzieła, na razie gotowa jest tylko zakrystia, ale i tam sklepienia są w stanie surowym, jeszcze nie otynkowane, trzeba będzie więc zasłonić je drelichem pokrytym gipsem imitującym zaprawę wapienną, żeby porządniej wyglądało, to samo w kościele, gdzie brakuje szczytu kopuły, co też zostanie zamaskowane. Alvaro Diogo bardzo dobrze orientuje się w tych wszystkich szczegółach, gdyż ze zwykłego mularza awansował najpierw na kamieniarza, a potem na ciosacza, ma dobrą opinię u majstrów i urzędników, jest bowiem zawsze punktualny, zawsze pilny, zawsze chętny, a ponadto równie zręczny w rękach, jak grzeczny w mowie, w niczym nie przypomina tej bandy poganiaczy wołów, awanturującej się przy lada okazji i cuchnącej gnojem, kamieniarze to co innego, ich brody i owłosione ręce upudrowane są białym pyłem, który wżera się też w ubranie na całe życie. Tak właśnie będzie z Alvarem, na całe życie, w jego przypadku krótkie, gdyż niebawem spadnie z muru, na który wcale nie musiał wchodzić, nie należało to do jego obowiązków, wspiął się tam, by poprawić kamień, który wyszedł z jego rąk i dlatego musiał być dobrze ociosany. Spadnie prawie z trzydziestu metrów i zabije się, a Ines Antonina, na razie jeszcze tak dumna ze względów, jakimi cieszy się jej mąż, stanie się smutną wdową, lękającą się o życie syna, biednemu nigdy nie brak zmartwień. Alvaro Diogo mówi, że jeszcze przed poświęceniem nowicjusze przeniosą się do dwóch sal zbudowanych nad kuchnią, na co Baltazar zauważa, że przy wilgotnych jeszcze tynkach i panującym obecnie zimnie zakonnicy będą pewnie chorować, Alvaro Diogo odpowiada mu, że w gotowych celach dzień i noc pali się w piecykach, ale mimo wszystko ściany ociekają wilgocią. A jak z tymi posągami świętych, Baltazarze, czy dużo mieliście kłopotu z ich przywiezieniem, Nawet nie, najgorzej było je załadować, a później to już jakoś sobie radziliśmy, trochę siłą, trochę sposobem, no i cierpliwość wołów też nam pomogła. Rozmowa rwała się, ogień na kominie przygasał, Alvaro Diogo i Ines Antonina poszli spać, o Gabrielu nawet nie ma co mówić, zasypiał już przy ostatnich kęsach kolacji, Baltazar spytał wtedy Blimundę, Chcesz iść zobaczyć posągi, niebo jest chyba bezchmurne i niebawem powinien wzejść księżyc, Idziemy, odpowiedziała.

Noc była jasna i chłodna. Podczas gdy wspinali się na wzgórze Vela, wypłynął ogromny, czerwony księżyc, który wyrysował na niebie najpierw wieże dzwonicze i nieregularne obramowania wyższych murów, a potem znajdującą się za nimi wyniosłą turnię,

która kosztowała tyle pracy i tyle prochu pochłonęła. Baltazar powiedział, Jutro pójde na Monte Junto, zobaczę, co tam z maszyną, ostatni raz widziałem ją sześć miesięcy temu, Pójde z tobą, Nie ma sensu, wyjde wcześniej i jeśli nie będzie wiele do roboty, będę z powrotem jeszcze przed nocą, lepiej załatwić to teraz, bo potem będą uroczystości poświęcenia, niedługo może też zacząć padać i drogi bardzo się pogorszą, Uważaj na siebie, Nie bój się, przecież nie napadną mnie rabusie ani nie zjedzą wilki, Nie mam na myśli ani wilków, ani rabusiów, A co, Mam na myśli maszynę, Ciągłe mi powtarzasz, żebym się miał na bacności, a ja tam chodzę i przecież wracam, nie mogę być już bardziej ostrożny, Zbytek ostrożności nie zawadzi, pamiętaj o tym, Nie martw się, moja godzina jeszcze nie wybiła, Martwię się, bo ta godzina zawsze kiedyś wybija.

Znaleźli się na obszernym placu przed kościołem, którego bryła wyrastała prosto z ziemi i samotnie strzelała w niebo, jako że przylegający doń z dwu stron pałac był ciągle na etapie parteru. Na tych właśnie pałacowych murach umieszczono drewniane konstrukcje mające służyć podczas zbliżających się uroczystości. Wydawało się wprost nieprawdopodobne, że tyle lat pracy, a mianowicie trzynaście, przyniosło tak nikłe rezultaty, nie dokończony kościół, klasztor ze wzniesionymi zaledwie do drugiego piętra dwoma skrzydłami, reszta zaś nie przekraczała wysokości portyków pierwszego piętra, ponadto zbudowano jedynie czterdzieści cel, na trzysta zaplanowanych. Wydaje się, że to mało, a w istocie to dużo, może nawet za wiele. Mrówka wędruje na gumno i zabiera żdźbło słomy. Do mrowiska ma dziesięć metrów, czyli mniej niż dwadzieścia kroków człowieka. Ale przecież nie człowiek, lecz mrówka niesie żdźbło, i to ona musi przebyć tę drogę.

Główny błąd budowy w Mafrze polega więc na tym, że zatrudniono przy niej ludzi zamiast gigantów, a jeśli ta i inne budowy, tak przeszłe, jak i przyszłe, mają dowieść, że człowiek jest zdolny wykonywać pracę na miarę gigantów, to trzeba się pogodzić z faktem, że zajmie mu to równie dużo czasu jak owej mrówce, do każdej rzeczy należy bowiem przykładać stosowną miarę, zarówno do mrowiska, jak do klasztoru, zarówno do żdźbła, jak do głazu.

Blimunda i Baltazar weszli między posągi. Księżycowa poświata oświetlała z przodu dwie wielkie postacie św. Sebastiana i św. Wincentego oraz trzech świętych niewiast stojących między nimi, natomiast dalsze figury stopniowo giną w cieniu, mrok przesłonił całkowicie św. Dominika i św. Ignacego oraz może już przez nich osądzonego św. Franciszka, co jest wielką niesprawiedliwością, należy mu się bowiem miejsce w pełnym świetle, obok jego św. Klary, powracanie do tego tematu nie oznacza wcale jakichś zdrożnych cielesnych insynuacji, ale nawet gdyby tak było, to co z tego, przecież to bynajmniej nie

umniejsza świętości ludzi, a dzięki temu święci stają się ludzcy. Blimunda przygląda się, próbuje odgadnąć, kogo przedstawiają posągi, czasem wystarczy rzut oka, czasem musi się długo zastanawiać, co do niektórych ma wątpliwości, inne zaś są nieprzeniknione jak zamknięte kufry. Zdaje sobie sprawę z tego, że komuś, kto umie czytać, te litery, te znaki na cokole św. Wincentego wyjaśniają jego imię. Wodzi palcem po zaokrąglonych i prostych liniach jak ślepiec, który jeszcze się nie nauczył rozpoznawać wypukłego alfabetu, Blimunda nie może wszak spytać posągu, kim jesteś, podobnie jak ślepiec nie może spytać papieru, Co mówisz, jedynie Baltazar w swoim czasie mógł odpowiedzieć, Baltazar Mateusz, Siedem Słońc, kiedy Blimunda spytała go, Jak się nazywasz. Cały świat daje odpowiedzi, rzecz tylko w tym, że zwlekamy z pytaniami. Od morza nadciągnęła samotna chmura, jedyna na całym czystym niebie, i na długą chwilę przesłoniła księżyc. Posągi zamieniły się w białe, nieforemne zjawy, straciły swoje kształty i rysy, przypominają bryły marmuru, jeszcze nie tknięte dłutem rzeźbiarza. Nie są to już ani święci, ani święte, lecz jakaś pierwotna forma trwania, bez żadnej wymowy, nawet takiej, jaką daje rysunek, są równie pierwotne i równie bezkształtne jak stojące wśród nich postacie mężczyzny i kobiety, które zupełnie rozplynęły się w ciemnościach, nic bowiem nie zlewa się tak z ziemskim cieniem jak ludzkie ciało. Ogniska, przy których czuwają żołnierze, nabrały żywszego blasku pod tą wielką, wolno sunącą chmurą. Niewyraźne zarysy osiedla zwanego Madeirą przypominają z oddali jakiegoś gigantycznego smoka oddychającego czterdziestoma tysiącami miechów, tylu właśnie mężczyzn śpi w tamtejszych barakach, nie licząc nieszczęśników leżących w lazaretach, gdzie nie ma ani jednej wolnej pryczy, chyba że pielęgniarze wyniosą jakiegoś trupa, na przykład tego robotnika, który się naderwał, lub tamtego z naroślą, tego, co pluł krwią, czy owego, którego atak apopleksji najpierw sparaliżował, a później zabił. Chmura odpłynęła gdzieś na pola, a może raczej nad pola, bo czyż to można wiedzieć, co robi taka chmura, kiedy ginie nam z oczu kryjąc się choćby za tą górą, równie dobrze może schować się we wnętrzu ziemi, jak i spłynąć na glebę, by ją zapłodnić, trudno odgadnąć, ile dziwów i jakie moce kryje w sobie życie, Wracajmy do domu, Blimundo, powiedział Baltazar.

Wyszli z kręgu ponownie opromienionych księżycową poświatą posągów i gdy już zaczęli schodzić ku osadzie, Blimunda obejrzała się. Figury fosforyzowały, jakby były z soli. Wyteżając słuch można było rozróżnić dochodzący z ich strony szmer rozmów, czyżby święci urządzili sobie jakiś sobór, debatę lub sąd, może rozmawiają ze sobą po raz pierwszy od wyjazdu z Włoch, podróżowali bowiem w wilgotnych, pełnych szcurów ładowniach, mocno poprzywiązywani do pokładu, a może jest to ich ostatnia wspólna rozmowa przy księżycu, gdyż niebawem zostaną ustawieni w oddzielnych niszach i niektórzy nie będą już mogli

patrzeć sobie prosto w oczy, inni znów albo będą spoglądać na siebie tylko z ukosa, albo też będą mieć oczy nieruchomo zwrócone ku niebu, zupełnie jak za karę. Blimunda powiedziała, Święci są chyba bardzo nieszczęśliwi, muszą być takimi, jakimi ich zrobili, jeżeli na tym polega świętość, to jak wygląda potępienie, To przecież tylko posągi, Ale ja bym wolała, żeby poschodziły z tych głazów i stały się takimi ludźmi jak my, nie można przecież rozmawiać z posągami, Kto je tam wie, czy nie rozmawiają między sobą, gdy są same, Tego nie wiemy, ale jeśli rozmawiają tylko między sobą, i w dodatku na osobności, to ja się pytam, co nam po nich, Zawsze słyszałem, że święci są nam potrzebni do zbawienia, Oni sami się nie zbawili, Kto ci to powiedział, Ja to po prostu czuję, Co ty właściwie czujesz, Że nikt nie będzie ani zbawiony, ani potępiony, To są grzeszne myśli, Grzech nie istnieje, istnieje tylko życie i śmierć, Ale życie jest przed śmiercią, Mylisz się, Baltazarze, śmierć jest przed życiem, gdy umiera to, czym byliśmy, rodzi się to, czym jesteśmy, dlatego właśnie umieramy stopniowo, A kiedy idziemy do ziemi, kiedy Franciszka Marquesa przygniata wóz z kamieniem, czy to nie jest nieodwracalna śmierć, W chwili, gdy rozmawiamy o Franciszku Marquesie, on rodzi się na nowo, Ale on o tym nie wie, My też dobrze nie wiemy, kim jesteśmy, a mimo to żyjemy, Gdzie ty, Blimundo, nauczyłaś się takich rzeczy, Kiedy byłam w łonie matki, miałam oczy otwarte i stamtąd wszystko widziałam.

Weszli na podwórze. Księżycowa poświata nabrała mlecznej barwy i zalegające cienie wydawały się wyrazistsze i ciemniejsze niż w pełnym słońcu. Była tam stara komórka pokryta zmurszałą trzcina, gdzie w lepszych czasach trzymali oślicę, która tam odpoczywała po dziennych trudach. W domu utarło się nazywać to miejsce komórką oślicy, mimo że lokatorka zdechła dawno temu, tak dawno, że Baltazar już właściwie nie pamiętał, czy naprawdę kiedyś na niej jeździł, lecz gdy się nad tym zastanawiał albo gdy mówił, Idę schować grabie do komórki oślicy, dochodził do wniosku, że Blimunda ma rację, gdyż zwierzę jakby wyrastało przed nim, objuczone koszami lub z ciężką kulbaką na grzbiecie, a jednocześnie słyszał głos matki dobiegający z kuchni, Pomóż ojcu rozładować oślicę, jego pomoc nie na wiele mogła się przydać, był na to za mały, ale przyzwyczajał się już do ciężkich robót, a jako że każdy wysiłek powinien być nagrodzony, ojciec sadzał go okrakiem na wilgotnym grzbiecie oślicy i obwoził dookoła podwórza, a jednak dosiadałem tego wierzchowca. Do tej właśnie komórki poprowadziła go Blimunda, nieraz już przychodzili tam nocą, czasem z jej inicjatywy, a czasem jego, działo się tak zawsze, gdy żądze cielesne ogarniały ich ze wzmożoną siłą i obawiali się, iż nie zdołają zdławić jęku, rżenia lub nawet krzyku, co z jednej strony budziło zgorszenie Alvara Dioga i Ines Antoniny, pod tym względem bardzo dyskretnych, z drugiej zaś wprawiało w niesłychane podniecenie bratanka,

który w nagłej potrzebie musiał uciekać się do grzesznych praktyk. Żłób, który w czasach, gdy służył oślicy, był przymocowany na odpowiedniej wysokości do ściany komórki, teraz leżał na ziemi i prawie się rozlatywał, lecz wysłany słomą i przykryty dwiema starymi derkami spełniał rolę królewskiego łoża. Alvaro Diogo i Ines Antonina wiedzieli dobrze, do czego to wszystko służy, udawali wszakże, że nic nie zauważają. Nigdy nie przyszła im chętka, by również spróbować czegoś nowego, nie mają wielkich potrzeb duchowych ani cielesnych, tylko Gabriel będzie tu przychodził na schadzki, i to już w niedalekiej przyszłości, gdy w życiu rodziny zajdą duże zmiany, których na razie nikt nie przeczuwa. Ale chyba jednak któreś z nich coś przeczuwa, chyba Blimunda, lecz nie z tego powodu pociągnęła Baltazara do komórki, zawsze przecież robiła pierwszy krok, pierwszy gest i mówiła pierwsze słowa, tej nocy jednak jakiś niepokój chwyta ją za gardło, jej uściski są wyjątkowo gwałtowne, a pocałunki gorące, biedni kochankowie, ich usta straciły świeżość, ich zęby powypadały lub połamały się, ale cóż, miłość jest dla wszystkich.

Wbrew dotychczasowym nawykom przespali tam do rana. O świcie Baltazar powiedział, Idę na Monte Junto, wówczas ona wstała, weszła do domu, gdzie jeszcze wszyscy spali, wzięła z kuchni jedzenie i wyszła zamykając za sobą drzwi, do torby Baltazara włożyła prowiant, narzędzia oraz żelazny szpikulec, na wszelki wypadek, nigdy nie wiadomo, co w drodze może się zdarzyć. Wyszli razem. Blimunda odprowadziła Baltazara za osadę, daleko za nimi zostały wieże kościoła odcinające się bielą na pochmurnym niebie, kto by pomyślał, po tak pogodnej nocy. Objęli się w zaciszu rozłożystego drzewa, wśród złocistych jesiennych liści, deptając po tych, które już spadły użyźniając ziemię, by na nowo mogła się zazielenić. To nie Oriana w dworskim stroju żegna Amadisa, to nie Romeo całuje wychylającą się z balkonu Julię, to tylko Baltazar, który wybiera się na Monte Junto, by naprawić szkody wyrządzone przez czas, to jedynie Blimunda bezskutecznie próbująca ten czas zatrzymać. Ich ciemny ubiór sprawia, że wyglądają niczym dwa niespokojne cienie, to odsuwające się od siebie, to znów zbliżające się, nie wiem, czy powodują nimi jakieś przeczucia, czy ich wyobraźnię pobudza nastrój chwili, czy świadomość tego, że wszystko co dobre szybko się kończy, trwa nie zauważone i dopiero gdy odejdzie, czujemy, co straciliśmy, Wracaj szybko Baltazarze, Śpij dobrze w komórce, mogę wrócić późnym wieczorem, ale jak będzie dużo roboty, to przyjdę dopiero jutro, Dobrze, Do widzenia Blimundo, Do widzenia, Baltazarze.

Nie ma sensu relacjonować kolejnych podróży, skoro mówiliśmy o pierwszych. Powiedzieliśmy też już dostatecznie dużo o tym, jak zmienił się ten, który je odbywa, jeśli zaś idzie o zmiany w krajobrazie i w różnych miejscowościach, to dość stwierdzić, że ich sprawcami są ludzie oraz pory roku, ludzie działają powoli, tu pojawi się jakiś dom, tam bróg,

ówdzie zagon, mur, pałac, most, klasztor, płot, brukowana droga, młyn, natomiast przyroda dokonuje zmian nagłych i radykalnych, jakby mających trwać wiecznie, wiosna, lato, jesień, którą teraz mamy, zima, co niebawem nastąpi. Baltazar zna te drogi jak pięć palców swojej prawej ręki. Odpoczął nad brzegiem strumienia Pedrulhos, gdzie niegdyś zabawiał się z Blimundą, było wtedy pełno kwiatów, stokrotki na łąkach, maki w zbożach, soczysta zieleń zarośli. Po drodze spotyka ludzi ciągnących do Mafry, są to grupy mężczyzn i kobiet idących przy wtórze werbli, bębnów i organków, prowadzonych częstokroć przez księdza lub mnicha, nierzadko niosących na noszach osoby sparaliżowane, może dzień konsekracji uświęcą jakieś cuda, nigdy przecież nie wiadomo, kiedy Pan Bóg zechce uzdrawiać chorych, dlatego też ślepcy, kuternogi i paralitycy muszą bezustannie pielgrzymować, Czy Bóg dziś się objawi, może moje nadzieje są płonne, może niepotrzebnie idę do Mafry, bo okaże się, że właśnie dziś Bóg wypoczywa albo wysłał matkę do Najświętszej Panny w Cabo, jak tu człowiek ma się połapać w tym podziale władzy, wiara wszakże na pewno nas zbawi, Zbawi od czego, spytałaby Blimunda.

Baltazar dotarł do podnóża gór Barregudo wczesnym popołudniem. W głębi wznosił się szczyt Monte Junto skąpany w promieniach słońca, które wreszcie wyszło zza chmur. Po górach przesuwaly się cienie, które niby wielkie mroczne zwierzęta przebiegały zbocza napelniając je chwilową trwogą, lecz po chwili wracało słońce ogrzewając korony drzew i połyskując w kałużach. Wiatraki stały nieruchomo, przeciwny wiatr gwizdał w glinianych fujarkach przymocowanych do skrzydeł, takie spostrzeżenia mógłby czynić podróżny, którego głowy nie zaprzatają inne myśli, który zajęty jest wyłącznie tym, co widzi, chmurę płynącą po niebie, chylące się ku zachodowi słońce, wiatr tu wiejący z większą, a ówdzie z mniejszą siłą, poruszający liście lub strząsający je, jest wszakże wątpliwe, czy takie rzeczy mogły przyciągać uwagę eks-żołnierza, człowieka bezwzględne, na którego sumieniu ciąży ludzka śmierć, choć może zbrodnia ta już została odkupiona przez inne czyny, choćby przez to, że został ukrzyżowany krwawym znakiem krzyża nakreślonym na sercu, przez to, że zobaczył, jak wielka jest ziemia i jak wszystko na niej małe, przez to że spokojnie i łagodnie przemawiał do wołów, może to zbyt mało, nie nam wszakże o tym decydować.

Baltazar zaczął piąć się po zboczu Monte Junto, szukając prawie niewidocznej ścieżki wśród zarośli, która powinna go doprowadzić do latającej maszyny. Ilekroć się do niej zbliża, zawsze lęk ściska mu serce, może ją ktoś odkrył, może zniszczył, a może ukradł, i za każdym razem jest zaskoczony tym, że maszyna wygląda tak, jakby dopiero co wylądowała, jakby po szalonym pędzie jeszcze dygotała w objęciach krzewów i czarodziejskich pnączy, trzeba je chyba uznać za czarodziejskie, zwykle bowiem nie rosną w takich miejscach. Nikt jej nie

ukradł ani nie zniszczył, znajduje się ciągle w tym samym miejscu, jedno skrzydło po staremu opiera się o ziemię, ptasia szyja ginie w zaroślach, a ciemna głowa wygląda niby wiszące gniazdo. Baltazar podszedł bliżej, położył torbę na ziemi i usiadł, by trochę odpocząć przed przystąpieniem do pracy. Zjadł dwie pieczone sardynki z kawałkiem chleba, pomagając sobie końcem i ostrzem brzytwy z precyzją kogoś, kto rzeźbi miniatury z kości słoniowej, a gdy skończył, wytarł brzytwę o trawę, rękę zaś o spodnie i skierował się do maszyny. Słońce świeciło bardzo jasno, powietrze było gorące. Stąpając ostrożnie, by nie uszkodzić wiklinowego pokrycia, Baltazar wszedł po skrzydle do wnętrza *passaroli*. W pokładzie było kilka przegniłych desek. Trzeba będzie je wymienić, przynieść niezbędne materiały, zabawić tu przynajmniej kilka dni, a może raczej, dopiero teraz przyszło mu to do głowy, rozmontować maszynę, przenieść ją w kawałkach do Mafry i ukryć pod stertą słomy albo w podziemiach klasztoru, mógłby zwrócić się o pomoc do najbliższych przyjaciół, częściowo wyjawic im sekret, wprost nie do wiary, że dotąd nie przyszło mu to do głowy, po powrocie musi o tym porozmawiać z Blimundą. Zaprzątnięty tymi myślami nie uważał, gdzie stąpa, i nagle dwie deski pod nim zatrzęszczały, pękły i załamały się. Stracił równowagę, gwałtownie zamachał rękami próbując się czegoś chwycić, zaczepił hakiem o linę służącą do przesuwania żagli, zawisnął na niej i nagle zobaczył, że płótno z hukiem przelatuje na drugą stronę, światło słoneczne zalewa cały pokład rozświetlając bursztynowe i metalowe kule. Maszyna zawirowała, połamała, porozrywała oplatające ją rośliny i poszła w górę. Na niebie nie było ani jednej chmury.

Blimunda nie spała całą noc. Spodiewając się Baltazara pod wieczór, zwykle bowiem wracał o tej porze, wyszła na drogę, którą powinien iść, i przeszedłszy prawie pół mili usiadła na brzegu rowu, gdzie została aż do zmierzchu obserwując pielgrzymki ciągnące na konsekrację do Mafry, takich uroczystości nie można przecież przegapić, na pewno znajdzie się jałmużna i strawa, o ile nie dla wszystkich potrzebujących, to przynajmniej dla bardziej obrotnych i płaczkliwych, nie tylko dusza potrzebuje pociechy, ciało też nie może się bez niej obejść. Wśród pątników trafiło się paru łajdaków traktujących siedzącą przy drodze kobietę jako tanią ofertę, którą Mafra wita gości płci męskiej, rzucali więc pod jej adresem ordynarne przymówki, które jednak zamierały im na ustach wobec kamiennej twarzy, z jaką je przyjmowała. Któryś z nich posunął się nawet do prób nawiązania bliższego kontaktu, lecz wycofał się przestraszony, gdy głuchym głosem powiedziała, W twoim sercu siedzi gad, plwam na niego, na ciebie i na cały twój przyszły ród.

Wraz z nastaniem nocy pochód pielgrzymów ustał, o tej porze Baltazar już nie przyjdzie, albo zjawi się tak późno, że raczej będę czekać na niego w łóżku, może nawet wróci dopiero jutro, jeżeli, jak powiedział, będzie miał dużo roboty. Blimunda wróciła do domu i zjadła wraz z rodziną kolację, A więc Baltazar jeszcze nie wrócił, powiedział szwagier, Zupełnie nie rozumiem tych jego wędrówek, dorzuciła szwagierka, tylko Gabriel się nie odezwał, jest jeszcze zbyt młody, by wypowiadać się w obecności starszych, jednak pomyślał sobie w duchu, że rodzice nie powinni wtykać nosa w nie swoje sprawy, połowa ludzkości ogarnięta jest manią podglądania drugiej połowy, która zresztą odpłaca jej tą samą monetą, aż dziw bierze, skąd taki młody chłopak to rozumie.

Po skończonej kolacji Blimunda odczekała, aż wszyscy się położą, i wyszła na podwórze. Noc była cicha, jasna, prawie nie czuło się wieczornego chłodu. Może właśnie w tej chwili Baltazar idzie brzegiem strumienia Pedrulhos, zamiast haka przywiązał sobie do lewej ręki szpikulec, bo, jako się już rzekło, nigdy nie wiadomo, co w drodze może się przytrafić, choćby jakieś niepożądane spotkanie ze złym bądź wścibskim człowiekiem. To dobrze, że wzeszedł księżyc, oświetli Baltazarowi drogę i w nabrzmiałej wyczekiwaniem ciszy rozlegną się niebawem jego kroki, potem otworzy furtkę, Blimunda czeka na niego na podwórzu, dalsze wydarzenia pominiemy milczeniem, dyskrecja jest wszak naszym obowiązkiem, wystarczy powiedzieć, że ta kobieta jest bardzo niespokojna. Nie spała całą noc. Leżała w żłobie owinięta w derki, które pachniały brudną owczą sierścią, wpatrywała się w dziurawą strzechę, przez którą sączyła się księżycowa poświata, później księżyc zaszedł, zaczęło świtać, noc nie zdążyła nawet pogrzyźć się w ciemnościach. Blimunda wstała o

pierwszym brzasku, poszła do kuchni po jedzenie, czego się tak martwisz, kobieto, przecież Baltazar jeszcze się nie spóźnia, może przyjdzie gdzieś koło południa, tak właśnie mówił, maszyna jest już stara, wystawiona na wiatry i słońce, na pewno wymaga licznych napraw. Blimunda jednak nie słucha nas, już wyszła z domu i idzie znaną sobie drogą, którą powinien nadejść Baltazar, wykluczone, żeby się rozminęli. Rozminie się, owszem, ale z kim innym, a mianowicie z królem, który właśnie tego dnia przybywa do Mafry w towarzystwie księcia Józefa, infanta Antoniego oraz dworskiej służby, w całym przepychu królewskiej wielkości, przebogate karety, wspaniałe konie, wszystko w równym szyku pojawia się u wylotu drogi, stukot kół, tętent kopyt, co za olśniewający widok. Te wszystkie królewskie pompy znamy już jednak na pamięć, niczym się od siebie nie różnią, najwyżej raz jest więcej, a raz mniej brokatu, raz więcej, a raz mniej złota, poza tym naszym obowiązkiem jest towarzyszyć tej kobiecie, która wszystkich napotkanych ludzi wypytuje, czy nie widzieli czasem mężczyzny wyglądającego tak a tak, najpiękniejszego ze wszystkich, jej zaślepienie najlepiej świadczy o tym, że nie zawsze można powiedzieć to, co się czuje, na podstawie takiego portretu nikt zapewne nie rozpoznałby szpakowatego, ogorzałego, jednorękiego Baltazara. Nie, nie widzieliśmy, Blimunda schodzi z głównej drogi, idzie na skróty, tak jak wówczas, gdy szli razem, tu właśnie jest ta góra, tu las, cztery kamienie leżące rzędem, sześć zaokrąglonych wzgórz, upłynęło już sporo czasu, a Baltazara ani śladu. Blimunda nie zatrzymała się na posiłek, przeżuwa jedzenie ciągle idąc naprzód, jednakże zmęczyła ją bezsenna noc, niepokój odbiera jej siły, jedzenie staje jej w gardle, a szczyt Monte Junto, który widzi już od dawna, jakby się od niej oddalał, to chyba jakieś czary. Nie ma w tym jednak żadnej tajemnicy, po prostu idzie bardzo wolno, ledwie powłóczy nogami, w ten sposób nigdy tam nie dojdę. Niektórych miejsc Blimunda sobie nie przypomina, inne natomiast rozpoznaje, a to po jakimś mostku, a to po łączących się stokach, a to po podmokłej łące. Jest pewna, że już przechodziła przez tę wieś, gdyż na tej samej przyzbie siedzi ta sama staruszka i ceruje tę samą spódnice, nic się nie zmieniło oprócz Blimundy, która tym razem idzie sama. Przypomina sobie, że właśnie w tej okolicy spotkali pasterza, który im powiedział, że te góry nazywają się Barregudo, a tamten szczyt to Monte Junto, teraz wydaje się jej podobny do wszystkich innych, lecz zapamiętała go inaczej, być może z powodu wypukłości, która wygląda jak miniatura naszej półkuli, to człowieka przekonuje, że ziemia jest naprawdę okrągła. Tym razem nie ma ani pasterza, ani stada i gdy Blimunda się zatrzymuje, otacza ją głęboka cisza, a gdy rozgląda się wokół, odczuwa bezgraniczną samotność. Monte Junto jest już tak blisko, że ma się wrażenie, iż wystarczy wyciągnąć rękę, by dotknąć jego podnóża, zupełnie tak samo, jak kłęcząca kobieta może bez trudu dotknąć bioder swojego mężczyzny. Chyba jednak

niemożliwe, żeby Blimunda była zdolna do tak wyszukanych porównań, ale dlaczegoż by nie, nikt z nas nie siedzi przecież w drugim człowieku, skąd więc możemy wiedzieć, co mu chodzi po głowie, przypisujemy po prostu innym własne myśli i później mówimy, Blimunda myślała, Baltazar pomyślał, a to wyłącznie nasze osobiste wrażenia, tak właśnie jest z odczuciami Blimundy wyobrażającej sobie, że Baltazar dotyka jej bioder. Zatrzymała się, by odpocząć, gdyż nogi się pod nią uginały ze zmęczenia, a i na myśl o owym dotknięciu też ogarnęła ją jakaś słabość, nagle jednak nabrała pewności, że na górze spotka Baltazara pracującego w pocie czoła, może splata ostatnie witki, może już zarzuca sakwę na ramię, a może nawet schodzi w dolinę, dlatego też zawołała, Baltazarze.

Krzyk ten pozostał jednak bez odzewu, i nie mogło być inaczej, krzyk jest przecież niczym, mógł dojść zaledwie tam, do tej skarpy, i wrócił echem, lecz osłabiony, niepodobny już do jej głosu. Blimunda czuje nagły przyptyw sił i zaczyna szybko iść pod górę, chwilami nawet biegnie na łagodniejszych odcinkach zbocza, między dwoma karłowatymi dębami dostrzega prawie niewidoczną ścieżkę wydeptaną przez Baltazara i prowadzącą do *passoroli*. Woła po raz drugi, Baltazarze, teraz z pewnością ją usłyszysz, nie dzieli ich już żadna góra, jedynie kilka wąwozów, gdyby się zatrzymała, z pewnością usłyszałaby jego głos, Blimundo, jest tak przekonana, że go usłyszała, iż uśmiecha się i grzbietem dłoni ociera pot i łzy, a może po prostu poprawia włosy albo próbuje zetrzeć brud z twarzy, trudno powiedzieć, gdyż ten gest może oznaczać bardzo wiele.

To właśnie tu, oto puste gniazdo wielkiego ptaka, który odleciał. Okrzyk Blimundy, po raz trzeci powtarzającej to samo imię, zabrzmiał teraz głucho niby stłumiony wybuch, miała wrażenie, że jakaś gigantyczna ręka wrywa jej trzewia, wołając tym razem, Baltazarze, zdała sobie sprawę z tego, że od samego początku wiedziała, iż go tu nie zastanie. W jednej chwili łzy zniknęły z jej twarzy, jakby osuszone gorącym powiewem z wnętrza ziemi. Potykając się podeszła bliżej, zobaczyła połamane krzewy i wgłębienie, które maszyna zostawiła w ziemi, a parę kroków dalej, po drugiej stronie, sakwę Baltazara. Nie było żadnych innych śladów mówiących o tym, co tu się wydarzyło. Blimunda wzniosła oczy ku niebu, które nie było już tak czyste, gdyż z wolna płynęły po nim przedwieczne obłoki, po raz pierwszy doznała uczucia, że przestworza są całkiem puste, pomyślała wówczas, Nie ma tam nikogo, choć wołałaby w to nie wierzyć, bo przecież gdzieś po niebie powinien szybować Baltazar mocując się z żaglami, by sprowadzić maszynę na ziemię. Spojrzała powtórnie na sakwę, podniosła ją i poczuła ciężar znajdującego się w jej wnętrzu szpikulca, wtedy właśnie przyszło jej do głowy, że jeśli maszyna wyleciała poprzedniego dnia, to nocą musiała spaść, a zatem Baltazar nie znajduje się już w powietrzu, lecz na ziemi, może leży gdzieś martwy, a

może żyje i jest ranny, pamiętała wszak dobrze, jak gwałtownie lecieli w dół, co prawda wtedy maszyna była bardziej obciążona.

Nie miała tam już nic więcej do roboty, zarzuciła więc sakwę na ramię i wyruszyła na poszukiwania przemierzając z góry na dół pokryte zaroślami okoliczne zbocza i wspinając się na wszystkie wyższe występy, chciałyby teraz mieć sokole lub rysie oczy, by przed jej byстрыm spojrzeniem nic nie mogło się ukryć na powierzchni ziemi, zdolność widzenia, jaką miała na czczo, była tu nieprzydatna. Przeszukała cały północny stok raniąc nogi i szarpiąc spódnicę o kolczaste krzewy i gdy znalazła się powtórnie w punkcie wyjścia, uświadomiła sobie, iż ani Baltazar, ani ona sama nigdy nie próbowali dotrzeć na szczyt Monte Junto, teraz powinna wejść tam jak najszybciej, nim zapadnie zmrok, stamtąd na pewno rozciąga się rozległy widok, racja, że z dużej odległości trudno będzie dostrzec maszynę, ale czasami zdarzają się szczęśliwe przypadki, może ze szczytu ujrzy Baltazara machającego ku niej ręką z brzegu strumyka, w którym obydwójce ugaszą pragnienie.

Blimunda zaczęła iść pod górę czyniąc sobie wyrzuty, że nie pomyślała o tym wcześniej, od tego trzeba było przecież zacząć, a nie wspinać się tam dopiero teraz, późnym popołudniem. Niepostrzeżenie znalazła się na wijącej się ku górze ścieżce, która niebawem doprowadziła ją do szerokiej drogi z wyraźnymi śladami kół, bardzo ją to zdziwiło, co też może być na górze, skoro prowadzi tam tak szeroka i, jak się wydaje, stara droga, kto wie, może Baltazar też się na nią natknął. Minawszy zakręt Blimunda zatrzymała się. Przed nią szedł zakonnik, sądząc po habicie dominikanin, człowiek korpulentny, z grubą szyją. Ogarnął ją niepokój, nie wiedziała, co robić, uciekać czy zawołać go. Mnich chyba wyczuł za plecami czyjaś obecność. Stał, popatrzył na boki, potem odwrócił się. Nakreślił ręką znak krzyża i czekał. Blimunda podeszła bliżej, *Deo gratias*, powiedział dominikanin, co tu robisz, spytał. Należało mu coś odpowiedzieć, Szukam męża, nie wiedziała jednak, co dalej mówić, mnich pewnie wzięby ją za wariatkę, gdyby usłyszał o latającej maszynie, o *passaroli*, o gęstych obłokach. Cofnęła się trochę, Jesteśmy z Mafry, mój mąż przyszedł tu na Monte Junto z powodu wielkiego ptaka, który jakoby żyje w tych stronach, boję się, czy ten ptak go nie porwał, Nigdy nie słyszałem o czymś takim, ani nikt z mojego zgromadzenia. To na tej górze jest jakiś klasztor, Tak, Nie wiedziałam. Mnich jakby od niechcienia zszedł trochę niżej. Słońce było już bardzo nisko, a że od strony morza zbierały się chmury, zapadał już szary zmierzch. Nie spotkał więc ojciec w tych stronach jednorękiego mężczyzny, któremu lewą dłoń zastępuje żelazny hak, spytała Blimunda, To właśnie jest twój mąż, Tak, Nie, nikogo takiego nie widziałem, I nie widział ksiądz wielkiego ptaka lecącego z tamtej strony, wczoraj lub dziś, Nie widziałem żadnego wielkiego ptaka, Skoro tak, to idę dalej, pobłogosław mnie,

ojcze, Niebawem zapadnie noc, możesz zabłądzić albo napadną cię wilki, bo są w tych stronach, Jeśli zaraz wyruszę, to jeszcze za dnia zejść w dolinę, To dalej, niż ci się wydaje, posłuchaj, obok mojego klasztoru są ruiny drugiego zakonnego domu, którego budowę zarzucono w połowie, mogłabyś tam przenocować, a rano wyruszyłabyś na dalsze poszukiwania męża, Idę dalej, Rób, jak chcesz, ale żebyś potem nie mówiła, że cię nie ostrzegałem, co rzekłszy mnich ruszył pod górę szeroką drogą.

Blimunda stała nadal, nie mogąc się zdecydować, co robić. Jeszcze się nie ściemniło, lecz pola w dolinie pogrążyły się już w mroku. Chmury zasnuły całe niebo, zaczął dmuchać zimny, wilgotny wiatr, być może zwiastujący deszcz. Blimunda wprost umierała ze zmęczenia. Już prawie nie myślała o Baltazarze. Miała niejasne przeczucia, że odnajdzie go nazajutrz, nic więc nie zyska szukając go po nocy. Usiadła na przydrożnym kamieniu, wsunęła rękę do sakwy, skąd wyjęła resztkę prowiantu Baltazara, wyschniętą sardynkę i kawałek twardego jak kamień chleba. Gdyby akurat ktoś tamtędy przechodził, ta siedząca spokojnie postać bez wątpienia napędziłaby mu śmiertelnego strachu, na pewno wzięłby ją za wiedźmę wysysającą podróżnym krew lub też czekającą na inne czarownice lecące na sabat. A jest to przecież tylko nieszczęśliwa kobieta szukająca męża, który uleciał z wiatrem gdzieś w przestworza, i wprawdzie byłaby gotowa odprawić każde czary, byleby tylko wrócił, nie zna jednak takowych, cóż więc z tego, że potrafi widzieć to, czego inni nie widzą, cóż z tego, że potrafiła zebrać gęste obłoki ludzkiej woli, skoro to właśnie one go zabrały.

Zapadła noc. Blimunda wstała. Wiatr był coraz silniejszy i coraz chłodniejszy. W górskich pustkowiach było tyle smutku, że Blimunda rozplakała się, nareszcie, dawno powinna zaznać tej ulgi. Z zapadnięciem nocy otoczyły ją zatrważające odgłosy, pohukiwał puszczyk, szumiały dęby i o ile się nie przesłyszała, w pobliżu zawył wilk. Zebrawszy się na odwagę Blimunda zdołała zejść jeszcze jakieś sto kroków w stronę doliny, lecz miała wrażenie, jakby się pogrążyła w czarną studnię, gdzie czyhały jakieś rozwarte paszcze. Niedługo wszędzie księżyc i oświetli jej drogę, o ile niebo się rozchmurzy, lecz wówczas i ona stanie się widoczna dla wszystkich możliwych stworzeń włączających się po górach, niektóre będą się jej bały, ale będą i takie, które ją samą napełnią potwornym strachem. Zatrzymała się przerażona. Nie opodal coś szybko przemknęło po ziemi. Już dłużej nie mogła tego wytrzymać. Puściła się biegiem pod górę, jakby goniły ją wszystkie piekielne duchy i wszystkie ziemskie potwory, zarówno prawdziwe, jak i zmyślone. Gdy pokonała ostatni zakręt, ujrzała klasztor, niską, przysadzistą budowlę. Przez szpary kościoła sączyło się blade światło. Pod rozgwieżdżonym niebem panowała niezmacona cisza, jedynie chmury wiszące tak nisko, jakby Monte Junto był najwyższym szczytem świata, zdawały się coś szeptać.

Blimunda podeszła bliżej, miała wrażenie, że słyszy śpiewny szmer modłów, to chyba kompleta, z każdym krokiem monotonna recytacja przybierała na sile, aż wreszcie kierowane ku niebu modły zabrzmiały pełnym głosem i tyle w nich było pokory, że Blimunda znów zaczęła płakać, może ci mnisi, nawet o tym nie wiedząc, swymi magicznymi łacińskimi zaklęciami pomagają Baltazarowi wylądować lub odnaleźć drogę w gęstym lesie, może leczą rany, które na pewno odniósł, przyłączyła się więc do pacierzy odmawiając w duchu te, które umiała i które nadawały się na każdą okazję, gdy człowiek zabłądzi, gdy go trzęsie febra, gdy jest przygnębiony, już tam w górze ktoś wybierze, co należy.

Ruiny znajdowały się po drugiej stronie klasztoru, nieco niżej, tuż przy zboczu. Były to wysokie mury zwieńczone sklepieniami, nie wykończone cele tworzyły zakamarki, gdzie doskonale można było schronić się na noc przed zimnem i dzikim zwierzem. Blimunda ostrożnie zagłębiła się w gęsty mrok panujący we wnętrzu, posuwała się po omacku bojąc się wpaść w jakąś dziurę. Jej oczy stopniowo przywykały do ciemności i w przenikającym z zewnątrz bladym świetle nocy zaczęła odróżniać wnęki okienne i ściany. Teren był równy, pokryty niską trawą. Ruiny miały też pierwsze piętro, do którego nie było jednak dostępu, lub też był on w tej chwili niewidoczny. Blimunda owinąwszy się w derkę i wsunąwszy sakwę pod głowę położyła się w jakimś kącie. Łzy ponownie napłynęły jej do oczu. Usnęła płacząc, między jedną a drugą łzą, płakała też przez sen śniąc, że płacze. Nie trwało to długo. Spoza chmur wychynął księżyc i jego promienie, które wśliznęły się między ruiny niczym jakaś żywa istota, obudziły Blimundę. Miała wrażenie, że księżycowa poświata leciutko nią potrząsnęła, że musnęła jej twarz lub leżącą na derce dłoń, szelest wszakże, który usłyszała, był identyczny z tym, jaki docierał do niej przez sen. Odgłos ten raz się zbliżał, raz oddalał, jakby ktoś czegoś uparcie szukał i krążył nie chcąc dać za wygraną, może to jakieś zwierzę, które nie może trafić do swojej kryjówki. Blimunda podniosła się na łokciach i nadstawiła uszu. Rozpoznała skradające się kroki, prawie niesłyszalne, lecz już bliskie. Na tle wnęki okiennej przesunęła się jakaś postać, której wykrzywiony cień padł na nierówną kamienną ścianę. Blimunda natychmiast pojęła, że to spotkany na drodze zakonnik. Powiedział jej, gdzie może przenocować, i teraz przychodzi sprawdzić, czy posłuchała jego rady, lecz nie z chrześcijańskiego miłosierdzia. Blimunda bezszelestnie położyła się na plecach i leżała nieruchomo, może jej nie zauważy, a może zauważy i tylko powie, Odpoczywaj sobie, biedna utrudzona duszo, co byłoby wielce budujące, ale chyba tylko cud mógłby to sprawić, prawda bowiem jest inna, a mianowicie taka, że mnich pragnie zaspokoić swoją chuć, czego właściwie nie można mu mieć za złe, jakże bowiem ciężkie musi być życie na pustkowiu, na tym dachu świata. Postać przesłania całkowicie światło okiennej wnęki, jest to mężczyzna

wysoki i postawny, słycać jego głośny oddech. Blimunda przesunęła sakwę na bok i w chwili, gdy mężczyzna klękał, szybko sięgnęła do wnętrza worka chwytając za trzonek szpikulca, jakby to był sztylet. Możemy się domyślić, co teraz nastąpi, jest to zapisane od czasu, gdy kowal z Evory zrobił Baltazarowi szpikulec i hak, z których pierwszy znajduje się właśnie w dłoni Blimundy, co do drugiego zaś nie mamy żadnych pewnych wieści. Mnich namacał stopy Blimundy, powoli rozsuwa jej nogi, najpierw jedną, potem drugą, bezwład kobiety straszliwie go podnieca, może wcale nie śpi i ma chęć na mężczyznę, podnosi jej spódnice, podciąga w górę habit, ręką szuka drogi, kobieta drgnęła, lecz nie zrobiła żadnego innego ruchu, uradowany mnich wpycha członek w niewidzialną szczelinę, cieszy się czując, że ręce kobiety obejmują jego plecy, życie dominikanina ma jednak swoje piękne chwile. Pchnięty oburącz szpikulec wbija się między żebra, muska serce i wchodzi jeszcze głębiej, od dwudziestu lat ten kawałek żelaza czekał na drugą ofiarę. Rodzący się w gardle mnicha krzyk przerodził się w ochryplę, krótkie rżenie. Blimundę przeszył dreszcz przerażenia, nie dlatego jednak, że zabiła człowieka, lecz dlatego, że przygniatające ją ciało jest teraz dwa razy cięższe. Chcąc się spod niego wydobyć, musiała unieść się na łokciach i z całej siły je odepchnąć, Księżyc oświecił kawałek białego habitu i rozplywającą się czerwoną plamę. Blimunda wstała, nadstawiła uszu. W ruinach panowała absolutna cisza, słyszała jedynie łomot własnego serca. Po omacku znalazła sakwę i derkę, którą musiała silnie szarpnąć, gdyż zaplątała się w nogach zakonnika. Następnie wróciła do mnicha, raz i drugi pociągnęła za szpikulec, lecz nie zdołała go wydobyć. Na skutek skrętu ciała musiał on utknąć między dwoma żebrami. Zrozpaczona Blimunda jedną nogą przygniotła plecy mnicha i raptownym szarpnięciem wyciągnęła ostrze. Rozległo się głębokie bulgotanie i czarna plama, niby powódź, rozlała się wokół. Blimunda wytarła szpikulec o habit i schowała go do sakwy, którą, podobnie jak derkę, zarzuciła sobie na plecy. Zamierzała już stamtąd wyjść, lecz jeszcze obejrzała się i dostrzegła, że mnich miał na nogach sandały, zabrała je, umarły i bez nich trafi tam, gdzie trzeba, do piekła bądź nieba.

Blimunda zatrzymała się w cieniu ruin zastanawiając się nad wyborem drogi. Przejście przez przyklasztorny plac było zbyt ryzykowne, ktoś mógł ją zobaczyć, może jakiś zakonnik dopuszczony przez tamtego do sekretu i czekający na swoją kolej, jakoś długo nie wraca, chyba chce się wyhuścić za wszystkie czasy. Przekłęci niech będą mnisi, szepnęła Blimunda. Teraz musi stawić czoło wszystkiemu, czego się bała, wilkom, o ile to nie były bajki, tajemniczym gadom przemykającym pod stopami i gęstym zarośłom, przez które powinna się przedzierać aż do miejsca, gdzie będzie mogła bezpiecznie wyjść na drogę. Zdjęła rozpadające się łapcie i obuła duże, rozczłapane, lecz solidne sandały nieboszczyka,

obwiązała rzemienie wokół kostek i ruszyła w drogę bacząc, by ruiny zasłaniały ją od strony klasztoru, dopóki nie ukryje się w zaroślach lub za jakimś skalnym występem. Szła wśród nocnych odgłosów gór, chwilami opromieniona bladym światłem księżyca, a chwilami, gdy nadciągały chmury, zagubiona w grubych ciemnościach, niczego jednak się nie bała, rozumiała bowiem nagle, że bez najmniejszego drżenia w sercu zejdzie w dolinę, że niestraszne jej zjawy i wilkołaki, pokutujące dusze i błędne ogniki, odpędzi je szpikulcem, bronią potężną, zdolną ją obronić przed wszelkimi czarami i atakami, prowadzącą ją w mroku niby jasny kaganek.

Blimunda szła przez całą noc. Musiała odejść jak najdalej od Monte Junto, nim o świcie zakonnicy zbiorą się na pierwsze modły. Zauważą nieobecność mnicha, najpierw będą go szukać w celi, później po całym klasztorze, w refektarzu, w kapitularku, w bibliotece, w ogrodzie, opat uzna go za zbiega, wszyscy będą szemrać po kątach, lecz jeśli któryś z braci zna sekret, będzie siedział jak na rozpalonych węglach, może nawet zazdrosząc tamtemu szczęścia, musiała to być nie lada spódniczka, skoro zdecydował się zrzucić habit, później zaczną szukać poza klasztorowymi murami i może już w pełnym blasku dnia znajdą trupa, ładnie bym się urządził, pomyśli ten drugi zakonnik nie czując już żadnej zazdrości, lecz Bogu składając dzięki.

W południe, nad brzegiem strumienia Pedrulhos, Blimunda postanowiła odpocząć po szaleńczym marszu. Pozbyła się sandałów mnicha, lepiej nie kusić złego, swoje własne buty wyrzuciła już wcześniej i teraz zanurzyła bosc stopy w zimnej wodzie, przyszło jej do głowy, że musi obejrzeć swoje ubranie, czy nie ma jakichś śladów krwi, może tylko ta plama na obszarpanej spódnicy, oderwała więc i tak już podarty kawałek i wyrzuciła go. Patrząc na płynącą wodę zapytała, Co dalej. Myjąc szpikulcem miała wrażenie, jakby myła rękę, którą Baltazar stracił na wojnie, rękę Baltazara, nieobecnego, utraconego. Wyszła z wody, Co dalej, zapytała powtórnie. Nawiedziła ją wówczas myśl, która wydała się jej słuszna i oczywista, że Baltazar już na pewno czeka na nią w Mafrze, musieli się rozminąć w drodze, może maszyna sama poleciała, Baltazar się przestraszył i uciekając zostawił na miejscu sakwę i derkę, a może rzucił je po drodze, mężczyzna też przecież ma prawo się przestraszyć teraz zaś nie wie, co począć, czekać czy wyjść na drogę, ta kobieta jest naprawdę szalona, ach, Blimundo.

Jak szalona pobiegła Blimunda drogami wiodącymi ku Mafrze, fizycznie skrajnie wyczerpana po dwu nie przespanych nocach, duchowo odrodzona po dwu nocach zmagania, doganiała i wyprzedzała wszystkich idących na konsekrację, jak tyle narodu się tam pomieści. Z oddali widać już chorągwie, sztandary oraz gromady ludzi, do niedzieli nikt nie pracuje, wszyscy wysilają się na jak największą galę i prześcigają w upiększeniach. Blimunda zdążyła

do domu, mija pałac wicehrabiego, przed którym zaciągnęła straż gwardia królewska, wzdłuż całej ulicy stoją dwukółki i karety, tu zatrzyma się król. Otworzyła furtkę, zawołała, Baltazarze, lecz nikt nie wyszedł jej na spotkanie. Usiadła na kamiennym schodku, ręce jej opadły i owładnęła nią rozpacz, pomyślała wszakże, iż nie potrafi wytłumaczyć, skąd ma derkę i sakwę Baltazara, jeśli powie, że go szukała i nie odnalazła. Resztką sił dowlokła się do komórki i schowała rzeczy Baltazara pod wiązką trzciny. Nie była już w stanie stamtąd wyjść. Położyła się w żłobie i wkrótce, dzięki temu, że ciało lituje się czasami nad duszą, zasnęła. Z tego też powodu nie widziała lizbońskiego patriarchy, który wjechał do Mafrы wspaniałą kareta w asyście czterech innych karet wiozących służbę. Orszak otwierał jeździec wysoko trzymający krzyż patriarszy, był tam też przełożony kleryków i urzędnicy magistracy, którzy czekali nań daleko za osadą, trudno sobie wyobrazić okazalszą świętę, toteż tłum napawał się jej widokiem, Ines Antoninie mało oczy nie wyszły na wierzch, Alvaro Diogo dostojnie, jak przystało na ociosywacza, kręcił z podziwem głową, jeśli zaś idzie o Gabriela, to ten nicpoń gdzieś się zapodział. Blimunda nie widziała także, jak z różnych stron, ale nie pieszo, przybyło ponad trzystu franciszkanów, by uczestniczyć w uroczystościach i, jak się to mówi, uświetnić je, gdyby to byli dominikanie, jednego by zabrakło. Straciła więc defiladę triumfujących franciszkańskich zastępów, które maszerowały czwórkami w stronę klasztoru, by sprawdzić, czy ich koszary już są gotowe, czy mogą już korzystać z duchowej strzelnicy, z arsenału hostii oraz prochowni sakramentów, czy wyhaftowano już chorągiew, *In hoc signo vinces*, a jeśli do zwycięstwa nie wystarczy sam znak, to należy przekonywać siłą. Blimunda ciągle śpi, jest jak kamień, który padł na ziemię i o ile ktoś go nie trąci nogą, utknie tam na zawsze i obrosnie trawą, podobnie bywa z kimś, kto zbyt długo na coś czeka. Pod wieczór, gdy już skończyły się przewidziane na ten dzień uroczystości, Alvaro Diogo i jego żona wrócili do domu, nie zauważyli wszakże Blimundy, gdyż nie przechodzili przez podwórze, później jednak Ines Antonina poszła zapędzić na noc kury i wówczas zobaczyła szwagierkę gwałtownie gestykulującą przez sen, czemu trudno się dziwić, gdyż na nowo zabijała dominikanina, ale Ines Antonina nie mogła przecież tego wiedzieć. Weszła do komórki i potrząsnęła szwagierkę za ramię, nie trąciła jej nogą, przecież człowiek to nie kamień, Blimunda z przerażeniem otworzyła oczy, nie wiedziała zupełnie, gdzie jest, we śnie otaczały ją ciemności, a tu dopiero się zmierzcha, i w dodatku zamiast mnicha widzi przed sobą jakąś kobietę, któż to taki, ach, to siostra Baltazara, A gdzie Baltazar, pyta Ines Antonina, no właśnie, to samo pytanie bezustannie dręczy Blimundę, jak tu odpowiedzieć, podniosła się z trudem, wszystko ją boli, sto razy zabijała mnicha, który sto razy zmartwychwstawał, Baltazar nie może jeszcze wrócić, ale to żadna odpowiedź, nie chodzi

przecież o to, czy może, czy nie może, ale o to, dlaczego nie wrócił, Ma zamiar zostać w Turcifal jako karbowy, każde wyjaśnienie jest dobre, byle zadowalało pytającego, czemu niekiedy sprzyja obojętność, tak właśnie jest w przypadku Ines Antoniny, która zbytnio nie interesuje się bratem i jeśli o niego pyta, to głównie z prostej ciekawości.

Alvaro Diogo, który również wyraził zdziwienie z powodu trwającej już trzy dni nieobecności Baltazara, przy kolacji opowiedział szczegółowo o tym, kto już przyjechał, a kto jeszcze nie, królowa wraz z księżniczką Marianną Wiktoria zostały w Belas, gdyż w Mafrze nie miałyby się gdzie zatrzymać, z tego samego powodu infant Franciszek znajduje się w Ericeirze, mężowi Ines najbardziej jednak pochlebia fakt, że, jak się to mówi, oddycha tym samym powietrzem co Jego Królewska Mość, księżę Józef i infant Antoni, którzy teraz znajdują się dosłownie naprzeciwko nich, w pałacu wicehrabiego, my sobie tu wieczerzamy, a tam wieczerzają oni, my z tej strony ulicy, a oni z tamtej, hej, sąsiadko, pożycz trochę pietruszki. Przyjechali też dwaj kardynałowie, Cunha i Mota, oraz biskupi z Leirii, Portalegre, z Para i z Nankinu, którzy wrócili już stamtąd na stałe, powoli zjeżdża też cały dwór, jest mnóstwo szlachty, Bóg da, że Baltazar wróci na niedzielę i zobaczy uroczystości, powiedziała z obowiązku Ines Antonina, Powinien wrócić, wyszeptła Blimunda.

Tej nocy spała w domu. Po przebudzeniu zapomniała zjeść codzienny kawałek chleba i gdy weszła do kuchni, zobaczyła dwie przezroczyste zjawy, które niebawem zamieniły się w pęczki żył i wiązki białych patyków, poczuła wówczas taki wstręt, że zaczęło ją mdlić, odwróciła więc szybko twarz i zaczęła jeść chleb, zauważywszy to Ines Antonina zaśmiała się dobrodusznie, Czyżbyś po tylu latach zaszła w ciążę, ta niewinna uwaga pogłębiła jej rozpacz, Teraz to już nie ma o czym marzyć, ta myśl przeszła ją niby wewnętrzny, rozzierający krzyk. Tego dnia miało miejsce poświęcenie krzyży, obrazów w kaplicach, paramentów i innych przedmiotów liturgicznych, a także klasztoru wraz z przyległościami. Lud pozostał na zewnątrz, Blimunda nawet nie wyszła z domu, wystarczyło jej, że zobaczyła króla wsiadającego do karety w towarzystwie księcia i infanta, jadą na spotkanie królowej i księżniczek, wieczorem Alvaro Diogo wszystko im wyjaśnił w miarę swoich możliwości.

Nastał wreszcie ów sławetny, pamiętny po wsze czasy dzień dwudziestego drugiego października roku pańskiego tysiąc siedemset trzydziestego, w którym król Jan V kończy czterdzieści jeden lat i bierze udział w poświęceniu najcudowniejszej budowli, jaką kiedykolwiek wzniesiono w Portugalii, wprawdzie jeszcze nie wykończonej, ale poznać pana po cholewach. Trudno wprost opisać tyle wspaniałości, Alvaro Diogo nie wszystko zobaczył, a Ines Antoninie wszystko się poplątało, Blimunda poszła z nimi, bo tak wypadało, ale sama nie bardzo wiedziała, co się wokół dzieje. Wyszli z domu o czwartej rano, żeby zająć dobre

miejsce na placu, o piątej, przy blasku pochodni uformowało się wojsko, później zaczęło świtać, piękny dzień, proszę państwa, Pan Bóg dba o swoje sprawy, teraz już widać wspaniały tron patriarchy ustawiony na lewo od portyku, z dwoma krzesłami po bokach i karmazynowym aksamitnym baldachimem zdobnym złotem, ziemia usłana jest dywanami, coś wspaniałego, na podręcznym stole kropielnica z kropidłem oraz inne przybory, uformowała się już uroczysta procesja, która okrąży kościół, idzie w niej król, za nim infanci i szlachta wedle starszeństwa, lecz najważniejszą rolę w uroczystościach odgrywa patriarcha, który błogosławi sól i wodę, a także skrapia mury święconą wodą, ale chyba nie było jej tyle, ile powinno być, w przeciwnym razie Alvaro Diogo nie spadłby w kilka miesięcy później z wysokości trzydziestu metrów, następnie patriarcha uderza po trzykroć w środkowe wielkie drzwi, dotychczas zamknięte, do trzech razy sztuka, drzwi się rozwarły i procesja weszła do kościoła, szkoda, że nie znaleźli się też w środku Alvaro Diogo, Ines Antonina oraz Blimunda, choć wcale jej na tym nie zależało, zobaczyliby wszystkie obrzędy, jedne wzniosłe, inne wzruszające, jedne sprawiają, że ciało kornie pada na kolana, inne błyskawicznie uwznioślają duszę, na przykład kiedy patriarcha końcem laski rysuje łacińskie i greckie litery w grubej warstwie popiołu rozsypanego na kościelnej posadzce, co wygląda raczej na jakieś magiczne praktyki, raczej na gusła, niż na rytuał katolicki, podobnie zresztą jak cała ta wolnomularszczyzna w postaci sproszkowanego złota, kadzidła, popiołu, soli, białego wina w srebrnej karafce, wapna i pyłu kamiennego na tacy, srebrnej łyżki, połączanej muszli i Bóg wie czego jeszcze, nie brak też hieroglifów, gryzmołów, ruchów ręki, chodzenia w tę i z powrotem, świętych olejów, błogosławieństw, relikwii dwunastu apostołów, tak, dwunastu, i na tym wszystkim upłynął cały ranek oraz większa część popołudnia, dopiero bowiem o piątej patriarcha rozpoczął mszę pontyfikalną, która też potrwała, i to niemało, ale wreszcie się skończyła i patriarcha wszedł na taras Benedictione, aby pobłogosławić czekający na zewnątrz lud, siedemdziesiąt a może osiemdziesiąt tysięcy osób, które szurając nogami i szeleszcząc ubraniami padły na kolana, choćbym nie wiem jak długo żył, nie zapomnę tej chwili, oto patriarcha z góry wypowiada słowa błogosławieństwa, jak ktoś ma dobry wzrok, to dojrzy ruchy jego ust, nie ma wszakże takiego ucha, które by coś dosłyszało, gdyby to odbywało się dzisiaj, na cały świat zabrzmiałyby elektroniczne trąbki, *urbi et orbi*, współczesny głos Jehowy, na który ziemia czekała parę tysiącleci, lecz jak dotąd największa mądrość ludzi polega na tym, że potrafią zadowolić się tym, co mają, dopóki nie wynajdzie się czegoś lepszego, dlatego też zarówno mieszkańcy Mafry, jak i pątnicy są bardzo szczęśliwi, wystarczają im dostojne ruchy rąk, z góry na dół, z lewa na prawo, iskrzący się pierścień, blask złota i purpury, biel batystów, stukanie laską o kamień sprowadzony z Pero

Pinheiro, pamiętacie, patrzcie, jak krwawi, cud, cud, cud, to był jego ostatni gest, wysunięcie klocka, lecz oto pasterz odchodzi wraz z orszakiem, owieczki powstają, uroczystości jednak na tym się nie kończą, trwać będą osiem dni, a dziś dopiero początek.

Zaraz wracam, powiedziała Blimunda do szwagierki. Zeszła do opustoszałej osady. Niektórzy mieszkańcy tak się spieszyli, że pozostawiali otwarte furtki i drzwi. Nie dymiło się z żadnego komina. Blimunda weszła do komórki, wzięła derkę i sakwę, potem z domu zabrała trochę jedzenia, drewnianą miskę, łyżkę oraz parę ubrań swoich i Baltazara. Włożyła wszystko do sakwy i wyszła. Zapadał zmierzch, ale teraz nie bała się już nocnych ciemności, żadne bowiem nie dorównywały tym, jakie panowały w jej duszy.

Blimunda szukała Baltazara przez dziewięć lat. Poznała kurz i błoto wszystkich dróg, stąpała po ostrych kamieniach, miękkim piasku i trzeszczącej pod nogami twardej grudzie, z dwóch zamieci śnieżnych wyszła żywa tylko dlatego, że jeszcze nie chciała umierać. Słońce tak ją spaliło, że wyglądała niczym gałąź wyciągnięta z ogniska na chwilę przed całkowitym zwęgleniem, jej poorana zmarszczkami twarz przypominała popękany owoc, toteż gdy szła przez pola, można ją było wziąć za stracha na wróble, w osadach brano ją za zjawę, a w zapadłych wioskach i odludnych folwarkach budziła prawdziwy lęk. Wszędzie pytała, czy ktoś przypadkiem nie widział mężczyzny o takim a takim wyglądzie, bez lewej ręki, postawnego niczym gwardzista królewski i ze szpakowatą brodą, którą być może zgolił, ale w każdym razie jest to twarz, której się nie zapomina, przynajmniej ja nie zapomniałam, może iść traktem lub polną ścieżką, jak wszyscy ludzie, ale równie dobrze może spaść z góry na ptaku z żelaza i wikliny, z czarnym żaglem, żółtymi bursztynowymi gałkami i dwiema matowymi metalowymi kulami zawierającymi największą tajemnicę świata, lecz nawet jeśli z tego ptaka i z mężczyzny zostały tylko szczątki, zaprowadźcie mnie tam, ja je rozpoznam, wystarczy mi dotknąć ręką, nie potrzebuję nawet patrzeć. Traktowali ją jak wariatkę, ale gdy zatrzymywała się gdzieś na dłużej, wszystko inne, co robiła i mówiła, było tak rozsądne, że ludzie zaczęli się zastanawiać nad słusznością początkowych wątpliwości co do stanu jej umysłu. Z powodu tej dziwnej historii, którą wszędzie opowiadała, stała się znana w różnych okolicach jako Awiatorka. Siadywała na progach domów gawędząc z kobietami i wysłuchując ich narzekań, achów i ochów, rzadziej radosnych nowin, może było ich po prostu mniej, a może każdy chował je dla siebie, żeby więcej się nimi nacieszyć, żeby nie wyzbyć się wszystkiego, co się czuje, lub może nie zawsze człowiek zdaje sobie sprawę z tego, co chowa w sercu. Wszędzie siała dziwny niepokój, mężczyźni nie poznawali swoich żon, które ni z tego, ni z owego nabierały do nich żalu o to, że gdzieś nie zaginęli, aby one mogły ich szukać. Lecz ci sami mężczyźni odczuwali w sercu jakiś dziwny smutek, gdy pytali, Czy już sobie poszła, a gdy w odpowiedzi usłyszeli, Jeszcze kręci się w naszych stronach, wówczas wychodzili z domu w nadziei spotkania jej gdzieś w lesie, w wysokim zbożu czy nad rzeką, jak moczy nogi lub rozbiera się w trzciniowych zaroślach, nie miało to żadnego znaczenia, gdyż napawali oczy samą jej postacią, rękę od owocu oddzielał zawsze szpikulec, ale na szczęście już nikt nie musiał umrzeć. Nigdy nie wchodziła do kościoła, gdy byli tam ludzie, czasem tylko odpoczywała w środku siadając na posadzce lub opierając się o kolumnę, weszłam tylko na chwilę, zaraz wychodzę, to nie jest mój dom. Księża, którzy o niej słyszeli, przez osoby trzecie próbowali nakłonić ją do spowiedzi, ciekawi bowiem byli

tajemnic związanych z pątniczką-wędrowniczką, jakie też sekrety może kryć jej kamienna twarz i nieruchome oczy, chwilami przypominające jeziora, po którym snują się cienie chmur, lecz nie tych zwykłych chmur, co są na niebie, ale tych, które kłębią się wewnątrz. W takich razach Blimunda odpowiadała, iż złożyła śluby przystąpienia do spowiedzi dopiero wówczas, gdy poczuje się grzeszna, oczywiście trudno było o bardziej bulwersującą odpowiedź, skoro wszyscy jesteśmy grzesznikami, bywało wszakże, iż niejedna kobieta, z którą poruszyła ten temat, popadała później w zadumę, bo prawdę mówiąc, jakież są nasze grzechy, jeśli każda z nas jest w istocie barankiem, który zgładzi grzechy świata, gdy pewnego dnia ludzie to zrozumieją, trzeba będzie zaczynać wszystko na nowo. Lecz nie zawsze jej pojawienie się wywierało taki skutek, zdarzało się bowiem, że obrzucano ją kamieniami lub wyśmiewano i w pewnej wiosce, gdzie ją bardzo źle potraktowali, dokonała rzeczy tak osobliwej, że o mały włos uznaliby ją za świętą, rzecz w tym, że tamtejsi ludzie cierpieli na dotkliwy brak wody, ponieważ wyczerpały się im źródła i powysychały studnie, kiedy więc przepędzili Blimundę, ona obesła całą okolicę i korzystając z tej zdolności widzenia, jaką miała na czczo, odkryła wodę, wróciła więc do wioski następną nocą, kiedy wszyscy spali, i zaczęła na cały głos krzyczeć, że w takim a takim miejscu, na takiej a takiej głębokości bije źródło czystej wody, widziałam go na własne oczy, stąd też dali jej przydomek Źródlane Oczy, pierwsze oczy, które ta woda przemyła. Ale widywała też zdroje bijące z ludzkich oczu, i to nierzadko, bo gdy dowiadywali się, że jest z Mafry, zaraz pytali, czy nie spotkała tam mężczyzny o takim a takim Nazwisku i wyglądającego tak a tak, to był mój mąż, mój ojciec, mój brat, mój syn, mój narzeczony, zabrali go siłą do roboty przy klasztorze, z rozkazu króla, i nigdy go więcej nie zobaczyłam, już stamtąd nie wrócił, nie wiem, czy umarł, czy zablądził w drodze, nigdzie nie mogę się niczego dowiedzieć, dzieci zostały bez ojca, nie miał kto uprawiać ziemi, a może diabli go wzięli, ale mam już drugiego męża, o tę zwierzynę kobiecie nietrudno, byle tylko wpuściła do norki, rozumiesz, o co mi chodzi. Blimunda zajrzała do Mafry, dowiedziała się od Ines Antoniny o śmierci Alvara, o Baltazarze natomiast nie było żadnych wieści, ani o jego ewentualnej śmierci, ani tym bardziej o życiu.

Szukała go przez dziewięć lat. Najpierw liczyła pory roku, później przestała je odróżniać. Liczyła też mile przemierzane w ciągu dnia, cztery, pięć, czasami sześć, lecz niebawem zaczęła się gubić w rachubach, później zaś zarówno czas, jak i przestrzeń straciły dla niej jakiegokolwiek znaczenie, ich jedyną miarą stały się ranek, południe, zmierzch, deszcz, skwar, grad, mgła, droga dobra lub zła, zbocze wiodące w górę lub w dół, równina, góra, nadmorska plaża, brzeg rzeki i przede wszystkim ludzkie twarze, tysiące twarzy, niezliczone krocie twarzy, wielokrotnie więcej, niż mogła zobaczyć w Mafrze, twarze kobiet, którym

zadawała pytania, oraz twarze mężczyzn, w których szukała odpowiedzi, szczególnie bacznie patrzyła na tych ani zbyt starych, ani zbyt młodych, szukała kogoś w wieku około czterdziestu pięciu lat, tyle w każdym razie miał, gdy zostawiliśmy go na Monte Junto, skąd uleciał w przestworza, od tego czasu z każdym rokiem trochę się starzał, z każdym miesiącem przybywało mu zmarszczek, a z każdym dniem siwych włosów. Ileż to razy Blimunda wyobrażała sobie, że siedzi gdzieś na rynku prosząc o jałmużnę, a tu nagle podchodzi do niej jakiś mężczyzna i zamiast pieniędzy czy chleba podaje jej żelazny hak, wówczas ona wkłada dłoń do sakwy i wyciąga szpikulec z tej samej kuźni, dowód jej stałości i wiary, Nareszcie cię znalazłem, Blimundo, nareszcie cię znalazłam, Baltazarze, Gdzieś ty się podziewała przez tyle lat, jakie przygody i nieszczęścia cię spotkały, najpierw ty opowiedz o sobie, to ty przecież zaginąłeś, Wszystko ci opowiem, i potem już rozmawialiby bez końca.

Blimunda przeszła tysiące mil, prawie zawsze boso. Podeszwy jej stwardniały i popękały niby kora dębu korkowego. Przemierzyła na piechotę całą Portugalię, czasami zapuszczała się na stronę hiszpańską, nie widziała bowiem na ziemi żadnej linii granicznej, i dopiero gdy słyszała obcą mowę, zdawała sobie sprawę z tego, że należy zawracać. W ciągu dwu lat przeszła od nadmorskich skał i plaż do samej granicy, później zaczęła szukać w innych okolicach, chodziła innymi drogami i podczas tych wędrówek i poszukiwań odkryła, że jej rodzinny kraj jest bardzo mały. Już tu byłam, tędy już przechodziłam, spotykała znajome twarze, Nie pamiętacie mnie, nazywaliście mnie Awiatorka, Ach, tak, pamiętam, no i co, znalazłaś mężczyznę, którego szukałaś, Mojego męża, No właśnie, Nie znalazłam, Oj, biedna ty, biedna, Nie pojawił się przypadkiem po mojej bytności tutaj, Nie, i nikt tu o nim nie słyszał, No to idę dalej, do zobaczenia, Szczęśliwej drogi, Obym go znalazła.

Znalazła go. Już sześciokrotnie była w Lizbonie, teraz zmierzała tam po raz siódmy. Szła z południa, od strony Pegoes. Przełynęła rzekę już prawie o zmierzchu, ostatnią łodzią, która wykorzystywała przyływ. Prawie całą dobę nic nie jadła. Miała trochę jedzenia w sakwie, lecz za każdym razem, kiedy po nie sięgała, jakaś niewidzialna ręka powstrzymywała ją, a jednocześnie jakby słyszała głos mówiący, Nie jedz, twój czas nadchodzi. W głębinach ciemnej wody widziała pływające ryby, kryształowosrebrne ławice, długie grzbiety, gładkie lub pokryte łuskami. Przez szpary okiennic sączyło się blade, rozproszone światło, niby blask latarni morskiej we mgle. Weszła w ulicę Żelazną, obok kościoła Matki Boskiej z Oliveira skręciła w prawo, kierowała się na plac Rossio tą samą drogą co przed dwudziestoma ośmioma laty. Mijała ludzi, których widziała jako mgliste zjawy. Wśród tysiąca smrodliwych zapachów miasta rozpoznała przyniesioną powiewem wiatru woń palonego ciała. Przy kościele św. Dominika było tłoczno, pochodnie, czarny dym, stosy. Przepchnęła się przez

tłum, stanęła w pierwszym rzędzie, Kogo pałą, spytała, Jakąś kobietę z dzieckiem na ręku, Wiem coś niecoś tylko o trzech osobach, tych dwoje, tam, to ojciec i córka, oskarżeni o judaizm, a tamten na samym końcu to taki jeden, co miał teatrzyk kukiełkowy, niejaki Antoni Józef da Silva, a o reszcie nic nie wiem.

Skazańców jest jedenastu. Stosy rozgorzały na dobre, już trudno rozpoznać twarz. Na ostatnim płonie mężczyzna bez lewej ręki. Lecz wygląda na znacznie młodszego, chyba dzięki cudownemu upiększającemu działaniu sadzy, która poczerniła mu brodę. W samym środku jego ciała widać gęsty obłok. Blimunda powiedziała, Chodź. Wtedy wola Baltazara Siedem Słońc opuściła ciało, nie uleciała jednak ku gwiazdom, należała bowiem do ziemi i do Blimundy.